

Louise Pennington

Zona  
dyplomaty



# Pennington Louise

## Żona dyplomaty

*Wiedeń – wyrafinowane dyplomatyczne środowisko, ambitni mężczyźni, oszalamiające kobiety.*

*A wśród tego wszystkiego Elizabeth Thornton, piękna i elegancka, "doskonała żona" brytyjskiego dyplomaty. Jej szczęście i spokój zakłóca jednak pojawienie się Karla, miłości sprzed lat.*

*Kiedy ich związek odżywa, Elizabeth wie, że oto nadszedł czas i konieczność wyboru: bezpieczne, pełne rodzinnego ciepła życie z mężem, czy też bezbrzeżna i obezwładniająca namiętność do Karla...*

*"Żona dyplomaty" to wielkie szczęście, seks i mocne namiętności tętniące pod złudnym spokojem i blichтром eleganckiego świata.*

1

Minęło już chyba ponad pięć lat? Kiedyś liczyła każdy dzień, ale od tamtych chwil wiele wody upłynęło pod mostem czasu, tak wiele, że zastanawiała się, czy ten Karl, którego widziała teraz wśród tłumu na jasno oświetlonej sali, jest tym samym mężczyzną, który kochał się z nią w tak nieokiełznany i namiętny sposób i od którego słyszała tyle obietnic w jakby otoczonym koronkową mgiełką babiego lata pokoju Hotelu Blake'a; mgiełką, ponieważ tyle było delikatności w ich kochaniu się. Elizabeth mimo woli powróciła pamięcią do tamtego przyjęcia, Londynu i spaceru wzdłuż Embankmentu o świcie, wspaniałym bladoróżowym świcie. Wydawało jej się wtedy, w jej naiwności, że czekała na kogoś takiego przez całe swoje życie, ponieważ nigdy wcześniej nie doznawała tak nieodpartej potrzeby, tak intensywnego pragnienia, by wyciągnąć rękę i — dotknąć. Jej skóra nabierała przy nim życia; w uszach dźwięczał jego szept „całuj mnie aż do zawrotu głowy...”

Mieli tylko jeden tydzień, lecz tych siedem długich, bardzo długich dni miało posmak ponadczasowości, jak gdyby, zawieszony w czasie, nigdy nie miały się skończyć. Później jednak odleciał do Stanów i swojego własnego świata, zostawiając za sobą obietnice, a dla niej nastąpiły dłużące się, dręczące dni oczekiwania — na telefony, na listy. I nawet gdy w jej niemądre marzenia zaczął się wdzierać zimny powiew rzeczywistości, nie przestawała tracić nadziei. Karl nie dawał jednak znaku życia. Wów-

czas, w tym tak odległym nagle świetle, poczuła, że coś w niej na zawsze umarło. A teraz stał o kilka kroków przed nią i kiedy podniósł wzrok znad trzymanego w ręku kieliszka i jego oczy przemknęły po bladej, jakby rzeźbionej twarzy Elizabeth, zaczęło jej brakować tchu.

— Mógłbyś mi jeszcze podać drinka, John? — ocknęła się z trudem, zwracając się gwałtownie do męża z rutynowym opanowaniem.

— Już? — spytał łagodnie z tak dobrze znanym jej żartobliwym wyrazem twarzy.

— No wiesz, chociaż jeszcze jednego, żebyś sobie jakoś mogła poradzić z tymi uroczymi, dowcipnymi rozmówkami, które będę musiała dziś prowadzić ze względu na ciebie — powiedziała trochę zbyt oschle.

— Już dobrze, dobrze... — odparł szybko, ale zastanowił go jej ton. Rozejrzał się i zobaczył dziewczynę uginającą się pod ciężarem tacy z napojami. Jednocześnie poczuł na ramieniu przepraszający dotyk żony.

— Przepraszam, nie chciałam być nieprzyjemna — powiedziała. Nie można było bowiem nie dostrzec, jak przez szeroką, otwartą twarz Johna przemknął cień. Tak łatwo mogła go zranić, jeszcze teraz, po czterech latach małżeństwa.

Było jej podwójnie przykro; nie dość, że wyskoczyła na niego, to jeszcze pozwoliła, by owładnęły nią wspomnienia z przeszłości. Jednakże już w następnej chwili uciekła myślą od niego i poczucia bezpieczeństwa, jakie jej dawał, i popatrzyła na tamtego mężczyznę, który stał teraz oddalony od niej zaledwie na wyciągnięcie rąk. Poczuła gwałtowne bicie serca i suchość w ustach; jej dłoń zamknęła się na mającym przynieść uspokojenie kieliszku podanym przez Johna. Na przelotną chwilę przymknęła oczy. Już dawno wyrzuciła z pamięci wspomnienia dotyczące Karla, odsunęła je od siebie, ponieważ ją zawiódł. Doszła do wniosku, że dała się nabrać na najbanalniejszą ze sztuczek. Czuła też, że ludzi takich jak on powinna

traktować z pogardą. „Kolekcjonerzy” powiedziałyby Kate, która niestety znajdowała się teraz o kilka tysięcy mil stąd, wysłana wraz z Henrym na placówkę do szarej, borykającej się z zanieczyszczonym środowiskiem Manili. Bardzo jej brakowało Kate.

— Elizabeth — z zamyślenia wyrwał ją głos Johna. — Przedstawiam ci Bruna i Marie Studer z delegacji szwajcarskiej.

Elizabeth spojrzała w szczupłą, niezbyt sympatyczną twarz starszej od niej kobiety o brązowych oczach powiększonych grubymi szklami okularów.

— Właśnie przyjechali do Wiednia.

— ... i mieszkają w hotelu... — usta Marii Studer uformowały się w zaciętą, nieskłoną do przebaczenia linię. — Nie dostaliśmy wcześniej żadnej informacji o przeniesieniu, ani też czasu na choćby częściowe przygotowanie się. — Wyciągnęła swoją kościstą dłoń nabijając na wykałaczkę oliwkę. — Mieliśmy praktycznie zapewniony jeszcze jeden rok w Paryżu, no a tu niespodzianka z całym tym cyrkiem! — Z gniewem nabiła na wykałaczkę następną oliwkę. — Mój mąż jest za stary na konferencje...

— Przykro mi — pospieszyła z uprzejmym zrozumieniem Elizabeth. — Chociaż Wiedeń jest całkiem wygodnym miejscem, tyle że niezbyt tanim. Pani Studer wzniosła oczy do góry i na jej ustach zaczął się rysować wyraz niesmaku, ale nim odpowiedziała, mąż pociągnął ją za rękaw kierując jej uwagę na następną osobę, którą trzeba było poznać — stojącego obok mężczyznę.

Karl Nielsen ujął podaną mu szczupłą dłoń i z konwencjonalnym szacunkiem uściśnął chłodne, wątłe palce, po czym wyprostowawszy się, skupił natychmiast całą swoją uwagę na stojącej z tyłu drugiej kobiecie. To była Elizabeth. Na jej twarzy pojawił się prześliczny rumieniec, kiedy spojrzała na niego marszcząc lekko czoło, a on za-

stanawiał się, jak sobie ułożyła życie teraz — i wtedy — i czy kiedykolwiek o nim myślała. Wydawało mu się to tak dawno — Londyn i ona, i te długie-krótkie dni, które zaczęły mu stawać w pamięci z nagłą i niespodziewaną łatwością. Przypomniawszy sobie, że chciał wtedy do niej zadzwonić, czy też napisać, ale w jego życiu pojawiły się inne sprawy — praca, Gabrielle i to ciągle doskwierające poczucie braku środków finansowych — żeby wymienić tylko najważniejsze z nich, które mu ostatecznie przeszkodziły. A poza tym Londyn wydawał mu się wtedy zbyt odległy na romantyczne interludia i dlatego świadomie wymazał Elizabeth z pamięci, sądząc, że nie ma innego wyboru.

Błyskawicznym, wyćwiczonym spojrzeniem ogarnął całą jej postać; nie zmieniła się bardzo, z pewnością nie, prócz może tego, że emanowała z niej teraz pewność, jakiej nie było w tamtej dziewczynie sprzed pięciu lat. Patrzył na nią nie mogąc oderwać wzroku, i gdy odwróciła do niego głowę, dostrzegł jej wilgotne, pomalowane na różowo usta, lekko rozszerzone nozdrza i te jej gęste włosy w kolorze karmelu, które teraz były zręcznie spięte i uładzone — jak przystało na osobę z kręgu dyplomacji. Złapał się na tym, że zastanawia się, jak by wyglądały, gdyby rozpuszczone mogły opaść swobodnie wokół jej pięknej twarzy — może to i trochę staromodny pomysł, ale nie mógł się mu oprzeć.

Przedtem, w tamtym innym czasie, Elizabeth nie spinała swych długich i trochę niesfornych włosów, i kiedy leżeli razem, pozwalała, by prowokacyjnie ocierały się o jego skórę, a on zanurzał dłoń w ich ciężkiej masie zamykając i okręcając wokół nich palce, i przyciągał ją do siebie. Omal nie uśmiechnął się, zaskoczony żywością tego wspomnienia, zdumiony, że aż tyle pamięta.

Jego oczy badały twarz Elizabeth z zaskakującą zachłannością, ale w jej nieruchomym spojrzeniu czaił się cień; a gdy podnosił jej dłoń, by z wiedeńską kurtuazją musnąć ustami rozgrzane palce, na twarzy dziewczyny pojawił się chłodny, wymuszony uśmiech. Nie zapomniała go, ale też mu nie wybaczyła. Uświadomiwszy to sobie, uśmiechnął się lekko.

Londyn był oazą, wspinałym przerywnikiem w drodze do Stanów, do Waszyngtonu, i to, co mówił jej wtedy, było naprawdę szczere, niezależnie od tego, co mogła później o tym sądzić. Ale nie było wtedy

czasu na kontynuację ich związku, nie miał jak zaprosić Elizabeth do swojego życia.

Z zadziwiającą łatwością zawsze udawało mu się żyć „ponad stan” — piękne rzeczy, piękne kobiety, „intensywne życie wielkomiejskie” były dla niego czymś powszednim, za co jednak trzeba było płacić. A na jego koncie sprzed pięciu lat było w końcu mniej niż nic. I wtedy przytrafił się Paryż, spotkanie z Claude'em — podczas międzynarodowych targów handlowych — i wreszcie jego sprawy zaczęły układać się lepiej. Z pociemniałymi oczami przypomniał sobie swoje początkowe wahanie, które jednak, jak zresztą spodziewał się Claude, było krótkotrwałe.

Szczupły, zniewieściały Francuz z niebywałą zręcznością odczytał z jego twarzy brak pieniędzy i wiedział, że łatwo będzie go przekonać — był to najlepszy w jego życiu interes. Karl przełknął ślinę — myśl o tamtej sprawie obudziła w nim pewną głęboko ukrytą nutę wątpliwości, dźwięczącą gdzieś w zakamarkach jego mózgu, ale prawie natychmiast stłamsił ją w sobie. Piękne rzeczy zawsze go fascynowały, wywoływały w nim żądzę posiadania, i czasem, gdy pokusa stawała się zbyt wielka, by nad nią zapanować, dawał się jej uwieść. Z ochotą i przyjemnością. Ponieważ chciał tego, ponieważ podniecało go ryzyko posiadania wszystkich tych rzeczy, niezależnie od kosztów. Myślami powrócił do Elizabeth i jej chłodnego, wymuszonego uśmiechu. Chyba nigdy by tego nie zrozumiała, kobiety rzadko potrafią zrozumieć takie rzeczy.

— Karl Nielsen z delegacji amerykańskiej — a to moja żona, Elizabeth. Karl spojrział ze zdumieniem. Ależ oczywiście, musiała wyjść za mąż, oczywiście — kobiety takie jak Elizabeth, tak czy inaczej, zawsze mają mężów.

— Tak... spotkaliśmy się już kiedyś — powiedział i uśmiechnął się widząc w oczach Johna Thorntona ledwie skrywaną ciekawość.

— Ach tak? — odparł John i z nadzieją na wyjaśnienie spojrzął na żonę.

— To było w Londynie, John — odparła swobodnie — kilka lat temu. — Do twarzy napłynęła jej krew. Na pewno się domyśli — wystarczy tylko, żeby na nią spojrzął.

— Tak, bardzo dobrze pamiętam całą sytuację — kontynuował spokojnie jej wypowiedź Karl. — Ze względu na złe warunki atmosferyczne opóźniał się odlot samolotu i utknęliśmy na lotnisku na kilka godzin. To chyba było Heathrow, prawda?

Bezmyślnie przytaknęła głową temu kłamstwu, jednocześnie bowiem owładnęła nią wizja przyćmionego piękna pokoju w Hotelu Blake'a, która jednak już w następnej chwili prysnęła jak mydlana bańka. Po co skłamała? Stawali się przez to jakby konspiratorami, odsuwając osobę Johna na dalszy plan, czyniąc z niego nieświadomego niczego głupca.

— O, jest Caroline, żona brytyjskiego attache kulturalnego... — Wysiliła się na uśmiech — Czy zechcecie mi państwo wybaczyć?... — spytała i nie czekając na odpowiedź odeszła, kierując się w stronę przyjaciółki, na drugi koniec sali, klnąc na siebie w duchu, zła i w jakiś sposób upokorzona.

Zdawała sobie sprawę, że przesadza — że „tamto” należy już do przeszłości, a jego kłamstwo jedynie gładko skrywało to, co zaszło między nimi. Przecież była teraz zameżna, bezpieczna, miała dziecko — wspomnienie



Christophera uspokoiło ją natychmiast. Tak, bezpieczna. A tak swoją drogą, była w tym jednak jakaś ironia, że Karl został oddelegowany właśnie tutaj, w to jedno spośród tylu innych miejsc na świecie, do których mógł pojechać. Zbliżając się do drugiego końca sali poczuła jednak drwiące ukłucie winy — po co udawała sama przed sobą, skoro przez cały czas wiedziała, gdzie jest — jego nazwisko aż krzyczało do niej z listy delegatów. Nie było też zaskoczeniem, że brał udział w tej samej części konferencji, co jej mąż, ich kariery w przedziwny sposób rozwijały się niemalże równolegle. Poza tym, świat dyplomacji jest przecież tak niewielki, a krąg dyplomatów zjeżdżających na konferencje jeszcze mniejszy. Na jej ustach pojawił się nikły, pozbawiony humoru uśmiech. Być może, przez te wszystkie bezlitośnie bolesne dni i noce oczekiwania wymarzyła sobie, że go tu kiedyś spotka, być może był w tym jakiś rodzaj sprawiedliwości, rekompensata za przeszłość. Ale tylko westchnęła do siebie ze smutkiem — pięć lat wcześniej nie była w stanie myśleć o konferencjach, dyplomacji, Wiedniu, innych światach — zbyt mocno pochłaniało ją uczucie do niego.

— Czego chcesz? — głos Sama był bezbarwny, wyprany z emocji.

— Chciałam tylko porozmawiać, co w tym złego?

— To, że jestem zajęty, Natalie, bardzo zajęty. Powinienem już być w drodze na ważne przyjęcie — odparł z aż nazbyt rzucającą się w oczy cierpliwością.

— Chciałabym zobaczyć swoje dziecko — z jej głosu przebijał zły nastrój.

— Przywiozę ją na Wielkanoc, przecież wiesz. W konferencji będzie przerwa.

— To zbyt długo, Sam.

— Nie chciałem, żeby do tego doszło, Natalie. — Nigdy by mu nawet do głowy nie przyszło, że to się może tak skończyć. Poczuł, że niczym jakiś obrzydliwy, szcze-

rzący w uśmiechu zęby upiór budzi się w nim stara fala depresji.

— Zarezerwowałam lot.

Nastąpiła głęboka cisza, w której nie było słycać nawet dalekiego odgłosu jej oddechu. Przez chwilę zastanawiał się, co by czuł, gdyby tam, po drugiej stronie słuchawki, Natalie nagle umarła, podczas tej zebrany o pozwolenie na odwiedzenie dziecka. Niezłe by to wyglądało w gazetach.

— Nie rób tego, Natalie.

— Kocham cię, Sam.

Westchnął ze znużeniem. Scenariusz nigdy się nie zmieniał.

— Wszystko skończone. Ile jeszcze razy mam to powtórzyć?

— Popęniłam błąd — ciągnęła — Okay, wiele błędów — poprawiła się natychmiast. — Ale zmieniałam się, Sam. — W słuchawce znów nastala cisza. — Przecież ludzie mogą się zmienić...

Nie wierzył w to i ona o tym wiedziała.

— Sam, proszę...

— Nie mogę cię powstrzymać przed przyjazdem tutaj, Natalie.

Niestety.

— Mógłbyś przynajmniej spróbować być trochę miłszy w tym wszystkim.

— Kiedyś byłem, pamiętasz? I zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło.

Teraz jej westchnienie.

— Moglibyśmy przynajmniej spróbować, ze względu na JoJo.

Sam zacisnął zęby. — Nie nazywaj jej Jo Jo, Natalie, to brzmi nieładnie.

Zastanawiam się, kiedy byś ją w to wprowadziła.

— Jest tak samo moją córką, jak twoją.

— Powinnaś była o tym pamiętać dawniej.

— Ile jeszcze razy mam ci powtórzyć — przepraszam, przepraszam, przepraszam.

— Dajmy temu spokój, Natalie.

— Nie chcę.

Wyobraził sobie jej twarz — złocistobrązową, prawie że doskonałą — skrzywioną teraz złością.

— Może moglibyśmy wybrać się gdzieś z Jo Jo, razem?

— I bawić się w szczęśliwą rodzinę? — sapnął ciężko ze złością. —

Zostawmy to, Natalie, na miłość Boską, zostawmy to.

— A co z Jo Jo? Nie obchodzi cię, jak nasze rozstanie wpłynie na nią?

— Nie doprowadzaj mnie...

— Do czego, Sam? Do czego, do cholery?! Czas najwyższy, żebyś zaczął myśleć o innych, nie tylko o sobie,

No, to już zaczynało stawać się zabawne — usłyszeć coś takiego z ust prawie już byłej żony. Wydawało mu się chwilami, że czuje do niej nienawiść, prawdziwą nienawiść. Aż taką, że poprzez dzielącą ich przestrzeń miałby ochotę wyciągnąć ręce, położyć je na jej szyi i ścisnąć, ścisnąć, ścisnąć. Zamknął oczy. Jeden z „życzliwych” znajomych wyjaśnił mu kiedyś, że nienawiść ma w sobie zbyt wiele pasji, zbyt wiele emocji, zbyt bliska jest temu innemu gorącemu uczuciu określanemu nadużywanym często słowem „miłość”. I to przerażało Sama. Być może obojętność przychodzi dopiero z czasem.

— Natalie, nie rób tego, okay? Po prostu tego nie rób.

— Nie robić czego, Sam?!

Jej opalona twarz z pewnością zeszepecona teraz była grymasem złości.

Widział ją już taką kiedyś i usilnie starał się o tym zapomnieć.

— Przestań wreszcie pieprzyć. Nie było mi zbyt trudno wywalczyć opiekę nad Joanną, i dobrze wiesz dlaczego. Chyba ci nie muszę przypominać?

Pauza. W wyobraźni Sama znów pojawił się żywy obraz

jej twarzy — skrzywionych, zaciśniętych ust i policzków zaczerwienionych bezgłośnie furia.

— Zmieniłam się, Sam. Naprawdę. — Jej głos brzmiał teraz miękko, nazbyt miękko. Głos Natalie z sypialni.

— Nie wiedziałaś, kiedy skończyć, prawda, Natalie? Za to ja wiedziałem.

— Zaczerpnął nerwowo powietrza. — Jest za późno! Rozumiesz? Już, do cholery, za późno!

— Więc dlaczego marnujesz swój drogocenny czas i nie zmywasz się na to twoje pieprzone przyjęcie, ty draniu bez serca!!!

Sam drgnął na dźwięk rzuconej z trzaskiem słuchawki. Przez chwilę stał bez ruchu spoglądając na niemy telefon, zastanawiając się, jak do tego wszystkiego doszło. Potrząsnął głową, zadowolony, że telefon odebrał w sypialni, a nie w hallu, gdzie Clara mogłaby usłyszeć każde słowo rozmowy. Clara — niania o śmiejącej się twarzy, Filipinka, której angielski był zadziwiająco dobry, która miała gdzieś daleko czwórkę dzieci, nigdy nie otrzymywała listów, nigdy nie narzekała i nigdy nie wyglądała na nieszczęśliwą. Zastanawiał się, jak to robiła. Joanna kochała ją i to było najważniejsze, choć nie wydawało mu się słuszne, że kocha stosunkowo obcą sobie osobę bardziej niż własną matkę. Z żalem uzmysławiał sobie jednak, że tak jest lepiej, niż gdyby nie miała kochać zupełnie nikogo.

W zamyśleniu odgarnął znad czoła niesforny kosmyk czarnych włosów i uśmiechnął się gorzko. Natalie miałyby się zmienić? Powtarzała to przed separacją i powtarza nadal, jak gdyby sama w to wierzyła. W jego świadomości zaczynała jednak kiełkować drobna wątpliwość. A może jednak próbowała...? Natalie? Kiedyś wydawała mu się delikatna, urocza; kiedyś wierzył każdemu jej słowu, ponieważ tego pragnął i ponieważ chciał, aby wszystkie tak starannie gromadzone przez niego marzenia stały się rzeczywistością, żeby się spełniły. Ale nie teraz. Teraz bowiem odebrała mu je i w każde z nich wetknęła cierń, nie zostawiając nic prócz cierpkich wspomnień.

Otrząsnąwszy się, Sam gwałtownie uciął tok swoich myśli i wzruszył ramionami; prawdopodobnie brakowało jej teraz niektórych wygód płynących z posiadania domu oraz rodziny, a wiedziała, że zawsze łatwo się litował — a przynajmniej do czasu przyjścia na świat Joanny.

Przeszedł powoli do pokoju dziecięcego. Jak w grocie wróżek. Chyba najbardziej lubił tę porę dnia, kiedy leżała cichutko, z uspokojonymi rysami na dziecięcej buzi, śpiąca i doskonała. Ciągle zdumiewał go fakt, że w jakiś cudowny sposób pochodziła od niego, od jednej drobnej, mikroskopijnej komórki. Ale nie można było także zapominać o Natalie. A Natalie, niezależnie od wszystkiego, była piękna. Czy był to główny powód jego zakochania się w niej? Uśmiechnął się kwaśno — „pożądania jej” byłoby chyba trafniejszym określeniem.

Spotkał ją w gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku i dosłownie aż go zbiło z nóg na jej widok, a ona ze swej strony zrobiła wszystko, żeby go usidlić. Być może odgadła sprytnie, w jakiś tajemniczy, kobiecy sposób, że łatwo go będzie mogła owinąć wokół swojego seksownego paluszka. I miała rację.

Sam westchnął z irytacją i pochylił się, by pocałować małą piąsteczkę Joanny, a następnie wyszedł z pokoju.

— Nie daj sobie nigdy wmówić, skarbie — wyszeptał — że cudzołóstwo to trywialny drobiazg.

Nie słuchał ledwie maskowanej krytyki na temat Natalie przekazywanej mu przez znajomych, ani też opowiadań na temat burzliwych przyjęć, gorących kochanków, srebrnych ampułek z kokainą i innych smakowitych kawałków. W końcu plotki zawsze podążają śladem pięknych kobiet, myślał, a przynajmniej tak próbował przekonywać samego siebie. Ale jakoś nie był w stanie spojrzeć swojej matce w oczy i zwierzyć się, jak bliska stała mu się jego ostatnia znajoma. Okazało się ostatecznie, że to właśnie jego matka miała rację co do Natalie, choć nigdy wprost nie zaoponowała przeciwko ich mał-

żeństwu. „Za bardzo błyszczysz, Sam” — to wszystko, co powiedziała, choć wtedy nie mógł do końca pojąć znaczenia tych słów. Znacznie później, po śmierci matki i wypadku z Joanną, zrozumiał.

— Co to masz na sobie? — Felix kamiennym wzrokiem mierzył jej postać stojąc u dołu marmurowych schodów.

— To coś nowego — chciałam dziś wieczór wyglądać trochę inaczej niż zwykle...

— Po co?

Genevieve zagarnęła luźne fałdy sukienki czując, jak coś zaczyna ją ścisnąć w żołądku.

— Przyjęcie powitalne, będzie całe mnóstwo nowych ludzi — odpowiedziała niezgrabnie, pod jego ciężkim spojrzeniem.

— Moja droga Genevieve — burknął sucho — to nie pokaz mody, a poza tym, czy wyobrażasz sobie, że kogoś będzie interesowało, w co ty jesteś ubrana? — Z irytacją obciągnął mankiety koszuli. — Będzie wyglądało, jakbyś próbowała odzyskać utraconą młodość. — Westchnął dramatycznie. — Proszę, idź się przebrać. — Odwrócił się od niej, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona, i sięgnął po płaszcz. — Masz niecałe pięć minut, jeśli nie chcesz, żebyśmy się nieprzyzwoicie spóźnili.

W bolesnej ciszy, która nastąpiła, Genevieve stała milcząco, z oczami utkwionymi w lekko pochylonej głowie męża, ze słowem „ale” błakającym się lękliwie na wargach. Tyle troski włożyła w to, żeby dziś ładnie wyglądać. Tyle troski. Myślała, że będzie zadowolony, zadowolony, że uczyniła taki wysiłek.

Przewyciężyła drapanie w gardle i poszła się przebrać, choć zdawało jej się, że zadowolenie Felixa jest ponad jej siły — zawsze coś było nie tak. Z niewidzącym wzrokiem minęła bawialnię i weszła po schodach do obszernej galerii ozdobionej freskami, która poprzedzała jej ubieralnię. Stała w progu i przez długą chwilę przeglądała się

w znajdującym się przed nią wielkim, ogarniającym całą postać lustrze. Przecież to tylko zwykła czarna sukienka z tafty, może trochę staranniej skrojona i krótsza o centymetr czy dwa, ale tylko skroi..na czarna sukienka. Genevieve uzmysłowiła sobie, że bardzo czekała na odpowiednią okazję, by ją włożyć, i że czuła się w niej pewniej niż zwykle. Pewniej. Zamknęła oczy i poczuła, jak pod powiekami palą ją łzy.

— Mamo, myślałam, że już wyszliście? Genevieve zamrugnęła szybko i z niezbyt mądrym, jasnym uśmiechem odwróciła się do stojącej w drzwiach córki. Jest podobna do mnie, pomyślała z odcieniem smutku, ale ładniejsza, znacznie ładniejsza.

— Muszę się przebrać, kochanie.

Sophia popatrzyła na matkę z wyrazem niezrozumienia malującym się na twarzy.

— Ależ przecież tak ładnie wyglądasz... nawet Gunther zauważył.

— Nie podoba się twojemu ojcu — powiedziała spokojnie i dodała szybko: — Wiesz, że w takich sprawach zwykle ma rację.

Sophia nadal spoglądała na nią, uspokajając się dopiero na widok szybkiego, niewymuszonego uśmiechu matki. Sukienka zsunęła się na podłogę, tworząc na białym dywanie jakby plamę atramentu.

— Jakoś tak młodziej w niej wyglądałaś — powiedziała w końcu.

— No cóż... — odparła niezgrabnie Genevieve rumieniąc się. — Już chyba nie ma potrzeby, żebym musiała wyglądać młodo?

— Oj, mamo! — Sophia z udawanym rozdrażnieniem potrząsnęła głową i roześmiała się, przyjmując to, co powiedziała matka, za żart.

— Włożę tę niebieską w kratkę — powiedziała Genevieve jakby do siebie, podchodząc do długiej szafy ściennej. — Całe szczęście, że dałam ją właśnie wyprać.

Sophia jedną nogą stanęła za drzwiami, podczas gdy matka ściągała sukienkę z miękkiego wieszaka.

— Tato woła.

Genevieve w panice przymknęła na moment oczy.

— Powiedz mu, że już idę.

Gdy córka zniknęła z pola widzenia, uchwyciła w lustrze swoje odbicie i automatycznymi ruchami zaczęła przyglądać proste, brązowe włosy.

Obcięła je trochę za krótko i w miejscu, do którego nie docierało słońce, widać było jaśniejszy pasek skóry. Czarna sukienka miała wysokie zapięcie, podczas gdy ta opierała się luźno na ramionach i jej kołnierz w stylu stroju Piotrusia Pana nie w pełni przysłaniał jej czterdziestoczteroletni kark. Cały ubiór będzie teraz sprawiał wrażenie dobieranego w pośpiechu, bez polotu i inwencji. Była przekonana, że w czarnej sukience wyglądała lepiej, czuła się pewniej, ale być może Felix wiedział lepiej.

Westchnęła ciężko i jeszcze raz spojrzała na siebie, na delikatne rysy bladej twarzy, wielkie ciemne oczy ozdobione czarnymi, połyskującymi rzęsami. Dawniej oczy były jej największym atutem, teraz zaś zdawały się wyglądać z jej twarzy z jakby nachalnym, zaniepokojonym i przestraszonym wyrazem. Odwracając się, uśmiechnęła się smutno. Przy tym „Genevieve” było pięknym imieniem, pomyślała z zadumą, ale teraz skończyła czterdziestkę i była nieciekawa, jak zawsze — nieciekawa. Dawno temu Felix nazywał ją „śliczną panną nieciekawą”, ale to było przed ich ślubem.

W tę zadumę wbił się nagle głos męża i poczuła, jakby w dołku zaciskał jej się jakiś węzeł.

— Nie krzycz, Felixie, proszę, nie krzycz — powiedziała cicho do pustego pokoju.

Sophia podążała wzrokiem za matką biegnącą w stronę schodów z objijającą się niezgrabnie o jej boki torebką. Ojciec był zły, ale ostatnio często bywał zły. Z poczuciem



winy zaczerpnęła oddechu — jak mogła, przecież tato był tak bardzo zapracowany, a przez ostatnie tygodnie poprzedzające konferencję częściej zdawał się bywać w pracy niż w domu. Naturalne więc, że musiał być przemęczony i drażliwy, miał też prawo spodziewać się, iż w domowych sprawach będzie panował pod jego nieobecność ład i porządek, że jej matka będzie doskonale wywiązywała się ze swoich obowiązków u jego boku, a Sophia i jej brat spełnią pokładane w nich nadzieje. Wzdrygnęła się nieznacznie obserwując, jak jej ojciec wyprowadza samochód z podjazdu. Ich świat zawsze obracał się wokół ojca, co wydawało się bardzo upraszczać oraz ułatwiać im życie, i nigdy nie miała wątpliwości, czy tak ma być. Sophia nie wyobrażała sobie, że mogłaby opuścić dom, pójść na studia czy związać się z kimś uczuciowo bez zgody ojca. Byli bardzo tradycyjną rodziną, jak przypuszczała i jak słyszała od znajomych, ale nie miała nic przeciwko temu; za to w ścianach ich domu nie było konfliktów, żadnej „ziemi niczyjej”, żadnych niewiadomych. Sophia przeszła przez pokój i przeciągnęła palcem po grzbietach ułożonych w szeregu książek. Wszystko i wszyscy mieli tu swoje miejsce. Jej wzrok ześlizgnął się na wielki szkicownik leżący obok krzesła, gdzie go wcześniej zostawiła, i na wykonany przez nią szkic. Miała nieśmiałą nadzieję, że ojciec wyrazi zgodę na jej studia plastyczne. Matka obiecała, że porozmawia z nim o tym „w odpowiednim momencie”. Sophia przekartkowała powoli rysunki, z zadowoleniem przyglądając się płynnym liniom wykonanym węglem. Myślała sobie czasami, że mogłaby tak w nieskończoność siedzieć i szkicować, zatracając się w każdej linii, w każdym ostrożnym pociągnięciu ręki. Kilka szkiców przedstawiało matkę, z tym jej spiętym, nerwowym uśmiechem na ładnej twarzy; jeden przedstawiał jej brata, a przynajmniej z tuzin surową urodę twarzy ojca — na żadnym z nich nie było uśmiechu, pomyślała zaskoczona. Uświadomiła sobie nagle, że

ojciec w ogóle rzadko się uśmiechał. Zamknęła szkicownik i jej wzrok powędrował znowu do okna. Zaczynał padać śnieg.

— Myślę, że na weekend moglibyśmy pojechać do zamku. — Było to raczej stwierdzenie niż sugestia.

Genevieve westchnęła do siebie.

— Z Monachium przyjeżdża Oskar — ciągnął Felix. — Zaprosiłem również małżeństwo z brytyjskiej delegacji, szefa delegacji amerykańskiej oraz ambasadora Niemiec z żoną.

— Będziemy potrzebowali partnerek dla ambasadora amerykańskiego i Oskara, prawda? — W myślach zaczęła automatycznie rozważać wszystkie możliwe kandydatury z kręgu ich znajomych. Oskara niełatwo było zadowolić. Właściwie nie dane jej było nigdy wiedzieć, czy jej wysiłki, by znaleźć mu do towarzystwa odpowiednią partnerkę, choć raz okazały się skuteczne. Zastanawiała się, dlaczego nie ożenił się powtórnie po śmierci żony, prawie dwadzieścia lat temu. Ostatecznie był bogaty, inteligentny, miał kulturę osobistą i wdzięk... Zmarszczyła brwi. Oskar miał wprawdzie wdzięk, ale mało w nim było ciepła, pomyślała. Czasami sądziła, że za jego ciężkimi powiekami skrywa się nuda.

— Do towarzyszenia Amerykaninowi zaprosiłem już Simone... — przerwał i wpatrując się nagle bardzo uważnie przed siebie, spytał: — A dlaczego właściwie Oskarem nie miałyby zaopiekować się Sophia — dobrze by jej to zrobiło.

Genevieve aż zatkało, kiedy słowa męża dotarły do jej świadomości.

— Ależ... czy ona nie jest zbyt młoda na tego rodzaju sprawy? ...a poza tym w sobotę ma lekcję rysunku... — Sophia byłaby nieszczęśliwa, gdyby musiała ją odwołać.

— Sophia ma osiemnaście lat, Genevieve, nie jest już dzieckiem, a jej lekcja rysunku może poczekać.

— Ale ona tak się cieszy... — jej głos zaczął gasnąć i zamilkł zupełnie, kiedy dłonie Felixa w skórzanych rękawiczkach zacisnęły się na kierownicy.

— Sophia pójdzie z nami na obiad, Genevieve — zdecydował i dodał dramatycznie wzdychając. — Za bardzo ją rozpuszczasz.

Czyżby naprawdę tak było? — pomyślała z poczuciem winy.

— Staram się tego nie robić, Felixie — odparła. — Wręcz pomyślałam sobie ostatnio, że dobrze by jej zrobiło wyrwanie się spod opiekuńczych skrzydeł rodziny i zajęcie się samą sobą.

— Co masz na myśli?

— Myślę, że moglibyśmy zastanowić się nad wysłaniem jej do jakiejś uczelni plastycznej — ona ma talent, Felixie. — Przekonywała, świadoma jednak, że to na nic. Przez cały czas wiedziała, że nic z tego nie będzie, choć nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego tak sądziła.

— Nie miałyby to specjalnego sensu — jego głos nie zachęcał do dalszej dyskusji. — Skończy się jedynie na tym, że spotka kogoś nieodpowiedniego. — Ponownie westchnął. — Dziwię ci się, Genevieve... Czy to nie ty sama zawsze z taką rezerwą traktujesz tych „nieapetycznych artystycznych typów” wysiadujących po kafejkach, i czy to nie ty zabroniłaś Sophii chodzić na pchli targ w Nashmarkt w czasie weekendów, ze względu na „pewnych niemiłych młodych osobników” prowadzących stoiska? — Roześmiał się, ale bez cienia sympatii. — Nashmarkt aż się roi od „artystów”...

— Źle mnie zrozumiałeś — powiedziała cicho.

— Nie jest to dobry pomysł — zawyrokował. — Sophia przyzwyczaiła się do życia pod kloszem, być może za bardzo... — Przerwał na chwilę i Genevieve utkwiała w nim wzrok. — Ciężko byłoby jej zaadaptować się do takiego życia. Bóg jeden wie, co mogłoby jej się przytrafić.

— To dobra dziewczyna.

— Tego nie neguję — stwierdził. — Ale jak na swoje lata jest zbyt niedojrzała, za bardzo naiwna... na pewno się zgodzisz, że powinniśmy zapewnić jej bardziej bezpieczną, bardziej tradycyjną przyszłość, zamiast pozwalać na niepewną egzystencję studenta uczelni artystycznej.

W ciszy, która nastąpiła, Genevieve siedziała pełna poczucia bólu i doznanej przykrości.

— Będzie taka rozczarowana... — powiedziała w końcu ze smutkiem.

— Mnie też spotyka w życiu wiele rozczarowań. Genevieve spuściła nerwowo oczy na swoje dłonie, jak gdyby Felix ją strofował. O jakich rozczarowaniach mówił? Czy to o nią chodziło? O Sopię? Czy to ją winił? Z poczuciem winy podniosła oczy dostrzegając smutne odbicie swojej twarzy w szybie samochodu, gdy przejeżdżali pod czarnymi bezlistnymi konarami drzew. Miała dotąd nadzieję, że, ze względu na Sopię, z tą jedną sprawą się uda, a teraz ją zawiodła. Może gdyby w inny sposób sformułowała pytanie, wybrała inną porę? W głębi serca wiedziała jednak, że odpowiedź byłaby taka sama. Jeszcze raz omiotła spojrzeniem jego ręce spoczywające na kierownicy. Z taką pewnością. Felix był pewny we wszystkim.

Genevieve uświadomiła sobie z cieniem wstydu, że mu zazdrości.

Na przednią szybę samochodu zaczęły spadać płatki śniegu. Genevieve ogarnęły myśli o Schloss Bletz, stare wspomnienia, stare smutki. Zbyt wiele spraw i ludzi nie dających jej spokoju: ojciec, matka, cała ta przeszłość, która dla Felixa była źródłem podziwu — wiedziała to — choć w typowy dla niego sposób głęboko ukrytego. To właśnie on wydobył ojca z długów, on uratował imię jej rodziny, on też w końcu ożenił się z nią. Nie była na tyle niemądra, aby sądzić, że zrobił to z miłości — tego nie można już było od niego wymagać, ale jej tytuł znaczył dla niego bardzo wiele i to ją cieszyło. To jej ojciec zgodził się w końcu „przekazać” tytuł swojemu przy-

szłemu zięciowi — za odpowiednią cenę, oczywiście. Westchnęła cicho. Wszystko dobrze się ułożyło. A poza tym, czy nie była w nim zakochana? Nie mogła się powstrzymać od spojrzenia w jego stronę. Nadal dobrze wyglądał, był przystojny — wysoki, szczupły, muskularny. Genevieve starała się przypomnieć sobie podniecenie, jakie ją ogarnęło, kiedy wreszcie się zaręczyli, kiedy pocałował ją po raz pierwszy i pomyślała, że chyba zemdleje. Była wtedy przecież taka młoda, taka niemądra i tak przepełniona marzeniami.

Uśmiechnęła się z zadumą ponownie spoglądając na nieruchomy, jak gdyby wykuty w skale profil męża, ale zaraz opanowała ją myśl o Sophii, jej szkicach i jej rozczarowaniu. Genevieve zamknęła oczy odwracając się do okna. Jedną z rzeczy, które je łączyły, była miłość do sztuki. Jaka to była radość, gdy odkryła u zupełnie jeszcze małej Sophii wielki zapal do malowania; później, gdy była większa, przyszedł czas na galerie sztuki, wystawy, podróże do Florencji i Wenecji.

Przewyciężyła suchość w gardle. Pomysł, żeby Sophia znalazła się w dobrej szkole sztuk pięknych, był również jej pomysłem. Było to jej bardzo osobiste, sekretne marzenie, które teraz się rozwiewało. Felix miał prawdopodobnie rację, a jednak w półmroku samochodu zaciskała ręce, splatając je i rozplatając, wbijając palce i zbielełe kostki w dłonie. Czy nie istniało nic, co by mogła zrobić porządnie? Felix chyba sądził, że nie, a Gunther podzielał jego opinię i choć nie okazywał tego wprost, to jednak w jego wzroku widziała pogardę. Gunther zawsze był synkiem swojego tatusia. Ale Sophia była jej, były przyjaciółkami.

Spojrzała w dół, jej dłonie rozluźniły się. Zmusiła się, żeby wyprostować palce i położyć je na płask na kolanach — zaczęła się czuć zrelaksowana. Być może spróbuje zaatakować Felixa ponownie — kiedy indziej, jutro. Ale tyle w niej było niezgrabności, niepewności, tchórzostwa.

Powtórnie spojrzała w ciemne okno, czując nagły przyptyw zmęczenia. Musiała jeszcze przebrnąć przez przyjęcie, później zaś czekało ją zorganizowanie weekendu. Z przebijającą przez poczucie winy nadzieją zastanawiała się, czy śnieg się utrzyma i zalegając w wąskich drogach zablokuje dojazd do zamku. Dawniej nieraz tak się zdarzało. Kiedyś, wiele lat wcześniej, odcięci byli przez cztery dni. Była wtedy dzieckiem, dla którego przepiękny widok opatulonego olśniewającą bielą Schloss Bletz stawał się pożywką cudownych marzeń. Uśmiechnęła się lekko do swoich wspomnień. A teraz...cóż, ostatecznie była hrabiną, miała bogatego i przystojnego męża, piękne, zdrowe dzieci, a nawet zamek jak z bajki. Ludzie wyśmialiby ją, gdyby podejrzewali, że może być nieszczęśliwa. No, i przecież nie była, prawda? Jakżeż by mogła, przy tym wszystkim, przy takiej ilości darów. To niepoważne.

Kristina spoglądała na swoje odbicie w lustrze łazienkowej szafki. Pod oczami widać było ciemne podkwoy, a jej skóra miała blady, zmęczony wygląd. Powoli wklepywała warstwę kremu nawilżającego w policzki, czoło i zmarszczki, które zaczynały jej się tworzyć wokół szyi. Nie miała specjalnie nadziei, że gładki i lśniący specyfik sprawi to, co zapowiadała jego szumna reklamowa naklejka, ale lepsze to niż nic. Być może, gdyby choć kilka razy w tygodniu udało jej się iść spać przed dwunastą, zauważyłaby poprawę. Przerwała rozmyślanie, słysząc na schodach wolne, niepewne kroki matki i postukiwanie jej laski, od którego myślała czasami, że zwariuje.

— Wrócisz późno wieczorem...? Cisza.

— Kristino, słyszysz mnie?

Przez chwilę odczuwała pokusę, aby nie odpowiadać, udać, że nie słyszy suchego, zgrzytliwego i ponaglącego głosu matki wrzynającego się w jej z takim trudem składane myśli.

— Nie, nie wrócę późno.

— Wczoraj wróciłaś o trzeciej nad ranem — słyszałam, jak wchodziłaś.

— Wiem, mamó, znam się na zegarku.

— Zobaczysz się z nim znów? — Głos nabrał napięcia i Kristina wiedziała, że jej matka przechyla się teraz opierając na lasce, tak aby lepiej usłyszeć jej odpowiedź.

— W czasie weekendu — skłamała. Manolo przestał się z nią widywać ponad trzy tygodnie temu. Spali kilka razy ze sobą, a później po prostu przestał do niej dzwonić. Kristina zaczerpnęła gwałtownie powietrza; i tak zresztą wyjeżdżał z Wiednia, by wrócić do Hiszpanii i swojej stałej pracy oraz, oczywiście, żony. Niezmiennie ta sama, stara historia. Gdyby powiedziała matce prawdę, nie obeszłoby się bez wykładu, długiego wykładu o zasadach i moralności, znów usłyszałyby: „co ty wyprawiasz ze swoim życiem?” — a nawet jeszcze gorzej — „za stara, za stara”, niczym o steranym pracą koniu, który przestał już być użyteczny.

Być może, gdyby jej droga matka w swej nieskończonej mądrości nie zmusiła jej kiedyś do wczesnego pójścia za męża, rzeczy potoczyłyby się inaczej. Miała wtedy dopiero dziewiętnaście lat, a Frederico, aż nazbyt wykształcony przedstawiciel pomniejszej włoskiej arystokratycznej rodziny, był panem w średnim wieku. Ona była piękna, on zaś bogaty.

Doskonała para.

„Dobre małżeństwo jest podstawą wszystkiego”, twierdziła jej matka, mając na myśli oczywiście to, że jego wartość mierzy się stanem majątkowym potencjalnego współmałżonka. Frederico był czarujący i na swój bardzo formalny, sztywny sposób dystyngowany. Tyle że — nudny. Zastanawiała się, dlaczego bogaci mężczyźni tak często są nudni lub nieatrakcyjni, lub samotni, lub też zbyt przezorni, tak jakby świat pękał w szwach od nadmiaru ludzi czyhających tylko na to, by uszczuplić zapasy ich gotówki. Jego dom, wielki wiejski budynek

pokryty czerwoną dachówką, z oknami wychodzącymi na morze winorośli, był również nieciekawym, wręcz przeciętnym — ot, dom kawalera, bez czaru i wdzięku, ciepła i uczucia. W miarę upływu miesięcy i lat zastanawiała się, czy Frederico wiedział, czym jest uczucie, nie mówiąc już o miłości. Miał swoje życie, a ona swoje. Czasami składał wizytę w jej apartamentach i kochali się w mechaniczny, „ogólnie przyjęty” sposób, ale poza tym nie było między nimi prawie żadnej fizycznej bliskości. Nigdy się nie całowali. Przynajmniej jednak Frederico nie był pozbawiony w stosunku do niej pewnej życzliwości, i zdarzało się, że odkładał na bok swój nawyk oszczędności i stawał się zadziwiająco hojny. Owładnięta wspomnieniami, powoli zacisnęła mocno oczy, czując, jak te dni, suche i bezbarwne, wciskają się w jej umysł jak kurz.

Kristina zamrugła i z niewidzącym wzrokiem utkwionym w swoim odbiciu w lustrze przepłukała usta płynem antyseptycznym, by następnie z gniewem wypluć go do umywalki.

Próbowała coś z nim zbudować, jakieś wspólne życie, bardzo próbowała. Ale wyglądało to tak, jak gdyby z góry już założył, że jest za stary — w wieku czterdziestu sześciu lat! — że jest zbyt późno, żeby mógł się zmienić, podczas kiedy ona była zbyt młoda i zbyt spragniona życia, żeby zamknąć jej świat przed nosem, świat, który z każdym dniem zdawał się oddalać coraz bardziej. Boże, ta samotność! Być może, że gdyby przynajmniej go kochała...

W końcu się rozwiedli. Na okrągłej bladej twarzy Frederica nie można było odczytać ani zadowolenia, ani też jego braku, a ponieważ jego rodzina zatroszczyła się o to, żeby Kristina przed ślubem podpisała odpowiednie dokumenty, po siedmiu latach małżeństwa nie zostało jej nic. W bezsilnym gniewie jej matka wrzeszczała, że sprawę skieruje do sądu, ale wiedziała, że nie miało to sensu, a przy tym rękami i nogami broniła się przed skandalem,



aż w końcu całą złość i frustrację skierowała na Kristinę, ponieważ „nie starała się wystarczająco dobrze”.

Tak więc wróciła do domu, do Wiednia, ponieważ nie miała się gdzie podziąć, i przez krótki, „heroiczny” okres myślała o ucieczce. Ale w końcu zabrakło jej odwagi. Ukończyła kurs dla sekretarek i podgoniła naukę języków, które zresztą zawsze jej dobrze szły, i wreszcie po raz pierwszy znalazła sobie pracę. Miała wtedy dwadzieścia siedem lat, ponad dziesięć lat temu.

Odsuwając się od lustra przyjrzała się sobie krytycznie. Powstrzymując westchnienie, położyła trochę więcej różu na ciągle nieźle prezentujące się policzki, trochę tuszu na rzęsy; delikatne muśnięcie kredką do powiek, nieco szminki na usta, Rot Dame, która zawsze ją trochę rozśmieszała, a jej wargom nadawała nieco zbyt wiele czerwieni.

— Już jest samochód...

— Idę, mam — odrzekła. Idę, idę, idę już.

Ileż razy zadawała sobie pytanie, dlaczego nadal tu tkwiła, dlaczego nadal znosiła napięte, zamierające relacje z jedyną ważną dla niej osobą, jaką miała na świecie. Czy tym prawdziwym powodem nie był przypadkiem brak pieniędzy? Żeby żyć w Wiedniu na dobrym poziomie, trzeba było pokazywać, że tak jest, to znaczy — chociażby mieszkać w odpowiedniej dzielnicy, być widywanym we właściwych restauracjach, czy też chodzić na spacer po Kartner Strasse w futrze z norek, z małym pieskiem pokojowym. Kristina uśmiechnęła się kwaśno — być może tych ostatnich dwóch rzeczy jej brakowało, ale przynajmniej mieszkała w odpowiedniej dzielnicy: w posiadaniu jej matki był wspaniały apartament na dwóch piętrach w Pierwszej Dzielnicy, z oknami wychodzącymi na Stadtpark. No i na pewno zabierano ją do właściwych restauracji. A chociaż nie zawsze bywała tam z właściwą osobą, czy też we właściwym celu, to jednak przypuszczała, że dotrzymywała tej części umowy, którą zawarła sama z sobą.

— Kristina, auto po ciebie!

Skrzywiła się na dźwięk głosu matki zakłócający jej myśli. Czasami zastanawiała się, czy mieszkanie w Pierwszej Dzielnicy warte było poświęcania się i wspólnego życia z matką. Czasami uważała, że zostaje jej tylko rozpacz...

Gdy podjechała przed Hofburg, jej oczy przyciągnął blask świateł za szybą samochodu. Nie miała zaproszenia na przyjęcie powitalne z okazji otwarcia konferencji; jej nazwisko nie figurowało na „dyplomatycznej liście” nie zrzeszonych tłumaczy. Sprawiało to, że czuła się jak gracz drugiej ligi — spoza magicznego kręgu. Wzdychając ciężko wysiadła z samochodu i poprosiła kierowcę, żeby poczekał.

Wbiegła do budynku machając przepustką jak chorągiewką i skierowała się do swojego biura na pierwszym piętrze. W szufladzie leżały dwa bilety do opery, których zapomniała wychodząc spieszenie z pracy dzisiejszego popołudnia. Obojętne, ile miałyby ją kosztować dzisiejszy wieczór z Fritzem, to przynajmniej kładąc się spać będzie mogła snuć przyjemne marzenia o „Tosce”. Zdobycie biletów — z powodu wyjątkowo długiej kolejki rano — zajęło jej ponad godzinę i prawie że się spóźniła na jedno z pierwszych posiedzeń. Zatrzasnęła z hukiem drzwi skręcając sobie przy tym kostkę na marmurowej posadzce. Zwinęła się na moment z bólu, i choć stwierdziła z ulgą, że nie stało się nic poważnego, poczuła, jak do oczu napływają jej nagle i bez powodu łzy, które zaraz jednak ustąpiły miejsca gniewnej niecierpliwości spowodowanej własną słabością. Powoli zaczerpnęła głęboko powietrza i wróciła ostrożnie drogą, którą przyszła. Drzwi prowadzące do biura brytyjskiej delegacji były otwarte na oścież. Zmarszczyła brwi, ale zaraz rozpoznała młodą kobietę stojącą w niecierpliwym oczekiwaniu przy jednym z teleksów.

— Nocna zmiana? — spytała Kristina. Kobieta od-

wróciła się zaskoczona, a na jej policzkach ukazał się rumieniec.

Wyglądała prześlicznie.

— Spełniam prośbę ambasadora — obiecałam mu, że odbiorę za niego teleks, jako że nie jest specjalnie związany z samą konferencją. — Na jej twarzy pojawił się uśmiech. — Mogła pani nie wiedzieć, ale pracuję dla ambasady, a nie dla delegacji.

— No tak, ostatnie dwa tygodnie były raczej dość chaotyczne — odparła Kristina oddając jej uśmiech. Chyba miała na imię Laura?

— Myślę jednak, że pod koniec tygodnia pojawi się coś na kształt porządku i będę mogła wrócić do biura.

— Mam nadzieję, że ma pani rację — odrzekła Kristina, dodając zaraz:

— Chyba będę musiała już lecieć, myślę że nie będzie pani zbyt długo zajęta.

— Nie mogę...Mam jeszcze inne sprawy...

Inne sprawy. To oczywiście oznaczało przyjęcie powitalne lub — mężczyznę. Kristina oddała jej mechanicznie uśmiech i zamknęła drzwi. W tym świecie mężczyzn, dyplomacji, Laurze wiodło się dobrze, była przy tym bardzo atrakcyjna, co było rzadkością w przypadku kobiet-dyplomatów, być może dlatego, że w ogóle było ich tak mało — pomyślała z roztargnieniem. Cóż, Laura miała przynajmniej coś, czego mogła się trzymać, nawet gdyby była samotna, co zresztą było wątpliwe. Zaczepnęła oddechu, schodząc w dół kamiennymi schodami i czując, jak ogarnia ją niepokojące uczucie depresji. Starła się skierować swe myśli na operę, Fritza, na rok konferencyjny, który się przed nią otwierał i który, jak starała się sama siebie przekonać, niósł z sobą wiele okazji. Nowe nadzieje, nowi mężczyźni. Bo tak naprawdę to było to, czego naprawdę chciała — mężczyzny. Przestała już przed sobą udawać. Nie była i nigdy nie będzie typem osoby, dla której celem jest kariera. Ale musiał to być teraz jej własny mężczyzna, nie czyjś, nie taki, który wkroczy w jej życie jednego dnia, by już następnego ją

opuście. Wykorzystując ją. Takich miała już wielu, i zawsze gdzieś w tej bardziej naiwnej części swego serca starała się przekonać samą siebie, że w końcu będzie im zależało na niej samej, a nie tylko na jej gorącym, wypełnionym pożądaniem ciele. A że była gorąca, wiedziała dobrze. Przywierała do każdego z nich, jak gdyby był tym pierwszym i jedynym, jej głos wznosił się wyżej i wyżej, jak gdyby miało to być po raz ostatni, jak gdyby już nigdy więcej nie miała się kochać.

Wyszła w ciemność wieczoru, odczuwając zimny powiew wiatru jak policzek, i z załzawionymi oczami podeszła do samochodu. Zdawało jej się czasem, że umiera wewnątrz.

Sam stał z wahaniem na progu sali balowej Hofburgu szukając w ciągle gęstniejącym tłumie swojego ambasadora. Na szczęście szef jego delegacji był mężczyzną słusznego wzrostu; miał dobrze ponad sześć stóp, więc Sam dostrzegł go z łatwością.

— Panie ambasadorze...?

Sam, dobrze, że pana widzę. — Powitał go ambasador Gurney i wskazując gestem zbierający się tłum dodał: — Burmistrz zorganizował nam całkiem niezłe przyjęcie.

Wzrokiem przebiegł po uniesionej do góry twarzy młodszego mężczyzny. Widać, że Sam radził sobie jakoś; a naprawdę miał się czym zajmować. Przede wszystkim — miał na głowie dziecko. Może i wyglądał na nieco zmęczonego, i może separacja przysporzyła mu kilku siwych włosów, ale było to lepsze niż ta koszmarna sytuacja, z której jednak jakoś się wyplątał.

Ambasador spotkał raz żonę Sama, w Nowym Yorku, i — jak słyszał już wcześniej — rzeczywiście była niezwykła: połączenie tęsknego rozmarzenia i lubieżności, wybujałej zmysłowości i soczystości przejrzałego owocu. A kiedy Natalie Majors uśmiechała się, miała zwyczaj przesuwając koniuszkiem języka po czubkach zębów, jak

gdyby smakowała coś zabronionego czy niedostępnego. Nie była najlepszym materiałem na żonę, a przynajmniej nie wtedy, kiedy w małżeństwie szuka się szczęścia. Należała do tych kobiet, które trzyma się w luksusowym apartamencie z tarasem na poddaszu, gdzie w szafie wisi futro z norek, a na stole leży karta kredytowa Blooming-dale'a. Na pewno nie czegoś takiego spodziewał się Sam. A kiedy zaczęła się bawić w swoje gierki i mąż zaczął jej mieć dość, zostawiła go z dzieckiem; dzieckiem, którego tak naprawdę nigdy nie chciała, jak słyszała. Sam zniósł to wszystko i zdawało się, że jakoś mu się żyje, choć takie perypetie życiowe nie były czymś najmilej widzianym u młodego, bardzo zdolnego dyplomaty. No cóż, czasy się zmieniają. Trzydzieści lat temu taka rzecz byłaby nie do pomyślenia, no ale przecież trzydzieści lat temu świat był zupełnie inny. Ambasador uśmiechnął się do Sama zastanawiając się jednocześnie, czy wiedział, że zanim Natalie uchwyciła się jego, miała romans z jednym z Bardzo Ważnych Facetów z Białego Domu, o nazwisku Donahue, który musiała przerwać, ponieważ dowiedziała się o tym jego żona. Na szczęście jednak dla Natalie, a na nieszczęście dla Sama rzecz nie trafiła do gazet.

Dan Gurney skierował na moment wzrok na innego członka swojej delegacji — Karla Nielsena. Karl był zupełnie innym człowiekiem — chłodnym, opanowanym i — kawalerem. Dan uśmiechnął się do siebie, ponieważ instynkt podpowiadał mu, że Karl nie dałby się usidlić żadnej kobiecie. Był na to zbyt inteligentny, cholernie dobrze wszystko kalkulował. I zyskiwał na tym jego wygląd, może nawet za bardzo, ponieważ łatwo jest dobrze wyglądać troszcząc się tylko o siebie.

— Tak, rzeczywiście świetne przyjęcie — zgodził się Sam i starając się zapanować nad ogarniającym go lekkim rozdrażnieniem odsunął się nieco spod badawczego, choć bardzo życzliwego wzroku swojego zwierzchnika. Wszyscy spodziewali się u niego załamania nerwowego lub

popadnięcia w nadmierną skłonność do kieliszka, czy czegoś tam jeszcze innego, ale to nie miało i nie będzie miało miejsca. Natalie zrobiła najgorsze, co było można, ale on stawiał temu czoła i z konfrontacji wyszedł zwycięsko. Z każdym mijającym dniem jego samopoczucie zdawało się nieco polepszać i ostatnią rzeczą, która teraz mogła mu się przytrafić, byłby jej powrót i zatrucie atmosfery spokoju. Jeszcze nie teraz. Sam westchnął do siebie i przyglądał się najbliższym otaczającym go osobom.

Kilka par prowadziło zwykle w takich wypadkach pogawędki, zaś niedaleko od niego stał zbity krąg dyplomatów z Europy Wschodniej, wyróżniających się swoją nieśmiałością, ciemnymi garniturami, pobladłymi twarzami i brakiem żon. Mimo tych wszystkich zachodzących zmian nadal im współczuł; ciężko było podporządkować się raczej niewyraźnej linii ich partii, ciężko musiało być wracać do pustych mieszkań bez wyrazu — mieszkań bez kobiet, które mogłyby im to wszystko osłodzić. Większość żon dyplomatów z Bloku Wschodniego musiała pozostać w swoim kraju. Być może partia nie ufała swoim towarzyszom aż tak bardzo, jak by chciała pokazać to na zewnątrz, dla Zachodu. Przełknął ślinę, uzmysławiając sobie, że przecież on też był tu bez żony. Ale przynajmniej w jego przypadku stało się tak za sprawą własnego wyboru. Otwarte ramiona Natalie kojarzyły mu się z polem minowym gotowym w każdej chwili wybuchnąć prosto w twarz.

— Jak Joanna?

— Dobrze, dziękuję bardzo.

— Proszę mi dać znać, gdyby miał pan jakiegokolwiek problemy... —

zaoferował Daniel Gurney i odwróciwszy głowę dodał marszcząc brwi:

— ...Teraz chyba powinniśmy się przyłączyć do wspólnej zabawy... —

Uśmiechnął się — Pewnie zobaczymy się później.

Zrozumiawszy, że ambasador delikatnie sygnalizuje koniec rozmowy, Sam zostawił go, zadowolony zresztą, że

może uciec od jego badawczego, choć pełnego życzliwości spojrzenia. Dan Gurney nie myślał jednak w tej chwili o swoim pierwszym sekretarzu. Pozwolił, niezbyt rozważnie, aby znów opanowały go raniące wspomnienia. Zdumiewało go, jak łatwo nadal może sobie wyobrazić jej obecność koło siebie — kiedyś tak częstą — i czasami... czasami udawało mu się nawet zapomnieć, że Judy nie żyje. Zdarzało się to jednak coraz rzadziej i nie bronił się przed tym, ponieważ nie mógł już dłużej znieść ogromnego bólu, kiedy uświadamiał sobie, że już jej z nim nie ma. Popatrzył uważnie na salę, znajdujących się na niej ludzi, na ich zlewające się twarze. Jak bardzo by jej się to podobało — to, że w końcu ludzkość odkryła, iż staje się gatunkiem wymierającym, i zdecydowała się coś z tym zrobić. Kiedyś powiedziała do niego w typowy dla siebie w takich sytuacjach cichy i zawzięty sposób: „Nie obchodzi cię to, że zaczynamy się dusić pod górą własnych śmieci?” Nie wziął jej wtedy poważnie, ale tak to już w tamtych czasach było — nikt z osób władnych cokolwiek uczynić nie brał serio ludzi mówiących o wymierających gatunkach, zanieczyszczonym powietrzu, zmniejszającym się areale lasów tropikalnych. „Zieloni” wrzuceni zostali do tego samego worka co rewolucjoniści czy inne świry, a słowo „ozon” z niczym się specjalnie nie kojarzyło. Aż do teraz, bo w świecie dzisiejszym ich troski stały się wreszcie zagadnieniem politycznym i polityk miał do wyboru albo „zzielenić”, albo pożegnać się z karierą. A zatem, począwszy od dziś aż do końca konferencji jesienią, sto dwadzieścia cztery kraje biorące w niej udział będą musiały dokonać bardzo znacznego kroku poza ustalenia deklaracji haskiej i właściwie od podstaw stworzyć nowy, ogólnoświatowy zespół ludzi, których zadaniem będzie wymuszanie ochrony środowiska naturalnego. Dan uśmiechnął się lekko; Judy wreszcie go dopadła. Umierając zostawiła mu swoją troskę o rze-

czy, których wcześniej w swoim życiu nie zauważał. Ale to nie mogło jej zastąpić. I być może taki był tego koszt.

Sam rozglądał się w poszukiwaniu czegoś do picia. Miał wyschnięte wargi i poczuł, że jak błysk zwiastujący burzę, w głębi czaszki zaczyna mu się odzywać tępy ból. To przez Natalie. Po głowie snuły mu się mgliście niejasne pytania: czy rzeczywiście istnieją ludzie, którzy są dla innych nie do strawienia, którzy mogą wywoływać u innych nawet fizyczne złe samopoczucie, czy istnieją związki, które od początku skazane są na niepowodzenie, niczym organizm dotknięty nieuleczalną chorobą? Wrócił myślą do ambasadora. Małżeństwo Dana trwało ponad trzydzieści lat, aż do śmierci jego żony przed dwoma laty, i Sam był pewny, że żadna inna kobieta nie wzbudziła jego najmniejszego zainteresowania, ani przedtem, ani teraz. Małżeństwo wyswatane w niebie, pomyślał z kwaśną miną, czując zaraz lekki wstyd, ponieważ to była zazdrość i — gruboskórna nielojalność; powinien być wdzięczny losowi, że za szefa miał kogoś takiego jak Dan Gurney. Miał wspaniałą reputację, a przy tym poczucie humoru, nie tak jak poprzedni przełożony Sama, który sika! w majtki, kiedy miał podjąć jakąś decyzję.

— Pan Cohen?

Sam odwrócił się stając twarzą w twarz z osobą, której zrazu nie poznał.

— Hrabina Dhoryany... — pomogła mu. Poczuł pojawiający się rumieniec.

— Spotkaliśmy się kiedyś na obiedzie...

— Ach tak, najmocniej przepraszam... — rzucił szybko. — U ambasadora austriackiego, nie mylę się?

Genevieve odpowiedziała uśmiechem.

— Rzeczywiście — przyznała — czasami nie udaje się dopasować właściwego nazwiska do spotkanej twarzy, szczególnie w takich okolicznościach, jak dzisiejsza —



stwierdziła, pomagając mu wybrnąć z sytuacji, i następnie dodała szybko, z pewną nerwowością: — Mój mąż zawsze twierdzi, że mam pamięć jak sito.

— Jestem pewny, że się myli — odparł Sam z przekonaniem.

— Nikt z nas nie jest doskonały, panie Cohen — odrzekła nadal się uśmiechając.

— Pani mąż jest wiceszefem austriackiej delegacji, jeśli się nie mylę?

— Tak.

— Taka sytuacja z pewnością przysparza pani masę zajęć.

— Raczej tak, ale to chyba część mojej roli? W każdym razie, nasze dzieci są już prawie dorosłe, co znacznie ułatwia sprawę — nie tak jak w przypadku niektórych młodych żon obecnych tu, na przyjęciu.

— Ja sam mam dwuletnią córkę.

— I żona towarzyszy dziś panu?

— Nie, jest w Nowym Jorku.

— Ach tak, ale pewnie niedługo wraca do pana i dziewczynki?

— Niestety, zostaje w Stanach, jesteśmy w separacji, ale mała jest ze mną tutaj. — Westchnął do siebie widząc, jak policzki hrabiny zabarwiają się na czerwono.

— Rozumiem... — Ale tak naprawdę nic nie rozumiała. Skuliła się w sobie. Nie upilnowała języka i postawiła ich oboje w niezręcznej sytuacji.

— Obydwoje jesteśmy zadowoleni z takiego obrotu sprawy — powiedział z wysiłkiem.

— Strasznie przepraszam, panie Cohen — wyjąkała — nie miałam najmniejszego zamiaru być wścibska.

— Na imię mam Sam. — Usta ułożyły mu się w niewymuszony uśmiech.

— Naprawdę nie ma za co przepraszać.

— Sam... — powtórzyła słabo. Ale to imię brzmiało w jej ustach niezgrabnie, a jej umysł bez przerwy za-

przątała myśl, że dawał sobie radę sam z dwuletnią córeczką. Pomyślała o jego żonie w Nowym Jorku, całkowicie wolnej i prawdopodobnie zupełnie beztroskiej. Poczła się lekko zaszokowana. Jej nigdy by nie przyszło do głowy, żeby zostawić rodzinę, a już na pewno nie Sopię. Automatycznie opadło ją uczucie wstydu, gdy tylko uświadomiła sobie, jakie myśli przychodzą jej do głowy. Felixa też oczywiście nie mogłaby opuścić. Nigdy, to byłoby nie do pomyślenia. Był jak słońce, księżyc i gwiazdy, a ona i dzieci musiały koło niego krążyć.

— Zdaje się, że czeka nas pracowity wieczór — Sam zmienił łagodnie temat rozmowy.

— Tak, też tak sędę — odpowiedziała mu z nerwowym spojrzeniem. — Właściwie powinnam już wracać do męża, lada moment pojawi się ambasador niemiecki.

— Powodzenia — odrzekł żartobliwie, gdy się odwracała, by odejść. Zdziwił się, kiedy do niego wróciła.

— Proszę posłuchać...gdyby kiedykolwiek potrzebował pan pomocy z małą, chętnie służę.

Pokiwał z podziękowaniem głową i patrzył, jak przemyka się ostrożnie pomiędzy grupkami ludzi. Jak wystraszony ptak. W końcu odwrócił wzrok od jej spiętej postaci i przeniósł go w górę, na wspaniale ozdobiony malowidłami sufit i jaskrawo pobłyskujące żyrandole wiszące w odstępach nad głowami zebranych.

Hofburg miał niezłą historię, o ile dobrze pamiętał. Po tryumfalnym wkroczeniu do Wiednia, tego starego habsburskiego miasta, swoje pierwsze przemówienie do witających go wrzeszczących tłumów Hitler wygłosił z jednego z balkonów tego właśnie budynku. Jego wjazdowi do Wiednia towarzyszyły nawet jubileuszowe dzwony kościelne — wszak był katolikiem. Sam przymrużył oczy; być może nawet kroczy teraz po tej samej posadzce, w otoczeniu tak samo rozbawionego tłumu, co kiedyś Hitler, z tą jednak różnicą, że zbliżenie się do tego miejsca na odległość strzału dla kogoś takiego jak Sam było wtedy wykluczone.

Serce mu się ścisnęło, kiedy pomyślał o matce. Mieszkała w Berlinie, a później wraz z rodziną przeniosła się do krewnych do Wiednia, tuż przed Anshlussem, w roku 1938. Wprost w paszczę wilka. Ufarbowała włosy na blond, aby zmylić hitlerowców, i choć wydaje się to dziwne, przez jakiś czas jej się to udawało, aż wreszcie została wydana wraz z rodziną. I Ruth Kraus, jak się wtedy nazywała, dostała się do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, gdzie przebywała od wiosny roku 1944 do wyzwolenia go przez aliantów w roku 1945. Jej mąż i czteroletnia córka nie mieli tyle szczęścia. Nie ujrzali ich nigdy więcej. Nigdy nie złamali prawa, mówiła mu, zawsze byli porządnymi obywatelami, ale to się zupełnie nie liczyło, ponieważ nie mogli zmienić faktu, że pozostawali Żydami. Nigdy o tym nie zapomnieli. Gdzieś w Trzeciej Dzielnicy znajdowało się mieszkanie należące kiedyś do rodziny jej matki, ale nie było sensu próbować je odzyskać. Już kiedyś próbowali, na próżno. Przez krótką, okropną chwilę Samem wstrząsnął obraz twarzy jego matki opowiadającej mu tę całą historię, kiedy był jeszcze zbyt mały, żeby ją zrozumieć. Pamiętał jednak jej rozpaczliwy, przerażający płacz, który zupełnie go rozstroił. Zanosila się od spazmatycznego szlochu, jak gdyby jego pytanie otworzyło jakieś niewidzialne zapory czasu. Nigdy więcej nie wracał już do tego tematu.

Rzucił spojrzenie na odległą teraz postać kobiety, z którą dopiero co rozmawiał. Trudno było karmić się nienawiścią, ożywiać koszmarnie wspomnienia, szczególnie w stosunku do kogoś w tak oczywisty sposób niewinnego, jak hrabina Dhoryany, która zresztą sama też była swego rodzaju ofiarą; dość dokładnie przypominał sobie jej męża: wysokiego, zimnego bydlaka. No, z nim to zupełnie inna sprawa.

Zaczynał chwytać mróz. Laura owinęła się szczelniej płaszczem przechodząc pod potężnymi kamiennymi łukami Hofburga w stronę Ringstrasse. Wiejący wiatr wdzie-

rał jej się pod płaszcz i kasał skórę. Nagle poczuła się zmęczona i ogarnęła ją dziwna tęsknota za domem. W czasie weekendu pojechała do pałacu Schönbrunn i spacerując w cieniu pełnego symetrii gmachu przeszła do znajdujących się za nim terenów. Minęła starannie wypielegnowane ogrody i znalazła się aż na Gloriette, z której rozpościerała się błękitna panorama miasta. Stała tam przez długą chwilę, aż do czasu, gdy wraz z nadchodzącym zmierzchem nieskalany błękit zaczął się przebarwiać delikatnymi pasmami purpury i złota. Z zimna zeszywniały jej palce. W drodze do domu zatrzymała się w kafejce, gdzie w otoczeniu starszych pań, młodych par i dymu papierosowego wypila dwie filiżanki kawy z bitą śmietaną, oddając się myślom o domu. W końcu zwróciła oczy w stronę okna i rysującego się za nim budynku opery po drugiej stronie ulicy. Dawno temu ktoś nazwał Wiedeń „Miastem Marzeń”, ale akurat teraz jego barokowe piękno zszarzało, marzenia zniknęły, a ulice prawie opustoszały. Przypominało raczej muzeum. Na jej ustach zaigrał uśmiech. Andrew śmiałby się z niej, twierdził, że jest zbyt emocjonalna, że ma zbyt bujną fantazję. Laura zadrżała z zimna pod wpływem nagłego powiewu wiatru.

Tęskniła za nim bardziej, niż mogła to sobie wcześniej wyobrazić. Ale ostatecznie decyzja, aby przyjąć ofertę pracy w Wiedniu i przesunąć termin ich ślubu, wyszła od niej. Trudno jednak było zrezygnować z takiej pracy, szczególnie jeśli oznaczała funkcję drugiego sekretarza, która zwykle dostawała się dużo starszym kolegom, a która poza tym łączyła się z przygotowywaniem raportów politycznych, w czym tak się rozsmakowała podczas krótkiego pobytu w departamencie do spraw Europy Zachodniej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ale Andrew zupełnie to nie ruszało, przyjął wiadomość z tym swoim cholernym chłodem i opanowaniem. Irytowało ją, że to ona musiała dokonać wyboru, jak gdyby zmuszona wbrew własnej woli. Jednak nie przez Andrew, co to, to

nie. Jak słodko ze strony losu, że kazał jej się zakochać w kimś, kto również był dyplomata, a przy tym trochę szowinistą. Nabrała głęboko powietrza. Jednak nawet on nie był w stanie ukryć swojego zdziwienia, kiedy w końcu przyjęła ofertę. Nigdy nie sądził, że jest w stanie to zrobić — poświęcić jego dla kariery. W typowy dla siebie sposób Andrew zmusił ją właściwie do tego, ale żadne z nich nigdy by się do tego nie przyznało. A teraz nadszedł czas sprawdzianu dla nich obojga.

Przynajmniej, dzięki Bogu, okres jego pracy w Londynie został przedłużony o sześć miesięcy, i nie został wysłany na trzy lata gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, co prawie zupełnie uniemożliwiłoby ich spotkania. Laura roześmiała się w duchu. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Andrew gdzieś na szarym końcu świata — nie za bardzo pasowało to do jego wyobrażeń o świetlanej karierze. Kiedyś prawie zupełnie zbladł, gdy dla żartów wspomniała możliwość posady w Laosie. O nie — ogłupiający żar, muchy, chaos i nuda — to nie dla Andrew.

Laura westchnęła z ciężkim sercem. No a teraz robiła chyba coś naprawdę bardzo niemądrego. Być może, że gdyby Andrew oddzwonił do niej, lub był w domu, kiedy dzwoniła do niego po raz drugi, nie przyjęłaby tego zaproszenia na kolację, ale teraz było już za późno na cofnięcie zgody. Przed nią wyłonił się jasno oświetlony pompatyczny budynek hotelu Imperial. Przełknęła wolno ślinę i automatycznym krokiem weszła do przestronnego wykładanego marmurem foyer.

Z Ralfem zetknęła się zupełnie przypadkowo — ni mniej, ni więcej, tylko wpakował się w tył jej samochodu na parkingu w Schönbrunn i po zwykłej w takich przypadkach wymianie adresów zaprosił ją na kolację — jako swego rodzaju rekompensatę. Odmówiła, ale w poniedziałek zadzwonił do niej do biura i w końcu dała mu się przekonać. A właściwie jego głosowi — wolnemu, tęsknemu, z obcym akcentem — tym bardziej że w uszach

ciągle miała dźwięk nie odbieranego przez Andrew telefonu. Ze złością zarzuciła swoje ciemne gęste włosy na ramię i przypomniała sobie raz jeszcze telefon od Ralfa. W prośbie Niemca było delikatne naleganie, delikatne kuszenie. Miał ten rodzaj głosu, którego samo już brzmienie malowało przed kobietami obrazy rozkoszy, jakich może dostarczyć jego właściciel, i w "końcu wyraziła zgodę. A wydawało jej się, że tak wyraźny „podryw" nie jest w stanie na nią podziałać. No bo, oczywiście, to właśnie był najzwyczajniejszy na świecie podryw. Skręcając w prawo do małego barku z pianistą czuła na policzkach rumieniec wstydu, jak gdyby już nurzała się w grzechu, jak gdyby samo poddanie się działaniu jego głosu było równoznaczne z przespaniem się z jej nowym znajomym. Czekał już na nią. Był barczystym, pełnym utajonej siły mężczyzną. Na jej widok szerokie usta Ralfa uformowały się w promienny uśmiech. Nie powinna była przychodzić, czuła to. Ten człowiek, ta sytuacja były jak nieostrożne brnięcie w głęboką, niebezpieczną wodę. Ale Andrew nie zostawił jej wielkiego wyboru. Laura spojrzała na czekającego mężczyznę i uśmiechnęła się z przymusem. Poczwała nagle, jak strasznie daleko jest jej dom, i z ogromną ostrością uświadomiła sobie, że nie ma ochoty być w Wiedniu. Mieście Marzeń. Smutek ścisnął ją za gardło i powtórnie przypomniała jej się twarz Andrew, kiedy na swojej ręce poczuła gorący, wilgotny pocałunek Ralfa — tego tak obcego jej mężczyzny. Niech cię szlag trafi, Andrew, niech cię szlag. Elizabeth prześliznęła się wzrokiem po nieznajomych twarzach. Spojrzała w stronę Johna nadal stojącego po drugiej stronie zupełnie już teraz zatłoczonej sali. Poczwała, że znów może oddychać, że na jej policzkach na powrót pojawiają się powoli kolory, i po raz kolejny zastanowiło ją, z jaką łatwością pamięć może płatać figle. Minęło pięć lat, a jej wydawało się, jakby to było wczo-

raj — jak gdyby jej serce zatrzymało się wtedy i otwarte, podatne na ból czekało na niego. Na Karla. Przeszła do sali bankietowej, podchodząc do stojącego na środku stołu przykrytego białym lnianym obrusem przetykanym srebrnymi nitkami, na którym pyszniły się delikatne potrawy. Obojętnie błędziła wzrokiem po imponującej liczbie półmisek z wędzonym łososiem, kandyzowanymi owocami, kaczkami w galarecie, mikroskopijnymi pasztecikami i wykwintnymi pralinkami. Jej wzrok zatrzymał się z podziwem na ułożonym pośrodku naturalnej wielkości orle, zrobionym w całości z lodów, z zanurzonymi w kawiorze szponami. Bez wątpienia był to orzeł habsburski, pomyślała z nieco kwaśnym uśmiechem, by następnie zająć miejsce za wianuszkami gości, którzy zgromadzili się przy końcu bufetu czekając z niespotykaną cierpliwością, aż zostaną obsłużeni. Odczuwała pustkę w żołądku, choć na pewno nie głód. Czekanie w kolejce pozwalało jej uciec od pogawędek, ale i od Johna. Myśl o mężu wywołała w niej poczucie winy. Spotkała go rok później, rok po Karlu — bo tak właśnie odmierzała wtedy czas. Zdawała sobie sprawę, że John był trochę na straconej pozycji po tym, co się zdarzyło, i przy takiej różnicy dzielącej obydwu mężczyzn. Było to nie fair, John zasługiwał na znacznie więcej. Siedział podczas tamtego przyjęcia po drugiej stronie stołu i ze sposobu, w jaki na nią patrzył, wywnioskowała, że nie jest to ich ostatnie spotkanie.

Gdyby to ona miała decydować, na pewno nie ciągnęłaby tej sprawy, ponieważ potrzebowała kogoś, kto by rozbudził w niej taką pasję, jaką czuła do Karla, a John nie był takim mężczyzną, to wiedziała od początku. Jego miłość była bezpieczniejsza, delikatniejsza. Ale zainteresował się nią i to jej pochlebiło.

Był starszy od niej o dwanaście lat, odnosił sukcesy w dyplomacji i pochodził z bogatej rodziny. Jego pradziadek, pochodzenia anglo-amerykańskiego, w sensie dosłownym trafił na żyłę złota podczas gorączki złota w Yukon.

Na skutek odmrożenia i gangreny stracił ramię. Wrócił stęskniony za domem, stary i zmęczony. Ale William Thornton czy — jak wolał nazywać go John — Stary Bill nie był aż tak stary i zmęczony, aby się nie ożenić, i — jakby udowadniając, na co go jeszcze stać — spłodził trzech synów, pośród których rozdzielił ciągle rosnącą i dobrze lokowaną fortunę. Z każdą generacją Thorntonowie stawali się bardziej zamożni i szanowani.

Elizabeth przypuszczała, że Johna dziwił jej brak zainteresowania jego bogactwem i koneksjami, było to dlań czymś raczej niespotykanym, ale jak najbardziej szczerym z jej strony. Również w ich stosunkach przez kilka początkowych tygodni brak było ze strony Elizabeth większego entuzjazmu. John przetrzymał to jednak i zaczęła się do niego przyzwyczajać — do jego uprzejmości, hojności, a nawet miłości. Pokochał ją bowiem od razu, a zignorowanie miłości kogoś tak szczerego i tak dobrego jak on było niepodobieństwem. Ponieważ naprawdę był dobry, i to wywoływało u niej poczucie winy. Jak gdyby mógł wiedzieć...Ale nawet jego dobroć miała swoje granice i któregoś wieczora po prostu powiedział jej, iż wie, że jej zupełnie nie interesuje i że tylko traci dla niej swój czas. Elizabeth aż przymknęła oczy, gdy opadło ją to wspomnienie, a w myślach stanął jej obraz jego twarzy. Bez zbędnych ceregieli z miejsca zakończył ich związek — uprzejmy, dobry, zorganizowany John. Z niedowierzania aż odebrało jej mowę, kiedy zatrzasnął za nią drzwiczki samochodu i odjechał. Przez kilka dobrych chwil stała nieruchomo na chodniku, a bawiący się jej włosami wiatr, dyskretny niczym szept, rozwiął po nim wszelki ślad. Czekwała dwa dni, dwa rozdzierające dni, w ciągu których walczyła z ambicją, egoizmem, głupotą i wreszcie czymś, co można by nazwać miłością. W końcu zadzwoniła do niego i było to jak próba wyciągnięcia ręki poprzez coraz bardziej dzielącą ich przestrzeń i dotknięcia go w przepaszającym geście. Przypomniała sobie, jak w panice łomotało jej serce, ponieważ uświadomiła sobie nagle, że John Thornton znaczy dla niej bardzo wiele. Pobrali się sześć tygodni później, na dwa tygodnie przed wyjazdem Johna do Madrytu.



Jej dłoń zacisnęła się na trzymanej w ręku białej serwetce. Żałowała, że kiedykolwiek wcześniej ujrzała Karla, że go w ogóle spotkała, gdyż z Johnem byli szczęśliwi, mimo ukrytych gdzieś w podświadomości wspomnień. Nie mogła jednak zmienić czegoś, co się stało, nie mogła odwołać tego, co zostało zrobione i powiedziane. I w głębi serca przeczuwała, że wcale tego nie chce.

— Dobry wieczór, Elizabeth...!

Elizabeth odwróciła się, wiedząc, że już nie umknie. Okrągłe, lekko wyłupiaste oczy Madeleine Lindahl przyglądały jej się z ledwie ukrywanym zainteresowaniem.

— O, Madeleine — jak tam Szwecja?

— Zimna, ciemna, nudna... Już lepiej przez rok brać udział w tym cyrku tutaj, niż siedzieć w domu — westchnęła. — Choć przecież Szwecja nie jest moim domem.

Elizabeth odpowiedziała jej wymuszonym uśmiechem. Madeleine urodziła się we Francji, dzieciństwo spędziła w Anglii, a później „po istnej eksplozji na towarzyskim rynku w Londynie” wyszła za Olafa, ponieważ „był taki sympatyczny” w porównaniu z innymi mężczyznami, jakich знаła. Rzadko jej się zdarzało powiedzieć coś dobrego o kimś czy o czymś. Zawsze była zastraszająco elegancka i nieprawdopodobnie chuda. Jak szpilka. Niezmordowana żona, niezmordowana gospodyni, niezmordowana organizatorka składek na cele dobroczynne. Ideał niczym z magazynu „Vogue”. Trafiła na czarującego męża, który wiele mógł znieść. John go lubił, choćby ze względu na prawie niezmienną sympatię, jaką Olaf okazywał Zachodowi mimo neutralnego statusu swojego kraju. Spotkali się w Madrycie podczas rozmów dotyczących zagadnień wojskowych i praw człowieka.

— Jak tam John — i Christopher?

— Obydwaj świetnie. A Olaf?

— Tak samo. Mój drogi mąż nigdy się nie zmienia, ale cóż, wszyscy mamy swój krzyż.

— Ależ, Madeleine, to nie fair — zauważyła Elizabeth potrząsając głową.

— Wiem, wiem... — jakby z zakłopotaniem odpowiedziała jej starsza koleżanka, dodając szybko. — A propos, jestem zachwycona twoją nową sukienką — kolekcja Victor a Edelsteina, jeśli się nie mylę, chyba się nieźle szarpnęłaś...

Elizabeth przełknęła ślinę, czując rumieniec. Madeleine miała rację, ale Elizabeth nie mogła znieść jej zbyt wielkiej nachalności w dopytywaniu się o pewne rzeczy. Cena sukienki rzeczywiście była zawrotna, ale John nalegał, a i ona sama nie była w stanie oprzeć się powabowi tej wykwintnej kreacji z czerwonego jedwabiu z krezą. Swoją winę „odkupiła” wysyłając dotację na jeden z celów dobroczynnych.

Ale Madeleine zdawała się nie dostrzegać zakłopotania Elizabeth i trajkotała nadal z szybkością i monotonią pociągu pośpiesznego.

— Spotkałaś się już z zastępcą szefa delegacji austriackiej i jego żoną? — Wreszcie udało jej się przejść na temat, który interesował ją najbardziej — ploteczki.

— Nie, ale mamy się z nimi spotkać na obiedzie w czasie weekendu.

— Utytułowani... a przynajmniej ona... Jego tytuł, o ile wiem, nie jest, powiedzmy, zbyt „autentyczny”...

— Aha... — bez zainteresowania przytaknęła Elizabeth.

— Byłam wczoraj na kawie z Clare Carter...

— I jak się miewa? — Elizabeth z wysiłkiem próbowała jednak podtrzymać rozmowę, gdyż lubiła Clare, mimo że spotkały się tylko raz czy dwa razy, a poza tym współczuła jej po ich ostatniej nie dokończonych jeszcze przeprowadzce, zważywszy, że na głowie miała trójkę dzieci poniżej siedmiu lat oraz remont centralnego ogrzewania, które uparło się, że ogrzewać będzie tylko połowę ich potężnego, ponurego mieszkania. Kiedy Elizabeth widziała się z nią po raz ostatni, zastała ją w otoczeniu

zmniejszającej się w żółwym tempie góry kartonowych pudeł.

— Jest przygnębiona — odrzekła Madeleine. — Są pogłoski, że Oliver może nie dostać Brukseli, co oznaczałoby mimo wszystko powrót do Londynu po konferencji.

— Myślałam, że Brukselę ma już zaklepaną?

— Prawdopodobnie nie.

— Biedna Clare.

Posada we własnym kraju oznaczałaby ogromną obniżkę pensji, potworny czynsz za mieszkanie w Londynie i nowe szkoły dla dzieci. Clare miała nadzieję, więcej — modliła się o to, żeby nie odesłali ich do domu.

— No cóż, Elizabeth, tak bywa — tu coś tracisz, tam zyskujesz.

Ostatecznie Londyn jest o niebo lepszy niż jakiś tam Kartum, Salwador czy miasto Ho Szi Min.

— To na pewno zabawne, co powiedziałaś, Madeleine, ale obydwie wiemy, że to wszystko nie takie proste.

— Wiedzieli, że muszą się liczyć z powrotem do kraju.

— To, w takim razie, dlaczego w ogóle wspomiano Brukselę? A zresztą, przed nami jeszcze wiele miesięcy, kiedy wszystko może się zmienić.

Powiedziałabym wręcz, że chyba za wcześnie mówić o następnych placówkach. — Elizabeth z trudem powstrzymywała irytację.

— Wszyscy jesteśmy we władzy naszych ministrów spraw zagranicznych, Elizabeth. — Madeleine wybrała swój najbardziej wredny rodzaj protekcjonalności.

— Wiem o tym — głos Elizabeth zabrzmiał nieco zbyt ostro.

— Wydajesz się dziś, jeśli oczywiście mogę coś powiedzieć, trochę nieswoja.

— A to czemu? — Elizabeth sapnęła niecierpliwie.

— Chyba nie trafiłam na twój najlepszy nastrój... Oczy Madeleine zaczęły błyszczeć, co było złym znakiem. Nigdy specjalnie za sobą nie przepadały. Jedyną

rzeczą, która je łączyła, był ten mały zamknięty świat, w którym musiały żyć. Elizabeth zawsze miała wrażenie, że nieustannie krążą nieufnie koło siebie — ona znosząc z przymusem trywialną zazdrość w stosunku do ludzi i protekcyjnalne plotki starszej od niej Madeleine, ta zaś — podkreślając mniejsze doświadczenie i wrodzoną rezerwę swej młodszej koleżanki.

— Chyba masz rację... — dała się w końcu sprowokować.

Kiedy indziej taka odpowiedź nie przyszłaby jej do głowy, ale teraz nie zależało jej na niczym. Za Madeleine stał mężczyzna, i Elizabeth wiedziała, że czeka na nią, wiedziała też, że dostrzega znużenie i ledwie skrywaną niecierpliwość na jej twarzy oraz pociemniałe nagle oczy, które mówiły same za siebie, kiedy na niego spojrzała.

— Dobry wieczór, Karl. — Ileż to razy marzyła o tym, żyła myślą o tym momencie? Doszło do niej, jak wiele może wyrazić głos przy tak niewielu słowach, zaskoczyło ją, z jaką szybkością jej twarz oblała fala gorąca.

— Elizabeth.

Czuła na sobie spojrzenie Madeleine — nawet ona wyczuwała, że coś nie do końca było tak. Ale nie miało to znaczenia, nie teraz. Zaraz też Karl ominął jej towarzyszkę z krótkim, nieuważnym ukłonem.

— Zechce nam pani wybaczyć.

W każdej innej sytuacji ten zwrot, który na krótko postawił Madeleine w komicznym świetle, rozbawiłby Elizabeth. Ale już w następnej chwili dłoń Karla zamknęła się na jej łokciu i Madeleine zniknęła z pola widzenia, kiedy odchodzili od stołu. Karl podał Elizabeth kieliszek białego wina.

— Jeśli masz ochotę coś zjeść, zaraz ci przyniosę. Spojrzała na niego.

— Nie, nie, dziękuję. — Brzmiało to zwykle i formalnie. Nastąpiła pomiędzy nimi cisza, która w jakby oddalonej nagle ogromnej sali i zacierających się twarzach gości zaczęła nabierać wielorakich znaczeń. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, by w końcu spytać z uśmiechem.

— No i jak leci?

— Dobrze — odparła, zdziwiona statecznością swojego głosu i lekkością, z jaką to powiedziała.—Ale, ale... nie spotkaliśmy się na Heathrow, o ile oczywiście dobrze pamiętam.

— Przepraszam — powiedział i przerwał. — Nie chciałem stawiać twojego męża w niezręcznej sytuacji.

— To nie takie łatwe — zauważyła z nutką sarkazmu. — Poza tym wie, że mam za sobą jakąś tam przeszłość. Jak każdy.

Spoglądał na nią ostrożnie, jakby ważąc, co może, a czego nie powinien teraz powiedzieć.

— Wiesz, że nie zapomniałem.

Z wściekłością odkryła, że słowa te wywołały w jakiejś ukrytej w niej części uczucie radosnego, tęsknego pragnienia. Na ułamek sekundy ich spojrzenia splotły się — było to tak, jak gdyby wrócili w tamte chwile, jak gdyby przemieścili się w czasie do owego momentu, kiedy jej serce tak było przepelnione uczuciem.

— To było dawno temu, Karl.

— Odszedłem za wcześnie, wiem o tym.

Nie odpowiedziała. Z bólem przypominała sobie, z nagłą i zadziwiającą intensywnością, to uczucie niedowierzania, kiedy nie odezwał się, gdy na niego czekała, pewna, że się nie pomyliła — że ją kochał.

— No, ale teraz to już chyba nie ma znaczenia, Karl. — Uśmiechnęła się z wysiłkiem. — Upłynęło już trochę czasu i nasze życie zmieniło się.

Miała wrażenie, że na jego przystojnej twarzy pojawił się cień zmieszania, który natychmiast jednak ustąpił miejsca odwzajemnionemu uśmiechowi. Wstrzymała oddech, bojąc się, że nie ukryje przed jego wzrokiem, co się w niej działo.

— Może moglibyśmy zjeść razem lunch...tak po starej przyjaźni?

— Nie sędzę.

Jego spojrzenie zatrzymało się na trzymanym przez nią kieliszku, w którym poruszone drżeniem ręki wino układało się na brzegach w drobne zmarszczki.

— To przecież nic takiego — zwykły lunch, Elizabeth. Tylko w jego ustach słowo „Elizabeth” nabierało takiej pełni, zmysłowości i siły.

— Nie sędzę, Karl — powtórzyła zaskoczona opanowaniem swojego głosu. Ale jej oczy bezwiednie oparły się na jego wargach. Wspomnienia.

— Pomyśl o tym — powiedział wolno. — Zadzwoń.

— Proszę, nie rób tego.

Opuściła, a następnie odwróciła wzrok, szukając w nieskończonym morzu gości twarzy Johna.

— Muszę już iść. — Położyła kieliszek na pustym stole za nim.

Nie powiedział nic, kiedy odchodziła. Odmówiła, ale byłby zaskoczony, gdyby zachowała się inaczej. Przewyciężył suchość w gardle. Elizabeth poruszyła go, a on nie lubił tego uczucia. Podniósł jej kieliszek i napił się, czując, jak delikatne wino spływa mu do żołądka. Była zła i ta złość podniecała go, tak jak kiedyś. I nagle nie był już w stanie powstrzymać cisnących się wspomnień. Przed oczami zarysował mu się z całą klarownością obraz ich ostatniego spotkania. Elizabeth pod nim, Elizabeth uśmiechnięta: ciepłym, czułym i przekochanym, nie do wyobrażenia uśmiechem. Oblizwał wargi. Elizabeth. Nie mógł zrozumieć, jak mógł tak łatwo zapomnieć. Skierował wzrok w drugą stronę jasno oświetlonej sali, gdzie z pewnością stała teraz u boku męża wypełniając swoją rolę żony. Musi do niej zadzwonić, ponieważ nie jest w stanie się opanować, ponieważ pragnie jej teraz, pragnie jej wspaniałych, gorących, wpółotwartych ust.

Dzień był jak wyrzeźbiony w kryształ, ostry i doskonale piękny. Śnieg otulił całunem pobliskie wzgórza, a delikatne promienie słoneczne wygładziły je, i Genevieve na wpół wyobrażała sobie, a na wpół wierzyła, że zrobione są ze szkła. Zmrużyła oczy i zwróciła wzrok w stronę pobłyskujących okien Schloss Bletz i masywnej bryły samego zamku, którego surowe piękno sięgało małego, czarnego jeziora, usłużnie przycupniętego u jego stóp. Świt dopiero co nadszedł, ale nie była już w stanie leżeć z otwartymi oczami w łóżku, ubrała się więc ciepło i wywędrowała w skutą mrozem okolicę zamku. Kapryśne światło męczyło oczy, ale w jej uniesioną do góry twarz uderzały jak szpileczki płatki śniegu i pobudzały skórę do życia. Zaczął dąć wiatr i zastanawiała się, czy jej gościom uda się dotrzeć bezpiecznie do domu, nim spadnie więcej śniegu. Spojrzała na pociemniałe niebo i zdawało jej się, że przez ciężkie, szare chmury przedziera się światło. Wizyta gości nie okazała się ostatecznie taka zła, nie wzbudziła w niej tej ponurej depresji, tego doznania często towarzyszącego jej w przeszłości, że jest służącą. Również Sophii bardzo się podobała, właściwie obojgu dzieciom. Ale dla jej męża to i inne spotkania towarzyskie były czymś znacznie więcej. Genevieve wyczuwała, że dla niego były „wszystkim”, pewnym symbolem tego, czego w życiu pragnął najbardziej. Choć, oczywiście, nigdy by się do tego nie przyznał. Odwróciła się od białego, nieruchomego ogrodu i we-

szła na kamienistą ścieżkę biegnącą równoległe do jeziora. Przez chwilę oparła się na fragmencie muru i spojrzała w dół, w gęstą i ciemną wodę. Tu zginął jej brat. Nie robił nic więcej ponad to, co ona robiła teraz — spoglądał w toń jeziora trzymając się muru, który jednakże pod jego dotknięciem rozsypał się w drobny pył, i wraz z nim Heinrich stoczył się do wody. Jak gdyby jej brat skalał jakąś świętość, obraził jakieś starożytne, dawno zapomniane bóstwo tego małego, aroganckiego skrawka wody. Miała wtedy dwanaście lat, a on o dwa lata mniej. Jeszcze teraz, po tylu latach, nadal słyszała odgłos jego ciała uderzającego o skały i gwałtowny plaskający dźwięk, gdy wpadało do wody.

Jej włosami zaczęła targać wiatr; czuła coraz większy smutek wywołany wspomnieniami, którym nie była w stanie się oprzeć. Jak zawsze. Po wypadku jej kochana, subtelna matka zaczęła gasnąć w oczach, marnieć coraz bardziej, aż wreszcie umarła w pokoju nad jeziorem. Jej ojciec, jak zwykle, zachował dystans, ale kiedy ośmieliła się przyjrzeć mu bardziej uważnie, badawczym wzrokiem dziecka, jego powściągliwość okazała się nagle czymś strasliwym i jadowitym. Oddalili się od siebie, a w niej rodziło się przykre, ściskające w dołku uczucie. Sama sobie była winna. Genevieve zamknęła palące powieki. Powoli znów uniosła głowę pozwalając, aby drobne płatki śniegu padały jej na twarz, po czym stopione spływały po policzkach nieregularnymi strużkami. Nigdy nie mówiła o Heinrichu, a Felix nie zadawał jej drażliwych pytań, które mogłyby zakłócić teraźniejszość tym ponurym cieniem przeszłości. Zdarzyło się tak tylko raz i jej mąż obiecał, że to już się więcej nie powtórzy; była bardzo emocjonalna, a on tego nie znosił. Jeszcze raz spojrzała w wodę próbując za wszelką cenę wyprzeć z pamięci wszystkie te ponure wspomnienia. Ponieważ nie mogła tak po prostu stąd odejść, nie mogła też wrócić do Schloss Bletz i Sophii, rozmawiać i uśmiechać się, i być „tą normalną” Genevieve, mając w duszy taki smutek.

— Wielki Boże...



Elizabeth podniosła głowę wyrwana ze swoich myśli. John nadal chował się za poranną gazetą, i z ulgą odkryła, że nie mógł zauważyć braku zainteresowania na jej twarzy.

— Co się stało?

— Pamiętasz Petera Brandta? — John złożył gazetę na jedną stronę i popatrzył na nią. — Szwagier Stuarta... spotkaliśmy go latem, na obiedzie.

Elizabeth zmarszczyła czoło szukając w pamięci.

— Jest dziennikarzem... wysoki, blondyn — przypominał John. — Lub raczej — był... — dodał cicho.

Przypomniała go sobie wtedy. Pamiętała, że nosił okropny purpurowy krawat, jak gdyby pożyczył go od kogoś tylko na tę okazję. Raczej bystry i raczej sympatyczny, z tymi swoimi cienkimi, zbyt długimi żółtawymi włosami.

— Nie żyje.

Zamrugła gwałtownie, pochwytyjąc nieruchome spojrzenie męża.

— W jaki sposób...?

— Zamordowany w okolicach granicy Tanzanii z Zambią. — John odwrócił wzrok. — Posiekany na kawałki.

— Jesteś pewny, że to on — Elizabeth przełknęła gwałtownie ślinę. Raczej bystry. Raczej sympatyczny.

— Nie ma zbyt wielu dziennikarzy o nazwisku Peter Brandt, pod trzydziestkę, będących bratanekami ministra spraw wewnętrznych...

— John, to... straszne. — Wyciągnęła rękę po podaną jej przez stół gazetę.

Gdyby nie spotkanie Gorbaczowa z Chińczykami, wiadomość o śmierci Petera byłaby na pierwszym miejscu. A tak, umieszczono ją w dolnej połowie strony wraz ze zdjęciem, przedstawiającym go roześmianego, w kapeluszu na głowie. „Bratanek ministra spraw wewnętrznych zamordowany”. Przebiegła wzrokiem po starannie wydrukowanych słowach i podtytułach... „zaszlachtowa-

ny" ... „kość słoniowa" ... „bezlitośni" ... Został zamordowany przez kłusowników dostarczających kość słoniową, około dwudziestu mil od granicy.

— Biedny cholerny głupek. — John wstał i podszedł do okna. Jego krótka wizyta w Afryce sześć lat temu przypomniała mu się teraz w całej swej intensywnej i niejednoznacznej krasie. Mieszkał w domku myśliwskim gdzieś na bezkresnych pustych przestrzeniach Parku Narodowego Serengeti, obserwował, jak zza obrzeży równin wyłaniało się oślepiające słońce, spał i przesiadywał w dobrze znanych mordowniach, pełnych moskitów i much, gdzie mimo brezentowych daszków żar parzył mu plecy. Gdzieś przy wodopoju toczyły się mordercze walki, wściekła burza pyłu i wierzgających kończyn, pisk konającego zwierzęcia. Pomyślał o Peterze Brandcie, o jego samotnej ucieczce na śmierć i życie pod obojętnym, okrutnie pięknym słońcem.

— Lepiej już jedźmy, John.

Popatrzył na nią. Starła się odwrócić jego uwagę od trapiących go myśli i również tym razem jej się to udało. Czy miała choć trochę pojęcie, jak bardzo mu pomagała? W jego wzroku nie było cienia sprzeciwu, walka była skończona.

Odchodząca zygzakiem w bok od koryta Dunaju droga zaczęła się wznosić. Elizabeth spojrzała za siebie, na znikający z zasięgu wzroku łuk potężnej rzeki. Wcześniej jechali prostą jak strzelił drogą do Bratysławy i w stronę czeskiej granicy, ale tuż przed granicą skęcili w lewo. Pogoda utrzymywała się, a mimo to gruba warstwa zmrożonego śniegu leżała prawie na każdym polu, wzdłuż niemal całego brzegu, na każdej drodze, jak gdyby tylko czekając, aż przyjdzie pora kontrataku. W nocy może spaść więcej śniegu. Pomyślała o Christopherze. Zgodził się na ich wyjazd bez niego, ale z lekką niechęcią. Jednakże w domu, z nianią Grace, wśród książek i zabawek, będzie mu z pewnością lepiej.

Uśmiechnęła się lekko na wspomnienie jego mozolnych bojów ze stronicami książki. Mimo niecałych czterech lat potrafił już czytać. Pełna dumy zgotowała kiedyś Johnowi niemąłą niespodziankę, kiedy ich syn przeczytał, z jej pomocą, pierwsze w życiu zdanie. Po urodzeniu dziecka uczucia macierzyńskie ogarnęły ją niespodziewanie, ale za to z całą mocą. Czasami, czasami, gdy wpatrywała się w jego spokojną, delikatną buzię, z niemego podziwu aż zapierało jej oddech, mimo znajomego ukłucia bólu i mimo rany, która tak naprawdę nigdy się nie zagoiła.

— Mam nadzieję, że nas nie zasypie... — Rzuciła okiem na Johna. — Obiecałam Christopherowi, że wrócimy na jutrzejszą kolację.

John nie odpowiedział od razu i kiedy wreszcie to zrobił, zauważyła, że myślami był gdzieś daleko.

— Będzie cholernie dużo smrodu...

— Masz na myśli tę sprawę Petera Brandta?

— Nie da się tego uniknąć — nie wyobrażam sobie, żeby minister puścił to płazem.

— Czego się spodziewasz?

— Przykręci śrubę — rzucił szybko. — Teoretycznie handel kością słoniową jest zupełnie zakazany, a jednak istnieje międzynarodowa siatka parająca się tym. Nawet teraz, po tej całej wrzawie i załamywaniu rąk — a nie zapominaj, że George Adams zginął z tego samego powodu — handlarze i kłusownicy nadal zajmują się tym procederem prawie zupełnie bezkarnie... niektórzy nawet z pomocą swoich rządów. — Nabrał oddechu. — Pomyśl na przykład o tym, że przeciętny strażnik w przeciwieństwie do przeciętnego kłusownika nie jest uzbrojony w AK 47. Przeciętny strażnik, moja kochana, może mówić o szczęściu, jeśli przynajmniej ma małą, cacy dzidę, którą może dziobnąć w zadek złego kłusownika. — Potrząsnął głową. — Przepraszam...

— Nie przepraszaj, John, za rzadko tracisz panowanie...

— Oh — zmarszczył brwi — myślisz, że to by mi dobrze zrobiło?

— Być może. — Zmusiła się do uśmiechu. — Jesteś zbyt spokojny.

— Zabrzmiało to trochę jak, no, powiedzmy, „nieciekawo”, a nawet „nudno”...

— Nie, nie o to mi chodziło. — Czuli, że zaczyna się nieco płatać. — Nieważne. Wróćmy do tego, o czym mówiliśmy... — zaproponowała szybko, starając się zmienić temat, wydawało jej się bowiem, że w stanie, w jakim był, łatwo go można było zranić. — Czy jesteś zdania, że Peter Brandt próbował udowodnić istnienie powiązań między handlarzami a jakimś rządem, że miał dostęp do dowodów korupcji na wysokich stanowiskach?

— Możliwe. — Westchnął ponownie. — Może to morderstwo stanie się właśnie siłą napędową, która sprawi, że wreszcie będzie się można dostać w te tak zwane wyższe regiony władzy. Ale nie zazdroszczę temu, kto to zrobi — ślad z pewnością ciągnie się przez pół kuli ziemskiej: Zair, Zambię, Tanzanię, Francję, Środkowy Wschód, Singapur, Hongkong, wymieniając choćby tylko niektóre.

— Pan Poon...

— Tak, nasz człowiek w Hongkongu, ale zmył się ostatnio, gdy zaczęło się robić zbyt gorąco.

— Wrzawa w prasie i ten zakaz, o którym mówiłeś, na pewno wyraźnie się przyczynią do zakończenia tych praktyk.

— Na to wszyscy liczą. Z tym że nie zapominaj o rezerwach — mimo że pod ochroną, dla kłusowników są bardzo kuszące — oraz malejącym oficjalnym imporcie, czy też jego zupełnym zakazie, co jest na rękę czarnorynkowym handlarzom, ponieważ podbijają jeszcze bardziej cenę kłów słoniowych, a na rynkach Środkowego Wschodu i Chin nie ma miejsca dla sentymentalnych obrońców słoni — jeśli będzie popyt na kość słoniową czy róg czarnego nosorożca, to tam na pewno je znajdziesz. —

Zerknął na nią spod zmarszczonych brwi. — A jeszcze w tym wszystkim tkwi ten odwieczny problem z korupcją, srożącą się na każdym szczeblu władzy w niektórych krajach afrykańskich, i naturalnie w tych wszystkich innych krajach, w których bieda jest normą. Zwykły człowiek łatwo staje się tam kłusownikiem, jeśli jeden dzień kłusownictwa przysparza mu zarobku równego trzyletniej pensji. Musiałby być głupi, gdyby na to nie poszedł. — Potrzęsął głową. — No i decyzja Wielkiej Brytanii, żeby pozwolić Hongkongowi sprzedać jego zapasy kłów słoni, na pewno nie pomogła. Choć przynajmniej to jest już, dzięki Bogu, przeszłością. Elizabeth odwróciła się do okna próbując wyobrazić sobie pałacy żar afrykańskich równin, ale biel za szybą nie pozwalała jej na to.

— Czy Peter był żonaty? — zapytała cicho.

— W zeszłym roku nie. — Odwrócił się do niej i nieomal natychmiast uświadomił sobie, że palnął bez namysłu. Szybko podniósł jej rękę do ust.

— Przepraszam, chyba przegiąłem, poza tym — to nie najprzyjemniejszy temat.

— Nie przepraszaj, nie jestem ze szkła, John. Skierował swój wzrok z powrotem na drogę, ochłonawszy, słysząc nagle w jej głosie twardsze nutki.

— Martwisz się o Chrisa? Westchnęła z lekkim zakłopotaniem.

— Nie, raczej nie — odparła i zaraz dodała na wpół przepraszająco: — Jestem już trochę zmęczona, to wszystko.

Nie było to dalekie od prawdy, przynajmniej o tyle, że ostatnio nie mogła spać spokojnie, a w jej myślach trwała nieustanna kotłowanina, przeszłość pojawiała jej się jak w technicolorze, i to nie John kochał się z nią, gdy do ich pokoju zaglądał szary świt, ale Karl — czuła ręce Karla, usta Karla, ciało Karla napętniające ją niespieszną, wymyślną rozkoszą.

Nie była to najlepsza pora roku na zwiedzanie, z czego Sam doskonale zdawał sobie sprawę, ale odczuwał potrzebę przespacerowania się, a poza tym chciał trochę poznać miasto. Z mocnym postanowieniem otworzył trzymany w ręku przewodnik i zaczął iść wzdłuż Weihburggasse, w kierunku Franziskanerplatz, niewielkiego placu ze znajdującym się na nim kościołem franciszkanów. Zatrzymał się na moment na rogu placu. Podniósł głowę do góry i pozwolił, aby jego wzrok prześlizgnął się po starych dachach, a następnie spojrzął w dół, w kierunku łukowato sklepionego przejścia i biegnącej pod nim brukowanej uliczki prowadzącej na malowniczy, osłonięty ze wszystkich stron dziedziniec. Stary Wiedeń.

Wszedł do prawie pustego kościoła i przysiadł na chwilę w jednej z bogato zdobionych ław kościelnych, mając za towarzystwo jedynie jakąś kobiecinę o zastraszonej wyłudzie i długowłosego chłopaka. U stóp każdej z połączonych figur znajdowały się starannie ułożone kwiaty. Wyciszone zakamarki i kąty, w których przytłumione światło wyłuskiwało z ciemności marmurowe płyty, pokornie usuwały się w cień w zetknięciu z górującymi nad nimi bogato zdobionymi ścianami i sufitem. Przesunął wzrokiem po rzeźbionych ścianach; jego spojrzenie zatrzymało się na wizerunku Chrystusa. Na przystojnej, pełnej łagodności twarzy brak było jakiegokolwiek śladu bólu, cierpienia, udręki, czy choćby najmniejszej oznaki niezadowolenia z ludzkiego szaleństwa, na które zmuszony był teraz spoglądać. Sam z udręką wciągnął powietrze. To nie było jego miejsce, nigdzie nie było dla niego miejsca. Opuściło go nawet poczucie przynależności narodowej.

Podmuch wiatru szarpnął poły jego płaszcz, kiedy wychodząc zamykał za sobą ciężką drewnianą bramę. Zadrżał z zimna i ruszył w dalszą drogę, ale zatrzymał się i uśmiechnął na dochodzącą z czyjegoś radia czy magnetofonu piosenkę. Scott Mackenzie. Pomyślał sobie, że to nieco dziwne, że stoi tutaj, w Wiedniu, w środku zimy,

z wiatrem świszczącym mu w uszach, i słucha sobie melodyjnych dźwięków „San Francisco”, które dla niego brzmiało jak wezwanie. Tak, wezwanie, żeby przypomniał sobie całą tę lekkomyślną, rozmarzoną i zapierającą dech w piersiach młodość, gdyż wyobrażał sobie, że młodość, ta arogancka młodość w końcu zmieni świat. Poczuł, jak ze wzruszenia ściska go coś w gardle, kiedy w oczach stanął mu jak żywy szalony i wspaniały obraz Pop Festiwalu w Monterey. Muzyka połączyła ich wszystkich nierozzerwalnymi więzami — Hendrix, Joplin, The Mamas and The Papas, Otis Redding. Policjanci z wiankami kwiatów na szyjach. Wszystko, wszyscy wydawali się emanować ciepłem, życzliwością. Tego długiego, gorącego lata rozpalającego miłość, kiedy wszystko było dozwolone, stracił dziewictwo. Ale tamte sny i marzenia, wszystkie sny i marzenia rozwiały się i zginęły, a przynajmniej tak mu się wydawało. Jego ojciec nazwał ich stosunek do życia „bezgraniczną i bezkrytyczną uległością zachciankom”, jego matka zaś tylko się uśmiechnęła i powiedziała, że im zazdrości.

Sam potrzęsnał nieznacznie głową i ruszył dalej. Jakim -że dzieckiem był wtedy. Ale przecież, przez jakiś czas, miało to swój sens, tak by się mogło przynajmniej zdawać. Ludziom naprawdę na czymś wtedy zależało. Jego wspomnienia zaczęły wygasać. Co robiła wtedy Natalie? Była w pierwszej klasie. Wzruszył ramionami, odpychając od siebie obraz jej twarzy. Byłaby urzeczona tym wszystkim, ale urodziła się za późno. Tyle że, jakby rekompensując sobie tę stratę, Natalie zaczęła używać później, kiedy muzyka i kwiaty zostały złożone do grobu. Syciła się dziedzictwem lat sześćdziesiątych jak eliksirem życia. Zastanawiał się, czy komukolwiek mogło przyjść do głowy, że w okresie kiedy miała dostęp do dokumentów związanych z najbardziej poufnymi i delikatnymi sprawami bezpieczeństwa narodowego, z których kilka należało do najsilniej strzeżonych tajemnic, od dwóch lat była na

kokainie. Wyjawiała mu to później, podczas długiej nocy po ich ślubie, po stanowczo zbyt wielu kieliszkach szampana. Pamiętał, że prześcieradło miało błękitny kolor, a w poprzek, na tej błyszczącej satynowej powierzchni leżała nago Natalie. „Nikt o niczym nie miał najmniejszego pojęcia, Sammy... a przynajmniej nie ci, którzy się liczyli...” Roześmiała się później w swój niski, gardłowy sposób. „Nikt nigdy nie odkrył tajemnicy słodkiej, małej Natałki...” Jej rozbiegane spojrzenie w końcu usadowiło się na jego twarzy. Uśmiechnęła się w sposób, który dopiero miał tak dobrze poznać, i rozchyłając swoje brązowe uda powoli przesunęła szczupłe, pewne palce po brzuchu, niżej i niżej, aż do ciemnego wzgóрка, wtedy wyprężyła się, a jej wygięte w łuk ciało zaczęło wic się na śliskim prześcieradle. Stał w progu jak sparaliżowany, nieprzytomny z pożądania, a jej dłonie nabrały znów życia i przesunęły się pewnie i powoli w górę, aż pieszczotliwie zamknęły się na piersiach... Sam zamknął oczy, jakby próbując wyprzeć z umysłu ten obraz. Słodka mała Natałka.

Gdy zbliżał się do Kärntner Strasse, przenikliwy ziąb zmusił go do wstąpienia do kawiarni, gdzie usiadł przy laminatowym stole przyglądając się spieszącym w mroźnym powietrzu przechodniom. Zamówił filiżankę gorącej czekolady i podnosząc ją do ust poczuł, jak mrowią go palce i jak pod wpływem gorącego, słodkiego napoju jego ciało zaczyna tajać. Przyjeżdżała za wcześnie, stanowczo za wcześnie, nie był jeszcze na to przygotowany. Westchnął i wpatrzył się w gładki, okrągły brzeg filiżanki. Mówiła o trzech tygodniach i żadna perswazja, ani czynna, ani słowna, nie mogła sprawić, żeby zmieniła zdanie; udało jej się nawet odszukać go w Hofburgu i wyciągnąć z przyjęcia, pod pretekstem jakiejś pilnej sprawy, co okazało się kłamstwem — ta „pilna sprawa” dotyczyła bowiem daty i godziny jej przylotu. Ogarnął go niepokój, kiedy pomyślał o Joannie, wiedział bowiem, że Natalie



będzie nieskończenie czarująca i aż rozplywająca się w uczuciach. Nawet w stosunku do niego — to również wiedział. Przynajmniej o tyle dobrze, że będzie mieszkała w hotelu, w związku z czym jej wizyty będą z nim uzgadniane, a skoro tak, to już jego w tym głowa, żeby uzgadniać je w zależności od jego życzeń. Jednak gdzieś w zakamarkach mózgu kołatała mu się smutna i przykra świadomość własnej słabości i nagle zaczął powątpiewać, czy jego zdecydowanie okaże się wystarczająco mocne, ponieważ wiedział, że nawet teraz, po tym co się zdarzyło, Natalie znajdzie sposób, by nad nim zapanować. I znów w jego myśli wdarty się ukradkiem niepokojące, szydercze wspomnienia. Natalie, w dosłownym tego słowa znaczeniu, uwiodła go; powoli, niezmiernie powoli doprowadzała go do szczytu gorączkowego pożądania, aż wreszcie pod wpływem precyzyjnie kontrolowanych ruchów palców i języka wydał z siebie krzyk rozkoszy. Nawet tutaj, w tym anonimowym wiedeńskim lokalu, nie mógł uciec od wspomnień, które powodowały, że do twarzy napłynęła mu krew, a w jego lędźwiach budziło się lekko drażniące i nieokiełznane pożądanie. Tak, może to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu, może i na innej planecie, ale od czasu ich separacji w jego życiu nie było nikogo innego i to stawało się niebezpieczne. Spojrzał w okno i stłumił tę myśl. Nie miał ochoty myśleć o tym teraz, kiedy właśnie hołubił w sobie nowo odkrytą wolność. A poza tym, czyż nie było na świecie innych kobiet? Mimo jednak tej próby pocieszenia się w wyobraźni widział jedynie twarz Natalie, jej czerwone, wilgotne usta, rozchylone wargi i jej zręczny języczek dotykający doskonale białych zębów.

— Może ci się wydawać, że jest tu trochę zbyt sztywno, ale jedzenie jest bardzo dobre, a obsługa doskonała...

Laura odpowiedziała mu spojrzeniem, uśmiechając się lekko. Dobrze sobie radzi z kobietami, pomyślała, co przy jego doświadczeniu było zrozumiałe. Nie mogła sobie

wyobrazić, że Andrew zawracałby sobie głowę wyjaśnianiem wyboru tej czy innej restauracji — po prostu wziąłby ją gdzieś, ponieważ było blisko, lub dlatego, że akurat miał ochotę na curry lub kuchnię chińską. Przypomniała sobie jego twarz wieczorem przed jej wyjazdem z Londynu: trochę posępną, z szerokimi ustami o wąskich wargach i malującym się na nich lekkim grymasem, inteligentne oczy, opuszczone lekko w dół, kiedy bawił się łyżeczką do herbaty. Pożegnalna kolacja w restauracji Bombay Brasserie... będącej jego wyborem... nawet wtedy. Andrew odkrył jakiś sposób na to, żeby zawsze stawiać na swoim przy najmniejszym nakładzie sił, i była to jedna z tych rzeczy, które ułatwiły jej decyzję wyjazdu do Wiednia. Zmarszczyła czoło, bo nie było tak zawsze. Na początku ich znajomości starał się wywierać na niej jak najlepsze wrażenie, sprawiać drobne przyjemności. Później jednak sprawianie przyjemności nabrało cech obowiązku, a chęć wywierania wrażenia gdzieś się ulotniła. Laura przypuszczała, że być może znaleźli się w jednej z tych sytuacji, kiedy zażyłość prowadzi do lekceważenia. Być może więc dobrze się stało, choćby z tego powodu, że wyjechała z Londynu — zyskiwała czas, w którym pewne zawołowane jak dotąd różnice między nimi, grożące zniszczeniem ich związku, nabiorą konkretnego kształtu. Oczywiście tęskniła za nim, nie mogła się oszukiwać, ale nie można powiedzieć, żeby, od czasu jak zamieszkała w Wiedniu, Andrew narzucał się ze swoimi telefonami, no i wysłał tylko jeden, jedyny list. Ale cóż — mógł teraz swobodnie realizować swoje pomysły i zamiary, i to ona, nie kto inny, podała mu tę wolność na tacy. Przy tym wszystkim Andrew był przystojny i, kiedy chciał, czarujący. Dlaczego miałyby tracić czas na pisanie. Dlaczego miałyby siedzieć w domu, zamiast chodzić na przyjęcia i do nocnych klubów? Właściwie dała mu na to wszystko *carte blanche*. Z tym że Andrew nie przepadał za nocnymi klubami.

Westchnęła do siebie i odsuwając z wysiłkiem narzucające się jej myśli, skupiła uwagę na menu przebiegając wzrokiem kuszące nazwy ryb, skorupiaków, cieleciny oraz zimnych i ciepłych sałatek. Ralf ułatwił jej pewne decyzje: po królewskiej kolacji w Imperialu zjadł z nią lunch, po czym po prostu zaprosił ją na następną kolację w czasie weekendu. Trudno było znaleźć powód, aby mu odmówić, a poza tym nie był natarczywy — nie nalegał, nie stosował prymitywnego podrywu, nie zapraszał jej „na kawę” do swojego mieszkania. Dopiero lata doświadczeń nauczyły ją, że przyjęcie zaproszenia „na kawę” w swoim ukrytym znaczeniu oznaczało zgodę na seks. Czasami zastanawiała się, czy nie brakuje jej trochę bystrości.

— Wydajesz się czymś pochłonięta, Lauro.

Głos Ralfa wyrwał ją z zadumy i po raz kolejny zdziwił ją jego angielski, prawie że doskonały z wyjątkiem tej ledwie słyszalnej, ale nie dającej się nie zauważyć nutki obcego akcentu.

— Przepraszam... ale miałam naprawdę gorący tydzień... Dzieliłam swój czas na zajęcia w ambasadzie i sprawy konferencji, i chyba dopiero teraz czuję, że wracam na ziemię. — Nie do końca było to zgodne z prawdą, ale nie miało to teraz żadnego znaczenia.

— Twój ambasador chyba będzie szczęśliwy, kiedy znowu będzie cię miał tylko do swojej dyspozycji.

— Tak... myślę, że tak. — Spojrzała na niego.

— A przed tobą jeszcze trzy lata w Wiedniu...? Drgnęła. Trzy długie lata.

— Tak, to fakt.

— Twój entuzjazm nie ma sobie równego.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. Ostatecznie, masz prawo do nostalgii; nie jest łatwo przenosić się do nowego miejsca, do nowego kraju co trzy lata, zostawiając swoich przyjaciół i ukochanych.

Laura dostrzegła na jego wargach uśmiech współczucia.

— Na pewno nie.

— I jest ktoś specjalny, kogo zostawiłaś? Zawahała się na chwilę. — Tak... czy to tak bardzo po mnie widać?

— Z twojej twarzy można dużo wyczytać. Poczula, że się rumieni. Mówienie o Andrew i o niej wydawało jej się rzeczą dość intymną.

— Istniało między nami coś w rodzaju totalnego braku porozumienia.

— Ach...

— Konflikt pomiędzy jego i moją karierą.

— I ty zwyciężyłaś?

— Nie jestem tego już taka pewna... — wyznała i uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Wybacz. Nie chciałem wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

— Nie przepraszaj — powiedziała szybko. — A poza tym nie jest to najlepszy temat do rozmów w sytuacji, kiedy się otrzymało uprzejme zaproszenie na kolację.

— Z mojej strony to żadna uprzejmość. Bardzo mi dobrze w twoim towarzystwie — skłamał. Oprócz tego, że była nerwowa, była smutna, mimo to powstrzymywał swoją naturalną niecierpliwość ze staranną, wyuczoną łatwością. — Przy tym Wiedeń jest smutnym miejscem dla businessmana, który właściwie pojawia się tu przelotem.

Nie była to pełna prawda. Ralf przemknął spojrzeniem po jej twarzy, białej szyi i dekolcie. Laura naprawdę była niezmiernie atrakcyjna, i był przekonany, że w końcu jego zainteresowanie odpłaci mu z nawiązką.

— No, to może coś zjemy...

Przyglądała się mu, kiedy swoją uwagę przeniósł z powrotem na menu, a następnie na najbliższego kelnera, i zastanawiała się, skąd u niej ta nagła, ledwie wyczuwalna irytacja. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może stanowić dla kogoś „dobre towarzystwo”. Z drugiej

strony Ralfowi w widoczny sposób zależało na podtrzymywaniu z nią kontaktu. Więcej nawet, tak bardzo mu zależało na następnym spotkaniu, że wreszcie wyraziła zgodę — a więc nie chodziło mu chyba tylko o przyjaźń? Możliwe też, że po początkowych staraniach zastanawiał się, czy gra jest warta świeczki. W każdym razie, przywołała się do porządku, czy to ważne, czy ją podrywał, czy też nie? Może staje się zbyt przewrażliwiona? Zatopiła na chwilę wzrok w karcie, co dało jej możliwość ukrycia swojego zmieszania. Usłyszała odgłos rozlewanej do kieliszków wina.

— Corton-Charlemagne... wyborne białe wino, świetnie pasuje do skorupiaków...

Laura napotkała jego spojrzenie, kiedy podnosiła kieliszek do ust.

— A więc oprócz tego, że dobrze znasz się na winach, możesz się również pochwalić znajomością francuskiego?

— I włoskiego, i hiszpańskiego, i węgierskiego — dodał, a gdy zauważył, że Laura unosi brwi, wyjaśnił: — Są mi potrzebne w pracy.

— Musi być chyba bardzo interesująca?

— Rzeczywiście. — Przełknął trochę wina. — Chociaż wielu ludzi uważa komputery za nudziarstwo.

— Mam do czynienia z jednym.

— IBM?

— Skąd wiesz...? — spytała zaskoczona.

Ale Ralf uśmiechał się i Laura uświadomiła sobie nagle, że zaczyna jej się to wszystko podobać.

— Łatwo zgadnąć...masz ochotę pogadać na ten temat?

— Niespecjalnie.

Roześmiał się. Miał piękne zęby. W ułamku sekundy jego śmiech i to, co powiedział, sprawiły, że poczuła, jakby szalki jakiejś wagi przechyliły się w jej umyśle w drugą stronę, i stwierdziła, że zaczyna patrzeć na niego w zupełnie inny sposób. Od Andrew różnił go bardzo wygląd, co zresztą zupełnie niczemu nie przeszkadzało:

Ralf miał ciemniejszą karnację, a jego sylwetka była nieporównanie bardziej zwalista niż doskonale proporcjonalna sylwetka Andrew.

— Nie słuchasz.

— Przepraszam... myślami byłam bardzo daleko.

— Można wiedzieć, o czym myślałaś?

— Z kimś mi się kojarzysz — powiedziała, czując, że kłamstwo wywołuje u niej rumieniec.

— Ty też mi kogoś przypominasz.

— Naprawdę?

— Kogoś, kogo spotkałem będąc ostatnio w Grecji. Miała również ciemną cerę i była prześliczna. — Spojrzeniem uciekł w stronę okna. Laura wciągnęła oddech, czekając, a gdy już nic więcej nie dodał, sama przerwała ciszę.

— Mogę spytać, co się stało?

— Och, nic. Po prostu była za młoda, stanowczo za młoda — powiedział cicho. — Dopiero szesnaście lat, córka starego przyjaciela.

— Słysząc co najmniej rozczarowanie w twoim głosie. — I czuła, że to ją trochę złości.

— Rozczarowanie?... Nie, chyba nie. A na pewno nie takie, o jakim myślisz. — Rzucił jej spojrzenie. — Była jeszcze prawie dzieckiem. Podziwiałem jej czystość, jeśli nie brzmi to zbyt sentymentalnie, to wszystko. Uosobienie starej, pięknej Grecji. — Uśmiechnął się. Ale i tak ją miał. Nie miała pojęcia, mała Nina, co się święci, kiedy zamknął kuchenne drzwi i rozciągnął ją na zakurzonej podłodze. Tylko te jej oczy, wielkie, okrągłe, wilgotne oczy z malującym się w nich strachem. Odbierał od Georgiosa swój dług.

— Historia Grecji jest moim hobby. — Przechylił się nad stołem dolewając jej wina. — Może po kolacji miałabyś ochotę zobaczyć moją kolekcję rękodzieł, które zbierałem przez wiele lat. — Spoglądał w jej twarz z rozbawieniem, wiedząc, o czym myśli. — Mieszkam o pięć minut stąd idąc pieszo.

Wiedziała już o tym wcześniej oglądając plan Wiednia. Uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem. A więc wreszcie to się stało. Zaczyna się do niej przystawiać. Przesunęła wzrok na jego ramiona i potężne ręce leżące tak swobodnie na stole. Może nie miała racji. Wyglądałoby to co najmniej dziecinnie, gdyby odmówiła.

— Bardzo chętnie.

— To doskonale.

Ale nie było żadnej próby uwiedzenia, żadnych jednoznacznych czy niejednoznacznych usiłowań zmniejszenia dzielącego ich dystansu, fizycznego kontaktu. Przez całą jej wizytę zachowanie Ralfa było bez zarzutu. Nawet kiedy stali obok siebie w przyćmionym świetle alkowy, w której zgromadzona była większość jego kolekcji, dzielił ich starannie zachowywany dystans, co sprawiało, że musiała uważnie koncentrować się nie tylko na jego słowach, ale również na eksponatach. Stwierdziła też, że z zainteresowaniem wysłuchuje krótkiego i dość swobodnego pod względem merytorycznym wykładu na temat każdej z pokazywanych jej pozycji zbioru.

— Weźmy chociażby Pana — powiedział — który według mitologii greckiej urodził się tak nieziemsko brzydki, z rogami, brodą, ogonem i koźlimi kopytkami — że jego własna matka ze strachem uciekła od niego... — Włożył jej w rękę czarną, kamienną figurkę. Laura poczuła, jak ją całą odrzuca na widok dzikich, nieludzkich rysów patrzącej na nią twarzy.

Ralf zareagował z uśmiechem. — Według starożytnego kultu urodzaju Pan symbolizuje szatana, co niekoniecznie miało wtedy złe konotacje...był mistrzem orgii — zauważył cicho — jedynym bogiem, który umarł. — Odebrał od niej figurkę i położył z powrotem na jedną z oświetlonych półek. — Ale moją ulubioną postacią jest oczywiście ta oto dama — powiedział zdejmując z półki śliczną figurkę z brązu i stając przy Laurze umożliwił jej przesunięcie

ręką po okrągłych kształtach bogini miłości, Afrodyty. — Jak żywa, prawda?

W odpowiedzi tylko kiwnęła głową, ponieważ czuła, że do twarzy napływa jej krew — jego bliskość, jego ręce na jej rękach, jego głos i jego słowa podnieciły ją gwałtownie z zatrważającą łatwością.

Ale zaraz odsunął się od niej i nadal się uśmiechając, kończył zabawę w przewodnika muzealnego, podczas gdy ona zastanawiała się, czy drocząc się tak z nią nie prowadzi jakiejś sobie tylko znanej gry. Gdyż nie był złudzeniem sposób, w jaki na jej palcach zaciskały się jego palce, i nie był też złudzeniem jego gorący oddech na jej policzku, kiedy rozvodził się nad aż za bardzo oczywistymi urokami bogini miłości. Zaraz potem zaprowadził ją jednak z powrotem do głównego pokoju i cały nastrój przysnął. Ponownie stwierdziła, że Ralf ma doskonale wycucie przestrzenne, co przejawiało się choćby w wyglądzie tego pokoju, który wydawał się nie mieć końca, jakby biegł przez całą długość budynku. Dominującym kolorem była biel w przeróżnych odcieniach, a jedyny kontrast stanowiły postumenty na rzeźby z polerowanego drewna i pozostała część kolekcji greckich rzeźb, z tą różnicą, że te były wielkie, nie uszkodzone i nowoczesne. Największe wrażenie robił wspaniały taras z białą-czarną marmurową posadzką, z którego rozciągał się panorami-czny widok na miasto. Laurze aż zaparło dech na widok istnego morza pokrytych śniegiem dachów, rzęście oświetlonej reflektorami katedry św. Stefana i harmonijnego, bajecznego piękna Wiednia.

— To jest po prostu... piękne.

— Byłem przekonany, że ci się spodoba.

Później zrobił kawę, wysmienitą, aromatyczną turecką kawę. Wreszcie stwierdził po prostu, że chyba już czas do domu i że ją odprowadzi.

Chciała wziąć taksówkę, ale nie wdając się w jałową dyskusję zdecydowanie powiedział „nie”.



— To na Schellingasse, prawda?

Potwierdziła skinieniem głowy i zbliżając się do drzwi zastanawiała się, dlaczego czuła ślad rozczarowania. Nie zrobił ani jednego mylnego kroku, niczego, co można by zinterpretować jako próbę uwiedzenia, którego się spodziewała i którego tak naprawdę chyba chciała, czyż nie? Każda, nawet najmniej zaciekle feministka miałaby prawo nieźle zmyć jej głowę, pomyślała z ironią. Być może zbyt wiele czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostami brała udział w podobnej grze, i po prostu wyszła z wprawy? Chyba jednak najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem stanu jej uczuć i umysłu była po prostu staromodna, pocziwa ciekawość, bo cokolwiek by nie mówić i nie myśleć, Ralf był inny. Prześliznęła się koło niego, po raz kolejny wdychając delikatny, piżmowy zapach jego płynu po goleniu i starannie wypielegnowanego ciała. Ale było coś jeszcze, coś, czego nie mogła uchwycić, a co ostrożnie wkradało się niepostrzeżenie w jej podświadomość.

— Nie chcę, żebyś mnie zostawiała samą. Kristina spojrzała na matkę, wściekła na taki rozwój sytuacji. — Ależ ja muszę iść...

— Jestem chora.

— Lekarz powiedział, że nie ma się specjalnie czym niepokoić. — Kristina ze zniecierpliwieniem przesunęła wzrok na portret cesarza Franciszka Józefa I wiszący nad ogromnym kominkiem niczym jakiś starożytny i drogocenny zabytek. Powinniśmy pobierać opłatę za zwiedzanie „naszego ogniska domowego”, tego koncentratu starego Wiednia, za możliwość poodychania resztkami skwaś-niałego powietrza minionej epoki, myślała.

— Aaa tam, lekarze się akurat znają. „Nie ma się czym niepokoić” — powtórzyła z szyderstwem. — Mam chore serce!

— Lekarz powiedział, że jesteś zmęczona i że jednoczy dwudniowy odpoczynek...

— Nie obchodzi mnie, co powiedział. — Potrząsnęła głową, przy czym jej włosy, dziwnie odświętne dzisiaj, nie poruszyły się.

Kristina ledwie powstrzymała uśmiech; a więc matka znów używała jej lakieru do włosów, co oznaczało, że musiała się wspiać na piętro, do zajmowanej przez Kristinę części mieszkania.

— Mamo — powiedziała cicho Kristina — to dla mnie ważne. Chcę tam iść.

Stara kobieta spojrzała jej w twarz. — Po co, Kristino? Chyba nie jeszcze jeden mężczyzna, co? — Uśmiechnęła się, ale bez życzliwości.

— Właściwie nie... — w jej odpowiedzi czaiło się napięcie. — Rodzaj specjalnego zaproszenia. — Przynajmniej to było prawdą.

— Nie wierzę ci.

— Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz czy nie.

Jej matka zaczęła znacząco kiwać głową. — Nie obchodzi mnie — powtórzyła. I jeszcze raz z naciskiem: — Nie obchodzi mnie! Ktoś to w końcu wyryje na twoim nagrobku, Kristino.

— Muszę już iść, mamo.

— Nie zostawiaj mnie.

Na tym kończył się repertuar próśb, po raz ostatni jej głos brzmiał łagodnie, prosząco. Ich rozmowy rzadko wyglądały inaczej. Kristina przymknęła oczy. Nienawidziła jej w takich momentach, a najbardziej jej próśb. Przeszła przez pokój w stronę rzuconego niedbale na krzesło płaszcza, by go włożyć.

— No i spójrz na siebie... tylko spójrz! — słowa jej matki wybuchnęły wreszcie z całą zaciekłością, a jej pięści waliły w drewniane oparcie krzesła w bezsilnym gniewie.

Kristina starała się nie słuchać, koncentrując swoją uwagę na płaszczu — guzikach, pasku, miękkim czarnym welwecie.

— Masz za krótką spódniczkę, usta pomalowane zbyt czerwono... chyba wszyscy się z ciebie śmieją. — Przez chwilę się zdawało, że jej gniew opadł, a głos zabrzmiał ciszej i prosząco. — Czy naprawdę nie dostrzegasz tego, Kristino, że jesteś za stara na takie rzeczy, po prostu za stara.

Ale odpowiedzią było lekkie trzaśnięcie drzwi. Augustina została w pokoju sama, z wypomadowanymi siwymi włosami i trzęsącą się brodą, gotowa dalej mówić i mówić.

Na zewnątrz było mroźno i kiedy szła, pod jej nogami trzeszczał zmarznięty śnieg. Kristina wciągała zimne powietrze głęboko i powoli, starając się zapanować nad sobą i próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nikt tak nic potrafił wywoływać jej rozpacz, jak matka, niczym czarnoksiężnik wyczarowujący opary zła z nocnego powietrza. Zerknęła na zegarek — jej spóźnienie powinno być w normie, a do czasu, gdy dojdzie do Mahlerstrasse, jej twarz będzie pewnie lekko zmarznięta, ale przynajmniej zniknie z niej wyraz smutku. A jeśli się myliła, jeśli jednak wypełźnie spod makijażu i pogłębi drobniutkie zmarszczki, które zaczęły się formować wokół jej oczu? Westchnęła ciężko, obserwując, jak z ust wydobywa jej się biała mgiełka oddechu i ulatuje w ciemność.

— Kristina!

— Przepraszam, że się spóźniłam.

— Bzdura... do kolacji jeszcze przynajmniej kilka minut. Kiedy Monika odbierała od niej płaszcz, Kristina dyskretnie przebiegła wzrokiem po sukience swojej koleżanki. Zbyt dużo złota, stwierdziła po prostu, bez żadnej ukrytej myśli, i odetchnęła z lekkim uczuciem ulgi. Być może jej spódniczka rzeczywiście była zbyt obcisła, ale w porównaniu z Moniką ubrana była wręcz skromnie. Poza tym, pomyślała jakby na obronę, moje pośladki ciągle są jednym z moich najlepszych atutów... a tych aż tak wiele już mi nie zostało.

— Jeszcze raz serdeczne dzięki, że poratowałaś mnie w ostatniej chwili, już nie wiedziałam, co robić.

— Ależ, naprawdę, to żaden kłopot.

Co by było, gdyby wszyscy tu obecni mogli zobaczyć ten żaloszny kabaret w wykonaniu jej matki. Ale kierując się do salonu, uzmysłowiła sobie z nagłym poruszeniem, że prawdopodobnie by jej współczuli.

Napoje były smaczne i gdy po kilku minutach Kristina zaczęła się rozluźniać, odkryła, że jedyną osobą, którą tutaj знаła, oprócz Moniki i jej męża, był Austriak o imieniu Kurt, również uczestnik konferencji. Był sam i prawdopodobnie był homoseksualistą, jednym z nielicznych jej znanych, którzy z subtelnym lekceważeniem nie kryli specjalnie braku zainteresowania płcią przeciwną. Żeby tylko Monika, broń Boże, nie zdecydowała się posadzić jej obok niego... I, Panie Boże proszę, nie koło tego spasionego Greka, który, jak słyszała, próbował się nieudolnie przystawiać do jednej z zaangażowanych przy obsłudze konferencji dziewczyn. Rozglądnęła się po raz wtóry i jej uwagę zwrócił atrakcyjny Hiszpan. O nie, koniec z Hiszpanami. Jej dalsze rozmyślania przerwała Monika prosząc wszystkich do sąsiedniego pokoju jadalnego.

A więc jednak trafił jej się ten spasiony Grek, ale na całe szczęście sąsiadem z drugiej strony był jakiś sympatyczny Amerykanin. Na pierwszy rzut oka wydawał się jej młody, około trzydziestki, ale kiedy odwrócił się do niej i w pełni mogła zobaczyć jego twarz, oceniła, że prawdopodobnie są rówieśnikami.

— Sam Cohen — miło mi.

— Mnie również... — odpowiedziała mu także uśmiechem i od razu w jej głowie zadźwięczało pytanie, któremu nie potrafiła się oprzeć: żonaty? Od razu też ogarnął ją krótki palący wstyd.

Był to dla niej jeden z najprzyjemniej spędzonych wieczorów od długiego, długiego czasu. Stała się nawet czarująca dla swojego tłustego sąsiada, a sprawił to Sam.

Chyba rzeczywiście jej się spodobał. Potrafił ją rozśmieszyć, zdawał się być miłym, nieskomplikowanym mężczyzną, co odwiodło ją od przekonania, że tacy mężczyźni stali się wymarłym gatunkiem. Poprosił ją o numer telefonu.

— Ale on jest żonaty, Kristino... — powiedziała Monika podając jej płaszcz.

Kristina rzuciła na nią spojrzenie, by głosem nie zdradzić, co czuje.

Pozostali goście wyszli i zostały same, nie licząc męża Moniki, Herberta, który w pokoju obok nalewał sobie drinka.

— Nie wspomniał o tym — głos Kristiny zabrzmiał bardzo słabo.

— A czyż oni kiedykolwiek to robią? — odparła Monika z irytującym, protekcyjnym uśmiechem. — Wiem coś o tym. Kiedyś jedna z dziewczyn Herberta musiała go wyciągnąć z jakiejś narady, bo była do niego międzymiastowa: od żony. — Zaczęła pomagać Kristinie przy wkładaniu płaszcza. — Ma też małą dziewczynkę.

— Małą dziewczynkę — powtórzyła bezmyślnie.

— Oj, Kristino... — westchnęła z irytacją. Znała swoją przyjaciółkę od zbyt dawna, aby wdawać się w niepotrzebne uprzejmości i udawanie, zbyt wiele razy musiała ocierać jej łzy i nalewać czegoś mocniejszego. A przy tym ten jej nie kończący się konflikt ze swarliwą matką. Monikę przeszedł dreszcz. — Jak sądzisz, dlaczego posadziłam Christosa obok ciebie? — spytała po chwili, a widząc cień na twarzy Kristiny zaczęła tłumaczyć. — Wiem, że nie jest doskonały, ale jest mężczyzną, jest wolny i robi karierę. Mówił mi też, że mu się bardzo podobasz.

Kristina w milczeniu zapinała płaszcz. Thustawy Grek, który się zaleca do pańienek pomagających przy konferencji. Tylko to jej zostało.

— Muszę iść, Moniko. Zrobiło się późno. — Odchrząknęła.

— Tak mi przykro... — odpowiedziała Monika.

— Było wspaniale.

Wyszła i mimo iż wiedziała, że przyjaciółka nadal za nią spogląda, nie była w stanie się odwrócić, pomachać i pożegnać się z nią — by w jej oczach nie zobaczyć współczucia.

— Wyglądasz cudownie. — John napawał się ślicznymi kształtami swojej żony, osłoniętymi sukienką z czarnego aksamitu, której obcisły stanik uwydatniał wspaniałe ramiona i białe, kształtne piersi, za którymi tak przepadał. Elizabeth doskonale pasowała do przepychu zamku, jak gdyby to ona była jego panią, a nie delikatna austriacka hrabina, która powitała ich w progu. Pochwycił spojrzenie żony, kiedy zapinała szafirowe klipsy, które dał jej na pierwszą rocznicę ślubu. Nigdy nie zapominał. Ale Elizabeth nie była do końca jego, nigdy nie była do końca jego. Zadawał sobie pytanie, czy nie kochał jej za bardzo.

— Dziękuję, John. — Rzuciła mu przelotny uśmiech i dodała: — Ty sam wyglądasz bardzo dystygowanie.

Tym razem obdarzyła go pełnym, niewymuszonym uśmiechem, przeznaczonym tylko dla niego. Szybko odwrócił od niej spojrzenie, ponieważ gwałtownie zapragnął jej bliskości, a wiedział, że to dostrzeże; zaschło mu w ustach i ogarnęło go przemożne, oszłamiające pożądanie. Elizabeth przystanąła przed lustrem widząc w nim odbicie twarzy męża i malujący się na niej rumieniec. Dostrzegła też w jego oczach nieposkromiony entuzjazm i wręcz nabożny podziw, kiedy przypatrując się jej zauważył rozchylone wargi i rozjaśniającą się twarz żony. W tym momencie istniał tylko John, świat pozostał gdzieś daleko i wszystko stało się nagle tak proste. Czasami potrafił poruszyć ją do głębi, dotknąć samej jej duszy i powstrzymać rodzącą się w niej pokusę i przekłętą poczucie winy, które zaczynało czynić jej życie nieznośnym. Czując ukłucie wstydu ujęła jego twarz w dłonie i przygarnęła go do siebie. John oparł głowę w zagłębieniu jej szyi i otoczeni ciszą stali tak przez dłuższą chwilę.

— Dlaczego tak łatwo dajesz mi nad sobą zapanować, John...? — wyszeptała. — Nie powinienes mi na to pozwolić...

Podniósł głowę i popatrzył jej prosto w twarz. — Ponieważ zawsze tak było — powiedział z chłopięcym i nieco smutnym uśmiechem. — I nic na to nie jestem w stanie <sup>1</sup> poradzić.

Uniosła głowę i przesunęła wargami po jego ustach, rozdzielając je delikatnie językiem, chcąc, żeby ją wziął. Nieomal natychmiast jej zamysł został zrozumiany. Jego

mocne ręce zaczęły się zsuwać po plecach Elizabeth, a gdy przycisnął ją do siebie i poczuła rosnącą twardość, spazmatyczny skurcz zatamował jej oddech. John jęknął głucho i z frustracją oparł czoło na jej czole. — Jest jeszcze trochę czasu, John... Wciągnął powietrze. — Ale twoja sukienka... — Och, John, John... — powiedziała z łagodnym rozdrażnieniem. — To głupstwo... podciągnij ją... podciągnij... — Jej usta znów dotknęły jego ust, a później przesunęły się w stronę jego ucha. — Chcę, żebyś był u mnie już teraz, John, nie później.

I on też tego pragnął, och, jak bardzo tego pragnął. Chwycił jej sukienkę i zaczął ją podciągać w górę, odsłaniając biodra i wspaniale krągłe pośladki. Powoli oparł

Elizabeth o ścianę i lekko uniósł, aby móc łatwiej do niej wejść. Już nie było samokontroli, nie było niedomówień — istniało tylko jego pożądanie i jej łakoma akceptacja. Jej nogi oplotły się wokół jego ciała i zaczęła ich ogarniać rosnąca fala namiętnej rozkoszy, coraz większa i większa, i były już tylko jej zaciśnięte oczy i otwarte, błagające usta. Błagające usta Elizabeth, dyszącej jego imię.

Sophia wyglądnęła przez okno i jej wzrok napotkał cienką, szarą nić zmierzchającego nieba, nabierającego coraz ciemniejszej barwy. Dalej widać było ogromne strzępy purpurowej chmury, które wiatr zwiewał razem

i które zmazy wały z nieba gwiazdy jedna po drugiej, aż została tylko jedna — ostatnia iskierka światła, przy której, jak dziecko, zaczęła sobie wróżyć.

— Gotowa?... Świetnie.

Głos jej matki. Słyszała wprawdzie ciche pukanie do drzwi i jej nieśmiałe kroki, gdy weszła, ale nie odwracała się. Utkwiła wzrok w swoich długich szczupłych palcach ze starannie obciętymi i wypolerowanymi paznokciami, które zwykle wy brudzone były tuszem lub węglem.

— Proszę, Sophio — głos jej matki pobrzmiwał gorącą prośbą. — Zrób to dla mnie.

Sophia zamknęła oczy.

— To tylko kilka godzin — Genevieve z lekka westchnęła. — Twojemu ojcu tak na tym zależy.

— Dlaczego, mamó? — spytała w końcu.

— Sophio, Sophio. — Genevieve ogarnęła wzrokiem śliczną postać córki. Sama uczesała swoje długie, kasztanowe włosy, sama też wybrała jasnoróżową sukienkę i delikatny łańcuszek na szyję. — Już przecież mówiłyśmy

O tym. Masz prawie osiemnaście lat i nadszedł czas, abyś przy okazji niektórych, bardziej oficjalnych kolacji zajmowała miejsce przy ojcu i przy mnie.

— Opuściłam lekcję.

— Wiem, ale tylko ten jeden raz. Poza tym, pójdziesz w przyszłym tygodniu.

— Czy rozmawiałaś już z ojcem o moich studiach? — Odwróciła się powoli i Genevieve poczuła, jak pod wzrokiem córki zadrżały jej powieki. Odwróciła twarz. Nie teraz, Sophio, pomyślała.

— Nie — rzuciła szybko. — Jeszcze nie.

Oczy Sophii stały się nagle wielkie i lśniące, jak u przerażonego szczeniaka.

— Wybacz mi, mamó — powiedziała miękko. — Byłam taka niemą, a przecież wiem, że to nie twoja wina.

— Nie masz za co przepraszać. — Genevieve objęła ją

1 powtórzyła: — Naprawdę nie ma za co.



— Chodzi o to, że wszyscy będą dużo starsi ode mnie. Co mam mówić? Jak przetrwać cały ten wieczór stojąc i rozmawiając. O czym, mam?!?

— Jesteś czarującą młodą damą, Sophio, nie zapominaj o tym — odpowiedziała Genevieve. — Mów o swoich zainteresowaniach artystycznych, o Austrii. Pamiętaj, że większość naszych gości pochodzi z różnych stron świata

I tak naprawdę niewiele wiedzą o Wiedniu i Austrii. — Uśmiechnęła się.

— Pamiętaj też, żeby pytać i słuchać, w tym bowiem leży sekret.

Będziesz zdumiona, jak wielu ludzi uwielbia mówić o sobie samych!

Na usta jej córki zawitał bladziutki uśmiech, co wywołało u Genevieve ledwie słyszalne westchnienie ulgi. Być może ostatecznie wszystko skończy się dobrze... Gdyby jeszcze nie ta sprawa z wyborem studiów i nieugięta postawa Felixa. Skłamała córce, ale w tych okolicznościach nie miała innego wyboru. Pamięcią wróciła do rozmowy z Felixem w samochodzie; czas nie był wybrany najlepiej, do tematu trzeba będzie wrócić kiedy indziej. Jednak mimo próby przekonania się, że coś się da zrobić, w sercu Genevieve pojawił się cień lęku rozdzierający jej opanowanie i spokój, i aż nazbyt dobrze znane uczucie niepewności i bezsilności zaczęło się wsączać w jej umysł.

— Mamo?

Z niespokojnych myśli wyrwał ją głos Sophii.

— Przepraszam, zamyśliłam się, jak zwykle zresztą. — Genevieve uśmiechnęła się z wysiłkiem i zauważyła na czole córki lekką zmarszczkę. Miały do sprawdzenia jeszcze potrawy na kolację i rozlokowanie gości przy stole. No i Felix na pewno już czeka. Przełknęła ślinę i wyciągnęła rękę do Sophii.

— Chodź, bo się spóźnimy.

Dan Gurney popijał swoją ulubioną wytrawną sherry. Uzmysłowił sobie, że usytuowanie Schloss Bletz robi wrażenie: to jezioro otoczone lasem i ten majestatyczny,

samotny skrawek ziemi były jak wyjęte wprost z zamierchłej przeszłości. Żałował jedynie, że nie lubi hrabiego Dhoryäny, gospodarza, ale polubienie ludzi takich jak on należało do trudnych zadań i nawet się go nie próbował podjąć — nauczył się był tego przed wielu już laty. Dobrze jednak, że nie musi udawać sympatii do reprezentowanej przez Felixa na konferencji Austrii. Stosunek Austriaków do zagadnień ekologicznych był jednoznacznie pozytywny, a ich walka z zanieczyszczeniem środowiska rzeczywiście skuteczna na całym prawie obszarze, prócz części graniczących z krajami Bloku Wschodniego — tu przegrywali z kretesem, gdyż ich sąsiedzi całkowicie utracili kontrolę nad nasilającym się zanieczyszczeniem środowiska w ich krajach.

— Zdaje się pan być niezmiernie pogrążony w swoich myślach, panie ambasadorze.

Dan odwrócił się energicznie i znalazł się twarzą w twarz z gospodarzem.

— Myślałem o waszych problemach z sąsiadami. Na czole Felixa pojawiła się zmarszczka.

— Mówię o krajach Europy Wschodniej.

— Ach, tak.

— Tych kilka następnych miesięcy oznacza dla nas interesującą batalię.

— Przypuszczam, że zajmiemy się również zagadnieniem naszych „problemów z zachodnimi sąsiadami”, panie ambasadorze.

— Na imię mam Daniel. — Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że hrabia Dhoryäny mógłby się do niego zwracać „per Dan”. To było wykluczone.

— Danielu — z atencją powtórzył Felix i ciągnął dalej. — Jak by nie było, lista jest prawie niewyczerpana: toksyczne ścieki spływające do Renu i Morza Północnego, wymierające foki, ołów z benzyny samochodowej, kwaśny deszcz... — przerwał. — Wie pan oczywiście o tym, że Wielka Brytania ponosi prawdopodobnie największą winę

za powstawanie kwaśnych deszczów na terenach chociażby Szwecji i Norwegii i że Stany Zjednoczone emitują rocznie sześć milionów kwaśnych związków w kierunku wschodniej granicy Kanady...

— Tak, wiem o tym, hrabio Dhoryäny.

— Proszę do mnie mówić Felix.

— A więc — Felixie. Pański dom robi wrażenie — zauważył Dan zmieniając temat.

— Dziękuję. Należy do rodziny mojej żony od ponad pięciuset lat — powiedział i zaraz dodał: — Od czasów, kiedy nikomu nie śniło się nawet o Ameryce. — Kąciki ust wykrzywił mu sardoniczny uśmiech. — Główna wieża warowna pochodzi z początków dwunastego wieku, niektóre mury zewnętrzne i wieża wschodnia zostały dobudowane w gotyku, natomiast ten nieco dziwny dodatek w postaci wieży barokowej nastąpił oczywiście znacznie później.

— Oczywiście — powtórzył za nim Dan z nutą sarkazmu.

— Jak można się domyśleć, Schloss Bletz oprócz wspaniałego wieku ma równie wspaniałą historię. — Przesadnym gestem wskazał w stronę okna i tarasowatych ogrodów, jak gdyby przygotowywał się do przemówienia. — Nie wiem, czy panu wiadomo, że ta część Austrii została podbita przez Turków w pierwszej połowie szesnastego wieku...w głównym hallu jest nawet kolekcja tureckiej sztuki i oręża.

— Prawdę mówiąc, Felixie, robiłem specjalizację z historii Europy. Felix spojrzał na niego badawczym, ostrym wzrokiem.

— Czekałem też na odpowiedni moment — Dan ciągnął jak gdyby nigdy nic — żeby skomplementować to rokokowe malowidło na suficie w pokoju prowadzącym do ogrodu. To chyba Maupertsch, nie mylę się?

— Jestem pod wrażeniem, Danielu — Felix uśmiechnął się z przymusem.

— Obawiam się, że u nas, ludzi z kontynentu, tradycyjny obraz „typowego” Ameryka-

nina jest nieco zbyt tendencyjny — wyjawiał ze śmiechem, który Danowi zabrzmiał dość afektownie.

— No cóż, żyjąc uczymy się i zmieniamy, Felixie. Oczywiście Felixa wydawały się lekko rozszerzać, a jedna z brwi uniosła arogancko.

— Weźmy chociażby konferencję — mówił dalej Dan, uznając, że czas na sprawy zawodowe. — Spotkanie się przedstawicieli stu dwudziestu czterech krajów da nam prawdopodobnie wyśmienitą okazję, aby w niezbyt odległej przyszłości podjąć dość drastyczne kroki w sprawach ekologii.

— Na szczęście Austria może się poszczycić wspaniałymi wynikami na tym polu.

— To prawda.

— I cierpimy z powodu wszystkich naszych sąsiadów, a nie tylko „drogich przyjaciół” z Bloku Wschodniego.

— To również prawda, ale wszyscy będziemy musieli w pewien sposób ogarnąć sytuację szerszym spojrzeniem, a więc nie ograniczać się do „naszego kraju” czy „naszych najbliższych sąsiadów”. Problem ma wydźwięk globalny.

— To raczej idealistyczne podejście... Dla obywateli i ich rządów najważniejszy jest kwitnący stan ekonomii ich krajów... a „oczyszczanie” środowiska będzie kosztować masę pieniędzy, na wydanie których większość naszych „przyjaciół” przy stole konferencyjnym nie będzie przygotowana.

— Po raz kolejny się z panem zgadzam, Felixie, nie zostaje nam więc nic innego, jak przekonać ich, wyedukować lub okupić się.

— Czyimi pieniędzmi i pod jakimi warunkami?

— Po to właśnie tu jesteśmy, aby to rozstrzygnąć.

— Chciałbym bardzo podzielać pański optymizm, Danielu.

Dan westchnął w duchu, zastanawiając się, po co mu było wyciągać ten temat, tutaj i teraz. Spojrzał na salę,

zatrzymując spojrzenie na żonie gospodarza; ładna kobieta, z ładnymi rysami twarzy, ale odrobinę za szczupłą. Przez chwilę przyglądał się jej nerwowym ruchom, przypominała kukiełkę: szeroko otwarte oczy i sztuczny uśmiech przylepiony do twarzy.

— Kluczowym hasłem jest zmiana podejścia do zagadnień ekologicznych, Felixie — kontynuował Dan zmęczonym głosem.

— Póki w grę nie będą wchodziły zbyt duże pieniądze — obstawał przy swoim Austriak. — W końcu zawsze chodzi o pieniądze.

— Ale też ignorancję i głupotę. — Dan przymknął oczy i spojrzał z ociąganiem w twarz swojego rozmówcy, który pod wpływem jego wzroku stracił lekko rezon.

— Mamy do czynienia z wieloma trudnymi, skomplikowanymi zagadnieniami, oczywiście — wycofywał się ostrożnie Felix.

— To za mało powiedziane, Felixie. Przed nami długa i prawie bezkresna droga. — Pomyślał o Judy. — Wyrażanie dobrych chęci nic nie kosztuje, teraz jednak czeka nas ich realizacja, a to bez wątpienia okaże się bardzo kosztowne, kontrowersyjne i, prawdopodobnie, bardzo niepopularne w wielu przypadkach.

— No cóż, od czegoś trzeba zacząć. — Pasja, z jaką Felix to powiedział, była śmieszna, wręcz żenująca.

Dan obdarzył go uśmiechem, w którym jednak brak było wesołości. — Zgadza się, Felixie, trzeba, bo inaczej podążymy śladem dinozaurów.

— Słyszałam od twojej matki, że malujesz?... — zagadnęła Elizabeth wpatrując się w nieśmiałą, niepewną twarz Sophii.

— Trochę... — odrzekła wolno — ale wolę szkice, chociaż mój nauczyciel coraz bardziej nakłania mnie do zajęcia się akwarelami.

— Robisz portrety?

— Och, tak. — Pod wpływem ukrytego zapału jej oczy zrobiły się większe.

— Mam małego synka, czy mogłabyś zrobić jego szkic?

— Ale... jak dotąd robiłam szkice tylko mojej rodziny i kilkorga przyjaciół.

Elizabeth przyglądała się badawczo jej twarzy, o prawie doskonałym kształcie i łagodnym, sarnim wyrazie. Twarz Madonny.

— Mogłabym je zobaczyć?

Brazowe oczy Sophii uciekły w dół, ale jej śliczne usta wyrażały ledwie maskowaną ochotę.

— Bardzo proszę. — W głosie Elizabeth pojawiła się kusząca prośba.

Sophia uniosła wzrok i pokiwała głową. — Szkicowałam trochę rano w pokoju ogrodowym i zostawiłam tam swoje portfolio.

— Pokój przy ogrodzie... ach tak, twoja matka pokazywała mi go. — Elizabeth skierowała swój wzrok w stronę podwójnych drzwi. — To tu, obok. Pójdziemy je zobaczyć?

Sophia, nim odpowiedziała, rzuciła spojrzenie na salę; ojciec zajmował się Amerykaninem, a matka żoną niemieckiego ambasadora. Pokiwała głową i przez na wpół otwarte drzwi wyśliznęły się do wyłożonego kamiennymi płytami hallu. Elizabeth zadrżała z chłodu.

— Tu zawsze jest zimno, nawet latem — usłyszała jakby w odpowiedzi.

— Ale chyba lubisz swój dom?

Sophia zmieszła się, zawstydzona odkryciem jej tajemnicy. — Jest taki stary i taki potężny, jak majestatyczny i dostojny starzec.

— Kochała zamek, jego grube ściany, otaczające ją ze wszech stron poczucie solidności, ciemny, gęsty las, jego wiek, jego mądrość. Było w tym jakieś dziwnie pocieszające uczucie, że zamek będzie stał tutaj jeszcze długo po tym, jak odejdą jej rodzice, i po tym, jak i ona sama

odejdzie. Podniosła wzrok. Idąc za jej śladem Elizabeth dostrzegła górujące nad nimi wysokie sklepienie i masywny kryształowy żyrandol, przypominający klejnot, zwieszający się ze środkowego łuku.

— Zwykle stoi pusty w czasie zimy. Nie odwiedzamy go z obawy przed śniegiem, ale przy ładnej pogodzie często tu przyjeżdżamy. — Z ożywioną twarzą spojrzała na Elizabeth. — To również ulubione miejsce mojego ojca.

— Tak?

Sophia przytaknęła.

— I twojej matki zapewne?

Twarz Sophii jakby trochę pociemniała. — Nie za bardzo, jak mi się wydaje. — Nie była pewna, czy nie powiedziała za wiele, ale towarzyszka spodobała się jej. — Zginął tu brat mojej matki.

— Och... bardzo mi przykro.

— To było dawno temu, gdy matka była jeszcze dzieckiem.

— Co się stało?

— Wypadek... — przerwała, przywołując do pamięci obraz napiętej i niespokojnej twarzy matki. — Wpadł do jeziora. Kiedy to się stało, matka była przy nim, miała chyba dwanaście lat.

— Straszne.

— Tak. Nigdy o tym nie mówimy — przyznała speszona i znów zaniepokoiła się, czy aby nie powiedziała za dużo.

— No to co z tymi szkicami? — Elizabeth taktownie zmieniła temat.

Sophia uśmiechnęła się z ulgą i poprowadziła gościa do sąsiedniego pokoju.

Elizabeth na kilka długich sekund zatrzymała się w progu i po raz kolejny chłonęła wzrokiem pyszny sufit i pokryte delikatnym rysunkiem kasetony zdobiące trzy z głównych ścian. Przedstawiały ptaki, owoce, egzotyczne

nimfy i fantastyczne zawijasy. Wystrój czwartej ściany sprawiał wrażenie nowocześniejszego. Składała się z różnobarwnych witraży, pośrodku których znajdowały się rzeźbione francuskie drzwi prowadzące na szeroki, kamienny taras. Elizabeth wciągnęła głęboko powietrze i pomyślała sobie, że przepychem i pięknem tego pokoju można by obdarować kilka innych. Spojrzała poprzez witraże na widoczne za nimi jezioro, które ciemne i gęste leżało pod stromą ścianą sosen.

— Pięknie, prawda? — spytała cicho Sophia.

— Tak.

Głos Sophii oddalił się nieco i Elizabeth odwróciła się do niej. Portfolio leżało na niskim stoliku przy ścianie i kiedy Sophia odwiązała czarną wstążkę, wypadły z niego szkice, rozsypując się po podłodze jak konfetti. Elizabeth schyliła się pomagając je zbierać.

— Ależ naprawdę jesteś dobra! — wykrzyknęła Elizabeth delektując się widokiem jednego ze szkiców trzymany w ręce. — To oczywiście twoja matka. — Rysy twarzy Genevieve zostały uchwycone i rzucone na papier z mistrzowską dbałością o każdą kreskę i odcień; wręcz zbyt dokładnie — oddawały bowiem całą nerwowość i niepokój, które jej córce udało się wydobyć na powierzchnię z jakichś głębokich pokładów, tak że wyzierały teraz ze szkicu niczym nie osłonięte, wystawione na widok każdego.

— Matka za bardzo się wszystkim zamartwia... — powiedziała jakby usprawiedliwiająco i umilkła.

— A to oczywiście twój ojciec — stwierdziła Elizabeth przerywając tę nieco krepującą ciszę.

— Tak. — Sophia posłała jej badawcze spojrzenie. — Jest bardzo przystojny, prawda? — Z dumą raczej stwierdziła niż spytała, i cicho zaśmiała się. — Wszystkie moje przyjaciółki tak uważają.

— Tak, ja... tak, rzeczywiście.

— A to Gunther, mój brat, ale zrobiłam tylko jeden



czy najwyżej dwa jego szkice, ponieważ nie ma w nim nic ciekawego!  
Elizabeth studiowała z uwagą trzymane w ręku prace, a następnie ponownie zwróciła wzrok na twarz dziewczyny.

— Bardzo by mi zależało, żebyś zrobiła portret mojego syna, bardzo proszę.

Sophia uśmiechnęła się, wyraźnie rozpromieniona tym ukrytym komplementem. — Jeśli zgodzą się moi rodzice.

— Nie ma obawy, przekonam ich.

Sophia zaczęła wsuwać szkice z powrotem do teczki odwracając się nagle na odgłos otwieranych za nimi drzwi.

— A, tu jesteście — powiedziała wchodząc Genevieve i uśmiechnęła się z nerwową niepewnością do Elizabeth, widząc portfolio i szkice córki. — Zastanawiałam się, gdzie się podziewacie.

— Proszę mi wybaczyć... — powiedziała szybko Elizabeth — ale pochlebstwami nakłoniłam Sophię do pokazania mi jej prac. Muszę przyznać, że jest rzeczywiście bardzo dobra.

— Tak, tak, w zupełności się zgadzam. — Genevieve kiwnęła głową i zamknęła cicho drzwi.

— Tak sobie pomyślałam... czy zgodziłaby się pani, żeby Sophia zrobiła szkic mojego synka?

— Ależ oczywiście.

— Mama robi wszystko, żeby przekonać tatę, iż powinnam pójść na Akademię Sztuk Pięknych — włączyła się Sophia.

Genevieve odwróciła wzrok, jak gdyby zauważyła coś w ogrodzie.

— Mam nadzieję, że nie będzie trudno go przekonać... — podsunęła Elizabeth. — Chyba zdaje sobie sprawę z talentu swojej córki?

— Widzisz, mamó! — powiedziała Sophia z łobuzerskim uśmiechem.

Elizabeth zaskoczyło sztywne skinięcie głową Genevieve i jej wzrok powędrował w dół okrytych jedwabiem ramion zatrzymując się na małych dłoniach, które teraz zaciśnięte były tak mocno, że aż zbieleły jej kostki. Otrząsnęła się i ostentacyjnie popatrzyła na zegarek.

— Chyba mąż będzie się zastanawiał, gdzie jestem.

Genevieve drgnęła lekko. — Tak, oczywiście. — Zerknęła szybko na Elizabeth, a potem zwróciła się do córki. — Chodźmy, Sophio, nie dajmy na siebie czekać.

— O Boże! Nigdy więcej takich kolacji!

— Nie było aż tak źle...

— Och, owszem, John, było źle. Powinna otrzymać specjalną nagrodę. — Elizabeth westchnęła dramatycznie i kopnięciem pozbyła się butów. — A poza tym, to nie ty musiałeś spędzać cały wieczór siedząc pomiędzy naszym drogim gospodarzem a Oskarem von der... jak mu tam...

— Von der Heydenem — odpowiedział jej. — To ten od chemikaliów von der Heydena — dodał i zauważył ze współczującym uśmiechem: — Niezbyt rozmowny, jak się zdaje.

— Łatwiej wycisnąć wodę z kamienia niż z niego jedno słowo.

— Podobał mi się ambasador niemiecki.

— Tak, i jego żona też była sympatyczna. — Zmarszczyła lekko brwi. — Z żalem muszę jednak stwierdzić, że mój niemiecki nie umywa się nawet do jej perfekcyjnego angielskiego. Chyba się będę musiała bardziej przyłożyć.

— To samo mówiłaś o swoim francuskim.

— Dziękuję ci, John.

— Żartowałem.

Z uśmiechem potrząsnęła głową. — Przepraszam. Chyba jestem zmęczona, no i mamy raczej długi dzień za sobą.

— Przynajmniej wino było cudowne.

— I naturalnie dziękować za to możemy naszemu gospodarzowi... — powiedziała z sarkazmem, wyciągając się w łóżku, ze wzrokiem wlepionym w sufit. — Smakowałyby mi o wiele bardziej, gdybyśmy nie musieli brać udziału w tym idiotycznym cyrku jego pomysłu z degustacją — zawirowanie wina w kieliszku, oglądanie pod światło, wdychanie jego aromatu, smakowanie na języku i w końcu to ostatnie błazeństwo, kiedy odchylając głowę wlewał je sobie powoli wprost do gardła. —

Roześmiała się z irytacją.

— No, ale przynajmniej bawił cię.

— Tak, kiedy przypominał sobie, żeby przestać się gapić w mój dekolt.

— Felix?

— Tak, Felix.

— To chyba nie w jego stylu.

— Naprawdę, John.

— Dobrze, już dobrze, wierzę ci. — Podniósł ręce w udawanym geście obrony.

— Boże, ta biedna kobieta.

— Mają czarującą córkę.

— Tak, i to bardzo. — Elizabeth usadowiła się przed lustrem i odpięła klipsy. — Chce iść do szkoły plastycznej.

— No i są jakieś problemy? — John wszedł do łazienki.

— Sądząc z reakcji jej matki na moje niewinne pytanie — tak.

— Może mają inne plany w stosunku do niej. Zapiszczał kurek i woda zaczęła się wlewać do wanny.

Elizabeth przyglądała się swojej twarzy w lustrze.

— Sądzę, że tak.

— Przepraszam, ale cię nie słyszę — wymamrotał John czyszcząc zęby.

— Nieważne...

Jednak w jakiś sposób było to dla niej ważne, choć nie wiedziała dlaczego. Podeszła w stronę okna, ale za nim

była tylko nieprzenikniona ciemność; nie było księżycy, nie było gwiazd, nie było cieni. Wzdrygnęła się nieco słysząc krzyk sowy przeszywający głęboką, napiętą ciszę, i nagle ogarnął ją smutek, ponieważ ze Schloss Bletz emanowała ciężka, ponura atmosfera, wrażenie nie spełnionych i zagubionych marzeń, przerwanych i nie dokończonych, lub też nigdy nie powstałych.

Genevieve zaczęła szcztokować włosy. Pięćdziesiąt ruchów. Pięćdziesiąt rano i pięćdziesiąt wieczorem. Skończywszy, wzięła do ręki butelkę mleczka kosmetycznego i małymi skrawkami waty zaczęła przecierać policzki szybkimi, skierowanymi w górę ruchami. Pod wpływem tej czynności jej twarz zaczęła stopniowo nabierać nienaturalnego, świecącego wyglądu, jak gdyby zwitki waty czyszcząc skórę, zmywały też z jej twarzy cały kolor, cienie pod powiekami i zmarszczki, tak że oblicze, które spoglądało teraz na Genevieve z lustra, nie należało do niej, lecz do kogoś innego, jakiejś obcej osoby, która zjawiała się tylko nocą. Starła gładką warstwę mleczka tonikiem o barwie soku cytrynowego i sięgnęła po krem na noc, którego pozłacany i bogato zdobiony słoiczek nie wiadomo czemu przypominał jej jedną ze złotych bransolet zmarłej matki.

— W sumie udany wieczór.

Drgnęła na głos Felixa wychodzącego ze swojej garderoby.

— Tak, Felixie, zgadzam się.

— Simone była pijana.

— Tylko trochę, Felixie. Jestem pewna, że nikt nie zauważył.

— Na pewno zauważył amerykański ambasador... ciągle ścisnęła jego ramię... Dziękować Bogu, że nie przesunęła swojej ręki niżej, pod stół...

Genevieve zamknęła oczy.

— Skreślisz ją z naszej listy gości.

Nie odpowiedziała.

Felix przyglądał się sobie w wysokim garderobianym lustrze, a następnie zaczął zdejmować marynarkę.

— Można tylko mieć nadzieję, że wypłała na tyle dużo, że zaśnie od razu; byłoby koszmarem, gdyby w pijanym widzie zaczęła pałętać się po korytarzach w nocy.

— Ależ na pewno tak nie będzie, Felixie. — Oczy Genevieve otwarły się ze zdumienia.

— Ale chyba nie w mówisz mi, że jest racjonalnie zachowującą się kobietą, kochanie.

Z ledwie widocznym wyrazem dezaprobaty na twarzy Felix otworzył ogromną dębową szafę i starannie powiesił marynarkę na jednym z obciążonych materiałem wieszaków. Simone zrobiła mu scenę w szatni na parterze; dosłownie rzuciła mu się w ramiona, czepiając się jego koszuli, ocierając się o niego twarzą i swoimi wielkimi obwisłymi piersiami. Czuł niesmak: cóż jej wpadło do głowy? Ich krótki romans skończył się już wiele miesięcy temu, a mimo to nadal kleiła się do niego jak samica w rui. Przecież była już na tyle stara, na miłość Boską, żeby się zastanowić, co robi. Ich związek od samego początku był błędem.

Potrząsnął głową i zaczął zsuwać z nóg buty, po czym do każdego z nich włożył drewniane prawidła. Ta baba była maniaczką seksualną.

— Przeliczyłaś sztuce?

— Niczego nie brakowało, Felixie — odparła znużonym głosem.

— A moją kolekcję srebrnych miniaterek?

— Tak, Felixie. Sapnął z satysfakcją.

\_ Nigdy nie zapomnę tego weekendu zeszłego lata, kiedy gościliśmy tutaj prawie połowę całej nobliwej społeczności dyplomatów.

Genevieve westchnęła, wiedziała, co ją czeka.

— Przeróżające... brakowało czterech łyżeczek do deseru i dwóch srebrnych bażantów... tych karłowatych, które

kupiłem u Jacques'a Perrina w Paryżu... Nie wspominając już nawet tego kurduplowatego chama z ambasady rumuńskiej, który wypychał sobie kieszenie moimi cygarami. — Felix zaczął ściągać spodnie. — Przerazające... Coś takiego nie mogłoby się zdarzyć za czasów mojego ojca. — Potrząsnął głową. — Wojna zmieniła wszystko. — Sympatyczna była ta brytyjska para. Przerwał na moment rozbieranie, z jedną nogą nadal w nogawce. — A... tak. — W pamięci natychmiast odżył mu obraz Elizabeth Thornton. Uśmiechnął się do siebie. — Thornton jest bardzo bogaty. — Naprawdę? — spytała bez zainteresowania. — Tak. Warto by podtrzymywać tę znajomość. Genevieve przeszła przez ledwie oświetlony pokój. Paliła się tylko jedna lampa i smuga światła dochodzącego z łazienki wydobywała z mroku prostokąt wypastowanej, drewnianej podłogi. Dawniej był tutaj buduar jej rodziców, ogromny pokój z ciężkimi aksamitnymi udrapowaniami o barwie burgunda i starymi perskimi dywanami na podłodze. U wezgłowia stała masywna dębowa komoda z rzeźbieniami przedstawiającymi amorki i girlandy kwiatów. Prawdopodobnie, jak łóżko, była stylizowana; należała do jej rodziców, a później — do ojca Genevieve. Nigdy nie czuła się dobrze w tym pokoju, w tym łóżku. Uniosła kołdrę i wsunęła się w chłodną pościel. — Oskar był w dobrej formie. — Tak? — Jeśli tak, to nawet tego nie zauważyła. Dla niej Oskar był zawsze taki sam. Felix spojrzął spod oka na żonę. — Zdaje się, że Sophia bardzo mu przypadła do gustu. — Tak? — westchnęła do siebie Genevieve walcząc ze snem. — Jak tylko wyparują jej z głowy te artystyczne mrzonki, trzeba się będzie postarać, żeby spotykali się częściej.

Genevieve przełknęła ślinę, na wpół słuchając, nie chcąc akurat teraz wracać do tego tematu. Może jutro.

— Młodym dziewczynom różne bzdurne pomysły chodzą po głowie — ciągnął lekceważąco Felix.

Zacisnęła szczęki. — To nie jest bzdurny pomysł, Felixie. — Spojrzała na niego w końcu jednak sprowokowana. — I nie sędzę, by Sophia chciała, żeby wyparowały jej z głowy te artystyczne mrzonki.

— No cóż, będzie się musiała postarać. Niecierpliwym gestem Felix powiesił swoje nienagannie wyprasowane spodnie w szafie.

— Czy naprawdę nie możemy pozwolić jej na studia, chociażby przez rok, Felixie? Można by ją posłać do jakiejś pobliskiej szkoły, żeby nie musiała pozostawać poza domem.

— Nie, Genevieve. — Z kamienną twarzą odwrócił się do niej. — Zdaje się, że już przedyskutowaliśmy tę sprawę i powiedziałem — nie. Wszedł do łazienki.

— Felixie... — powiedziała błagalnie. — Sophia ma talent...

Z łazienki dobiegło ją dramatyczne westchnienie.

— Iluż artystów naprawdę ma talent, Genevieve, no, ilu? I czy to ty właśnie uważasz się za kompetentną sędzię, czy też może Frau Taucher?

— W jego głosie pojawiła się nuta cierpliwego ojca tłumaczącego coś dziecku, nazbyt naiwnemu i nie bardzo rozgarniętemu. — Mam nadzieję, że nie zachęcałaś jej do czegokolwiek?

Ukazał się nagle w smudze światła dochodzącej z łazienki, z gołymi, lekko rozstawionymi nogami, rozpinając nieskazitelnie białą koszulę drobnymi, ostrymi ruchami palców.

Nie odpowiedziała.

— Więc — zrobiłaś to czy nie?

— Wiem, jak mocno tego pragnie, Felixie — powiedziała cicho.

— Jest za młoda, żeby wiedzieć, co jest dla niej dobre, a co nie.  
— Proszę, Felixie. — W jej słabym głosie pobrzmiwała rozpacz.  
— Genevieve, chyba wystarczającą ilość razy powiedziałem „nie”.  
Zniknął ponownie w łazience, jakby tym samym kończąc dyskusję.  
— Tylko jeden rok... — Jej oczy zaczęły wypełniać się łzami.  
— Czy masz kłopoty ze słuchem? — Powiedział to podniesionym  
głosem, jak gdyby chciał mieć pewność, że tym razem nie będzie już  
wątpliwości, że go usłyszy.  
— Obiecałam jej, że porozmawiam z tobą o tym.  
— No i dotrzymałaś obietnicy, o co więc chodzi?  
— Ale nie o takiej rozmowie myślałam — powiedziała stłumionym  
głosem. Nie dość, że była śmiertelnie znużona, to jeszcze zaczęło jej się  
robić niedobrze.  
— Co takiego? — spytał wracając do pokoju.  
— Proszę, Felixie.  
Popatrzył na nią, jej drobną, białą twarz, wielkie, irytujące sarnie oczy, i  
poczuł ogarniającą go niewytłumaczalną pasję.  
— Chcę, żeby wyszła za Oskara.  
Po tych słowach, które padły jak nagły cios, zaległa ciężka, wręcz  
namacalna cisza. Nie miał wcześniej zamiaru powiedzieć jej tego w taki  
sposób, ale czczość ich rozmowy i niezwykły upór jego żony były nie do  
wytrzymania.  
Genevieve uniosła twarz. Jej oczy były rozszerzone i słychać było  
wyraźnie, jak rwie się jej oddech.  
— Nie możesz mówić poważnie — wyszeptała.  
— Na miłość Boską, Genevieve, przestań wyglądać jak słup soli! Oskar  
jest niezmiernie zamożnym człowiekiem, trudno o lepszą partię dla  
dziewczyny. — Ale nie każdej. Jeśli jakakolwiek dziewczyna miała  
poślubić von der



Heydena, dziewczyną tą musiała być jego córka. „Von der Heyden” było w niektórych, tych właściwych kręgach synonimem słowa „bogactwo”. A poza tym Oskar czuł się samotny, z czego zwierzył się mu nie dawniej niż w zeszłym miesiącu, no i ze sposobu, w jaki patrzył na Sophię, można było zgadnąć, że co najmniej podziwia ją, a więc przy odrobinie subtelnego podszeptu z pewnością uda się go przekonać, że śliczna, nie zepsuta Sophia byłaby dlań idealną żoną.

Genevieve wpatrywała się w niego w osłupieniu, niezdolna natychmiast zrozumieć to, co usłyszała.

— A więc to prawda?

— Oczywiście.

— Ale dlaczego? Dlaczego, Felixie?

— Dlaczego? — W głosie Felixa brzmiał ostry chłód, a jego usta wygięły się w zaciętą linię. — Nie bądź śmieszna.

Jakby nadal nie mogąc uwierzyć, kręciła bezsilnie głową, z pobladłą zupełnie twarzą. Felix zatrzymał na niej wzrok, ale uświadamiając sobie nagle, że stoi przed jej niewidzącymi oczyma prawie zupełnie nagi, sięgnął po szlafrok. Genevieve drgnęła usłyszawszy szelest materiału.

— Jest dla niej za stary, Felixie — Sophia traktuje go jak wujka.

— Oskar jest tylko o rok starszy ode mnie.

— Ale ty jesteś jej ojcem.

Jego oczy pociemniały na tę domniemaną obrazę. — Cóż za bystre spostrzeżenie, Genevieve. — Odwrócił się na pięcie i ignorując ją wszedł tym razem już na dobre do łazienki zamykając za sobą drzwi.

Genevieve wciągnęła głęboko powietrze, jak ktoś, kto próbuje dojść do siebie po ciosie w żołądek. Mechanicznie podniosła wzrok i objęła nim sufit i promieniście rozchodzące się belki; następnie przesunęła go na przeciwległą ścianę i potężny piec kaflowy, który, przysadzisty i okopcony, wtulił się w ciemny kąt. Z łazienki dochodziły

ją odgłosy kończącego toaletę Felixa, słyszała, jak poruszał się starannie wyważonymi, precyzyjnymi ruchami. Skrzypnięcie drewnianej deski sedesowej, przytłumiony dźwięk, jaki wydała rolka papieru toaletowego, z której odrywał ściśle odmierzoną liczbę arkusików — zawsze było ich sześć. Usłyszała, jak się trochę przesunął, jakby sadowiąc się wygodniej, a następnie stęknęcie, kiedy wypuszczał wiatry. Zacisnęła mocno powieki. Westchnęła spazmatycznie i chwyciła kurczowo ciężką kołdrę. Chciała wymazać ten wieczór z pamięci i zasnąć, ale pod powieką poczuła łzę, zbyt wielką, by ją powstrzymać.

W nocy nie padało już więcej. Dan przestąpił niecierpliwie z nogi na nogę wyglądając przez okno pokoju śniadaniowego na otulone mrozem ogrody. Miał dość Schloss Bletz, chciał wracać do domu. Domem, tym w Wiedniu, był jasny, przestronny apartament, którego okna wychodziły na wspaniały widok Karlskirche. W kuchni i przedpokoju unosiłby się tam teraz zapach kawy, on stałby przy kuchence smażąc jajka na szynce, zaś na stole, starannie złożona obok talerza i czekająca na przeczytanie, leżałaby „Herald Tribune”.

— Danielu, mam nadzieję, że dobrze się panu spało? — Felix kroczył w jego stronę przez długie i wąskie pokój.

— Tak, dziękuję. — Nieprawda. Było mu zimno, co zmusiło go do dokładnego przeszukania miliardów szafek w jego pokoju w poszukiwaniu dodatkowego okrycia. Później zaś Simone odczuła potrzebę złożenia mu wizyty. Zastanawiał się potem, kto jej powiedział, gdzie go znaleźć. Służąca? Felix? Na pewno nie. Całe szczęście, nie zareagował na jej gorączkowy pijacki szept spoza drzwi i w końcu zrezygnowała, on natomiast drżał z zimna w ciemnościach, dopóki jej niepewne kroki nie oddaliły się zupełnie i nie ucichły. Bawił się myślą, że mógłby ją wpuścić, aby go „rozgrzała”, ale tylko w sensie jak najbardziej dosłown-

nym — była to jednak rzeczywiście tylko zabawa z myślami; robił się za stary na takie rzeczy, a pijane samotne kobiety zdecydowanie nie były w jego guście.

— Widzę, że jest pan już po śniadaniu.

— Tak, przepraszam bardzo, ale jestem rannym ptaszkiem, poza tym naprawdę muszę wracać do Wiednia i skończyć raport, który ma być gotowy na jutro rano.

— To wielka szkoda. Miałem nadzieję, że będę mógł zaprosić pana jak i pozostałych gości na przechadzkę po okolicy.

— Prawdę mówiąc, Felixie, skorzystałem już z tej sposobności rano, nim ktokolwiek był na nogach.

— To dziwne, że nie spotkał się pan z moją żoną. Dan uniósł w zdziwieniu brwi.

— Nie mogła spać... i chyba trochę ją przewiało.

— Bardzo mi przykro.

— Och, to nic poważnego.

— Czy zejdzie na śniadanie?

— Nie, obawiam się, że nie — nalegałem, żeby wróciła do łóżka.

— Proszę w takim razie przekazać jej moje najlepsze życzenia i podziękowania.

— Oczywiście.

Patrzyli na siebie przez krótką niezręczną chwilę.

— Muszę jeszcze iść po bagaże.

— Już ja się tym zajmę.

— Ależ nie, naprawdę.

— Będę jednak nalegał — za coś przecież płacę służącym.

— Dziękuję — powiedział Dan dość beznamietnie i odprowadziwszy wzrokiem odchodzącego Felixa, opuścił pokój. Znalazł się w pełnym spokoju i ciszy ogrodzie, ale po raz kolejny został wyrwany z zamyślenia, gdy ktoś za nim wszedł do przyogrodowego pokoju.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, John. Dobrze pan spał?

— Jak suseł.  
— Chciałbym móc to samo powiedzieć.  
— Och... — John uśmiechnął się ze współczuciem.  
— Zaraz wyjeżdżam.  
— Tak wcześniej?  
— No cóż, oprócz tego, że czuję się nieco rozbity, mam po powrocie jeszcze trochę pracy.  
— Rozumiem. — John nalał sobie kawy. — Coś na posiedzenie plenarne?  
— Zgadza się — Dan westchnął lekko. — Czekam na oszacowanie przez Bank Światowy efektów, jakie mogą przynieść finansowane przez niego projekty.  
— Czy to ma związek z ideą „długu wobec natury”?  
— Jak najbardziej. — Dan potrząsnął lekko głową. — Która oczywiście nie podoba się bankom komercyjnym i którą oczywiście ciężko będzie wprowadzić w życie.  
— Zauważyłem, że jak dotąd przyjmowana jest raczej z umiarkowanym zapalem.  
— No cóż, jak na początek, to i tak nieźle.  
John pociągnął długi, przywracający życie łyk kawy.  
— No i jeszcze problem ratowania świata zwierzęcego.  
— To sprawa odrębnej komisji, której przewodniczą Szwedzi.  
— A propos, słyszał pan już o tym zamordowaniu brytyjskiego dziennikarza w Tanzanii?  
Dan skinął głową. — Siostrzeniec waszego ministra spraw wewnętrznych, prawda? — Pokręcił głową. — Kość słoniowa. A myślałem, że z tym zaczęliśmy już sobie radzić.  
— To tak samo, jakby się spodziewać, że Japońce będą zarzynali mniejszą niż dotąd ilość wielorybów.  
— Bez wątpienia słyszał pan, że mają nowy, „naukowy” plan polowania na wieloryby. — Dan parsknął z pogardą. — To bodajże zmarły już Sir Peter Scott nazwał go „międzynarodowym huligaństwem na pełnym morzu”.

— A oni oczywiście zaprzeczają wszystkiemu.

— Oczywiście.

Dan westchnął ciężko i pomyślał o swoim biurze i szerokim, długim biurku, na którym piętrzą się papiery, raporty i listy z protestami ludzi z całego świata.

— Dostaję listy z pomysłami na temat metod postępowania oraz różnego rodzaju sugestie od grup i organizacji tak tematycznie odległych od siebie, jak The Self-Employed Women's Association czy zespół ludzi pod nazwą Earthscan.

— Ja również. Niektóre z tych organizacji nie są najgorsze, z tym jednak wyjątkiem, że wszystkie żądają od nas, żebyśmy z dnia na dzień dokonali cudu.

— Ze szczególnym uwzględnieniem problemu lasów tropikalnych i spadku temperatury na całym globie, nie mylę się, prawda?...

Popatrzyli na siebie z sympatią.

— Te nowe zainteresowania są raczej dość mocno odległe od Madrytu i rozmów na temat praw człowieka.

— Czy też redukcji rakiet dalekiego zasięgu.

— Myślę, że może to napawać optymizmem — podsunął John cicho.

— Sądzę, że ma pan rację.

Do pokoju weszła Elizabeth i nie zauważona stała przez chwilę spoglądając na obydwu mężczyzn przyglądających się ośnieżonym wzgórzom za oknami.

— Mam nadzieję, że śnieg nie będzie już padać. Obydwaj odwrócili się gwałtownie na dźwięk jej głosu,

gdy stukając butami na drewnianej podłodze podchodziła do nich.

Dan popatrzył na nią z przyjemnością i nieznacznym uczuciem zazdrości.

To nie to samo, co pijana Simone. W ślad za nią pojawił się Felix, i Dan dopiwszy kawę, odłożył filiżankę na stół.

— Jak tam moje bagaże?

— Są już w pana samochodzie, w bagażniku — od-

powiedział Felix i nieomal natychmiast zwrócił swoją uwagę na Elizabeth.

— Dzień dobry — powiedział z głębokim ukłonem, który miał skryć jego spojrzenie przesuwające się po jej figurze. Johnowi gwałtownie zachciało się śmiać.

Po odjeździe Dana Felix przyłączył się do wspólnego śniadania i w chwilę potem uczynili to Sophia i nieco blady Oskar.

— Gdzie jest mama, tato?

Felix podniósł powoli głowę znad rozłupywanego z precyzją jajka na miękko.

— Jest lekko zaziębiona, Sophio, i nie zejdzie na śniadanie.

— Może pójdę i...

— Nie, nie trzeba — rzucił szybko i z nieoczekiwanym naciskiem.

Oczy Sophii rozszerzyły się trochę, ale zaraz przygasły pod jego zimnym spojrzeniem. Elizabeth wymieniła przelotne, ale znaczące spojrzenie ze swoim mężem.

— Kawy, Sophio? — spytała Elizabeth. Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Dopiero po krótkiej chwili skierowała swoją uwagę na pytającą.

— Tak, proszę.

Wszyscy, nawet Oskar, poczuli ulgę, gdy weszła Simone, z ręką w dramatycznym geście położoną na czole.

— Och, jak ja się czuję... ledwie żyję.

Felix zmarszczył brwi. — Może końska dawka kawy ci dobrze zrobi — zaproponował sucho i przesunął dzbanek w jej stronę.

Wydawało się, że go nie usłyszała, i nadal stała w drzwiach.

— Czy mogę coś pani przynieść? — spytała Sophia podnosząc się z krzesła.

Ręka Simone opadła powoli z czoła. — Jakie z ciebie dobre dziecko. Sophia zarumieniła się.

— Zdaje się, że pojedę do rygi.

Ale nadal stała w tym samym miejscu, bez ruchu, jedynie jej potężne piersi i nieszczęsny, obolały żołądek drgały nieznacznie uwięzione pod sukienką. Nagle jednak poruszyła się, i Elizabeth zdumiała się, z jaką szybkością zniknęła z pola widzenia. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy — jej nagle pobladła twarz, zniknięcie za progiem i pośpieszne kroki, które zatrzymały się gwałtownie, kiedy zaczęła wymiotować.

John przymknął oczy i odłożył na talerz trzymany w ręku kawałek chleba z masłem. Rzucił spojrzenie na Elizabeth, a potem na ich gospodarza.

Felix siedział w swoim krześle jak sparaliżowany, z zaciśniętymi wargami, a jego twarz nabierała coraz bardziej morderczego wyrazu, w miarę przeciągania się dochodzących z góry odgłosów.

W drodze powrotnej do Wiednia Elizabeth pogrążyła się w drzemce.

Wraz z Johnem uwolniła się od dalszego przebywania w Schloss Bletz pod brzęcącym przekonywajaco pretekstem, że możliwe są jeszcze większe opady śniegu. Przebudziła się, kiedy dojeżdżali do przedmieść Wiednia, i w tym właśnie momencie w szybę samochodu uderzył pierwszy podmuch śnieżycy przynoszący białe, zamarzniete płatki śniegu. Powoli uniosła powieki uświadamiając sobie, że tym, co ją obudziło, była muzyka dobiegająca z odtwarzacza kasetowego.

— Co to takiego?

— Co: co takiego?

— Muzyka.

— Nie mam pojęcia, to chyba jedna z kaset Grace. — Zerknął w bok na nią. — A co, nie podoba ci się?

— Owszem, podoba. — Elizabeth wyprostowała się, by móc patrzeć przed siebie. — Tyle że dawno tego nie słyszałam.

— Chciało jej się śmiać, śmiać z wyrachowania losu. „Hotelu California” słuchała pięć lat temu, w innym sa-

mochodzie, z innego odtwarzacza. Przełknęła ślinę, gdy w jej myślach pojawiło się jak nagła, dręcząca zjawą zmysłowo-słodkie, gorące wspomnienie tamtego długiego, bardzo długiego tygodnia z Karlem. John pochylił się do przodu i podgłośnił.

— Może być?

Pokiwała głową w odpowiedzi, niezdolna spojrzeć na niego i odpowiedzieć „nie”. Chrapliwy lament gitar wypełnił wnętrze samochodu, a z głośnika wylewały się strumieniem nieco egzotyczne słowa „...i wciąż te głosy wołające z daleka... pod lustrzanym sufitem piją mrożonego szampana...” Zachłysnęła się powietrzem i pozwoliła się unieść w przeszłość; muzyka pieściła jej pamięć niczym zręczne, niewidzialne palce „...możesz na chwilę zniknąć, ale nigdy nie odejdziesz naprawdę...”

Karl nigdy nie przepadał za jego głosem: Claude mówił z szybkim, wysokim staccato, wtrącając od czasu do czasu irytujący nosowy dźwięk.

— Chciałem, żeby to był już ostatni raz, Claude.

— Każdy zawsze tak mówi, mój drogi. — Roześmiał się.

— Ryzyko zaczyna być niewspółmierne do zysku.

— No, no, Monsieur Nielsen... aż tak źle nie jest. — Westchnął teatralnie.

— Dla mnie to zupełnie inaczej wygląda. No a przy tym ma pan w końcu przyjaciół, a owi przyjaciele są dla pana dobrzy.

— Chciałbym to przemyśleć. Zaległa krótka cisza.

— Może pan myśleć, ile dusza zapragnie, Monsieur Nielsen, a i tak zawsze wróci pan do poczciwego Claude'a z właściwą odpowiedzią.

Znam pana. Zadzwoń znowu, być może za dwa dni.

Karl zapatrzył się na jedną z białych ścian pokoju i na umieszczone starannie pośrodku dwie podłużne maski. Zrobione były z drewna, nieprawdopodobnie pięknego, czarnego jak atrament, i przedstawiały twarze, z zamkniętymi oczyma, zapadniętymi policzkami i mięsistymi, po afrykańsku pięknymi wargami. Nie były jednak takie same; uważny obserwator zauważyłby, że wargi kobiety były bardziej zmysłowe, rozchylone, z uniesionym prowokująco językiem. Karl przełknął ślinę. Natknął się na nie w Malawi, podczas pobytu w południowej Afryce. Pojechał tam jedynie z ciekawości, ale opuszczał ją



z głębokim, nieodpartym pragnieniem powrotu. Maski te były rzeczywiście czymś wyjątkowym i w związku z tym, co oczywiste, musiał za nie słono zapłacić — dwa tysiące dolarów za jedną — ale nie mógł ich nie mieć. Rzucił okiem na słuchawkę telefonu, co mu natychmiast przypomniało rozmowę z Claude'em i o tym, że nie ma co już na niego liczyć. Nieważne. Wrócił do swojej brandy, której nalał sobie wcześniej, i westchnął lekko. To naprawdę było po raz ostatni, a przynajmniej jeśli chodzi o ich wspólne interesy. Przytrzymał na chwilę trunek w ustach, a następnie przełknął powoli, pozwalając, by mu spływał ciepłą, przyjemną falą do żołądka. Przypuszczał, że na pewno trafi mu się coś innego, ale na razie nie chciał sobie zaprzętać tym głowy. Jego wzrok ześliznął się na maskę kobiety, jej lekko rozchylone wargi, i natychmiast pomyślał o Elizabeth. W końcu nie miała mu jak odmówić — z tonu jej głosu wnioskował, że w pobliżu był jej mąż. Wcześniej dzwonił do niej kilkanaście razy i nie zastając jej, prosił o przekazanie swej prośby o telefon: na próżno. Zresztą chyba byłby rozczarowany, gdyby jednak zadzwoniła. Ale teraz się udało, teraz od razu zgodziła się na spotkanie, ponieważ w obecności męża nie za bardzo mogła się wdawać w dyskusje. Bardzo mu się spodobał jej głos, w którym wyraźnie znać było zmieszanie. Zaskoczył go gwałtowny przypływ wzruszenia, z którego zrodził się w jego umyśle obraz jej zarumienionej, kształtnej twarzy. Dawno już nie czuł nic takiego w stosunku do kobiety, tej tak niepohamowanej potrzeby bliskości. Nie był człowiekiem, którym rządzą emocje, nie poddawał się nierealnym marzeniom i oczekiwaniom, jak wiele kobiet, z którymi sypiał. Nawet kiedy decydował się na chwilową wierność w jakimś związku, mimo że wyraźnie dawał do zrozumienia, iż nie jest zainteresowany małżeństwem, one nadal dążyły do tego wszystkimi siłami, nadal wczepiały się w niego, nadal kochały, aż czuł, że zaczyna się dusić. Tak było z Ga-

briellą, która też w końcu go straciła. Karl osuszył resztki brandy. Przypuszczał, że z Elizabeth, tą sprzed pięciu lat, byłoby tak samo, tyle że po prostu nie było okazji, aby tak się stało. Teraz jednak Elizabeth była zamężna, a on jej pragnął. Było w tym jakieś ironiczne piękno, wyrafinowane ryzyko. Na powrót utkwiał spojrzenie w wiszącej na ścianie masce, w nabrzmiątych, nęcących wargach, i uśmiechnął się do siebie. — Chciałabym, żeby było tu trochę jaśniej. Elizabeth przytaknęła skinieniem głowy, podczas gdy

Clare oprowadzała ją po swoim mieszkaniu. Było ciemne, ponure i zimne.

— Czy Oliver nie mógł znaleźć czegoś innego? Jest tyle ślicznych domów w Grinzig, i to z wielkimi ogrodami.

— Nie chciał mieszkać zbyt daleko od ambasady — odparła Clare, jakby broniąc się, i dodała: — Zresztą mamy stąd bardzo blisko do Stadtparku, co w jakiś sposób rekompensuje nam brak ogrodu.

Elizabeth podążyła za Clare do salonu, w którym nadal wyczuwało się brak troskliwej, porządkującej ręki, która wprowadziłaby tu atmosferę ładu i przytulności. Clare nie starczało czasu, a Oliver w szybkim tempie stawał się — według słów Johna — „pracoholikiem” i stąd wypływała jego potrzeba, aby być jak najbliżej ambasady. Po raz kolejny pominięto go przy awansie, a szansa pracy w Brukseli po konferencji wydawała się teraz dość nikła; nie było wątpliwości, że za to wszystko obwinia samego siebie.

— Bardzo się cieszę, że wpadłaś.

— Już od dawna się do ciebie wybierałam.

— Trochę ciasta?

— Bardzo proszę.

Clare ukroiła kilka kawałków ciasta owocowego i rozlała do ciężkich chińskich filiżanek parującą kawę.

— Jak dzieci?

— W porządku. Normalne szkolne życie — westchnęła. — Udało nam się znaleźć dla Jennifer miejsce w lokalnej szkole, ale ciągle jeszcze szukamy odpowiedniego przedszkola dla Phillipa.

Elizabeth przyglądała się, jak Clare odgarnia z twarzy włosy; widać było jej wyraźne zmęczenie.

— A to najmniejsze nadal nie chce spać w nocy?

— Jest lepiej, ale bez przesady — odparła Clare z rezerwowym uśmiechem człowieka znającego się na rzeczy.

— Boże, ależ musisz być wykończona.

— Jakoś daję sobie radę, Elizabeth. I nawet Oskar mi pomaga. —

Potrząsnęła głową. — Podobno po pierwszym roku dziecko sprawia mniej kłopotu. — Roześmiała się. — Zawsze się zastanawiałam, kto wymyśla takie opinie!

— Może mogłabym jakoś pomóc...?

— Najbardziej pomagają mi pogaduszki przy kawie! — Znow się roześmiała. — Ale nie, dziękuję... — ciągnęła już bardziej serio — dajemy sobie radę. — Przerwała. — Najbardziej pomogłoby nam trochę więcej pieniędzy. Nie miałam pojęcia, że Wiedeń jest tak drogi!

— Mnie to również zaskoczyło. — Ale dla mnie nie miało to większego znaczenia, pomyślała Elizabeth z poczuciem winy. Przecież John był bogaty. „Drogi” nie oznaczało dla niej tego samego. Bo cóż Clare mogła wiedzieć o sukienkach za tysiąc funtów, lub stałym członkostwie u Cha-mpneya? Biedna Clare była zbyt zaabsorbowana przesuwaniem z kupki na kupkę ich ograniczonych środków i chroniczną niepewnością, czy tej nocy uda jej się wreszcie wyspać. Elizabeth wbiła wzrok w kawę i zadała sobie pytanie, czy nie jest rozpieszczona, czy w zbyt wielu przypadkach nie uważa, że coś jej się po prostu należy. Pomyślała nagle o Johnie i Christopherze. Uniosła głowę i uśmiechnęła się mechanicznie do Clare. No i umawiała się z Karlem.

— Nie uwierzysz, jak ci powiem... — mówiła dalej Clare rozbawionym głosem. — Moja matka zaoferowała, że co miesiąc będzie nam przysyłać paczki żywnościowe!

— Och, Clare...

— Ależ naprawdę — powiedziała i jakby uściślając — albo przynajmniej ubranka dla dzieci i jakieś łakocie.

— Nie sądzę, żeby nasza droga „brytyjska opinia publiczna” uwierzyła w to!

— Czasami mnie też to dziwi. — Znowu się roześmiała. — Ale w tym interesie trzeba się wykazywać poczuciem humoru, szczególnie jeśli się jest „żoną”. Może nasi władcy ulitują się nad nami w najbliższym czasie i zwiększą nam pensje.

— Dowiedziałam się ostatnio, że holenderskim dyplomatom obniżono pensje...

— Boże uchron! — Clare westchnęła i zwróciła twarz ku oknu. — Nie miałabym nic przeciwko niewygodom placówki w jakimś tańszym kraju, lecz Oliver by tego nie zniósł, umarłby z nudów. — Zwróciła się z powrotem w stronę Elizabeth, lekko marszcząc brwi. — Wiesz, że wolałby znosić niedostatek w Londynie niż łatwe życie gdzieś na Dalekim Wschodzie czy Afryce i o niebo więcej pieniędzy?

— Nie ma specjalnego wyboru, Clare.

— Wiem. — Podniosła swoją filiżankę. — Może to i dobrze. — Uśmiechnęła się z zadumą. — Wiesz, zawsze marzyłam o swoim własnym interesie. Kiedy spotkałam Olivera, studiowałam ekonomię.

— I co się stało?

— Jego pierwsza posada — w Helsinkach.

— Zrezygnowałaś z ukończenia studiów?

— Nie za bardzo miałam wybór. Ostatecznie kochałam Olivera i zdawałam sobie sprawę, że prowadzenie czegoś własnego musiałoby się kłócić z byciem „żoną dyplomaty”.

— Żałujesz tego?

— Czasami, Elizabeth. — Uciekła wzrokiem. — A ty?

— Czasami, Clare. — Usta drgnęły jej w lekkim uśmiechu. — Pracowałam w wydawnictwie i lubiałam tę

pracę. — Ale mówiąc o przeszłości nie mogła się obronić od myśli o Karlu. W trochę niezręcznej ciszy, która nastąpiła, jej wzrok ześliznął się na filiżankę. W końcu musiała się sprzeniewierzyć swojej Faith\* nie miała specjalnego wyboru.

— Jak sądzę, wybieracie się na bal w Operze...? — spytała cicho Clare, próbując zrećnie zmienić temat.

— Tak, rzeczywiście, na zaproszenie austriackiego ministra spraw zagranicznych.

— Muszę przyznać, że to jedna z rzeczy, których chciałabym doświadczyć, ale jest po prostu nieprzyzwoicie droga!

— Niestety tak.

— A co z wycieczką do Pragi i Budapesztu?

— Nie, nie dam rady. A ty?

— Przeraza mnie problem z zakwaterowaniem, transportem itd., a poza tym oczywiście wydatki. Mimo to Oliver twierdzi, że jakoś byśmy dali radę, gdyby mi naprawdę bardzo zależało.

— Madeleine Lindahl czeka na zgłoszenia do piątku.

— Sądziłam, że będę z nią mogła porozmawiać dzisiaj, mówiła, że zagładnie do mnie.

Elizabeth była zdumiona, że Madeleine w ogóle wyraziła taką ochotę. Clare to nie był jej światek. Clare należała do osób „przygnębiających, nieciekawych i prowincjonalnych”.

— Prawdopodobnie się spóźni, Madeleine nie jest wzorem punktualności. — Mówiąc więcej, Madeleine ze spóźniania się zrobiła prawdziwą sztukę, zachowując dla siebie i tylko dla siebie prawo do przychodzenia jako ostatnia, aby jej entré nie mogło zostać nie zauważone.

— Muszę przyznać, że nieco przejmuje mnie grozą! — wyznała Clare z szerokim uśmiechem. — Wysoka, zawsze

\* Faith (ang.) — wiara, cnota; tu: nawiązanie do symbolicznej bohaterki jednego z utworów N. Hawthorne'a (przyp. tłum.)

taka elegancka, i te jej zadziwiające oczy, jak czarne klejnoty. — Westchnęła. — Z przykrością muszę stwierdzić, że kiedy jest gdzieś w pobliżu mnie, mam ochotę schować się do mysiej dziury. — Ręce opadły jej na podolek i z uwagą strzepnęła jakieś okruchy z sukienki. — A jeśli chodzi o ciebie, Elizabeth, to już nawet wolę nie myśleć!

— Och, Clare...

— Naprawdę. Nie mam pojęcia, jak ci się udaje zawsze tak dobrze wyglądać. Jestem przekonana, że nawet gdybym miała inną budowę ciała, czy co tam jeszcze, zawsze wyglądałoby, jakbym właśnie wstała z łóżka! — Pokręciła głową. — Zupełnie się nie znam na tych rzeczach, ilekroć się widzę w lustrze, zawsze wyglądam jak szkapa...

— Bardzo się niesprawiedliwie oceniasz.

— Nieprawda, Elizabeth. — Jej twarz przybrała poważniejszy wyraz. — Ty zaś jesteś zbyt skromna. John chyba wie, że wygrał los na loterii. Elizabeth wysiliła się na uśmiech. Nie mogła znieść takiej pochlebnej oceny, bo na nią nie zasługiwała, nie w sytuacji, kiedy wszystko samo przychodziło, i nie w sytuacji, kiedy ryzykowała wszystko, ponieważ uczucie, które na zbyt długo owładnęło nią kiedyś, nadal tliło się w jej sercu podstępny płomieniem.

Suknia kobiety była rozerwana z góry do dołu, a spod niej wystawały wnętrzności. Laura wciągnęła powietrze. Przynajmniej zostawiono jej na szyi sznur pięknych pereł.

— To tylko woskowa lalka, Lauro.

Obróciła się do Ralfa z wymuszonym uśmiechem.

— Wygląda tak realistycznie.

— No właśnie o to chodziło. — Odwzajemnił jej uśmiech. — Józef II był człowiekiem inteligentnym, ukierunkowanym na przyszłość. Żądał, aby jego lekarze wojskowi otrzymywali to, co najlepsze do studiowania anatomii, nim pozwolił im zająć się swoją armią.

Wzrok Laury wrócił do okaleczonej woskowej figurki leżącej w szklanej szkatule. Wypatrzyła linię jej długich brązowych włosów, które ładnie rozpuszczone zwisały nad jednym z ramion stanowiąc makabryczny kontrast z jej pozbawionymi krwi organami wewnętrznymi.

— Mogła być bardzo ładna.

— Możliwe. — Pochylił się jeszcze niżej. — Ostatecznie, zawsze trudniej jest znieść widok gwałtu zadanego czemuś pięknemu niż czemuś odpychającemu.

— Tak, chyba masz rację.

— W gruncie rzeczy, moja droga Lauro, jesteśmy niczym innym jak stertą dość mało apetycznie wyglądających organów schowanych pod warstwą skóry. — Znów spojrzał na woskową postać. — Mogli ją zrobić bardziej zwykłą, prostą, z kłocowatymi, niezgrabnymi kończynami. Ale nie. Woleli, żeby była piękna, z długimi kształtnymi nogami, bujnymi biodrami i naszyjnikiem z pereł na szyi. — Jego usta uniosły się z jednej strony. — Piękna jak ty, Lauro.

Zarumieniła się, zażenowana w duchu, że tak przychylnie odbiera taki komplement. Ralf był dla niej ciągle tajemnicą. Wiedziała, że ją cenił, wiedziała, że się nią interesuje, ale zdawało się, że dalej nie chce się posunąć. Instynkt podszeptował jej, że nie był homoseksualistą. Jakby przeczyły temu również jego ręce, wielkie i silne. Miał szeroką, prawie słowiańską twarz, szerokie usta i przepiękne zęby, które pokazywał jednak rzadko. Kiedy się uśmiechał czy śmiał, całkowicie się przeobrażał, nie robił tego zbyt często. Minał już prawie miesiąc od ich pierwszego spotkania i zaczęła się przy nim czuć swobodniej. Pokazał jej znaczną część Wiednia, udało mu się nawet wydobyć gdzieś spod ziemi prawie nieosiągalne bilety na bal w Operze, który miał się odbyć za trzy dni. Był zupełnie inny niż Andrew, ale to Andrew zmusił ją do wyboru, to Andrew ją odepchnął, tak naprawdę nigdy nie próbując jej zrozumieć. Westchnęła do siebie, kiedy Ralf wziął ją za rękę.

— Chodźmy, porzućmy ponure szczegóły Josephinum na rzecz błyskotliwych klejnotów upadłego imperium.

— Czy mówimy o Hofburgu?

— O Schatzkammer, czyli inaczej Skarbcu Zamkowym Hofburga. —

Zatrzymał się obracając do niej. — Nie masz nic na szyję, a zaczyna chwytać mróz. — Zdjął ze swojej szyi czarny kaszmirowy szal i zaczął nim troskliwie obwijać jej odsłonięte ramiona. Laura zerknęła w twarz Ralfa, podczas gdy jego dłonie poruszały się delikatnie przy jej szyi. Jego bliskość, jego usta tuż przy jej twarzy w jakiś sposób odbierały jej odwagę. Widziała każdą z osobna jego czarne rzęsy, lekko zarysowane linie biegnące z obydwu stron nosa w dół, czuła na twarzy jego oddech. Spojrzał na nią znad zawiązywanego szala i na mgnienie ich oczy spotkały się. Laura wstrzymała gwałtownie oddech i poczuła jak w żyłach zaczyna jej mocniej krążyć krew. Ale Ralf nagle się uśmiechnął i odwrócił spojrzenie, a jego głos przywołał ją do rzeczywistości.

— Myślę, że musimy się pospieszyć, Skarbiec zamykają za godzinę.

— Tak... oczywiście. — Pozwoliła się znowu wziąć pod rękę, a kiedy sprowadzał ją po marmurowych schodach, poczuła ciepło i pewność jego ramienia na swoich plecach. Jej włosami szarpnął wiatr, gdy wreszcie wyszli z budynku. Pomyślała o Andrew, o Londynie, zaskoczona, że ogarnia ją smutek. Zastanawiała się, gdzie był i co robił. I z kim był. Kiedy jednak zbliżyli się do samochodu, Ralf „odzyskał” ją znów dla siebie, jego ręka objęła ją władczo w pasie; gdy pochylał się, żeby odemknąć drzwiczki, jego wargi musnęły jej policzek, a Laurą zawładnął jego piżmowy, męski zapach i utajona moc jego objęcia. Kiedy owionęło ją ciepło bijące z wnętrza samochodu, myśl o Andrew rozwiała się. Sophia szła wąską brukowaną ulicą przyciskając do piersi szkolne podręczniki. Policzki kąsał jej mroźny zimowy wiatr, a z ust wydobywały się białe obłoczki pary.



Zamierzała pójść z kilkoma przyjaciółkami na *heisse Schokolade* do pobliskiej kawiarenki, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie nie czując się w nastroju na kawiarniane rozmowy z koleżankami o ich chłopakach i nowych strojach. Poprzedniej nocy rodzice mieli sprzeczkę, co było rzeczą prawie niespotykaną — jej matka podejmująca dyskusję z ojcem. Sophia westchnęła ciężko. To z powodu niej i jej pragnienia studiowania w uczelni plastycznej. Było jeszcze coś innego, coś związanego z Oskarem von der Heydenem, lecz na nieszczęście drzwi salonu zamknęły się, jak gdyby wiedzieli, że stoi w drzwiach swojej sypialni, z zaciśniętymi dłońmi przy ustach, bijącym sercem, i słucha, słucha. Pochyliła nieco głowę skręcając w nie osłoniętą przestrzeń Parkringu i zatrzymała się na krawężniku, aż przejedzie tramwaj i zapalą się zielone światła. Niecierpliwym ruchem głowy zarzuciła rozwiewane przez wiatr włosy za ramię, podnosząc przy tym oczy, i w roztargnieniu przesunęła wzrokiem po przejeżdżających samochodach. Błękitny mercedes jej ojca. Pod wpływem impulsu uniosła rękę, jakby chcąc mu pomachać, lecz jej nie zauważył. Czoło Sophii przecięła lekka zmarszczka, gdy obok ojca zauważyła kobietę, której nie знаła, blondynkę, dość młodą. Światła zmieniły się, mimo to nie przeszła na drugą stronę. Nadal stojąc na krawężniku śledziła wzrokiem samochód ojca, który wpierw skręcił w prawo, później w lewo, minął hotel Marriott i zwolnił — parkował. W chwilę później wysiadł i szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę samochodu. Otworzył drzwiczki i pomógł wysiąść swojej pasażerce, a następnie rozejrzał się uważnie po zatłoczonej ulicy; nie zauważył jednak córki obserwującej go z krawężnika Parkringu. Sophia poczuła budzący się w niej protest na widok ręki ojca przesuwanej się lekko po gęstym futrze, które miała na sobie kobieta. Z wewnętrznym oporem zaczęła iść, ale

już nie w stronę stacji, aby złapać U-Bahn i pociąg zawożący ją bezpiecznie do domu; przeciwnie — podążała w ślad za ojcem, na prawo w Weihburggasse i, przechodząc ulicę, do SAS Palais Hotel. Wahala się przez długą, długą chwilę, pragnąc z całej mocy, aby się odwrócił i zobaczył ją, pragnąc, by pożegnał tę kobietę, która była młodsza, znacznie młodsza, niż uprzednio sądziła.

Dwaj odźwierni unieśli przed nim czapki w ukłonie, kiedy przeprowadzał swoją towarzyszkę przez połyskujące szklane drzwi hotelowe. Była na wysokich obcasach i stawiała drobne śmieszne kroczyki na czerwonym puszystym dywanie; szła z twarzą zwróconą do Felixa, z ułożonymi w uśmiech ustami wypacykowanymi bardzo czerwoną szminką. W nagrodę za ten zmysłowy, intymny uśmiech Felix przygarnął ją do siebie, obejmując jej pulchne ramiona swoją wypielegnowaną ręką.

Sophii zrobiło się niedobrze, czuła, jak przerażenie i niedowierzanie pulsują w niej niczym nieokreślony, tępy ból. Przeszła przez ulicę i weszła do hotelowego foyer mijając w przejściu zaciekawionych odźwiernych. Jej ojca nie było. Przełknęła ślinę i usadowiła się w kącie. Ładna kelnerka o delikatnych orientalnych rysach przyjęła jej zamówienie na filiżankę kawy, a po przyniesieniu ze współczującym uśmiechem postawiła ją na pokrytym marmurowym blatem stoliku. Sophia zastanawiała się, czy wie, zastanawiała się, czy wszyscy na świecie wiedzieli, prócz niej. Łyknąwszy trochę mocnej gorącej kawy odsunęła od siebie parującą filiżankę. Nie chciała kawy, nie chciała siedzieć tu, w tej uroczej salce, pełnej nieznanym, i czekać na swojego ojca.

Nie zajęło im to więcej niż półtorej godziny. Sophia zerknęła na zegarek. Nie więcej niż półtorej godziny. Wyszli z windy uśmiechając się — dziewczyna i jej ojciec. Jeszcze pożegnalny uścisk i ręka dziewczyny wślizguje się poufałym gestem pod marynarkę jej ojca. Sophia zamknęła oczy. Na ułamek sekundy jej myśli pomknęły

do bezpiecznej i bezproblemowej przeszłości, do tych niezliczonych razów, kiedy widziała ojca w domu, przy biurku, z jej matką. Wysoki, przystojny, dobry? Ojciec. Otworzyła gwałtownie oczy wpadając w brutalną terażniejszość. Jej ojciec ruszył w stronę recepcji, bez wątpienia po to, by zapłacić rachunek. Jak błysk przemknęło jej przez głowę abstrakcyjne w tych warunkach pytanie, czy zapłaci za pokój tak jakby spędził w nim całą noc, czy też policzą mu za godziny?

I właśnie gdy ta nonsensowna myśl pochłaniała ją, odwrócił się rozglądając po sali i — dostrzegł ją. Gdy ich oczy spotkały się, poczuła, jak w uszach tętni jej krew, a serce wali jak młotem, jak gdyby właśnie ukończyła jakiś szaleńczy, dziki bieg. Wydawało się, że z policzków ojca odpłynie cała krew, lecz zaraz jego niebieskie oczy zwęziły się, a z przystojnej twarzy zaczęła wyzierać złość, i nagle Sophia poczuła strach. Ale nic nie powiedział i nic nie zrobił. Zachowywał się tak, jak gdyby ta siedząca naprzeciw niego po drugiej stronie sali dziewczyna z rozszerzonymi, okrągłymi oczami i wyraźnie rysującą się na twarzy rozpaczą nie była jego córką. Odwrócił się do recepcyjnej lady, zapłacił rachunek i wyprowadził swą towarzyszkę na mroźną ulicę.

Sophia odczekała jeszcze kilka minut z zaciśniętymi rękami na kolanach, wpatrzona tępo w wypolerowaną podłogę. Poczowała w gardle bolesną suchość i zbierający się w niej smutek, gdy tak pozwoliła mu wyjść stąd, jak zupełnie obcemu człowiekowi. Z rozdzierającym serce bólem żałowała teraz, że go w ogóle dziś spotkała, że nie pozwoliła mu odjechać swoją drogą i że nie wróciła do domu U-Bahnem, tak jak każdego dnia. Zateęskniła nagle za bezpieczeństwem prozaicznych drobiazgów, z których składało się życie, zateęskniła za matką. Obraz matki, jej ładnej twarzy o wyrazie bezpańskiego psa, sprawił jej cierpienie, i pomyślała, że się chyba zapłacze na śmierć, ponieważ to, czego była świadkiem, było jedyną rzeczą na

świecie, o której nie mogła pod żadnym pozorem rozmawiać z matką. To tak, jakby w jej życiu pojawiła się niespodziewanie jakaś przepaść, która będzie się teraz powiększać i rozszerzać i w której roztrzaska się każda hołubiona przez nią iluzja, a w proch obrócą wszystkie rzeczy, które kiedykolwiek były jej drogie.

Sophia wstała, otworzyła portmonetkę i trzęsącą się ręką odliczyła automatycznie odpowiednią ilość szylingów za swoją kawę. To się zaczęło wczoraj w nocy, myślała w tępym oszołomieniu, to wszystko rzeczywiście zaczęło się zeszłej nocy — kłótnia rodziców, gniew ojca spowodowany uporem matki i jej proszący głos, który słyszała, nim zamknęły się drzwi. Sophia przełknęła ślinę. Obudziła się tego ranka z głębokim uczuciem niepokoju, który utrzymując się przez cały dzień przygniatał ją niewidocznym ciężarem, aż zobaczyła ojca.

Zmusiła się do zrobienia kroku i w odrętwieniu przeszła przez jasno rozświetlony, pełen kwiatów hall i błyszczące szklane drzwi wychodzące na Weihburggasse. Ukradkowym spojrzeniem ogarnęła wlot i wylot wąskiej, długiej ulicy. Oczywiście, nie było go. Byłoby co najmniej dziwne, gdyby czekał na nią w swoim błękitnym mercedesie z siedzącą obok blondynką. Ogarnęła ją rozpacz, gdy w jej myśli wtargnął bolesny, raniący obraz drobnej białej dłoni wsuwającej się z taką poufałością pod marynarkę jej ojca. Z oczami pełnymi łez skierowała bezwolnie swoje kroki na Parkring, pierwszy etap swojej codziennej drogi powrotnej do domu. Sophia westchnęła z ciężkim sercem przełykając łzy. Jakoś nie mogła już myśleć o nim jako o „domu”. W przeciągu kilku zaledwie godzin wszystko uległo zmianie, i to na zawsze. Podniosła głowę pozwalając, by jej twarz owionął mroźny wiatr. Za nią, jak spuszczone na pół masztu flaga, powiewał jej szal. Nisko nad miastem wisiało szare zachmurzone niebo i wydawało się, że zaczynają lecieć z niego świeże, delikatne płatki śniegu.

Przebieła na ukos ocienioną drzewami jezdnię i skierowała się na stację, skąd pociąg miał ją zabrać do domu. Dom to miejsce, w którym przebywa ojciec. Ze smutkiem i rozpaczą zaczerpnęła nerwowo haust powietrza. Czowała się tak, jak gdyby dla niej umarł.

Elizabeth przypuszczała, że Do & Co jest dla wytwornych wiedeńczyków eleganckim miejscem. Stojąc z wahaniem w drzwiach dostrzegła Niki Laudę siedzącego przy stole i udzielającego audiencji grupce swoich wielbicieli. Jej wzrok prześliznął się po mrowiu głów siedzących w salce gości, zatrzymując się na osobie obserwującego ją z odległego kąta Karla. Gdy go dostrzegła, zamarły jej myśli, a czas spowolnił swój bieg. Zmusiła się jednak do ruszenia z miejsca i przejścia pomiędzy stolikami i siedzącymi przy nich ludźmi, otoczona gwarem obcego, dalekiego szumu rozmów, który tym bardziej wydawał się oddalać, im bliżej była jego stolika.

— Cudownie wyglądasz.

Jego głos, z amerykańskim akcentem, bogaty i nasycony obietnicami.

— Dziękuję.

Wstał, by odsunąć dla niej krzesło, i kiedy przechodził koło niej, wzięła szybki niesłyszalny oddech, nie mogła bowiem uwierzyć we wrażenie, jakie ciągle jeszcze wywoływała u niej jego bliskość; nie mieściło jej się w głowie, że wszystkie te minione już dawno lata nie zmieniły nic.

Absolutnie nic.

— Cieszę się, że ci się udało wyrwać. Zatrzymała wzrok na jego twarzy.

— Bardzo naciskałeś.

— Wiem...Przepraszam. — Uśmiechnął się. — Nie mogłem się pohamować.

Na jej twarz i szyję zaczynał powoli wkradać się niubłagany rumieniec.

— Chciałem się z tobą zobaczyć... bez skrępowania... sam na sam... i tylko porozmawiać.

\_ Mogłeś porozmawiać ze mną przez telefon.

— Powiedziałem, że przede wszystkim chciałem cię zobaczyć — powiedział z raciskiem i ze zmienionym wyrazem oczu.

— Jestem mężatką. \_ Jego ciemne brwi zbiegły się w zmarszczkę. — Wime-

nem ci pewne wyjaśnienie.

— Nic mi nie jesteś winien, Karl. — Och, Boże, jakżeż na nie czekała. — Jak już zwróciłam ci uwagę na przyjęciu, to zdarzyło się dawno temu, a nasze życie nie stało w miejscu.

— Miałem pewne zobowiązania i pilne zajęcia, musiałem się uporać z pewnymi sprawami — ciągnął, jak gdyby jej nie słysząc.

— Przestań, Karl — powiedziała odwracając wzrok.

— Posłuchaj... — Wyciągnął rękę i zamknął w dłoni jej drżące palce. Natychmiast jednak wyrwała swoją dłoń, jak gdyby poczuła ukłucie.

Obrzucił spojrzeniem jej urodziwą twarz, dostrzegł malującą się na niej walkę i wyraz budzącego się pragnienia — tego, które znał przed laty

— Ta rozmowa nie ma sensu. — Próbowwała wstać, ale jego ręce zmusiły ją, by ponownie usiadła. — Proszę...

I ta prośba była jej zgubą, jej i jego, w tym bowiem momencie-ich spojrzenia splotły się. Jego dłonie ześlizgnęły się po jej ramionach w dół i tym razem nie cofnęła już ręki, kiedy ujął jej nadal drżące palce.

— Możesz mi nalać wina?

— Oczywiście — odparł cofając jednocześnie powoli ręce, co Elizabeth przyjęła z ulgą. Prawie zupełnie przestała już panować nad sobą. Gdzieś w zakamarkach jej mózgu błąkała się niewyraźna, stłumiona myśl, że powinna wstać i wyjść, że to jej ostatnia szansa, nie ruszała się jednak.

Zamiast tego wyciągnęła rękę po podany jej przez Karla kieliszek wina.

— Dlaczego to robisz? — spytała kontrolowanym, prawie że normalnym już głosem.

Rzucił na nią spojrzenie i po raz kolejny zdumiało go, jak bardzo jej pragnie. Nie mógł dać jej tak naprawdę szczerzej odpowiedzi, ponieważ sam jej nie znał.

— Pragnę cię. — Może to było aż tak proste. Poczwała przez chwilę, jakby spod nóg uciekała jej ziemia, a jej serce zaczęło w nagłej panice łomotać jak oszalałe.

— Mam męża, Karl. — Skrzywiła się nieznacznie na swój dobór słów; brzmiało to tak, jak gdyby rozmawiała o samochodzie, domu czy jakiejś innej banalnej bzdurze. — I kocham go. — Już w momencie artykułowania tego banalnego zwrotu Elizabeth zadawała sobie pytanie, ciągle to samo pytanie, które w nieubłagany sposób ją nawiedzało: — Jak to może być, że kochając Johna myśli o Karlu, spotyka się z nim ot tak, jest tutaj?

— Dlaczego więc przyszłaś?

Ponieważ tego chciała, po prostu. Przez chwilę nienawidziła go z całego serca.

— Z twojej twarzy można wyczytać wszystko, Elizabeth — powiedział łagodnie. — Zawsze tak było.

— Czy nie możesz mnie zostawić, znaleźć sobie kogoś innego?

— Nie mogę. — Pokręcił głową. — Poza tym nie wiem, co rozumiesz przez „kogoś innego”?

— Przecież to szaleństwo.

— Może.

Spojrzała w bok, jakby szukając pomocy w prozaicznym świecie codziennego dnia.

— Musisz mnie zostawić w spokoju, Karl.

— Już ci powiedziałem — nie mogę.

Przesunął wzrok z jej niespokojnej twarzy na dłoń starannie obejmującą kieliszek, jak gdyby szukała jakiegoś oparcia, zakotwiczenia.

— I będziemy się spotykać, Elizabeth, ponieważ tak samo jak ja nie będziesz się mogła przed tym obronić.

Nie odpowiedziała.

- Taki pewny siebie... — wydusiła w końcu. — Jak zwykle.
- Taki już jestem. Czasami się zastanawiam, czy to zaleta czy wada.
- Odszedłeś.
- Nie miałem specjalnie wyboru. Uśmiechnęła się.
- Myślałem o tobie.
- Ale nie nazbyt gorliwie.

Westchnął przyglądając jej się badawczo, aż pod jego spojrzeniem zatrzepotały jej powieki.

— Pozwolisz mi się jeszcze z tobą spotkać.

— Nie, Karl.

— Pozwolisz.

— Przestań...

— Elizabeth... Elizabeth — powiedział miękko. Potrząsnęła głową, ale nie mogła odwrócić od niego

oczu ogarnięta wspomnieniami, i wszystkie jej postanowienia zaczynały blaknąć i ginać, ponieważ tak jak powiedział, nie będzie się mogła powstrzymać.

\*

Kristina bez entuzjazmu przyglądała się dwóm ostatnim do wyboru sałatkom — przedstawiały dość żałosny widok. Mimo to zdecydowała się i z westchnieniem wybrała bliższą — z indykiem oraz szynką, a następnie wróciła do swojego stolika w stołówce dla uczestników konferencji, mieszczącej się w Hofburgu. Patrzyła przez chwilę na talerz, nie mogąc sobie wytłumaczyć, dlaczego nadal miałyby się katować swoją dietą, skoro nie ma ku temu żadnego sensownego powodu. „Jeszcze ciągle ci się wydaje, że upolujesz jakąś grubszą rybę” — powiedziała z okrucieństwem jej matka widząc, jak na śniadanie je mizernie wyglądający kawałek nie posmarowanej grzanki. Z jej piersi ponownie wyrwało się westchnienie. Och,



proszę, wystarczyłaby mi nawet płotka, mała sympatyczna płotka, byleby nie żonata, modliła się w duchu.

— Dzień dobry.

Drgnąwszy podniosła wzrok. Nad nią stał Sam, Amerykanin, którego spotkała na kolacji u Moniki.

— Dzień dobry — odparła trochę sztywno.

— Mogę się przysiąc?

— Bardzo proszę, chyba tu jest wolne. — Wskazała gestem.

Był żonaty, słyszała od Moniki, nie pozwoliła jednak, żeby do końca zawładnęło nią uczucie rozczarowania, ponieważ właściwie czuła do niego sympatię, co — jak pomyślała z nagłym zdziwieniem — było pewnego rodzaju nowością. Iluż mężczyzn tak naprawdę lubiła? Cóż za żałosna z niej idiotka.

— Rozmowy zaczynają wreszcie nabierać tempa — zagaił Sam tonem konwersacji, siadając przy niej. — I z tego, co widzę, pani i pani koleżanki jesteście wręcz rozrywane.

— Przy obecności reprezentantów ze stu dwudziestu czterech krajów jest naturalne, że tłumacze stają się towarem pierwszej potrzeby.

Na jego twarzy zagościł nieco wymuszony uśmiech, poczuł się zdeprymowany tonem wrogości w jej głosie.

— Ma pani jakiś ulubiony język, którym się pani najczęściej posługuje?

— Lubię francuski, ale również angielski.

— To było słyhać — wtrącił szybko. — Podczas kolacji.

— Tak? W jaki sposób? — spytała z badawczym spojrzeniem.

— Wydawała się pani taka zrelaksowana i tak płynnie pani mówiła. — Podał jej bułkę. — Byłem pod wrażeniem.

Kristina westchnęła do siebie. Wszystko to słyszała już wcześniej.

Podziękowała za bułkę szybkim odmownym ruchem głowy. Dźwięk upuszczonego na stół przez kogoś obok sztućca podziałał jej na nerwy.

— Myślałem, żeby się wybrać do tutejszego Teatru Angielskiego.

— Tak, rozumiem.

Sam zmarszczył brwi słysząc ten zamierzony chłód w jej głosie. Niech to szlag. Przecież tylko próbował być miły. W czasie kolacji wydawała się zupełnie inną osobą — ciepłą, pełną humoru. Miłą. Tak miłą, że miał ochotę gdzieś ją zaprosić, ale jej zachowanie teraz zaczynało odbierać mu odwagę.

— Słyszałem, że jest całkiem niezły — powiedział z wysiłkiem.

— Bardzo możliwe.

Zapadła cisza. Sam rozejrzał się niepewnie po zatłoczonej sali, miał ochotę być w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie tutaj, z tą trudną do rozgryzienia kobietą.

\_ Czy była pani kiedykolwiek w Stanach?

— Nie.

— Myślę, że mogłaby się pani kiedyś wybrać.

\_ Po co? \_ spytała chłodno, ale utrzymywanie tej narzuconej sobie rezerwy stawało się coraz trudniejsze, taka postawa nie odpowiadała jej, oziębłość nie leżała w jej naturze.

Sam zerknął na nią spod oka, zmrożony przebijającą z jej twarzy pogardą, ale brnął dalej, nie mając odwrotu.

— Znajdzie tam pani chyba wszystko: zadziwiających ludzi, zadziwiające miejsca, najlepsze na świecie hamburgery. The Empire State Building. — Jezus Maria, cóż za czcze bzdury jej tu prawi, pomyślał i poczuł, że zaczyna się czerwienić.

Na widok jego zażenowania ogarnęło ją nagłe uczucie wstydu.

Ostatecznie, nie zaproponował jej jeszcze spotkania, mimo że instynkt jej podpowiadał, iż było to jego zamiarem. Westchnęła lekko i wbrew sobie uśmiechnęła się.

— Może kiedyś...

— Urodziłem się w Bostonie.

— Tak jak „bunt herbaciany”?

— Właśnie. — Zaczynał odczuwać ulgę. Może po prostu miała zły dzień, a on się pojawił w nie najbardziej odpowiedniej chwili. Automatycznie pomyślał o Natalie i jej nastrojach, kurewskich i mściwych. Chryste, jak ona potrafiła zamieniać życie w piekło.

— Miałam kiedyś znajomego, który studiował w Harvard Business School — to w Bostonie, o ile się nie mylę? — próbowała podtrzymać rozmowę. Znajomym tym był Frank, Frank Spiek. Jego nazwisko zawsze ją śmieszyło. Uważała, że w nazwiskach takich jak „Spiek” \* było coś komicznego. Frank miał dużą kwadratową głowę osadzoną na zbyt wąskich ramionach. Z nagłą jasnością przypomniała sobie ten jeden jedyny raz, kiedy się kochali. Penis Franka miał wielkość męskiego kciuka i ponieważ krępowało go to, ich zbliżenie nabrało cech farsy, mimo to bardzo się starał, a ona zwijała się pod nim w udawanej ekstazie, aż w końcu skończył. Ale chyba się nie dał zwieść jej grze, biedny Frank. Nigdy już więcej nie prosił jej o spotkanie, mimo że lubiła go, i wiedziała, że nigdy by nie przyszło mu nawet do głowy, że rozmiar jego penisa nie miał dla niej najmniejszego znaczenia.

— Studiowałem tam prawo. — Ze wspomnień wyrwał ją głos Sama.

— A stamtąd prosto do Waszyngtonu?

— Tak jest.

— Lubi pan swoją pracę?

— Jak na razie — tak, a te rozmowy zaczynają być coraz bardziej zajmujące.

— Nie wszyscy delegaci wydają się jednak podchodzić do nich z przesadną powagą.

— To świadczy o ich głupocie i braku wyobraźni. — Westchnął ciężko.

— Może hasła „zanieczyszczenie” czy „dziura ozonowa” nie brzmią tak podniecająco jak „woj-

\* spick and span — prosto spod igły

ny gwiazdne" czy „rakiety dalekiego zasięgu", ale na swój sposób są równie śmiertelnie niebezpieczne.

— Czy naprawdę uważa pan, że na naszej konferencji uda się coś osiągnąć? — Kristina uzmysłowiła sobie, że rozmowa zaczyna ją wciągać, i świadomość tego spowodowała, że zaczynała jakby tajać od środka, czego już dawno nie doznawała.

— Nie ma innego wyjścia — stwierdził poważnie Sam. — Przygotowując się do rozmów wróciłem nawet na uczelnię, żeby poprzez dalsze studia zorientować się, co się właściwie dzieje. A dzieją się rzeczy przerażające, Kristino.

Kiwnęła głową. Podobał jej się sposób, w jaki wymówił jej imię. — Ale nie jest jeszcze za późno?

— Nie jest za późno, jeszcze — odparł cicho. — Przy tym jest to w pewien sposób największe z dotychczasowych wyzwań dla rodzaju ludzkiego, które ma tę dobrą stronę, że możemy się nim zająć razem, globalnie — jeśli rzeczywiście będzie nam na tym zależało.

— Jest pan idealistą.

— Byłem... kiedyś. Ale ostatnio mój idealizm jakby się gdzieś zagubił.

— Nie wydaje mi się. Uśmiechnął się smutno.

— Muszę już wracać... — powiedziała po chwili wstając.

Sam zamrugał. — Pomyślałem sobie... — zaczął niepewnie. — Teatr Angielski...

Utkwiła w nim uważne spojrzenie. — Mam bardzo dużo pracy.

— To może któregoś wieczora w przyszłym tygodniu?

— Nie, nie sędzę, żeby mi się udało. Zarumienił się. — W takim razie lunch? — Nic już nie miał w zanadrzu.

Zauważyła, że ma lekko piegowaty nos. I łagodną twarz.

— Ja...

— W poniedziałek? — Było to jak rzut na taśmę. Opanowało ją uczucie bezradności.

— Dobrze. — Zaczepnęła oddechu. — Zgoda.

— Może spotkamy się tutaj, o dwunastej trzydzieści? Skinęła głową i zrobiła krok w stronę wyjścia.

— To w poniedziałek? — upewnił się jeszcze.

— W poniedziałek — powtórzyła za nim jak echo i ze stukotem obcasów na marmurowej podłodze odeszła w stronę wyjścia. Było w nim coś, coś bez wątpienia sympatycznego, pomyślała, ale natychmiast przypomnieli jej się Manolo i Fritz, i Frank Spiek, i na wargi zaczęło jej się nagle cisnąć zasłyszane obraźliwe określenie: „frajerka, och, co za ciężka frajerka”.

\*

Matki nie było. Sophia pokręciła się trochę po kuchni nie chcąc iść na górę, by nie musieć przechodzić koło salonu, skąd dochodził ją szelest czytanej przez ojca gazety.

— Zrób mi kawę.

Na głos brata automatycznie sięgnęła po dzbanek i naląła mu filiżankę czarnego, parującego płynu.

— Płakałaś.

— Nie — odpowiedziała zbyt szybko.

— Tak.

Odwróciła się od niego i naląła sobie szklanekę wody.

— Dlaczego?

— Daj mi spokój, Guntherze.

— No, Sophio, powiedz mi.

Różnili się od siebie, ona i jej brat. W miejsce jej ciepła u niego był chłód, w miejsce jej życzliwości u niego była arogancja. Nagle zdała sobie sprawę, że był podobny do ojca.

— Odczep się.

Przeszedł przez kuchnię, wziął w dłonie jej twarz i ścisnął jej policzki, tak że jej usta wydeły się boleśnie.

— Jesteś bardzo głupkowatą, bardzo głupkowatą dziewczyną. —

Westchnął teatralnie. — Powinnaś już wiedzieć, że tak się nie zwraca do swojego wielkiego, mądrego i przystojnego starszego brata.

Z jej policzków zaczęły spływać łzy.

— Nie bądź taką smarkulą. — Puścił ją i zajął się swoją kawą. Przez moment przyglądał jej się z uwagą. Była ładną dziewczyną, nawet bardzo ładną, ale kruchą jak szkło, i to właśnie ta jej kruchość tak go denerwowała. Miał świadomość, że jego matka również go denerwowała, zawsze. Była taka słaba, tak niewiarygodnie służalcza, że aż czasami chciało mu się rzygać, a Sophia była taka sama. O sobie wiedział, że jest taki jak ojciec, i był z tego dumny. Życie było łatwiejsze i traktowało cię lepiej, kiedy wiedziałeś dokładnie, jak dostać to, na co masz ochotę, kiedy wiedziałeś, jak manipulować ludźmi. Ojciec był w tym dla niego mistrzem.

— Sophio, czy mogłabyś przyjść do mojego gabinetu na kilka minut?

Na głos ojca Gunther odwrócił się zaskoczony. Siostra minęła go bez słowa i podażyła za ojcem schodami na górę. Oczy Gunthera zwęziły się. Odczekał, aż umilkną ich kroki, i cicho zakradł się pod drzwi pracowni ojca.

— Co robiłaś w hotelu SAS dziś po południu? Sophia nie była w stanie spojrzeć na ojca, czuła się

jakby przebywała w pokoju z kimś, kogo nie zna, i z nagłą falą ogromnego smutku uświadomiła sobie, że istotnie nigdy go nie знаła.

— Odpowiedz mi.

— Czekałam na ciebie — odparła drżącym głosem broniąc się przed płaczem, bo jej ojciec nie byłby tym zachwycony; dlatego stała ze spuszczoną głową, zalękniona.

Felix przeszywał ją wzrokiem, wściekły na niezręczność

sytuacji i na los, od którego dostał niespodziewanie karty, których nie umiał rozegrać.

— I co takiego widziałaś? — Musiał zadać to pytanie, musiał się dowiedzieć, ile wiedziała.

Nie odpowiadała. Oczy utkwiała w swoich zaciśniętych palcach, na paznokciach, na małym pieprzyku na grzbiecie prawej dłoni.

— Co widziałaś, Sophio?

— Byłeś z jakąś kobietą — odrzekła unosząc niespodziewanie głowę, i na widok jej kredowobladej twarzy i zszokowanych oczu Felix poczuł się niezręcznie. Odwrócił wzrok do okna, jakby w widoku ogrodu chciał znaleźć oparcie.

— To znajoma. — Zdawał sobie sprawę z daremności takich wyjaśnień.

— Stara, dobra znajoma. — Znał Evę od trzech tygodni, po prostu kiedyś zwrócił uwagę na jej bujne kształty sunące kusząco wzdłuż Ringu, a więc zatrzymał samochód i spytał, czy nie ma ochoty na kawę. Oczywiście zgodziła się, zlustrowawszy uprzednio jego mercedesa, jego ubranie i jego twarz. Od tego czasu byli w kilku hotelach, ale po raz pierwszy pojawili się w hotelu w centrum, co okazało się niewybaczalnym błędem. Musiał jednak tak zrobić, ponieważ nie mógł się już doczekać, a poza tym chodziło o szybkość i wygodę — aby móc dogadzać jej pomiędzy posiedzeniami. Kupił jej bieliznę, która mało miała wspólnego ze skromnością i która zbyt długo leżała już w bagażniku samochodu. Błąd.

— Tak, ojczy.

Siedziała patrząc bezmyślnie w przestrzeń, dusząc się ciszą wykładanych drewnem ścian i suchym, gorącym powietrzem.

— Nie chciałbym, abyś źle zrozumiała całą sytuację. Nie odpowiadała.

— Nie jest tak, prawda, Sophio?

Puste spojrzenie Sophii przeniosło się znów na jej dłonie. To minie, ta okropna chwila, i być może póź-

niej wyrzuci ją z pamięci, tak jak wspomnienie białej dłoni wślizgującej się bezwstydnie pod marynarkę jej ojca.

— Prawda?

— Tak, ojcze.

— To dobrze.

Spojrzał na nią uważnie i pod jej uniesionym znad splecionych dłoni wzrokiem doznał dziwnego uczucia, jak gdyby był nagi. Na mgnienie oka poczuł wstyd.

— Domyślam się, że masz jakieś zadanie domowe... Sophia przytaknęła i wstała. Felix nie opuścił swojego miejsca przy oknie, póki nie zamknęła za sobą cicho drzwi. Wtedy stojąc w pustym pokoju zacisnął oczy, a z otwartych ponuro ust zaczęła płynąć litania przekleństw.

— Ty naprawdę jesteś głupią dziwką.

Sophia z przestachem zaczerpnęła oddechu i odwracając się ujrzała brata opierającego się o framugę drzwi do jej sypialni.

— Chcę trochę poszkicować, Guntherze.

— Chciałaś powiedzieć, że chcesz trochę pobeczeć, nie?

— Czego ode mnie chcesz? — spytała ze znużeniem.

— Złamałaś podstawową zasadę.

Jej oczy zaokrągliły się, jak gdyby przewidywała, co jej powie.

— Pozwól, że ci wyjaśnię. — Na jego twarzy pojawił się cierpliwy, ale pozbawiony życzliwości uśmiech. — Nie śledzi się własnego ojca, kiedy zabawia się ze swoją kochanką.

Zmarszczyła brwi.

— Większość mężczyzn, niezależnie od swojej pozycji czy stanowiska, ma kochanki, Sophio — nie wiedziałaś o tym?

Pokręciła bezsensownie głową.

— To fakt wzięty z życia.

Nie poruszył się, nadal oparty o framugę drzwi, gapiąc się na nią.



— Chcę szkicować, Guntherze.

— To nie koniec świata, Sophio.

Ponownie pokręciła głową wyciągając rękę w kierunku klamki, jak gdyby pragnęła zamknąć drzwi.

— Nikogo to już nie szokuje... — westchnął. — Mężczyźni zawsze to robili, robią i będą robić.

Nie odpowiedziała.

— Na miłość Boską — wykrzyknął z szyderstwem. — Wszyscy znajomi ojca mają stałe kochanki, lub przynajmniej spotykają się z inną kobietą od czasu do czasu. Kiedy wyjdiesz za mąż, twój mąż też będzie miał kochankę.

— Nie. — Zdziwił ją ton własnego głosu.

— Jesteś nieprzytomnie śmieszna.

— Chcę porysować, Guntherze.

— Na moje osiemnaste urodziny ojciec wziął mnie na Gurtel... — Jego twarz przybrała roznamiętniony wyraz, kiedy przypomniał sobie wielką, czarną prostytutkę, którą ojciec pozwolił mu dla siebie wybrać. Stała przy jakimś dość obskurnym nocnym klubie mając na sobie niewiele więcej niż białą skórzaną kurtkę i długie do ud buty. Kosztowało to 500 szylingów, wliczając w cenę nie tak znowu taniego szampana, którego musieli wypić w klubie.

— Nie chcę tego słuchać.

Gunther parsknął śmiechem. — Powinnaś wreszcie dorosnąć, Sophio.

Spojrzała mu w twarz. — Dlaczego tak mnie nie lubisz?

— Nie bądź głupia.

— Myślę, że to ty jesteś głupi, Guntherze.

W oczach pojawił mu się błysk. — Matka o wszystkim wie.

Przełknęła ślinę. — Kłamiesz.

— Ależ oczywiście, że nie. — Potrząsnął wolno głową z drwiącym rozbawieniem. — Jedynie udaje, że tak nie jest.

— Nie.

— Taka jest prawda, Sophio. Dlaczego nie zapytasz matki? — Zawiesił pytanie w powietrzu i wyszedł.

Ich salonik był piękny, pomyślała Elizabeth i wolno przesunęła się w stronę wielkich, wysokich okien wychodzących na mały brukowany dziedziniec. Czasami było tu tak cicho, iż mogłoby się wydawać, że mieszkają gdzieś na wsi, a nie w środku europejskiej stolicy. Ściany miały kolor bardzo bladego różu, z którym kontrastowały pomalowane na biało rzeźbienia i gzymsiki. W kącie stał typowy wiedeński ceramiczny piec — potężny, o przyjacielskim wyglądzie, dziwnie elegancki. Usiadła, kierując wzrok na zawieszony nad kominkiem obraz przedstawiający zmarłą matkę Johna, Jennifer. Lubiła ją, w tym krótkim okresie znajomości zżyły się z sobą. Wkrótce jednak Jennifer zmarła, na stwardnienie rozsiane, które już od wielu lat rujnowało jej zdrowie. Jej myślenie przesiąkał liberalizm, kiedyś nawet miała, jak się wyraziła, „krótki skok w bok, kiedy ojciec Johna doprowadzał mnie do szału”. Elizabeth uśmiechnęła się do portretu na wspomnienie tych słów, które wtedy ją co nieco zszokowały. „Musiałam, Elizabeth”, udowadniała, „w początkowych latach naszego małżeństwa był nie do zniesienia. To tak, jakbym mieszkała z rozpuszczonym uczniakiem, który ciągle się czepia matczynej sukienki. A mnie nieustannie prześladowało pytanie — a co ze mną? Nie przypuszczam, żeby go to choć trochę obchodziło, nim nie stało się prawie za późno”. Elizabeth westchnęła. John nie był podobny do Edwarda, był dobrym mężem i kochała go. Niestety, pojawił się po Karlu, a w jej związku z nim było coś nie dokończonego, jakiś rodzaj niedosytu, i nic na to nie mogła poradzić.

— Wyglądasz na zmęczoną.

W progu ich ogromnego, uroczego pokoju stał jej mąż rozluźniając krawat.

— Ty również.

— No to jestem ciekaw, jak będzie wyglądał nasz dzisiejszy wieczór podczas balu w Operze.

— Obawiam się, że kiepsko, ale przynajmniej jest jeszcze trochę czasu do ceremonii otwarcia o dziesiątej.

— A więc będziemy musieli robić dobrą minę do złej gry. Pocałował ją w czubek głowy. Zaglądnęła mu w twarz opanowana nagle poczuciem winy. Nie mogła mu tego zrobić, tak po prostu go zdradzić. I teraz, tu, w bezpiecznym zaciszu tego pięknego pokoju wydawało się to jakoś niemożliwe.

Bal w Operze — bal balów. Elizabeth wychyliła się z łoży i z fascynacją spoglądała na istny ocean głów, nienagannie ubranych mężczyzn w nienaganych białych krawatach, wytworne kobiety w oszałamiających sukniach, z którymi tylko mogła się równać tak samo oszałamiająca biżuteria. Kołysali się w rytm walca „Nad pięknym modrym Dunajem”, najbardziej znanego utworu Straussa. Podczas ceremonii otwarcia miał miejsce rytuał „wejścia do świata dorosłych” osiemdziesięciu młodych par; osiemdziesiąt młodych dziewczyn w dziewiczo białych sukniach, z diademami we włosach, idących lekkim, zwinnym krokiem u boku osiemdziesięciu młodych chłopców we frakach, ze spoconymi rękami ukrytymi w śnieżnobiałych rękawiczkach, paradyjących pod uważnym spojrzeniem tłumów gości czekających, aż zaczną lać się strumieniami szampan, a gościnny gmach Opery stanie się miejscem radości przez tę jedną długą noc. To czysta dekadencja, pomyślała z rozbawieniem, i nic dziwnego, jeśli butelka szampana kosztuje dwieście funtów — a całe to szaleństwo tylko po to, by widzieć i być widzianym. Po drugiej stronie wspaniałego wnętrza sali zauważyła, jak o możliwość rozmowy z licznie obecnymi tu VIP-ami walczy ekipa telewizyjna. Nie musieli daleko szukać — po lewej stronie mieli Kurta Waldheima, a po prawej księżniczkę Karolinę z Monako.

— Trochę mi zapiera dech w piersiach, to wszystko — przyznał się John, stając u jej boku.

— Chyba cię rozumiem. To tak, jakby cofnąć się w czasie do dworskich balów w Operze Wiednia cesarskiego.

— Obawiam się, że ze strony wiedeńców to jedynie pobożne życzenie — zauważył cicho. — Stare światowe marzenia na siłę zmieszane z nowym bogactwem i władzą. Liczba hrabiów i hrabin, baronów i baronowych obecnych na tej sali równa jest z pewnością liczbie oświeclających ją żyrandoli.

— Czy to nie księżę Braganza?

— Tak, pretendent do tronu portugalskiego, o ile mi wiadomo.

Elizabeth uśmiechnęła się z lekka ironicznie.

— Jeśli łaskawie zechcesz odłożyć szampana, możemy się przyłączyć do tych wszystkich obecnych tu Euro-królewiał i Euronadziej. —

Uśmiechnął się i podał jej rękę żartobliwie przesadnym gestem. — A tak a propos, wyglądasz przepięknie.

— Dziękuję.

Sześć miesięcy wcześniej kupiła sukienkę z kolekcji Catherine Walker — jedwabną, w kolorze szampana, ozdobioną cekinami; włożyła do szafy i przez cały ten czas musiała znosić jej boleśnie kuszący widok.

Przypomniała sobie, że suknię z podobnego materiału miała na sobie, kiedy spotkała Karla, ale natychmiast stłumiła tę myśl. Po co te niepotrzebne wspomnienia, które tylko burzą jej spokój.



Rytm walca zdawał się unosić wokół tańczących stałą niewygasającą falą. John wziął Elizabeth pod rękę i zaczęli się przeciskać w stronę swej łoży. Poprzez lukę w tłumie Elizabeth dostrzegła Madeleine, w aż przesadnie oszała-

miającej kreacji z lamy o barwie pobłyskującego spżu; tańczyła z francuskim ambasadorem. Była zarumieniona, a usta otwarły jej się w szerokim, ukazującym cały garnitur zębów uśmiechu, który niesamowicie rozbawił Elizabeth. Potrząsnawszy lekko głową podążyła w ślad za Johnem w górę pokrytych sukrem marmurowych schodów. Nagle zatrzymała się, widząc, jak jej mąż z uśmiechem macha do kogoś ręką. W ich stronę szła śliczna ciemnowłosa młoda kobieta z mężczyzną o wyglądzie Mar łona Brando.

— Laura Drummond, a to moja żona, Elizabeth — przedstawił je sobie John, dodając: — Laura pracuje na stałe w ambasadzie, ale na początku rozmów pomagała nam w biurze delegacji.

— Bardzo mi miło — uśmiechnęła się Elizabeth, a następnie spojrzała w kierunku stojącego mężczyzny.

Laura zamrugwała. — O, przepraszam — Ralf Muller.

Ralf ujął dłoń Elizabeth i z precyzyjną starannością uniósł ją do ust, po czym podał rękę Johnowi, i Elizabeth zauważyła, że ten badawczo mu się przygląda, nie kryjąc swojego zainteresowania, co stanowiło dla niej zagadkę. Kiedy już rozstali się z nimi i wracali do swojej łóży, John pokręcił niepewnie głową.

— Jestem pewny, że już go gdzieś widziałem.

— Muszę przyznać, że pan Muller jest całkiem przystojny... ma w sobie coś słowiańskiego. — Roześmiała się. — Przypomina mi Marlona Brando.

— Wiele dałbym za to, żeby wiedzieć, kogo mi przypomina — powiedział niejasno John.

— Na pewno sobie przypomnisz — pocieszyła go Elizabeth, ale nie zareagował, dostrzegając w tłumie kogoś znajomego.

— Jest Laurence, chciałbym z nim zamienić kilka słów, jeśli pozwolisz, spotkamy się w naszej łóży...

Skinęła głową. Zostawił ją kierując swe kroki w stronę jednego z członków delegacji brytyjskiej, stojącego

z ambasadorem. Elizabeth stłumiła westchnienie, przyzwyczała się już bowiem do tej niewyraźnej granicy pomiędzy pracą a przyjemnością, której świat dyplomacji nie potrafił nigdy w pełni zdefiniować.

Przesuwała się w stronę łoży otoczona przewalającym się tłumem. Coraz bardziej ulegała otaczającej ją oszalamiającej atmosferze. Zaczęła nucić do siebie, podchodząc do swej łoży, uśmiechając się na widok urokliwych młodych par, które wyglądały, jak gdyby wymknęły się z jakiejś fantastycznej, baśniowej krainy. No, ale przecież to miejsce, to targowisko próżności było jak baśń; wydawało się, że tak łatwo można było wśliznąć się chyłkiem w mit Wiednia, tak łatwo dać się uwieść jego rozmarzonemu czarowi.

— Elizabeth.

Serce jej skoczyło do gardła i zacisnęła na chwilę oczy na dźwięk tego głosu.

— Elizabeth.

Odwróciła się wolno, nie chcąc tego, ale niezdolna uczynić nic innego. Stał przed nią, z niemalże uroczystym wyrazem twarzy. Zaczynało jej brakować tchu. Był bardzo przystojny w kontrastujących ze sobą czerni i bieli wieczorowego stroju.

— Nie wiedziałam, że tu będziesz... — Cóż za głupoty mówi.

— Jestem jak w ostatniej chwili podstawiony aktor. Wziął ją za ramię. — Napijesz się ze mną szampana?

— Właśnie wracałam...

— Kilka minut nie zbawi świata, prawda? Milczała.

W łoży, do której ją zaprowadził, nie było nikogo. Krawędź znajdującej się tam rzeźby otoczona była klombikiem białych i różowych goździków, na których Elizabeth zatrzymała nieruchome spojrzenie, czując w uszach szum krwi. Gdzieś z bliska doszedł ją ochryply śmiech i z rozszerzonymi oczami wbiła wzrok w Karla, przestraszona, że ktoś ich może na czymś przyłapać, jak gdy-

by już zdążyła coś zrobić, coś, za co powinna się spalić ze wstydu.

— Wszystko dobrze — powiedział miękko dotykając w pieszczocie jej policzka.

Przymknęła oczy. Poczuła, że jej pierś rozsadza nieokiełznane uczucie.

Pocałował ją. Zadrzała, wiedziała, że teraz jest już za późno i że tej chwili będzie żałowała do końca życia, ale nie miało to znaczenia, teraz nie. Jego dłonie dotknęły jej nagich ramion i bezbronnym ruchem odchyliła głowę.

Ich usta spotkały się znów i tym razem jej wargi rozchyliły się

natychmiast, a palce przesunęły po jego włosach; przyciągnęła go, żeby

jej zapragnął, żeby poczuł oszałamiające pragnienie, które ogarnęło jej

ciało, jej umysł, jej serce. Chrapliwy śmiech zabrzmiał znów, tym razem z

dalsza. Będzie żałowała, tak, po tysiackroć, ale nie oprze się temu. Nie.

Laura znalazła się w ciepłym wnętrzu samochodu Ralfa. Drżała z zimna.

— Nie byłam na balu już chyba z dziesięć lat, zupełnie" zapomniałam, że tak się można zmęczyć.

— Nie widać tego po tobie. — Rzucił na nią ukradkowe spojrzenie, rozbierając ją w myślach.

— Musi już być strasznie późno — powiedziała ostrożnie, poruszona nagle wyraźnie widocznym w jego spojrzeniu podziwem.

— Dopiero minęła druga. — Utkwił spojrzenie w kluczyku do samochodu, który dzierżył w ręce ubranej w rękawiczkę. — Odwieźć cię do domu czy napijemy się kawy?

Przez chwilę udawała wahanie, ale zaraz skinęła głową, co wynagrodził jej szerokim uśmiechem.

— Lubię, kiedy się uśmiechasz... — powiedziała nieco nieśmiało. — Powinieneś robić to częściej.

— Ale wtedy straciłaby na tym moja tajemniczość, no nie? — na wpół stwierdził i wyprostowując się włączył silnik.

Rzeczywiście, otaczał go jakiś nimb tajemniczości, i to raczej nie dlatego, że był ekspertem od komputerów. Odwróciła głowę w stronę okna, podczas gdy samochód zaczął się wydostawać z grobowo-zimnego, szarego podziemnego parkingu. Na ulicach nie było śniegu, ale powietrze było stężałe jak lód, a ołowiane niebo wydawało się tak kruche, jakby w każdej chwili gotowe było się załamać. Wtuliła się w swoją aksamitną pelerynę, zerkając na zdecydowany profil Ralfa, a następnie na jego dłonie w rękawiczkach oparte lekko na kierownicy. Przewyciężyła suchość w gardle, czując, że znowu traci poczucie bezpieczeństwa. Ilekroć zaczynała się czuć przy nim pewnie, wrażenie to rozwiewało się już w następnej sekundzie, a on stawał się na powrót obcy. Wzbudzało u niej niepokój, jak gdyby w ich związku istniało coś niewidzialnego, coś ukrytego poza jej zasięgiem. Ralf jak gdyby pod wpływem jej wzroku odwrócił się do niej z uśmiechem, wziął za rękę i szybko uniósł do ust. W momentach słabości nie mogła się powstrzymać przed porównywaniem go z Andrew, ale to nie miało sensu, ponieważ różnice były zbyt wielkie. Wróciła myślami do listu, który otrzymała od Andrew poprzedniego dnia, listu, który niewiele jej mówił, który utrzymany był w zupełnie niezobowiązującym tonie, w którym nie było nic na temat braku telefonów od niego i w którym nie wyjaśniał też, dlaczego, kiedy to ona dzwoniła, tak ciężko go było zastać. Ale czy spodziewała się czegoś innego? Coraz częściej sądziła, że między nimi naprawdę wszystko skończone. Posmutniała, co sprawiło, że na nowo zaczęła rozważać powody, dla których przyjechała do Wiednia. Bo przecież nawet jej praca była jak dotąd rozczarowaniem. Jej ambasador i jego zastępca nie za bardzo dawali sobie radę z odpowiednim podziałem pracy i czasami nie miała prawie nic do roboty, a czasami musiała ślęczeć nad nudnymi zagadnieniami protokolarnymi; i jeśli to się nie zmieni po zakończeniu konferen-



cji, schemat jej codziennej pracy będzie jeszcze mniej stymulujący.

— Ten mężczyzna, z którym się dziś spotkaliśmy — John Thornton — co właściwie robi?

Wyrwana z zamyślenia, zatrzepotała powiekami. — Jest zastępcą szefa delegacji brytyjskiej.

— Mają pewnie osobne biuro dla siebie? — spytał.

— Taki był początkowy pomysł, ale ambasador Laurence Dymoke, szef delegacji brytyjskiej, zdecydował, że możliwości techniczne nowej ambasady brytyjskiej są zbyt wielkie, żeby dać się im zmarnować, w związku z czym „dokwaterowali się” do nas. — Uśmiechnęła się dość cierpko. — Chociaż nie wydaje mi się, by Sir Nigel Howard, nasz ambasador, skakał z radości.

— Gdzie ambasadorów sześć... — zażartował. — Mam nadzieję, że jakoś się dogadają.

— Hm, obydwaj mają dość rozwinięte poczucie własnej wartości, tak więc wydaje mi się, że większość czasu przeznaczają na to, by dyplomatycznie schodzić sobie z drogi.

Roześmiał się i dziwnie ją to rozluźniło. Po raz kolejny zastanowiła ją huśtawka własnych nastrojów, za które na pewno przecież nie był odpowiedzialny Ralf, lecz ona sama: ona, Wiedeń, Andrew i niezbyt leżąca jej praca. No, ale mimo to powinna się przynajmniej cieszyć, że ma perspektywę kariery, a u boku mężczyznę, który jej pragnął: o to jej przecież w gruncie rzeczy chodziło, no nie?

Gdy samochód minął gmach Parlamentu, mieszkanie Ralfa było dosłownie tuż za rogiem. Jej wzrok wyłowił z mroku posąg bogini mądrości stojący na szczycie fontanny, otulony zmarzniętym śniegiem, a ona z zadumą zastanawiała się, gdzie się podziały resztki jej rozumu.

Zwalniali i w półmroku jeszcze raz zerknęła na nieruchomy profil Ralfa. Zaczęła rozprostowywać zaciśnięte dłonie, które dotychczas trzymała w fałdach spódnicy. Pokrywał je zimny pot.

Zupełnie nie była przygotowana na sposób, w jaki ją kochał, na zdumiewającą zręczność jego dłoni, jego ust, jego języka. Zanim jeszcze jej dotknął, kiedy nie odwracając od niej wzroku powoli, jakby rytualnie rozbierał się, wiedziała, że wybór tej chwili nie był przypadkiem, że została starannie wymierzona w czasie, jakby odliczona ze stoperem w ręku. Poczowała brak tchu, gdy zobaczyła jego masywne ramiona, potężnie sklepioną klatkę piersiową, zadziwiająco wąską talię, zgrabne pośladki i potężne, muskularne uda. Dysponował niesamowitą siłą fizyczną, to było oczywiste: jego bicepsy i mięśnie klatki piersiowej były doskonale harmonijne, jak gdyby wyrzeźbione, i to nie z kości i ciała, ale z chłodnego kamienia. Przypomniawszy jej się Dawid Michała Anioła i marmurowy posąg Herkulesa, który kiedyś, gdzieś widziała... Kiedy się do niej zbliżył, nie poruszyła się, coś jej podszeptało, że tego oczekiwał i że to on będzie o wszystkim decydował. Ale za to mogła się zatopić w jego sile, pozbyć wszystkich skrupułów, najdrobniejszego braku zdecydowania. Wydała z siebie skowyt, kiedy podszedł do niej z tyłu i jego ręce zaczęły się przesuwać w górę po jej ciele, czuła jego gorący oddech na karku i coraz to szybszą pieśczętę. Zamarła, gdy z ustami przy jej uchu szeptał rzeczy, które w innym miejscu i o innym czasie szokowałyby i napawały ją wstrętem. Jednym szybkim i zręcznym ruchem przewrócił ją na plecy i przeniósł jej nogi ponad jej głowę, i wszedł w nią brutalnie i tak nagle, że z jej ust wyrwał się krzyk. Gdy zobaczyła jego twarz, nieruchome oczy, bez wyrazu, poczuła w sobie skurcz strachu, ale nagle jego usta rozciągnęły się wolno w uśmiechu i zmienił pozycję, tak że teraz jego rozchylone wargi mogły nakryć jej wargi. Przesunął delikatnie ręce w dół jej wilgotnych, gorących pleców, żeby wreszcie palce mogły odnaleźć to tajemnicze miejsce pomiędzy udami. Przymknęła oczy i gdy zaczęła narastać w niej przyjemność, nagle przerwał pieśczętę, zmieniając pozycję, zaczynając znowu, jak gdyby chciał

doprowadzić ją do szaleństwa. Poczwała, jak koniuszki jego palców z leniwą zmysłowością masują dół jej kręgosłupa, jak jego język przesuwa się po obrzeżu jej piersi i jego potężny penis ledwie muska wnętrze jej ud. Jej pożądanie ani na moment nie słabło, była jak oszołomiona i wtrącona w trans starannymi ruchami jego rąk. Z chrapliwym świstem wciągnęła powietrze, kiedy niespodzianie podniósł ją i podczas regularnych ruchów, przycisnąwszy ją do siebie, wszedł do niej nagle. I kiedy w końcu poczuła, jak rytmicznie porusza się w niej, z jej otwartych gwałtownie ust wyrwał się krzyk. Ogarnęła ją ekstaza, jakaś mroczna ekstaza, i przez długą, rozpaloną do białości chwilę syciła się nią; ale już zaraz, niespodziewanie szybko zaczęła wygasać, zostawiając jej niesprecyzowane wrażenie, że się zupełnie zatraciła i — że to nie była miłość, czy nawet uczucie, ale rytuał, wyćwiczony, rozkosznie subtelny rytuał, który z nią, jako Laurą, miał bardzo mało wspólnego. John przyglądał się Elizabeth, kiedy rozpiniała i rozpuszczała włosy.

— Co się stało?

— Nic, naprawdę.

Stał nie zmieniając pozycji i nadal nie spuszczał jej z oczu, wpatrzony w jej gęste włosy o miodowym kolorze.

— Dlaczego mnie zbywasz?

Podniosła wzrok, poderwana jakby ukłuciem, zaskoczona jego spostrzeżeniem.

— Wcale cię nie zbywam, John. Ale zrobiła to, zawsze to robiła.

— Owszem, robisz to — powiedział cicho. — Może sobie z tego nie zdajesz sprawy. Co nie zmienia faktu, że tak jest.

Teraz już zupełnie odwróciła się od lustra, próbując się opanować.

— Po prostu jestem zmęczona, nic poza tym.

— Ja również.

Wróciła do czynności szczotkowania włosów, próbując znaleźć w tym wieczornym rytuale spokój i bezpieczeństwo.

— Proszę, John, dajmy spokój, połóżmy się...

Bez słowa odsunął kołdrę i wsunął się w chłodną pościel. Jego głowa zagłębiła się powoli w ciężką poduszkę, a wzrok błędził po suficie, gdzie ciągle jeszcze paliła się lampa. Nie mógł sobie wyjaśnić, dlaczego ten wieczór uległ takiej zmianie, jak gdyby w połowie walca Straussa jakiś bóg nieszczęścia odmienił wszystko jednym ruchem ręki i nic już nie było takie samo. W każdym bądź razie on nie mógł sobie wytłumaczyć zmiany w Elizabeth, jej wymuszonej wesołości, nagłego nerwowego uśmiechu, zmieszania czy smutnego spojrzenia, które spostrzegł u niej, kiedy myślała, że na nią nie patrzy. Ze zmęczeniem wciągnął głęboko powietrze. Swoją drogą rzeczywiście był zmęczony — obydwójce byli, a zmęczenie ma to do siebie, że płata figle; jutro bal w Operze i reszta wieczoru będzie już tylko wspomnieniem. Przewrócił się na bok i śledził spojrzeniem Elizabeth, jak przechodzi przez pokój do łazienki. Zadawał sobie pytanie, dlaczego kochanie jej sprawiało taki ból, ale zarazem i taką przyjemność, zadawał sobie pytanie, dlaczego musi ją kochać aż tak bardzo. Bo rzeczywiście kochał ją ogromnie i to czasami go przerażało, szczególnie wtedy, kiedy próbował sobie wyobrazić, jak życie wyglądałoby bez niej. Lecz na szczęście ich małżeństwo było dobre, nawet bardzo dobre, nie powinien więc walczyć z wyimaginowanymi wrogami, nie powinien pozwolić, żeby opadły go stare lęki, tylko dlatego, że nie za bardzo udał im się wieczór. Był zmęczony i zmęczenie uspiło jego czujność, pozwoliło, aby ponura melancholia, dotychczas krążąca poza obrzeżem jego życia, zaczęła się w nie wsączać.

Ich cocktail-party okazało się nadspodziewanie sympatyczne. Elizabeth wzięła do ręki szklankę z odrobiną ginu z tonikiem i rozejrzała się po sali w poszukiwaniu gospodarzy — irlandzko-australijskiego małżeństwa, Greta i Dana Mulhall. Greta, pełen życia rudzielec, reprezentowała Australię na konferencji, jej mąż, Dan, był poetą. Jego ostatni wiersz „Irish Darkness” zdobył uznanie krytyki zarówno w kraju ojczystym, jak i za granicą. Dyplomacja wychodziła im na zdrowie, zauważyła Elizabeth, Greta uwielbiała swoją pracę, a Dan nie miał większych problemów z przystosowaniem się do nowych warunków, a od kłopotów związanych z regularnym przenoszeniem się z miejsca na miejsce z całą pewnością nie ucierpiała jego twórczość. Wiele małżeństw zawartych w kręgach dyplomatycznych wcześniej czy później płaciło rachunek za nieustanne napięcie, czego konsekwencją była wysoka liczba rozwodów, u dzieci zaś rozwijały się postawy buntownicze, zaczynały mieć kłopoty w szkole albo same ze sobą. Przystosowanie się do nowych miejsc było trudnym zadaniem dla najmłodszych, a z wiekiem trudności takie często jeszcze się zwiększały. Elizabeth pomyślała o Christopherze. John uważał, że szkoła z internatem w Anglii byłaby przez jakiś czas rozwiązaniem, ale ona sprzeciwiała się temu pomysłowi z całą mocą; Christopher miał z nimi zostać tak długo, jak tylko to możliwe. Zmarszczyła nieznacznie brwi, jej zdaniem miłość rodzicielska powinna być w stanie przetrwać

wszystkie przeciwieństwa. I gdy o tym myślała, na chwilę poddała się rozpacz, ponieważ uświadomiła sobie, że teraz ryzykuje stratę tego wszystkiego, i na nic jej się zdadzą nawet najszlachetniejsze poglądy. Była oszustem, hipokrytką, o której trudno by mówić z sympatią, choćby ze względu na jej nieopanowane myśli o Karlu czy ich kochanie się. W jego łóżku. Przypuszczała, że to się zdarzy w *jego* łóżku, w *jego* mieszkaniu. Tylko nie w hotelu. Karl, proszę...

— Elizabeth...

Jej nerwowe spojrzenie zatrzymało się na twarzy Madeleine.

— Przykro mi, zdaje się, że cię przestraszyłam.

— Troszeczkę, Madeleine, zamyśliłam się.

— To było więcej niż widoczne, Elizabeth. — Jej usta rozciągnęły się w suchym, wszystkowiedzącym uśmiechu. — Ale nie chcę cię pytać, o czym myślałaś.

— O niczym ciekawym, mogę cię zapewnić. Madeleine wbiła w nią badawczy wzrok, ale milczała.

Elizabeth czuła, że się rumieni.

— Jak było na Węgrzech — i w Pradze? — spytała, próbując przerwać nagłą, niezręczną ciszę.

— Wspaniale — odrzekła Madeleine. — Wszystko — wzgórza, wsie, cudowne budynki — otulone śniegiem. Budapeszt jest prześwietny, stary zamek królewski, historia, ludzie... napawają mnie podziwem. Zupełnie niezwykle. — Wciągnęła głęboko powietrze, tak że nozdrza jej długiego i cienkiego nosa aż zlepily się ze sobą. Miejmy nadzieję, że *glasnost* będzie trwała nadal i nie odbije się nam czkawką. Chyba bym się zapłakała, gdyby Wielki Niedźwiedź Rosyjski znów postawił swą ohydłą łapę w Budapeszcie.

— A Praga?

— Ciagle kiepsko. — Madeleine potrząsnęła głową. — Na jakąkolwiek zmianę trzeba będzie poczekać dłużej, tak się obawiam... Ale plac Wacława — śliczny, prześlicz-

ny. — Objęła jej twarz natarczywym spojrzeniem. — Powinnaś była pojechać z nami...

— A jak tam Olaf? — spytała Elizabeth zmieniając temat.

— Zanudza mnie na śmierć tym swoim ciągłym gadaniem o ozonie, zanieczyszczeniu, lasach tropikalnych, itd., itp. — westchnęła ze znużeniem. — Można by pomyśleć, że żyjemy w ścieku.

— Może tak właśnie jest?

— O, nie! I ty, Elizabeth!

— Nie sposób ignorować tego, co się dzieje.

— A cóż takiego się dzieje? — Pociągnęła duży łyk swojej Perier. — Zbiorowa histeria.

— Chyba tylko udajesz ignorancję. — Z ironicznym uśmiechem powiedziała Elizabeth. — Lub, być może, ma to związek z faktem, że ruch „zielonych” we Francji jest chyba słabszy niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim...?

— Nie o to chodzi — rzuciła jej nieco zbyt ostro. — Ale ten kretyn prosił mnie nawet, żebym się pozbyła mojego futra, futra z norek! Jestem ciekawa, jaki ono ma wpływ na dziurę ozonową!

Elizabeth wybuchnęła śmiechem. — Chociażby ze względu na coś, co się zwie „public relations”, a poza tym ekologia to także sprawy ochrony fauny i flory.

Madeleine westchnęła teatralnie. — To wszystko jest okropnie nudne. — Zmarszczyła brwi. — W każdym bądź razie, ja nigdy nie zabiegałam o opinię publiczną — to takie przyziemne. Och, ci „zieloni” w tych swoich trampkach i pogniecionych džinsach. — Ponownie westchnęła. —

Kiedyś tak się fajnie żyło, a teraz nie można już nawet odetchnąć, żeby się przy tym nie trzeba było zastanowić. — Pociągnęła następny łyk wody.

— Zresztą... A jak tam John? Wydawał się trochę blady.

— Tak? O ile wiem, nic mu nie jest, Madeleine.

— A tobie?

— Mnie? — odpowiedziała lekko zbita z tropu. — Jak widzisz.

— Widziałam cię w Do & Co — zaszczebiotała Madeleine. — Chyba w zeszłą środę? Tylko przechodziłam, myślałam, naiwnie, że dostanę stolik, ten co zwykle, ale oczywiście nawet mi na myśl nie przyszło, żeby się przyłączyć do was — obydwójce wyglądaliście tak, że tak powiem, przytulnie... — Jej ton nabrał cech nieznośnej intymności. — Ostatecznie, Wiedeń jest taki mały.

Elizabeth była wściekła, bo na twarzy zaczynał wykwitać jej rumieniec. Było oczywiste, że Madeleine przez cały czas o to chodziło.

— Tak, myślę, że to mogła być środa — odparła, jakby zastanawiając się, sama zaskoczona chłodem swojego głosu.

— Sympatyczny. To chyba Amerykanin, co?

— Rzeczywiście.

— Na imię ma, zdaje się, Karl... — sądowna dalej.

— Karl Nielsen — uzupełniła Elizabeth. Nie było sensu próbować kręcić.

— Wygląda, że się dobrze znacie. — Wręcz wyszczerzyła się Madeleine.

— Karl miał dość długi związek z moją znajomą. — Jak łatwo przyszło to kłamstwo, pomyślała ze wstydem.

— Doprawdy? Kiedy to było?

Elizabeth przełknęła z trudem ślinę. — Dlaczego to cię tak interesuje, Madeleine?

— Och, znasz mnie — ciekawość to jedna z moich zalet.

— Ktoś mógłby to nazwać inaczej.

— A fe! To nieładnie tak mówić, Elizabeth, rozczarowujesz mnie. — Ale z jej twarzy nie zniknął sztuczny uśmiech. — Nie wiedziałam, że z ciebie taka mimoza, można by pomyśleć, że masz coś do ukrycia.

— Absolutnie nic.

Oczy starszej kobiety przez chwilę przeszywały badaw-



czo twarz Elizabeth, która jednak zaraz rozluźniła się, można było niemal usłyszeć westchnienie ulgi.

— Chyba polecę do Mediolanu w przyszłym tygodniu. — Ni z tego, ni z owego poinformowała ją Madeleine, obrzucając jej sukienkę zawistnym spojrzeniem. — Potrzebuję jakichś nowych ciuchów, czrgoś, co by mi rozjaśniło nudę tego dyplomatycznego życia.

Elizabeth zmusiła się do uśmiechu. Idź, Madeleine, na miłość Boską, idź już sobie, pomyślała.

John przeklinał w duchu. Morton był nieskończenie nadęty i w dodatku obłudny.

— Musimy zamiary przekuć w czyny, dość już rozmów. Sęk w tym, że John zgadzał się z nim, mimo jego nadętości i insynuacji. Obydwaj wiedzieli, że Wielka Brytania, z jej ogromnym przemysłem i populacją, miała znacznie większe problemy z kontrolą zanieczyszczenia środowiska niż jej skandynawscy sąsiedzi.

— Oczywiście, i dlatego tu jesteśmy, zgadza się?

— Przedstawiciele wszystkich krajów — ciągnął monotennie Morton — a przynajmniej tych najbardziej rozwiniętych, zgodni są co do tego, że musimy przedsięwziąć naprawdę surowe środki, aby ograniczyć emisję CFC, mimo to daje się wyczuć dość znaczną niechęć — ukrytą pod słowem „ostrożność” — ze strony zbyt wielu krajów zachodnich.

John przyjął to z westchnieniem. Było jak najbardziej oczywiste, że oskarżycielska mowa Mortona dotyczyła także Wielkiej Brytanii, ale, dzięki Bogu, sekretarz stanu do spraw ochrony środowiska naturalnego, wsparty ostatecznie błogosławieństwem premiera, zaczął wreszcie realizować swoje plany i w sprawach ochrony środowiska przestał grać drugie skrzypce przy księciu Walii.

— A jeśli mamy ustrzec kraje rozwijające się przed podążaniem nadal tą samą drogą — dodał — musi to im być w jakiś sposób zrekompensowane i tutaj do akcji

powinien się włączyć międzynarodowy fundusz na rzecz ochrony środowiska. Jak nadmienił przedstawiciel Indii na dziesiątym posiedzeniu, kraje rozwinięte odpowiedzialne są za dziewięćdziesiąt procent zniszczenia warstwy ozonowej.

— Wymiana fabryk CFC w Trzecim Świecie będzie kosztowała około dwustu milionów — włączył się John. — Jak podzielimy rachunek? Morton oblał się rumieńcem, stać go było przynajmniej na wstyd.

— Norwegia zapłaci swoją część — powiedział broniąc się.

— Potrzebne będzie dalsze sześć miliardów, aby zastąpić użycie gazów CFC.

— Wiem, John.

— I pamiętaj, że nasi chińscy „przyjaciele” żądają wolnego przepływu technologii, a jeśli ich żądania nie zostaną spełnione, to nawet gdyby kraje zachodnie przestały używać CFC, utrzymałby się jego eksport do Trzeciego Świata.

— Tak jak DDT...

John odwrócił się stając oko w oko z Danem Gur-neyem.

— ...nasz stary znajomy „pestycyd” — kontynuował Dan.

— Rozmawialiśmy o naszym nowym znajomym „CFC”.

— CFC zatruwa atmosferę, DDT — bezpośrednio człowieka.

— Myślałem, że stosowanie DDT zostało zabronione.

— No, oczywiście, ale Stany Zjednoczone, na przykład, nadal produkują ponad osiemnaście tysięcy ton, na eksport — głównie do Trzeciego Świata.

— Pozwala mi pan zacytować pańskie słowa? — spytał John z żartobliwym uśmiechem.

— Raczej nie...

— Widać jak na dłoni, Dan, że rzetelnie odrabia pan zadanie domowe, nie mylę się?

- Aha... przeciętny mieszkaniec Ameryki Środkowej ma w sobie dwanaście razy więcej DDT niż jego sąsiad ze Stanów.  
John łyknął ginu z tonikiem.
- Czuję, jak mi oczy wychodzą na wierzch, gdy przysłuchuję się tym statystykom.
- A wszystkim innym nie? Podeszli do okna.
- Coś nowego o morderstwie dokonany przez handlarzy kością słoniową?
- Ma pan na myśli sprawę siostrzeńca naszego ministra spraw wewnętrznych? — Upewnił się John i nie czekając na odpowiedź, odparł:
- Nie, na razie nic, choć z tego, co wiem, poruszono niebo i ziemię.
- Sprawa dotyczy potężnej skorumpowanej siatki, John, i z mojego prywatnego śledztwa wynika, że mogą w to być zamieszani politycy i nasi koledzy po fachu — dyplomaci.
- To nie dziwi, jeśli się weźmie pod uwagę, że mamy prawo podróżować bez kontroli celnej i organów bezpieczeństwa.
- Właśnie.
- Cała sprawa bardzo panu leży na sercu, prawda, Dan?
- Czy to tak bardzo widać?
- Nie zdawałem sobie sprawy, że staje się pan ekspertem.
- Bo tak nie jest, nadal jestem zwykłym amatorem, ale ostatnio proszono mnie o radę przy okazji obrad komisji do spraw ochrony świata przyrody, więc moje zainteresowanie tymi problemami staje się sprawą publiczną
- powiedział z lekką ironią i dodał: — To rodzaj spadku po mojej żonie.
- Spadku?
- Zmarła dwa lata temu.
- Tak mi przykro...

— A mnie...

John instynktownie przebiegł wzrokiem salę w poszukiwaniu żony.

— Ma pan bardzo miłą żonę.

John rzucił mu ostrożne spojrzenie i następnie w odpowiedzi pokiwał wolno głową. — Tak, wiem.

Przy telefonie była jakaś notatka. Sam przeczytał ją szybko. Natalie, oczywiście. Skulił się w sobie i zastanawiał się, dlaczego nadal z taką łatwością potrafiła zmaćić mu spokój. Każda zapowiedź szczęścia, każda nieśmiało wkradająca się chwila dobrego humoru wyparowywały, kiedy w jego życie wkraczała na powrót jej osoba, i kończyło się tym, że sięgał po proszki uspokajające. Z piersi wyrwało mu się bolesne westchnienie. Podniósł słuchawkę. W Nowym Jorku będzie teraz około 3 po południu. Słyszał, jak u góry Clara kładzie spać Joannę, dochodził do niego słodki, delikatny głosik córki, gdy zadawała kolejne pytanie.

„Dlaczego... dlaczego... dlaczego?” — Czasami brakowało mu już odpowiedzi. Czasami też doświadczał bolesnego ukłucia żalu, że do takich rozmów brakuje jej matki, nie mógł bowiem udawać, że zaspokaja wszystkie potrzeby dziewczynki. Ale dzieckiem jego żony była woda albo kokaina, to, co akurat było pod ręką.

— Tak, kto mówi?

Połączenie było dobre, jej głos zdawał się dochodzić z drugiego pokoju.

Wolał sobie takiej sytuacji nie wyobrażać.

— Och, Sam, cześć!

Jak para starych przyjaciół.

— Ponoć dzwoniłaś.

— Nie spodziewałam się, że tak szybko oddzwonisz.

— Życie sprawia niespodzianki.

— Przestań, Sam. — Jej głos był miękki, łagodny, prawie szczery.

— Czego chcesz, Natalie?  
— Chciałam ci jedynie podać datę mojego przylotu. Przez ułamek sekundy żałowałam, że nie pali.  
— Już mi to powiedziałaś, Natalie, chyba że zmieniłaś plany?  
— O jeden dzień, Sam, tylko o jeden dzień.  
— Nie chcę cię tutaj.  
— Nie złość się.  
— Znasz moje zdanie.  
— Tylko na trzy dni. — Jej głos przypominał skomlenie. — Czy musisz mnie tak gnębić...  
— To ty mnie gnębisz.  
Słyszał, jak nerwowo zaczerpnęła oddechu.  
— Jak się czuje Jojo?  
— Joanna czuje się bardzo dobrze. — Mogłabym z nią porozmawiać? Proszący głos małej dziewczynki. Próbował nagle wyobrazić ją sobie jako dziecko, małą dziewczynkę, ale mu się to nie udało.  
— Już śpi. No, powiedzmy.  
— Muszę się z tobą zobaczyć, Sam.  
— Jestem zmęczony, Natalie.  
— Nie odkładaj słuchawki, Sam, poczekaj chwilę.  
— Już ci powiedziałem, że jestem zmęczony.  
— A ja przylatuję, czy ci się to podoba czy nie. W przyszły piątek, dwudziestego.  
— Dzięki za dobrą wiadomość.  
— Czy nie możesz być trochę bardziej kulturalny w tym wszystkim, choćby ze względu na Jojo?  
— Jezu Chryste! Kiedy, no, kiedy ty zrobiłaś cokolwiek ze względu na Jojo? No, powiedz!  
— Dobrze, dobrze, uspokój się już.  
Wszystko to mówili już wcześniej, ale teraz poczuł, że musi dać upust swojemu zgorzknieniu i upokorzeniu.

— Nie mów mi, żebym się uspokoił. Po prostu wyłącz się i, do cholery, wynieś się wreszcie z mojego życia.

— Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Z lekkim trzaskiem odłożył telefon na miejsce i przez kilka długich sekund stał jeszcze w tym samym miejscu ze słuchawką w ręku. W końcu powoli skierował się do gabinetu i otworzył barek. Bezmyślnie wpatrywał się w rząd butelek, a później mechanicznie sięgnął po dwunastoletniego Glenlivet. Alkohol uspokoił go trochę, rozlewając się kojąco w żyłach, zmywając obraz Natalie z jego myśli. To tylko trzy dni. Zaklął po cichu, wychylając jednym haustem zawartość szklaneczki i nalewając sobie następną. Popatrzył na sufit: na różnych wysokościach i pod różnymi kątami zwieszało się z niego około tuzina modeli samolotów. Czasami, kiedy się im przyglądał, czy kiedy składał nowy model, stawały się dla niego pocieszeniem, jakąś ucieczką. Większość z nich przedstawiała samoloty używane w II wojnie światowej i stanowiła niezłą kolekcję: od wczesnych Spitfire'ów po Lancastery, a nawet Messerschmitty. Z lekkim uśmiechem uświadomił sobie, że jego gabinet nigdy nie pomieści ich wszystkich. Wprawdzie w Nowej Anglii czekał na niego dom — piękny, wielki kolonialny dworek pomalowany na biało, z ogromnymi, wysokimi sufitami — ale nie chciał tam wracać, długo nie. Zmienił tok swoich myśli i przypomniał sobie lunch w Kervansary, na którym był razem z Kristiną poprzedniego dnia. Nie było to nic specjalnego, a jednak stwierdził, że jest czarująca, mimo pewnego dystansu, ale to mu się nawet podobało. Przynajmniej wskazywało na fakt, że nie jest nachalnym, wyrachowanym typem kobiety polującej na męża. Jak Natalie. Kristina nie spytała go nawet, czy jest żonaty. Sam pociągnął następny łyk malt whisky, jak gdyby chcąc rozproszyć rodzące się wątpliwości. Być może jej nie interesował. Stłumił tę myśl, ale zaraz wróciła, uparta i nieprzyjemna; to by wyjaśniało jej

początkowy chłód. No, ale przecież zgodziła się przyjąć jego zaproszenie na lunch. Tak, na lunch, ponieważ udało jej się skutecznie odrzucić zaproszenie na kolację.

Przełknął ostatni łyk whisky i niechętnie odłożył butelkę na miejsce w barku. Nie było sensu się upijać, a przy tym miał jeszcze do przegłądnięcia kilka notatek na poranne posiedzenie. Wróci do myśli o Kristinie później, lub jutro; ale ledwie usiadł przy biurku i otworzył teczkę, uświadomił sobie uczucie ogromnego smutku opanowującego go coraz większymi falami. Jakież to miało znaczenie, ledwie ją zna. Z westchnieniem sięgnął do otwartej teczki po dokumenty. Nierzadko zastanawiał się, czy w ogóle coś o sobie wie, nierzadko też nie podobało mu się to, co jednak wiedział. Jesteś słabym frajerem, *schmuckiem* \*, popychadłem lub — jak by powiedziała jego żona — „tatuśkiem”. Genevieve odłożyła lekko słuchawkę na widełki. Elizabeth Thornton była tak uprzejma, tyle wykazywała zrozumienia i delikatności w sprawie portretu jej syna, który Sophia miała naszkicować. Oczywiście nie będzie to miało miejsca teraz, nie wiadomo, czy w ogóle. Przysunęła się do kominka spoglądając w zachłanne płomienie, strzelające w górę i w dół i plujące iskrami w komin. Nadal nie mogła zrozumieć, jak sprawy mogły potoczyć się tak szybko, jak jej życie mogło przybrać tak nagły obrót. Usiadła na jednym z ozdobnych krzeseł i pochyliła się nad ogniem. Po raz pierwszy w jej małżeńskim życiu gotowa była postawić się Felixowi i po raz pierwszy też przyznała się sama przed sobą, że zawsze tego unikała. Po weekendzie w zamku nie mogła się nawet przemóc, żeby z nim rozmawiać, ale musiała, ze względu na Sophię. Po ich powrocie wybuchła odrażająca kłótnia, która w końcu doprowadziła ją do bezsilnych łez, ponieważ nie umiała sobie poradzić z jego ostrym językiem. Była upokorzona,

\* żydowskie — frajer.

jej duma została poważnie nadszarpnięta, ale nie poddała się — dla Sophii.

Nie mogła się powstrzymać od przypomnienia sobie bolesnej rozmowy z córką, przeprowadzonej następnego wieczora po awanturze z Felixem. Po raz kolejny badała w myślach obraz twarzy Sophii, jej rozszerzone oczy, blade policzki, drżące ślicznie skrojone usta. Tylko ona, dobrze znająca ją matka, dostrzegała, że drżą, że nie były to usta jej Sophii, ale kogoś innego, kto nią zawładnął, i teraz, ze złamanym sercem, czuła, że nie ma jak się dostać do swojej ukochanej córki.

— Twój ojciec zdaje się uważa, że ty i Oskar... — zaczęła i przerwała czując, że do twarzy wali jej krew.

— Wuj Oskar? — spytała Sophia i badawczym spojrzeniem ogarnęła twarz matki.

— Że mogłabyś... — zająknęła się. — Oczywiście pomysł jest niedorzeczny.

— Jaki pomysł?

Genevieve odgarnęła włosy gestem udreki. — Powinnaś wyjść za mąż za kogo chcesz — wybuchnęła.

Sophia w osłupieniu otworzyła szeroko oczy, nie mogąc jeszcze w pełni zrozumieć.

— Ojciec sugerował, że powinnam wyjść za mąż za wujka Oskara? — spytała prawie szeptem.

— Tylko rzucił taki pomysł... Nie sędzę, że go dokładnie przemyślał... doszło do sprzeczki.

— Słyszałam was — przyznała cicho Sophia.

— O Boże.

Gwałtownie podeszła do Sophii biorąc ją za rękę. Sophia uśmiechnęła się jakby w podzięcie, ale dziwnym uśmiechem, uśmiechem, od którego Genevieve poczuła ucisk w żołądku. Potem siedziały w milczeniu, w ciszy, która wydawała się przedłużać w nieskończoność.

— Co na to wuj Oskar? — spytała w końcu Sophia.

— Nie wiem, nie jestem nawet pewna, czy twój ojciec wspomniał mu już o tym.



Sophia opuściła wzrok na ręce, na kciuki z obgryzionymi paznokciami i poplamione węglem palce.

— Zawsze lubiłam wuja Oskara.

— Wiem, zawsze był dla ciebie dobry — powiedziała Genevieve. — Ale nie nadaje się na męża dla ciebie, nawet twój ojciec musi sobie z tego zdawać sprawę.

Sophia milczała.

— Wszystko będzie dobrze, obiecuję ci.

— I ojciec nie chce, żebym studiowała na akademii sztuk pięknych, prawda?

Pod dziwnym, jakby zagubionym spojrzeniem córki Genevieve opanowało uczucie wstydu i winy, jak gdyby ją w czymś zdradziła.

— Nie.

— Chyba wiedziałam o tym od samego początku.

— Nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jesteś utalentowana — powiedziała cicho Genevieve.

— To nieważne.

— Ależ to jest ważne, i to bardzo — zaprotestowała, ale Sophia wstała i podeszła do okna.

— Mamo... chciałabym odejść. Ostatecznie mam już osiemnaście lat i raczej nie jestem już dzieckiem.

— Co to znaczy odejść? — Serce zaczęło jej łomotać, i z trudem łąpała powietrze.

— Mam jakieś oszczędności... powinny mi wystarczyć na sześć miesięcy nauki na uczelni.

— Nie.

— Tak, mamo.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— Ponieważ chcę, ponieważ nadeszła odpowiednia chwila.

— Ale ja nie chcę, żebyś to robiła.

Sophia odwróciła się od okna, z zaciśniętymi, prawie bezkrwistymi wargami. — Mamo, tak będzie najlepiej.

— Czy to ze względu na bezmyślny pomysł twojego ojca?

— Nie, nie tylko ze względu na to.

— Dlaczego więc?

I wtedy w nieruchomej, skupionej twarzy Sophii zobaczyła coś, od czego poczuła w środku skurcz.

— Pozwól mi, mamó.

Sophia wydała jej się nagle taka dorosła, taka dojrzała, że wpatrując się w nią przez dłuższą chwilę Genevieve wiedziała, iż cokolwiek powie, jej córka i tak odejdzie.

— O jakiej uczelni myślałaś? — spytała ledwie słyszalnie i nieomal się rozchmurzyła widząc, jak Sophia z ulgą chwyta powietrze.

— Myślałam, że mogłabym pojechać do Monachium.

— Monachium? Ale dlaczego? — wykrzyknęła. — Dlaczego nie w Wiedniu?

— Rozmawiałam z wujem Oskarem w czasie weekendu w zamku — polecał mi jedną z tamtejszych akademii.

— Nie — powiedziała Genevieve. — To za daleko.

— Już się zapisałam, mamó — odparła Sophia. — I wuj Oskar powiedział, że mogę się zatrzymać u niego, póki nie znajdę czegoś na stałe.

— Sama?

— W przeciwieństwie do tego, co się roi ojcu, nie sędzę, aby wuj Oskar miał jakieś plany związane ze mną — stwierdziła dodając z wymuszonym uśmiechem: — I dom jest bardzo duży.

Genevieve uderzył nagły gorzki ton w głosie Sophii, która odwróciła od niej podejrzenie błyszczące oczy, kierując je na majaczący za oknem ogród.

— Przyjmiesz ode mnie jakieś pieniądze? — spytała w końcu Genevieve cichym głosem, w którym wciąż znać było niewiarę.

— Myślałam o poszukaniu sobie pracy... wieczorami.

— Proszę, Sophio.

— Chcę poradzić sobie sama.

— To dla mnie. Przełknęła z trudem ślinę, ze ściśniętym gardłem. — Sophio?

— Och, mammo...

— O co chodzi?

— Nic, nic — rzuciła szybko. — Po prostu chcę wyjechać.

Jej pusty pokój, zaścielone łóżko, żadnych porzrzucanych drobiazgów.

Czuła, jak ogarnia ją fala rozpaczliwego smutku.

— Jeśli tak chcesz.

Nie miały już sobie wiele do powiedzenia i pozwoliła Sophii odejść do jej pokoju, by mogła się spakować, a ona została sama ze swoimi

wątpliwościami, smutkami i dziwnym poczuciem nierzeczywistości.

Pamiętała jeszcze z tamtego wieczora, spośród innych odgłosów, wściekle szczekanie psa, chłodne tykanie zegara, jego srebrne obrzeże, zza którego wyzierała do niej twarz Felixa szczerząca się w uśmiechu od ucha do ucha; a później przypomniała sobie niespodziewanie obraz swego brata Heinricha, takiego, jakim go widziała w jego ostatnim dniu: dokazującego, biegającego, ze stopami w ciężkich i za dużych dla niego, ogromnych sandałach.

Przyjeżdżał Andrew. Laura siedziała w Central Cafe i czekała na Ralfa.

Ale przecież przyjeżdżał Andrew. Telefonował do niej dziś do biura, ale los sprawił, że jej nie było, pracowała bowiem przy telegramie wraz z ambasadorem i od tego czasu nie miała specjalnie okazji, żeby do niego oddzwonić. Kiedy w końcu się dodzwoniła, przywitał ją znajomy stały sygnał telefonu, jak gdyby bawił się z nią w kotka i myszkę. Z nikłym, melancholijnym uśmieszkiem obserwowała kremową górę, która bez troski unosiła się na jej kawie. Może gdyby wiedziała wcześniej, że nosił się z zamiarem odwiedzenia jej, że planował kompromis z nią, nie spotykałaby się z Ralfem, nie zdecydowałaby się przespać z nim i — robić to dalej. Poczowała lekki dreszcz, kiedy w myślach stanął jej obraz jego potężnego nagiego ciała. Oddała mu się, w sensie

dosłownym, i w akcie tym świadomie wyrzuciła z pamięci jego słowa, sposób, w jaki ją potraktował, i jak na krótko dała się unieść ogromnej ekstazie, w którą ją wprowadził z przerażającą łatwością. Andrew nigdy tak na nią nie działał. Był chyba przeciętnym kochankiem, ale po kochaniu się z nim nigdy nie wkładało się w jej myśli poczucie winy, nie odzywały się niepokojące echa zakłócające rytm codziennego życia, jak było w przypadku Ralfa. Uniosła oczy i zerknęła w kierunku wejścia do kawiarni, jak gdyby w> czuła jego obecność, obserwując go spod rzęs, kiedy kroczył w jej kierunku poprzez zatłoczoną salę.

— Wydaje mi się, że coś cię trapi. — Usiadł. — Myślałem, że w ogóle mnie nie dostrzegłaś.

Laura posłała mu badawcze spojrzenie. Jak mogła go tak błędnie ocenić; być może dlatego, że chciała. Ralf wiedział wszystko o kobietach, był mistrzem, jak gdyby zrobił doktorat z seksu. A mimo to w jakiś dziwny sposób pozostawał i zawsze pozostanie gdzieś z boku; nie dając siebie. W najgłębszej części swego serca wiedziała już, że nie kochał jej i nie pokocha, że kobiety stanowiły jedynie fragment tła w jego życiu, i że nigdy nie będzie udawał, że jest inaczej, taki bowiem już był.

Zastanawiała się nawet, czy przynajmniej chociaż lubił kobiety. Ona również go nie kochała, ale ją fascynował. Kochała Andrew. Szukała odpowiedzi na pytanie, która z postaw, jej czy Ralfa, była mniejszym złem.

— Przepraszam.

Wyciągnął rękę przez stół i pogładził pieszczotliwie jej palce.

— Tęskniłem za tobą. Nie wierzyła mu.

— Naprawdę?

— Nie wierzysz mi, Lauro, prawda?

— Nie zdawałam sobie sprawy, że potrafisz także czytać myśli.

— Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

— Bawisz się mną, prawda, Ralf?

Jego oczy nieznacznie się zwęziły. — Od czasu do czasu. — Roześmiał się. — Ale miałem wrażenie, że lubisz takie zabawy.

Przełknęła z trudem ślinę i poczuła, jak twarz robi jej się gorąca od nagłego i niespodziewanego pożądania. — Trudno powiedzieć, żebym cokolwiek o tobie wiedziała.

— A co chcesz wiedzieć?

Westchnęła i ni z tego, ni z owego poczuła się głupio. — To nie ma znaczenia.

— Chcę być tutaj, z tobą. Czy to nie wystarczy? Wysunęła dłoń spod jego ręki i podniosła do ust filiżankę.

— Nie wiem. — Potrząsnęła głową.

— Przyjdiesz dziś wieczór?

Zesztywniała opuszczając oczy, ale wewnątrz niej narastała gorączka, rozpalał się żar.

— Nie jestem pewna...

— Lauro... — jego cichy głos brzmiał przymilnie i pieszczotliwie. — Lauro.

Filiżanka, którą stawiała na lśniącej metalowej tacy, była pusta.

— Wiesz, że przyjdę.

Wyprostował się w swoim krześle i Laurze wydało się, że zauważyła w jego oczach przelotny błysk tryumfu.

— Nie chciałabyś spędzić weekendu na Węgrzech? Opanowała się i uważnie spojrzała na niego. — Słyszałam, że Budapeszt jest bardzo piękny.

— To prawda. — Kąciki ust podniosły mu się do góry. — Pojedziesz?

— Kiedy?

— Za trzy tygodnie, w pierwszy weekend marca.

— To się może okazać trudne. Wycieczki turystyczne brytyjskich dyplomatów w krajach Bloku Wschodniego zwykle nie są przyjmowane z entuzjazmem.

— Tak, oczywiście, rozumiem to. — Z uśmiechem roz-

łożył ręce. — Ale teraz, gdy „żelazną kurtynę” przeżera rdza?

— Nawet teraz.

— Ale twój wuj... nie jest przypadkiem ambasadorem w Budapeszcie? Zmarszczyła brwi, zbита z tropu. — Skąd wiesz? Nie sędzę, abym o tym wspominała.

— Rzeczywiście, ale wiem o tym od jednego z twoich kolegów z pracy, którego spotkałem na balu w Operze... — powiedział, celowo nie precyzując.

— No cóż, przypuszczam, że mógłby mi pomóc.

— Warto spróbować.

— Będę musiała uzyskać zgodę ambasadora.

— To oczywiste.

Poczuła, że zaczyna jej się zmieniać nastrój, jak gdyby sama już fizyczna obecność Ralfa ostatecznie wymazała wszystkie wątpliwości, które ją trapiły przed jego przyjściem, i niewygodne pytania, które sęczyły się jej do głowy. Laura oddała mu uśmiech, ponownie czując dotyk jego ręki na swojej. Nie spuszczała go z oka, kiedy podnosił do ust koniuszki jej palców i dotknął ich wargami, odrobinę zbyt mocno, odrobinę zbyt długo, i poczuła, że miękną jej kolana, kiedy jego brązowe oczy napotkały jej wzrok i ich źrenice rosły i rosły, aż obcość ustąpiła miejsca pożądaniu. Gurney chciał, aby Stany Zjednoczone nadały rozmowom na temat ochrony środowiska dynamiczny i zdecydowany charakter. Karl z poirytowaniem wciągnął ostro powietrze i po raz kolejny zadał sobie pytanie, dlaczego to właśnie on został oddelegowany na konferencję w Wiedniu, przecież nie miał na tym polu ani odpowiedniej wiedzy, ani wystarczającego doświadczenia; co wcale nie znaczy, że miała je większość z pozostałych uczestników obrad. Niecierpliwym gestem odsunął notatki na temat proponowanej przez Gurneya dyskusji: „Lasy tropikalne i możliwość ich wykorzystania bez

niszczenia ich potencjału". Z westchnieniem podszedł do oszklonej ściany balkonu. Było mroźno, ciemno i ponuro. Co, do cholery, tu robił? Miał gdzieś lasy tropikalne czy tę słynną warstwę ozonową, której rzekomo miał grozić każdy chuch z nie mytej gęby. Nim już dawno zajmą się w grobie robaki, zanim świat wyda z siebie ostatnie cuchnące tchnienie.

Ale gdy tylko przeszły mu te niechętnie i zgryźliwe myśli, wrócił pamięcią do Afryki, jej dzikiej, brutalnej krasy i oszałamiających chwil, które tam spędził. Robił wycieczkę za wycieczką, chłonąc widoki nizin i nagle wystrzelających z nich ostrych szczytów, nie kończących się dzikich przestrzeni, gdzie życie znało tylko dwie funkcje — rodzenie się i umieranie, nie rozwijając się, a jedynie reprodukując w mozolnym i bezdusznym cyklu, dla którego istniała tylko Afryka. To zauroczenie nie pasowało do jego charakteru, ta gorąca fascynacja czymś, czego tak naprawdę nie rozumiał.

Wziął do ręki jedną z maleńkich figurek zrobionych z kości słoniowej, którą kupił w Nairobi — samicę dzika z małymi. Pozostałe przywiózł z Paryża i Hongkongu, ale te były mniej toporne, bardziej egzotyczne, jak choćby ta przedstawiająca roześmianego buddę splecionego w miłosnym uścisku z nagą gejszą, której rozpuszczone włosy burzą spływały na uda, pośladki i stopy. Z lekko zmarszczonymi brwiami obracał figurki uważnie w rękach, jak gdyby widział je po raz pierwszy. -Westchnął, miał bowiem nadzieję, że dziś wieczorem Elizabeth będzie mogła zostać dłużej; zamiast tego zatelefonowała mówiąc, że w ogóle nie przyjdzie, że „to nie wchodzi w grę”. Później jednak oczywiście udało mu się, wolno bo wolno, nakłonić ją do zmiany zdania i zgodziła się, ale tylko na godzinę. Godzina. Mógł się tego spodziewać. Ze wzrokiem wpatrzonym w przestrzeń za oknem Karl odłożył figurkę na stół. Ogromnie pragnął Elizabeth, ale nie chciał, aby ten pierwszy raz odbywał się w pośpiechu, nie

w takiej sytuacji. Być może Elizabeth wątpiła, że w tej jednej, niepożądanie krótkiej godzinie, którą mieli dla siebie, skłoni ją do miłości.

Myślał powrócił do tygodnia spędzonego z nią w Londynie, tygodnia, któremu tak nieopatrnie pozwolił zatrzeć się w pamięci. Chwile z nią stanowiły interesującą, niezmiernie przyjemną rozrywkę, i przypuszczał, że trochę ją kochał, mimo to jednak zostawił ją, nie oglądając się za siebie. Teraz jednak w nie wyjaśniony sposób sytuacja się zmieniła i Elizabeth stała się dla niego czymś znacznie więcej niż tylko rzuconym wyzwaniem — ponieważ nagle bardzo jej pragnął. Karl nie wiedział, czym jest to pragnienie, i to nie dawało mu spokoju, tak jak Afryka. Nie prześlizgiwał się już beztrudnie po bezdrożach życia, unikając jego komplikacji, przestał być obojętny, i świadomość tego w jakiś sposób wprawiała go w niepokój. Za tym wszystkim, za czystą przyjemnością trzymania jej w ramionach i odbierania jej reakcji na jego natarczywość kryło się coś więcej: uczucie wolnego pogrążania się, powolnego, nie mijającego pragnienia, by dostać od niej więcej — więcej niż gorące pocałunki, którymi obsypywał jej twarz i szyję; uczucie utraty kontroli. A przecież to on, z bolesnym wysiłkiem, ugasił ich żar i nie wziął jej tam, wśród więdnących goździków i zamierających cieni.

Pokręcił wolno głową i spojrzał na zignorowane przed chwilą przez siebie dokumenty. Możliwe, że po konferencji będzie się musiał zdecydować na rezygnację. Praca w charakterze dyplomaty przygnębiała go, chciał mieć swoje własne życie, swoje własne cele, nie być sterowanym przez jakichś anonimowych waszyngtońskich biurokratów, którzy nie za bardzo nawet wiedzieli, kim jest. Na razie jednak było mało prawdopodobne, żeby mógł sobie pozwolić na rezygnację z posady. Nie był Johnem Thorntonem.

Wzrok Karla znów przyciągnęły figurki z kości słoniowej. Jego interesy z Claude'em kończyły się, musiały;



rynek zbytu zaczynał się kurczyć, a cena, jaką trzeba było płacić, by zadowolić ogromną masę skorumpowanych urzędników, zaczęła już rosnąć. Poza tym przyplątała się jeszcze śmierć człowieka, śmierć nie byle kogo, co wcześniej czy później skończy się poważnymi kłopotami. Zacisnął z gniewem szczękę na myśl o młodym dziennikarzu, który zginął. Chryste Panie, pojechał nawet do Ifakary, która była bardziej podłą, śmierdzącą kloaką niż miastem; gdzie nie odważyłby się pojawić żaden biały będący przy zdrowych zmysłach; a ten biedny skurczybyk nie miał nawet broni. Karl zamknął oczy. Ale on nie miał z tym nic wspólnego. Nic. Podszedł do wyjętej z barku butelki koniaku i nalał sobie szczerze. Jakby tego było mało, te kutasy zaczynały się dławić swoją chciwością. I znów jego wzrok spoczął na figurkach. Przecież Afryka nie byłaby Afryką, gdyby zabrakło w niej słoni. Będzie musiał pomyśleć o czymś innym.

— Przykro mi, że musiał pan odwołać rezerwację stolika.

— Nic nie szkodzi. — W rzeczywistości tak nie było. Kristina spoglądała na Sama, czekając, aż zaproponuje inny dzień, inne miejsce — w zanadru miała już przygotowaną dobrze przemyślaną wymówkę. Ale Sam milczał, przytłoczony uczuciem żalu, i nagle zrobiło jej się głupio, kiedy tak patrzyła na niego stojąc pośrodku korytarza.

— Czy coś nie tak?

Lekko się wzdrygnął. — Ależ nie — skłamał.

— Może porozmawiamy chwilę gdzieś przy kawie? — zaproponowała wbrew sobie. — Mam dziesięć minut. — I tak ciężko jej było zdecydować się na telefon, żeby odwołać wspólny lunch, a teraz jeszcze ten nieszczęśliwy wyraz jego twarzy, który sprawiał jej dodatkową przykrość.

— Bardzo chętnie — zgodził się natychmiast i ze zbyt widoczną radością spojrzawszy jej w oczy.

Nie odzywając się więcej do siebie przeszli do sali restauracyjnej i zaczekali, aż kelnerka ze zbyt jaskrawo pomalowanymi ustami obsłuży ich. Przez ułamek sekundy Kristina zobaczyła w niej samą siebie i w duchu skrzywiła się, żałując, że mimo wszystko nie wybrała się jednak na Kartner Strasse i nie kupiła sobie czegoś, co pozwoliłoby jej zapomnieć o cierniach życia. Tych miała już ostatnio dość.

— O co chodzi? — spytała badając uważnie jego twarz.

— Nic... nie mogę się tylko uporać z pewnym starym problemem. — Zamieształ kawę i uśmiechnął się z widocznym wysiłkiem.

— Jakim problemem? — pytała dalej. — Choroba?

— Naprawdę nieważne, ma pani pewnie dość swoich własnych problemów.

— Możliwe, ale jeśli ma pan ochotę zrzucić to z siebie...

— Westchnął. — Chodzi o moją żonę. Ze znużeniem wciągnęła powietrze.

— Co, pewnie nie rozumie pana? — spytała sucho z lekką kpina. Ciągłe nie mogła się nadziwić, jak wielu mężczyzn używa tej samej, starej śpiewki, aby zdobyć współczucie kobiety, a w końcu ją samą, w pogoni za podniecającą nowością — seksem z inną partnerką.

Sam roześmiał się i ten gorzki śmiech zaskoczył ją trochę.

— Nie wydaje mi się, żeby słowo „rozumie” miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie. — Odwrócił wzrok. Głos jego zabrzmiał odlegle i głęboko. — Myślałem, że jest najbardziej uroczym zjawiskiem, z jakim się zetknąłem w swoim życiu, ale, wie pani — spojrzał na nią — to inaczej wygląda, kiedy mieszka się z kimś dzień w dzień, kiedy bezustannie ogląda się czyjąś twarz, słyszy czyjś głos i naprawdę się tego kogoś poznaje. Mnie poznanie Natalie nie zabrało dużo czasu. — Opuścił wzrok na swoją filiżankę.

Kristina przyjrzała mu się badawczo. — Dlaczego w ta-

kim razie nie rozejdzie się pan z nią? — spytała. — Jeśli aż tak się nie układa?

— Właśnie jestem w trakcie rozwodu.

— W trakcie?

— To dlatego ona jest w Nowym Jorku, a ja tutaj. Jesteśmy w separacji. Łyżeczka do kawy zgięła się lekko w jej palcach.

— Robi jakieś problemy?

— Ma zamiar przylecieć, a ja jej tutaj nie chcę.

— Nie może pan jej od tego odwieść?

— Nie zna pani Natalie, a poza tym twierdzi, że chce odwiedzić Joannę.

— Joannę?

— Moją córeczkę. — Myślał o niej jak o swojej córce, nigdy nie należała do Natalie.

— Opiekę nad dzieckiem przyznano panu?

Sam skinął głową. — Natalie nie była najlepszą matką. Łagodnie mówiąc.

— Och. — Kristina zauważyła jego zaciśnięte dłonie i pobielające knykcie.

— Przykro mi, Sam.

Parsknął cicho, jakby otrząsając się z tego nastroju. — Zresztą, do cholery, najgorsze mam już za sobą. Tylko że czasami, kiedy dzwoni, zaczynam czuć jakiś dziwny ucisk w żołądku, nudności, a później... — Później zwykle wymiotował. — A później przed oczami przesuwają mi się zaszłe sceny, jak stary, chłamowaty film.

— Czy nadal ją pan kocha?

— Nie, już nie Kocham... — odparł powoli i starannie, jak gdyby recytował zaklęcie od uroku. — Przestałem ją kochać już dawno temu. Siedzieli w milczeniu, czując się nieswojo i jakby obnażeni.

— Jak długo zamierza zostać?

— Trzy dni. — Podniósł wzrok. — W Imperialu... — Wiedział, że odpowiada na jej nie zadane pytanie, czuł, że tak było trzeba.

— I pan będzie się musiał z nią zobaczyć?

— Jeśli nie, wtarabani się do mojego życia i Joanny. Nie zależy mi na scenach — westchnął. W tym była niezła, szczególnie jak się napiła. Pod koniec ich związku zastanawiał się, co gnębiło go bardziej — jej agresja czy jej słodka oślepiałość, kiedy była na „haju” po kokainie. Te stany przyprawiały go o mdłości, powodowały rozpacz. Wiele ich było, ale najgorszy zdarzył się na przyjęciu w Białym Domu. Z jej czarnych, rozszerzonych źrenic wywnioskował, że zażyła kokainę; jej oczy były czarne jak smoła, tępe i bez wyrazu. Gdy zobaczył Natalie na przyjęciu, jej wygląd zaparł mu dech w piersi, bez wątpienia innym facetom też. Miała na sobie luźną jedwabną sukienkę, która wyobraźni zostawiała niewiele miejsca. Pamiętał, jak skrzywił się, kiedy tańczyła z Busterem, jednym z doradców z Białego Domu. Jej sukienka podniosła się odsłaniając dół brązowego, prawie zupełnie odsłoniętego tyłka. Kiedy w końcu udało mu się ją wywlec i wrócili do swojego mieszkania, zastali Joannę leżącą w wymiocinach. Ich stuprocentowo angielskiej niani już nie było, odeszła tego właśnie wieczora, i można się było tego spodziewać, skoro od kilku tygodni groziła, że to zrobi. A Natalie zostawiła Joannę samą. Dziesięciomiesięczne dziecko. Na tyle jednak duże, żeby wychylić się ze swojego kojca i dosięgnąć kawałka cynfolii z drobinkami kokainy, którą Natalie tak beztriosko zostawiła na białej komodzie pocałowawszy swoje maleństwo na dobranoc.

— Może nie będzie tak źle, jak pan myśli.

Z uśmiechem, w którym nie było humoru, Sam potrząsnął głową. — Będzie źle... mogę się założyć.

Kristina nie odpowiedziała, ale wpatrywała się w niego, a serce zaczęła jej przepelniać litość. Trudno było nie współczuć mu i nie dostrzec, jaki przynębiający wpływ mają wciąż jeszcze na niego wspomnienia małżeństwa i tej kobiety, której nigdy dobrze nie znał. Wierzyła mu — nie należał do osób, które potrafią kłamać, lub przynajmniej

przekonywająco kłamać, co w gruncie rzeczy prawie na jedno wychodzi. Ludzie pokroju Sama stanowili rzadkość; mało wiedzieli o oszustwie i nie wierzyli w nie odkrywając je u innych. Natalie była idiotką. Kristina westchnęła w duchu. Niech żyją idioci.

— Wspominał pan coś o Teatrze Angielskim w zeszłym tygodniu...

Sam podniósł wzrok. — Mogę załatwić bilety, jeśli pani chce?

— Piątek byłby dobry.

— Moglibyśmy potem pójść na kolację...? Kristina uśmiechnęła się. — Bardzo chętnie.

Genevieve zaczęła przygotowywać stół do kolacji, ale za każdym razem, gdy sięgała do ogromnej kasetki ze sztukami, jej wzrok kierował się ku oknu. Nie mogła się uchronić przed myślami o Sophii, które raz przywołane wpadały w obłądną gonitwę w jej umyśle, aż sama zaczynała się lękać obłądu. Rozmawiały krótko przez telefon wcześniej rano; głos jej córki był wysoki i załamujący się, prawie obcy, ale powoli jego brzmienie nabierało ciepła, uleciało z niego napięcie, tak że pod koniec rozmowy miała prawie do czynienia ze swoją „zwykłą Sophią”. Z tego, co mówiła, wynikało, że czuje się szczęśliwa w Monachium, w wielkim domu Oskara, a także z samym gospodarzem, który „zachowuje się jak prawdziwy gentleman”. Oskar z podłużną twarzą o ziemistej cerze i opuchniętych powiekach. No i cóż z tego, skoro była tak daleko. Dawno temu Genevieve marzyła, żeby Sophia studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu i że czasami spotykałyby się po jej wykładzie na lunchu, aby porozmawiać o spędzonym dniu, jej pracy czy oglądanych wspólnie wystawach, ale Monachium było za daleko, żeby pozwolić sobie na tego typu spotkania z córką. A poza tym, coś jeszcze chyba było nie tak. Wyczuwała to, widziała to w twarzy Sophii, ale na

ponawiane pytania otrzymywała tę samą odpowiedź — „nic się nie stało”. Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi i Genevieve automatycznie spojrzała na zegarek, była szósta czterdzieści pięć. Felix zawsze wracał do domu na czterdzieści minut przed przyjściem gości. Usłyszała jego szybkie kroki na marmurowych schodach, a później, jak zmierza do gabinetu, gdzie bez wątpienia naleje sobie wytrawnej sherry, co czynił zawsze po powrocie do domu. Otrząsnęła się i ruszyła, trochę machinalnie, z jadalni do głównego hallu. Zatrzymała się na sekundę przed bogato zdobionym, połączanym lustrem, które wyłoniło się na jej drodze, i chcąc nie chcąc, popatrzyła na swoje odbicie — bladą, szczupłą twarz, drobne, szare worki pod oczami, tworzącą się na górnej wardze bolesną opryszczkę.

— Co robisz?

Podskoczyła na dźwięk głosu Felixa i obróciła się do niego.

— Chciałam z tobą porozmawiać.

— Nie ma na to zbyt wiele czasu, Genevieve — stwierdził, spoglądając na zegarek. — Za czterdzieści minut mamy gości. Muszę jeszcze wziąć prysznic i przebrać się, a poza tym miałem wyjątkowo męczący dzień.

— Chciałam porozmawiać o Sophii, Felixie.

— Już rozmawialiśmy.

— Coś jest nie w porządku, czuję to.

— Wszystko jest w porządku, Genevieve. — Westchnął dramatycznie. — Takiego wyboru Sophia dokonała z własnej woli, i bez specjalnego namawiania z mojej strony. Wprawdzie nie mogę przyznać, że zachwyca mnie ta bzdurna nauka w szkole plastycznej, jak chyba o tym wiesz, ale za to jest z kimś, kto się nią dobrze zaopiekuje. — Było oczywiste, że miał nadzieję na coś więcej niż opiekę ze strony Oskara, ale wszystko w swoim czasie.

— Ale ja wiem, że coś jest nie tak.

— A skądże ta pewność?

— Ponieważ ją kocham i ją znam — odparła dość niezręcznie. — No i dlaczego miałyby się zachowywać tak dziwnie, tak nie w jej stylu? Felixie, dlaczego zdecydowała się wyjechać tak nagle i właśnie do Monachium?

— Być może nie znasz jej tak dobrze, jak ci się wydaje — powiedział z zamierzoną niegrzecznością. — Być może ma więcej zdrowego rozsądku, niż któremukolwiek z nas się wydaje. Tak czy inaczej, z tego co mi powiedziałaś wczoraj, nie zachwylił jej pomysł małżeństwa z Oskarem — a tak przy okazji, nadal nie rozumiem, co cię skłoniło, żeby ją o tym poinformować... Zresztą, to już nie ma znaczenia. — Potrząsnął głową, jakby zirytowany jej ograniczonością. — Być może, po krótkim rozważeniu zdecydowała sama się przekonać, co i jak. Martwi mnie jedynie, że nie będzie mu poświęcała więcej czasu, pochłonięta myślą o nauce malowania.

Genevieve milczała.

— Mam zamiar ją odwiedzić — wyrzuciła z siebie w końcu, przerywając ciszę.

— Nie!

Jego przeraźliwie ostry głos przestraszył ją.

— Wybacz, nie chciałem podnosić głosu — powiedział, podchodząc do niej. — Proszę, Genevieve. — Wziął ją za rękę. — Po prostu wydaje mi się, że powinniśmy im zostawić trochę spokoju, przynajmniej na kilka tygodni. Nie możesz mi zaufać? — Pocałował koniuszki jej palców i zobaczywszy, jak ze zdziwienia rosła jej oczy, zaczął się obawiać, że posunął się za daleko. — Chcę dla Sophii najlepiej, moja droga, a wbrew temu, co sądzisz, Oskar jest najlepszy... — Wydawało mu się przez chwilę, że się zmieszala, i Felix zaczynał odczuwać ulgę.

— Ona nie ma najmniejszego zamiaru poślubić Oskara, Felixie; jej pobyt w Monachium związany jest tylko i wyłącznie z jej własnymi planami.

— Jeśli to cię może uspokoić, moja droga.

— Chciałam z nią spędzić tylko jeden dzień, czy dwa...

— Jeszcze nie czas — odparł szybko i łagodnie, zmieniając następnie taktykę. — Nigdy ci chyba nie mówiłem... Sophia zwierzyła mi się raz, że czuje podziw dla Oskara i uważa, że jest taki... dystyngowany... — kłamał.

Genevieve pokręciła głową. — Co wcale jednak nie znaczy, że uważa go za materiał na męża, Felixie — jąkała się w pośpiechu. — I jest za młoda, stanowczo za młoda, żeby wychodzić za męża za kogokolwiek.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy — próbował łagodzić Felix. — A czy nigdy ci nie przyszło do głowy, że być może poprzez swoją córkę chcesz zrealizować własne, nie spełnione marzenia? — Wziął ją pod rękę i zaprowadziwszy do gabinetu, nalał jej sherry. — To się zdarza.

To co jej sugerował, na pewno nie było prawdą. Genevieve ujęła w dłonie mały, delikatny kieliszek i nieruchomym wzrokiem wpatrzyła się w męża. Była bardziej zmieszana niż zwykle. Ni z tego, ni z owego Felixa opanowało wspomnienie pewnej kobiety, która nie doznawszy w wypadku żadnych obrażeń, wygramoliła się z samochodu, zostawiając za sobą zabitych męża i dziecko. Przełknął alkohol, napęniając sobie powtórnie kieliszek.

— To wszystko minie, Genevieve — przekonywał ją z rumieńcem winy — i za kilka miesięcy przekonasz się, że twoje zmartwienie było bezpodstawne.

Jej wzrok zaczął się załamywać pod jego spojrzeniem.

— Może moglibyśmy odwiedzić Sopię w jej urodziny — zaproponowała słabo.

Jego czoło przeorała zmarszczka. Urodziny Sopi przypadały w marcu, tyle wiedział, ale nie mógł sobie przypomnieć dokładnej daty.

— Dwudziestego ósmego — podpowiedziała mu, jak gdyby zgadując jego myśli.

— A tak, oczywiście. — Prawie za pięć tygodni, a więc dość czasu, żeby Sophia oswoiła się z nowym miejscem i zapomniała wydarzenie w hotelu SAS. No, być może nie



zupełnie zapomniała. Wciągnął głęboki oddech. Naturalnie, bardzo mu zależało, żeby Sophia związała się z Oskarem — nazwisko von der Heyden było w Europie synonimem słowa „bogactwo”, tak jak Krupp, de Rothschild czy Thyse, i tylko głupiec przegapiłby taką szansę! Z drugiej jednak strony pośpiech, z jakim opuściła dom, sprawił go w niepomierne zdziwienie, nigdy by mu nie przyszło do głowy, że jego córka mogłaby wyjechać z domu z powodu tego zdarzenia.

Poczerwieniał z lekka na myśl o Evie, tym fatalnym popołudniu i Sophii. Prawie że zemdlał z wrażenia na widok swojej córki siedzącej w kącie hotelowego foyer, zdziwiony, że wytrzymało to jego serce. A Sophia, Sophia skurczyła się w sobie pod wpływem jego spojrzenia, kurcząc się jeszcze bardziej, gdy ich spojrzenia spotkały się. Ten dzień trzeba było wyrzucić z pamięci, zresztą czuł, że resztki paniki wywołanej tamtym wydarzeniem zaczynają się nareszcie ulatniać. Przestała mu nawet zagrażać obecność Sophii — przez kilka dni był porządnie przestraszony, że może coś powiedzieć swojej matce, zamiast tego jednak wyjechała i zamieszkała u Oskara, pod pretekstem studiów. Szybko i bez śladu. Sam nie mógłby wymyślić lepszego rozwiązania, a jednak ta szybkość i „czystość” jej decyzji sprowadziła na niego niepewność i w końcu — poczucie winy. Jej pusty pokój działał na niego jak wyrzut sumienia, tak samo jak cichy, łamiący się głos córki. Wiedział bowiem, że nie jest już dla niej takim ojcem, za jakiego go dawniej uważała — przystojnym, prawym i nieskazitelnym wzorem doskonałości, i ta wiedza nie sprawiała mu przyjemności, w zaskakujący dla niego sposób unieszczęśliwiała go. Pociągnął głęboki łyk sherry i usiłował odepchnąć od siebie te przygnębiające myśli. Ostatecznie teraz nie mógł już z tym nic zrobić, a życie musiało toczyć się dalej i trzeba je było przeżywać w pełni. Kąciki jego ust zaczęły podnosić się w uśmiechu, gdy spojrzał ponownie na żonę.

— Jeśli utrzyma się pogoda, pojedziemy na weekend do zamku, trzeba więc zaprosić naszych znajomych...

— Tak, Felixie.

Wypił do końca swoją sherry. — Spodziewam się, że masz jeszcze coś do zrobienia... — Poklepał ją po ramieniu. Ja zaś zdrzemnę się przez dziesięć minut, później wezmę prysznic i przebiore, postaraj się nie przeszkadzać mi.

Felix wyszedł ze swojego gabinetu wyłożonego drewnem i skierował się w stronę sypialni przechodząc w pobliżu tak ulubionej przez siebie galerii z freskami. Wieczorem spodziewali się francuskiego ambasadora wraz z żoną; zdecydował się też, dość odważnie, na zaproszenie aż przesadnie uprzejmego przedstawiciela delegacji japońskiej i jego żony. Czy ktoś kiedyś nie powiedział mu przypadkiem, że kiedy Japończycy mówią „tak”, naprawdę myślą zwykle „nie”? To chyba przez wzgląd na jakąś tam ichnią harmonię?... Na twarzy Felixa pojawił się wyraz zamyślenia, a potem wrył sobie w pamięć, iż ma zwrócić uwagę Genevieve, żeby nie poruszać tematu połowu wielorybów. Z uśmiechem zaczął w myśli rozmieszczać gości przy stole. Wciągnęli na listę Herberta, nudnego kuzyna Genevieve, aby towarzyszył wprost przysłowiowo brzydkiej, zapamiętałej przedstawicielce bohemy Claudii Capucci, reprezentującej włoskiego ambasadora. Herbert nie był żonaty i Felix celowo przedstawiał mu Claudię jako osobę tajemniczą czy wręcz ponętą. Nie mógł się wprost doczekać widoku wyrazu twarzy Herberta, kiedy ich sobie przedstawi. Z pewnością rozjaśni mu to długi i, jak się spodziewał, nudny wieczór. Ale uśmiech zaczął gasnąć na jego ustach, kiedy przypomniał sobie Evę i uzmysłowił sobie, że nie będzie jej widział przez tydzień, a może nawet dwa; cóż, robił to trochę ze względu na spokój sumienia.

Elizabeth przyglądała sukienkę i ponownie przyjrzała się sobie w lustrze. Sukienka z czarnego kaszmiru z zapięciem od szyi do kolan i zwykłymi, nieozdobnymi guzika

mi była prosta, ale piękna. Elizabeth nie miała na sobie żadnej biżuterii, prócz wielkich klipsów w formie kółek, z kutego złota. Zlustrowawszy swój wygląd zerknęła spod oka na flakonik perfum stojący na toalecie z drzewa atlasowego. Koniuszkami palców nałożyła leciutko nagrzane perfumy o piżmowym zapachu na skórę za uszami, przeguby rąk, w przegubach kolan, gdzie pod skórą przebiegały tętnice, i w końcu, rozpiąwszy dwa górne guziki sukienki, pod zaokrągleniami piersi. Kartka, którą napisała do Johna, leżała w hallu, gdzie z pewnością dostrzeże ją zaraz po przyjściu. Z głębokim westchnieniem Elizabeth wzięła leżący na łóżku płaszcz; czuła niepokój. Już miała zadzwonić do Karla, żeby odwołać spotkanie, ale jakoś zwalczyła w sobie ten impuls. Kiedy otwierała drzwi do sypialni, usłyszała głos swojego syna. Zostawiała go z Grace, ale na pewno będzie z powrotem na czas, by położyć go spać i poczytać mu, gdyby Johna jeszcze nie było; czytanie Christopherowi było jego obowiązkiem, który wziął na siebie od samego początku. Przewyciężyła skurcz w gardle. To tylko godzina, jedna godzina. Po cichu zamknęła za sobą drzwi i zaczęła stąpać po wypolerowanej drewnianej podłodze w kierunku wyjścia. Kiedy przekreślała gałkę drzwi, jej wzrok padł przypadkowo na kartkę z wiadomością dla Johna, kartkę z jej kłamstwem; ale zamknęła oczy broniąc się przed tym widokiem i wyszła z mieszkania, mimo szarpiącego lęku, który jakby próbował ją powstrzymać. Było już ciemno i zaczynano zamykać sklepy, mimo to na Kärntner Strasse i rozbiegających się od tej słynnej wiedeńskiej ulicy brukowanych uliczkach ciągle było widać tłum ludzi, to spieszących gdzieś, to przystających w miejscu. Elizabeth precyzyjnie przeszła przez ciżbę kupujących i dotarła do przeznaczonego dla pieszych obszaru Graben, mijając po drodze niezliczone sklepy jubilerskie i odzieżowe, i zewnętrzne obszary Hofburga. Czuła boles-

ny łomot serca i towarzyszące mu pulsowanie w skroniach, gdy skręcała w rozległe podcienia podtrzymywane filarami. Oddychała płytko i z trudem, z jej suchych warg wydobywała się i ulatywała w zimne wieczorne powietrze cienka smużka pary. Zależało jej, żeby iść na piechotę: dzięki temu jej spotkanie z Karlem będzie krótsze o tych kilka minut. Było to coś w rodzaju pokuty, którą sobie sama zadawała. Ale zamiast tego zaczęła iść szybciej, stopy wręcz unosiły ją nad brukowaną drogą ciągnąc za sobą na płaską przestrzeń alei Ringstrasse. Złośliwy wiatr kąsał twarz Elizabeth, rozwiewał jej włosy. Roześmiała się w duchu, kiedy z drwiną pomyślała, jakichż to sztuczek dokonywała, aby ładnie wyglądać; w końcu i tak to nie miało znaczenia, bo ani jej, ani Karla nie interesował staranny makijaż, który z takim pietyzmem nakładała na siebie przed lustrem w swoim pokoju pół godziny wcześniej. Jediną rzeczą, która była dla nich teraz ważna, był wyraz ich twarzy i wygląd pokoju w Hotelu Blake'a przed pięciu laty. Nic się nie zmieniło, o czym mieli okazję przekonać się podczas spotkania na balu w Operze. Ich namiętny uścisk w konspiracyjnym mroku łoży był jak kurczowy, desperacki chwyt tonącego i czuła wtedy, że się zupełnie zatracą, ale paląca tęsknota i gorące pożądanie sprawiły, że było jej wszystko jedno. Sophia przyglądała się śpiącemu przed kominkiem Oskarowi. Mieli za sobą ciężki dzień w mieście, ponieważ chciał koniecznie pokazać jej wszystkie warte zainteresowania rzeczy, wszystko to, co mogłoby jej się przydać, gdy już zacznie naukę w college'u. Był z pewnością dobrym, życzliwym i nieśmiałym, bardzo nieśmiałym człowiekiem, nie był jednak mężczyzną, za którego mogłaby wyjść za mąż. Usadowiła się wygodniej w krześle i zamknęła książkę, która otwarta i nie czytana leżała jej na kolanach. Ojciec byłby bardzo rozczarowany. Zesztywniała lekko, kiedy przed jej oczami ukazał się obraz

przystojnej twarzy ojca, jego i tamtej dziewczyny, tej dziwki wsuwającej mu rękę pod marynarkę, i wreszcie spotkanie z ojcem w hotelu; na myśl o jego późniejszych kłamstwach i obmierzłym sekrecie, który musiałaby z nim dzielić, gdyby została w domu. Tam, w hotelu, odkryła również, że ojciec potrafi się śmiać. Nie, nie wyjdzie za Oskara von Heyden, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi i gdyby był nie wiadomo jak bogaty i miły, i choćby nie wiadomo jak życzył sobie i chciał tego jej ojciec. Im bardziej narastał w niej wewnętrzny ból, tym intensywniej zastanawiała się, jak jej uczucia mogły ulec tak naglej i tak dynamicznej zmianie. Teraz bowiem nie dbała więcej o to, czy ujrzy go jeszcze. Gunther zapewniał ją, że „większość mężczyzn, niezależnie od swojej pozycji czy stanowiska, ma kochanki...”, że to „fakt wzięty z życia”... i że „wszyscy znajomi ojca mają kochanki”... Czy naprawdę tak było? Czy rzeczywiście istniał jakiś inny, obskurny, widmowy świat, o którym nie miała pojęcia? Czy jej matka i inni podobni do niej grali jedynie swoją rolę i czy matka wiedziała, czy rzeczywiście wiedziała? Sophia mocno zacisnęła oczy. Jeśli tak właśnie było, to nigdy nie wyjdzie za męż... nigdy, nigdy, przenigdy.

Otworzyła oczy wzdychając ciężko, jej wzrok padł na lekko pochrapującego Oskara. Matka powiedziała jej kiedyś, że nigdy nie spojrzał na inną kobietę, nigdy od czasu śmierci jego żony wiele, wiele lat temu. Uśmiechnęła się ze smutkiem na widok jego głowy opartej na piersi, jego rąk zaciśniętych na poręczach krzesła, nawet we śnie. Machinalnie sięgnęła po szkicownik i pudełko węgla leżące koło jej krzesła. Po ich powrocie z miasta Oskar, ucałowawszy ją w oba policzki, powiedział: przynajmniej mam córkę... Żałowała, że nie było przy tym jej ojca, że nie słyszał tego. I nagle, w swej bezradności, zapragnęła z całą mocą, żeby się zmienił, żeby zostawił tę okropną dziewczynę, i inne, ponieważ w głębi duszy wiedziała, że

były też inne i że zawsze będą inne, ale wiedziała również, że jej pragnienia są nieziszczalne. Po przyjeździe z Wiednia i przywitaniu się z wujem Oskarem poszła do swojego pokoju, gdzie w samotności mogła wreszcie przestać się uśmiechać, mogła dać odpocząć twarzy, i po policzkach popłynęły jej powoli gorące łzy. Uświadamiała sobie, że płacz ten jest rodzajem egzorcyzmu, oczyszczenia, płakała z powodu tego, co kiedyś było: Wiednia i tak kochanego przez nią domu w okolicy Schönbrunn, ojca, którego po cichu idealizowała... Przypomniał jej się głos Gunthera, jego chamskie słowa i, przybita nieszczęściem, zaczęła się zastanawiać, czy istotnie nie była „śmieszna smarkulą” i czy rzeczywiście, na długo przed nią, nie poznał, czym jest rozczarowanie, obojętność i bożki na glinianych nogach. Ale przed przyjęciem takiego punktu widzenia broniły jej resztki niewinności idealizującej świat. Opuściła niewidzący wzrok na trzymany w ręku kawałek węgla. A matka? Ogarnęła ją niewyobrażalna fala żalości i miłości, i znów pod powiekami poczuła łzy, ponieważ zostawiła ją przecież samą. — Musiałam — wyszeptała. — Musiałam.

Nad ulicą panował już prawie zupełny zmrok, kiedy Elizabeth stanęła w końcu przed białym, luksusowym budynkiem, w którym znajdowało się mieszkanie Karla.

O kilka kroków dalej paliła się latarnia uliczna, nadając ciemnej ulicy srebrnej poświaty i sprawiając, że zmarznięty, szarawy śnieg wyglądał jak warstwa szepionych z sobą, iskrzących się klejnotów. Przełknęła ślinę, gdy z domofonu rozległ się jego głos, i po krótkiej ciszy usłyszała delikatny brzęczek zwalniający dolny zamek u drzwi. Weszła do lodowatego marmurowego korytarza i podeszła do windy. Jadąc do góry miała wrażenie, jak gdyby czas zwolnił swój bieg. Chcąc nie chcąc widziała swoje odbicie w nasyconej mrokiem szybie windy — niewyraźny zarys jakby hebanowej sylwetki; i pomyślała

o tych wszystkich niezliczonych razach, kiedy marzyła o takiej sytuacji; ale nie teraz. Otworzyła szerzej oczy, kiedy winda zatrzymała się nagle, drzwi rozsunęły się bezszelestnie i do wnętrza buchnęło nagrzane powietrze. Z westchnieniem wyszła na korytarz o barwie bieli i burgunda i skierowała się w lewo, tak jak jej wytłumaczył, w stronę mieszkania Karla. Stał w progu. Na jego widok serce skoczyło Elizabeth do gardła i na ołowianych nogach podeszła do otwartych drzwi. Poczowała nagle paraliżujące pragnienie bycia z nim i pewność, że jeśli nie będzie miała nadziei na ponowne spotkanie go, będzie jak na wpół martwa. W tym momencie osaczające ją dotąd ze wszystkich stron bolesne wyrzuty sumienia w stosunku do Johna bezpowrotnie zniknęły.

— Spóźniłaś się... myślałem już, że zmieniłaś zdanie. Elizabeth przeszła obok niego nie odpowiedziaławszy. Podążając za nią wzrokiem zamknął cicho drzwi.

— Wszystko dobrze? — spytał łagodnie. Zaskoczona łagodnością Karla spojrzała na niego i skinęła głową.

— Czego się napijesz?

— Gin z tonikiem, proszę. — Wyśliznęła się z płaszcza pozwa<sup>^</sup>jąc mu opaść na krzesło. W milczeniu i z bolesną ciekawością omiotła badawczym spojrzeniem szeroki, jasny pokój — wszystko tu należało do niego, w tym wszystkim był Karl. Chłoneła wzrokiem miękkie, głębokie skórzane fotele i sofy, kantońskie wazy, szkło baccaratowskie, wspaniałe szkice Doriana Kera, afrykańskie miniaturki z drewna i delikatne drobiazgi z kości słoniowej pieczołowicie poukładane w całym pokoju.

— Masz wysublimowany i kosztowny gust, Karl.

— I to cię zaskakuje? — spytał ostrożnie. — Nie zmieniłem się.

— Nie, nie zmieniłeś się — odparła cicho i skierowała swoją uwagę na oszkloną ścianę tarasu. — Mogę zobaczyć, jaki stąd masz widok?

— Jest strasznie zimno, Elizabeth.

Ale nie zwróciła na to uwagi i odemknąwszy rozsuwane drzwi wyszła na połyskujący taras. Przez kilka długich chwil patrzył na zarys jej ciała, jak otula się ramionami broniąc przed chłodem, na jej poszarpane, rozwiewane gwałtownym wiatrem włosy. Wiedział, o czym myślała — jego Elizabeth. Wobec konieczności dokonania wyboru próbowała w duchu bezskutecznie rozważyć wszystkie za i przeciw: jej powinności, obowiązki i koszty z jednej, a pragnienie, tęsknotę i namiętność z drugiej strony, i wreszcie rodzący się z ich zderzenia konflikt. Tyle że nie miała już wyboru, nie miała drogi odwrotu, już nie.

— Wejdz...

Nie poruszyła się, więc wyciągnął ręce i delikatnie pociągnął ją za sobą w zaciszne ciepło pokoju, zamykając jednocześnie dzielące ich od mroźnego zimna drzwi. Kiedy obejmując przyciągnął ją do siebie, skuliła się przypominając delikatną bibułkę, którą mógłby zgnieść jednym ruchem dłoni. Przytulił jej głowę do swojego ramienia i czując chłód jej skóry przy swoim policzku zaczął gładzić gęste, zmierzwione wiatrem włosy, rozplątując ostatnie uparte kosmyki, aż wreszcie opadły swobodnie na ramiona. Powoli uniósł jej twarz i pocałował zamknięte oczy, szerokie, blade czoło, policzki i wargi, i przesunąwszy pieśczośliwie usta w stronę jej karku, na długi moment zanurzył swoją twarz w oszłamiająco pachnących włosach. Szeptem powtarzał w nieskończoność jej imię, zatracił się w każdym dotknięciu, jak gdyby odkrywając ją na nowo, a w głębi duszy dręczyło go wciąż to samo pytanie: jak mógł pozwolić jej odejść, jak mógł tak idiotycznie pozbawić się jej obecności w swoim życiu. Na całych pięć lat. Spojrzał jej w twarz. — Nie, proszę... — Na widok jej łez poczuł wstyd. — Nie... — Objął ją mocniej czując w piersi jakiś gniotący ciężar, dziwny, ściskający go od wewnątrz ból. Coraz



szybciej i zachłanniej dotykał ustami jej brody, szyi, jak gdyby chciał ssać palącą słodycz z jej skóry, i gdy wreszcie natrafił na miękkie, chętne usta, oszołomiony i zaskoczony poczuł, że traci kontrolę. Delikatnie dotknął guzików jej sukienki i nie napotykając oporu, rozpiął je do końca. Gdy uwalniał ją z ubrania, poczuł we włosach dłonie Elizabeth, jej paznokcie wpijające się w skórę na karku, i usłyszał coś jakby spazmatyczny szloch wymykający się cicho z jej ust, kiedy nareszcie stali wtuleni w siebie, wolni. Wydawała mu się doskonała, jak żadna inna kobieta. Z zachłanną, ale niespieszną i zmysłową pieścizną przesuwał usta w dół, po jej ramionach, cieplej atlasowej skórze w zagłębieniach pach i na piersiach, pieścił jej delikatne sutki, aż wydobyła z siebie jęśliwy krzyk, aż odsunęła go od siebie i jej gorące, radosne usta zamknęły się na jego ustach. Stracił poczucie rzeczywistości i jedynym jego pragnieniem było, żeby sprawić przyjemność, uszczęśliwić, ukorzyć się. Było to jak krótka, paląca ekstaza, błyskawica rozjaśniająca ciemność, która trapiła go tyle lat. Każda chwila uległa spowolnieniu, każde dotknięcie było coraz delikatniejsze, każdy pocałunek dłuższy, aż stracili zupełnie kontrolę i nie mogli dłużej czekać. Elizabeth leżała przed nim z rozszerzonymi oczami, zarumieniona, prześliczna i gotowa. Posiadł ją gwałtownie, nagle, wchodząc w nią głęboko, czując, jak jej paznokcie rozdrapują mu skórę na plecach, jak jej ciało wypręża się, jak z rozchylonymi szeroko ustami przesuwa się pod nim, i gdy leniwa, rozdzierająca rozkosz zaczęła ogarniać ciało Karla, do jego świadomości dochodziła jedynie nieokiełznana żarliwość ich ruchów, słyszał już tylko jej wznoszący się coraz wyżej głos i swoje własne, docierające jakby z oddali słowa... Elizabeth, Elizabeth, Elizabeth... Oddał jej całą swoją siłę życia, pozostając pustym, wysuszonym. I Karl wiedział teraz, że kocha, zaznał czegoś, czego nigdy nie znał i co już nigdy nie nastąpi.

John czytał gazetę przy kominku, kiedy usłyszał klucz w zamku, a następnie kroki przemierzające korytarz i kierujące się w jego stronę.

— Przepraszam, że tak późno...

Elizabeth przez chwilę stała w drzwiach, i pomyślał sobie, że nigdy jeszcze nie wyglądała tak ślicznie; jakieś przecucie i obawa zakradły się do jego serca.

— Zagadałam się u Clare. — Odwróciła od niego wzrok zbliżając się do kominka, zacierając ręce. Jej głos brzmiał niepewnie i nerwowo. —

Oliver znów pracuje do późna, czasami się zastanawiam, jak ona to znosi. Jej kłamstwo było niczym uderzenie, i jego obawy i lęki zaczęły rosnać, wprawiając go w panikę.

— Wróciłem dziś wcześniej — powiedział wreszcie. Rzuciła mu spojrzenie.

— Och. — Bez potrzeby wyprostowała wiszącą na ścianie fotografię. — A Christopher już śpi?

— Tak.

Przyglądał się jej, jak stała przy kominku, a na jej twarzy tańczył odbity od płomieni blask. Po powrocie do domu zadzwonił do Clare, mówiąc, że podjedzie po Elizabeth, ale jej tam nie było, w ogóle nie były umówione tego wieczora.

— Grace zostawiła ci w piekarniku kolację.

— Nie jestem głodna — powiedziała z pośpiechem.

— Dobrze się czujesz?

Przez maleńką złudną chwilę miał nadzieję, że się po prostu źle czuje, co wyjaśniałoby tę całą sytuację i rozwiało nurtujący go niepokój.

— Tak... tylko trochę boli mnie głowa. Chyba pójdę wcześniej do łóżka.

— Powiedziała, zbierając się do wyjścia. John dostrzegł w jej twarzy samokontrolę, którą poczuł jak ukłucie w serce.

— Nic się nie stało, prawda? — Nie rezygnując dopy-

tywał się dalej, bo nawet gdyby miał być nachalny, musiał jakoś rozproszyć ten przeraźliwy lęk.

Elizabeth zatrzymała się i odwróciła, z częścią twarzy oświetloną czerwonym blaskiem ognia.

— Oczywiście, że nie. — Cofnęła się do miejsca, w którym siedział. — Oczywiście, że nie — powtórzyła, mimo to jej słowa nie przyniosły mu ukojenia. Pochyliła się nad nim i przez chwilę sądził, że go pocałuje w usta i że wtedy wszystko jakoś wróci do normy, ale tylko dotknęła wargami jego czoła i pogładziła włosy, i zauważył nagle pod jej paznokciami jakieś białe paseczki.

— Przepraszam — powiedziała w końcu cicho. Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy.

— Nie musisz przepraszać...

Elizabeth w zauważalny sposób zeszywniała, potem jednak z uśmiechem potrząsnęła głową. Wiadomość, którą John chciał jej przekazać, jak tylko wróci do domu, nie mogła mu się precyzyjnie przedostać przez usta, bowiem teraz nie było ku temu odpowiedniej atmosfery. I nagle ogarnął go niewypowiedziany żal i smutek — nie mógł bowiem podzielić się z nią tą jedyną naprawdę ważną rzeczą, kiedy najbardziej tego pragnął, kiedy tak niesłychanie mu na tym zależało. Przez jedno kłamstwo, kilka błahych słówek i wszystko mówiący wyraz twarzy zniszczyła całe jego szczęście. A to jego żona, jego zachwycająca żona potrafiła. Istniała teraz pomiędzy nimi bariera, przez którą nic, nawet dobre wiadomości nie mogły się przedostać, rozbijając się o nią i tracąc na znaczeniu. Niczym grubiań-ski żart. Spoglądał za nią, kiedy nie spiesząc się przechodziła przez pokój i wreszcie zniknęła, a on pozostał tam, gdzie siedział, i słuchał, jak jej kroki stają się coraz słabsze, aż wreszcie całkiem umilkły. Przypuszczał, że nadarzy się lepsza, bardziej odpowiednia okazja, żeby podzielić się radosną wiadomością, ale to już nie będzie to samo. A przecież zawsze twierdziła, że bardzo tego dla niego chciała: nominacja na ambasadora w Waszyngtonie

była najbardziej upragnioną posadą dyplomatyczną. Poczul w gardle skurcz; placówka w Waszyngtonie była tym, z nadzieją na co zawsze pracował, o czym zawsze marzył, a teraz ten prawie że pewny, tryumfalny sukces skurczył się i zszarzał, przynajmniej w jego odczuciu, gdy tak siedział sam w pustym pokoju, pustym, bo nie było w nim Elizabeth. Ze wzrokiem utkwionym w płonącym kominku pomyślał, że lepiej by było, gdyby nigdy nie poznał Clare Carter, gdyby w ogóle o niej nie słyszał i nigdy do niej nie dzwonił. Ale sama twarz Elizabeth i tak mówiła dokładnie wszystko: jej zarumienione policzki i błyszczące oczy — pełne współczucia, gdy patrzyły na niego.

5

— Kim jest ten mężczyzna?

— Ma na imię Sam, matko... — odpowiedziała Kristina z przeciągłym, znużonym westchnięciem. — Już ci mówiłam.

— I jest żonaty.

— Jest w trakcie rozwodu.

— Tak twierdzi.

— Ale to prawda.

— Jesteś taka niemądra, Kristino.

— Byłam niemądra, matko.

— Rozumiem, i nagle się zmieniłaś, z dnia na dzień.

— Ludzie mogą się zmienić.

Jej matka prychnęła z pogardą. — Powinnaś iść do kościoła.

— Co by mi to dało?

— Bóg wskazałby ci drogę.

Kristina pokręciła głową z irytacją, spoglądając machinalnie na figurkę Matki Boskiej stojącą pod oknem.

— Jak dotąd niezbyt dobrze to robił, matko.

— A czyja to wina?

Kristina popatrzyła na tę starą kobietę siedzącą na podniszczonej biedermeierowskiej sofie, zagłębioną w grube poduchy, widziała jej pomarszczone, ptasie gardło, siwe włosy, plamy wątrobowe na zwiędłej twarzy i rękach, opuchnięte nogi w grubych, topornych pończochach.

Miała prawie osiemdziesiąt dwa lata, urodziła się w czasach, kiedy świat był zupełnie inny, kiedy

Austria, a przez to także Wiedeń ciągle były synonimem światowego splendoru, a Habsburgów traktowano jak instrument Boga na ziemi. Jej matka wraz ze swoją siostrą Theresą-Marią były przygotowane do życia w tamtym, starym świecie, gdzie ich jedynym celem było udane, mieszczańskie małżeństwo. Otrzymały oczywiście jakieś wykształcenie, ale niezbyt gruntowne; musiały umieć wzbudzać zainteresowanie, ale jednocześnie być nieśmiałe, głupiutkie, proste, szczere i ładne, skromną urodą dziewczęcą.

Kristina uśmiechnęła się ze smutkiem wspominając, jak wiele lat wcześniej matka tłumaczyła jej, co znaczy „być dorosłym”, „być kobietą”, a w szczególności „zameżną kobietą”. Seks był oczywiście tematem tabu, o którym nie wypadało nawet wspomnieć, a fakt, że mógł sprawiać kobiecie przyjemność, przyjmowany był przynajmniej jako coś szokującego, jeśli już nie dewiacyjnego. Jej ciotka, która nigdy nie wyszła za mąż, wpajała jej kiedyś, że kobieta musi być „szlachetna” i ćwiczyć się w pobożności, i że jej uświęconym obowiązkiem jest „bycie delikatną, czystą i oddaną żoną”, przy czym nacisk położony był na słowie „czystość”.

Zawsze zastanawiało ją, dlaczego ciotka Theresa pozostała starą panną. Początkowo przypuszczała, że być może wynikało to z jej nie najbardziej atrakcyjnego wyglądu, gdy jednak kiedyś, dawno temu, spytała o to matkę, dostała siarczystego klapsa wraz z ostrzeżeniem, żeby więcej do tego nie wracać. Ale prawda wyszła na jaw któregoś wieczora w wiele lat później, gdy jej matka wypijała o jeden koniak za dużo. Otóż okazało się, że chodziło, a jakże, o skandal: ciotka Theresa została przez pomyłkę zgwałcona przez wuja Franza, brata ich ojca. Przez pomyłkę, ponieważ wuj Franz wziął ją za jedną ze służących, z którą miał się spotkać w spowitej gęstym mrokiem bibliotece, gdzie jedyną rzeczą, jakiej szukała tam biedna ciotka Theresa, było coś do czytania. Wuj

Franz w końcu zastrzelił się, a ciotka Theresa miała dziecko, ale nikt nigdy o nim nie wspominał, jak gdyby w ogóle nie przyszło na świat. W jakiś czas po tym wieczorze szczerości matka wszystkiemu zaprzeczyła, nic jej to jednak nie dało — nie było wątpliwości, że cała historia jest prawdziwa, jako że Kristina odnalazła świadectwo urodzin dziecka, chłopca. Biedne dziecko. Ironia losu sprawiła, że jej matka, ta ładniejsza z córek, to dziecko szczęścia, długo nie mogła urodzić potomka dla swego władczego, przebojowego męża, aż nieomal było za późno. A gdy w końcu jej się to udało, dziecko na nieszczęście okazało się dziewczynką, właśnie Kristiną, jedynaczką urodzoną w habsburskiej rodzinie, która nie mogła się pogodzić z faktem, że Austria przestała być imperium i monarchią, która nie wyrażała zgody na istnienie Austrii nie będącej już pępkiem świata. A teraz zostały tylko we dwie: ona i matka.

— To moja wina, matko, i twoja również — powiedziała w końcu.

Jej szare, chore oczy zwięzły się. — Moja... moja? — zaskrzeczała.

— Wiesz dlaczego, prawda? — Kristina roziskrzonym wzrokiem wpatrzyła się w pełną urażonej godności twarz. — Na pewno wiesz.

— Pójdiesz do Ruprechtskirche i wyspowiadasz się. Kristina pokręciła głową.

— Czy naprawdę nie możemy się porozumieć? — W głosie Kristiny pojawiły się proszące nutki. — Nigdy nam się to nie udawało.

— Mówisz dziś straszne bzdury. — Matka odwróciła wzrok, jakby w reakcji na pojednawczy ton córki. — Ten ksiądz Boeckl jest dobrym człowiekiem — porozmawiaj z nim.

— Nie byłam u spowiedzi od lat, wiesz o tym, dlaczego udajemy?!

— Przestań! Przestań, Kristino. — Zamachała ręką

jakby broniąc się przed spodziewanym atakiem. — Dość już, jestem zmęczona.

Kristina zatopiła w niej długie, badawcze spojrzenie i następnie przeszła przez pokój w stronę drzwi.

— Późno wrócisz?

— Być może.

— To jak on się nazywa?

— Sam.

— Sam jaki?

Kristina zeszywniała. — Sam Cohen. Nastąpiła cisza jak przed burzą.

— Żyd. — Usłyszała, jak jej matka ze świstem wciąga powietrze. — *Gott im Himmel.*

Kristina otworzyła drzwi.

— Nie mówisz poważnie, Kristino? — dobiegł ją głos matki. — Kristino?

— Odpowiedziała jej cisza. — Przepraszam...Kristino? Nie idź, nie idź na spotkanie z tym... Cohenem...

Ale drzwi zatrzasnęły się, tłumiąc jej natrętny głos.

Laura czuła pod powiekami palące łzy.

— Nie taką wiadomość mi przekazano, Andrew.

— Przykro mi, Lauro, nic na to nie poradzę. Ogarniający ją smutek i rozczarowanie były ponad jej

siły, nie spodziewała się tego, co usłyszała. Bo teraz, w dziwny sposób, bardzo go chciała zobaczyć.

— Kiedy *naprawdę* będziesz mógł przyjechać?

— Nie wiem, w tej chwili trudno mi cokolwiek powiedzieć.

— Jasne.

— Nie chciałbym, żebyś tak to odbierała. — Westchnął. — A swoją drogą, dlaczego nie miałabyś się wybrać do Brukseli? Mogłabyś to potraktować jak spotkanie w połowie drogi.

— Trzeba dużej wyobraźni, aby uznać, że Bruksela leży w połowie drogi z Wiednia, Andrew.



— Nie sądziłem, że to aż tak zły pomysł.

— To nie jest zły pomysł, a jedynie bardzo niepraktyczny. Tobie odpowiada, bo będziesz tam tak czy inaczej, w sprawach służbowych, ja natomiast musiałabym przedstawić ambasadorowi naprawdę przekonujący powód, dla którego miałby mnie zwolnić w środku pracowitego tygodnia.

— Na miłość Boską, Lauro, nie możesz być aż tak zajęta.

Wciągnęła powietrze, a łzy ustąpiły miejsca wściekłości. — Dlaczego nie, Andrew? Wyobraź sobie, że trwają tu rozmowy na wysokim szczeblu dotyczące ochrony środowiska, to tak dla przypomnienia. I nawet gdybym nie była w nie bezpośrednio zaangażowana, to i tak z ich powodu jesteśmy obciążeni dodatkową pracą u nas, w ambasadzie.

— Dobrze, dobrze, rozumiem. Na chwilę zapanowała cisza.

— A jak tam w ogóle? — spytał cicho. Westchnęła. — Ciężko, doskonale, interesująco, samotnie. — Pomyślała o Ralfie.

— Nadal jesteś pewna, że podjęłaś właściwą decyzję?

— A ty?

— Wybór był twój, Lauro, koniec końców.

— Nie chce ci się ziewać powtarzając ciągle tę samą śpiewkę?

— Przypadkiem jest prawdziwa.

— Że przedkładasz swoją karierę nad moją?

— Nic na to nie poradzę, że jestem samcem.

— Wielki Boże, Andrew! Żyjemy we wspaniałych postępowych i wyemancypowanych dziewięćdziesiątych latach dwudziestego wieku!

— Nie dzwonię po to, żeby się sprzeczać.

— No cóż, chyba muszę mówić o szczęściu, że w ogóle zadzwoniłeś.

— A cóż to, do cholery, ma znaczyć?

— Ma to znaczyć, że rzadko kiedy można cię zastać w domu...

— Naprawdę byłem ostatnio bardzo zajęty — odparł broniąc się. —  
Odchodzę od biurka grubo po siódmej.

Milczała.

— A po siódmej wyskakuję coś przetrącić z Keithem lub kimś innym z  
pracy.

Czy rzeczywiście spodziewał się, że mu uwierzy? A z drugiej strony,  
jakim prawem ma do niego pretensje, skoro to ona go zdradziła. Jego głos  
przypominał jej nieoczekiwanie Londyn, miłe poczucie bezpieczeństwa  
w jego mieszkaniu, wspólnie spędzone wspaniałe chwile, które teraz  
wydawały się nieodwołalnie należeć do przeszłości. Zachciało jej się  
płakać, chciała wrócić i zacząć wszystko na nowo, powiedzieć mu o  
wszystkim.

— Nie wierzysz mi, Lauro, prawda?

— Nie, chyba nie — jej odpowiedź brzmiała bardzo cicho.

— Boże, naprawdę masz niezłą opinię o mnie.

— Cóż, nie starałeś się ułatwiać nam obojgu życia, może zaprzeczysz? —  
broniła się. Gdyby był inny, gdyby choć raz wyszedł jej naprzeciw,  
starał się ją zrozumieć, nie byłoby jej teraz w Wiedniu, nie starałaby się  
też osłodzić swej samotności i smutku w ramionach kogoś takiego, jak  
Ralf Müller, przy którym, jak już dawno odkryła, wcale nie czuła się  
pewnie.

— Ty zaś ułatwiałaś?

— Mógłbyś wysilić się trochę, Andrew, i chociaż raz spojrzeć na to  
wszystko z mojego punktu widzenia.

— Byłem wściekły — przyznał wolno po chwili, z nutą poczucia winy.

— Wiesz, że w gruncie rzeczy nie chciałem, żebyś wyjeżdżała.

Usłyszała westchnienie i z całej siły zapragnęła wyciągnąć rękę przez  
dzielącą ich odległość i dotknięciem wyczarować, aby wszystko  
odwróciło się na dobre.

— Nie mógłbyś przyjechać, choćby na weekend? Gdyby powiedział  
„tak”, natychmiast rzuciłaby Ralfa  
i mogliby zacząć na nowo.

— Boję się, że nie, Lauro. Tak mi przykro. — Westchnął znów. — Naprawdę. Może po Wielkanocy. — Roześmiał się z przymusem. — Byłby to bardzo kosztowny weekend.

Andrew nigdy nie śmierdział groszem.

Ale Wielkanoc wydawała jej się bardzo odległa — tyle się mogło wydarzyć w ciągu tych kilku tygodni, tyle się mogło zmienić. Czy naprawdę nie lękał się tego? Czy nie mógł odgadnąć, jak bardzo go potrzebuje? W oczach stanęła jej niezgłębiona twarz Ralfa, i po raz kolejny zadawała sobie pytanie, dlaczego wciąż i wciąż prześladowuje ją związany z nim dziwny niepokój. Zamykając oczy próbowała pozbyć się niewyraźnego przeczucia, że coś, gdzieś toczy się złym torem i że coś zaczyna jej się wymykać spod kontroli.

— Lauro?

— Przepraszam...

— Posłuchaj, zadzwonię do ciebie w poniedziałek.

— W porządku.

— Nie musisz tego mówić aż tak entuzjastycznie.

— Po prostu chciałabym...

— Co?

— Nic, nic.

— Głowa do góry — próbował wpaść w żartobliwy ton. — Może nawet spróbuję wysmażyć jakiś elegancki liścik.

— A ja zagadnę ambasadora o Brukselę — powiedziała, świadoma przecież, że już prosiła Sir Nigela o dodatkowy dzień wolnego z okazji wyjazdu na Węgry, z Ralfem, i czekała tylko na formalne zezwolenie.

— Wspaniale — przerwał. — Tęsknię za tobą, Lauro.

Przełknęła ze wzruszeniem ślinę. — Ja za tobą również. — I w istocie tęskniła, aż za bardzo, ale usilnie starała się zagrzebać gdzieś tę swoją tęsknotę, tylko dlatego, że kiedyś zranił jej cholerną dumę.

— Zadzwonię w poniedziałek.

I już go nie było.

Przez wiele długich sekund siedziała zatopiona w ciszy, a następnie sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer Ralfa, usłyszała jednak tylko irytujący sygnał, że jest zajęte. Popatrzyła w okno. Kończyło się popołudnie, ale było sucho i już nie tak zimno, jak w poprzednie dni. Mogłaby właściwie przespacerować się do jego mieszkania i osobiście poinformować go, iż jednak nie da rady pojechać na Węgry, że ich nieporozumienia z Andrew zostały wyjaśnione i, wreszcie, że więcej się z Ralfem nie zobaczy.

Idąc przez Volksgarten i jego nie obudzone jeszcze po zimowym śnie różane ogrody czuła unoszący się w powietrzu lekki zapach mgły, ale świeciło słońce, zabarwiając różowym blaskiem resztki zmrożonego śniegu, a niebo było kryształowo czyste. Laura głęboko wciągnęła powietrze, czując, jakby opadły z niej krępujące więzy. Ralf i ona należą do dwóch różnych światów, mówiła sobie w duchu, i nigdy by dla niego nic nie znaczyła; było w nim coś dalekiego, nieokreślonego, istniał jakiś mur obcości, który nie pozwalał jej się do niego zbliżyć. To tak, jakby patrzyło się na kogoś przez szybę okienną. Mimo to potwornie nie miała ochoty powiedzieć mu o swojej decyzji i nie paliła się też do spotkania z nim twarzą w twarz, chociaż po rozmowie z Andrew wydawało się to jedyną słuszną rzeczą. Im szybciej zatem porozmawia z nim, tym lepiej — gdyby czekała do jutra lub dłużej, mogłaby stracić odwagę. Jej wzrok powędrował w górę, ku granatowięjącemu już o tej porze niebu.

Pomagało jej to, że dzień był taki prześliczny, że w tym cichym sobotnim popołudniu nie było nic brzydkiego, nic burzącego harmonię. Wokół było zaledwie parę osób, reszta siedziała zapewne w kawiarniach lub w bezpiecznym zaciszu swoich mieszkań, z dala od nieprzyjemnej wilgoci tej nagłej odwilży.

Gdy przeszła przez Ringstrasse i przed jej oczami ukazał się Rathaus, zaczęły się w niej budzić ulotne, niechciane lęki, drobniutkie wątpliwości, nieokreślone i głęboko schowane. Ze zdławionym gardłem przyjęła wkradające się nagle w jej myśli wspomnienie nocy z Ralfem i z całego serca zapragnęła, by móc je stłumić, by na zawsze oczyścić się z tego gryzącego, nieprzytomnego wstydu, który tak pieczołowicie starała się ukryć. Ponieważ Ralf potrafił sprawić, że chowała swoją dumę, swój wstyd i szacunek dla siebie, gdy błagała go, wręcz żebrała, aby doprowadził do końca tę spazmatyczną, paraliżującą rozkosz, którą jej dawał. Zacisnęła oczy na krótką, bolesną chwilę, jakby powiekami mogła zgnieść tę wizję... Gdy wreszcie skrzyła w coraz lepiej znaną sobie ulicę, machinalnie zaczęła szukać spojrzeniem samochodu Ralfa, ale przed budynkiem, gdzie mieszkał, miejsce, w którym zwykle stała zaparkowana jego alfa romeo, było puste. Z omdlewającym sercem zbliżyła się do ciężkich, drewnianych drzwi i nacisnęła guzik dzwonka, ale bez rezultatu. Oczami duszy widziała białe, puste teraz pokoje na górze i pomyślała niespodzianie o Grecji, o jego zamiłowaniu do kultury tego kraju i tamtej pięknej dziewczynie, którą kochał dla jej niewinności i czystości. Tylko że tego nie mogła sobie wyobrazić — Ralf i czystość, Ralf i miłość do niewinności. Z piersi wyrwało jej się ciężkie westchnienie i wstrząsnął nią dreszcz; niebo zaczynał przykrywać siny zmierzch. Zadzwoń do niego dziś wieczór lub jutro. I powie mu wtedy.

Elizabeth wpatrywała się w Johna siedzącego u szczytu stołu. Miała wrażenie, że jest mniej spięty, ale z nim nigdy nic nie było wiadomo — grał swoją rolę tak świetnie, że trudno było cokolwiek po nim poznać. Niezauważalnie westchnęła i starała się wzbudzić swoje zainteresowanie pieczonym łososiem, którego przygotowała sama takim nakładem sił, ale jakoś ten soczysty,

pomarańczowoczerwony kawałek ryby oblany sosem sojowym przestał budzić jej entuzjazm. Ponownie spojrzała na męża — nie mógł się domyślać, bardzo dokładnie zacierała za sobą ślady. Ale decydując się na zdradę, była przygotowana na to, że wcześniej czy później John dowie się o tym; potrafił zajrzeć w jej duszę z zastraszającą łatwością. Elizabeth starała się zapanować nad wprawiającym ją w panikę poczuciem winy. Nie urodziła się z umiejętnością oszukiwania, nie miała do tego drygu, oszustwo zbyt mocno jej ciążyło, zbyt wiele kosztowało. Starła się choć na krótko pozbyć tych myśli, ale w pamięci odżyły jej chwile spędzone razem z Karlem, niezatarte wspomnienie upajającej rozkoszy. Czuła, jak zaczyna w niej narastać tamujące oddech uczucie uniesienia i miłości, i nagle, w tym krótkim niespokojnym momencie pomyślała sobie, że grając na tym dyplomatycznym przyjęciu gospodynię bez skazy nie należy tu, do tego miejsca, mimo że był to jej własny dom; do tych ludzi i Johna — wiernego Johna, tak dobrego i uczciwego. I w tym jednym, krótkim momencie pozbyła się, jakby na przekór, poczucia winy.

— Czuje się pani dobrze, Elizabeth? Odwróciła się gwałtownie.

— Jak najbardziej — po prostu przez kilka sekund myśłami byłam gdzie indziej.

Miała wrażenie, że nagle wszyscy już odkryli, że jest tu obca, że wyczytali to z jej rumieńca i pulsującej w żyłach krwi.

— Wydawało mi się, że nagle pani zbladła... Hrabia Dhoryany przykrył jej dłoń swoją.

— Czuję się świetnie, naprawdę. — Cofnęła rękę i objęła nią kieliszek, jakby szukając w nim oparcia.

— Moja żona, podobnie jak pani, też łatwo blednie, często z powodu błahostek.

Elizabeth spojrzała w uprzejmą, przystojną twarz Felixa i nie odczuła zdziwienia.

— Jak się ma Sophia? — zagadnęła chcąc zmienić temat.

— Bardzo dobrze.

— Jak jej idą studia?

— Jej studia? — parsknął, jak gdyby powiedziała coś śmiesznego. — Przy prawdziwym powodzie jej pobytu tam z całą pewnością schodzą na drugi plan.

— A jaki jest ten prawdziwy powód?

— Cóż, oczywiście nic jeszcze nie zostało ustalone... — krygował się — ale żywimy nadzieję, że w całkiem niedalekiej przyszłości może wyjść za mąż.

— Za mąż? Czy nie jest na to trochę zbyt młoda?

— Moja droga... nie w przypadku *takiego* małżeństwa. Przeszyła go przenikliwym spojrzeniem; bardzo jej się nie spodobało to „moja droga”, instynktownie poczuła też niepohamowaną niechęć do tego afektowanego, tryumfального uśmiechu.

— A jakież to bywają rodzaje małżeństwa? — spytała oschle.

— Mieszka u Oskara von der Heydena. Jakby to miało coś wyjaśniać.

— No i ?...

Westchnął. — Jak już nadmieniałem, naszą nadzieją jest, że...

— Wyjdzie za Oskara von der Heydena?

— Wiem, wiem, rozumiem pani zdziwienie, ale dla nas wszystkich to też poniekąd niespodzianka — kłamał. — No i oczywiście Oskar nie jest najmłodszy. — Przez jego twarz jakby przebiegł cień. Widząc, że Elizabeth milczy, dalej ciągnął swe wywody. — Jednakowoż, wspaniała partia. Z pewnością słyszała pani o chemikaliach von der Heydena, środkach farmaceutycznych von der Heydena czy nawozach von der Heydena?

— Tak. — Chciała też dodać, że zupełnie sobie nie jest w stanie wyobrazić tej ślicznej, subtelnej dziewczyny w otoczeniu środków chemicznych czy użyźniających, nie mogła sobie wyobrazić, że jej mężem mógłby być chorowity, suchy jak wiór Oskar von der Heyden.

— Żona i ja oczywiście cieszymy się niezmiernie.

— Oczywiście. — Obrzuciła go twardym spojrzeniem wysilając się na uśmiech, po czym ponownie skupiła swoje zainteresowanie na talerzu i bez przekonania zaczęła dziobać pogardzonego wcześniej łososia, teraz już prawie zupełnie zimnego.

— Czy należąca do niego wytwórnia chemikaliów nie znajduje się przypadkiem w Argentynie, Felixie?

Zagadnięty przeniósł wzrok na siedzącego niedaleko od nich Dana Gurneya.

— Tak, tak, zdaje się, że Oskar wspominał coś o fabrykach w Ameryce Południowej.

— Czyni tak dość wiele kompanii — kontynuował z podejrzaną obojętnością Dan.

— To znaczy co, Danielu?

— Budują nowe fabryki w Trzecim Świecie czy, mówiąc inaczej, w krajach o mniej rygorystycznie przestrzeganych prawach rynku.

— Nie bardzo chwytam.

— Aby uniknąć skrupulatnej kontroli ze strony organów zajmujących się ochroną środowiska na Zachodzie czy też w ich własnym kraju.

Elizabeth myślała, że nie wytrzyma i wybuchnie śmiechem.

— Ach, tak? — spytał Felix.

— Tak — potwierdził Dan. — Von der Heyden, wespół z innymi zachodnimi kompaniami, a myślę tu również o Stanach Zjednoczonych...

— To dobrze... — przerwał oschle Felix.

— ...dla tych samych powodów traktują Trzeci Świat jak wielkie wysypisko śmieci. A nie jest to najzdrowszy eksport z ich strony.

— I nie najzdrowszy temat przy kolacji.

— Pomyślałem sobie tylko, że chciałby pan wiedzieć, Felixie.

— Dziękuję.



Teraz Danowi zachciało się śmiać. Felix, jak wielu innych czcicieli pieniądza, wyznawał zasadę: im więcej, tym lepiej, nie oglądając się na to, czy w rezultacie nie ucierpi na tym jakiś tam biedaczyna.

— Proszę nam wybaczyć, Elizabeth — zakończył Dan. — Ciągłe te profesjonalne rozmowy.

— Nie mam co wybaczać — odparła szybko. — Szczerze mówiąc, uważam wiedeńskie rokowania za bardzo interesujące i choć raz praca Johna i diskutowane problemy są bardziej przyswajalne niż zwykle, więcej mają wspólnego z życiem codziennym, przez co sama czuję się bardziej zaangażowana.

— Rozumiem.

— A pomijając już osobiste zainteresowanie — mówiła dalej — mam małego synka i nie chcę, aby on oraz przyszłe pokolenia synów i córek odziedziczyły po nas umierający, czy też nieuleczalnie chory świat.

— Piękny spicz, Elizabeth — skomentował Felix z przypochlebnym uśmiechem.

Dan uniósł brwi.

— Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Mówiłam z serca — odcięła mu się.

— Ależ oczywiście, jak najbardziej.

— Wszystkim nam musi to leżeć na sercu, jeśli konferencja ma przynieść coś pożytecznego — powiedział wolno Dan.

— Austria zawsze poważnie podchodziła do zagadnień ochrony środowiska...

— To pokrzepiające...

— Muszę podkreślić z całą mocą, że nie tylko o pokrzepienie tu chodzi — precyzował Felix z grymasem. — Ostatecznie... — Tu odwrócił się i poklepał rękę Elizabeth w udawanym smutku. — ...Gdybyśmy wszyscy byli tak zaściankowi i bierni, jak niektóre z reprezentowanych tu krajów, wkrótce musielibyśmy nosić maski gazowe i zacementowalibyśmy ostatni skrawek trawnika...

Elizabeth obdarzyła go kwaśnym uśmiechem. — Wielka Brytania bierze aktywny udział w rozmowach, Felixie, inaczej by nas tu nie było. — Całkowicie się zgadzam. — Sięgnął po szklanę. — Chodzi jedynie o to, że niektórym krajom decyzja, aby zrzec się co nieco ze swojej narodowej suwerenności... w imię, powiedzmy, wyższych celów, zabiera trochę więcej czasu.

Elizabeth wpatrzyła się w kroplę wina ciekącą mu po brodzie.

— I, moja droga Elizabeth... Skrzywiła się.

— ...trzeba założyć, że nabranie choć lekko „zielonkawego koloru” jest lepsze, niż zupełne dystansowanie się od „zielonych”! — oratorsko zakończył Felix.

— Może rzeczywiście trzeba, — powtórzył za nim Dan, i odszedł nie czekając na odpowiedź. Powinien był zostać komikiem, pomyślał Dan z rozbawieniem, jego twarz była rozciągliwa jak guma, ale po jeszcze jednym kieliszku może spaść z krzesła. Wzór arystokratycznego zachowania.

Elizabeth westchnęła do siebie i odwróciła się do pozostałych gości przy stole, gdy pomiędzy nimi zaczął krążyć półmisek z dokładką łososia; wieczór zaczynał jej się dłużyć. Skoncentrowała swoją uwagę na Genevieve, na zupełnie nie tkniętym jedzeniu na jej talerzu i na obracającym nerwowo w ręce kieliszku wina, którego ledwie spróbowała. Myślała zapewne o córce i jej nowym życiu, dzielących je kilometrach, zastanawiając się, czy Sophia jest szczęśliwa, i z całą pewnością bardzo za nią tęskniąc. Elizabeth pamiętała dobrze niezwykłą i dającą dużo do myślenia sytuację w pokoju ogrodowym w zamku, mocno zaciśnięte drobne piąstki Genevieve i jej jakby pobladłą od bólu twarz; ona na pewno nie chciała tego małżeństwa. Nagle napotkała wielkie brązowe oczy Genevieve i uśmiechnęła się do niej automatycznie, ale nadal nie dawała jej

spokoju blada twarz tamtej, ściągnięta i nieobecna, z wyraźnie rysującym się na niej nieszczęściem.

Przesunęła wzrok na siedzącego vis-a-vis mężczyznę, Duńczyka, Rulopha Crommelina. Był cichy, sympatyczny, wysoki, z nieco szrudłowatymi nogami, jak wielu jego współziomków, i nieżonaty. "Nie jestem homoseksualistą..." powiedział jej z szerokim uśmiechem, gdy czekając na kolację pili drinka, „a jedynie nieożenialny" Roześmiała się, ciesząc się, że posadziła go obok Moy, delegatki z Singapuru o lalkowatej urodzie, która wprawdzie nie przesadzała z rozmownością, ale za to, z hełmem czarnych, usztywnionych lakierem włosów i grubą warstwą pudru na twarzy, wyglądała, jakby dopiero co zeszła ze sceny po występie w „Madame Butterfly". Jej drobniutkie usteczka, wyglądające jak szparka, były podkreślone i wymalowane krwistoczerwoną szminką. Konferencja była okazją do spotkania się przedstawicieli ogromnej liczby różnych narodowości. Ich kultura, barwa skóry, ideały, często niewątpliwa inteligencja, ale i głupota nie przestawały jej fascynować. Ale uczuciu temu towarzyszyło też zdziwienie, że w ogóle udało im się tu wszystkim zebrać w jednym miejscu. O czymś to świadczyło. A ona... ona przyjechała tu, podobnie jak inne żony, ze swoim mężem, jako podpora, jako przyjaciel i żona, jako matka i niezmordowana pani domu. Zawsze

O nienagannym wyglądzie, zawsze „korekt", zawsze na miejscu.

Skierowała bezwolnie wzrok na Johna i na nowo ogarnął ją lęk. Pięć lat temu nie ryzykowała nic prócz straconych iluzji, teraz ryzykowała wszystko — syna, męża, dostatnie rodzinne życie. Powinna się z tego jak najszybciej wycofać, nim pod stopami zacznie jej się zapadać grunt, ratować to, co nie zostało jeszcze zniszczone. Opuściła wzrok na swoje drżące, szczupłe palce; katastrofa stała się już jednak faktem. Ona zaś kochała Karla, już pozbyła się złudzeń, i być może zawsze kochała tylko jego.



— Chyba nie mówiłaś poważnie o podróży do Londynu?

Byli już sami, w pustym mieszkaniu, po wyjściu gości.

— Właściwie tak — odpowiedziała spokojnie. John nalał sobie whisky.

— Ale dlaczego? — Wypił szybko, z bijącym sercem.

— Po prostu potrzebuję zmiany, John, to wszystko. Wciągnął powietrze.

— I to rzeczywiście wszystko?

— Oczywiście. — Rzuciła mu szybkie spojrzenie. — A miałyby być jakiś inny powód?

Powtórnie uniósł szklaneczkę do ust. — A jednak to dziwne, ten nagły kaprys.

— Gdy byliśmy w Madrycie, jeździłam do domu co kilka miesięcy, wiesz o tym.

— Wolałbym mieć cię tutaj — powiedział powoli. — Przy sobie.

— To zaledwie dziesięć dni.

— Dziesięć dni — powtórzył za nią zatrzymując badawcze spojrzenie na jej opanowanej twarzy. — Wydajesz się nie być sobą, co jest?

— Czuję się świetnie, naprawdę — powiedziała łagodnie.

— Naprawdę?

Czy to możliwe, żeby w grę nie wchodził jednak mężczyzna? Ale o to nie mógł spytać wprost, już bardziej nie mógł się poniżyć. Na jedną bolesną sekundę przymknął oczy, wiedział bowiem, że to nie był kaprys jego wyobraźni — okłamała go, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Wiedział też, co to oznaczało, ponieważ nigdy wcześniej nie widział, żeby tak wyglądała. Zastanawiał się, czy jego żona zdaje sobie sprawę z tego, że zna ją lepiej od niej samej, i że tak było od zawsze. Postanowił nie mówić nic i nic nie robić. Gdyby jednak wróciła do niego, przynajmniej będzie mógł udawać, że

wszystko jest po staremu. A jednocześnie nie mógł jej teraz zmuszać do wyboru, by nie zostać z niczym. Bo, że Elizabeth wybrałaby tego drugiego, było dla niego więcej niż pewne. Świadomość tę ukrył jednak w najbardziej niedostępnym, najmroczniejszym zakamarku mózgu, ponieważ była nie do zniesienia — nie mógł spokojnie przyglądać się, nie mógł badać ze wszystkich stron tej jej nagłej, jaskrawej jak słońce miłości, bo bał się, że oślepie.

— Tak — potwierdziła z nagłym spojrzeniem, mając wrażenie, że ze wszystkich stron otoczona jest powłoką żalu, chaosu i niewyobrażalnej paniki. Jej ucieczka była idiotyzmem — i tak w głębi duszy wiedziała, że zawsze będzie za krótka: dziesięć dni, dziesięć tygodni czy dziesięć lat, bez różnicy, wszak była jedynie próbą wymknięcia się sytuacji, nad którą nie panowała, rodzajem żalostnej pokuty za to, co zrobiła, i za to, co jeszcze nastąpi.

John badawczo przyglądał się jej odwróconej, lekko skłonionej głowie, wracając myślą do złożonej mu właśnie propozycji objęcia placówki w Waszyngtonie. Był przekonany, że będzie zachwycona, i że po krótkim świętowaniu pójdą do czekającego na nich wielkiego wiedeńskiego łoża, gdzie będą się kochać, rozluźnieni i szczęśliwi. Tak się jednak nie stanie, bo w tej sytuacji nie miał ochoty mówić jej o tym. Lękał się tej jej podróży. Hamując wzruszenie pomyślał o tych wszystkich razach, przeszłych i przyszłych, kiedy zawsze widział ją u swego boku, ponieważ tak zawsze było i miało być. Bez Elizabeth Waszyngton tracił sens.

Pochwycił jej czułe spojrzenie, kiedy szybko zerknęła na niego, jakby czując na sobie jego wzrok; ale go nie chciał, nie życzył sobie, by obdarzała go takimi spojrzeniami — tkliwymi, przepełnionymi uczuciem, jak gdyby w ten sposób chciała mu okazać swoje współczucie i litość. Z zaciśniętymi, prawie białymi wargami John wlepił wzrok w swoją whisky. To nie serce Elizabeth było zranione, lecz jego.

Sam pogwizdywał. Nie miał pojęcia co, ale melodia doskonale współgrała z jego nastrojem. Już dwa razy zabrał Kristinę na kolację w tym tygodniu i zdawało mu się za każdym razem, że coraz bardziej ją lubi. Spektakl w Teatrze Angielskim był bardzo udany, dziś natomiast zabierała go do Opery. Bardzo jej na tym zależało, więc w końcu nie był w stanie odmówić.

Lekko się do siebie uśmiechając skręcił w Johannesgasse, gdzie było jego mieszkanie. Ten wieczór miał być czymś w rodzaju święta — poprzedniego dnia zadzwoniła Natalie, mówiąc, że ostatecznie nie przyjedzie jednak do Wiednia, ze względu na „problem osobisty” wymagający rozwiązania. Sam ledwie się powstrzymał od serdecznego śmiechu; mógł sobie mniej więcej wyobrazić, o jaki to „problem osobisty” chodziło — prawdopodobnie nie miała się czym naćpać. Jeśli o niego chodziło, mogła siedzieć u siebie, jak długo jej się żywnie podobało, nie miał ochoty jej oglądać. Nigdy. Wchodząc przez ogromną podwójną bramę prowadzącą do budynku, w którym znajdowało się jego mieszkanie, oblizał wargi i pogwizdywał dalej, szukając jednocześnie w kieszeni szylinga, by uruchomić starą, ozdobną windę z przełomu wieków. Czynność ta zwykle doprowadzała go do szału, dziś — bawiła i wręcz sprawiała przyjemność, jak gdyby wszystkie męczące koszmary przeszłych miesięcy uleciały na zawsze, dając mu upragnioną wolność. Zbliżając się do drzwi mieszkania zerknął na zegarek. Do spotkania z Kristiną przed gmachem Opery zostało mu jeszcze pół godziny. Klucz łatwo wskoczył w zamek, gałka u drzwi przekreśliła się jak zwykle gładko. Wszedł, i niemal natychmiast poczuł, jak serce skacze mu do gardła, zdawało mu się bowiem, że z gabinetu — świątyni jego spokoju — dochodzi znajomy głos. Potarł czoło, jakby miał omamy słuchowe, jak gdyby próbował zetrzeć z myśli opanowujące go uczucie paniki, sądząc, że to tylko gra wyobraźni.

Przyciągany tym głosem, jak zahipnotyzowany przeszedł przez hall i zatrzymując się w progu stanął oko w oko z Natalie.

— Dzień dobry, Sam.

Czas jakby zawisł w powietrzu. Sam poczuł się jak we śnie, w którym wszystko jest możliwe i w którym zostali jak gdyby przeniesieni do innego, dawno zapomnianego miejsca i czasu, ponieważ Natalie nic się nie zmieniła. Wyglądała tak samo jak wtedy, gdy oszołomiła go swoją urodą podczas pierwszego spotkania w gmachu ONZ; była tą samą Natalie, której zainteresowanie jego osobą tak mu schlebowało — i która w końcu go zdobyła. Miała na sobie tę samą sukienkę. Sprytna dziewczyna. Zadbana o to, żeby tamte pierwsze, upojne i namiętne chwile nie popadły w zapomnienie.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę.

Serce nadal łomotało mu gwałtownie, nie mógł uwierzyć w to, co widział.

— Zaskoczyłaś mnie, Natalie — próbował się opanować. — Mówiłaś ostatnio, że nie przyjeżdżasz.

— Właśnie mówię, że chciałam ci zrobić niespodziankę.

Wolno kręcił głową, nie dowierzając własnym oczom.

— Dobrze wyglądasz, Sam.

Krew napłynęła mu do głowy, ale nagle zdał sobie sprawę z obecności Clary, która skrepowana stała w przeciwległym kącie pokoju.

— Joanna już w łóżku, Claro? Filipinka przytaknęła i opuściła wzrok.

— To na razie wszystko... — powiedział do niej, próbując się uśmiechnąć. Poczekał, aż wyjdzie, a następnie odwrócił się do żony, stwierdzając z ulgą, że jego panika zmalęła choć trochę.

— Dlaczego przyszłaś tutaj, Natalie?

— Przecież wiesz, chciałam zobaczyć się z Jo Jo.

— To wiem. Ale nie musiałaś przychodzić tutaj, do

mojego domu. Jak się domyślam, zatrzymałaś się w Imperialu.

— Chciałam przyjść.

— Powinnaś była wcześniej zadzwonić.

— To niemiłe, że tak mówisz... sądziłam, że niespodzianka z moim nagłym przyjazdem będzie świetnym pomysłem, tak samo jak to, że zastaniesz mnie tutaj po powrocie.

— Och, przestań, Natalie.

Odwróciła od niego głowę, czemu towarzyszył ruch jasnomiodowych włosów.

— Dobrze, Sam. — Znow spjrzała na męża, a jemu zdawało się, że w jej oczach dostrzega łzy. — Ale nie możesz mnie winić za to, że choć próbowałam — powiedziała szeptem.

Bezwiednie rozchyliły mu się usta. Był kiepski w takich gierkach i zwycięstwo zazwyczaj należało do niej. To go wyprowadzało z równowagi i sprawiało, że często tracił serce do walki.

— Musiałam cię zobaczyć, Sam — westchnęła rozdzierająco. — I chciałam.

— Między nami wszystko skończone, Natalie. Ile razy będę to jeszcze musiał powtarzać?

Na biblioteczce stała butelka whisky.

— Napijesz się?

— Nie, dziękuję.

Spojrział na nią szybko. — W ogóle?

— W ogóle — odpowiedziała z poważnym uśmiechem. — Rzuciłam to. Roześmiał się.

— Wiedziałałam, że mi nie uwierzysz, ale wiem też, że jeśli udałoby nam się wskrzesić to, co było między nami, pierwszym warunkiem z mojej strony byłoby właśnie to.

Potrząsnął głową i nalał sobie szkockiej.

— Ty chyba naprawdę uważasz mnie za ciężkiego frajera, Natalie, pierwszorzędnego frajera.



— Ale to prawda, co powiedziałam.  
— W odniesieniu do dzisiejszego dnia.  
— Dzisiaj i zawsze. — Wstała.

Był wściekły na siebie za to, że jego oczy natychmiast wlepiły się w jej skąpo odziane kształty rysujące się pod odpowiednio skrojoną sukienką. Zawsze uwielbiał tę sukienkę, podobał mu się sposób, w jaki przylegała do ciała, w jaki jej delikatna i miękka brzoskwiniowa barwa zlewała się z kolorem skóry Natalie i w jaki prowokowała myśli o znajdującym się pod nią ciele, ciepłym, zachęcającym kobiecym ciele. Chciał jej powiedzieć, żeby usiadła i nie ruszała się, ale zdawał sobie sprawę, że zabrzmiałoby to co najmniej śmiesznie.

— Widzę, że ciągle się zajmujesz modelami samolotów... — zauważyła dotykając modelu starego Baltimore<sup>^</sup> stojącego na miniaturowym postumencie w rogu pokoju. — Stary, kochany Sam.

— Dlaczego nie wracasz do hotelu?

— Nie martw się, zrobię to.

Przysunęła się bliżej, tak że stali teraz o krok od siebie.

— Jak długo zamierzasz pozostać? — spytał, tylko żeby spytać, skoro i tak już wiedział. Napotkał jej spokojny wzrok, pod którym jego spojrzenie zaczynało się załamywać.

— Trzy dni, jak już mówiłam. — Uśmiechnęła się do niego. — I na pewno nie po to przebyłam taki szmat drogi, żeby się na ciebie wydzierać, Sam.

Uśmiechnęła się szerzej odsłaniając rząd białych, drobnych i doskonałych zębów.

— Byłam głupia, Sam, zbyt przemądrzała... Wydawało mi się, że mogę mieć wszystko.

— Skończ z tym, Natalie... już to przerabialiśmy. Opuściła wzrok i wciągnęła spazmatycznie powietrze, jak gdyby ją uderzył w twarz.

— Chciałam ci jedynie powiedzieć, że stałam się doroślejsza, że naprawdę coś próbuję z sobą zrobić. — Szeroko otwartymi oczami zaglądała mu w twarz. — Nie spodzie-

wam się, że mi uwierzysz, lub że wycofasz się z rozwodu — na aż tak wiele nie liczę, chciałabym tylko, żebyś zobaczył, że te wszystkie bolesne chwile, przez które przeszłam, nie poszły na marne. — Przerwała. — Teraz dopiero doceniam to, co straciłam.

Starął się pozbyć ucisku w gardle, starał się zignorować widok jej unoszących się i opadających w oddechu piersi przysłoniętych jedynie cienką warstwą materiału. Wlał w siebie potężny łyk whisky odsuwając się od Natalie, jak gdyby nagle jego uwagę przyciągnęła poczta leżąca na biurku obok.

— Nie będziesz mogła zobaczyć Joanny aż do jutra.

— Udało mi się z nią zobaczyć, nim położyła się spać... przeczytałam jej bajkę.

Zdenerwował się, ale nim zdążył jakoś zareagować, zaczęła tłumaczyć.

— Króciutką bajeczkę, Sam. Słowo, że jej niczym nie wystraszyłam. —

Jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej. Sam odwrócił wzrok. — Przez cały czas była z nami Clara.

— Nie mam pojęcia, co chcesz osiągnąć, ale to ci się nie uda.

— Niczego nie chcę osiągnąć, Sam — zapewniła go miękkim i pełnym umiejętności dozowanego czaru głosem, i pomyślał, że niedużo trzeba, żeby jej uwierzył.

— Nie musiałaś jechać przez pół świata, żeby mi to wszystko zakomunikować.

— Chyba jednak musiałam. Nigdy bym cię nie była w stanie przekonać rozmawiając tylko przez telefon.

— Jakkolwiek by było — wtrącił szybko — teraz nie ma to już większego znaczenia. Sprawa rozwodowa posuwa się bez przeszkód naprzód i już niedługo będzie mi to obojętne.

— Wiem, wiem — przytaknęła cichym i smutnym głosem. — Miałam nadzieję, że gdy zobaczysz na własne oczy, jak się staram, że naprawdę się zmieniam, może nie będziesz mi tak bardzo utrudniał moich spotkań z Jo Jo.

Zmarszczył brwi mając się na baczności przed tą nową taktyką.

— Jest twoją córką, Natalie, tak samo jak moją, a więc pewne prawa będą ci przysługiwały.

— Nie chciałam po prostu, abyś się martwił, to wszystko.

— Czy naprawdę się spodziewasz, że w to uwierzę? — spytał z kwaśnym uśmiechem.

Z powtórным westchnieniem pokręciła głową.

— Nie powinnam była przychodzić... — powiedziała siadając. —

Wiedziałam, że mi nie uwierzysz... Gdybyś tylko się domyślał, jak mi było ciężko... Gdybyś tylko wiedział, jak to jest, kiedy twoim najlepszym przyjacielem, rodziną, kochankiem jest narkotyk. — Zdawało mu się, że słyszy jej szloch. — A później musisz się go wyprzeć, Sam.

Wahał się pomiędzy współczuciem i wątpliwościami, próbował odrzucić wrażenie, że mimo wszystko mogła mówić prawdę. Powoli uniosła głowę i spojrzała mu w twarz; po jej policzkach spływały wielkie, perliste łzy.

— Wybacz... nie zamierzałam urządzać sceny...to ostatnie, co bym chciała zrobić.

Łzy zawsze go rozbrajały; poczuł się nieswojo, jakby miał związane ręce, nie wiedząc, co zrobić czy powiedzieć.

— No, już dobrze — powiedział wreszcie niepewnie i z kieszeni wyciągnął białą chusteczkę. — Proszę, masz...

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością; nie był przyzwyczajony do przyjmowania wyrazów wdzięczności, a już na pewno nie od Natalie.

Przyglądał jej się uważnie, ze zdziwieniem. Jej szloch zaczął zamierać, ale za gardło chwycił ją jeszcze sporadyczny spazm. Wytarła oczy.

— Nie jesteś bardzo zły, że przyjechałam, prawda, Sam? — Zamrugła przysyłając na chwilę swoje niezwykle zielone oczy, które, jak mu się zdawało, tak dobrze kiedyś znał. — Widzisz, gdybym nie przyjechała, nigdy

bym sobie tego nie wybaczyła. — Opuściła oczy i pochwyciła szybki, urywany oddech. — Po tym, co zrobiłam tobie i Jojo. Musiałam spróbować.

Stał nadal wpatrzony w jej wypełnione łzami oczy, wracając myślą do tych wszystkich chwil, od których nawet teraz czuł ucisk w żołądku — cały ten ból i cierpienie, wszystkie te podeptane marzenia, uczucie nienawiści i pożądania, i wreszcie wysuszająca na wiór pustka.

— Musiałaś spróbować, Natalie.

— Nadal mi nie wierzysz, prawda, Sam? — Jej głos brzmiał łagodnie i miękko, jak pieszczota.

— Nie mogę.

— Rozumiem.

Drgnął zaskoczony taką odpowiedzią.

— Nie sędzę, byś była w stanie.

— Ależ tak — odrzekła z uśmiechem i wstała. — Ponieważ gdybym to ja była na twoim miejscu — a próbowałam wejść w twoją skórę — odeszłabym sześć tygodni po naszym ślubie; już wtedy miałeś przedsmak tego, co cię czeka. Jesteś za dobry, Sam, pozwalałeś mi na zbyt wiele.

— A więc to moja wina.

— Nie, nie twoja. — Odwróciła się w stronę drzwi. — Mój błąd, że trafiłam na świetnego faceta, naprawdę świetnego faceta. A powinien mi się być trafić jakiś skurwysyn, który by mną pomiatał.

— Bzdury.

— Nie, Sam. — W jej oczach znowu zabłyśły łzy. — Tylko na to zasługuję. — Bezbrinnie pokręciła głową. — Posłuchaj, lepiej, jeśli sobie już pójdę. — Zrobiła krok w kierunku drzwi.

— Tak, ale nie w takim stanie...

— Tak będzie najlepiej.

— Ja...

Chwycił ją za ramię, czując piżmowy zapach jej perfum. W jej rozszerzających się, zielonokocich oczach

dostrzegł pożądanie, jak gdyby chciały nad nim zapanować... Nagle jednak oderwał się od niej gwałtownie — dzwonił telefon.

— Halo...?

— Sam? Tu Kristina, nie przychodzisz?

— Kristina. — Z przerażeniem zacisnął oczy; zapomniał zupełnie o spotkaniu z nią. — Jezus! Przepraszam... coś mi wyskoczyło, zobaczę się z tobą najszybciej, jak będę mógł, na razie. — Odłożył słuchawkę.

— Muszę iść, Natalie.

— Przyjaciółka?

Zaczerwienił się. — Coś w tym rodzaju, tak. — Odzyskał już panowanie nad sobą, ale nie dawała mu spokoju myśl, co by się stało, gdyby telefon nie zadzwonił, gdyby umówił się z Kristiną na kiedy indziej, a nie akurat dziś, o tej porze.

— No cóż, miło się rozmawiało — powiedziała łagodnie. — Może moglibyśmy wybrać się na lunch jutro, jeśli oczywiście ci to odpowiada.

— Może.

— To znaczy, jeśli masz już jakieś plany, nie chciałabym ci ich pokrzyżować.

— Powiem ci, jeśli tak będzie.

Przez chwilę badała go wzrokiem, uświadamiając sobie, że teraz, po tym telefonie, nie miało sensu dalsze przeciąganie tej uwertury. Ale przez tę jedną milusią sekundę prawie miała go znowu dla siebie! Usta rozciągnęły jej się w uśmiechu. Biedny Sam, nadal należysz do mnie, jeszcze to do ciebie nie dochodzi i trochę się jeszcze będziesz wywijał, ale w końcu Natalie i tak cię capnie. Roześmiała się w duchu. Nie doszło też do niego, że jeśli ta dziewczyna, czy może raczej kobieta, rzeczywiście coś dla niego znaczyła, to nie zapomniałby o niej tak łatwo z powodu wizyty swojej seksownej żoneczki. Wciągała rękawiczki, obserwując, jak Sam sprawdza portfel. Przy tym wszystkim zdrowa rywalizacja niezmiernie zaostrzała jej instynkt

walki, który nigdy nie pozwolił jej przegrać — zawsze omotywała sobie wybranego mężczyznę, prócz może Donahue, ale z nim to inna sprawa. Jego żona, ta wiedźma o krzywym pysku, trzymała rękę na forsie, a przy tym omal się nie zesrał ze strachu przed prasą. Zresztą i tak go nie za bardzo lubiła, nie miał poczucia humoru. Jej zwężone oczy, którymi podążała za Samem, wyglądały teraz jak cieniutkie płytki szmargadu. Och, Sam... biedny mały Sammy, Natalie zje cię na śniadanie, tak jak zawsze to robiła.

Genevieve przeszła przez kolumnadę w hallu i weszła do pokoju włoskiego, ulubionego pokoju jej matki — tak naprawdę jedyne go lubianego przez nią pomieszczenia w całym tym posepnie majestatycznym gmaszysku zamku. Nie była tu od poprzedniej wiosny, ale oczywiście nic się nie mogło zmienić, prócz tego, że na okutej brązem komodzie stały świeżo ścięte kwiaty, pierwiosnki i wczesne żonkile. Machinalnie dotknęła jednej z żółtych główek, wciągając ich leciutki, delikatny zapach. Powoli przeszła po ceramicznej posadzce do okna z ołowianymi obramowaniami i wyglądnęła na zewnątrz, na ciągle jeszcze pokrytą lekką warstwą śniegu ziemię. Felix stał przy ośmiokątnej fontannie, niewątpliwie przekonując swoich gości o jej unikalności. Bo istotnie była unikalna, pomyślała Genevieve ze znużeniem, ale raczej dość szkaradna — woda wytryskiwała w niej z obleśnych ust istnego mrowia fantastycznie-groteskowych głów. Poczuli się zmęczona tym miejscem, tym monolitem, jak gdyby zamek wysysał z niej całą energię. Inaczej było z Felixem. Schloss Bletz był jego, ponieważ go kochał, prawdopodobnie bardziej niż cokolwiek innego na świecie, jak sobie nagle z całą jasnością uświadomiła, tyle że ta myśl nie mogła już jej zranić.

Wróciła do pokoju i popatrzyła na portret matki wiszący nad monumentalnym kominkiem z białego marmuru. Namalowano go chyba, kiedy jej matka była w wieku

Sophii, i z rysów twarzy babki wyzierało podobieństwo do rysów wnuczki. Ta sama kruchość urody, która charakteryzowała zresztą całą żeńską linię, ta sama wrażliwość spojrzenia, kształt ust i delikatne, białe dłonie, które na portrecie matka miała starannie ułożone na lawendowej, jedwabnej sukni. Genevieve przesunęła wzrok na antyczny spinet, na którym pozwalano jej czasami grać w dzieciństwie. Był teraz stary, bardzo stary, z klawiszami powykrećanymi wiekiem; od śmierci matki nikt na nim nie grał. Było tak zgodnie z życzeniem ojca. Jedynym życzeniem, które spełniała, gdyż nie było żadnych innych, które potrafiłaby spełnić równie skrupulatnie — a przynajmniej od czasu, kiedy zginął jej brat. Wiedziała bowiem o innym życzeniu ojca — wolałby, żeby to ona była zginęła, a nie Heinrich.

Trzeba to jednak położyć na karb jego cierpienia, próbowała sobie jak zwykle wmówić, nie wiedział, co mówi. Ponownie utkwiała wzrok w twarzy matki, jej dobrych oczach i troskliwych rękach. Nierzadko zastanawiała się, czy sprawy nie potoczyłyby się inaczej, gdyby nie umarła tak wcześnie; nierzadko też ogromnie pragnęła jej obecności tutaj, z nią, by ukoić to potworne uczucie zagubienia kołaczące się w jej duszy. Opanowała wzruszenie i podniosła oczy na biało-złoty, rzeźbiony sufit, z wklęsłymi fasetami. Z góry spoglądał na nią herb rodzinny, z koroną oplecioną wieńcem. Sophia była niezmiernie przywiązana do tego pokoju, twierdziła, że jest „taki spokojny i dobry”.

Genevieve nagle przestraszyła się, wiedziała zbyt dobrze, że drżenie ust nie wróżyło nic dobrego, zapowiadało łzy i rozpacz. Obiecała sobie więcej nie płakać, wszak za trzy tygodnie ujrzy Sophię i jej paniczny lęk złagodnieje, pierzchnie, i znów wszystko będzie dobrze. Czyż nie? Z piersi wyrwało jej się ciężkie westchnienie. A może jest chora? Może dlatego czuła ostatnio taką okropną ociążałość w nogach i całym ciele, przytłaczające ją jak wszystkie

smutki tego świata? Po raz ostatni obrzuciła szybkim spojrzeniem cichy portret i spinet i ostrożnie wymknęła się z pokoju; Felix będzie się zastanawiał, gdzie się podziewa.

Spojrzenie Ralfa przytłaczało ją. Czując skrępowanie, Laura skupiła swoją uwagę na kelnerze nalewającym jej do kieliszka czerwonego wina. — Wspomniałaś, że chcesz mi coś powiedzieć?

Pociągnęła spory łyk wina i spojrzała na niego. W niedzielę zostawiła mu krótką wiadomość nagrany na „automatyczną sekretarkę”, ale zatelefonował dopiero w środę, co ją zdziwiło, ponieważ zawsze bardzo szybko odpowiadał na jej telefony. Widocznie musiał gdzieś wyjechać w interesach. Zamierzała powiedzieć mu, że chce zakończyć ich związek, tak jak postanowiła, ale obietnica Andrew, że zadzwoni w poniedziałek, rozminęła się, mówiąc delikatnie, z rzeczywistością, co więcej — od czasu ich rozmowy w zeszłym tygodniu nie zadzwonił w ogóle. Po raz kolejny zawiodła się na nim. Nie otrzymała też listu i zaczęła się zastanawiać, dlaczego miałyby na siłę wskrzeszać w sobie wiarę w niego. Gdy rozmawiali przez telefon, na nowo ogarnęło ją uczucie miłości do Andrew i przyszłość zaczęła nagle opromieniać nadzieja, której już dawno nie czuła. Teraz jednak, gdy jej hołubione marzenia i nadzieja zostały przez niego zniszczone i nie mogła się na nich opierać, musiała, pozostawiona sama sobie, jakoś zdobyć się na dystans wobec Ralfa i powiedzieć mu, że pomiędzy nimi wszystko skończone — z tym że wcale nie była już tego taka pewna. Tak naprawdę nie miała nikogo bliskiego w Wiedniu, siedziała tu zbyt krótko, żeby znaleźć jakąś prawdziwie przyjazną duszę. Uświadomiła sobie, że jej życie tutaj zaczyna się wiązać z osobą Ralfa. A jednak, gdyby trzeba było, potrafiłaby z niego zrezygnować ze względu na Andrew. — Chodziło o ten wyjazd na Węgry — skłamała.



— Możesz jechać?

Skwapliwość w jego pytaniu sprawiła jej przyjemność.

— Tak.

— Rewelacyjnie. — Wziął ją za rękę. — A więc udało ci się wszystko załatwić z ambasadorem?

— Tak, dostałam coś w rodzaju specjalnego urlopu. Bardzo sympatycznie z jego strony.

— Jestem pewny, że nie będziesz żałowała. — Pocałował koniuszki jej palców. — Budapeszt czeka na powtórne odkrycie przez Zachód.

— Dobrze go znasz?

— Moja firma należała do pierwszych, które nawiązały kontakty z Węgrami we wczesnych latach siedemdziesiątych.

— A jak się właściwie nazywa twoja firma?

— To przedsiębiorstwo prywatne — Maier.

— Maier — powtórzyła.

Dopiero teraz doszło do niej, że nigdy go o to nie pytała.

— I to właśnie w Budapeszcie byłeś, kiedy dzwoniłam w czasie weekendu?

— Nie. — Strzepnął z rękawa marynarki niewidoczny pyłek. — Już kilka miesięcy nie byłem na Węgrzech. Byłem we Frankfurcie.

Ale przecież telefon był zajęty, może akurat zaraz potem wyjechał?

— Co się stało?

— Nic, nic — zastanawiałam się właśnie, co z wizami. — Musiała się pomylić, widocznie wykręciła zły numer.

— Zajmę się tym.

— Gdzie się zatrzymamy w Budapeszcie?

— Zazwyczaj zatrzymuję się w Hyatt. Usytuowany jest na jednym z brzegów Dunaju, będziemy mieli z niego widok na stary pałac.

— Brzmi bajkowo.

— Udało ci się załatwić dodatkowy dzień?

— Chodzi ci o piątek? Tak. Mój ambasador wykazał się wyjątkową szczodrością, zważywszy, że w ogóle nie powinnam jechać. To szczęście, że akurat brat mojej matki jest tam ambasadorem. — Czy to przypadkiem nie z tego przede wszystkim powodu zajęła się dyplomacją, żeby zostało w rodzinie? Sukces w karierze dyplomatycznej został jak gdyby wpisany w jej życie.

— Cieszy się doskonałą reputacją — nazywa się Phillip Rowse, o ile się nie mylę?

— Zgadza się...Nie sądziłam, że tak cię to interesuje.

— Wszystko mnie interesuje, Lauro, szczególnie jeśli łączy się to z tobą. Odpowiedziała mu nieco kwaśnym uśmiechem, ale jej policzki nadal pokrywał rumieniec.

— Zdanie jakby żywcem wyjęte z jakiegoś starego filmu, lub powieści Barbary Cartland...

— Barbara Cartland jest bardzo bogatą i bardzo słynną starszą panią.

— Co wcale nie znaczy, że od razu musisz ją cytować

— To nie był cytat. — Jego twarz przybrała wyraz powagi i popatrzył jej prosto w oczy. — Tak rzeczywiście myślę i czuję. Podniósł kieliszek do ust. — Dlaczego jesteś taka niespokojna przy mnie, Lauro?

— Nie wiem — odpowiedziała ledwie słyszalnie. — Po prostu już tak jest.

— Zawsze tak działałam na kobiety i być może dlatego nigdy się nie ożeniłam. — To nie było tak, a przynajmniej nie do końca tak; naprawdę wprawiał je w niepokój, co jednak wcale nie powstrzymywało ich przed wpychaniem mu się do łóżka, a wtedy reszta była już bzdetką. Dlaczego w ogóle miałby się żenić? Najlepiej bawił się w swoim własnym towarzystwie, a poza tym żona czy stała kochanka byłaby piątym kołem u wozu, uwzględnivszy jego zajęcia. Rozśmieszyła go ta myśl.

— Zastanawiałam się nad tym.

Trudno jest wiązać się z kimś na stałe, kiedy się jest w ruchu tyle, co ja.  
Nie chcesz mieć dzieci?

— Właściwie zawsze sobie wyobrażałem, że czwórka to piękna liczba, czwórka krzepkich synów. — Rozmowa o dzieciach zawsze działa na kobiety kojąco. Jeśli chciałeś mieć dzieci, to znaczy, że należałeś do „porządnych facetów”, rzetelnych, na których można polegać, szczerych, uczciwych itd., itp. Buźka.

— Czwórka raczej przekracza moje plany — poprzestałabym chyba na dwójce — odpowiedziała mu z lekkim uśmiechem. — Ale jakoś nie wydaje mi się, żeby to się stało w najbliższej przyszłości — robienie kariery i dbanie

O rodzinę nie za bardzo chcą iść w parze.

— Na twoim miejscu nie zarzucałbym tej myśli, ot tak sobie.

Zerknęła na niego badawczo. — Dobrane związki nie rodzą się na kamieniu — odrzekła ostrożnie.

— Wiem, Lauro. — Wypił trochę wina. — Ale jak dotąd chyba nieźle nam się udaje...

Poczuła się niezręcznie, gdy wziął ją za rękę. O czym mówił? O co mu chodziło? Pocałował wewnątrz jej dłoni

1 w geście tym pojawiła się jakaś niepokojąca sugestia.

— Nigdy nie zapomnisz tego weekendu ze mną na Węgrzech.

Rysy jego twarzy złagodził ledwie dostrzegalny uśmiech. Spełni swoją obietnicę w stu procentach, nie zostawiając nic przypadkowi, bo zbyt długo już czekał. Zawsze wszystko musiało być dokładnie rozplanowane w czasie, był ekspertem od unikania porażek i wcześniej czy później jego ofiary jadały mu z ręki. W ten czy inny sposób kobiety zawsze stawały się ofiarami, zwykle ofiarami swoich mężów czy kochanków, przy tym zwykle partaczy, którym żal było poświęcić odpowiednią ilość czasu czy trudu, aby dowiedzieć się, czego chciały lub potrzebowały ich kobiety.

Ileż to razy słyszał od uwiedzo-

nych przez siebie kobiet, że seks nie sprawiał im żadnej przyjemności, że ich partnerzy nigdy się nie dowiadywali, jak często udawały przed nimi, aby tylko mieć *to* z głowy jak najszybciej. Póki nie poznawały jego. Smutne, naprawdę, wręcz tragiczne. Ralf roześmiał się w duchu, jak gdyby usłyszał jakiś wybredny dowcip. Później, gdy już były jego, pojawiały się pewne warunki. Wydawały się nigdy nie wiedzieć, jak i dlaczego stało się to, co się stało, jakby zapominając, że wcześniej, gdy już odkrył ich słabości, dość dalekie były od wykazywania się szczególną roztropnością, intuicją czy siłą moralną. Nigdy się nie spieszył, ale teraz zaczynał się nudzić.

— Może byśmy pojechali do mnie?

Kiwnęła głową.

Ralf dał znak kelnerowi, że chce zapłacić. Stawało się to aż nieprzyzwoicie łatwe.

Dan przekopywał się przez dokumenty, które otrzymał, w ścisłej tajemnicy oczywiście, od ambasadora brytyjskiego, Sir Nigela Howarda. Zaciskał coraz mocniej usta, kiedy w głowie zaczęły mu świtać implikacje wynikające z listu od Howarda. Próbował przypomnieć sobie pełne brzmienie przysłowia cisnącego mu się na usta — coś o kiju w mrowisku... Trudno było nazwać czytanie angielskiego raportu miłym zajęciem, mimo że większość tego, co trafiało ostatnio na jego biurko, też nie należało do najprzyjemniejszych. A jednak wyrzynanie słoni i czarnych nosorożców oraz nielegalny eksport przedstawicieli zagrożonych wyginięciem gatunków były niezmiernie nabrzmiałym problemem, który w dodatku nie wykazywał żadnych oznak słabnięcia, szczególnie jeśli w grę wchodziła taka masa pieniędzy i tyle „szanowanych” osobistości związanych z działalnością syndykatów zajmujących się handlem kością słoniową, a które to syndykaty wycisnęły tak wiele czyściutkich dolarów z „białego złota”. Koniec końców dolary zawitały do domów ignoranckich,

bezmyślnych, a przy tym, jak na ironię, uczciwych ludzi, w formie pamiątek. 150 mln dolarów rocznie oznaczało 100000 rozkładających się trucheł. Dan westchnął: w takich okolicznościach trudno mieć nadzieję na lepsze. Jednakże śmierć młodego brytyjskiego dziennikarza Petera Brandta spowodowała niezłe zamieszanie. Dlatego więc, jak można było przypuszczać, Howard przekazał mu tę garść interesujących informacji, które służbom specjalnym Wielkiej Brytanii udało się odkopać i zestawić ze sobą, a mianowicie o amerykańskiej firmie eksportowo-importowej działającej niedaleko granicy Mozambiku, pozornie zajmującej się tanimi ozdobami i afrykańskimi rękodzielami, co jednak było przykrywką, przy tym niezbyt szczelną, innego procederu, który nie wzbudzając niczyich podejrzeń kwitłby zapewne dalej, gdyby nie śmierć siostrzeńca brytyjskiego ministra spraw wewnętrznych i wynikłe z niej intensywne śledztwo. Zmarszczywszy brwi, Dan po raz kolejny wbił wzrok w pewne nazwisko. Jeśli w tym, co sugerował Howard, kryje się choć część prawdy, chociaż najmniejsze ździebko prawdy...

Lotnisko nie było specjalnie zatłoczone i choć raz Elizabeth udało się znaleźć wózek bagażowy. Umieściwszy na nim bagaż z ciężkim westchnieniem odgarnęła włosy; była jednak zadowolona, że Johnowi nie udało się wyrwać i że na własną rękę musiała się dostać na lotnisko. Chyba by nie zniosła niezręczności pożegnania w tym stanie, gdy ledwie trzymała nerwy na wodzy, a jej całe zachowanie zabarwione było histerią. Obawiała się, że mogłaby rozplakać się nagle albo całkiem rozkleić w jego silnych objęciach. Może tak właśnie by się to skończyło, w jego bezpiecznych ramionach, bo na pewno John umiałby to wszystko naprawić i gniotący ją ciężar oraz nieustanne napięcie zniknęłyby bezpowrotnie. Ale zachowywała się i myślała jak idiotka, i to w dodatku nieopanowana idiotka. Teraz nie było już możliwości

powrotu, rzucenia się Johnowi w ramiona z nadzieją, że jej udręka i tęsknota w sposób cudowny się rozwieją — obcowwała z nimi zbyt długo. Była jak dziecko pragnące gwiazdki z nieba. Karl nadal będzie w Wiedniu, kiedy tam wróci, i wiedziała, że znowu się z nim zobaczy, że znowu będą się kochali i że nie będzie chciała od niego odejść — znowu. Tego właśnie obawiała się najbardziej, tej niezmiernej tęsknoty, tego ciernia w sercu, który za nią dokonywał wyboru. Bo ona nie chciała wybierać, nie wiedziała, jak wybierać.

Uniosła głowę i uświadomiła sobie, że idzie w złym kierunku. Klnąc w duchu zawróciła, spoglądając jednocześnie na zegar. Przyjechała o wiele za wcześnie, ale nie miała ochoty snuć się z kąta w kąt w swoim mieszkaniu, bała się telefonu od Karla. Zostawiła dla niego wiadomość, że wybiera się na krótkie wakacje. Westchnęła — może nie powinna była w ogóle o niczym go informować? Nie wiedziała, nic już nie wiedziała. W jej bezwolne myśli wdarł się obraz jego przystojnej twarzy i poczuła nagły ucisk w żołądku, a serce zaczęło jej walić jak oszalałe; nie mogła zrozumieć, co robi i dlaczego czuje takie oszołomienie i smutek. Ale w tym wszystkim było też uczucie szczęścia, pomyślała z poczuciem winy, rodzaj dręczącego szczęścia, które jej nigdy nie opuszczało.

Głos spikerki wybił ją z zamyślenia. Stawiając torby, mechanicznie wyciągnęła kartę pokładową. Ogarnęło ją niespodzianie poczucie wolności, idiotyczne poczucie wolności. Ze stukotem obcasów na białej marmurowej posadzce przeszła do jaskrawobiałego hallu, w którym dokonywało się rezerwacji, mijając nie kończącą się ścianę szklanych drzwi. W powietrzu unosił się nęcący zapach kawy. Weszła do małego lokaliku będącego połączeniem kafeterii i restauracji i skierowała się do stolika w tyle salki, omijając siedzących przy stolikach ludzi, nieświadoma zazdrosnych spojrzeń podziwu, jakimi ją obdarzano. Ujęła połyskliwą, barwną kartę, ale natychmiast odłożyła ją z powrotem — chciała tylko kawę. Podniosła wzrok,

przed nią stał Karl; zastanawiała się, jak długo już tam stał obserwując ją.  
— Mogę usiąść?

Odpowiedziała mu lekkim, znużonym uśmiechem, jak gdyby jej wewnętrzny konflikt przestał ją nareszcie dręczyć. W sposobie, w jaki na nią patrzył, było coś, co poruszyło ją do głębi i osłabiło jej silne postanowienie doprowadzenia spraw do końca.

— Uciekasz. — Potrząsnął głową. — Dlaczego nie powiedziałaś mi wprost, zamiast kazać dowiadywać się o tym innymi kanałami?

— Przykro mi. Tak czy inaczej muszę wyjechać, choć na krótko.

— Nie uda ci się od tego uciec, Elizabeth; akurat ty powinnaś to wiedzieć aż za dobrze.

— Mogę spróbować.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. — I naprawdę tak było, nie mógł wyobrazić sobie myśli, że będzie z dala od niego, poza jego zasięgiem. Badała uważnie jego twarz, jej doskonale proporcjonalne rysy, miękki proszący wyraz ust i ciemnoszare oczy, które zawsze z taką sugestywnością zdawały się tyle wyrażać, że aż brakowało jej tchu i opanowywało ją pożądanie...zawsze tak było.

— Są inne powody.

— Twój mąż.

Nie chciała, żeby mówił o Johnie.

— I twój syn.

— Karl, proszę, nie teraz.

— A kiedy.

— Nie wiem kiedy, w tej chwili nic zupełnie nie wiem. Wziął ją za rękę. Elizabeth nie próbowała nawet stawiać oporu; chciała nagle przymknąć oczy i poddać się poczuciu bliskości i ciepła bijącego od jego palców i ręki, z taką pewnością zaciskających się na jej otwartej dłoni. Ocknęła się jednak.

— Kochasz mnie, Elizabeth — powiedział wolno.

— Tak.

— I co zrobimy?

— Nie wiem — odparła cicho. — Naprawdę nie wiem.

— Zostawisz go?

Na myśl o Johnie poczuła, że coś ją dławi w gardle.

— Za bardzo naciskasz, Karl — westchnęła z trudem. — Nie rób tego, proszę.

Karl odwrócił wzrok, ale jego palce zacisnęły się mocniej, jak gdyby nie chciał dać jej umknąć. Przełknął ślinę starając się zapanować nad rosnącym w sercu dziwnym uczuciem paniki; to nie było do niego podobne, ta czarna rozpacz i uczucie, że jest mu źle. Z początku go to bawiło, był przekonany, że ta tęsknota, jak inne, nie potrwa długo, zmaleje i wreszcie zniknie, jednak tym razem było inaczej — miłość do Elizabeth nie chciała zmaleć, przeciwnie, nabierała kształtu, pogłębiała się, rosła i rozwijała niczym jakiś nierealny kwitnący kwiat. Stracił kontrolę.

— Chyba nie rozumiesz, że nie mogę dać sobie rady sam z sobą.

— Pięć lat temu... — powiedziała cicho.

— Pięć lat temu byłem kimś innym.

— Cóż, życie płata figle, prawda? — W jej głosie pojawił się smutek.

Poczuł w środku bolesny skurcz — po raz pierwszy w swoim życiu dałby wszystko, aby móc powrócić do tego, co było, przenicować czas i w końcu mieć ją, tylko dla siebie.

— Figle nie zawsze śmiesz, Elizabeth.

— Muszę już iść, Karl.

— Chcę się z tobą kochać.

Jej szczery śmiech przyniósł mu ulgę, był zadowolony, że udało mu się zmienić nastrój tej rozmowy.

— Nie tutaj — i nie teraz.

— Kiedy wrócisz? Nie odpowiedziała.



— Elizabeth?

— Naprawdę muszę już iść, Karl. — Wstała, ale Karl przytrzymał ją za rękę. — Ktoś nas może zobaczyć — powiedziała pospiesznie.

— Mam to gdzieś.

— Karl, proszę. Puścił ją.

— Pozwól mi zadzwonić.

— Nie.

Uśmiechnął się.

— Nie, Karl.

W milczeniu podeszli do kontroli paszportowej i gdy odwracała się, aby odejść, znów schwycił ją za rękę.

— Kocham cię, Elizabeth.

Od jej uśmiechu poczuł w sercu skurcz.

— Musiałeś to już mówić setki razy, prawda, Karl? Zesztywniał nieco.

No tak, rzeczywiście mówił tak

wiele razy, ale jedynie dlatego, żeby dostać to, czego chciał, żeby zrobić „to” i mieć z głowy, żeby sprawić przyjemność kobiecie, z którą akurat był związany. Ostatecznie, kobiety zawsze chciały to słyszeć. Ale tym razem tak nie było.

— Ale po raz pierwszy szczerze.

W milczeniu wpatrywała się w jego opaloną, przystojną twarz.

— Chyba nie wątpisz w to, co mówię? — spytał prawie szeptem.

Potrząsnęła głową. — To prawda, Karl, nie wątpię. — Opuściła wzrok na ich ciągle złączone w uścisku dłonie, myśląc sobie, że w jakiś nieodgadniony sposób jej szczupła, elegancka dłoń z takim wdziękiem leżąca w jego dłoni należała do niego.

— No, to już idę.

— Zadzwonię do ciebie.

Ale nie odpowiedziała mu i bez oglądania się za siebie zniknęła za rozsuwanymi drzwiami.

John patrzył niewidzącym wzrokiem na otaczający go podniecony tłumek ludzi. Przyjął zaproszenie na premierę w Teatrze Angielskim, bo nic lepszego nie miał do roboty, a nie chciał przesiadywać w samotności w swoim mieszkaniu, mając za towarzystwo tylko własne myśli. Teraz jednak żałował tej decyzji, gdyż nagle poczuł się bardzo samotnie bez Elizabeth — przecież powinna teraz być tutaj, nie gdzie indziej.

Rozglądając się wkoło łyknął trochę ginu z tonikiem i gdyby nie ten nastrój, na pewno uśmiechnąłby się do siebie — jeszcze jeden wieczór w otoczeniu wiedeńskiej śmietanki towarzyskiej. Przechwycił spojrzenie stojącej w tym eleganckim tłumie kobiety, powłóczył, pełne wyrazu spojrzenie świadomej swych celów kobiety. Przebiegł wzrokiem po jej twarzy i figurze, z lekkim rozbawieniem dostrzegając, jak wyprostowuje się wysuwając do przodu piersi, jak gdyby dając mu do zrozumienia, że może je mieć, że może mieć ją całą, później, w umówionym miejscu i czasie. Jest bardzo atrakcyjna, pomyślał obojętnie, ale zbyt obficie obsypana złotem, zbyt opalona, zbyt wiele było w niej typowej wiedeńskiej miłości własnej, żeby go znieść, nawet gdyby był wolny.

— John!

W mgnieniu oka rozpoznał głos i westchnął z rezygnacją.

— Madeleine, nie przypuszczałem, że tu będziesz.

\_ Jasne. Proszę, przyłącz się do mnie i Olafa — jesteśmy razem z kilkoma austriackimi przyjaciółmi, jestem pewna, że bardzo pragnęliby cię poznać.

— Nie, dziękuję, Madeleine. Właśnie zamierzałem skończyć gin i wrócić na swoje miejsce — przerwa prawie już się kończy,

— A gdzie Elizabeth? — spytała rozglądając się. — Nie ma jej z tobą?

Westchnął znów. — Jest w Londynie.

\_ Naprawdę? — spytała niedowierzająco. — Nie miałam pojęcia, że wyjeżdża, a poza tym mówiła mi, że za nic

nie chciałyby stracić premiery „Dangerous Obsession”. — Zakrztusiła się nagle śmiechem. — Zdrada jest zawsze takim kuszącym tematem...

— Zdecydowała się dość nagle... — odparł na poprzednie pytanie, ignorując jej następną uwagę, i dokończył drinka.

— Wzięła Christophera z sobą?

— Nie, to tylko krótki wyjazd.

— Jak długo jej nie będzie?

— Dziesięć dni, może dwa tygodnie...

— No proszę. — Jej jakby w amoku wyskubane brwi uniosły się w wiele znaczącym wyrazie do góry.

— No cóż, chyba już wrócę na swoje miejsce.

Madeleine dotknęła jego ramienia, jak gdyby zatrzymując go jeszcze. — Jaki mały jest ten świat, prawda, John?

Zmarszczył brwi nie rozumiejąc, do czego zmierza.

— Myślę o świątku dyplomacji...

— Chyba masz rację.

— Nic zatem dziwnego, że Elizabeth spotyka nagle dawnego znajomego...

Przez chwilę patrzył na nią uważnie, a potem skierował zdecydowanie wzrok na otwarte za nim drzwi.

— Wiesz, o kim mówię, John, o tym Amerykaninie — chyba się nazywa Karl Nielsen.

— A tak, wiem, Madeleine. — Ale nie wiedział, czuł, że robi mu się duszno.

Ostro i przeraźliwie zadzwonił dzwonek na koniec przerwy.

— Widziałam ich razem w Do & Co. Elizabeth tłumaczyła mi później, że łączył go kiedyś jakiś poważniejszy związek z jedną z jej najbliższych przyjaciółek. — Zachichotała po dziewczęcemu. — Jaki ten świat mały.

— Skoro tak uważasz. — Z widocznym trudem walczył, żeby na nią nie spojrzeć, ponieważ domyśliłaby się od razu wszystkiego. — Przekaż moje serdeczne po-

zdrowienia dla Olafa, prawdopodobnie zobaczę się z nim po spektaklu... Odszedł, zostawiając zdziwioną bez wątpienia Madeleine. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego była taką bezduszną suką i dlaczego taki sympatyczny facet jak Olaf doszedł do wniosku, że nadaje się na żonę. Ten świat nie tylko był mały, ale bardzo, bardzo osobliwy. Opanowując się ruszył w stronę foyer. Karl Nielsen, ten dobrze ułożony, wyrafinowany Amerykanin — Nielsen o wyglądzie gwiazdora filmowego, Nielsen w robiącym wrażenie, nienagannie skrojonym ubraniu, Nielsen delikatny i pełen dobrych manier. Było dlań więcej niż oczywiste, że nie chodziło o żaden „poważniejszy związek z jedną z jej najbliższych przyjaciółek” — to tylko jeszcze jedno kłamstwo; pierwszym było to, jakoby Elizabeth miała spotkać Nielsena na lotnisku Heathrow kilka lat temu.

Wrócił myślą do przyjęcia powitalnego inaugurującego konferencję, w czasie którego Nielsen został im przedstawiony. Już wtedy Elizabeth nie była sobą, nastroszyła się cała jak przerażony królik, a później zaraz od nich odeszła. Jej zachowanie było wówczas dla niego zagadką, ale położył to na karb nastroju, może zmęczenia. Jednak nigdy by mu nawet nie przyszło na myśl, że może chodzić o nie poddającą się upływowi czasu namiętność, która odrodziła się niczym jakiś mściwy feniks z płomieni. Poczul niepokonowaną furję i wbijające się w serce piekące żądło zazdrości, zastanawiając się, czy zniósłby próbę wyobrażenia sobie ich razem, Elizabeth oraz Nielsena, w łóżku, w miłosnym zbliżeniu, i jego ręce, ręce Nielsena beczeszczące dotykiem tak kochane przez niego jej ciepłe, delikatne ciało. Nielsena pieprzącego jego żonę.

6

— Cześć...

Kristina spojrzała w górę na przysiadającego się do niej Sama... Był blady, z zarysowującymi się pod oczami cieniami.

— Odleciała już?

— Odlatuje dziś wieczór, odwożę ją na lotnisko.

— Dlaczego miałbyś to robić?

Westchnął. — Ponieważ to chyba mój obowiązek.

— Nie masz żadnego długu w stosunku do niej.

— Wiem.

Odwrócił na chwilę wzrok i wyglądał przez okno. Natalie przez cały czas była bardzo dobra, prawie że za dobra, i to go niepokoiło. Udało jej się namówić go na spacer z Joanną w sobotę, który okazał się dla niej wielkim sukcesem, jeśli chodzi o zbliżenie z córką. W niedzielę wziął ją na lunch — nie na kolację, tego unikał bowiem jak ognia, bojąc się tej nagłej dobroci w jej charakterze, tej nagłej zmiany zamazującej całe zło. A co, jeśli jej wybryki naprawdę spowodowane były kokainą i alkoholem? A co, jeśli naprawdę nigdy przedtem jej nie znał i obecna sytuacja była czymś w rodzaju ich pierwszego spotkania. Nie umiał, po prostu nie umiał sobie na to odpowiedzieć.

— Przepraszam, Sam.

— Nic się nie stało, wiem, o czym myślisz — odparł spoglądając na nią.

— Ona jest sprytna.

— Również to wiem.

— Zdaje się, że nie pomagam ci specjalnie.

— Kristino, uspokój się. Nie zamierzam zrobić niczego głupiego. Okay? Popatrzyła na niego uważnie.

— Okay.

Mimo to, widząc jego strapienie, bała się. W Operze był zaniepokojony, wręcz podniecony, i chociaż wieczór nie był aż taki najgorszy, to jednak nie można go było nazwać z czystym sumieniem udanym. Następnego dnia, w sobotę, chciała pójść na dłuższy spacer, aby nie musieć siedzieć w dusznej atmosferze mieszkania i znosić uszczypliwości matki, ale Sam miał wpaść po nią dopiero wieczór, jak zresztą zapowiedział. Jednakże i te wspólnie spędzone chwile nie okazały się dużo lepsze. Po powrocie do domu, przybita, poszła wprost do łóżka, ale nie była w stanie zasnąć; ogarnięta znużeniem leżała w ciemności z otwartymi oczami, myśląc, marząc, zastanawiając się. Torturowała się wyobrażeniami Sama i Natalie spacerujących razem, rozmawiających o starych, dobrych czasach — bo przecież na pewno musieli przeżyć jakieś „dobre czasy” — a później w jej myślach powtarzał się niezmiennie ten sam finał: perfekcyjne, po mistrzowsku wręcz przygotowane uwiedzenie Sama przez Natalie... Tak więc weekend był dla Kristiny jednym nieustającym pasmem koszmarów, wypełnionym dręczącymi i ponurymi wizjami jej i jego w coraz bardziej zaawansowanych stadiach fizycznej bliskości i budzącego się na nowo uczucia... Ale wreszcie koniec z tym — Natalie wyjeżdżała. Świadomość tego nie przyniosła jej spodziewanej ulgi, nie mogła się oszukiwać, że sam wyjazd tamtej załatwi wszystkie problemy. Dla Kristiny był to dopiero początek i nie była pewna, czy starczy jej zarówno siły, jak i nadziei, aby kontynuować ich związek, gdyby bowiem i tym razem poniosła klęskę, nie wytrzymałaby tego. Sam nie taił niczego, co dotyczyło wizyty żony, mimo to intuicja mówiła jej, że zbijająca swym pięknem z nóg,

Natalie zdecydowana jest odzyskać go za wszelką cenę i w rękawie trzyma jeszcze mnóstwo kart atutowych, które jej w tym mogą pomóc. A jej najpotężniejszą bronią,

O czym Sam dobrze wiedział, było to, że jest matką ich dziecka. A Sam był miękkim, zbyt miękkim romantycznym głupcem. Może, ale to właśnie ta jego „miętkość”

i „głupota” pociągały ją w nim najbardziej.

— Zamówić ci jeszcze kawę?

Przytaknęła i odwrócił się od niej szukając kelnerki.

— Jak się zachowywała w stosunku do Joanny? — spytała, mimo że domyślała się odpowiedzi: Natalie nie pozwoliłaby sobie na jakąkolwiek fuszerkę i zrobi absolutnie wszystko, by po jej wyjeździe Joanna uwielbiała swoją mamusię, która jest tak daleko.

— A jak sądzisz? — Uśmiechnął się z grymasem, po raz kolejny zadziwiony sprytem żony — żony, bo tak czy inaczej nadal nią była. Była wprost niesamowicie czarująca w stosunku do Joanny. U schyłku sobotniego dnia jedyne słowa, które, jak się mogło zdawać, znała ich córeczka, brzmiały: „mama, mama, mama”. Poczł wtedy, jak coś go dławi w gardle. Wziął je do Prateru, do zgiełkliwego wesołego miasteczka, gdzie Joanna jeździła na karuzeli, on zaś dał się namówić Natalie na jazdę na znieawidzonym przez siebie wielkim diabelskim kole, w czasie której starał się zachować fason, mimo że świat wirowało mu w oczach i przewracało mu się w żołądku. Ich wycieczka zakończyła się późnym, chłodnym popołudniem spacerem po jednej z zazielenionych już, wąskich alejek oddalonych od placu zabaw. I pomyślał sobie, że gdyby ich obserwował ktoś, kto ich nie zna, z pewnością doszedłby do wniosku, że są dobraną, kochającą się rodziną, a on sam musi czuć się piekielnie szczęśliwy mając tak rozkoszną córeczkę i tak uroczą żonę. A Natalie rzeczywiście wyglądała uroczo, z zarumienioną twarzą i błyszczącymi od zabawy oczami, smukłymi nogami w wysokich butach z miękkiej, cielejącej skórki.

— Nadal masz ochotę na kolację dziś wieczór? — spytała Kristina. Budził w niej serdeczną sympatię, ponieważ tak właśnie nazywała to uczucie dla własnych potrzeb, a wszelka niepewność wprawiała ją w stan bezradności i pustki, do którego dołączyło się teraz duszące uczucie paniki, mogła go bowiem stracić.

— Oczywiście — odparł. — O której po ciebie wstąpić? Po ósmej powinienem już być z powrotem z lotniska.

— To będzie w sam raz.

— Świetnie — ucieszył się.

Patrzyła na jego usta, zastanawiając się, jak by zareagował, gdyby ni stąd, ni zowąd wyciągnęła rękę i dotknęła ich delikatnego zarysu; tego bowiem pragnęła — dotknąć go, poczuć przy sobie jego jędrną, ciepłą skórę i ramiona otaczające jej nagie ciało, nim złączą się kochać. Gdyż wtedy — i to wiedziała na pewno — wszystko byłoby dobrze.

Genevieve zatrzasnęła za sobą drzwi i krocząc po szarej marmurowej podłodze skierowała się na lewo, do kuchni. Leciutka mżawka zwilżyła jej włosy układając je w drobniutkie loki. Kilka niesfornych kosmyków przylepiło jej się do policzków i przypadkowy obserwator mógłby ją wziąć za sympatycznego łobuziaka z ulicy — gdyby się uśmiechnęła. Zamiast tego jedynie ciężko westchnęła i położyła dwie po brzegi wypchane zakupami torby na białym stole kuchennym, a następnie rzuciła okiem na zegarek. Ostatnio dzwoniła do Sophii codziennie. Z początku chciała wytrwać w cierpliwości i nie wtrącać się nachalnie w jej życie, ale przegrała sama z sobą i telefony do córki stały się nieodzownym codziennym rytuałem, od którego nie mogła się uwolnić, a którego dobrą stroną było przynajmniej to, że wiedziała, iż Sophia jest bardzo zadowolona, a czasami wręcz szczęśliwa.

Felix poinformował ją w końcu, że nie da rady jechać do Monachium na urodziny Sophii, w wyniku czego ominęła ich uroczystość i wspólne spotkanie w gronie



rodzinnym. Wyjazd został odłożony i Genevieve zastanawiała się, jak to zniesie.

Z ponownym westchnieniem podeszła do pękających w szwach toreb i zaczęła z nich wyciągać przeróżne drobiazgi, które, nie wiadomo dlaczego, potrafiły tyle ważyć. Zauważyła plamkę z jajka na stole, a na podłodze biegnący od niej do suszarki na naczynia żółty ślad. W zlewozmywaku wały się nie umyte od śniadania naczynia, istna piramida filiżanek do kawy z poprzedniego wieczora, potężny rondel z tłustymi zaciekami po ugotowanym przez nią na wczorajszą kolację Strogonoffie, którego wszakże Felix nie jadł, twierdząc, że „ma nadkwasotę żołądka”. Zmarszczyła brwi opanowując wzburzenie — Hilda nie pokazała się, mimo obietnicy. Tak więc czekało ją czyszczenie popielniczek, odkurzanie, segregowanie sztućców, czyszczenie srebra, polerowanie stolików do kawy i sprawdzenie, czy w toaletach jest świeże mydło i czyste ręczniki... Będzie teraz musiała zrobić to wszystko, co dawno miało być zrobione, tylko dlatego, że Hilde ponownie wystawiła ją do wiatru. Wystarczyło przecież, żeby zawiadomiła, iż się nie zjawi w pracy, i wtedy Genevieve nie poszłaby na spotkanie w Stowarzyszeniu Kobiet Amerykańskich, z którego jedyną rzeczą, jaką wyniosła, był ból głowy; cały ten rój kobiet z ich głośnymi, przenikliwymi głosami na przemian wzbijającymi się i zamierającymi, gdy przemawiały jedna po drugiej. Aż wreszcie w połowie dyskusji pogubiła się, ponieważ terkotały jak szalone, czemu jej angielski nie mógł sprostać.

Rozglądając się po kuchni, Genevieve poczuła zdradzieckie szczypanie pod powiekami. Jak gdyby tego wszystkiego było mało, miała jeszcze ugotować pięciodaniową kolację, ponieważ w swej głupocie zaproponowała Felixowi, że tym razem sama zajmie się gotowaniem, by zrobić na gościach tym większe wrażenie. Jakżeż była niemądra! Tylko skończony głupiec mógłby polegać na nic nie znaczących obietnicach Hildy... A ta okrągława,

leniwa dziewczyna wiedziała, że jej pani nie zdobędzie się na odwagę, by ją zwolnić. Genevieve zadawała sobie pytanie, czy tylko ona cierpiała z powodu wynajętych pomocy domowych. Przed Hildą była Jugosłowianka z bladą, ziemistą cerą, która odznaczała się zamiłowaniem do jej serwet, ręczników i holenderskiego ginu jej męża; jeszcze wcześniejsza dziewczyna byłaby nawet całkiem dobra, gdyby nie jej upodobanie do rozmów telefonicznych z rodzicami na Filipinach. Felix z miejsca ją wyrzucił. A teraz Hilda, która przynajmniej była uczciwa. Opuszczając z cichym westchnieniem kuchnię weszła na pierwsze piętro, aby się zorientować, co wymaga zrobienia w pierwszej kolejności. Drzwi do gabinetu Felixa były lekko uchylone, pchnęła je i zaskoczona zobaczyła sylwetkę Gunthera stojącego przy oknie.

— Gunther?

Podsłoczył i trzymane przez niego w ręku fotografie rozsypały się po podłodze.

— Co ty tu robisz?

Ale za odpowiedź wystarczyło jej jedno spojrzenie. Schyliła się i podniosła jedną z leżących fotografii.

— Skąd to masz?

Gunther stał przed nią z pobladłą twarzą, nieskory do odpowiedzi.

— Jeśli mi nie odpowiesz, będę zmuszona powiedzieć ojcu.

Gunther zaczął się dusić śmiechem, ponieważ fotografie leżały w jednej z szuflad biurka jego ojca.

— Tu nie ma nic do śmiechu, Gunther.

— Tak, matko. — Ale nadal nie miał najmniejszego zamiaru nic wyjaśniać.

— Skąd je masz?

— Od przyjaciela.

— Jakiego przyjaciela?

— Nie znasz go. — Przynajmniej to było prawdą. Zerknęła znów na to ohydne zdjęcie. Przedstawiało

siedzącą, bardzo skąpo odzianą dziewczynę w taniej, czarnej bieliźnie. Jej ogromne, błyszczące ciało wydawało się aż eksplodować — soczysty kawałek opasłego cielska w fałdkach tłuszczu. Ale ktokolwiek robił to zdjęcie, uwagę swą skoncentrował na sterczącym niczym występ skalny biuście, sięgającym jej niemal poza pas, pokrytym niebieskimi żyłkami, szorstkim i sflaczałym, podtrzymywanym tanim, czarnym stanikiem. Na twarzy miała myszkę.

— Znasz tę osobę?

— Nie, matko.

Z ulgą wciągnęła bezgłośnie powietrze.

— A twój przyjaciel?

— Tak mi się wydaje.

Z wyrzutem popatrzyła na niego i nie mogąc się oprzeć, ponownie spojrzała na zdjęcie.

— Czy to prostytutka?

— Nie mam pojęcia...ale wygląda na taką, prawda? Genevieve poczuła, że się rumieni. Nie mieściło jej się w głowie, jak ktoś mógłby, czy też miał ochotę...

— Dość tego, Guntherze.

— Wydaje mi się, matko, że lepiej będzie, jeśli mi je oddasz, bardzo proszę.

— Sądzę, że powinien je zobaczyć twój ojciec.

— To nie jest najlepszy pomysł.

— Zachowaj swoje opinie dla siebie, Guntherze. — Opanowała się. — Resztę możesz oddać temu... koledze... — przerwała i dodała natychmiast: — I powiedz mu, proszę, że jego gust w wyborze kobiet pozostawia wiele do życzenia, powiedz mu też, że być może wskazana byłaby dla niego wizyta u lekarza. — Zaczerwieniła się znów i spod opuszczonych powiek rzuciła spojrzenie na syna. — Chyba jasno się wyraziłam?

— Och, tak, matko — parsknął.

— Powtarzam, nic w tym nie ma do śmiechu.

— Oczywiście. — Ale było, i to bardzo wiele. Nie był

w stanie zapanować nad śmiechem, który rozwinął się w obraźliwy rechot, gdy zobaczył wyraz urazy na twarzy matki.

— Gunther!

— Nie mogę się powstrzymać.

— Coś chyba z tobą nie tak.

— Po prostu wydaje mi się to strasznie zabawne, nic więcej. — Jak bardzo pragnął znaleźć się wraz z matką i ojcem po jego powrocie dziś wieczorem, kiedy będzie mu pokazywała odebrane zdjęcie.

— To nie jest śmieszne. — Genevieve uzmysłowiła sobie, że się trzęsie i że syn zaczyna brać nad nią górę. Na twarzy Gunthera pojawił się tak dobrze jej znajomy wyraz pogardliwego szyderstwa i od frustracji i doznanej zniewagi chciało jej się płakać.

— Idź do swojego pokoju, Guntherze...

— Idź do swojego pokoju... — przedrzeźniał ją. — *Gott im Himmel*, matko, za kilka miesięcy kończę dwadzieścia jeden lat! — Zaczął trząść głową, jak gdyby udawał, że jest imbecylem.

Nie odpowiedziała, walcząc z uparcie napływającymi jej do oczu łzami; nienawidziła go, nienawidziła nagle z całych sił beznadziejności wszystkiego.

— Nie jesteś...dobrym chłopcem... — wyjąkała tylko i opuściła pokój.

Gunther jeszcze przez chwilę potrząsał głową, a następnie zwrócił swoje spojrzenie na trzymane w ręku fotografie. Ciągle się uśmiechał, ale na jego czole pojawiła się zmarszczka, gdy z ciekawością i uwagą przyglądał się każdej przedstawionej na nich kobiecie — wszystkie były wprost koszmarnymi kaszalotami, wszystkie były dziwkami, a przynajmniej na takie wyglądały. Z całą pewnością nie tego spodziewał się po swoim ojcu, znając jego zwykle nienaganny smak. Chociaż nawet on odkrył już, że niektórzy ludzie mają pewne szczególne upodobania, perwersje czy jak je tam zwać. Jednakże, na pewno nie

można dopuszczać do tego, by dowiadywał się o nich świat, być tak nieostrożnym, szczególnie jeśli są tak ordynarne — było to nieziemsko głupie, jeśli nie samobójcze. Rozczarował się, sądził, że ojciec posiada bardziej wyszukany gust, a przede wszystkim, że jest ostrożniej-szy. Ułożył zdjęcia w jako tako wyglądający stosik i wsunął je do dużej brązowej koperty, która zawierała również kilka magazynów, kasety video i jakąś książkę. Magazyny zdażył już przeglądać wcześniej, ale nie znalazł w nich nic nowego, czego wcześniej by już nie widział. Kasetę obejrzy kiedy indziej, ale weźmie książkę, z pewnością dostarczy mu interesującej lektury, gdy zamknie się z nią w ubikacji. Wyszczrzył się. Chociaż teraz chyba nie musi już bawić się w chowanego, matka i tak już wiedziała, a ojciec wkrótce się dowie i raczej nie będzie mógł sobie pozwolić na awanturę, skoro cała sprawa dotyczyła jego własności — a więc, po co? W każdym bądź razie, ojciec będzie miał to w nosie, po prostu w nosie.

Z łąki, jak zjawą, unosiła się mgła, trawa była soczyście zielona, a pokrywająca ją rosa sprawiała, że w chłodnych promieniach porannego słońca lśniła jak kryształowa tafla. Elizabeth szła przed siebie, z wzrokiem utkwionym w horyzont, żałując, że białe pola nie rozciągają się w nieskończoność, poprzedzielane jedynie żywopłotami, ogrodzeniami i drzewami, pozbawione budynków i ludzi, żeby nic nie mogło zakłócić spokoju tego znieruchomiałego w czasie świata, do którego powróciła, tego drogocennego pomnika jej dzieciństwa, który pozostawał taki sam. Dzięki Bogu.

Dom jej rodziców zbudowany był na niewielkim wzniesieniu, otoczony kilkunastoma akrami ziemi. Na wprost jego okien usytuowane były oznaczone falistą linią pola Kentu, a w dali, za pierwszą kępą drzew, znajdował się cichy, niepozorny zamek Hever, niegdyś dom słynnej rodziny Boleyn i „Anny tysiąca nocy”, niesławnej drugiej

żony Henryka VIII, dla której zaprzedał swą własną duszę — a wraz z nią duszę całej Anglii — tylko po to, żeby mieć syna. Elizabeth popatrzyła w czyste kwietniowe niebo i, jak niezliczoną ilość razy wcześniej, zastanowiła się, co czuła ta obca, uparta dziewczyna, kiedy król Henryk znudził się nią i jego rozczarowanie zamieniło się w gniew, a później w zemstę, i jaka ironia losu sprawiła, że urodzone z ich związku dziecko było dziewczynką, syn bowiem urodził się martwy. Bo właśnie ta dziewczynka zatryumfowała w końcu, ponieważ to z niej wyrosła wspaniała i potężna, przebiegła i mądra kobieta, Elżbieta I. Elizabeth usłyszała krzyk ptaka i śledziła na tle nieba jego kołowy lot i gwałtowne, śmiercionośne nurkowanie, gdy jak kamień spadał na ziemię — jastrząb, myśliwy.

Westchnęła. Ona nie była jednak potężną i przebiegłą królową, była kobietą mniejszego kalibru i jeszcze mniejszej siły, skoro Karl mógł rozedrzeć jej duszę na dwoje, a ona pozwalała mu na to z niezrozumiałą łatwością. Szła dalej, mimo że pożyczone od matki wellingtony \* obcierały jej stopy, nie zwracała jednak na to uwagi, zbyt zadowolona, że przyjechała tu, gdzie wreszcie być może oczyści umysł z tych wszystkich oplatających go pajęczyn, przez które nie mogła się przebić żadna racjonalna myśl. I jakoś stawało się to dużo łatwiejsze, kiedy nie było z nią Karla, i Johna. I Johna. Przełknęła ślinę, przeciskając się przez uschnięte krzewy jeżyny; wyszła na ścieżkę prowadzącą do małego kościoła anglonormarskiego, o którym ktoś gdzieś prawdopodobnie zdecydował, że powinien być zamknięty, skoro przestali do niego chodzić ludzie. Ona nadal do niego chodziła — wprawdzie nieczęsto i nie zawsze na mszę, czasami jedynie po to, żeby na niego popatrzeć i odwiedzić. Ale ostatnio nie „odwiedzała” go już od dawna, od ponad czterech lat, ponieważ brakowało jej odwagi.

\* gumowe, wysokie buty

Lekki wietrzyk targał jej włosy, gdy kroczyła dalej ścieżką. Z pewnym zniecierpliwieniem rozpięła je i potrząsnęła głową, tak że opadły jej na twarz, chroniąc ją od chłodu kwietniowego poranka.

W jej pierwszym spotkaniu z Karlem, tak teraz odległym, było coś, jakaś gwałtowna iskra, rodzaj elektryzującego napięcia, które odgrodziło ich dwoje od otaczających ich rozmów i śmiechu pozostałych uczestników przyjęcia, coś, co tamowało oddech i przyspieszało bicie serca. Nigdy tego nie zapomniała. Wziął ją za rękę, jak gdyby wszystko to wyczuwał, i zaczęli tańczyć, powoli, bardzo powoli. I ciągle z nią był, a kiedy wreszcie wyjechał, czuła się na wpół żywa.

Gdy zbliżyła się do wejścia kościoła, opanowało ją uczucie rozpaczliwego smutku. Popchnęła bramę, która, jakby w proteście przed jej dotykiem, uchyliła się z lamentem skrzypiących przerdzewiałych zawiasów.

Nim jednak ją zostawił, nim w jej życie zakradł się smutek, był jeszcze pokój w hotelu i siedem długich, nieskończenie długich radosnych dni, kiedy zdawało jej się, że nie tylko odkrywa jego, ale i samą siebie.

Wałęsali się po ulicach Londynu jak turyści, odwiedzili niemal każdą galerię, ponieważ Karl kochał sztukę, malarstwo i rzeźbę. Wśliznęli się do Westminster Abbey, gdzie w skupieniu przechadzali się szerokimi i wyciszonymi nawami Poet's Corner, odczuwając należny temu miejscu podziw i szacunek. Statkiem rzeczonym pojechali Tamizą do Hampton Court, gdzie w wysokim i chłodnym pokoju była przekonana, że odczuwa obecność niesławnej Anny, żony Henryka VIII. Byli w teatrze na przedstawieniu „West Side Story”, po którym chciało jej się beczeć, ale on tylko uśmiechnął się, pokręcił głową i całował ją długo, długo, bardzo długo. Kochali się każdego dnia i każdego wieczora, i każdej nocy, i wyczerpani leżeli później w swoich objęciach. To była miłość — czyż nie tak?

Zaraz jednak opadły ją myśli o tych innych chwilach,

kiedy wyjechał i tak szybko odszedł z jej życia, chwilach pustki i żalu, pożądania i bolesnej udręki, a nawet strachu i nienawiści. Zacisnęła z całej siły oczy przypominając sobie szczególnie jeden z telefonów do niego, wpraw do Waszyngtonu, a w końcu do domu, i miękkie brzmienie kobiecego głosu, pytającego, z kim rozmawia. Dawne, odległe czasy, które złamały jej duszę, jeśli już nie serce.

Stopy Elizabeth kroczyły wąską ścieżką pomiędzy, w większości, starymi nagrobkami — starymi kamiennymi płytami nierzadko pokrytymi zbutwiałym mchem, ze zwietrzałymi i zatartymi cyframi i literami — którym nikt nie okazywał już troskliwości. Ten, którego ona szukała, zajmował bardzo małą przestrzeń; wciśnięto go pomiędzy dwa inne groby, jeden rodzinny, ogrodzony niegdyś czarną, zgrabną balustradą, a drugi jakiegoś bardzo dawno zmarłego człowieka, urodzonego w roku 1806. Zwolniła, zbliżając się do dobrze zapamiętanego miejsca. Objęła wzrokiem nagrobek i pomyślała sobie, że matka musi go często odwiedzać, ponieważ znajdujące się na nim pomarszczone i omdlałe już kwiaty nie mogły mieć więcej niż kilka dni. Ukochana Susan Victoria, cztery tygodnie i sześć dni, urodzona 9 listopada 1985 roku.

Była drobinka, tak maleńka, że Elizabeth nie mogła uwierzyć, iż w ogóle udało jej się przetrwać mękę przyjścia na świat. Skurcze zaczęły się nagle i to od razu na poważnie, i nikt, lekarz czy nie lekarz, nie był w stanie powstrzymać porodu Susan o szesnaście tygodni za wcześnie, mimo to i tak udało jej się przeżyć prawie całych pięć tygodni. Elizabeth wyprostowała się. W jej pamięci zachowały się nadal świeże wspomnienia rozpacz i pustki: pięciu bolesnych, bezlitosnych tygodni, kiedy jej życie zatrzymało się w miejscu i kiedy nienawidziła Karla. Susan zmarła na infekcję płuc. Kiedy jej cierpienia skończyły się już, wyciągnięto ją z ochronnej, gumowej izolacji, odłączoną od szklanych butelek i sterylnej czystych rurek, i wtedy po raz pierwszy mogła ją wziąć na



ręce. Śliczne maleństwo, biedne śliczne maleństwo. Można było powiedzieć, że w pewien sposób Susan postarała się, aby nie komplikować przyszłości Elizabeth. Postarała się, żeby nie ograniczać jej wolności; żeby mogła zacząć życie na nowo, jak gdyby tego dziecka nigdy nie było, jak gdyby w jej życiu nigdy nie było Karla. Elizabeth z pogardliwą nienawiścią traktowała to najbardziej ukryte w zakamarkach jej duszy uczucie ulgi, że pozbyła się kłopotu.

Wciągnęła długi, urywany oddech i głębiej wbiła ręce w kieszenie kurtki poczuwszy nagły chłód. Nikt o tym nie wiedział, nikt prócz rodziców — ani John, ani tym bardziej Karl, a jak okropnie chciała mu to powiedzieć! Jak bardzo chciała wylać z siebie ten ból, pozbyć się tego żalosego dziedzictwa, które jej zostawił. Ale nie zrobiła tego, i nawet teraz, z niezrozumiałych względów, nie mogło jej się to precyzyjnie przez gardło, mimo iż teraz kochał ją, naprawdę ją kochał. To tak, jakby dostała im się od losu jeszcze jedna szansa.

Zadrzała znalazłszy się nagle w przesuwającym się obojętnie po ziemi szerokim cieniu. Spojrzała w górę — przez tarczę słońca przesuwawa się chmura, dalej było ich jeszcze więcej: potężne galeony o mlecznoperłowej barwie płynęły spokojnie po niebie. Wkrótce będzie padało, i to mocno, ale jej ojciec powiedział: „deszcz jest nam teraz bardzo potrzebny”. Zmarszczywszy lekko brwi spojrzała znów na nagrobek i więdnące na nim kwiaty. Nic z sobą nie przyniosła, ale wróci tu później, może nawet jutro z rana, po deszczu, gdy opuści ją choć trochę ten wracający jak refren smutek i znów będzie sobą.

— Sądziłam, że rzuciłaś palenie?

Z ledwie maskowaną niecierpliwością Kristina odwróciła się do matki.

— Tylko jeden, matko.

— Wystarczy już jeden, z tego co wiem.

Kristina prychnęła z lekką pogardą, zastanawiając się, kto, do cholery, jej to powiedział — bo chyba nie Vater Boeckl, czy stara Tante Lilibet, czy jeszcze jakiś inny wiekowy autorytet jej matki. Westchnęła w duchu. Prawdopodobnie przeczytała to w jednym z tych „dekadenckich czasopism”.

— Chciałabyś trochę wina, matko?

— Nie, dziękuję.

— Ale przecież lubisz napić się kieliszek przed kolacją... — Sama nalała sobie następny kieliszek, pragnąc, żeby Sam wreszcie już przyszedł, i zastanawiając się, dlaczego się spóźnia. Ani na moment nie przestawała się zastanawiać. — To ten niemiecki Mosel, który tak bardzo ci przypadł do gustu.

— Bernkastel?

— Tak.

— No... to może odrobinę.

Kieliszek wina zawsze łagodził nastrój matki, mimo że oburzyłaby się, gdyby ktoś stwierdził, że w ogóle dotyka alkoholu. Czasami, gdy wypiała nieco więcej niż zwykle, mówiła do Kristiny *liebling*, co zawsze przyprawiało ją o skurcz w gardle.

— Spóźnia się.

— Kto?

— Nie udawaj głupiej... wiesz, o kim mówię. Kristina upiła spory łyk wina i zerknęła na matkę.

— Powiedział, że będzie po ósmej.

— A jest prawie dziewiąta.

— Wiem, matko.

— Może już nie przyjdzie.

— Może.

— Podoba ci się bardzo, prawda?

— Jest miłym mężczyzną.

— Jest dużo miłych mężczyzn. Kristina zdusiła irytację.

— Czy jego żona jest ładna?

— Nigdy jej nie widziałam.

— On wróci do niej, zapamiętaj moje słowa. Kristina przyglądała się swojemu kieliszkowi.

— Wydaje mi się czasami, matko, że chcesz mnie za wszelką cenę zranić.

— To nieprawda.

Kristina wzięła następny łyk wina do ust.

— To nieprawda, Kristino... — powtórzyła. — Ale nie mogę się obojętnie przyglądać, jak topisz swoje uczucie w człowieku, który w końcu i tak cię zostawi.

— Skąd możesz wiedzieć, posługujesz się kryształową kulą?

Matka pokręciła głową z wyższością i właśnie miała odpowiedzieć, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Kristina podskoczyła z biciem serca. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu.

Sam stał w drzwiach, z lekko zaczerwienionym nosem od zimnego, wieczornego powietrza. Uśmiechnął się i z przeprosinami za spóźnienie wręczył jej prześliczną bombonierkę mikroskopijnych czekoladek.

Kristina uśmiechnęła się szeroko i lekko pocałowała go w policzek.

— Tylko wezmę płaszcz.

Odprowadził ją wzrokiem, gdy biegła po schodach na górę, a następnie zaczął się rozglądać po przedpokoju, dostrzegając ciemne, stare malowidła w grubych, połączonych ramach, nieco wyleniały perski dywan i zszarzałe tapety o przygnębiającym, burgundowym kolorze. Niczym w muzeum.

— Proszę wejść.

Zamrugnął zaskoczony na widok pojawiającej się w otwartych drzwiach pokoju matki Kristiny. Z wyciągniętą ostrożnie do przodu ręką opierała się dla pewności na grubej, dębowej lasce ściskanej w kościstej dłoni.

— Dziękuję. — Wszedł do ciepłego, oświetlonego przedpokoju, dostrzegając w jej oczach ledwie ukrywaną niechęć.

— Nie zajmie jej to długo... mogę pana zapewnić — powiedziała ostrym tonem sarkazmu. — Zachowuje się tak w stosunku do wszystkich swoich mężczyzn, entuzjastycznie.

— Aha. — Przełknął ślinę. Cóż za wiedźma.

— Jest pan Amerykaninem?

— Tak.

— Żydem amerykańskim?

Aha. To o to chodzi. Uśmiechnął się.

I— Tak.

Kiwnęła głową, a później kiwała nią raz za razem, jakby nie mogąc powstrzymać tego ruchu.

— Ściśle mówiąc, jestem pochodzenia niemiecko-żydowsko-amerykańskiego... — Niech ma, niech się tym udławi.

— Z jakiej części Niemiec?

— Z Berlina, ale później matka wraz z mężem przeprowadziła się do Wiednia.

— Kiedy wyjechali z Wiednia?

— W 1945, przynajmniej moja matka.

Z wysuniętą do przodu drżącą dolną wargą utkwiała w nim zawzięte spojrzenie — W 1945? — Powtórzyła z nutką niedowierzania w głosie. — Gdzie w 1945?

— Gdzie — ale co?

— Gdzie mieszkała w Wiedniu? — spytała niecierpliwie.

— Wtedy nie mieszkała w Wiedniu, tylko w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, jeśli chce pani nazwać to „mieszkaniami”.

Wyraźnie zeszywniała na dźwięk tych słów, które w ciemnej, dusznej atmosferze przedpokoju rozległy się jak wystrzał, i Sam z utęsknieniem czekał, aż się odwróci i wyjdzie przerywając ten niepożądany przez niego wywiad. Odetchnął z ulgą słysząc na schodach kroki Kristiny.

— Matko? — Serce przestało jej na moment bić. — Nie powinnaś ruszać się od ognia, przeziębisz się.

— Jak długo mogła tu sterczeć? Co mogła powiedzieć Samowi... co takiego? Nie dość, że miała na głowie tę jego przekłątą ślicznotkę żonę, to jeszcze jej matka musiała się wtrącić. Zerknąwszy szybko na twarz Sama mogła sobie wyobrazić, o czym rozmawiali.

— Będziesz późno? — Spytała w końcu stara kobieta, podczas gdy Sam pomagał Kristinie nałożyć płaszcz.

— Matko, proszę.

— Mam nadzieję, że jest pan dobrym kierowcą? — spytała przewiercając go wzrokiem.

— Och, my Żydzi we wszystkim jesteśmy dobrzy... — Uśmiechnął się do niej z drwiącym spojrzeniem. — ...I przez to zawsze pakujemy się w same problemy.

Kristina spojrzała na niego oszołomiona, posłała matce nikły uśmiech i szybko zamknęła drzwi, za sobą i patrzącą za nimi jej matką.

Gdy już Augustina przekonała się, że ich kroki milkną nieodwołalnie w dali, pokuśtykała w stronę schodów i z trzęsącą się głową i drżącymi rękami zaczęła się wspinać po szerokich drewnianych schodach. Przez krótką chwilę poczuła się nagle bezradna i opuszczona, zastanawiając się, czy nie umrze właśnie tej nocy, kiedy Kristina bawiła się poza domem z tym nowym mężczyzną, a więc musiałaby umierać samotnie. Przecież mogło się tak zdarzyć każdego dnia, każdego dnia starzała się coraz bardziej i bardziej; stawała się zasuszoną mumią. A przecież kiedyś była piękną, prawdziwą piękną, za którą uganiali się mężczyźni. I nawet kiedy odszedł Cesarz — niech spoczywa w pokoju — i nadeszły ciężkie czasy, nadal było dość wesoło, nadal odbywały się przyjęcia, na których można się było pokazać w przepięknych sukniach. Później jednak wyszła za Klause i momenty radości zdarzały się trochę rzadziej, lecz nie był to koniec bogactwa i splendoru starego Wiednia... to więcej niż pewne.

Z krótkim, przerywanym oddechem wspięła się na na-

stepny stopień. Zdała sobie nagle sprawę, że tak naprawdę jej śmierć nie sprawi nikomu różnicy, a już najmniej jej samej, ponieważ jej prywatny świat teraz, to przemieszanie starego Wiednia z nowym, niepokoił ją, nie czuła się w nim szczęśliwa. Nie miała najmniejszej ochoty spędzić reszty swoich dni na przesiadywaniu w Stadtparku z innymi osobami w jej wieku, rozprawiając o łamaniu w kościach czy wnukach, których ona nie miała i przypuszczalnie nigdy nie będzie miała. Oczywiście, można jeszcze było rozmawiać o świetlanej przeszłości — nieodmiennie odległej w czasie — złotej przeszłości, która nie przestawała przesycać atmosfery tego starego habsburskiego miasta, niczym duszący zapach wietrzejących perfum. Ale wszystko uległo tak dokładnej i bolesnej zmianie, że nie zawsze była w pełni przekonana, czy warto dalej żyć w takich czasach, tak otepiających i chaotycznych, gdzie nie było już podziału na białe i czarne, gdzie wszystko stopiło się w jedną szarą barwę o różnych odcieniach. Przedtem, w dawnych czasach, sprawy wydawały się o wiele prostsze, każdy znał swoje miejsce, ludzie nie wazyli się przekraczać wyraźnie zakreślonych granic, wchodząc na obce sobie obszary. Jak Sam.

Dotarła wreszcie do końca schodów uśmiechając się pod nosem. Jeśliby miała umrzeć tej nocy, to przynajmniej w trakcie jedzenia słodczy Kristiny od Altmanna & Kuhne, które należały do jej ulubionych — przynajmniej w tym Sam nie dał dojść do głosu swojej oszczędnej, żydowskiej naturze. Przystanąła na chwilę łapiąc powietrze, a następnie przekroczyła próg sypialni Kristiny, gdzie na jedwabnej narzucie leżało prowokująco wąskie pudełko czekoladek, przewiązane szeroką wstążką zakończoną imponującą kokardą. Chciwym spojrzeniem ogarnęła cały pokój. Na nocnej szafce leżał stos czasopism. Augustina uśmiechnęła się, wieczór wcale nie będzie znowu taki nieudany, jak początkowo sądziła, nawet gdyby Bóg miał ją zawezwać dziś do siebie.

W panice uniosła oczy w górę, robiąc na piersi szybki znak krzyża, jak gdyby Jego gniew mógł ją dopaść tu i teraz za jej płocze myśli. *Mein Gott... mein Gott, nicht nun... noch nicht, noch nicht, nicht allein\**.

Kristina nie mogła się skoncentrować na wielkiej bia-ło-złotej karcie. Spojrzała pytająco na Sama.

— Co mówiła?

— Kto?

— Moja matka. — Westchnęła do siebie. — Wiem, że coś ci powiedziała, a więc mógłbyś mi powiedzieć co.

— Chyba nie darzy mnie szczególną sympatią.

— Ale co powiedziała, Sam?

Uśmiechnął się, dziwnie rozluźniony, że mogli nie zajmować się Natalie.

— Nie sądzę, żeby aprobowała moją religię.

— O Boże...

— Spokojnie, wszystko w porządku.

— Ależ nie jest wszystko w porządku — Zacisnęła piekące powieki. —

Nie czuje się szczęśliwa... — Kristina usiłowała znaleźć odpowiednie

słowa. — Rozczarowałam ją, zdaje się, że rozczarowała się wszystkim i

wszystkimi. — Ale przede wszystkim mną, pomyślała. — A więc wini za to cały świat.

— Chyba nie najłatwiej się z nią mieszka.

— Nie — odparła z gorzkim uśmiechem.

— Mieszkacie tylko we dwie?

— Tak. Ojciec zmarł ponad dwadzieścia lat temu. Jestem jedynaczką, przy tym dość niespodziewaną — matka zaszła w ciążę, kiedy miała czterdzieści cztery lata.

— A oni oczywiście chcieli syna.

— Oczywiście. — W jej uśmiechu pojawił się ślad smutku. — W tamtych czasach, i to nawet po wojnie,

\* Mój Boże... mój Boże, nie teraz... jeszcze nie, jeszcze nie... nie samotnie.

w takiej rodzinie jak nasza takie pragnienie i inne podobne były czymś najbardziej naturalnym.

— Ile lat ma teraz?

— Osiemdziesiąt dwa.

— Prawdziwa wiedenka.

— To znaczy?

— Urodzona jeszcze za czasów imperium.

— Chylącego się już wtedy ku upadkowi, Sam. Wręcz na ich oczach i na oczach starzejącego się, autokratycznego cesarza Franciszka Józefa. Co nie przeszkadzało, żeby Opera była pełna każdego wieczora; nadal zajeżdżały przed nią powozy z pięknymi paniami, i paniami w szykownych mundurach armii cesarskiej. Mężowie i kochankowie. Złota młodzież, w bardzo szerokim znaczeniu, nadal przesiadywała w eleganckich kawiarniach pod rzeźbieniami i kandelabrami, jak gdyby ich świat miał t.wać wiecznie, jak gdyby blichtrowa fasada nigdy nie miała ulec pęknięciu i wykruszeniu, ponieważ świat należał do nich i ponieważ świat im zazdrościł. W końcu jednak to kruche poczucie wyższości odizolowało ich od tego świata, zmieniło przepiękne oblicze miasta w coś obrzydliwego i okrutnego. To był koniec.

— Och, oczywiście, wiem, ale samo urodzenie się w tamtej atmosferze nie mogło należeć do najprzyjemniejszych doznań, a później obserwowanie, jak wszystko rozpada się i wreszcie umiera.

— Sam, Sam... — Potrząsnęła głową z łagodną irytacją. — Zbyt wiele masz w sobie uprzejmości.

— Cóż, w jakimś sensie to może wyjaśniać jej charakter.

— W jakimś sensie tak. Ale tylko w jakimś sensie.

— Wydajesz się dość nieprzejednana w stosunku do swoich rodaków — zauważył ze zdziwieniem.

— W świetle tego, co się działo w przeszłości, to chyba zdrowe podejście.

— Może i masz rację. — Na myśl o matce poczuł



znajomy ucisk w żołądku. O niej i o niezliczonych innych. —

Rzeczywiście masz chyba rację.

Poruszył ją rysujący się na jego twarzy smutek. Miała ochotę przechylić się nad obrusem i sztućcami i wygładzić tę zmarszczkę na jego czole, jak gdyby wierzyła, że może to sprawić już samo jej dotknięcie. Był taki miły, taki uprzejmy, wręcz zbyt miły i zbyt uprzejmy — łatwo go można było zranić, o czym Natalie wiedziała oczywiście aż zanadto dobrze.

Odwracając wzrok ponownie skupiła swoją uwagę na menu, przestraszywszy się nagle tego, co jej się cisnęło na usta, ponieważ poczuła nagle w piersiach ciężar, ciężar pełen znaczenia, którego nie chciała jednak akurat teraz analizować; nie tutaj, w świetle kryształowych żyrandoli, gdy patrzyła w mądre, życzliwe oczy Sama.

— Budapeszt znów budzi się do życia, Lauro. Jechali przez centrum miasta do hotelu. Ralf zerknął na

nią i wyciągając szybko rękę pocałował koniuszki jej palców.

— Widzę, że sprawia ci to radość. — Wnioskowała to z jego zachowania przy wjeździe do miasta.

— Myślę, że wielu innym również — powiedział nieco ostro. Cóż ona mogła wiedzieć o represjach, głodzie czy strachu?

— Na pewno, ale w twojej reakcji wyczuwa się coś bardzo osobistego.

— Nie sędzę.

Urodził się tutaj, dawno, dawno temu. Reszta Europy Wschodniej mogła iść do diabła, ale nie Węgry.

Nagle puścił jej rękę. Zaskoczona nie wiedziała, czym go mogła urazić.

Skrećili. Siedziała w milczeniu, póki nie wyrósł przed nimi witający ich Hyatt, nowoczesny, wielopiętrowy hotel zbudowany nad Dunajem.

Poczuła, że przechodzi jej uraza i złe samopoczucie, tym bardziej że zaraz, jak tylko

zaparkowali, Ralf nachylając się pocałował ją w nos i w usta.

— Nie chciałem ci zepsuć nastroju.

— Co takiego powiedziałam?

— Ty nic nie powiedziałaś, to chodzi o mnie — i stare wspomnienia. — Pocałował ją znów i z zadowoleniem stwierdził, że się coraz bardziej rozjaśnia. Już czas najwyższy, że ją tu przywiózł, ponieważ zaczęła zadawać coraz poważniejsze pytania, a odwzajemnianie takich pytań absolutnie nie leżało w jego naturze, podobnie jak dawanie jej uspokajających odpowiedzi, których najwyraźniej oczekiwała. Ponadto jej nieśmiała próba sondowania go pytaniami zniecierpliwiła go, a nawet wyprowadziła z równowagi. Zesztywniał, ponieważ jego napady złości były jak nagły grom. Amerykanie powiedzieliby, że jego charakter można porównać do beczki z prochem; ale jeśli chodzi o Laurę, trzymał się w ryzach, no i ten teatr nie miał już długo trwać.

— Przepraszam — powiedziała cicho, mylnie biorąc jego napięcie za smutek.

— Nie ma za co, to była moja wina. — Uśmiechnął się. — Zapomnijmy o tym. Trzeba się tylko zameldować, wszystko pozostałe już załatwiłem. — Wysiadł z samochodu. — Oczywiście nadal masz zamiar odwiedzić swojego wuja?

— Tak, muszę, mój ambasador mógłby to sprawdzić, jako że porozumiał się już z wujem Phillipem — przyznała z westchnieniem. — I nie mogę powiedzieć, żebym podskakiwała z radości na myśl o spotkaniu z nim. Mało powiedzieć, że jest nudziarzem, jest nadętym nudziarzem. A tak swoją drogą, nie widziałam go od siedmiu lat.

— A więc tym bardziej masz powód, aby go odwiedzić — odrzekł z ulgą.

— Jestem pewny, że spodoba mu się to, co zobaczy — powiedział z szerokim uśmiechem, a ona zapłonila się niczym pensjonarka. W jego uśmiechu było coś, od czego zabrakło jej tchu, i nagle zapragnęła jak

najszybciej *znaleźć* się w ich pokoju, zamknąć za sobą drzwi. On jednak zatrzyma! ją, gdy wychodzili z podziemnego parkingu, i wzięwszy pod ramię przeprowadził przez wąską drogę, nad brzeg rzeki.

— To prawy brzeg Dunaju — wskazał na drugi brzeg — i Buda, stara stolica. My stoimy na brzegu wschodnim, w Peszcie, który wyznacza granicę Wielkiej Niziny Węgierskiej.

Podążyła za jego dziwnie dumnym spojrzeniem w kierunku położonego na wyższym brzegu starego miasta z jego bajkowym pejzażem wieżyc kościelnych rysujących się na tle nieba.

— Możemy się tam przespacerować?

— Tak, może jutro. Przejdziemy przez most Łańcuchowy, zaraz za naszym hotelem — powiedział i w następnej chwili prychnął z oburzeniem.

— Co się stało?

— Spójrz na tę pokraczną sylwetkę hotelu Hilton, po drugiej, zachodniej stronie rzeki — pasuje tu jak kwiatek do kozucha. Jeszcze jeden amerykański hotel, jeszcze jedno monstrum ze szkła i betonu zbudowane przy ruinach trzynastowiecznego klasztoru Dominikanów. Czy ci ludzie poszaleli?

Stał nieruchomo z pociemniałą twarzą, z napiętymi mięśniami karku i żuchwy, które jakby za chwilę chciały przebić mu skórę.



Hyatt był wspaniałym hotelem, jak na warunki Bloku Wschodniego. Laura niemal otworzyła usta ze zdumienia, kiedy szklana winda unosiła ich coraz wyżej, a ludzie w foyer stawali się coraz mniejsi. Nim na dobre zaczęło jej się kręcić w głowie, drzwi windy rozsunęły się i zobaczyła przed sobą wnętrze w kształcie przedsionka serca, z kilkoma umieszczonymi jeden nad drugim balkonami roślin,

tak że całość przypominała jakiś przepyszny egzotyczny ogród.

— I co ty na to? — spytał Ralf wchodząc do apartamentu i rozkładając szeroko ręce.

— Wspaniale... — odpowiedziała, pozerając wzrokiem wykwintne meble, grube, miękkie poduszki, pucharki wypełnione słodyczami i owocami, butelkę szampana czekającą na otwarcie w niezwykle okazałym barku, kwiaty w celofanie i ogromny bukiet czerwonych róż.

— Och, Ralf, naprawdę, nie musiałeś...

— Ale chciałem i tak niech zostanie.

Stał w środku pomalowanego na beżowo pokoju, i Laura przyglądając mu się wyczuwała w nim napięcie i że powtórnie, nie wiadomo dlaczego, to ona stała się jego powodem. Zbliżyła się do potężnego panoramicznego okna i w ciszy zapatrzyła się na brązowoszary Dunaj i wspaniałą pałac królewski stojący na wprost niej na wzgórzu po drugiej stronie rzeki, nie mogąc zrozumieć, dlaczego poczuła się nagle tak strasznie samotna i nie na miejscu.

— Przepraszam... przepraszam, Lauro — wyszeptał i znalazł się za nią. Jego dłonie przesunęły się po jej rękach, ramionach i wreszcie zrećźnie ześliznęły się w dół, pod kurtkę, zamykając się na jej piersiach. — Przepraszam raz jeszcze. Jestem zmęczony, to wszystko... — Zaczął całować jej kark, delikatne płatki uszu, dotykając ich językiem, aż z jej ust wyrwał się leciutki jęk i wreszcie odwróciła się do niego.

— Miałem zamiar wziąć cię na koktajl... — zamruczał, kiedy przywarła do niego, i wbrew sobie poczuł narastające podniecenie. — Ale może w zamian dam ci malutki przedsmak tego, co cię czeka. Przyparł ją do okna i podniósł jej spódnicę, tak że jego dłonie mogły teraz swobodnie pieścić jej uda i brzuch. Raptownie odwrócił ją brutalnie tyłem do siebie i jej ręce wylądowały na oknie, spoza którego wyzierała do niej panorama miasta.

— Piękny widok, prawda, Lauro...? — wydyszał. Jego dłonie ześlizgiwały się coraz niżej. — ...Piękny.

— Nie w tym miejscu, Ralf, nie przed oknem... proszę. — Zdawało jej się, że to tak, jakby kochali się publicznie, pod gołym niebem, między pałacem i rzeką, pośród przechodniów na ruchliwych ulicach, tam w dole. — Ciiii... Zostaw to mnie, zostaw to mnie — powtarzał. — Rozluźnij się, Lauro, taak, jeszcze.

I oczywiście rozluźniła się, bo w końcu zawsze miał to, czego chciał. Kobiety podporządkowywały mu się, robiły dokładnie to, czego chciał. Bez wyjątków.

— Nie przed oknem... — powtórzyła słabo, choć wiedziała od razu, że jest już za późno. Wydała z siebie krzyk, wpierw szoku, a później palącej rozkoszy, kiedy rozchyliwszy jej uda zaczął dotykać jej aksamitnego ciała. Zagryzła wargi, gdy zmienił za nią pozycję, czekając na ból i rozkosz. Na próżno, Ralf nie wszedł do niej, ale dalej ją pieścił, coraz szybciej i szybciej, aż nie spełnione oczekiwanie i niespiesznie rosnąca przyjemność zaczęły wypełniać każdy milimetr jej ciała. Nadal nie miała go w sobie, gdyż była to gra, gra, w którą tylko on grał, i to tylko według ustalonych przez siebie reguł, jej zaś nie pozostawało nic, jak tylko poddać się rodzącemu dreszcz rytmowi, który narastał w niej coraz bardziej, przechodził wyżej i wyżej, jak gdyby chciał sobie podporządkować nie tylko jej ciało, ale i umysł. Otworzyła usta i gdy z jej gardła zaczął dobywać się krzyk, Ralf nagle i brutalnie przygwoździł ją do szyby, tak że jej krzyk został zduszony, zakneblowany, i swoje uniesienie przeżywała samotnie i w ciszy, z nosem i policzkami rozplaszczonymi na szybie, białymi z braku dopływu krwi, obrzydliwymi.

— Gdzie są moje złote spinki, Genevieve? — Przesuwając stertę jedwabnych chusteczek na jedną stronę, Felix zaczął układać na komodzie skórzane i zamszowe futeraki, jeden na drugim. — Genevieve?

— Które złote spinki? — spytała i zdenerwowana stanęła w progu sypialni, patrząc, jak przetrząsa szufladę za szufladą.

— Te, które kupiłem w Nowym Jorku, u Tiffany'ego — z małymi rubinami.

— Przykro mi, Felixie, ale naprawdę nie mam pojęcia. Kiedy używałeś ich po raz ostatni?

— Dobry Boże, skądżeż mogę to pamiętać?!

— Nie możesz wziąć innych?

— Nie! — Wyszczał. — Barwa rubinów doskonale pasuje do czerwonego, jedwabnego krawata, który mam ochotę dziś włożyć. Poczekaj, ja zobaczę. Skłonił szorstko głowę, kiedy przeciskała się koło niego, i stanął przed lustrem.

— Zostaje nam coraz mniej czasu.

— Mamy jeszcze pół godziny, Felixie.

— Tak, ale musimy wziąć pod uwagę korki na ulicach i czas na znalezienie miejsca na zaparkowanie.

— Wzięłam już to pod uwagę — i tak zostaje nam pół godziny.

— To dobrze. — Zdecydowanym ruchem obciągnął marynarkę, z uwagą przyglądając się swojemu obliczu. — To jak mówisz, jaka to opera?

— „Salome”.

— Niech będzie. Mam nadzieję, że ta jej wersja będzie nieco żywsza niż ostatnia. — Westchnął ciężko. — Ale przynajmniej to Strauss i coś się w niej dzieje. — Myślał o „Salome”, którą widzieli jakieś dwa lata temu; aktorka grająca główną rolę była niezmiernie atrakcyjna i nawet — zamiast używać dublerki — sama zatańczyła w Tańcu Siedmiu Zastłon, i nie miała prawie nic na sobie. W duchu Felix był zachwycony.

— Proszę, twoje spinki, Felixie. — Genevieve wyciągnęła je z futeralika zrobionego z kozłej skóry. — Musiałeś je tu włożyć przez pomyłkę...

— Czy Gunther będzie dziś wieczorem? — spytał zupełnie ignorując jej uwagę.

— Tak, tak mi się wydaje.

— To dobrze, nie lubię zostawiać domu bez opieki, stwarza to zbyt wielką pokusę dla włamywaczy.

Genevieve pomyślała natychmiast o Sophii, ponieważ córka zawsze była na miejscu i nigdy nie musieli się martwić. Westchnęła, bo przypomniała sobie też sprawę ze zdjęciami; jeszcze nie powiedziała Felixowi.

— Felixie... — Poczuli się nagle głupio i zdenerwowana.

— Tak, o co chodzi? Wciągnęła głęboko powietrze.

— Zauważyłam, jak Gunther oglądał pewne zdjęcia...

— Zdjęcia? — powtórzył niewyraźnie, zajęty spinkami.

— Tak. — Bez widocznego powodu wygładziła sukienkę. — I nie były najsztudniejsze.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Spuściła oczy pod jego wzrokiem, gdy się obrócił.

— Były na nich dziewczyny, bardzo roznegliżowane. Felix roześmiał się na siłę.

— Chłopcy już tacy są i będą, moja droga, musimy pogodzić się z tym, że Gunthera interesują takie rzeczy. — Przerwał i patrząc na nią uważnie, dodał: — To zdrowe, Genevieve, możesz mi wierzyć.

— Może... — wyjąkała. — Ale nic coś takiego. — Wyciągnęła fotografię ze schowka, zza obrazu przedstawiającego ich zamek w czasie słonecznego lata, i podała ją mężowi. Felix aż zachłysnął się powietrzem i do twarzy napłynęła mu krew. Z fotografii spoglądała na niego znajoma twarz dziewczyny.

— Skąd je ma? — wykrztusił w końcu. Genevieve z ulgą stwierdziła, że był równie zaszokowany co ona.

— Stał u ciebie w gabinecie, kiedy go zobaczyłam.

— Co tam robił? — zapytał ostrożnie.

— Nie wiem, faktem jest, że stał przy oknie, pewnie

z powodu lepszego światła. — Spojrzała na swoje dłonie. — Było ich więcej, Felixie, i większość była podobna do tej. — Podkreśliła słowo „tej”, jak gdyby napawało ją wstrętem i obrzydzeniem.

— No to, oczywiście, porozmawiam sobie z nim. — Z bardzo niewygodnym uczuciem zamknął na chwilę oczy. To była Doris. Miał z nią krótki romans, może jakieś dwa miesiące temu. Pracowała jako pomoc kuchenna w lokalnej firmie, Viktors, zajmującej się organizacją przyjęć, i Felix zobaczył kiedyś jej obfite kształty podczas przyjęcia u jednego ze swoich przyjaciół, kiedy przechodząc przez hall zerknął do kuchni. Doris po prostu uśmiechnęła się do niego, a on oddał jej uśmiech. Była szczególnie chętną dziewczyną, chętną do zrobienia wszystkiego, o co ją prosił, łącznie z pozowaniem do zdjęć. Sądziła, że się w niej zakochał, biedna gęś, pisała nawet do niego zawzięte toporne listy miłosne, które stawały się jednak czasem jaśniejszym momentem w ciągu jego dnia. Zdawał sobie sprawę, że był jednym z bardzo nielicznych mężczyzn, którzy w ogóle zwróciliby uwagę na taką kreaturę, ale dla niego nie miało to specjalnego znaczenia; okazywała wdzięczność za poświęconą jej uwagę, Felix wyświadczał jej swego rodzaju grzeczność. Oczywiście, nie była taka jak Eva, ale miała swój własny, prymitywny wdzięk — była czymś w rodzaju „brzydkiego” sekretu, czegoś niewskazanego, czego nie powinno się dotykać, czegoś nie akceptowanego w „dobrych” kręgach towarzyskich. I to właśnie sprawiało, że obcowanie z nią i uprawianie seksu stało się tak ekscytujące. No i ta jej ochoczość. Nieczęsto do niej dzwonił, może jeszcze rzadziej ją widywał, ale zawsze była pod ręką. A teraz dowiedział się Gunther. Zaklął pod nosem zastanawiając się, czy to bogowie w niebiesiech dają mu jakieś ostrzeżenie.

Nie uporał się jednak z tym problemem, w jego myśli wdarł się bowiem dzwonek telefonu.



— Ja odbiorę, Felixie — zaproponowała Genevieve, szczęśliwa, że ma okazję wymknąć się z tej niezręcznej dla niej sytuacji.

To była Sophia.

— Kochanie! Cóż za niespodzianka... ale czy wszystko w porządku? — rzuciła szybko, pomyślała sobie bowiem, że musiało się stać coś złego, skoro Sophia nie dzwoniła o ustalonej godzinie.

— Oczywiście, oczywiście... — zapewniła ją i przerwała.

— O co chodzi, Sophio? — spytała Genevieve ostro. — Powiedz natychmiast, co się stało, tak?

— Nie, nie, mamó, nic złego. — Przerwała znów. — Po prostu zaoferowano mi stypendium.

— To cudownie.

— Oprócz mnie dostały je tylko dwie osoby.

— To chyba jesteś bardzo szczęśliwa...

— I związane jest to z wyjazdem, mamó.

— Z wyjazdem? — powtórzyła, jakby nie dosłyszała. — Dokąd?

— Do Stanów Zjednoczonych.

Genevieve znieruchomiała. — Kiedy, Sophio?

— We wrześniu.

— Aż tak szybko — powiedziała stłumionym głosem.

— To tylko na rok — uspokajała ją Sophia. — Tylko na jeden rok... aha, i dostanę, mamó, pięć tysięcy dolarów na częściowe pokrycie kosztów, a wuj Oskar obiecał sponsorować wszystkie moje dodatkowe wydatki.

Genevieve nie odpowiadała, bojąc się otworzyć usta. Już Monachium nie było najbliżej, a co dopiero Ameryka. Dla niej to były antypody.

— Chcesz porozmawiać z ojcem? — spytała Genevieve, czując nagle jego oddech na ramieniu.

— Nie... nie, ty mu to powiedz, mamó — odpowiedziała pośpiesznie Sophia.

— Tak... — wyjąkała — oczywiście.

— I zadzwonię do ciebie jutro rano, na dłuższą poga-

wędkę — powiedziała miękko. — Postaraj się choć trochę cieszyć, ze względu na mnie.

— Nie muszę próbować — skłamała Genevieve. — Jestem naprawdę bardzo, bardzo dumna.

— Dziękuję — odpowiedziała Sophia. — Muszę już kończyć. Wybieram się z koleżanką, żeby jakoś to uczcić, i już jestem spóźniona.

— Ależ oczywiście, jak najbardziej.

— I, mamoo...

— Tak?

— Kocham cię.

I już jej nie było. Przez dłuższą chwilę Genevieve stała przy telefonie, później powoli odłożyła słuchawkę i odwróciła się do męża.

Sophia otrzymała stypendium.

Domyśliłem się, że chodzi o coś w tym stylu. — Był zadowolony, że przynajmniej zainteresowanie jego żony odwróciło się od zdjęć Doris. — Domyślam się też, że mam być zadowolony.

— To poważne osiągnięcie.

— To strata czasu i tyle — stwierdził poirytowany. — Nawet gdybym zdecydował się pozwolić jej na to, z pewnością zetknie się z nieodpowiednimi ludźmi i zabałagani sobie tylko życie.

— Już je przyjęła, Felixie.

— Nie ma pieniędzy.

— Otrzyma je ze stypendium.

— Ale za mało, jestem pewien.

— Oskar obiecał pomóc w miarę potrzeby.

— Rozumiem — powiedział, mimo że przez chwilę gapił się na jej pobladłą twarz bez zrozumienia, wreszcie jednak uśmiechnął się. — Cóż, przynajmniej wskazuje to na zainteresowanie Oskara Sophią i doprowadzi do powstania jakichś konkretnych więzów pomiędzy nimi.

Genevieve nie odpowiedziała, bo wiedziała, że nie ma sensu się sprzeczać, a poza tym poczuła się nagle bardzo

znużona. Jego głos dochodził do niej z coraz większej oddali; myślała o Sophii, Ameryce i o mającej je dzielić coraz większej przestrzeni. Potarła czoło, gdyż ból głowy, który czaił się przez cały dzień w ukryciu, uderzył ją nagle z całą mocą. Poczowała drapanie w gardle, a jej oczy napełniły się łzami. Jedyne, na którą miała teraz ochotę, to płakać, płakać, płakać. Zbyt wiele działo się wokół niej, codziennie płakała, codziennie miotały nią, bez określonego powodu, drobne lęki i złe przeczucia, których obawiała się coraz bardziej.

— Jedzenie było pyszne — zachwycała się Kristina, podczas gdy Sam płacił. — Dziękuję.

— Zasłużyłaś sobie.

— Chętnie poprosiłabym cię do siebie na kawę, ale moja matka...

— Prawdę mówiąc, to ja cię zamierzałem zaprosić do siebie.

Uśmiechnęła się z ulgą.

Wychodzili z restauracji jako ostatni, ale gdy znaleźli się na wyłożonym płytami chodniku, na ulicach nadal było tłoczno.

— Turyści — zauważył Sam.

— Wkrótce Wiedeń będzie ich pełen.

— Nic dziwnego, to takie piękne miasto.

— To prawda — powiedziała niemalże sama do siebie; jednak oprócz miłości w jej stosunku do miasta było trochę nienawiści. Przez moment zastanowiła się, czy wynikało to tylko z jej przeszłych doświadczeń, które wlokły się za nią jak nieproszony cień.

— Hej... uśmiechnij się! — huknął na nią Sam obejmując ją jednocześnie ramieniem. — Możemy się przejść, a kiedy już będziemy u mnie, zrobię ci najwspanialszą kawę, jaką kiedykolwiek miałaś okazję kosztować!

Przytuliła się do niego i pomyślała, że po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czuje się tak swobodnie z męż-

czyzną, że tak jej jest dobrze i że chciałaby, żeby trwało to w nieskończoność. Jednakże stłumiła natychmiast tę myśl, ponieważ na razie niczego nie mogła spodziewać się od przyszłości, nie teraz, jeszcze nie.

Mieszkanie Sama było obszerne i wysokie. Gdy wchodziło się do głównego pokoju, w oczy rzucała się wielka biała ściana z zawieszoną na niej ogromną mapą świata. Było tam kilka szafek na książki, a po przeciwnej stronie pokoju ogromny mahoniowy stół przeznaczony dla większej liczby gości, który, jak podszeptował jej instynkt, rzadko był używany. Z głównego pokoju wychodziło się na mały taras pozbawiony jakichkolwiek upiększeń, z którego widok przysłonięty był częściowo przez szary, blaszany pochyły dach. Na ośmiobocznym stoliku do kawy leżało kilka magazynów, poczta oraz dziecięcy kubek, śliniak i nakładana na rękę kukielka zielonego krokodyla z jednym brakującym okiem. Od razu dało się zauważyć, że brakuje tu delikatnej kobiecej ręki, która by złagodziła spartańską surowość mieszkania. Ale w pokoju Sama było ciepło i przytulnie; stały w nim dość podniszczone sofy, ale za to przykryte głębokimi puchatymi poduszkami. Tu również były książki, ułożone na ściennych półkach, i zastanawiała się, kiedy Sam znajdzie czas, żeby je czytać. Na wąskiej podstawce stał w kącie model samolotu.

— Obawiam się, że nie urządziłem tego najlepiej jak można.

— Nie przypuszczam, żebyś miał na to czas.

— Czy też raczej inklinacje ku temu — przyznał szczerze. — Napijesz się kawy, czy może raczej czegoś mocniejszego?

— Bardzo chętnie koniaku, ale po tej obiecanej rewelacyjnej kawie.

— Już się robi. — Gdy zniknął z pokoju, podeszła do kominka i stojących na nim fotografii. Dwie z nich

przedstawiała jego córkę w różnych okresach, czarujące, śliczne dziecko o niezwykłym odcieniu zielonych oczu. To nie były oczy Sama, uświadomiła sobie natychmiast wzdrygnąwszy się lekko; odziedziczyła je pewnie po Natalie. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nie i wreszcie odłożyła fotografię na miejsce. Pozostałe były fotografiami jego rodziców — za szeroką srebrną ramkę jednego z nich wsunięta była miniaturka przedstawiająca jego matkę.

— Moja rodzina... — powiedział Sam wchodząc do pokoju z tacą.

— Bardzo sympatyczna.

— Tak. — Położył tacę i rozlał gorącą, parującą kawę do dwóch filiżanek. — Niestety, rodzice już nie żyją. Mama umarła kilka lat temu, a ojciec przeżył ją zaledwie o kilka miesięcy.

— To chyba było straszne przeżycie — ich śmierć, tak jedna po drugiej.

— Rzeczywiście. — Uśmiechnął się smutno. — Ale myślę o nich, szczególnie o mamie, bardzo często; była wspaniałym człowiekiem.

— A więc nie znała Joanny.

— Nie, ale znała Natalie.

— I...

— Oczy mojej matki mówiły bardzo wiele... rozumiesz? Jedno spojrzenie, jeden błysk oka dawał do zrozumienia o wiele więcej, niż gdyby miała to wyrazić słowami „nie podoba mi się”. — Popatrzył na jej twarz na fotografii. — Jednakże wtedy nie zwracałem na to uwagi, sądziłem, że jestem zakochany, naprawdę zakochany na zabój, po raz pierwszy w życiu.

— Cóż, jak to się mówi, wszyscy popełniamy błędy. — A to był błąd, Sam, pomyślała.

Przytaknęła i gdy spojrzała na niego, zastanawiała się, jak zamierza zmniejszyć ten dystans spowodowany ich uprzejmą konwersacją i co zrobi z oddzielającą ich tacą z kawą. Zaczęło jej teraz bardzo zależeć, żeby ich związek wzbogacił się również o fizyczną bliskość. Pragnęła zbliżyć się do niego i zdobyć jego ufność pod każdym względem, ponieważ instynktownie czuła, że jedną z atutowych kart Natalie był seks, jej ciało, i to tak długo pozwalało jej trzymać Sama przy sobie; rodzaj związku kata z ofiarą. Co zrobi Natalie, kiedy się zestarzeje, kiedy uroda i zmysłowość odejdą bezpowrotnie i staną się tylko czymś żalnym i

obleśnym? Uciekła jednak natychmiast od tej myśli, ponieważ zbyt boleśnie przypominała jej o własnym życiu, tym sprzed spotkania Sama. A jeżeli Sam dokona wyboru, i to nie tego, o jaki jej chodzi... co wtedy? Czegóż wtedy mogłaby jeszcze oczekiwać, na co liczyć? Czy przyjdzie taki dzień, kiedy jej jedynymi adoratorami będą ludzie pokroju tego spasionego greckiego dyplomaty, podrywającego hostessy na konferencji? Nie, do tego nigdy nie dojdzie, jakąś dumę przecież jednak miała, mimo że tak lękała się samotności, samotnej przyszłości. Brak mi dzielności, pomyślała ze wstydem.

— Ten samolot — spytała szybko próbując zagłuszyć swoje myśli — to hobby?

— Od czasu, jak byłem małym chłopcem.

— Dużo ich masz? — Podniosła kieliszek z koniakiem do ust, czuła, jak alkohol rozgrzewa ją i splukuje resztki czarnych myśli.

— Kilka wisi w moim gabinecie, ale większość trzymam nadal zapakowanych poza domem. Chciałabyś zobaczyć te, które mam?

— Tak, bardzo.

Gabinet wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała, prosty, ale wszystko w nim było funkcjonalne, prócz modeli samolotów zawieszonych pod sufitem na prawie niewidocznych nylonowych żyłkach.

— Obawiam się, że moja wiedza dotycząca samolotów jest raczej ograniczona.

— No cóż, jeśli naprawdę cię to interesuje...

— Tak, chętnie posłucham. — W rzeczywistości wcale tak nie było, ale zależało jej, aby się zrelaksował i na tyle rozluźnił, żeby mogła się przedrzeć przez ten ciągle dzielący ich dystans wzajemnego szacunku.

— Chciałabyś poznać historię tego tutaj? — spytał rozpromieniony wskazując na jeden z modeli.

— Z przyjemnością, Sam.

— To B 25 północnoamerykański Mitchell — pierwszy samolot, który dokonał bardzo niebezpiecznego nalotu bombowego na Japonię, startując z lotniskowca... — Obejrzał się na nią z uśmiechem. Skinęła głową. — Ten może nawet rozpoznasz, to Messerschmitt 109 E, brał udział w Bitwie o Anglię... A to cacko, chyba mój ulubiony, to Vickers Supermarine Spitfire Mark One, o trochę ograniczonych możliwościach technicznych, ale gdy był naprawdę potrzebny, spisywał się wyśmienicie... — ciągnął dalej, z wzrokiem utkwionym w opisywanym przez siebie modelu, lecz raptownie przerwał, zwracając się do niej.

— Starasz się jedynie być uprzejma, tak naprawdę nie chcesz, żebym opowiadał, nie myślę się?

— Ależ nie, naprawdę... — próbowała go przekonać, ale nagle zrezygnowała, ledwie powstrzymując chichot. — Och, Sam...

— Co takiego?

Ma miłą twarz, pomyślała, niezbyt może przystojną, ale inteligentną, spokojną, młodą, wskazującą, że w głębi duszy nie jest zepsuty.

— Nie chcę, żebyś opowiadał, Sam, chcę, żebyś się ze mną kochał. Znieruchomiał, a później odchrząknął, jakby mu coś bardzo przeszkadzało w gardle, ale opanował się i uśmiechnął do niej.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Sądziłem, że to zwykle mężczyźni mówią takie rzeczy.

— Hm, wydaje mi się, że brakuje ci być może trochę doświadczenia. Zaczerwienił się. — Skąd wiesz?

— Och, Sam... — westchnęła lekko.

— Za dużo mówię, prawda? Skinęła głową.

Popatrzyli sobie w oczy i poczuł w żołądku ucisk, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie zauważył, jak śliczne były jej czerwone usta, jej skóra o cudownej przyćmionej barwie, ciemne włosy, i wyobraził ją sobie bez ubrania, ciemne brodawki piersi... Znów się zarumienił.

— Moja sypialnia jest po drugiej stronie mieszkania, przy balkonie, z dala od pokoju Joanny... — Ulokował się tam nie przypadkiem, miał pewno nadzieję, ale tego jej nie chciał powiedzieć.

Leżała w chłodnej pościeli z oczami wlepionymi w sufit, czekając na Sama. Odwróciła głowę, by poprzez szklane drzwi balkonu móc spoglądać w ciemne niebo. Nie było widać gwiazd ani księżyca, a jedynie przewalające się pociemniałe chmury, które do rana gdzieś znikną. Sam guzdrał się trochę i zaczęła się denerwować, czując, że mija jej ochota, wreszcie jednak zobaczyła go w smudze światła dochodzącego z hallu; miał na sobie niebieski frotowy szlafrok przepasany luźno w pasie. Nie odezwała się, kiedy zdjął go z siebie i odkładając na krzesło wśliznął się do łóżka. Przełknęła powoli ślinę. Chciała tego, była pewna, że obojgu im to dobrze zrobi, teraz nie wiedziała jednak nagle, jak się zachować, czy się do niego przysunąć, czy też czekać w bezruchu. Jej instynkt jakby opuścił ją i siłą rzeczy pomyślała o Natalie, ona bowiem wiedziałaby doskonale, co robić.

— Wszystko dobrze? — doszedł ją szept Sama.

— Tak — skłamała.

— Czy mam zostawić światło? Och, Sam, Sam.



— Tak. — Chciała go widzieć, chciała być pewna, że to on, a nie ktoś inny, z tamtej czeredy z ich obojętnymi uściskami. Pomyślała o Manolo; owszem, oddała mu swoje ciało, ale przecież obiecywał jej księżyc i gwiazdy na niebie, a nawet to, że się dla niej rozwiedzie. We wszystko wierzyła. Co za kłamca, podły kłamca. A co by się stało z jego żoną? Tą kobietą czekającą na niego w domu? Pewnie była najzwyczajszą miłą kobietą, mającą swe własne najzwyczajsze nadzieje i marzenia. Kristina poczuła dreszcz, zastanawiając się, dlaczego nigdy wcześniej nie pomyślała o tamtej, nigdy, gdyż za bardzo zajęta była myślami o sobie. Jakiegoż bigosu mogła narobić.

— O co chodzi? — spytał łagodnie Sam. Na chwilę zacisnęła oczy.

— Nie wiem... ale to nie ma nic wspólnego z tobą. Nie chciał oglądać smutku na jej twarzy, chciał go jakoś zetrzeć, zmazać.

— Kocham twoje usta, Kristino. Czy mówił ci już ktoś, że masz śliczne usta?

Nagle zebrало jej się na płacz, ponieważ był taki miły a nie chciała, żeby był miły, nie chciała, żeby dostrzegł, jak po policzkach ciekną jej łzy, bo nie tak sobie wyobrażała uroczysty, niezapomniany moment uwiedzenia Sama.

— Hej, już dobrze, dobrze... — Zaczął gładzić ją po włosach, jak gdyby była dzieckiem. — Wszystko dobrze.

I wtedy pocałował ją. Pierwszy pocałunek był niepewny, następny już bardziej zdecydowany i odważny, gdy rozchyliła usta, pozbywszy się wreszcie spięcia; ich języki dotykały się coraz śmielej i łakomiej. Długie, długie sekundy zamieniały się w minuty. Nie przestawał jej całować, aż usłyszał krótki, nieregularny oddech i leciutkie pojękiwanie; ramionami przygarnęła go zaborczo do siebie. Czuła jego ciepłe, ciekawe jej ciała dłonie, zgadujące kształt jej ramion, piersi, krągłego brzucha. Czuła słodką rozkosz, gdy dotknął ustami jej chętnych, podnoszących

się ufnie sutek, i musiała zagłębić palce w jego włosach, nie będąc pewna, czy wytrzyma tę pieśczętę. Czuła jego wargi na swojej pachnącej skórze, coraz niżej i niżej, zbliżające się coraz bardziej do miękkiego futerka na brzuchu. Czuła przeszywający, paraliżujący ruch jego języka; wygięła się w łuk unosząc ku niemu biodra, aby wreszcie ją wziął. Ponieważ to był Sam, tylko Sam, i z tą chwilą wszystkie wspomnienia tamtych innych, brutalnych, beznamiętnych i rozpaczliwych związków zaczęły jej się powoli zacierać w pamięci, aż zniknęły na zawsze.

Christopher siedział w łóżku, kiedy do jego pokoju wszedł John.

— Już późno, Chris, powinieneś już spać — złązał go łagodnie. — Co się stało?

— Gdzie jest mamusia?

John przełknął ślinę z trudem.

— W Anglii.

— Ale dlaczego nie jest tu?

— Wiesz dlaczego, kiedyś już o tym mówiliśmy, potrzebowała trochę wypoczynku.

— Ale przecież zawsze mnie zabierała ze sobą, do babci i dziadzia.

— No tak, tyle że teraz musisz chodzić do szkoły. Chłopczyk zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

— Nie lubię, kiedy mamusi nie ma.

— Ja też nie — odpowiedział John i usiadł. — Opowiedzieć ci bajkę?

— Kiedy wraca? — dalej męczył go Chris, nie zauważając jego pytania.

— W przyszłym tygodniu, to również już wiesz.

— Pojedziemy po nią na lotnisko?

— Nie wiem jeszcze — westchnął. — Ale możemy spróbować.

— Ja chcę.

— Zobaczymy, Chris.

— Kiedy mówisz „zobaczymy”, to zawsze znaczy „nie”.

Jego syn stawał się zbyt bystry; ale w tej chwili John naprawdę nie wiedział nawet, którego dnia Elizabeth przyleci, nie mówiąc już o numerze lotu.

— Nie zawsze.

— Prawie zawsze.

Znowu zapadła cisza i John z uwagą przyglądał się małej, ożywionej twarzyczce, która jemu wydawała się niepodobna ani do jego twarzy, ani do twarzy Elizabeth, mimo iż nieustannie twierdziła, że „to wykapany ojciec”. Zmarszczył brwi: to znaczy ja? Wcale nie dostrzegał swoich rysów u Christophera; Elizabeth kocha syna — co do tego nie było żadnych wątpliwości — a on jest podobny do mnie. Na ulotną, bolesną chwilę zamknął oczy.

— Tatusiu?

John zamrugał.

— Tak?

— O co chodzi?

— O nic, Chris.

— Ostatnio nie uśmiechasz się już tak często.

— Tak uważasz?

— Tak.

— Pracuję bardzo ciężko na konferencji. — Tu na pewno nie kłamał. — A poza tym, tak jak ty, tęsknię za mamusią.

— Jak z nią znów będę rozmawiał, powiem jej, żeby szybko wracała.

John uśmiechnął się. Tak, być może to załatwi sprawę. Bo przecież jego prośba o to, żeby wracała, nie odniosłaby żadnego skutku, jak gdyby nie był w stanie trącić odpowiedniej struny. Natomiast Christopher to zupełnie co innego — był jej piętą achillesową i nie potrafiła się z nim rozstać na długo. A więc cała jego nadzieja to ich syn?

— No więc, chcesz tę bajkę czy nie? Christopher nie spuszczał niezmiernie badawczych oczu z jego twarzy, i w jakimś momencie John miał ochotę uciec ze wzrokiem. Jest podobny do mnie, pomyślał ze zdziwieniem; kiedyś widział przecież u siebie, w lustrze, ten sam rys zakłopotania. Jego ręka machinalnie powędrowała w kierunku twarzy chłopca, aby dotknąć, poczuć pod palcami jego chłopięcą skórę; w kierunku zarysu brody, który wszak odziedziczył po nim.

— Proszę o Jazonie i Argonautach...

John skinął głową i wziął do ręki ogromną księgę w czerwono-złotej okładce, leżącą koło łóżka. Zawsze lubił tę chwilę, kiedy czytał chłopcu. Ale wzdrygnął się przerażony, gdy nagle do jego świadomości doszła gryząca myśl, że Nielsen pozbawi go tego wszystkiego — nie tylko zabierze mu żonę, ale również syna. Było bowiem pewne, że Elizabeth nigdy nie rozstanie się z Christopherem. Poczul paniczny skurcz w żołądku — bez nich koniec z radościami, koniec z planami. Pociemniałymi oczyma popatrzył na syna. Koniec z radościami.

— W dokumencie końcowym musi znaleźć się stwierdzenie, że najważniejszym celem jest wyeliminowanie z użycia wszystkich CFC, nie zaś tylko pięćdziesięciu procent, jak postulują niektóre z krajów... — powiedział Dan na głos, mimo że w saloniku oprócz niego nie było nikogo. Siedział otoczony morzem papierów i zagrożony bólem głowy. Rozmowy kosztowały tysiące dolarów dziennie, a był już prawie maj i rzeczywiste porozumienie między 124 krajami biorącymi udział w konferencji było dość nikłe. Och, oczywiście wszystkie uznawały słusność powołania do istnienia nowych międzynarodowych władz rozporządzających aktualnymi pełnomocnictwami, nowymi normami prawnymi i mocą legislacyjną, ale w obecnej chwili to było wszystko, co się udało osiągnąć. Ktoś nazwał nawet propozycję założenia takiej organizacji „dyplomacją na pokaz”. Idiota. W dodatku, rządy Wspólnoty Europejskiej uzgodniły w marcu, że całkowite wycofanie z użycia CFC nastąpi w 1999 — za późno. Wypił łyk szkockiej, którą miał pod ręką. On optował za wcześniejszą datą, przynajmniej 1995. Jak podkreślał w swoim referacie podczas obrad w Hofburgu wczoraj rano, przedsięwzięcia w Szwecji zostały zobowiązane prawnie do zaprzestania używania tych cholernych chemikaliów do 1994, tak więc nie tracąc czasu, z wielką zapobiegliwością już zaczęły szukać odpowiednich substytutów. Jego słowom odpowiedziało kilka przytakujących pomruków, kilka kiwnięć głową i to wszystko. Jeżeli do końca lipca nie

nastąpi prawdziwy postęp w rokowaniach, wszystkie te usiłowania będą śmiechu warte. Wszystko oczywiście sprowadzało się do pieniędzy, o czym nie dawał mu zapomnieć Felix Dhoryäny, a więc znów powracała sprawa ogólnoświatowego funduszu ekologicznego. Nawet jego rząd podchodził ostrożnie do akceptacji szerokich programów dofinansowujących czy powoływania nowych instytucji ekologicznych podobnie jak Brytyjczycy. Dan westchnął, pocieszające było przynajmniej to, że przedstawicielom 124 krajów udało się zebrać w jednym miejscu — co samo w sobie było już pewnym osiągnięciem — i że w ogóle ze sobą rozmawiali. No i mieli przed sobą jeszcze trzy miesiące, trzy miesiące kłótni i chowania głowy w piasek, aż do czasu, gdy w dwóch ostatnich tygodniach przypuszczalnie rzucą się sobie w objęcia i jak królika z kapelusza, wyciągną na światło dzienne jakąś niespodziankę, wiedzieli bowiem, że patrzy na nich cały świat, którego obywatele spodziewali się od swoich rządów, iż naprawdę przeciwstawiają się zatrutowaniu planety, zamiast traktować rozmowy w Wiedniu jako generalną próbę przed walką o zdobycie dusz wyborców. Dan pociągnął następny łyk szkockiej koncentrując się na innym czekającym go problemie. Niczego więcej nie dowiedział się już o nim od Sir Nigela Howarda i byłby chyba zdziwiony, gdyby ambasador brytyjski dalej się w to zagłębiał. Dostał już wystarczająco wiele informacji, aby móc rozpocząć dochodzenie na własną rękę, o co Howardowi niewątpliwie chodziło. Wyłaniający się z jego dotychczasowych ustaleń obraz nie należał do najprzyjemniejszych. Mimo wszystkich dobrych intencji i całkowitych zakazów handlu kością słoniową kłusownictwo nadal istniało, a zapasy kłów słoniowych zgromadzone przed ogłoszeniem zakazu znajdowały jeszcze zbyt na rynku chińskim i środkowowschodnim; innymi słowy, handel był w agonii, ale wciąż jeszcze żywy. Amerykańska firma eksportowo-importowa w Mtwarze przy granicy

Mozambiku, na którą właśnie zwrócił mu uwagę Sir Nigel, handlowała nie tylko kością słoniową, ale i rogiem czarnego nosorożca mającym prawdopodobnie wielkie wzięcie u Jemeńczyków, którzy robili z niego rękojeści sztyletów, zaś samcy innych nacji — wyznawcy kultu penisa, traktowali go jako afrodyzjak...

Dan ze smutkiem pokręcił głową, zastanawiając się nad ich zdrowiem psychicznym. Ta sama firma, z tym że na mniejszą już skalę, zajmowała się też nielegalnym eksportem zwierząt należących do zagrożonych gatunków, takich jak bonobo, mangusta czarnonoga czy antylopa Huntera, jak również skór leoparda, pumy i krokodyla. Zmarszczył brwi... — robi się z nich buty, torebki, teczki, nie mówiąc już nawet o futrach, mających u ekologów specjalną, wręcz symboliczną pozycję. Kiedyś napotkał gdzieś świetne ogłoszenie, które, jego zdaniem, doskonale podsumowywało nowe podejście do problemu zagrożonych gatunków. Na rysunku przedstawiona była modelka sunąca powabnym krokiem we wlokącym się za nią futrze, a futro płakało, płakało krwawymi łzami. Podpis głosił: Do zrobienia tego futra potrzebnych jest tuzin bezrozumnych zwierząt, a tylko jedno do noszenia go... Szokujące, przykre, ale jednakowoż absolutnie trafne.

Judy udało się zdobyć kopię tego ogłoszenia z agencji Yellow Hammer i dała je oprawić, żeby móc je powiesić nad biurkiem. Była już wtedy chora, nawet umierająca, i jej zainteresowanie ochroną środowiska stało się rodzajem rozpaczliwego oparcia, które pozwalało jej jeszcze jako tako trzymać się przy życiu, jak gdyby chciała wlać w to swoje ostatnie przedsięwzięcie resztki uczucia, miłości i energii. Dan spojrzął przez okno w ciemność, na spokojne niebo, czarne dachy starego Wiednia; tęsknił za nią, nieustannie za nią tęsknił.

Powoli wracał do swoich papierów, dokumentów i informacji oraz tej wrednej sprawy, którą w swej uprzejmości przekazał mu brytyjski ambasador. Jeśli ponad wszelkie wątpliwości okaże się prawdą, że jeden z członków jego delegacji rzeczywiście wiedział, iż firma, której "i miał być rzekomo cichym udziałowcem, zajmowała się nielegalnym handlem ukrytym za fasadą legalnych interesów, wówczas nie tylko wyleje go z miejsca, ale jeszcze postawi przed sądem i do cna zrujnuje jego karierę...

Poirytowany wznosił oczy do góry; zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że w żaden sposób nie może dopuścić do takiego skandalu. Z bezsilnym szyderstwem uśmiechnął się do siebie — koszt ujawnienia faktu, iż jeden z amerykańskich uczestników superważnych rozmów na tematy ochrony środowiska zajmuje się handlem kością słoniową i zwierzętami należącymi do zagrożonych gatunków, byłby cholerny! Nie miał wyboru, musiał to wszystko zatuzować. Ale zostawała mu przynajmniej możliwość zrujnowania kariery tamtego — po cichu i bardzo, bardzo zręcznie. Nielsen nie domyślił się nawet, skąd padł cios, który go dosięgnął. Dan przywołał do pamięci jego obraz i pomyślał sobie, że gdyby nawet nie wiedział, o którego członka z jego delegacji chodziło, właśnie o nim pomyślałby najpierw. W podejściu Nielsena do życia było coś klinicznego, wypranego z emocji, sprawiał wrażenie kogoś, kto potrafi przejść koło tragedii życia, nie dostrzegając nawet, że istnieją. Jego przystojnej, nie tkniętej zmarszczkami twarzy chyba nigdy nie zmącił wyraz głębokiego bólu, braku poczucia bezpieczeństwa, rozpacz czy utraty czegoś lub kogoś bliskiego.

Dan zmarszczył brwi, bo przy okazji tej sprawy pojawiła się jeszcze jedna, równie nieprzyjemna, ale na razie, nim otrzyma jej pełny obraz, będzie musiał zestawić ze sobą wszystkie informacje, które uzyskał od ludzi z bezpieczeństwa, kiedy im polecił śledzić Nielsena. Zastanawiał się, czy Howard wiedział i o tym i czy to właśnie nie dlatego był tak cholernie pomocny. Bo przecież nikt nie przyjąłby z radością informacji o istnieniu znaczących



poszlak sugerujących, że żona jednego z ważniejszych członków delegacji brytyjskiej na konferencję w Wiedniu ma romans z amerykańskim dyplomata, który w dodatku podejrzany jest o handel kością słoniową. Dan z furją zamknął oczy.

— Boże Święty... — wyrzucił z siebie. A tak bardzo lubił Johna Thorntona — wspaniały dyplomata z nienaganną reputacją i piękną żoną. Ciężko mu było uwierzyć, że to chodziło właśnie o Elizabeth, że ktoś tak uczciwy i inteligentny dał się uwieść tak łatwemu do przejrzania człowiekowi, jakim był Karl Nielsen. Od razu jednak zbeształ samego siebie — od kiedy to bowiem uczciwość i inteligencja mają coś wspólnego z czymś tak skomplikowanym, jak miłość czy zakochanie się? Biedny John, biedny facet. Czy wiedział? Jeśli nawet tak, to raczej na pewno nie miał pojęcia o podejrzaniach w stosunku do Nielsena o związek z handlem kością słoniową; to dopełniłoby ciosu. Pokręcił głową z obawą. John chciał się dostać na placówkę do Waszyngtonu, i z tego, co Dan słyszał, miał na to poważną szansę, ale nie wtedy, kiedy cała sprawa wypłyne na jaw, kiedy świat dowie się, że jego żona miała romans ze skompromitowanym dyplomata amerykańskim, uwikłanym w coś tak śliskiego, jak afera z kością słoniową; konsekwencje byłyby zabójcze. Mógł sobie wyobrazić wielkie krzyczące nagłówki w gazetach, po których kariera Johna nigdy nie wróciłaby już na ten sam szczebel. Na pewno musiałby się rozstać z myślą o Waszyngtonie i najprawdopodobniej zostałby odstawiony na boczny tor dyplomacji, jak najdalej od opinii publicznej, żeby mogła zapomnieć o jego istnieniu. Sir Nigel wręczył mu potencjalną bombę zegarową, pomyślał ze zgryzotą Dan. A może mimo wszystko nie było tak, może gdzieś „na złączach” pojawił się błąd — pocieszał się, choć wiedział, że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nie ma mowy o błędzie i tylko głupiec sądziłby inaczej. Gdy na jego biurko dotrą ostatnie wyniki

dochodzenia, jedyną rzeczą, jaka mu pozostanie, będzie ich sprawdzenie i opisanie wszystkiego w gładkim raporcie do Waszyngtonu. Westchnął. Może, ale tylko może, uda mu się sprawić, żeby sprawa zbytnio się nie rozniosła. Miał nadzieję, że choćby ze względu na Johna Thorntona coś mu się uda z tym zrobić.

Ralf wiedział, że kamera video jest sprawna, ale zawsze lubił sprawdzać wszystko sam, bo zwykle druga szansa już się mu nie trafiała. Tylko jedna kobieta współpracowała z nim więcej niż raz — Suzanna, Amerykanka, samotna, nieatrakcyjna rozwódka, której bardziej zależało na nim niż jemu na jej pracy. W końcu go znużyła i kazał jej zdradzić drogą ojczyznę, jako że i tak mały miał pożytek z jej pracy. Zgodziła się, kiedy ją zapewnił, że w Czechosłowacji ma swoją „drugą bazę”. Ralf roześmiał się w duchu. Nigdzie nie miał „bazy”, a jeśli już, to nie na długo; a poza tym, nawet gdyby miał ją sobie znaleźć, to szara i zastraszona Czechosłowacja byłaby ostatnim miejscem, gdzie by jej szukał. Miał tam jednak „przyjaciół”, którzy oczywiście byli bardzo pomocni, szczególnie w przypadku Suzanny. Zrobił się z tego mały skandal, który jednak szybko zmarł śmiercią naturalną. Tak więc Ralf załatwił jej miejsce w Ostrawie, na wschodzie kraju, gdzie miała pracować w fabryce ubrań, gdzie miała żyć i umrzeć, i być zapomniana; nigdy jej już więcej nie widział.

Ralf zawiesił z powrotem lustro na ścianę zasłaniając nim otwór, w którym umocowana była kamera. Lustro oczywiście umożliwiałoby filmowanie z drugiej strony i jeszcze nigdy go nie zawiodło. Pokoju w Hyatt używał rzadko, ale ktoś z kierownictwa hotelu był jego przyjacielem i zawsze osobiście sprawdzał, czy wszystko zostało przygotowane do pracy. Ralf był pewny, że zeszłej nocy nagrało się kilka niezłych, ekscytujących ujęć, chociaż Laura nie była tak zaangażowana, jak się spodziewał. Była

dość markotna, co nieco utrudniało sprawę i musiał wymyślać najbardziej przekonujące środki perswazji, żeby robiła to, co chciał. Dziś wieczór będzie jednak inaczej: przygotował coś, co będzie jej mógł wsypać do drinka i co na pewno uczyni ją bardziej podatną na jego sugestie. A przy tym jej nie uspi, czego sobie zdecydowanie nie życzył — miała być w pełni rozbudzona, żeby jej reakcje były jak najbardziej realistyczne, aby nie było niewypału.

Ralf wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł z lustra ślady palców, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Czyszcząc jego powierzchnię oparł na niej dłoń, i gdy je odwrócił, przyjrzał się lekko zaczerwienionym teraz liniom papilarnym — rzekomo przepowiadającym przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Drgnął, gdyż na ten widok opadły go wspomnienia. Powoli, jedna po drugiej, oglądał dokładnie swoje ręce: były wielkie, sękaty, z palcami wyrastającymi z kwadratowej dłoni jak konary z drzewa. Takie miał jego ojciec. Przez mózg przemknął mu jaskrawy obraz człowieka, którego wpięrkw kochał, a potem nienawidził — zobaczył go leżącego w poszarpanym ubraniu w bocznej uliczce, we krwi, potłuczonym szkle, urynie i ekskrementach. Naszło go wspomnienie fetoru napęlniającego mu nos i usta niczym trujący, duszący gaz, aż zbuntował się jego żołądek, i zwymiotował w rynsztok koło ciała, cały we łzach i potokach deszczu, słysząc cienne, sprośne chichoty kurew dochodzące z nocnego klubu. Tak było w Hamburgu, dawno, dawno temu. Ale przecież nie chciał go zabić, to był błąd, po prostu stracił panowanie nad sobą...

Ralf ponownie spojrział na swoje ręce i podnosząc je blisko do twarzy powąchał, jak gdyby obawiał się, że nadal będą pokryte tamtym fetorem, od którego chciało mu się rzygać, którego nie mógł zapomnieć, który jakby na zawsze wżarł się w jego dłoń. Wytarł je gwałtownie o spodnie i następnie szybkim krokiem ruszył do łazienki. Czasami nachodziła go niejasna myśl, dlaczego wtedy to zrobił, ale

zaraz też przysłaniała ją ciemność, litościwa ciemność, i miał spokój na rok, może na dwa lub trzy, jeśli miał szczególne szczęście, aż do następnej fali wspomnień.

W jego myśli wdarł się dźwięk lejącej się do umywalki wody; jego palce, jakby opanowane białą gorączką, ścisnęły wściekle mydło, które wystrzelone jak z katapulty wpadło do białej emaliowanej umywalki, odbijając się od jednej ścianki do drugiej, ślizgając po nich z nadspodziewaną prędkością, aż wreszcie zwolniło i kołysząc się rytmicznie z jednej strony na drugą, łagodnie znieruchomiło. Potrząsnął głową. Już wkrótce weźmie urlop, wybierze się do Grecji, zobaczy z Georgiose, będzie wypoczywał, chodził na spacerunki wzgórzami i maleńką plażą, gdzie woda była tak przejrzysta, że widać było każde nieomal ziarenko piasku, jak gdyby jakiś natchniony byt ułożył je tutaj, każde z osobna, delikatnym, pełnym uczucia gestem. Ale Ralf nie wierzył w Boga, w żadnego boga.

Wziął ręcznik i wytarł dłonie. Laura niedługo wróci z lunchu w rezydencji swego wuja. Ralfowi udało się uniknąć przyjęcia zaproszenia pod pretekstem kłopotów z żołądkiem, które w cudowny sposób przestaną go nękać przed kolacją. Mimo jej protestów nalegał jednak, żeby poszła na spotkanie z wujem, jako że stanowiło ono jakby część umowy z jej ambasadorem, warunek, który częściowo umożliwił jej otrzymanie pozwolenia na przyjazd tutaj. Gdyby go nie spełniła, znalazłaby się „w niełasce” i to zepsułoby wszystko; a że będą sprawdzać, co do tego nie było żadnych wątpliwości — zawsze tak robili. Ralf uśmiechnął się. W końcu i tak będzie miała dość problemów na głowie po dzisiejszym wieczornym „występie” i po późniejszej wątpliwej przyjemności oglądnięcia tego ostatniego, najbardziej twórczego dzieła Ralfa.

Światła były przyćmione. Laura rozprostowała ręce nad głową i zmysłowo wyprężyła ciało. Nie widziała Ralfa, gdzieś zniknął i sądziła, że jest sama w pokoju nasyconym

gęstą, wręcz nieruchomą ciszą, od której zachciało jej się spać. Ni stąd, ni zowąd zadarła do góry brodę, jak gdyby przypomniała sobie nagle coś niezmiernie śmiesznego, coś zabawnego, a co przedtem wyleciało jej na chwilę z pamięci. Tak więc leżąc rozciągnięta na łóżku, nago, z na wpół przymkniętymi oczami, uśmiechała się do siebie, zanurzona w tym dziwnym sennym stanie, ogarniającym ją całą, tak że niepodobieństwem było ruszenie ręką, nogą czy głową. Nagle jednak poczuła jego usta na swoich, ręce zamykające się na jej dłoniach, jego uda wparte w jej uda. Poczowała, że zmienił pozycję, i znów leżała sama, ale czuła jego zapach, wspaniały, mocny zapach; był za nią. Zdumiała ją intensywność tego zapachu, jak gdyby jej zmysły wysubtelniały niespodziewanie, każdy dźwięk, każde dotknięcie mogłoby doprowadzić ją do cudownego obłądu. Docierał do niej jego niski, chropawy głos, obsceniczne słowa, od których czuła zawrót głowy, odwróciła się do niego sprowokowana — klęczał za nią. Widząc masywny, zapierający dech tors, poczuła w ustach suchość. Zaczęła chichotać, kiedy Ralf popchnął ją z powrotem na łóżko, wprawnie przekreślił na brzuch i nachylając się nad nią rozwarł jej uda. Laurze wydawało się, że słyszy jego śmiech, jego wołanie, ale nie miała pewności. Kiedy wreszcie poczuła, jak ją gwałtownie bierze, kiedy ją nagle wypełnił, podniosła głowę i dojrzała swoje odbicie w lustrze. I widziała Ralfa, czuła usta Ralfa na swoich, ale przecież siedział przy niej na podłodze, obejmując ją, tamten zaś mężczyzna za nią był gruby i brodaty, z wyszczerzonymi w szczerbatym śmiechu zębami... Lecz jak tylko zamrugła, zacisnęła oczy i znów spojrzała, już go nie było. Uczuła niewysłowioną ulgę, roześmiała się i teraz jedynie pragnęła, by ta rozkosz, mroczna szaleństwem rozkosz trwała w nieskończoność wyginając jej ciało, napawając dreszczem, wydobywając z niej krzyk i zebrzący lament... Och Boże, Boże, Boże...

Ze słuchawką przy uchu Karl cierpliwie czekał, aż ktoś tam odbierze telefon i w ucho przestanie mu się wwiercać ostry sygnał. Wreszcie usłyszał kobiecy głos, ale to nie był jej głos.

— Czy mógłbym rozmawiać z Elizabeth? — Oblął się potem, co wywołało u niego natychmiastową wściekłość. Usłyszał oddalające się kroki, czyjeś wołanie i znowu kroki, tym razem przybliżające się.

— Halo.

— Elizabeth.

— Skąd masz mój numer?

— Powiedziałem niani twojego syna, że mam pilną sprawę i że spodziewasz się ode mnie telefonu.

— To dom moich rodziców, Karl.

— Wiem. — Przełknął tę połajankę bez słowa. — Bardzo chciałem z tobą rozmawiać. — Nieprawda, musiał z nią porozmawiać.

— O co chodzi? — spytała łagodniej.

— To niesamowite... niesamowite... ale po prostu musiałem usłyszeć twój głos... i powiedzieć głośno twoje imię.

— Karl, Karl...

— Wiem, że to szalone, ale nie potrafię się opanować. — Poruszył się nerwowo, przyciskając słuchawkę mocniej do ust, zastanawiając się, czy nie dostaje bzika. — Kiedy wracasz?

— W przyszłym tygodniu.

— Kiedy dokładnie?

— Nie jestem pewna, jeszcze się nie zdecydowałam.

— Pozwól mi się z tobą spotkać.

— Nie, Karl.

— Dlaczego? — nalegał. — Dlaczego, Elizabeth?

— Nie nalegaj tak bardzo, Karl, nie masz do tego prawa. Powiedziała to prawie szeptem, ale i tak serce skoczyło mu do gardła, palce zacisnęły się kurczowo na słuchawce, tak że knykcie omal nie przebiły skóry.

— Tak, tak, oczywiście.

— Zadzwoń do ciebie po przywitaniu się z mężem i synem.

— Stawiasz ich na pierwszym miejscu... — to było idiotyczne, co powiedział, bezmyślne, nierozważne, ale już nie mógł tego cofnąć.

— Tak, Karl, stawiam ich na pierwszym miejscu i niczego innego nie możesz się spodziewać.

— Wiem, i przepraszam, nie powinienem był tego powiedzieć — przyznał wciągając głęboko powietrze. — Nie mogę przestać myśleć o tobie, to wszystko. Muszę się z tobą zobaczyć... rozumiesz to, prawda? wiesz, co czuję, prawda?

W słuchawce zapanowała dziwna, napięta cisza i przez chwilę myślał, zeszywniały i nieszczęśliwy, że mu nie odpowie, że coś się w niej zmieniło.

— Tak.

— Zrobię wszystko, żeby powstrzymać się od nalegania, obiecuję, postaram się również rzadziej otwierać tę swoją cholerną buźkę, bo zdaje się, że zaczęła się sama rządzić.

— Ogromnie chciał, żeby zabrzmiało to lekko, obawiał się, że dzieląca ich przestrzeń spowoduje osłabienie ich związku. Miał wrażenie, jak gdyby teraz, będąc od niego z dala, Elizabeth miała możliwość starannego przyglądnięcia się mu z pewnej perspektywy, traktując go, jak przedmiot, który się wycenia, szacuje, a następnie akceptuje lub odrzuca. Nie był tym zachwycony, czuł przed tym obawę. Zaczynał czuć kłuszącą irytację; gdyby była blisko, gdyby była tutaj, nie pozwoliliby jej trzymać się na dystans i pozbyłby się wszystkich swoich wątpliwości i niepewności biorąc ją po prostu w ramiona. Tego był pewien, ale ona prawdopodobnie również, i być może dlatego wyjechała.

— Chyba już będę musiała kończyć, Karl.

— W porządku. Zobaczymy się po twoim powrocie. —

Podrażniony potrząsnął głową. — Prawda? — Na miłość Boską, co się z nim działo?

— Tak.

— I zadzwonisz do mnie?

— Tak.

— Przepraszam, przepraszam... po prostu nie jestem do czegoś takiego przyzwyczajony.

— Wiem.

Westchnął ciężko, bezradnie.

— Dlaczego mówię nie to, co bym chciał, co trzeba, kiedy akurat cię tu nie ma, kiedy nie mogę natychmiast zatrzeć złego wrażenia? — spytał i nagle dodał z szerokim uśmiechem: — Kocham cię. — Ale nie sądził, żeby to jeszcze mogło wystarczyć.

Odpowiedziała mu cisza i poczuł ogarniającą go panikę.

— Ja ciebie też...

Zamknął oczy i jego myśli wypełnił żywy obraz Elizabeth, chciał być z nią, dotknąć jej.

Ocknął się na dźwięk odkładanej słuchawki. Przeciągnął ze znużeniem ręką po włosach i spojrział w okno. Z okna w biurze było widać Ringstrasse i późnopołudniowy ruch uliczny przemierzający się w stronę obrzeży miasta. Dni były coraz dłuższe, ciągle było jasno i na ławkach w parkach przesiadywało coraz więcej ludzi: starsze damy, studenci i turyści, z gazetami, książkami, aparatami fotograficznymi.

Zaczęły się nawet wstępne przygotowania do wznowienia koncertów na świeżym powietrzu w Stadtparku — liście zostały zamiecione, a ułożone w stopy metalowe stoliki i krzesła czekały na pierwsze dźwięki walca Straussa. Karl nie miał jednak ochoty być tu, istniał tylko jeden powód, dla którego ciągle pozostawał w Wiedniu — Elizabeth, ale ona była w Anglii.

Trzasnęły drzwi i w korytarzu usłyszał głos ambasadora Gurneya. Nie teraz, Dan, nie zwracaj mi głowy klimatycznymi konsekwencjami pozbywania się śmieci i niewątpliwymi zaletami lasów tropikalnych, po prostu tego nie



zniosę, idź sobie do Sama, twojego pupilka, twojego niezmiennie entuzjastycznego ucznia. Konferencja działała Karlowi na nerwy, nie mógł się na niczym poważnie skoncentrować i nie był nią zainteresowany, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak tego spodziewał się po nim Gurney, i to stawało się widoczne. Poza tym był zmęczony, zmęczony tym pieprzonym cyrkiem, nie kończącymi się rundami rozmów, sprzeczkami i półprawdami, pozornymi sukcesami, które w gruncie rzeczy nic nie znaczyły, a które trzeba było na pokaz witać z odpowiednią porcją entuzjastycznego zadowolenia. Do niczego ich to nie doprowadzi, prócz może jakiegoś wymuszonego, kompromisowego dokumentu, który w praktyce nie będzie miał wielkiego znaczenia. Nudziła go konferencja, nudzili jej uczestnicy i miał ochotę iść stąd w cholere, ale nie mógł przecież bez niej, nie bez Elizabeth. Kąciki ust wygięły mu się w ledwie widocznym uśmiechu, a raczej grymasie. Nie mogąc uwierzyć, rozdrażniony przechylił do tyłu głowę; dopuścił do tego, żeby się zaangażować, zakochać, dać z siebie coś komuś innemu. Wyglądało to na żart, ponury żart, ale jednak tak się stało... na szczęście, ona należała do niego i pojedzie z nim, kiedy opuści Wiedeń, tego już na pewno dopilnuje.

— Nienawidzę tych wyjazdów — wyrzucił nagle z siebie Felix.

Odwiedzanie jego starego, zgrzybiałego ojca zawsze sprawiało na nim okropne wrażenie, ponieważ ojciec nie wyglądał już jak człowiek, a raczej przypominał wór kości powleczonych bladą skórą; stary śliniacy się głupiec, który nawet go nie poznawał. Uświadamiał Felixowi, co miało nadejść, uparte mijanie lat i jego własną śmiertelność.

— Jestem przekonana, że cieszą go nasze wizyty, nawet jeśli nie potrafi tego wyrazić — odpowiedziała cicho Genevieve.

— Musisz być koszmarnie niemądra, moja droga, jeśli w to wierzysz. — Parsknął. — Otumaniony, zasuszony mózg ojca nie jest w stanie nic pojąć.

Nie zareagowała, ponieważ w takim nastroju Felix był nie do wytrzymania, ona zaś była zbyt zmęczona, H by mimo to próbować nawiązać jakąś sensowniejszą dyskusję.

— I gdyby nie fakt, że przypuszczalnie w każdej chwili może umrzeć...  
— nie speszony ciągnął dalej — przeniósłbym go do domu starców w Karyntii lub Salzburgu, gdzieś, gdzie mi się podoba, ale nie w Burgenlandii i nie w okolicy Jeziora Nczyderskiego. Czuję się jak robot, ilekroć tam jadę — westchnął. — Roi się tam od rozwrzeszczanych bachorów, opojów żłopiających piwo i morderczych komarów...  
— Wielu ludziom się tam podoba, Felixie — zauważyła Genevieve, w końcu jednak wdając się z nim w rozmowę.  
— Opinia wielu ludzi — co to niby ma znaczyć? Nic.  
— Twojej matce wydawało się, że będzie mu tam dobrze.  
— Mojej matce — powtórzył szyderczo. — Moja matka była głupia.  
— Felixie...  
— Miałem szczęście, że w ogóle coś zostało do odziedziczenia po tym, jak skończyła spełniać wszystkie kaprysy tego starego idioty. Gdybym wreszcie nie dostał zgody na wcześniejsze objęcie majątku, zmarnowałoby się jeszcze więcej i byłbym znacznie biedniejszy. — Westchnął znów, nim ponownie przemówił. — A wtedy nie moglibyśmy się pobrać, kochanie, twój ojciec byłby zmuszony sprzedać Shloss Bletz, a ty...  
— Tak?  
— Przypuszczam, że zostałabyś starą panną. — Protekcyjnie położył rękę na jej kolanie. — Ostatecznie, musimy być realistami...

W milczeniu odwróciła się do okna spoglądając na płaskie łąki, których nie urozmaicało nawet pojedyncze drzewo. Daleko za nimi widoczne było jezioro, podobne do srebrzystej tafli szkła, które zdawało się nie mieć końca, a które przy tym miało zaledwie kilka stóp głębokości. Dno pokryte było mułem, grubą warstwą czarnego, ciężkiego mułu czepiającego się stóp i skóry. Wiele lat temu wzięła Gunthera i Sopię na przejażdżkę łódką; niebo było jaskrawobłękitne, jasno świeciło słońce, mimo to dali się oszukać stale wiejącemu chłodnemu wietrzykowi, w rezultacie czego wszyscy cierpieli od poparzenia słonecznego i Genevieve pół nocy spędziła na wklepywaniu maści ochronnej w ramiona dzieci. Ale mimo to jakoś dziwnie mile wspominała ten piękny dzień. W pamięć wrył jej się też śmiech, krystalicznie czysty. Była tylko z Sopią i Guntherem, Felix gdzieś wyjechał.

— Simone organizuje paczkę na operetkę w Mörbisch...

— O nie...

— Proszę, Felixie, to będzie „Grafin Mariza” — pamiętasz, jak ci się ostatnio podobało. Pomyślałam sobie, że Sophia i Oskar mogliby do nas dołączyć...

— To przedstawienie nie musi się stawać coroczną tradycją. — Owszem, podobało mu się ostatnio, ale tylko dlatego, że właśnie zaczął flirt z Simone. — A poza tym nie przypuszczam, żebym wytrzymał pożeranie mnie żywcem przez komary, wiesz, że tam aż się od nich roi. Zbudowanie teatru na brzegu jeziora jest może i przednim pomysłem, ale pod warunkiem, że wcześniej weźmie się pod uwagę zwyczaje lokalnych insektów. Pamiętam jak dziś, że facetowi siedzącemu za mną musiałem dać łapówkę w postaci stu szylingów za pożyczanie mi swojego płynu przeciw komarom.

— Ale to ja zostałam pogryziona, a nie ty.

— Na pewno nie, Genevieve — zaprzeczył marszcząc brwi. — W każdym bądź razie, nie jest to w tej chwili najlepszy pomysł.

— Dlaczego nie? — Bardzo jej zależało, żeby pojechać.

— W przyszłym roku — zdecydował w końcu, głosem, który odbierał ochotę do dalszej dyskusji.

Genevieve ponownie odwróciła głowę do okna, przetrawiając swą porażkę. Wiedziała od samego początku, że tak będzie.

Felix jeszcze raz poklepał ją po kolanie.

— Będzie jeszcze okazja, a poza tym myślałem, żeby się trochę przygotować do urodzin Gunthera, które przypadają mniej więcej w tym samym czasie.

Nie miała ochoty na rozmowę o urodzinach Gunthera, przekonana, że ciężko jej będzie wykrzesać z siebie iutentyi/.iiv entuzjazm przy ich organizowaniu. Zresztą, choćby się nie wiadomo jak starała, i tak zawsze czegoś mu będzie brakowało.

— Rozmawiałeś już z nim o tych zdjęciach? Felix zaczerwienił się lekko.

— Oczywiście, oczywiście.

— Okazał przynajmniej wystarczającą skruchę? — Właściwie niepotrzebnie pytała, Gunther nigdy nie okazywał skruchy, to nie było w jego stylu, i nie potrafiła tego zrozumieć, tej obojętności, braku wyrzutów sumienia. Skąd on to ma?

— Tak — odpowiedział pospiesznie Felix. — Tak, wydaje mi się, że tak.

— Chłopiec praktycznie go wyśmiał, ale w końcu rozstali się przyjaźnie

— Felix poczęstował go nawet koniakiem. Przecież Gunther miał prawie dwadzieścia jeden lat, trudno traktować go jak dziecko czy pryszczatego nastolatka, któremu zaszkodziłoby oglądnięcie kilku fotografii.

— Coś mi mówi, że Gunther któregoś dnia przyniesie zaszczyt całej naszej rodzinie.

Zerknęła na męża, pragnęła podzielać tę wiarę w ich syna, ale jakoś nie uważała go za swojego syna. Nie mogła się oprzeć, żeby nie pomyśleć o Sophii, jej kochanej,

słodkiej córce, będącej teraz tak daleko od niej. W którymś momencie wszystko się nagle popsuło i nadal jeszcze była oszołomiona tym, jak potoczyły się wydarzenia ostatnich kilku miesięcy.

— Jak się nazywa ten belgijski pułkownik? — spytał nagle Felix i jej myśli o Sophii rozwiały się w jednej chwili.

— ...Wyninx, Hermann Wyninx — przypomniała mu. — Spotkaliśmy go wraz z żoną na obiedzie u Duńczyków w zeszłym tygodniu.

— Miałbym ochotę wykręcić się od tego dzisiejszego spotkania.

— To tylko dwie godziny, Felixie.

— Dwie pełne udręki godziny w towarzystwie paradnego wojskowego nudziarza z pomysłami wykraczającymi poza jego rangę.

— Jego żona wydaje się czarująca — stwierdziła Genevieve. — O ile wiem, zajmuje się studiami nad sztuką orientalną i językami mandarynskimi.

Felix parsknął szyderczo.

— Byłoby mądrzej z jej strony, gdyby raczej zajęła się studiowaniem swojego wyglądu w lustrze.

— Felixie...

— Daj spokój, Genevieve, stwierdzam jedynie fakt. Cóż jej takiego przyjdzie z języka mandaryńskiego, na miłość Boską? Jakoś nie widzę naszego drogiego pułkownika Wyninx na paradzie w Pekinie.

— Mnie się wydawała czarująca.

— Niech ci będzie — powiedział niecierpliwie i zatrąbił na przechodzącą kobietę. — Po prostu jestem dość zmęczony, to wszystko. Odwiedziny u ojca zawsze mnie męczą i ostatnią rzeczą, na którą miałbym teraz ochotę, jest jeszcze jedno cocktail-party.

— Jutro mamy wolny wieczór.

— Dzięki Bogu.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Urodziny Gunthera będziemy obchodzili w zamku — przerwał milczenie Felix. — Postaraj się, żeby to naprawdę wypadło z pompą. — Uśmiechnął się do siebie na tę myśl.

Genevieve nie odpowiedziała wzdając wzrokiem po mijanych przez nich ulicach i twarzach przechodniów. Wszystko przygotowuje według wskazówek Felixa i przyjmie na siebie funkcję gospodyni przyjęcia, ponieważ przyjedzie Sophia — tym razem nie będzie się mogła z tego wywinąć. Jej twarz wyraźnie rozjaśniła się, gdy wyobraziła sobie, jak we dwie pójdą na zakupy na Kammer Strasse. Miała bowiem zamiar przekonać córkę do spędzenia z nią kilku dodatkowych dni, by mogły kupić ubrania i jakieś inne rzeczy, które mogą jej się przydać w Ameryce. Westchnęła, próbując zrozumieć, dlaczego Sophia tak wyraźnie unika przyjazdu do domu, nawet na krótko. Chyba nie miało to nic wspólnego z pomysłem Felixa dotyczącym jej i Oskara, teraz już chyba nie? Było nie było, przyjedzie na urodziny Gunthera, musi przyjechać — i w tym świetle perspektywa urodzin Gunthera zaczęła nabierać przyjemniejszych kształtów, nawet jeśli miały się odbyć na zamku i nawet jeśli Gunther jej nie lubił. Tak, nie lubił, straciła już bowiem złudzenia, że jest inaczej. Jej własny syn; poczuła przypływ rozpacz. Gunther uważał, że jest głupia, i mimo iż usiłowała zanalizować swoje zachowanie, wejrzeć w siebie, przyglądać swoim niepowodzeniom i słabości, nie umiała powiedzieć, dlaczego tak sądził.

Było przepiękne popołudnie, uroczy kwietniowy dzień; niebo było prawie zupełnie czyste, prócz kilku niespiesznie płynących po nim obłoków. Kristina zaczerpnęła głęboko powietrza, nadal jeszcze chłodnego, i zatrzymała się na chwilę, dotykając ramienia Sama, żeby zwrócić jego uwagę na widok odległych wzgórz Lasu Wiedeńskiego.

— Tu jest wprost fantastycznie — odezwał się Sam i pochylił do swojej małej córeczki. — Widzisz te wzgórza, kochanie?

Joanna posłusznie przytaknęła głową, a Kristina z uśmiechem obserwowała to rodzicielskie zaangażowanie Sama.

— Słowo „Belweder” oznacza, jeśli się nie mylę, „piękny widok”, prawda? — spytał zwracając się do Kristiny. Przytknęła, co przyjął z uśmiechem. — Już teraz rozumiem dlaczego. I mieszkał tu cesarz, tak?

— Myślę, że raczej jego następcę, Franciszek Ferdynand, ale Belweder był zbudowany dla księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, około trzystu lat temu.

— Nie zestarzał się specjalnie — roześmiał się Sam.

— Myślę, że na swój sposób jest arcydziełem — powiedziała cicho.

Stali na szczycie wzgórza, na którym zbudowany był Górny Belweder.

Wzrok Sama zatrzymał się na przepysznych barokowych ornamentacjach pałacu, a później na ścieżkach, schodach, kaskadach i fontannach łączących go z niżej położonymi zabudowaniami.

— To naprawdę nie byle co, naprawdę.

— Bałam się, że ten przepych może ci się wydać zbyt natrętny.

— Nic podobnego. — Wziął ją za rękę i zerknął na Joannę.

— Czy nie będzie miała mętlika w głowie?

— Mętlika?

— Od tego nagłego pojawienia się tylu kobiet w twoim życiu...?

— Czy może od tego, że trzymam cię za rękę? Poczowała rumieniec.

— Natalie nie trzymałem za rękę, Kristino.

— Tak naprawdę to nie moja sprawa.

— No, no. Większej bzdury nie można już palnąć, co do tego przynajmniej możemy się zgodzić.

Nie odpowiedziała. Sam uszanował to i w milczeniu, przeszli powoli na drugą stronę budynku i wielkiego

stawu, w którym jak w zwierciadle odbijały się wspaniałości pałacu.

— Po prostu czuję się trochę niepewnie.

— Ponieważ znowu przylatuje?

— 'lak mi się wydaje.

— Chce odwiedzić Joannę.

Przyglądnęła mu się z ukosa, ale trudno było coś wyczytać z jego twarzy — ani cienia wyrazu, który mógłby jej coś powiedzieć. Natalie chciała go odzyskać, i jeśli nawet Sam nie dostrzegał tego, dla Kristiny było to widoczne jak na dłoni i przerażało ją. Widywali się teraz codziennie, robili małe plany z tygodnia na tydzień, kochali się, jak tylko mieli możliwość, i było im razem dobrze, bardzo dobrze — we wszystkim. Powstrzymała wzruszenie i ogłędnęła się na małą ciemną główkę za nimi; Joanna była tylko pionkiem, a mimo to, taka drobinka, grała główną rolę w przedstawieniu, którego zakończenia nikt nie mógł odgadnąć.

— Ona chce mieć cię z powrotem, Sam.

— Nie sądzę — odpowiedział powoli.

— A ja wiem na pewno, że tak jest. Wciągnął gwałtownie powietrze.

— Może... może masz rację.

Nisko nad jeziorem, niemal dotykając jego tafli, leciała mewa; Kristina śledziła przez chwilę jej lot, nim znów nie wzbiła się do góry, by zniknąć za drzewami i murami miasta. Jeżeli ten rozdział jej życia zakończy się klęską, spakuje swoje rzeczy i wyjedzie, odejdzie gdzieś, gdziekolwiek, ale za nic nie pozostanie tutaj, w Wiedniu, z matką w tym rodzinnym grobowcu — mieszkaniu przy Stadtparku.

— Kiedy przylatuje?

— Za dwa tygodnie.

— I na długo? — To pytanie wysliznęło się Kristinie wbrew jej woli.

Wiedziała bowiem, że przebija z niego jej



niepewność i dość czytelne intencje, ale nie mogła, po prostu nie mogła się powstrzymać, żeby go nie zadać.

— Kristino... — Zatrzymał się i obracając do niej położył jej ręce na ramionach. — Natalie zatrzyma się tutaj tylko trzy dni, jak ostatnio, nie mniej i nie więcej. Prosiłem, żeby nie przylatywała, ale bardzo nalegała, no a ja nie mam prawa jej zabronić, prawda? Jeśli rzeczywiście coś jej się roi, ja się tym nie przejmuję, bo to ja mam w ręku wszystkie atuty, podczas gdy ona nie ma nic. Nic. — Pocałował ją lekko w usta. — Rozumiesz?

Pokiwała bezradnie głową i ruszyli dalej. Poprzedniego dnia rozmawiała z pewnym młodym dyplomatą z ambasady amerykańskiej i zeszli jakoś na temat Sama; otóż dyplomata ten spotkał był kiedyś Natalie na przyjęciu w Białym Domu. Zauważyła, jak rozszerzyły mu się w zachwycie oczy, gdy o niej mówił. „Cóż za ciało, cóż za kobieta... Nie rozumiem, jak Sam mógł pozwolić jej się wysliznąć.” Jeszcze odchodząc kręcił z niedowierzaniem głową.

— Czemu tak milczysz, Kristino?

— Przepraszam.

— Wszystko się dobrze skończy, masz na to moje słowo.

Jakże bardzo pragnęła mu wierzyć, jak bardzo.

Laura ponownie przeczytała list z trzęsącymi rękami. Ojciec Andrew miał atak i Andrew przeproszał ją, że nie zadzwonił w dniu, w którym byli umówieni, jak również, że nic nie napisał od ich ostatniej rozmowy telefonicznej. Później dzwonił do niej kilkanaście razy, ale bez powodzenia. Był nadal w Bournemouth, z matką, która nie zniosła najlepiej choroby ojca, więc nie spodziewał się, że wróci do Londynu przed upływem tygodnia, czyli pod koniec kwietnia. Miał nadzieję, że w takiej sytuacji wybaczy mu. Jak się czuje, itp.

Laura zacisnęła oczy, ale natychmiast je otworzyła, jak gdyby tu, w tej zatłoczonej sali spodziewała się ujrzeć

Ralfa, jego potężne ciało przeciskające się między stolikami, zbliżające się coraz bardziej, aż wreszcie stanie nad nią i z wyrazu jej twarzy domyśli się wszystkiego. Ale nawet gdyby nie otrzymała listu od Andrew, i tak zdecydowana była zerwać z Ralfem. Wreszcie.

Nie mogła się oprzeć powracającej natrętnie myśli o weekendzie na Węgrzech, hotelu, oszałamiających nocach i dniach. Ale miała już tego serdecznie dość, wszystkiego. Czuła się, jak po większej ilości wina, z tą jednak różnicą, że efektów jej stanu nie sposób było się pozbyć, były jak druga skóra. Zlustrowała wzrokiem swoje dłonie o bladych palcach i paznokciach ze starannym manicure. Paznokciach, które w jakimś momencie tamtej nocy zbyt mocno wbiły mu się w skórę, tak że aż krzyknął; i w tej otumaniającej godzinie seksu, kiedy wszystkie kształty zlewały się ze sobą, skosztowała krwi, jego krwi. Jednakże rano na jego skórze nie było ani śladu: żadnych zadrapań, żadnej plamki. O świcie dowlokła się do łazienki i zwymiotowała. Zobaczyła swoją bladą jak ściana twarz w lustrze i przeraził ją widok ogromnych cieni pod oczami oraz siniaków w zagłębieniach pach i między udami. Z wielkim kołoczącym jej w głowie znakiem zapytania próbowała sobie przypomnieć poprzednią noc, ale dotyczące jej wspomnienia okazały się prawie w całości białą plamą, napawającą wstrętem, kłębiącą się mgłą, z której wyłaniały się czasem jakieś szkaradne kształty wywołujące drżączkę i strach, jak gdyby jeszcze raz naprawdę przeżywała tamten koszmar. Przypuszczała, że wypila za dużo wina, ale przecież wiedziała, bez wątpliwości, do czego Ralf jest zdolny.

— Chyba ci przeszkadzam...

Laura wzdrygnęła się wyrwana z zamyślenia, przewracając filiżankę. Kawa rozlała się na metalową tackę i marmurowy blat, gdzie uformowała cieniutką stróżkę płynącą zakosami do brzegu stolika, skąd następnie zaczęła skapywać powoli na gładko wypolerowaną drewnianą podłogę. Ralf parsknął śmiechem.

— Wprawiam cię w aż takie zdenerwowanie? — Pytanie raczej ironiczne, ponieważ dobrze wiedział, że tak właśnie było — widział, jak jej źrenice rozszerzają się coraz bardziej; przypominała mu rybę.

— Po prostu mnie zaskoczyłeś — odpowiedziała starając się zapanować nad głosem.

— Zawołam kelnerkę. Chcesz jeszcze jedną kawę?

— Tak, proszę.

— Wyglądasz na zmęczoną — zauważył siadając.

— Nie wyspałam się.

— Przykro mi.

Wcale mu nie było przykro, i Laura nie wiedziała, dlaczego przed nią udaje.

— Rozmyślałam...

— Naprawdę? — spytał z szerokim uśmiechem, jak gdyby powiedziała dowcip.

— O wszystkim. — Głos jej się załamał jak przestraszonemu dziecku, jak gdyby bała się stracić panowanie nad sobą.

— Wszystkim?

— Ale przede wszystkim — ciągnęła szybko — o moim poprzednim związku, tym z Anglii.

— Mówisz o tym szowinistycznym dyplomacie?

— Nie jest z nim aż tak źle, naprawdę — zaprotestowała niezbyt pewnie.

— Nie w taki sposób mówiłaś o nim kilka miesięcy temu. Pojawiła się kelnerka i wytarła rozlaną kawę, rozdzielając ich.

— Staramy się wszystko naprawić.

Przez długą chwilę nie odpowiadał, bacznie się jej przypatrując, co wprawiało ją w jeszcze większe zdenerwowanie.

— A co z nami? Wciągnęła głęboko powietrze.

— Tak naprawdę to chyba nam się nie układa, nie sądzisz?

— Nie układa się? — Uśmiechnął się, ale bez sympatii. — Mnie się zdawało, że „układało” nam się w całkiem niezłe pozycje. Oblała się rumieńcem.

— Myślałam o czymś innym...

— No więc, o czym myślałaś?

— Chcę związku, który by w końcu dokądś zaprowadził.

— Mogłabyś wyjaśnić?

— Chyba wiesz, o czym mówię.

— Nie.

Przełknęła ślinę nieco zmieszana.

— Łączy nas, jak mi się zdaje, no, powiedzmy... związek czysto fizyczny.

— Nawet bardzo fizyczny. — Miał ochotę roześmiać się jej prosto w twarz na widok rumieńca i niespokojnie zaciskających się dłoni.

— Nie chcę, żeby nie było nic poza tym — powiedziała niezręcznie, unikając jego wzroku.

— A ja chcę?

Pokręciła głową. — Nie wiem, czego ty chcesz, Ralf. — Na stole pojawiła się następna filiżanka gorącej, parującej kawy. — Czasami mówisz miłe rzeczy, ale...

— Ale co?

— Ale to chyba nie płynie z serca? — dokończyła ledwie słyszalnym głosem.

Uśmiechnął się. — Za bardzo się przejmujesz takimi sprawami.

— A nie powinno się o nich rozmawiać?

— Nie, jeśli zajmowanie się nimi powoduje taki nerwowy stosunek do mnie.

— A więc to moja wina?

— Tak, twoja wina — wmawiał jej — ale teraz nie ma to już większego znaczenia, o ile się nie mylę, ponieważ z pewnością podjęłaś jakąś niezłomną decyzję.

Jej oczy przebiegły po ogromnej sali Central Cafe,

zatrzymując się na innych gościach popijających kawę, gorącą czekoladę czy czerwone wino; na zwykłych, ale prawdziwych kochankach po prostu siedzących sobie i rozmawiających, na starszym mężczyźnie grającym w szachy, sam z sobą.

— Tak.

Sięgnął przez stół biorąc ją za rękę; musiała walczyć z sobą z całej siły, żeby jej nie cofnąć i nie skurczyć się w sobie w ucieczce przed nim.

— Przykro mi, Lauro — westchnął. — Nawet nie wiesz, jak bardzo.

— Tak już jest, Ralf, nie ma w tym niczyjej winy.

— I to już postanowione, nie zmienisz zdania? Ścisnęła dłonie aż do bólu.

— Tak, tak.

Puścił jej rękę i zmusił się do uśmiechu.

— Chciałbym cię zaprosić na kolację, po raz ostatni.

— Nie sądzę, żeby to był najszcześniejszy pomysł. — Chciała już iść, znaleźć się jak najdalej od niego.

— Zgódź się, Lauro. — Jego głos brzmiał teraz nisko, pieszczotliwie.

— Nie, Ralf. — I takie rzeczywiście było jej postanowienie. Nigdy więcej.

Ich spojrzenia zatrzymały się chwilę na sobie. Zobaczyła jego beznamietne oczy, i odwracając wzrok poczuła, że się go boi.

— Jak sobie życzysz.

Przełknęła ślinę. — Chyba już pójdę. I tak jestem spóźniona, a mam jeszcze dziś po południu przygotować długi telegram dla mojego ambasadora.

— Oczywiście.

— Do widzenia, Ralf. — Wstała.

— Do widzenia, Lauro. — Odsunął krzesło i powoli wstał razem z nią. — I powodzenia. — Ujął podaną mu z wahaniem dłoń i podnosząc ją do ust złożył na niej długi, zbyt długi pocałunek.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, cofając rękę, i nałożywszy płaszcz skierowała się do wyjścia. Spoglądał za nią uważnie, jak gdyby widział ją po raz ostatni — z tym że to wcale nie miał być ostatni raz. Bawił się jej szczeniakową decyzją, bo na razie taki stan rzeczy odpowiadał mu, ale za dwa lub trzy tygodnie zadzwoni do niej, kiedy się uspokoi, a jej nieprzyjemne wspomnienia z Węgier osłabną i staną się tylko nierzeczywistym koszmarem. Ostatecznie miał mnóstwo czasu.

Jednakże wracając na miejsce Ralf zmarszczył brwi, ponieważ ostatnie spojrzenie, którym go obdarzyła, gdy podawała mu dłoń, zraniło go, dotknęło do żywego, obrażając jego próżność. W jej oczach wyczytał bowiem „odrażający, antypatyczny, ohydny”, jak gdyby już od samego dotknięcia jego ręki wszystko jej się w środku wywracało i zbierało jej się na wymioty. Wyglądnał przez okno na przechodniów, małe ludziki z ich małymi marzeniami o małych rzeczach. Usta uformowały mu się w wąską linię i z zaciśniętymi w pięści dłońmi schowanymi pod stolikiem, zwięzonymi oczami przyglądał się tym małym ludzikom na ulicy.

— Prawie nie tknęłaś jedzenia...

Kristina podniosła wzrok znad stwardniałego Wiener-schnitzela i spojrzała na matkę.

— Nie jestem specjalnie głodna.

Jej matka westchnęła głośno, z przesadą.

— To z powodu tego Żyda, tego człowieka... Wiedziałam, że się na nim zawiedziesz.

— Nie zawiodłam się na nim — odrzekła. — A poza tym, najpierw jest „człowiekiem”, a później dopiero „Żydem”, matko.

Augustina potrząsnęła głową, jakby nie przyjmując tego do wiadomości.

— Tante Lilibet mówiła mi ostatnio, że Hansa Wittiga opuściła żona — no, to jest miły człowiek!

— Nie interesuje mnie Hans Wittig, w najmniejszym

stopniu, matko, a gdyby przypadkiem umknęło ci to z pamięci, przypominam ci, że ma chyba z siedemdziesiąt lat.

— Sześćdziesiąt pięć — odpowiedziała matka machając niecierpliwie ręką. — I co z tego? Co to jest sześćdziesiąt pięć lat, pytam, jaką różnicę ci to sprawia? Jest bogaty, bogaty, Kristino, i nadal może *to* robić, jak mi mówiła Tante Lilibet...

— A skąd ona może wiedzieć o takich sprawach?

— Jego żona powiedziała jej.

— To może dlatego odeszła od niego?

— Starasz się za wszelką cenę być niemożliwa. Kristina wbiła wzrok w stygnącą marchewkę na jej

talerzu i ogromną furę dymiących kartofli podanych jej przez matkę.

— Nie.

— Co nie?

— Pierwsze „nie” — nie staram się być niemożliwa, i drugie „nie” — nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowana Hansem Wittigiem czy jego pieniędzmi, czy też tym, że jeszcze może *to* robić.

Pograżyły się w milczeniu, które rozciągało się w długie minuty, podczas których jej matka jadła, Kristina zaś słuchała jej mlaskania i odgłosu nabieranego jedzenia ginącego następnie w starczych, drżących ustach.

— A więc nadal chodzi o tego Żyda — powiedziała wreszcie wycierając usta różową serwetą. Serwety były równie stare co ona, ale ledwie wystrzępiły się trochę na bokach.

— Nie mów o nim w ten sposób.

— Ale przecież jest Żydem.

— Jesteś bardzo nieuprzejma, wiesz o tym, prawda?

— Bzdury — odpowiedziała. — Co może być złego w stwierdzeniu faktów?

— A co jest złego w powiedzeniu „jesteś nieuprzejma”? Bo to właśnie jest faktem, tak samo jak faktem jest, że nadal żyjesz w przeszłości i masz zamiar tam zostać,

z tymi wszystkimi swoimi staroświeckimi, pomyłonymi ideami.

— *Gott im Himmel*, Kristino, czy we własnym domu nie mogę mówić, co mi się podoba!?

— Kocham Sama, matko.

Stara kobieta zaczęła starannie zwijać serwetę, odkładając ją następnie z powrotem na stół.

— Kochałaś wielu mężczyzn.

— Ale nie tak.

— Ożeni się z tobą?

— Nie wiem.

— Nie wiesz — westchnęła. — Co to za odpowiedź: nie wiem?

Kristina milczała, ale czuła zdradliwe szczypanie oczu, ponieważ jej matka zaczęła niebezpiecznie dotykać jej własnych obaw.

— Chcesz jeszcze trochę wina, matko?

— Nie, przynajmniej jedna z nas musi mieć jasny umysł, a ty go nie masz.

Z opuszczonymi oczami, żeby nie pokazać matce swojej rozterki, Kristina nalała sobie chłodnego wina i następnie wzięła kieliszek do rąk, by mógł ochłodzić jej rozgrzane dłonie.

— Sądzę, że chodzi o jego żonę — stwierdziła jej matka.

Nie doczekała się odpowiedzi.

— Prawda?

— Tak.

— Znów przyjeżdża?

— Tak.

— I to cię gnębi?

Kristina wzięła do ust duży łyk wina i odwróciła się do kominka; trzeba będzie dołożyć drewna, bo inaczej zgaśnie.

— Mają córkę — wyszeptała prawie że niesłyszalnie.

— I poprzez nią ta kobieta chce go odzyskać?



Kristina przytaknęła.

— Sztuczka stara jak świat. — Przez chwilę przyglądała się córce, a następnie i ona zapatrzyła się w kominek. — W ten sposób omal nie straciłam twojego ojca.

— Ojca? — Kristina podniosła wzrok.

— Miał oczywiście kochankę.

— Nie miałam pojęcia.

— Pewnie, że nie miałaś — rzuciła poirytowana. Nawet nie było cię jeszcze wtedy na świecie. — Przerwała na chwilę. — W tamtych latach było to bardziej w modzie, choć nie sądzę, żeby od tego czasu wiele się zmieniło... Była wdową, chyba dość urodziwą, ale bez biustu — twój ojciec lubił chłopięce sylwetki...

— Miała z nim dziecko?

— Tak. — Augustina zacisnęła usta. — Chłopca. I przez wiele lat twój ojciec spędzał więcej czasu z nią i dzieckiem niż ze mną. — Praktycznie rzecz biorąc, mieszkał z nią na stałe, Augustina zaś pogardzała nim, nienawidziła go, a najbardziej — promieniującego z niego szczęścia. W jej głowie powstała nawet szalona myśl, żeby zabić tę przeklętą kobietę, ale aż tak nie straciła rozumu, więc zamiast tego czekała, czekała, czekała. — Rozwód byłby skandalem, nawet wtedy, a ja sama nie chciałam, żeby wyszło na jaw, iż mój mąż woli ramiona innej kobiety, i że tamta urodziła dziecko, a mnie się nie udało. — Ale i tak wszystkie jej przyjaciółki wiedziały, cały Wiedeń wiedział. Nawet w szalonych czasach pierwszych lat wojny, kiedy działy się rzeczy o wiele ważniejsze. — I co zrobiłaś.

— Wzięłam sobie kochanka na jakiś czas. Kristina nie mogła uwierzyć. Jej matka?

— Byłam wtedy piękna... — Obróciła nagle oczy na córkę, jak gdyby śmiała jej zaprzeczyć. — Miał na imię Walther i był w Luftwaffe — jako niemiecki oficer, oczywiście. Został zestrzelony podczas lotu nad Jugosławią, nad Belgradem. Jego samolot musiał lądować

w górach — ciągnęła cicho dalej. — Ludzie stamtąd, wieśniacy z pobliskiej wioski i partyzanci, dosłownie rozerwali go na strzępy... w końcu zrobili zdjęcia i wysłali je do jego jednostki, jako „ostrzeżenie”, ale nadeszło zbyt późno, ponieważ zgodnie z rozkazem Hitlera Belgrad został już zrównany z ziemią. — Usta wykrzywiły jej się w lekkim, nieszczęśliwym uśmiechu. — Ale, oczywiście, Walther umarł za ojczyznę, jakby to mogło przydać piękna jego śmierci. Tylko że śmierć nie jest piękna... nie taka, nie taka. — Augustina przerwała i ocknąwszy się popatrzyła na swoje dłonie, jak gdyby nie mogła pojąć, że te sztywne, bezbarwne dłonie należą do niej.

— Potem nie miałam już innego kochanka, a poza tym, mimo wszystko, nadal pragnęłam twojego ojca, był moim mężem. Moim. — Dotknęła lekko swoich włosów. — Często był nudny, często surowy, ale taki przystojny, taki wielki, wspaniały — już samo spojrzenie na niego sprawiało mnie czasem o bicie serca. Ale wtedy należał do tamtej. — Obróciła się do Kristiny. — Czy myślisz, że skoro jestem stara, to takich rzeczy nie pamiętam? Czy myślisz, że skoro mam osiemdziesiąt dwa lata, to wszelkie gwałtowne uniesienia są już poza mną? Natura jest okrutna, pozwala, by powłoka się psuła, ale wewnątrz, wewnątrz jest zawsze młode, zawsze pełne szalonych wspomnień, słodko-gorzkich wspomnień, które czyniły życie pięknym i możliwym do zniesienia. — Potrząsnęła głową. — Teraz możesz mi nalać wina.

— I ojciec wrócił?

— O, tak, oczywiście, że wrócił. — Uniosła kieliszek do ust. — Nie miał się gdzie podziać i potrzebował mnie wtedy, pragnął ode mnie nawet współczucia, i otrzymał je.

Kristina patrzyła badawczo na matkę, z wyrazem zdziwienia na twarzy, nie mogąc uwierzyć.

— Ja chyba nie byłabym w stanie tego zrobić.

— Zgoda — odpowiedziała. — Ale weź pod uwagę, że w jego i moim życiu nie było już nikogo więcej i było mało

prawdopodobne, że ktoś mógłby się pojawić. Widzisz, twój ojciec nie był typem kobieciarza, Don Juana — tego bym nie zniosła, nie tolerowałabym skakania z kwiatka na kwiatek, nielojalności tego typu, ponieważ byłam dobrą żoną — ale najprościej w świecie zakochał się w kimś innym. Wiedziałam, że to nie był przelotny flirt, jak to się dzisiaj mówi, i w jakiś sposób ułatwiło nam to życie; zważywszy, że dowiedziałam się o śmierci tamtej, a duchów się nie boję.

— I później ja się urodziłam.

— Tak.

Siedziały obie w milczeniu, matka i córka, ze wzrokiem utkwionym w żółtych płomieniach gasnącego na kominku ognia.

— Ale ta historia nie pomoże ci, Kristino, w rozwiązaniu twoich problemów z tamtą kobietą.

— Nie, być może nie, jednakże bardzo się cieszę, że mi ją opowiedziałaś. Przez chwilę na tle ognia widać było nieruchomą sylwetkę siedzącej Augustyny, potem wyciągnęła przed siebie kieliszek z niemym rozkazem. Kristina sięgnęła po butelkę Mosela i nałała jej wina.

Christopher spał. Elizabeth zostawiła starannie zapakowany prezent w nogach jego łóżka i wróciła do saloniku. W mieszkaniu było bardzo cicho; Grace była u siebie w pokoju, a John wyjechał do Salzburga na odprawę. Przez telefon powiedziała mu, żeby się jej spodziewał jutro, w poniedziałek, w dniu jego powrotu, ale przyjechała wcześniej, ponieważ chciała się znaleźć w domu sama, aby uniknąć dramatycznych sytuacji i w samotności zobaczyć się z synkiem — chciała go mieć tylko dla siebie. Czekano na nią wiele wiadomości, ale żadna od Karła. Spojrzała na telefon i zamknęła oczy. Zadzwoń do niego i powie mu, że wszystko skończone, że ich związek nie ma przyszłości, ze względu na jej dziecko, na Christophera. Ale to by było zbyt łatwe i proste; głupotą z jej strony był

nawet sam fakt hołubienia takiej myśli — Karl nie zostawiłby tego w ten sposób. I zdawała sobie sprawę, że zjawiłby się tutaj, gdyby ona nie poszła do niego, ponieważ nie bał się już Johna i konsekwencji, jakie jego postępowanie mogłoby przynieść, jeśli w ogóle kiedykolwiek miał takie lęki.

Usiadła splatając mocno ręce, czując rozszarpiący ból w głowie wywołany paniką, zamętem i ciężarem sytuacji.

Uniósłszy głowę spojrzała na ogromny monotonicznie tykający zegar z wahadłem; z ulicy dochodziły ją dalekie odgłosy, przez co pokój wydawał się odizolowany, a ona czuła się jak gdyby poza rzeczywistością i światem zewnętrznym. Pragnęła go. Poczowała suchość w gardle, kiedy obraz jego twarzy wkradł się w jej myśli jak nieproszony gość, i z ust wyrwało jej się ciche, rozpaczliwe westchnienie, jak gdyby był tu przy niej, gładził w pieszczocie jej plecy, pozbawiając ją woli. Wstała, weszła do hallu i ze starej edwardiańskiej komody podniosła swój płaszcz. Na dworze nie było specjalnie zimno, ale wiał prężny wiatr, przeszywający do szpiku kości wiatr.

Karl stał przy oknie patrząc na pstrokata szachownicę dachów starego Wiednia. Rozpoznał wieżę katedry Św. Stefana, jednocześnie mocną i wysmukłą — fragment gotyku w centrum miasta. Przypomniał sobie jakiegoś delegata, który z entuzjazmem opowiadał mu o znajdującej się pod katedrą krypcie wypełnionej po brzegi ludzkimi kośćmi, ale jego nie interesowały kości ludzkie. Odwrócił się twarzą do środka pokoju i jego wzrok I zatrzymał się na stoliku do kawy przykrytym jak zwykle stosami papierów, dokumentów, listów. W tym momencie I zadzwonił dzwonek. Ściągnął brwi, a następnie ruszył powoli i niechętnie w stronę drzwi, automatycznym j gestem dłoni odgarniając włosy z czoła i wygładzając je, aby lepiej się prezentować. Kiedy otworzył zamek i uchylił drzwi, przed nim stała Elizabeth. A więc przyszła do

mnie, a więc jednak, pomyślał, ale widząc wyraz zagubienia i męki na jej twarzy, zapadnięte oczy, z których wзираł bolesny żal, nie odważył się otwarcie cieszyć, że przyszła, że była tu z nim.

— Musiałam się z tobą zobaczyć — powiedziała. Karl odsunął się i wpuścił ją do środka.

— Napijesz się czegoś?

— Nie, nie, dziękuję — odrzekła wbijając głębiej ręce w kieszenie płaszcza. — Nie chcę się zatrzymywać.

Poczuł ściskanie w gardle i skurcz w żołądku, gdy spojrzała na niego.

— Nie mogę się z tobą więcej spotykać — powiedziała kręcąc głową. — To niemożliwe... ze względu na sytuację, na wszystko; to nie ma sensu. Ale wiedziałam, że gdybym nie powiedziała ci tego osobiście, nie zostawiłbyś mnie w spokoju.

— Więc to jest ta doniosła decyzja, którą podjąłeś w czasie swojej ucieczki? — spytał cicho, pozornie spokojnym głosem. — Nie myliłeś się sądząc, że nie zostawiłbym cię w spokoju, ale pomyliłeś się sądząc, że w jakikolwiek sposób uda ci się mnie do tego przekonać. Myślisz, że tak łatwo wywierać na mnie wpływ. Na rany Boga, Elizabeth!

— Nie było... nie jest mi łatwo...

Przez dłuższą chwilę przeszywał ją wzrokiem, pod którym opuściła wreszcie oczy.

— Elizabeth...

— Nie, Karl.

— Wcale tego nie chcesz, wiesz, że tak jest. — Kilkoma krokami przebył dzielącą ich przestrzeń i czekał, aż spojrzy mu w oczy.

— Muszę już iść.

— Nie — powiedział prawie zduszonym głosem. Podniósł rękę do jej policzka i pieszczotliwie przesunął po nim palcem, następnie przesuwając go w dół dotknął zarysu jej miękkich, lekko nabrzmiętych ust.

Przymknęła oczy.

Pokręciła głową, ale wiedział, że był to jedynie pusty, nic nie znaczący gest, bo teraz już nie odejdzie, było za późno.

— Dlaczego to robisz? — Otworzyła oczy. — Czy nie rozumiesz, że to do niczego nie prowadzi. — I tak właśnie było, czyż nie.

— Dlaczego nie? — spytał miękko. Ale teraz nie miał ochoty rozmawiać, mogli to zrobić później; teraz chciał się z nią kochać, ponieważ tylko o tym był w stanie myśleć, od czasu kiedy wyjechała, o tym jedynym atucie, jaki mu pozostał.

— Wiesz dlaczego — odpowiedziała bezradnie i niepotrzebnie.

Poczuła na szyi jego dłonie, pieszczotliwe dłonie gładzące jej pulsującą życiem skórę, blade dołeczki, pod którymi tętniła krew, aż pomyślała, że zemdleje, że nie zniesie już dłużej tej pieszczoty, tego dotyku. I kiedy wreszcie znalazł jej usta, już czekały, otwarte i gotowe, chętne, gorące i słodkie ponad wszelką możliwość. Rozpiął guziki jej płaszcza i pozwolił mu opaść na podłogę, a następnie wziął ją w ramiona i nim zdała sobie sprawę, co robi, zaniósł ją po schodach do swojej sypialni. W milczeniu czekała, aż rozbierze ją i siebie, i kiedy w pogłębiającej się ciszy przysunął się do niej, zastanawiała się, dlaczego usiłowała protestować, po co udawała — bo przecież jej zachowanie nie było niczym innym, jak udawaniem. W całym świecie, w całym jej życiu nie było chwili, której oczekiwałaby z większą niecierpliwością, niż tych chwil bycia z nim. W milczeniu wsunął się na nią i rozchylonymi wargami przykrył jej usta, a wtedy instynktownie uniosła biodra w oczekiwaniu, aż do niej wejdzie, ponieważ tylko tego chcieli — żadnych wstępów, żadnych czułych pieszczot dających przedsmak tego, co nastąpi, nic, tylko połączenia, teraz, natychmiast. I już podczas rytmicznego ruchu jego ciała nie mogła uwierzyć, że fizyczna bliskość Karla potrafi wszystko zagłuszyć, że

potrafi ją przenieść poza obawy, tęsknotę, samotność i ból. Nie chciała uwierzyć, że ta wybuchająca z nagłą gwałtownością paląca rozkosz może nie być dobra, piękna i wspaniała i że należy tylko do nich.

— Nie musisz wracać.

Przyciągnął ją do siebie, tak że leżała teraz na jego piersi.

— Muszę.

— Zostaw Johna. Nie odpowiedziała.

— Zostaw Johna — wyszeptał. — Dla mnie, dla nas.

W ustach Karla imię jej męża brzmiało jak najzwyklejsze inne słowo, nie oznaczało tego samego co dla niej — człowieka z krwi i kości, którego znała, który ją kochał i któremu na pewno nie spodobałoby się, gdyby usłyszał, jak mówi mu, że jest „dobry, kochany i miły”.

— Nie nalegaj, Karl, proszę. — W jej odpowiedzi nie było za grosz przekonania, mogła równie dobrze nie odpowiadać, ale nie umiała się zdobyć na nic innego, przynajmniej na razie.

— No to co mam powiedzieć? Co, do licha, mam robić? — Spytał cicho, błagalnie. — Pragnę cię, chcę spędzić z tobą całe życie, jeśli to, co mówię, nie brzmi nazbyt teatralnie. — Szarpnął ją leciutko za włosy, które gęstą zasłoną odgradzały jej twarz od niego. — Przecież to jest miłość, prawda? Kochamy się i nic innego nie powinno mieć znaczenia.

— Tobie jest dużo łatwiej, Karl.

— Wiem — westchnął. — Wiem.

— I mam jeszcze syna.

— Nie zapomniałem o tym.

Usiadła. Sycił wzrok widokiem jej przepięknej, zarumienionej twarzy i badawczych szarych oczu.

— Były czasami takie chwile... jeszcze przed moim wyjazdem do Wiednia... kiedy budziłam się z bolesnym

pożądaniem, gorącym pragnieniem ciebie, smakując na wargach smak twojej skóry...

Poczuł walenie w skroniach i uczucie duszności w piersiach.

— Przestań...

— Nie mogę. — I nagle zapragnęła go znów, chwyciła jego dłonie i przycisnęła je do swoich piersi. — Czy naprawdę sądzisz, że dałabym ci jeszcze raz odejść z mojego życia. Czy sądzisz, że tego właśnie chcę? Odchyliła głowę w cichym spazmie rozkoszy, gdy pochylił się nad nią i zamknął usta na jej sutku. Jej dłonie przesuwwały się zaborczo po jego plecach, ramionach i ciepłym, wspaniałym karku; i tylko w jakimś mrocznym zakątku jej mózgu czaiło się pytanie, jak powie Johnowi? John. Ale gdy Karl ponownie pociągnął ją w dół za sobą, poddała mu się i zamykając oczy odsunęła jak nadal od siebie tę myśl.

— Właściwie to zwykły zbieg okoliczności, że dzwonię — powiedziała Madeleine. — Jak było w Londynie?

— Byłam w hrabstwie Kent, Madeleine, u rodziców.

— I wszystko w porządku?

— To znaczy?

— Ależ nic, nic — odpowiedziała pośpiesznie. — Po prostu wydawało się to trochę dziwne, to twoje nagłe zniknięcie.

— Wcale nie zniknęłam, Madeleine, po prostu miałam ochotę na krótki odpoczynek, to wszystko.

— Muszę powiedzieć, że John wyglądał na wyraźnie zagubionego bez ciebie.

— John bardzo dobrze sobie radzi beze mnie — odparła, wiedząc jednak, że to nieprawda. Poczula wzruszenie, pragnąc z całej mocy, żeby tamta wreszcie się wyłączyła.

— Wiesz, że nie masz zupełnie racji. — Nie rezygnowała Madeleine. — John jest taki jak Olaf, typ mężczyzny, który musi mieć żonę przy sobie, mężczyzny,



który bez żony jest niekompletny. — Roześmiała się. — Zadziwiające. — Nie miałam pojęcia, że chodziłaś na kurs „małego psychoanalityka”, Madeleine — przygadała jej, choć w głębi duszy zaskoczona była spostrzegawczością przyjaciółki, ponieważ mówiła prawdę, prawdę, której Elizabeth nie chciała sobie uświadamiać.

— Chodzę na całą masę kursów, o których nawet ci się nie śniło, Elizabeth — zachichotała. — A tak a propos, jak się miewa twój przyjaciel?

— Mój przyjaciel?

— Tak, twój „przyjaciel” Karl — spytała aż za swobodnie. — Karl Nielsen.

— Chyba dobrze, o ile wiem. — Elizabeth przymrużyła oczy. — Przecież wiesz, że mnie tu nie było, Madeleine.

— Och, oczywiście — powiedziała szybko. — Ale gapa ze mnie. Jest bardzo przystojny. Przypomina mi trochę tego amerykańskiego aktora, Roberta Reynoldsa, ale ma ciemniejsze włosy.

— Myślisz o Redfordzie.

— Ach tak, oczywiście.

— Jestem trochę zmęczona, Madeleine.

— Właściwie, dzwoniłam wcześniej, ale wasza Grace powiedziała, że wyszłaś...

— Madeleine, naprawdę jestem zmęczona — powtórzyła Elizabeth puszczając mimo uszu ostatnią uwagę. — A poza tym spodziewam się telefonu od Johna — skłamała.

— To co, naprawdę nie możesz przyłączyć się do nas dziś wieczorem?

— Nie mam ochoty na brydża o tak późnej porze — powiedziała znużonym głosem. — A poza tym, jak już ci nieraz mówiłam, brydż nie należy do moich ulubionych rozrywek.

— Daj spokój, zawsze istnieje nadzieja, że uda mi się przekabacić cię. Jest jeszcze młoda pora, przygotowałam królewski bufet.

Ta kobieta odznacza się delikatnością hipopotama, pomyślała Elizabeth.  
— Nie, naprawdę. Muszę się jeszcze rozpakować.  
— Choć na chwileczkę, co?  
— Nie, dziękuję, Madeleine. — „Chwileczka” przeciągnęłyby się do pierwszej w nocy — brydżowe spotkania Madeleine często trwały do wczesnych godzin rannych. — Naprawdę nie mam ochoty.  
— Psujesz całą zabawę, Elizabeth — powiedziała Madeleine ledwie hamując irytację. — W końcu, nie było cię jakiś czas i wszyscy się za tobą stęsknili.  
— Jestem pewna, że nikt nawet nie dostrzegł, że mnie nie było.  
— Jesteś zbyt skromna, moja miła.  
— Jestem pewna, że poradzisz sobie świetnie beze mnie.  
— Będzie mnóstwo interesujących ludzi trochę później — ten ciemnowy, przystojny ambasador włoski i jego olśniewająca żona; aktor, który grał główną rolę w „Salome”, i obiecał coś zaśpiewać, kilku cudownych muzyków austriackich i rosyjski książe, który ma kolekcję wiktoriańskich erotyków i obiecał przynieść kilka najzabawniejszych.  
— Nie, Madeleine.  
— Zaprosiłam nawet tego strasznie zabawnego pijaczka z ambasady szwedzkiej...  
— Madeleine, proszę.  
— Żartowałam, kochanie... — Westchnęła dramatycznie i następnie dodała cichym intymnym głosem: — Zdaje się, że nie jesteś w stanie ulec żadnej pokusie, prawda Elizabeth?  
Elizabeth poczuła, że do twarzy napływa jej krew.  
— Dobranoc, Madeleine.  
— Dobranoc, Elizabeth.

Genevieve przerwała i podniosła głowę znad biurka. Miał to być długi list i prawdopodobnie napisała w nim rzeczy, których nie powinna była napisać, zadała pytania, których nie powinna była zadać. Ale Sophia nadal była jej dzieckiem, nawet jeśli potrafiła samodzielnie podejmować ważne i nagłe decyzje, jak choćby przyjęcie stypendium w kraju na drugim końcu świata. Spojrzała na staranne litery, których napisanie nie odbyło się jednak bez pewnego wysiłku; dostawała gęziej skórki, ilekroć miała napisać list, choćby adresatem była jej własna córka. Wiązało się to z pewnymi wspomnieniami z dzieciństwa, które jeszcze po tylu latach wywoływały w jej w sercu ból. Aż do czasu, kiedy miała dziesięć lat i odkryto, że cierpi na lekką dysleksję, powszechnie uważano, że jest po prostu niezbyt rozgarnięta, i to poczucie „bycia głupim” tak się w niej zagnieździło, że nigdy do końca nie była pewna swojej ortografii, nigdy też, trzymając napisany przez siebie list, nie była w pełni z niego zadowolona, zawsze dręczyło ją poczucie własnej ignorancji. Zawsze. Przełknęła powoli ślinę starając się odpędzić wspomnienia i skoncentrować na zakończeniu listu, który, jak stwierdziła ze smutkiem, nie był akurat specjalnie wymyślny; miał jedynie rozproszyć jej wątpliwości i obawy, prosiła o podanie szczegółów dotyczących stypendium, chciała też wiedzieć, gdzie lub z kim Sophia zamieszka, i wreszcie — czy przyjedzie na wakacje do domu? Typowy list matki.

Odłożyła pióro i podniosła się z wysiłkiem; u Felixa w biurku były jakieś znaczki, była tego pewna, ponieważ w takich sprawach był zawsze znacznie lepiej zorganizowany niż ona. Felix miał wrócić późnym wieczorem, a Gunther wyszedł, tak że miała cały dom dla siebie — prawdziwie luksusowa sytuacja, tyle że jakoś jej to nie cieszyło.

Przeszedłszy przez wykładaną marmurem galerię zeszła schodami do jego gabinetu. W zamku był klucz, ale ciężkie, drewniane drzwi były uchylone, więc popchnęła je, tak lekko, że wchodząc otarła się ramieniem o framugę.

Był to typowy pokój mężczyzny, pokój Felixa. Ściany wyłożone były boazerią z drewna orzechowego, po jednej stronie w szklanej gablocie stały w stojaku wiatrówki i strzelby myśliwskie, a po drugiej wisiało kilka trofeów myśliwskich — dwa okazałe, starannie odkurzone i wypolerowane do połysku poroża jeleni, srogo wyglądająca głowa dzika oraz trzy wypchane bażanty o długich lśniących ogonach. Nie lubiła ich oglądać, tych patrzących na nią, pięknych i dumnych głów, zredukowanych tutaj do funkcji ozdób na ścianę. Pomiędzy nimi stał osiemnastowieczny świecznik przywieziony przez Felixa z zamku — potężny, prawie tak wysoki jak ona, z rzeźbionymi ramionami podtrzymującymi lichtarze i maleńkimi, ostrymi ząbkami przypominającymi stalaktyty, umieszczonymi na ich krawędziach; podstawę, grubą jak ramię mężczyzny, oplatały dwa chińskie węże z otwartymi syczącymi paszczami. Odwróciła się i odsunęła z oczu kosmyk włosów. Pokój przesycony był wonią pasty, starej skóry, oliwy do czyszczenia broni i nikłym, a mimo to intensywnym, słodkim zapachem wody kolońskiej Felixa, której nigdy jej się nie udało polubić.

Genevieve podeszła do stojącego przy oknie biurka z zamykanym na roletę blatem i otworzyła górną szufladę, ale znalazła w niej tylko koperty i papier listowy. W drugiej był stos skoroszytów, w których mieściło się wszystko — począwszy od dokumentów dotyczących dzieci,

a skończywszy na rachunkach za prąd, nawet sprzed pięciu lat. Felix doskonale sobie radził z wszelkimi sprawami papierkowymi: pisaniem listów, gromadzeniem i porządkowaniem rozmaitych dokumentów, nigdy niczego nie wyrzucał. Dolna szuflada zawierała jedynie pękata brązową kopertę, która wybrzuszyła się i pękła na boku ukazując plastikowe pudełko. Ze zmarszczonymi brwiami wyciągnęła je i odwracając w rękę odkryła, że była w nim kasetka video produkcji duńskiej. Na wyuzdanej, lubieżnej okładce były częściowo rozebrane lub zupełnie nagie kobiety, a raczej ich rysunkowe karykatury — pełne przesadnego seksu postacie z obfitymi biustami i wilgotnymi, nabrzmałymi wargami o czerwonym połysku.

Z wolno bijącym sercem odłożyła kasetę na biurko Felixa i wzięła do ręki książkę. Była napisana po niemiecku i również zawierała rysunki kobiet, z tym że te były czarno-białe i przedstawiały żalosne kreatury o zniszczonych twarzach, szczerzące zęby w sztucznym uśmiechu. Nagle znieruchomiała bezradnie na krótką, bolesną chwilę, niezdolna ogarnąć tego, co zobaczyła. Spomiędzy kartek wypadł list, list do Felixa, zaczynający się od słów *Mein geliebter, mein lieblich*, w którym wiele było o wzajemnej miłości jego autorki i Felixa, o tym, jak bardzo za nim tęskniła, jak bardzo pragnęła go zobaczyć, słuchać, dotykać i znowu się z nim kochać, i jak bardzo jej smutno, że jest nieszczęśliwy, że „tyle musi dźwigać na swoich barkach”... Podpisane było „twoja Doris”.

Genevieve stała zupełnie bez ruchu; jakby zatrzymały się jej wszystkie funkcje życiowe, prócz wolnego, głośnego bicia serca odbijającego się ponurym echem w jej uszach. Znalazła jeszcze jeden list, od innej dziewczyny o imieniu Eva, która „nigdy nie zapomni tych przepięknych chwil, jakie razem spędzili”; napisała nawet wiersz, sonet miłosny dla Felixa, jej męża.

Genevieve próbowała zwalczyć ściskające ją za gardło rozpaczliwe uczucie goryczy; zastanawiała się, czy ta

dziewczyna, ta Eva, zdawała sobie sprawę, że jest żonaty, że ma dwoje dzieci i że oprócz niej były jeszcze inne kobiety — to bowiem stawało się teraz jasne — i że nie był lojalny w stosunku do żadnej z nich.

Wykorzystywał je tylko i w sposobie, w jaki to robił, przejawiała się cała jego arogancja, jak gdyby za mało mu było, że z nim sypiają, żądał więcej, chciał, żeby wielbiły go i kochały, a właściwie nie jego, lecz tego innego Felixa, który naprawdę nie istniał. I to było okrutne. Oblizwała spierzchnięte wargi.

Pod książką i listami były fotografie, mnóstwo fotografii, i bez oglądania ich wiedziała, co dokładnie przedstawiały, były to bowiem te same zdjęcia, które widziała wcześniej u Gunthera. Nic dziwnego, że tak się z niej śmiał, skoro wiedział, że należą do ojca i że w związku z tym nie będzie żadnych konsekwencji, żadnej reprimendy ani kary — bo to on nakrył ojca, a nie ojciec jego. Z bolesnym wstydem przypomniała sobie jego twarz i obraźliwe, szydercze spojrzenie, jakim ją wtedy obdarzył. Nic dziwnego, nic dziwnego. Jakżeż wydawała mu się wtedy głupia, jak bezdennie głupia!

Usiadła w ozdobnym krześle Felixa z wysokim oparciem, kładąc ręce na szerokich poręczach z rzeźbieniami w kształcie winorośli, winogron i cherubinków. Szumiało jej w głowie i mąciły jej się myśli, mimo to zaczęła przypominać sobie z wolna wszystkie te razy, kiedy wracał późno do domu, kiedy wypuszczał się na jeden z tych swoich „dłuższych spacerów” po mieście, zostawiając ją na całe godziny, wszystkie te razy, kiedy wyjeżdżał w sprawach służbowych i pod takim czy innym pretekstem nie mógł zostawić jej numeru telefonu, pod którym mogłaby się z nim skontaktować. Nic dziwnego. Położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy poddając się uczuciu potwornego smutku.

A kim ona była dla niego? Na pewno nie kobietą, w tym prawdziwym sensie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy

po raz ostatni czuła jego dotyk, ale dotyk wyrażający bliskość, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni Felix kochał się z nią. Z całą świadomością musiała zapomnieć o pewnych funkcjach swego ciała, ale przyjmowała to obojętnie, gdyż nigdy nie grały większej roli w jej życiu; nigdy nie odczuwała większej przyjemności podczas ich zbliżeń i z trudem przypominała sobie pożądanie, nie mówiąc już nawet o namiętności czy nieopanowanej żądzy — nic z tych rzeczy, o których naczytała się w romantycznych powieściach i o których sądziła, że pewnie stanowią chleb powszedni życia pięknych kobiet w wytwornym świecie. Ona zbudowała swe życie wokół rodziny: wokół Felixa, Gunthera i Sophii, a teraz nagle to wszystko zniknęło. Wstała i podeszła do okna, za którym ujrzała ogród i drzewa witające wiosną pąkami rozkwitającymi w ostrym, wspaniałym lśnieniu pewnego siebie słońca. Maj będzie przepiękny, czuć to było w powietrzu, tę kojącą łagodność, którą wkrótce zastąpi skwarliwe lato, gdy wąskie wiedeńskie trotuary zapełnią się stolikami do kawy, parasolami i ludźmi: rozleniwionymi od upału ludźmi w okularach przeciwsłonecznych i z kurtkami przewieszonymi przez ramię. I nagle Genevieve zdała sobie sprawę, że w miejscu, które kiedyś napełnione było miłością, nie ma teraz nic, wpełzała w nie dziwna pustka, jałowa próżnia. Genevieve zamrugła, czując szczypanie oczu, i w zupełnej ciszy spod powiek zaczęły jej się toczyć łzy, a w środku rosło uczucie coraz większej rozpacz.

— Wybraliśmy ten dom, ponieważ jest taki przestronny, taki dumny... taki... taki wiedeński. — Żona ambasadora brazylijskiego gestykulowała zawzięcie, jakby jednym gestem swej wypielegnowanej dłoni z nieskazitelnym manicure'em chciała ogarnąć cały ten ogromny pokój. Posłała Elizabeth olśniewający uśmiech i skupiła się teraz na prezentowaniu naprawdę znakomitych dzieł sztuki zdobiących ich nowe mieszkanie. — To tradycyjne

motywy brazylijskie, pani Thornton. Pomyślałam sobie, że doskonale się będą komponować z atmosferą art nouveau przesycającą całe to przepyszne wiedeńskie mieszkanie.

— Bardzo interesujące zestawienie — ostrożnie zauważyła Elizabeth; bo rzeczywiście było interesujące, choć mogło trochę kłuć w oczy.

— Klimt jest ostatnio moim najulubieńszym artystą, on i Lalique, oczywiście z zupełnie innych powodów. — Westchnęła z zadumą i następnie dodała swoim słodkim jak ulepek głosem: — Był jednym z pierwszych przedstawicieli art nouveau malujących kobiety z taką, nazwijmy to, „niepokojącą zmysłowością”. — Powtórnie westchnęła. — Jakże się cieszę z pobytu tutaj, nawet nie wie pani, jak bardzo. W porównaniu z Kairem Wiedeń wydaje się taki cywilizowany, tak kulturalny, a poza tym po jakimś czasie można już mieć dość stale świecącego słońca i nieustannych kłopotów z nieuczciwą i nierzetelną służbą. — Zachichotała jak mała dziewczynka. — Na szczęście w ciągu tych kilku miesięcy mojemu mężowi udało się już jakoś urządzić w tym prześlicznym mieście i usamodzielnąć, tak że nie będę już musiała dotrzymywać mu bez przerwy towarzystwa i — mając szczerą nadzieję, że rokowania jeszcze trochę potrują — chciałabym poświęcić trochę wolnego czasu na „artystyczne polowanie”, nim wyjedziemy.

Elizabeth obruszyła się w duchu zastanawiając się, jak pozbyć się Brazylijki. Maria Marajo była typową przedstawicielką pewnego rodzaju żon dyplomatów — zbyt upozowanych, zbyt podkreślających swe wyrafinowanie kobiet, które lubiły używać swojego statusu do osiągnięcia trywialnych i osobistych celów. John nazywał taką postawę „nadużywaniem swojej pozycji”, i Elizabeth pilnie się jej wystrzegła. Istniało powiedzenie, bardzo stare: „Choćbyś Wasza Dostojność nie wiem jak był bogobojny, i tak nie uwierzę, żeś do cna dostojny”. Ich ambasado-



rowa, Lilian, była z kolei starą wytrawną wygą dyplomatyczną, ekscentryczka nie do podrobienia, o umyśle ostrym jak brzytwa i skłonności do hektolitrów sherry; pałaca od czasu do czasu cygaro i ciągle zamartwiająca się o ich nastoletnie dzieci, które przebywały w szkole w Anglii. Dla swego męża była w stanie zrobić wszystko — w sensie jak najbardziej dosłownym: od zajmowania się rachunkami po omawianie jego przemówień i szlifowanie jego znajomości języków, w czym przejawiał się jej naturalny talent. Lilian była wspaniała, Lilian była kimś, komu — jak Elizabeth zdała sobie sprawę z zaskakującym ukłuciem zazdrości — nigdy nie dorówna.

— Obawiam się, że większość uczestników ma nadzieję na coś wręcz przeciwnego, to znaczy szybkie zakończenie rozmów.

— Och, tak, oczywiście. Wszyscy jesteśmy naturalnie zaniepokojeni nasilającymi się problemami z ochroną środowiska — odrzekła Brazylijka ostrożnie.

Elizabeth zareagowała automatycznie wyćwiczonym uśmiechem. Brazylia miała dużą i znaczącą rolę do odegrania w toczących się rozmowach, stąd ten szczególny nalot gości na to właśnie cocktail-party urządzone przez ambasadora brazylijskiego jako swego rodzaju „parape-tówka”; stanowisko Brazylii i przyszłość znajdujących się na jej terenie lasów tropikalnych stanowiły niezmiernie delikatne i palące zagadnienie. Taką postawę wobec Brazylii, którą John nazwał dla swoich własnych potrzeb „smaleniem cholewek”, długo jeszcze będzie trzeba stosować, do czasu, kiedy rząd brazylijski naprawdę zacznie zmieniać swoją politykę wobec drobnych posiadaczy ziemskich, złaknionych każdej piędy ziemi, którzy nie mając wyboru zmuszeni zostali do karczowania i wypalania lasów, gdyż nieustannie odmawia im się ziemi i prawa do rozwoju gdzie indziej. Do elity, często skorumpowanej i stanowiącej jeden procent całej ludności, należy dziewięćdziesiąt procent ogółu ziemi. A jej członkowie gotowi

byli krwawo się rozprawić z przybyszami, którzy ośmieliliby się postawić nogę na ich własności. Trzeba też pamiętać o skutkach pracy drwali oraz ranczerów, którzy wypalali wielkie połacie lasów, by zyskać większe obszary łąki do wypasania bydła, eksportowanego później na dochodowy rynek mięsny. Dan Gurney wyraził się kiedyś w prywatnym kręgu, że „świat zachodni powinien przestać zapychać się czerwonym mięsem, zrezygnować z ambicji posiadania mebli zrobionych z co cenniejszych gatunków drewna, takich jak mahoń czy heban i, *at last but not least* — wyperswadować papieżowi i innym jemu podobnym „niereformowalność” stanowiska dotyczącego kontroli urodzeń.

— Mój mąż powtarza często, że niepokój to trochę za mało.

Pani ambasadorowa uśmiechnęła się nieco z przymusem.

— Pani mąż ma oczywiście rację.

Oczywiście. Elizabeth westchnęła lekko i odwracając wzrok od Marii Marajo spojrzała na otaczające ją morze głów w poszukiwaniu Johna; stał obok otwartych drzwi w drugim końcu pokoju. Jakby wyczuwając wzrok żony odwrócił się do niej i gdy na ułamek sekundy ich spojrzenia splotły się ze sobą, Elizabeth poczuła nagły skurcz w żołądku, uświadomiła sobie bowiem, że John wiedział. Serce skoczyło jej do gardła w nagłej panice, a z twarzy odpłynęła cała krew. Nie mogła się mylić co do tego wyrazu pomieszania, rozpacz i smutku wycierającego z jego twarzy, który nawet z takiej odległości brzmiał w jej sercu jak bezgłośna skarga. Zamglonym nagle wzrokiem dostrzegła jeszcze, jak kąciki jego ust ułożyły się w lekko wymuszony uśmiech, który zdawał się jakby zawisnąć w powietrzu.

— Elizabeth!

Wzdrygnęła się i machinalnie odwróciła w stronę wołającego głosu; to była Clare, tylko Clare.

— Jak się masz?

Elizabeth uśmiechnęła się z trudem, starając się skoncentrować na czystej, niewinnej twarzy Clare.

— Och, świetnie, doskonale. Właśnie wróciłam z małych wakacji w Anglii.

— Tak, słyszałam. Zazdroszczę ci, czasami bardzo tęsknię za domem... ale tutaj zaczynamy przynajmniej mieć śliczną pogodę. Oliver obiecał, że w najbliższym czasie wybierzemy się gdzieś nad jezioro, przynajmniej na to uda nam się wyskrobać trochę gotówki. — Roześmiała się i dodała. — Może nawet dostaniemy zwrot VAT 1 pod koniec rozmów... — Uśmiechnęła się ze smutkiem. Biedny Oliver, dosłownie nie daje odetchnąć urzędnikom z kadr, jak zwykle bez rezultatu, a mnie już cierpnie skóra na samą myśl, że miałabym go znów molestować o to, czy nie ma dla nas czegoś nowego... ledwie znajduje czas na cokolwiek innego poza pracą.

— John uważa, że Oliver się przepracowuje.

— Wiem — przytaknęła Clare wzdychając. — Czasami zadaję sobie pytanie, czy ma to jakikolwiek sens. Z niewyjaśnionych powodów pominięto go przy awansie, znów.

— Nic nowego w sprawie Brukseli?

— Ani mru, mru. Staram się o tym nie myśleć.

— O ile się orientuję, obsada placówek będzie rozważana dopiero pod koniec konferencji.

— Tak. — Potrząsnęła głową, ale już w następnej chwili uśmiechnęła się szeroko. — Przynajmniej ty nie musisz się o nic martwić.

Elizabeth zmarszczyła brwi nieco zbity z tropu.

— Chodzi mi o to — pospieszyła z wyjaśnieniem Clare — że następna placówka dla Johna jest prawie więcej niż pewna, choć, co oczywiste, oficjalnie nie powinnam mieć o tym najmniejszego pojęcia.

---

1 podatek od wartości dodanej, wliczany w cenę większości artykułów i usług (przyp. tłum.)

— Jak to?

— Oj, Elizabeth, nie udawaj... Jestem pewna, iż wszyscy wiedzą, że John prawie na sto procent dostanie placówkę w Waszyngtonie.

Elizabeth zmieszała się.

— Przepraszam, jeśli coś nie tak, naprawdę nie chciałam cię ciągnąć za język.

— Ależ nie, nie, wszystko w porządku — wyjąkała Elizabeth — po prostu nie miałam pojęcia, że wiesz o tym...

— I rzeczywiście, nie powinnam wiedzieć, ale wiesz, jak to w praktyce wygląda.

— Tak, oczywiście. — Elizabeth odwróciła wzrok w stronę męża, ale nie było go już w poprzednim miejscu, został zmieciony do innego pokoju wraz z falą gości. Dlaczego jej nie powiedział? Dlaczego? Zależało mu na tym najbardziej na świecie — na placówce w Waszyngtonie, przypuszczalnie ukoronowaniu jego kariery. Wbiła niewidzący wzrok w unoszące się w jej Perrier bąbelki. John nie powiedział jej, ponieważ wiedział o Karlu — to było jedyne wyjaśnienie. Dawniej nie było rzeczy, której by jej nie powiedział. Nie było „cichych dni”, nie było tajemnic — oprócz tej jej tajemnicy, za którą tak bardzo się znienawidziła.

Niepewność i poczucie winy sprawiły nagle, że zrobiło jej się słabo.

— Dobrze się czujesz? Odpowiedziała szybkim uśmiechem.

— Tak, tak. Po prostu niewiele jadłam.

— No to chodź, mam zamiar wgrzyźć się w te koreczki z wędzonego łososia, wyglądają przepysznie.

Z udawaną ochotą Elizabeth dała się skusić na jeden z nich.

— Spróbuj szparagów... — zaproponowała z entuzjazmem Clare — są takie słodziutkie.

— Dobrze, może za chwilę — odrzekła Elizabeth, ale jedzenie miało dla niej smak wiórów.

— Mam nadzieję, że Oliver sobie nie żałuje. Przyjechał tu prosto z ambasady, jak zwykle... w końcu się rozchoruje od tej nieustannej presji, ciągle się tym martwię.

— Czy chcesz, żebym poprosiła Johna o słówko w tej sprawie?

Zadanie tego pytania było dla Elizabeth czymś zupełnie normalnym i oczywistym; John nie tylko że był wyższym rangą urzędnikiem niż Oliver, ale w dodatku łączyła ich wieloletnia przyjaźń — poznali się w Helsinkach, na długo przed małżeństwem Johna z Elizabeth. W chwilę później zreflektowała się: czy miała prawo proponować coś takiego, skoro nie była pewna, czy kiedykolwiek odważy się jeszcze poprosić go o coś.

— Byłabym ci niezmiernie wdzięczna...

— Daj spokój, Clare, bo aż mi głupio. — Następna automatyczna odpowiedź, następne schematyczne, gładkie ble-ble, pasujące do danej sytuacji; a przecież rozmawiała z Clare, nie kimś obcym jak Maria Marajo. Clare nie zasługiwała na „automatyczne odpowiedzi”.

Elizabeth zastanawiała się, co się z nią dzieje, dlaczego była tak wściekła, a jednocześnie tak smutna, tak cyniczna, a jednocześnie tak zakochana, że gotowa była wyrzucić całe swoje życie do góry nogami, tylko dlatego, iż wydawało jej się, że miłość do Karla jest tego warta, miłość, o którą wcale się nie modliła, przecież byli z Johnem szczęśliwi. Ale czy rzeczywiście? Z perspektywy tego, co się ostatnio wydarzyło, uświadomiła sobie, że między nią i Johnem zawsze był Karl, ponieważ w duchu tego pragnęła; ponieważ na to pozwalała. Spojrzała w bok i... napotkała wzrok Karla.

— Muszę cię przeprosić, Clare, dobrze?

— Ależ oczywiście.

Powoli przeciskała się ostrożnie pomiędzy grupkami ludzi i pojedynczymi osobami. Przez cały ten czas nie spuszczał z niej wzroku i poczuła, jak pod jego wpływem nika gdzieś jej wszystkie obawy i wątpliwości.

— Miałem nadzieję, że tu będziesz — przywitał ją.

— Możemy porozmawiać, ale tylko kilka minut.

— Elizabeth — w jego plosie czuć było rozdrażnienie. — Wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą. Więc po co udawać?

— Karl, proszę. Nigdy w życiu nie chciałabym rozmyślnie sprawić przykrości Johnowi.

— Czasami zdaje mi się, że sama nie wiesz, o co ci chodzi.

Rzuciła na niego spojrzenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic, nieważne. — Palnął głupstwo. Nie powinien jej teraz naciskać widząc, jak była zdenerwowana. Ale nie powinien tego robić także z innego powodu — stała teraz jakby na rozdrożu, pomiędzy nim a mężem. John nadal był jego groźnym rywalem, z czego ona sama nie zdawała sobie w ogóle sprawy. A on nie był przyzwyczajony do faktu, że ma rywala, ani do uczucia dzikiej, wszechogarniającej paniki.

— Wkrótce wychodzimy. Jesteśmy jeszcze zaproszeni na kolację.

— Kiedy się zobaczymy?

— Nie wiem.

— Nie mów tak, nie do mnie.

Popatrzyła na Karla, czując ucisk w żołądku i ogarniające ją na nowo pragnienie jego bliskości. Dlaczego ciągle jeszcze udawała, że nad wszystkim panuje.

— Jutro.

— Mogę się wyrwać około piątej.

— Dobrze.

Objął wzrokiem zbity tłum gości i nie kończące się potrząsanie głów i rąk.

— Mam szczerą ochotę wziąć cię w ramiona tu, w obecności wszystkich tych głupców, i uciec — wyszeptał, uśmiechając się na widok jej zarumienionych nagle policzków. — Jesteś dla mnie wszystkim, Elizabeth, niczego

i nikogo nie pragnąłem w życiu bardziej niż ciebie. — Nigdy też nikomu nie mówił jeszcze takich słów.

— Przestań...

— Ciii... — Uniósł rękę i położył jej palec na ustach, jak gdyby chciał wymazać z nich słowa protestu.

Gest ten trwał jedynie ułamek sekundy, natychmiast bowiem cofnęła się, ale wiedziała, że za późno, że ktoś na pewno go zobaczył, rozważył i wyciągnął z tego swoje własne wnioski. Westchnęła nieszczęśliwie i zostawiła Karła, kiedy odwrócił się na chwilę do pary obok, nie zaniehbując swojej zwykłej towarzyskiej roli. Doszedł jeszcze do niej jego jedwabisty głos z amerykańskim akcentem, gdy się przedstawiał, po chwili jednak, kiedy się od niego oddaliła, przestała go rozróżniać w gwarze innych głosów.

Kristina stała na brzegu potężnego stawu. Ładna pogoda wypęd ia z kryjówek chmary brązowych, zataczających się na swoich krótkich nóżkach kaczek, dla których przyniosła chleb, by je nakarmić.

Uśmiechnęła się do siebie na widok mijającej ją kobiety z małym dzieckiem, ponieważ i ona, jak zresztą wiele innych osób, dokarmiała te lekko już utuczone, ulizane stworzonka, mieszkańców Stadtparku. Z tyłu, za nią, w renesansowym pięknie Kursalonu pobrzmiwała muzyka Straussa, a odwracając głowę mogła dostrzec znajomy widok pawi przechadzających się majestatycznym krokiem po ozdobnym tarasie. Czasami o brzasku lub wczesnym rankiem, gdy spała bardzo płytko, budziły ją swoim przenikliwym krzykiem. Wstawała wtedy z łóżka i podchodziła do okna. Jeśli miała szczęście, widziała winowajcę, jak spacerował samotnie po opustoszałych terenach, i czuła jakąś dziwną nić porozumienia, dziwne ciepło w stosunku do niego. Potem schodziła na dół i robiła sobie kawę, co zwykle budziło jej matkę i we dwie siadały w kuchni sącząc gorący, parujący napój i czekając, kiedy obudzi się nowy dzień.

Wróciła na ścieżkę i pocierając ręce pozbyła się ostatnich okruszków chleba. Za pół godziny miała się spotkać z Samem i Joanną i po spacerze mieli zabrać małą do którejś z kawiarni na ogromną porcję lodów, lub też ciastko z kremem. Ocknęła się na głos krzyku ptaka i zastanawiała się, jak uniknąć tematu zbliżającej się wizyty Natalie, gdyż zdawała sobie sprawę, że wzmianka o tym działała na niego irytująco, że w jakiś sposób zagraża to ich wiotkiemu spokojowi, tej maleńkiej oazie szczęścia, którą jego żona z taką łatwością potrafiła zburzyć. Wiedziała też, że zagrożony był również spokój Sama, jego pewność siebie i wola wytrwania w swoim postanowieniu. Wystarczyło tylko nagle spojrzeć na niego spod oka, kiedy sądził, że jest zajęta czymś innym, aby zobaczyć, jak jego twarz bruździ wewnętrzny konflikt i niepewność co do dalszego postępowania. Natalie przyjeżdża do Wiednia w przyszłym tygodniu, na trzy dni, jak ostatnio, ale tym razem pójdzie na całego, zgodnie ze swoją naturą, wiedziała bowiem, że gdyby na zbyt długo zostawiła sprawy własnemu biegowi, to zwiększający się dystans pomiędzy nią i Samem stanie się praktycznie nie do zniwelowania.

— Zrobiłabym dokładnie to samo — wymruczała do siebie, z tą jednak różnicą, że nigdy nie zostawiłaby Sama. Czy zdawał sobie z tego sprawę? Przecież nie był chyba głupi. Odgarnęła rozwiewane przez wiatr włosy i spogląd-nęła w brązowawą wodę. Jakkolwiek by na to patrzeć, Natalie była niezmiernie atrakcyjna i potrafiła być ogromnie czarująca oraz mądra, kiedy wymagała tego sytuacja, a szczególnie w stosunku do Joanny — będącej słabym punktem Sama. Gdyby udało jej się go przekonać że alkohol i narkotyki są dla niej przeszłością, że tak naprawdę nigdy nie znał „prawdziwej” Natalie, wygrałaby, choćby ze względu na Joannę... Nieskończony natłok myśli, wyobrażeń, cierpienia. Przystanąła obserwując stadko gołębi walczących o okruchy chleba. Wbiła ręce w kieszenie i zacisnęła zęby.



Zeszczuplała, co jej bardzo odpowiadało, mimo że wcale się o to nie starała; uśmiechnęła się do siebie kwaśno — nawet zmartwienia mają swoje dobre strony, ale chyba jednak nie takie, nie troska o Sama.

Całkiem po prostu, podobał jej się bardzo, ale nie tylko — sympatia zmieniała się z wolna w coś głębszego; u jego boku potrafiła naprawdę się śmiać, był miły, ciepły. Kochała go, ale nigdy nie odważyłaby się mu tego powiedzieć, bo byłoby to z jej strony głupotą, skończoną głupotą, obnażeniem się przed nim, poddaniem się mu; postąpiłaby dokładnie tak samo idiotycznie jak w przeszłości. Ale tym razem, nauczona doświadczeniem, z całą determinacją, na jaką było ją stać, postanowiła być bardziej ostrożna, wystrzegając się nachalności i pretensji do czegokolwiek. A teraz, mimo całego bólu i wysiłku, który włożyła w swoje postępowanie, i tak nie uniknęła uczucia, że na głowę wali jej się świat, a następnej porażki chyba by już nie zniosła, podobnie jak samego nawet oczekiwania, czy rzeczywiście będzie to porażka, czy też nie. A może po prostu powinna ich zostawić, Sama i Natalie, skoro nie była pewna, czy starczy jej sił na czekanie? Nie dalej jak wczoraj Monika patrząc znacząco powiedziała jej, że stawki dla tłumaczy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku są wyśmiewane, sugerując oczywiście, że marnuje czas siedząc w Wiedniu z Samem, zamiast zacząć żyć na nowo gdzie indziej, najlepiej jak najdalej stąd. Z westchnieniem spojrzała na nacierające na siebie gołębie, kotłowaną dziobów i piór, walczących nie wiadomo o co. Nagle jednak rozpierzchnęły się, gdy zza jakiegoś krzaka wyłonił się wielki, czarny kruk z morderczo wyglądającym dziobem i zupełnie obojętnie skierował się w ich stronę, następnie przeszedł przez sam środek ich grupki, jak gdyby w ogóle dla niego nie istniały, a one czekały, aż przejdzie. Kristina uśmiechnęła się gorzko, ponieważ pomyślała o Natalie.

Wychodząc z windy Laura skrzyła w burgundowo-biały korytarz, z ulgą przyjmując jego chłód. Ralf zadzwonił do niej poprzedniego dnia i spytał, czy nie miałyby ochoty wpaść do niego na kawę i zobaczyć coś, co przypomniałoby jej urocze chwile na Węgrzech. W pierwszym odruchu chciała odmówić, ale był tak niesamowicie sympatyczny i jego zaproszenie brzmiało tak naturalnie, że w końcu zgodziła się. Jakkolwiek było, nie widziała się z nim od trzech tygodni i część z jej dziwacznych i koszmarnych wspomnień zaczynała blaknąć; zastanawiała się nawet, czy nie przesadziła w swoich reakcjach. Może w końcu mogliby zostać przyjaciółmi — ale tylko przyjaciółmi, bo oczywiście o powrocie do poprzednich realacji nie było mowy. W bardzo dyskretnej, zawołowanej formie zasugerowała mu to nawet przez telefon i chyba pojął, o co jej chodzi, jakby dając temu wyraz w sformułowaniu zaproszenia: „po starej znajomości, jak zdaje się mówicie w Anglii”. Słyszając to, w dużym stopniu pozbyła się swoich obaw; wspaniałomyślność Ralfa w zestawieniu z niezbyt delikatnym sposobem, w jaki go potraktowała, wywołała nawet u niej lekkie poczucie winy, ale nic poza tym — ona i Andrew zbliżyli się znowu bardzo do siebie, szczególnie po śmierci jego ojca. Andrew chciał ją odwiedzić pod koniec lipca i zaczęła już liczyć każdy dzień. Wprawdzie nie wracali do rozmów o małżeństwie, ale chyba głównie dlatego, że temat był nadal trudny i delikatny ze względu na ich nie dające się pogodzić kariery zawodowe. Ze smutkiem odsunęła tę myśl — może kiedy indziej. Przynajmniej ich wzajemne stosunki układały się teraz bez porównania lepiej niż dawniej i choćby sama już tego świadomość sprawiała, że czuła się bardziej szczęśliwa niż kiedykolwiek w ostatnich kilku miesiącach.

Przystanęła przed drzwiami Ralfa, nacisnęła dzwonek i wciągnęła głęboki oddech, zirytowana nagłym waleniem serca i tym, że mimo wszystko tutaj przyszła.

— Lauro, wyglądasz wspaniale.

Ralf dotknął ustami jej dłoni i uśmiechnął się do niej szeroko, i po raz kolejny przypomniała sobie, co uśmiech potrafił zrobić z jego szeroką, przystojną twarzą. Mógłby występować jako żywa ilustracja zwrotu „uśmiech opromienił jego twarz”.

— Dziękuję — odpowiedziała swobodnie — ty również. — Serce uspokajało się powoli, a do niej doszło, jak często źle oceniała tego mężczyznę, jak zbyt łatwo przychodziło jej źle o nim myśleć.

— Proszę, wejdź — zaprosił ją gestem do środka, pomógł ściągnąć żakiet i wreszcie wprowadził do pokoju. — A może wolisz drinka zamiast kawy? Mam wyśmienitą maderę albo — czemu nie poszaleć — szampana.

— Szampana? — powtórzyła. — Czyżbyśmy coś świętowali?

— Pewien mój sukces. — Poprowadził ją w kierunku krzesła. — Siadaj, proszę.

Przed nią na stole stało kilka smakowicie wyglądających dań i chłodząca się we wiaderku butelka szampana.

— I kawior?... — Spojrzała na niego.

— Królewska bielega, najlepszy powinien mieć lekko szarawy kolor, prawie perłowy. Ma wtedy najbardziej delikatny smak. — Wziął do ręki małą srebrną łyżeczkę i napełniając ją po brzegi podniósł do jej ust. — Chciałbym, żebyś pierwszą porcję przyjęła ode mnie...

— Ralf...o co tu chodzi?

— Poczekaj, na razie skosztuj.

Wzięła kawior do ust, był rzeczywiście wspaniały. Ralf zaczął napełniać kieliszki szampanem.

— Toast za najurodziwszą panią Wiednia. Zaczęła się czuć nieswojo.

— Ralf, o co chodzi?

— Już ci powiedziałem, świętujemy mój mały sukcesik.

— Ale dlaczego nic nie chcesz więcej powiedzieć?

— Bo ma to być niespodzianka.

Czując się coraz bardziej niepewnie wypła łyk szampana.

— Niestety, nie będę mogła się zbyt długo u ciebie zatrzymać.

— A czemuż to? Może twój narzeczony czeka? — Nie starał się nawet ukryć sarkazmu w głosie.

— Ależ nie, oczywiście że nie — odpowiedziała coraz mniej pewnie. —

Po prostu umówiłam się dziś na kolację. — Nerwowo spojrzała na kieliszek, a następnie rzuciła mu spojrzenie spod oka. — Może przyjęcie twojego zaproszenia nie było najlepszym pomysłem.

— Na pewno nie... przepraszam. Chyba jestem najzwyczajniej w świecie zazdrosny.

— Mówiłeś, że masz dla mnie jakieś pamiątki z Węgier...? — Chciała stąd wyjść, mieć to już z głowy, i coraz mniej rozumiała, dlaczego dała się namówić na tę wizytę.

— Ach, tak, pamiątki. — Roześmiał się szeroko. — Omal bym nie zapomniał. — Przysunął się do Laury, tak że patrzył na nią teraz z góry, a jego zaciśnięte pięści znajdowały się na wysokości jej twarzy. — Należę ci jeszcze trochę szampana i przejdziemy do drugiego pokoju, gdzie przygotowałem mały seansik filmowy.

— Seans filmowy?

— Wiedziałem, że będziesz zaskoczona, Lauro. — Z udawanym smutkiem potrząsnął głową i dolał jej szampana. — Miałem ci o tym powiedzieć już w Budapeszcie, ale jakoś wypadło mi z pamięci.

Zmarszczyła brwi nie wiedząc, o co mu chodzi.

— Chodź... — powiedział podając jej rękę. Przez chwilę siedziała bez ruchu ze wzrokiem wbitym w skierowane w jej stronę grube, potężne palce.

— Nie, Ralf... Chciałabym pójść do domu.

— Jak możesz... tyle wysiłku włożyłem w to, żeby sprawić ci taką niecodzienną niespodziankę. — Uśmiech-

nał się jeszcze szerzej i odbierając z jej ręki kieliszek pomógł wstać. — Nie potrwa to długo.

Weszli do ogarniętego przyćmionym światłem pokoiku, prawie całkowicie pustego, prócz potężnego telewizora i ustawionych na wprost niego dwóch krzeseł.

— Usiądź, Lauro.

Zamiast tego odwróciła się do niego zmieszana i całkowicie już teraz zbита z tropu.

— Siadaj.

Ralf zamknął za nimi drzwi, podszedł do telewizora i włączył stojący pod nim magnetowid. Pusty ekran ożywił się biało-czarnymi cętkami, z których zaczęły się wyłaniać cyfry... pięć, cztery, trzy, dwa, jeden i... prawie natychmiast rozpoznała ich pokój w hotelu Hyatt. Przełknęła powoli ślinę, czując, jak narasta w niej przerażenie. Przez kilka oszukańczo uspokajających sekund na ekranie nie było widać nikogo, zaraz jednak zobaczyła siebie, wyłaniającą się z jednej strony kadru. Była prawie zupełnie naga, okryta jedynie rozpiętą męską koszulą, koszulą Ralfa. Zobaczyła, jak podnosi do ust kieliszek, opróżnia jego zawartość i kładzie się leniwie na łóżku. Zdiera z siebie koszulę, jak gdyby paliła jej skórę, i rzuca na podłogę. Przeciąga się, z ramionami nad głową, wygina ciało w łuk i rozchyła nogi...

Z przerażeniem, ciągle jeszcze nie wierząc własnym oczom, Laura zacisnęła na moment kurczowo powieki. Gdy je otwarła, na ekranie pokazał się Ralf. Klęczał za nią, przeciągając rękoma po jej ciele i obracając do siebie, uśmiechał się wprost w kamerę. Z paroksyzmem udreki na twarzy, ze łzami nieopisanego wstydu i wbitymi boleśnie w dłonie paznokciami widziała, jak Ralf przekreca ją, tak że jej pośladki znalazły się teraz na wprost oka kamery, i następnie rozszerza je palcami. Ale nie był to jeszcze koniec tego po mistrzowsku wyreżyserowanego w najdrobniejszym, ohydny detalu spektaklu. Zasłoniła ręką usta, gdyż na ekranie pojawił się inny mężczyzna,

o którym sądziła wtedy, że jest tylko tworem jej niezupełnie trzeźwej wyobraźni, i którego obraz nawiedzał ją później w majakach sennych. Od tego, co nastąpiło dalej, zamarło jej z przerażenia i wstrętu serce i poczuła mdłości, mimo to nie mogła się oderwać od ekranu, a zresztą na ramionach czuła ręce Ralfa, szerokie, potężne palce masujące jej kark i przytrzymujące ją żelaznym uściskiem nieruchomo na krześle. Widziała, jak się uśmiecha, tam, na ekranie, jak chichocze sama do siebie, gdy tamten mężczyzna ustawił się nad nią na czworakach, jak krab, jego brodata twarz zniknęła pomiędzy jej udami, a jej usta rozchyłały się coraz bardziej, coraz szerzej, aż wreszcie objęły jego członek; jej ciało zaczęło więc się w rozkoszy, kiedy położył się koło niej Ralf spychając tamtego na jeden jej bok, tak że leżała teraz pomiędzy nimi, ich ciałami, ich ramionami i nogami; ich palce i języki zdawały się teraz poruszać w jednym nieustającym, rytualnym rytmie, jakby należały do jakiejś fantastycznej, drapieżnej istoty. Zobaczyła, jak rozorywuje paznokciami plecy tego drugiego mężczyzny, zobaczyła krew, zobaczyła, jak sama odrzuca głowę w tył oddając się całkowicie Ralfowi i tamtemu, widziała, jak Ralf uśmiecha się, a język tamtego wysuwa się coraz bardziej przez szparę w przednich zębach, jak u parzącego się psa... Siedziała zupełnie zdruzgotana, kręcąc powoli głową, jak gdyby broniąc się przed tym, co miała przed oczami, jak gdyby to ktoś obcy, a nie ona — tam na ekranie — z lubieżną pożądliwością otwierał teraz ramiona i rozchyłał uda dla tego całkowicie obcego mężczyzny, i dla Ralfa. Dla Ralfa. Ekran zgasł. — Chyba już wystarczy. Wprawdzie jest tego jeszcze jakieś dwadzieścia pięć minut, ale oglądałem to już wcześniej.

Milczała.

— Niezłe kino, co? — Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu. — Chyba nie będę daleki od błędu, jeśli

stwierdzą, że profesjonalistka nie byłaby bardziej przekonująca niż ty, Lauro.

Cisza stawała się coraz bardziej napięta.

— Ale... dlaczego? — wydusiła wreszcie z siebie szeptem i uniosła wzrok.

— Chcesz mi wmówić, że nadal nie chwytasz? — Roześmiał się. — To moja praca, kochana Lauro, po prostu moja praca.

— Nie rozumiem.

— A ponoć taka jesteś bystra — bystra, śliczna samotna panienka w Wiedniu bawiąca się w dyplomację. — Znowu się roześmiał. — Czy coś jeszcze mam dodać?

— Nie trzeba — odrzekła powoli.

— I było to takie proste, kochana Lauro, tak zabawnie proste.

— Jesteś szpiegiem? Skrzywił się z niesmakiem.

— To słowo zawsze odrobinę śmiesznie brzmi, nie uważasz? —

Potrząsnął głową. — Ale tak by mnie można chyba nazwać.

Nie powinna była przychodzić. Ale czyż cokolwiek by to zmieniło? I tak przysłałby jej kopię, lub zawiadomił ją w inny sposób. Dzień tak się dobrze zaczął, myślała z roztargnieniem, tak dobrze, a teraz wszystko uległo zmianie, i to na zawsze.

— Nawet w dniach *pieriestrojki* i *glasnosti* nie jesteśmy na tyle naiwni, aby uwierzyć, że ludzie naprawdę się zmieniają, że moja praca kiedykolwiek stanie się nieużyteczna, a poza tym zawsze czegoś można nauczyć się po cichu od innych krajów, innych narodów, zawsze będą istnieć sekreciki, którymi wypada się podzielić, przedyskutować czy przemyśleć. — Westchnął teatralnie. — A ten świat nigdy się nie zmieni, Lauro, naprawdę. Zawsze będą istnieć „niedobrzy” faceci czekający, by jedną władzę zmienić na inną. Czekający tylko na swoją kolej.

— Chcę iść do domu.

— No pewnie. Ale zdajesz sobie chyba sprawę, że łączy nas teraz pewien interes, i mam nadzieję, że okażesz się milutką, nie unikającą współpracy dziewczynką. — Na jego twarzy pojawił się znaczący uśmiech. — I nie wyobrażaj sobie, że natychmiast będę potrzebował twoich usług, to raczej mało prawdopodobne. Może nawet nie zwrócę się do ciebie przez całe miesiące, a nawet lata, aż wreszcie któregoś dnia, gdy będziesz w odpowiednim miejscu i o odpowiednim czasie, może wtedy...

— Chcę wracać do domu. — Z bolesną rozpaczą pomyślała o Andrew. Zbierało jej się na płacz.

— Spotkamy się znów za trzy tygodnie, być może w Central Café, i omówimy nasze sprawy trochę dokładniej; na razie nie będę zawracał ci głowy szczegółami, prawdopodobnie i tak nic byś z tego nie zapamiętała.

— Jesteś ohydny — powiedziała cicho.

— Eee, chyba znowu nie aż tak, Lauro. Wykazywałaś przecież, powiedzmy... tyle zapału.

— Wsypałeś mi coś do drinka.

— Naprawdę?

— Wiesz, że tak było.

— A kto ci w to uwierzy? — W jego rozchylonych lekko ustach zalśniły wspaniałe zęby. — Z twojego zachowania na filmie wynika, że chłoneñas z rozkoszą każdą minutę, każdą sekundę naszej zabawy. Zaprzeczysz? A może byśmy to powtórzyli? Hans na pewno bardzo się ucieszy, mogę cię o tym zapewnić.

Pochylił głowę i zaglądnął jej prosto w twarz. Laura instynktownie zamachnęła się chcąc wymierzyć mu policzek, w tym jednak momencie poczuła, jakby na jej przegubie zacisnęło się imadło. Ralf chwycił ją za rękę, jak gdyby dokładnie przewidział jej zachowanie, więcej — jak gdyby właśnie go pragnął, i uniósłszy ramię do góry, jednym dobrze wymierzonym uderzeniem pięści zdzielił ją w twarz. Spadła na podłogę przewracając krzesło i, z otwartymi ustami łapiąc powietrze jak ryba, przeturlała



się do drzwi. Popędzana strachem próbowała się odczołgać jak najdalej od niego i sięgnąć klamki, ale nie zdążyła — Ralf szarpnął ją za włosy i wdusił jej twarz w ciemne drewniane drzwi.

— Niemądra, bardzo niemądra dziewczynka — wycedził cicho. — Ralf nie jest ohydny. Żebyś mi się nie ważyła kiedykolwiek jeszcze tak powiedzieć. — Zagroził jej i dodał z westchnieniem, jakby znudzony powtarzaniem ciągle tej samej formuły. — I nie myśl nawet o powiedzeniu o tym komukolwiek, byłoby to bardzo nierozsądne z twojej strony. — Pociągnął ją mocniej za włosy. — Nie zrobisz tego, prawda? W niemym milczeniu pokręciła głową.

— Prawda?

— Tak.

W windzie było za ciepło i Elizabeth starła dłonią strużkę potu z szyi. Była spóźniona. Karl na pewno już czeka, martwiąc się i zastanawiając, co się mogło stać — na tyle dobrze już go poznała. Stojąc we wznoszącej się coraz wyżej windzie poddała się znowu tym samym natrętnym pytaniom, tym samym dręczącym wątpliwościom, które jednak z chwilą, gdy była z nim, gdy brał ją w ramiona, nieodmiennie znikwały i wtedy nie istniało dla niej nic prócz Karla. Zaraz jednak przypomniawszy sobie przyjęcie u Brazylijczyków i smutną, przygnębioną twarz Johna. Po powrocie nie rozmawiali ze sobą; usiedli w saloniku pijąc jak co dzień drinka przed snem i wymieniwszy zdawkowe uwagi na temat gości, poszli do łóżka, bez próby zbliżenia się do siebie, nawet bez pocałunku na dobranoc. Jego milczenie było gorsze niż najbardziej nawet gorzkie wymówki. Miała wrażenie, jak gdyby na jej sercu zamykały się kleszcze, wciągnęła głęboko powietrze i starła spod oczu kropelki potu. Gdy drzwi windy otwarły się, zobaczyła przed sobą dziewczynę, która wydawała jej się znajoma, i przez chwilę zastanawiała się niepewnie skąd.

Kiedy tamta mijiała Elizabeth wchodząc do windy, kosmyk jej ciemnych włosów poleciał do tyłu odsłaniając lewą stronę twarzy, na której ukazał się zaczątek potężnego siniaka i oko z opuchniętą, zaczerwienioną powieką, której nie była w stanie domknąć; wyglądało to jak ślad niezwykle mocnego uderzenia. Z jej twarzy wyzierała też niezmierna rozpacz i cierpienie. Elizabeth odwróciła się, ale zobaczyła już tylko zasuwające się za dziewczyną białe drzwi windy. I wtedy przypomniała ją sobie, jej ciemne włosy, śliczną twarz i piękną sukienkę z aksamitu w kolorze burgunda — miała na imię Laura i spotkała ją na balu w Operze. Przypomniała sobie także, że John przedstawiając ją powiedział, że pracuje w ambasadzie. Gdyby pamięć nie zawiodła jej przed chwilą, mogłaby ją zatrzymać i zapytać, co się stało, chociaż instynktownie czuła, że Laura nie miałaby na to ochoty. Zresztą, tak naprawdę nie była to jej sprawa, chociaż może powinna wspomnieć o tym później Johnowi. Przymknęła oczy z obrazem jego twarzy pod powiekami, czując do siebie nagłą nienawiść.

— Już myślałem, że nie przyjdiesz... — Karl stał w drzwiach. — Ale usłyszałem windę i miałem nadzieję, że to ty.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, próbując odsunąć swoje myśli.

— Zdaje się, że dobrze by ci zrobił drink. Skinęła głową i weszła do środka. Czuła się tu coraz

bardziej bezpiecznie i swobodnie.

— Proszę podwójny gin z tonikiem, Karl.

— Nieźle.

— Po prostu nie jestem chyba stworzona do takich sytuacji jak ta — powiedziała jakby na usprawiedliwienie.

Zrobił w jej stronę krok i przysuwając do niej twarz wycisnął na jej ustach długi pocałunek, czując, że ją to natychmiast rozluźniło.

— Już niedługo.

Spojrzała na niego uważnie.

— Taki pewny siebie, jak zwykle — zauważyła cicho, kiedy nalewał dla nich drinki.

— Po prostu nie lubię tracić czasu, znasz mnie.

— Nie sędzę, żebyśmy „tracili czas”, to wszystko nie jest takie proste.

— Wiem, wiem — powiedział pospiesznie, starając się jakoś dodać jej otuchy, starając się odciągnąć jej myśli od Johna, syna, wszystkiego i wszystkich oprócz niego. — Ale do oficjalnego zamknięcia rozmów pozostaje jeszcze dziewięć tygodni. Musimy zacząć planować nasze sprawy.

Łyknęła ginu z tonikiem. Czowała, że miał rację. Musieli to zrobić, bo inaczej mogłoby się okazać, że to wszystko, co przeszli, było w gruncie rzeczy niepotrzebne.

— Jestem prawie pewien, że wyślą mnie z powrotem do Waszyngtonu...

— powiedział, uważnie obserwując jej twarz, chociaż do końca nie był o tym przekonany. Przez ostatni tydzień Gurney nie był dla niego specjalnie wylewny, a raz czy dwa razy wręcz wrogi, i gdyby to chodziło o jakieś zaniedbania Karla w pracy, dawno by już mu to wytknął. W zamyśleniu otworzył szeroko oczy przypominając sobie swoją ostatnią rozmowę z Clau-de'em, jakieś dwa, trzy miesiące temu. Ich wspólne interesy skończyły się i bardzo starannie zatarł po nich wszelki ślad, a więc to chyba nie w związku z tym Gurney ma na niego jakiegoś haka.

— Pojedziemy razem. Zamrugła, wyrwana z zamyślenia.

— Ale przecież w tym czasie zawożę Christophera do dziadków.

— John nie może tego zrobić?

Przez jej twarz przemknął cień i Karl uzmysłowił sobie natychmiast, że nie powinien był tego mówić.

— John będzie miał na głowie porządkowanie wszystkich innych spraw tutaj, musi się zająć przewozem naszych rzeczy i tak dalej, chyba wiesz o tym.

— No tak, tak, oczywiście. — Za bardzo na nią naciskał, ale czasami nie był w stanie nad sobą zapanować. — Po prostu boję się, że zmienisz zdanie. — Spojrzał na nią. — Nie zrobisz tego, prawda, Elizabeth?

W odpowiedzi potrząsnęła głową.

— Chcę to usłyszeć...

Odebrał od niej drinka i postawił na stole, a następnie objął ją w pasie.

— Chcę to usłyszeć...

— Nie zmienię zdania, Karl.

Oparł czoło o jej czoło i przymknął z ulgą oczy.

— Czasami nie wierzę, że to naprawdę jestem ja, że to ja mówię pewne rzeczy, że to ja tak ciebie pragnę, że w mojej przyszłości widzę się tylko z tobą. — Uśmiechnął się z przymusem. — To naprawdę coś niezwykłego, bardzo niezwykłego dla Karla Nielsena.

No, w końcu udało mu się wywołać na jej twarzy prawdziwy uśmiech.

Pocałował ją, jak gdyby w podzięcie.

— Byłem bezdennie głupi, że zostawiłem cię pięć lat temu. — Potrząsnął głową. — Bezdennie głupi.

Musnął ustami jej włosy i przytulił mocno do siebie, jak gdyby bojąc się, że mu się może wymknąć, ale mimo to nie mogła zapomnieć tamtych chwil, gdy odszedł, gdy ją zostawił i gdy odkryła, że jest w ciąży.

Zacisnęła z całej siły oczy. Była wtedy tak pewna, tak całkowicie przekonana, że wróci, że nie mógł jej tak po prostu zapomnieć i że jego wyznanie miłości było szczere. Zapragnęła nagle powiedzieć mu wreszcie o Susan, jej pierwszym dziecku, i o sobie samej, o swojej samotności i ogromnej tęsknocie trwającej dzień po dniu, aż do teraz — przestała się już bowiem okłamywać, że tak nie było — przysłaniającej nawet jej miłość do męża. Ale nie miała jak, poczuła na brodzie pieczętę jego ust, dłońmi zagarnął jej włosy odsłaniając kark; i gdy przywarł do niej z całej siły, fala gwałtownego pożądania wyparła tamte wspomnienia, tamten ból — i wątpliwości, które znowu zaczęły osaczać ją z coraz większą gwałtownością.

— Dzwoniłam wcześniej, mamó, ale Hilde powiedziała mi, że „pani wyszła w pilnej sprawie do notariusza”.

— To tylko drobna sprawa i z pewnością nie taka pilna, jak twierdzi Hilde. Tak jej się tylko powiedziało, to wszystko — odparła Genevieve, pragnąc za wszelką cenę nie wdawać się w wyjaśnienia. Sophia przestraszyłaby się na samą choćby wzmiankę o testamencie czy innych podobnych rzeczach. Miała to już poza sobą i mogła o tym zapomnieć. Herr Lechner, od niepamiętnych lat notariusz rodziny, był jak zwykle bardzo życzliwy.

— Byłam bardzo zaskoczona — nie dała się zbić z tropu Sophia. — Już nie pamiętam, kiedy zajmowałaś się po raz ostatni sprawami rodzinnymi, zwykle pozostawiając je papie.

To prawda, ale ta sprawa była czymś wyjątkowym, o czym nie chciała, aby dowiedział się Felix.

— To naprawdę bzdura, Sophio — odpierała twardo jej ataki. — Porozmawiajmy teraz o rzeczach ważniejszych, o tobie, chociażby o tym, czy znajdujesz czas na odpoczynek, i tych wszystkich innych rzeczach, którymi matki takie jak ja zamartwiają się najbardziej.

— Czuję się świetnie, mamó. — Sophia uśmiechała się do siebie podczas tej przemowy matki.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— A Oskar... — zaczęła niepewnie — ...czy on...

— Mamó — przerwała jej ze znużeniem Sophia. — Wuj Oskar traktuje mnie jak własną córkę. Jest dla mnie bardzo dobry. — Mówiąc to uświadomiła sobie, że jest on prawdopodobnie jednym z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek знаła, nie wliczając w to matki, i że nie było takiej rzeczy, której by nie zrobił, żeby tylko żyło jej się wygodnie i szczęśliwie.

— To doskonale, bardzo się cieszę.

— Nie bój się, mamó, tamtymi sprawami nie ma co sobie nawet zawracać głowy...

— Wiem, że ojciec rozmawiał z nim... — zaczęła Genevieve.

— Mamo, nic się nie zmieniło, a poza tym wyjeżdżam już pod koniec sierpnia. Na moje stypendium.

— No tak, oczywiście — westchnęła Genevieve i gwałtownie zmieniła temat nie mogąc znieść myśli o wyjeździe córki. — Czy będziesz mogła przyjechać kilka dni wcześniej na urodziny Gunthera?

— Niestety, najwyżej dzień przed. Mam na uczelni zajęcia, na których muszę być.

— Ach, rozumiem.

— Ale mogę się zatrzymać na kilka dni po urodzinach — zaproponowała szybko słysząc smutek w głosie matki. Owszem, przyjedzie, ale tylko ze względu na nią. Tylko przez wzgląd na nią postara się znieść obecność ojca przez trzy dni, na które planowała pobyt w domu; było egoizmem z jej strony, że na tak długo zostawiła matkę samą. — A czy do tego czasu nie chciałabyś przyjechać do Monachium i spędzić ze mną weekendu. Wuj Oskar na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Nie, chyba nie. W związku z ostatnimi rundami rozmów twój ojciec ma tyle obowiązków... — powiedziała i przymknęła oczy ściskając kurczowo słuchawkę na wspomnienie brązowej, pękatej koperty znalezionej w jego biurku. Jak dotąd nic mu o niej jeszcze nie napomknęła, bała się, że gdy to zrobi, rozpadną się w pył kruche ściany ich życia, a było to jedyne życie, jakie znała. Oczywiście ich rozmowa mogła się potoczyć inaczej, mógł zdecydować się na kłamstwo, a wtedy jedyną reakcją na jego łgarstwa byłoby udawanie, że mu wierzy. A tego by nie zniosła — tego koszmarnego udawania, że wszystko jest dobrze; dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku życia w kłamstwie, wiedziała bowiem, co będzie robił za jej plecami, wiedziała, że nadal będzie prowadził tamto podwójne życie, mimo iż na pewno jej obieca, że już nigdy... itd., itp.

— Mamo?

— Tak.

— Co się stało? Genevieve przełknęła ślinę.

— Nic. Dlaczego pytasz?

— Twój głos brzmi tak jakoś, no, nieswojo — odpowiedziała nieco nieskładnie. — Dobrze się czujesz? Nic ci nie jest?

— Nic, nic — skłamała. — To tylko zmęczenie. — Co częściowo pokrywało się z prawdą. Rzeczywiście była zmęczona, potwornie zmęczona. — Miałam w tym tygodniu tyle na głowie, a do tego dziś wieczór jest „Heuriger”<sup>2</sup> w Sieveringu <sup>3</sup>, a tak się nastawiłam, że pójde wcześniej spać.

— A musisz brać w tym udział?

— Ojciec uważa, że tak.

Kiedy tak stał przed nią dziś rano wiążąc jedwabny krawat, zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby ni stąd, ni zowąd wyciągnęła jego listy, fotografie, plugawe czasopisma i oskarżyła go o zdradę? Ale, oczywiście, pomysł ten pozostał w sferze marzeń. Nie zająknął się nawet na widok jej zaczerwienionych oczu i faktu, że od świtu była na nogach, nie mogąc zasnąć. Ale właśnie taki był Felix. Nauczyła się nie spodziewać po nim niczego innego, ale czy jednocześnie nie nauczyła się równie mało oczekiwać od samej siebie, przyzwyczajona do irytującej pokory i niezrozumiałej potrzeby dogadzania wszystkim, jak bezdomny żebrak czy zbłąkany kundel. Wzdrygnęła się. Może to ona sama była sobie winna za tę koszmarną sytuację, za to, że prysły jej ostatnie resztki złudzeń? Co się stało z jej życiem? Rozmyślało się powoli na przestrzeni tych lat, kawałek po kawałku, aż nie zostało z niego nic. Tak czy inaczej, nie powiedziała Felixowi nic, ale

---

<sup>2</sup> tradycyjna degustacja młodego wina (przyp. tłum.)

<sup>3</sup> podwiedeńska wieś

gdyby łaskawie kiedyś spojrzeć w jej oczy, wyczytałby z nich wszystko.

— W takim razie wpadniesz na chwilę na początku sierpnia?

— To byłoby wspaniale — powiedziała Genevieve z nieszczerym entuzjazmem.

— Zaraz po tym telefonie napiszę do ciebie długi list — obiecała Sophia.

— Twoje listy są takie piękne.

— Naprawdę?

— Och, tak. Zbieram je wszystkie.

— Strasznie jesteś kochana.

— Sprawia mi to przyjemność. Miło jest wiedzieć, że są tu, ze mną.

— Dziękuję, Sophio.

— Za co?

— Za to, co właśnie powiedziałaś.

— Och, mamoo...

— No, muszę już kończyć — powiedziała Genevieve grubszym głosem, hamując łzy. — Hilda mnie woła.

— I naprawdę wszystko dobrze?

— Tak, tak, po prostu jestem przemęczona, to wszystko — zapewniała ją opanowawszy wzruszenie. — Jutro rano zostanę trochę dłużej w łóżku, może nawet zjem w łóżku śniadanie i zrobię sobie prasówkę — obiecała, ale wiedziała, że i tak tego nie zrobi, szkoda zachodu — zupełnie nie potrafiła się ostatnio zrelaksować, zamknąć oczy i pozwolić się ogarnąć przynoszącym zapomnienie sennym marzeniom. Nie mogła sobie przypomnieć dnia, w którym nie obudziłaby się rano z tym okropnym panicznym niepokojem duszącym jej piersi, jak gdyby własne ciało ostrzegało ją, że coś niespodziewanego, coś złego miało się stać w danym dniu.

— Do widzenia, mamoo.

— Do widzenia, kochanie.

W końcu wszystko obróciło się na dobre, wbrew jej czarnym przewidywaniom, i Sophia ma szansę zakosz-



tować prawdziwego szczęścia, co było o tyle ironiczne, że szansę tę dostała za sprawą poronionego pomysłu Felixa dotyczącego jej przyszłości. Ale stało się tak również za sprawą samej Sophii, jakiegoś nowego jej oblicza, jak gdyby z dnia na dzień stała się nagle dorosła — zmiana ta nadal stanowiła dla Genevieve zagadkę. Tak czy inaczej była szczęśliwa i — przede wszystkim — robiła w życiu to, na co miała ochotę. Genevieve potrząsnęła lekko głową zdziwiona falą jakiejś smutnej zazdrości, do której sama przed sobą nie chciała się przyznać. Położyła słuchawkę na widełki i zatrzymała na niej przez chwilę rękę, wreszcie wyprostowaną dłonią stuknęła w nią, jakby coś sobie przypomniwała. Podnosząc wzrok zobaczyła przed sobą zdjęcie męża oprawione w srebrne ramki, stojące na siedemnastowiecznej gablocie — jeszcze jednej rzeczy przywiezionej tu z zamku. Z zamku Schloss Bletz, który dla Felixa znaczył więcej niż cokolwiek innego na świecie.

— To nowy obrazek, prawda, Sam? — spytała słodziutko Natalie rozejrzawszy się po pokoju i koncentrując uwagę na czarno-białej reprodukcji zawieszanej na ścianie.

— Tak, to Belweder. Jest nie tylko jednym z najważniejszych zabytkowych pałaców w Wiedniu, ale przy tym także pięknym. Minęła go wręcz ocierając się o niego, i nie mógł się powstrzymać, aby nie zerknąć na jej okrągłe pośladki poruszające się kusząco pod uwydatniającą je, odpowiednio skrojoną spódnicą.

— Nie wiedziałam, że zainteresowałeś się zabytkami. — Przybliżyła twarz do reprodukcji, jak gdyby chciała jej się bliżej przyglądać; rozmowa z Samem zapowiadała się nudna jak flaki z olejem.

— Wybrałem się z Joanną — odpowiedział i po chwili dodał — i ze znajomą.

— Znajomą? — Odwróciła się wbijając w niego wzrok. — Tą dziewczyną, z którą widziałeś się wtedy?

— Tak, z Kristiną.

— Bardzo ładne imię.

Do pokoju weszła Clara. Rzuciła na Natalie szybkie spojrzenie i zwróciła się do Sama.

— Kolacja gotowa, proszę pana. Odpowiedział z uśmiechem.

— Dziękuję, Claro.

Chciał uniknąć kolacji z Natalie, ale w końcu stało się to niemożliwe, jego postawa zbyt jawnie przypominała ucieczkę. W końcu stanęło na tym, że zjedzą wspólną kolację u niego, Sam wymyślił sobie bowiem, że krzątająca się w kuchni Clara doskonale będzie się nadawała do roli „przyzwoitki”. Zazwyczaj widywał się z Kristiną właśnie w piątki wieczór, po ciężkim tak dla jednego, jak i drugiego tygodniu spędzonym w Hofburgu — stało się to już ich prywatnym rytuałem. Dlatego też, gdy powiedział jej o swoich planach na ten piątek, na twarzy Kristiny pojawił się wyraz bacznej uwagi i zaniepokojenia. Ale przecież Natalie miała zostać tylko trzy dni, i nim się spostrzegą, będzie już po wizycie.

— Nie powinienesz być robić sobie tyle kłopotu, Sam. Mogłam zamówić dla nas kolację w hotelu.

— Może, ale Clara jest wyśmienitą kucharką i rzadko ma okazję pochwalić się swoimi talentami, do czego wręcz tęskni. — Prawdę mówiąc nie miał najmniejszego pojęcia, czy Clara w ogóle umiała gotować, kazał jej po prostu „coś tam upichcić”, żeby mieć pretekst do zjedzenia kolacji w domu. Ledwie usiedli, w pokoju pojawiła się — jak za sprawą sztuczki czarnoksiężskiej — jego filipińska służąca niosąc półmisek z langustami i krabami ułożonymi na warstwie sypkiego ryżu, kawałków selera obsypanych szczypiorkiem i plasterków marchewki z cukinią. Od samego widoku tych smakowitości do ust napływała ślinka. Sam lekko zbaraniał, nie miał bowiem pojęcia, czego się miał spodziewać, ale na pewno nie czegoś takiego.

— Ojej... zdaje się, że znalazłeś sobie, Sam, prawdziwy klejnot! —  
Natalie przyglądała się szerokiej, brązowej twarzy Clary, gdy ta  
nachylona nad nią nakładała jej to królewskie danie na talerz, i przez  
ułamek sekundy ich spojrzenia zetknęły się z sobą. Zauważyła, że oczy  
Filipinki były niemalże czarne; zeszywniała, jak gdyby bojąc się, że jej  
przeszywający wzrok dotrze do najmroczniej-szych zakątków i  
zakamarków jej duszy i tym samym pozna jej cały charakter. Sięgnęła po  
kieliszek wina, którego nalał jej Sam, i szybko podniosła go do ust.  
— Hej, spiesz się powoli... to wino powinno się traktować z większą  
atencją.  
— Dlaczego? — spytała, tłumiąc w sobie zarodki gwałtownego gniewu.  
— To biały Piedmont.  
— Och.  
Roześmiał się zdając sobie doskonale sprawę, że nic jej to nie wyjaśniło.  
— Piedmont słynie głównie z win czerwonych.  
— Jakiś ty wykształcony, Sam — powiedziała oschle. — Nie  
zrezygnowałeś jeszcze z olśniewania mnie swoją wiedzą?  
— To nie o to chodzi, Natalie, całkiem po prostu interesuję się tym.  
— Nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?  
— Ależ oczywiście, o czym chcesz.  
— Kiedy wracasz do Stanów?  
— Latem, po zakończeniu konferencji.  
— Mówiłeś, że przyjedziesz na Wielkanoc, a teraz zmieniasz zdanie.  
— No cóż, pomyślałem sobie, że skoro to ty nas odwiedziłaś, nasza  
wyprawa do Stanów nie będzie już taka konieczna.  
— A jeśli konferencja nie skończy się w przewidywanym terminie?  
— Wtedy będziemy się zastanawiać na nowo. —

Westchnął. — Ale to raczej na pewno nie wchodzi w grę. Wszystko wskazuje na to, że idziemy w odpowiednim kierunku.

— Jakiś wszarz splunął na moje szynszyle na Piątej Alei. — Zmarszczyła z gniewem brwi. — Jeśli to o takim właśnie kierunku myślisz, to dziękuję bardzo.

— Natalie, futro nie jest już traktowane tylko jako wierzchnie okrycie, jak dawniej; teraz widzi się w nim kilka czy kilkanaście futerek zwierzęcych pozszywanych z sobą jedynie po to, aby ktoś mógł zadać szyku.

— To znaczy, że po tej niesamowicie szlachetnej konferencji koniec z futrami, koniec z paleniem, może nawet koniec z oddychaniem...

— Wybór należy do każdego z nas.

Obróciła wzrok na jego twarz i widząc jego powagę, uświadomiła sobie, że się zagalopowała.

— Żartowałam, Sam... Wiem doskonale, jakie to wszystko ważne, ja sama nawet zaczęłam używać powtórnie przetworzonych tamponów. — Parsknęła śmiechem i nawet Sam musiał siłą powstrzymać uśmiech — dość to było wulgarne, ale śmieszne.

— Nie sądź — powiedziała już poważniej — że mimo mojego żartobliwego nastawienia nie zdaję sobie sprawy z wagi tych spraw. Jego twarz rozjaśniła się nieco; Natalie wypila z ulgą następny łyk wina.

— Te wszystkie problemy związane z lasami tropikalnymi, CFC, zanieczyszczeniem i tak dalej rzeczywiście są tak poważne?

— Nawet bardzo, Natalie.

— „Washington Post” twierdzi, że musi się jeszcze pogorszyć, nim się polepszy.

Sam uniósł ze zdziwieniem brwi. Natalie i „Washington Post”, świat się wali.

— Możliwe. Walka z tymi problemami oznacza bowiem zmianę wielu rzeczy i wielu ludzi, a nikt nie lubi zmian.

— Na przykład jakich?

— Na przykład takich, jak ograniczenie używania paliw kopalnych, jak ropa, a szczególnie węgiel, albo powstrzymanie się przed wypalaniem lasów.

— A co się stanie, jeśli nie zrobimy tego?

— Dojdzie do zmian klimatycznych — opady deszczu zostaną zakłócone, podniesie się poziom mórz, miejsca takie, jak Floryda, Holandia, Bengal i inne położone w depresji terytoria geograficzne będą nawiedzane przez powodzie, a niektóre z wysp, jak choćby Falklandy, mogą zupełnie zniknąć pod powierzchnią wody. Rafa koralowa należąca do Stanów Zjednoczonych ulegnie prawdopodobnie redukcji... Mówić dalej? — Westchnął. — To jedynie szacunki, zabawa w zgadywanek i w dodatku dotycząca na pewno nie najbliższej przyszłości. Ale kto naprawdę wie, co się może zdarzyć?

— Brzmi to dość ponuro...

— Zgoda, ale gdyby tak nie brzmiało, nie byłoby mnie tutaj.

— Ostatnio jak byłam w Los Angeles, musiałam przewiązać usta szalikiem...

— To z powodu zanieczyszczenia atmosfery czy — jak wolisz — smogu. To miasto jest szczególnie narażone na takie zjawiska, ponieważ położone jest w niecce.

Wzięła do ust następny łyk wina, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie musiała udawać zainteresowanie. Miała już tego wszystkiego dość, a poza tym nie były to jej problemy; według niej bowiem świat tak czy inaczej nie przestanie się kręcić — Sam i inni jemu podobni z pewnością zatroszczą się o to, a ona jakoś sobie poradzi z wszarzami charkającymi na jej szynszyle. Dla niej to było najbardziej ponurą wizją.

— Porozmawiajmy może o czymś innym — zaproponował Sam — często zaczynam przynudzać, kiedy wsiadam na swojego konika.

Uśmiechnęła się ostrożnie. No pewnie, że przynudzasz,

bracie, jakbyś czytał w moich myślach. Opuściła wzrok na kawałek arbuza na talerzu; nawet nie zauważyła, kiedy Clara nałożyła go jej. Może to i lepiej, nie podobała jej się ta Filipinka. Czując w ustach chłodny, odświeżający miąższ owoca, zerknęła na Sama spod oka. Rozluźnił krawat, a na policzkach pojawił mu się rumieniec, niechybna oznaka, że zaczyna reagować na wypite trunki. Niedbałym ruchem rozpięła bolerko: było urzekające, doskonały zakup, z czarnego aksamitu usianego czarnymi jak smoła paciorkami. Pod spodem miała na sobie inne cudeńko — idealnie dopasowaną sukienkę z sięgającym nieomal pasa dekoltem. Z wystudiowaną obojętnością położyła bolerko na oparciu krzesła i nie spoglądawszy nawet na Sama jadła dalej arbuza. Nie odezwał się ani słowem.

— Możemy się napić kawy u ciebie w pokoju? Chętnie usiadłabym na czymś wygodniejszym, mam zupełnie sztywny kark po podróży. Zatrzymał na chwilę na niej wzrok i następnie skinął głową.

— Oczywiście, zaraz powiem Clarze.

— A może ją po prostu zwolnisz, ja sama mogę się zająć kawą. Biedna dziewczyna spędziła w kuchni cały boski dzień, tylko po to, żeby nas uraczyć tym wspaniałym posiłkiem.

Podniósł się i jakby przez chwilę zawahał.

— Naprawdę tak będzie dobrze, Sam... Nie mógł się zdobyć na odmowę. Natalie spojrzała na starannie przygotowany przez siebie serwis kawowy i zaczęła przyglądać sukienkę, obciągając ją mocno w dół, aby jeszcze bardziej uwydatnić dekolt. „No, ślicznie, słonko” wyszeptała do siebie i sięgnęła po tacę. „Och, Sam, Sam, nawet sobie nie wyobrażasz, jaka zabawa nas czeka...” Po wejściu do saloniku postawiła na chwilę tacę i wyłączyła wszystkie lampy, tak

że mieszkanie oświetlone było teraz jedynie światłem dochodzącym z pokoiów Sama i Clary, znajdujących się na dole. „Nie będziemy już dziś potrzebowali twoich usług, skarbie...” — wycedziła przez zęby wyrzucając jednocześnie rękę w wulgarnym, obscenicznym geście. Zdawała sobie sprawę, że tamta w sobie tylko wiadomy sposób przejrzała ją.

Kiedy weszła do pokoju Sama, stał przed kominkiem, i momentalnie zauważyła, jak jest napięty, gdy, sądząc, że go nie widzi, błyskawicznie przebiegł wzrokiem po jej figurze.

— Nie będę siedziała długo, umówiłam się jeszcze dziś na telefon w hotelu. — Oczywiście było to kłamstwo, które jednakże niemal natychmiast wywołało u Sama pożądany efekt — wręcz można było zobaczyć, jak się rozluźnia.

— Szkoda.

Nigdy nie potrafił kłamać.

— Planując dzisiejszy dzień wydawało mi się to dobrym pomysłem, domyślałam się bowiem, że nie będziesz chciał, żebym się zasiedziała. Sam zaczerwienił się.

— To przynajmniej napijmy się jeszcze czegoś razem, nim wyjdiesz.

— Chętnie, ostatnio jakoś przestało mnie bawić picie do lustra.

— Już dobrze, dobrze. — Uśmiechnął się.

Sącyli koniak z wielkich, pękatych lampek. Natalie usadowiła się w rogu kanapy i starannie założyła nogę na nogę, aby zobaczyć, że nic się nie zmieniło — miała nadal sprężyste uda i jędrne ciało opalone na lekki brązowawy kolor.

— No i jak ci w ogóle leci? — spytał tonem grzecznej konwersacji, czując jednocześnie, jak opada go zmęczenie po całym upalnym dniu.

— W porównaniu z tym, co było, znacznie lepiej,

naprawdę. Staram się więcej czytać i jeździć konno, szczególnie w czasie weekendów. — Chciało jej się śmiać. Na scenie znowu pojawił się Donahue, wielki amator jazdy konnej.

— A przyjęcia?

— Nie wiem, może wydorostałam, ale już mnie nie bawią jak dawniej.

— No, proszę. — Uśmiechnął się kwaśno.

— Naprawdę, Sam. — Ściągnęła nogę z nogi i pochyliła się w jego stronę, tak że jej biust stał się jeszcze bardziej widoczny.

— Jestem przekonany, że ludzie się zmieniają — powiedział słabo Sam, nie wiadomo po co.

— Mogę jeszcze trochę brandy? — spytała wstając, by sobie nalać.

— Och... oczywiście.

Powoli podeszła do biblioteczki, gdzie postawił butelkę, czując na sobie jego spojrzenie napełniła swój kieliszek, a następnie z pytającym wzrokiem odwróciła się z butelką do niego.

— Nie, Natalie.

— To mój strzemienny, więc możesz mi chyba dotrzymać towarzystwa, a później możesz od razu zadzwonić po taksówkę.

Spojrzał na nią i niechętnie pokiwał głową.

— Masz nadal tego Feliciano?

— Gdzieś chyba tak.

— Puść go, Sam.

— Jest już późno, Natalie.

— Wychodzę za dziesięć minut... daj spokój...

Westchnął i zaczął grzebać w swojej kolekcji kompaktów. Znalazłszy żądany krążek, włączył sprzęt i pociągnął spory łyk koniaku. Poczuł w żołądku rozchodzące się ciepło i do jego uszu dotarły pierwsze żarliwe dźwięki „Light my Fire”.

— Niesamowite, ile w tym jest wyrazu, prawda?



— To po prostu dobra muzyka, Natalie — odparł starając się nie dać wciągnąć w konwersację.

— Och tak, ale ta przemawia do mnie szczególnie... — Wstała i podeszła do niego. — Zatańczmy, chociaż raz, proszę.

— To nie jest dobry pomysł.

— Och, Jezu, Sam, przecież cię nie ugryzę — westchnęła dramatycznie — przecież, do cholery, to tylko muzyka. — Wzięła go za rękę i poprowadziła na środek pokoju. — Tylko jeden taniec, Sam.

Zamknął oczy, a ona położyła jego dłonie na swojej talii, zrzucając mu jednocześnie ręce na szyję.

— Spokojnie, rozluźnij się — wyszeptała.

Ale nie był w stanie, przeszkadzała mu w tym świadomość bliskości jej ciała, jej piersi, jej nóg, jej włosów, zapachu jej perfum i podniecających wilgotnych warg tuż przy jego uchu.

— Ciii... ciii... wyłącz się, Sam, słuchaj tylko muzyki, jest piękna, piękna...

I była to prawda; słowa, gitara, żarliwy, proszący głos sprawiały, że opanowały go myśli, od których kręciło mu się w głowie. Jej ramiona zsunęły się w dół jego pleców, przytuliła policzek do jego twarzy, przyklejając się coraz mocniej do niego udami. Wiedział doskonale, co zaraz nastąpi, ponieważ zdarzało się to już tyle razy wcześniej, ale nagle zabrakło mu siły, by nadal walczyć, bo łaknął tego jak głodny jedzenia, i kiedy pocałowała go, oddał się całemu rozkoszynom ruchom jej ciekawego języka wciskającego się pomiędzy jego wargi, zatracając się całkowicie w dotyku jej ciała. Ciała Natalie.

Stała przed lustrem na lekko trzęsących się nogach i zaczęła odpakowywać wyciągniętą z ukrycia torebkę z cynfolii, zlizując łapczywie wysypujące się na jej dłoń podczas tej czynności drobinki białego proszku. Następnie usypała na grzbiecie ręki zgrabny kopczyk z pozostałej

zawartości i wciągnęła ją gwałtownie do nosa, aby zabójczy proszek dostał się jak najgłębiej do mikroskopijnych żyłek w środku. „Och, już lepiej, znacznie lepiej”. Potrząsnęła głową i zaczęła przyglądać się uważnie swojej twarzy w lustrze: spod sztucznej opalenizny wyzierała chorobliwa żółtość skóry, a oczy nabiegłe były krwią. Ale

nie zmartwiło jej to, wiedziała, że za kilka minut, gdy weźmie prysznic i zrobi sobie makijaż, jej wspaniały wygląd wróci. Miała za sobą długą noc — dopilnowała tego z całą skrupulatnością i teraz płaciła za to swoim wyglądem, ale koniec końców opłacało się nieco poświęcić, Sam uznał się za pokonanego i zaakceptował jej reguły gry. Okazało się to tak kurewsko łatwe; teraz było już jedynie kwestią czasu, kiedy zaczną planować wspólną przyszłość, tyle że tym razem nie pozwoli mu się już wysliznąć. Spuściła wzrok na trzymaną w ręku cynfolię. Sam nie musi się o niczym dowiedzieć — jeśli tylko będzie wystarczająco uważna i przebiegła i jeśli tylko będzie grała rolę przykładnej żony, a dla Joanny znajdzie inną nianię, nie tę filipińską sukę. Weszła pod prysznic, pozwalając, by strumień gorącej wody obmywał jej ciało ze ' wszystkich stron. Powrót do Sama niekoniecznie musi się okazać takim poświęceniem, ostatecznie, była już po trzydziestce, a jej reputacja w Nowym Jorku i Waszyngtonie wykluczała możliwość jakiegoś nowego, w miarę ciekawego związku z kim innym. Położyła dłonie na szyi, czując pod palcami gładką skórę, następnie zsunęła je w dół, na piersi, dotykając ich ostrożnym, miłosnym wręcz gestem, potem na płaski brzuch i krągłe pośladki, prawie tak i twarde jak skała od jazdy konnej — tu się uśmiechnęła — i codziennego opalania się w gabinecie kosmetycznym. „Śliczna dupeńka”, wyszeptała. Zakręciła prysznic i weszła do biało-niebieskiej łazienki, wsuwając na siebie zaborczym gestem szlafrok Sama, i zerknęła do lustra. „Już jest mój”, powiedziała do swojego odbicia. Zaczynała się cudownie czuć po kokainie. Szczotkowała włosy z ta-

kim wigorem, jakby przez jej palce przechodził prąd elektryczny, później upięła je szybko, pozostawiając z pozorną niedbałością kilka luźnych kosmyków spadających kuszaco na szyję; jeszcze trochę rózu, szminki i tuszu i była prawie gotowa, gdy nagle zadzwonił telefon. Wyglądnęła do przedpokoju. Słuchawka zdawała się cała aż wibrować od miarowego, przenikliwego sygnału. Sam spał jeszcze, a Clara... gdzież do cholery była Clara? Weszła do hallu i podeszła do telefonu.

— Halo.

Odpowiedziała jej cisza.

— Halo.

— Czy mogłabym mówić z Samem? Natalie uśmiechnęła się.

— Ma pani na myśli Sama Cohena?

— Tak.

— Jest jeszcze w łóżku, nawet mu nosa nie widać spod kołdry. — Chciało jej się śmiać i oddałaby chyba wszystko, żeby tylko móc widzieć twarz tamtej kobiety, jak jej tam, Kristiny?

— Aha, rozumiem.

— A kto mam powiedzieć, że dzwonił?

— Kristina.

— Kristiina — przeciągnęła, jakby się zastanawiając. — Ach tak, Sam mówił mi o pani.

— Tak? Biedna krowa.

— Mówił, że była pani dla niego bardzo dobra.

— Tak powiedział...

— Mówił też, że zawsze zachowa panią we wdzięcznej pamięci.

Nastąpiła znowu cisza.

— Rozumiem, że w tej chwili nie mogłabym z nim porozmawiać?

— Przykro mi, Kristino, ale jeszcze sobie smacznie śpi, a ja zresztą też zaraz się do niego przyłączę, wyskoczyłam

tylko odebrać telefon. — Westchnęła. — Widzi pani... tak już u nas bywa, kto się lubi, ten się czubi, ale nie miałam wątpliwości, że wrócimy do siebie, kwestią czasu było jedynie kiedy. Naprawdę bardzo mi przykro, że dała się pani w to wplątać. — Natalie przytknęła dłoń do ust, bojąc się, że parsknie nagle śmiechem.

— Proszę mu przynajmniej powiedzieć, że dzwoniłam.

— Ależ oczywiście. — Masz to jak w banku, złociutka. Usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Przez chwilę spoglądała na telefon z szyderczym uśmiechem i z wysuniętym na całą długość różowym, wilgotnym językiem, następnie prychnęła szyderczo i odłożyła słuchawkę na widełki.

Ściągnęła mocniej pasek szlafroka Sama chcąc wracać do sypialni, ale odwracając się dostrzegła w progu kuchni biało-czarną plamę czyjejś postaci. Wzdrygnęła się: z czujnie otwartych oczu Clary wyzierała pogarda. Na twarzy Natalie pojawił się wyraz furii, który w jednej chwili zamienił jej twarz we wstrętą maskę. Ta Filipinka musi się wynieść... zde-cy-do-wa-nie.

— Nie spodziewałam się, że zastanę cię w domu, John.

— Obrady skończyły się wcześniej, niż zakładano. — Rozluźnił krawat i rzucił wzrokiem na pokryty skórą blat biurka stojącego przy ścianie, sprawdzając codziennym zwyczajem, czy przyszło coś ciekawego w ostatniej poczcie. Elizabeth nadal siedziała z nie czytaną gazetą na kolanach. Przez krótką chwilę spoglądał na nią, walcząc z sobą, by nie spytać, czy już się zdażyła spotkać z tamtym, czy też dopiero miał się spodziewać jakiegoś grubymi nićmi szytego pretekstu do wyjścia wieczorem. Ale czuł strach, sam przed sobą, bał się drażnić tę ukrytą w nim samą istotę, której nakazywał spokój i rozsądek, tę istotę, która spotykała się, rozmawiała, spacerowała i była „normalnym Johnem”, jak gdyby jego świat nie rozpadał się na kawałki.

— Jak idzie?

— Istnieje duża szansa, że niedługo skończymy.

— Pod koniec lipca?

— Prawdopodobnie. — Bronił się przed zadaniem pytania, które nasuwało mu się samo — skąd u niej tak nagłe zainteresowanie? Zamiast tego spytał tylko: napijesz się czegoś?

— Tak, proszę. — Zobaczyła jego szerokie plecy, kiedy podchodził do stolika i znajdującej się na nim srebrnej tacy z szeregiem karafek. — Chyba widziałam niedawno jedną z twoich koleżanek.

— Którą?

— Przedstawiłeś nas sobie na balu w Operze — ciemnowłosa, ładna dziewczyna, chyba miała na imię Laura.

— Laura Drummond. — Odwrócił się do niej trzymając w rękach kieliszki. — Dlaczego powiedziałaś, że „chyba” ją widziałas?

— Przepraszam... nie „chyba” ją widziałam, nawet na pewno ją widziałam, ale to spotkanie było jakieś takie dziwne, i zdawało się, że nie jest w najlepszym stanie.

— To znaczy?

— Właściwie wpadłyśmy na siebie... — przełknęła ślinę mając się na baczności, żeby nie powiedzieć gdzie — ... i nie dość, że widać było po niej ślady płaczu, to jeszcze na twarzy miała ogromny siniak, jak gdyby ktoś podbił jej oko.

John ściągnął brwi.

— Gdzie to było?

Elizabeth nie potrafiła powstrzymać się od spojrzenia na niego.

— Niedaleko Rathausu.

— Na ulicy?

— Niezupełnie.

Spojrzał na nią wiedząc od razu, że była wtedy u tamtego.

— Gdzie dokładnie? — Znał miejsce zamieszkania Nielsena, ale chciał usłyszeć adres z jej ust.

— W budynku mieszkalnym.

— Rozumiem. — To mu wystarczało.

Oblała się rumieńcem, ale nadal nie odrywała od niego wzroku, co napełniło go dziwnym uczuciem podziwu. To niesamowite, że po tym wszystkim mógł jeszcze do niej czuć coś takiego. Odłożył kieliszek.

— Pójdę położyć Christophera, na pewno czeka już na swoją codzienną porcję opowiadań.

— Pozwól mi dzisiaj, John... — poprosiła miękko. — Bardzo bym chciała.

Znów dostrzegł to spojrzenie i poczuł w sercu panikę. Podniosła się i przeszła przez pokój, ale zbliżając się do drzwi zatrzymała się i spojrzała na niego z wahaniem.

— Masz dostać placówkę w Waszyngtonie...

— Tak.

— To bardzo dobra wiadomość.

Ale dla niego już nie. Nie czuł już żadnej radości, pozbył się wszelkich oczekiwań i złudzeń co do przyszłości, obojętnie jak świetlana i wspaniała miałyby być, jeśli nie będzie z Elizabeth. Odebrała mu wszystko.

— Co zrobisz? — spytał ledwie słyszalnie, zaskoczony spokojem swojego głosu, zdziwiony, że tak łatwo było mu wyartykułować to pytanie.

— Nie wiem, John. — Wbiła oczy w podłogę, ale zaraz je podniosła, dodając: — Nie wiem. — I odwracając głowę wyszła z pokoju, a do niego dochodził odgłos jej wolnych, pewnie stawianych kroków kierujących się w stronę pokoju ich syna i coraz bardziej oddalających się od niego.

— Masz tu kilka ładnych rzeczy, Karl — zauważył Dan rozglądając się po pokoju, podczas gdy jego doradca nalewał kawę ze zgrabnego, szklanego dzbanka. Doprowadził do prywatnego spotkania z Karlem, ponieważ był ciekawy jego domu, chciał zobaczyć, gdzie i jak mieszkał.

— Takie drobiazgi, które zebrałem tu i tam przez tych kilka lat pracy, podobnie jak inni w naszym zawodzie — odpowiedział ostrożnie.

— Tak, to prawda. Ja sam mam kilka ładnych bibelotów — przyznał mu rację Dan i po krótkiej chwili dodał: — Ale nie mam niczego z kości słoniowej.

Karl westchnął do siebie z rezygnacją, a więc to o to chodziło.

— Po prostu lubię afrykańskie rękodzieła, stałem się ich kolekcjonerem podczas pobytu w Afryce, która, tak swoją drogą, jest cudownym miejscem.

— No cóż, raczej była, ale istnieje jeszcze nadzieja na lepsze.

Karl spojrzał w kamienną twarz ambasadora nie mogąc z niej odczytać żadnego wyrazu; ogarnęły go pierwsze fale gniewu.

— Skończ wreszcie ten wstęp, Dan, i przejdź do rzeczy.

— Jak chcesz, Karl. — Uśmiechnął się bez cienia wesołości. — Chodzi o kość słoniową, róg nosorożca i nielegalny eksport zwierząt i roślin należących do zagrożonych gatunków.

— A co ja mam z tym wspólnego?

— Dajże spokój, Karl, nie obrażaj mojej inteligencji. — Dan pokręcił głową z niesmakiem. — Przypadkiem znam kilka faktów dotyczących pewnej firmy importowo-eksportowej działającej w Mtwarze, porcie leżącym niedaleko granicy Tanzanii z Mozambikiem.

— No i?

Nagle przestało mu na czymkolwiek zależeć, miał dość udawania, kłamstw, niech już wreszcie Dan wyrzuci to wszystko z siebie, i tak mu może nadmuchać.

— Należy do ciebie, prawda? A przynajmniej spora jej część.

— Nie sądzę, żebyś gdzieś w jej dokumentach natknął się na moje nazwisko. — Zawsze był niezmiernie ostrożny, a poza tym cały ten interes z kością słoniową był już dla niego przeszłością, stawał się zbyt niebezpieczny.

Dan pokiwał głową.

— Och, oczywiście masz rację, ale ten facet, który prowadzi ją w twoim imieniu — czy też raczej prowadził — wspomniał twoje nazwisko. Zresztą wiele innych rzeczy również. — Przenikliwym wzrokiem wpatrywał się w siedzącego po drugiej stronie mężczyznę. — Zamieszany jest również niemiecki duchowny o przezwisku Król Mtwary — zdaje się, twój dobry znajomy — i wiem z moich źródeł, że po mistrzowsku poradziliście sobie w dwójkę z podkupieniem miejscowej policji i przywódców partyjnych.

— Nie miałem pojęcia, że Mtwara ma króla.

— Dość kiepski dowcip. Karl uśmiechnął się.

— A co do twojego nazwiska... można je znaleźć na kilku ważnych dokumentach związanych z importem magnetowidów, odbiorników telewizyjnych i radiowych, lodówek, a nawet pewnej liczby mercedesów — z westchnieniem zakończył wyliczankę Dan.

— No dobrze, złamałem pewną liczbę świętych zasad dyplomatycznych, ale nic poza tym.



— Cóż, oczywiście nie jestem w stanie udowodnić, że sprzedajesz, czy też raczej sprzedawałeś tamte rzeczy, wiem to równie dobrze jak ty, gdyż po prostu dawałeś je w podarunku — proceder taki moglibyśmy dla uproszczenia nazwać prostackim łapówkarstwem, prawda? Można sobie wyobrazić, jak tubylcy omal nie srają w gacie mając możliwość wymiany kłów słoniowych na te nowoczesne „paciorki”, jakimi bez wątpienia są magnetowidy, lodówki czy mercedesy. Tak sobie wyliczyłem, że „na dzień dzisiejszy” na jednego mercedesa przypada jeden zabity słoń.

— Nigdy się nie bawiłem rachunkami, Dan. — Zaczynało mu to sprawiać radość — rozwścieczanie Gurneya.

— Ty kiepski skurwysynu.

— Możesz sobie nazywać mnie, jak ci się żywnie podoba, ale to ci i tak nie pomoże w znalezieniu jakiegoś naprawdę rozsądnego, niepodważalnego dowodu przeciwko mnie, Dan. A jeśliby nawet tak było, jakoś mi się nie chce wierzyć, żeby chciało ci się go wyciągnąć na światło dzienne. Wiesz, że dziennikarze rozbiliby konferencję w drobny puch. — Łyknął kawy. — A na tym na pewno ci nie zależy, szczególnie teraz, kiedy wszystko zmierza ku takiemu szlachetnemu końcowi.

Dan nie wysilił się na odpowiedź. Wstał i zaczął się przechadzać powoli po pokoju, rejestrując wzrokiem książki, szklane drobiazgi, maski na ścianie, biorąc do ręki unikatowe figurki z kości słoniowej i obracając je w palcach.

— Czy nigdy nie czuleś się parszywie robiąc to, czy kiedykolwiek w ogóle coś czuleś? — Nie potrafił się oprzeć temu pytaniu, musiał się dowiedzieć, zrozumieć dlaczego.

— Chodzi ci o poczucie winy? Nie — odparł niespiesznie Karl. — Potrzebowałem pieniędzy. — Od czasu do czasu trapiły go wątpliwości wkradające się cichaczem do jego umysłu, ale nigdy nie dopuszczał ich do pełnej

świadomości. — Gwoli ścisłości chciałbym tylko zauważyć, że zająłem się tym procederem na długo przedtem, nim stał się tak gorącym problemem politycznym, a wtedy wycofałem się z niego.

— No pewnie, bo czułeś się jak na rozżarzonej blasze. — Dan pokręcił głową. — Nie staraj się mi wmówić, że ogarnął cię nagły przypływ wyrzutów sumienia, bo nie sądzę, żebyś w ogóle miał sumienie.

— Wchodzisz na temat osobisty, Dan, trąci mi to amatorszczyzną.

— Ile na tym zarobiłeś, Karl, ile?

— Nie sądzę, żebyś naprawdę chciał usłyszeć.

— Ile?

— Około czterech milionów dolarów. Dan raptownie przełknął ślinę.

— Widzisz, mówiłem ci. A przecież nie sądziłeś chyba, że ryzykowałbym dla byle czego, Dan? — Usta rozciągnęły mu się w ironicznym uśmiechu.

— A tak swoją drogą, zawiodłeś mnie. Czyż to nie ty przypadkiem masz pod ręką wszystkie fakty na temat mojej działalności? — Karl westchnął z udawaną cierpliwością. — Czy miałeś na przykład pojęcie, że za jeden jedyny kilogram nieobrobionych kłów słoniowych można w odpowiednich warunkach dostać sto dolarów, a za rzadko spotykaną papugę czy orchideę, jeśli są w dobrym stanie, można od ręki wziąć około pięciu tysięcy dolarów? — Karl potrząsnął głową. — Nieźle mi się też wiedzie w sprzedaży skór krokodylowych, Dan...

— Ty skurwielu.

— Daj spokój... To wszystko plewy w porównaniu z zarobkami niektórych z tych szyszek, z którymi siedzimy ramie w ramie przy stole konferencyjnym. Wiesz tak samo jak ja, że te wszystkie porozumienia i konwencje są o kant dupy rozbić, skoro podpisują je ludzie tacy, jak na przykład Japońcy, którzy następnie przymykają oko na wszelkie przejawy nielegalnego handlu. A wielkie rządy

tego świata nie mają odwagi, by się temu przeciwstawić, ponieważ zbyt zajęte są robieniem z nimi interesów...

— Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwie czterech milionów plewami. Karl wzruszył ramionami.

— Będziesz oczywiście musiał zrezygnować.

— Naturalnie. — Nalał sobie następną filiżankę kawy. —

Przypuszczalnie po konferencji?

— Tak. — Dan popatrzył na niego ze znużeniem i pogardą. — Jeśli o mnie chodzi, wolałbym oczywiście, żeby odbyło się to inaczej, ale zmuszony jestem do bardziej praktycznego podejścia. Miał ochotę wylac go natychmiast, robiło mu się niedobrze na jeno widok,

Karl spojrzał w zawziętą twarz Garneya i nie powiedział ani słowa.

— Jest jeszcze inne wyjście, które mnie osobiście napawa niesmakiem.

Karl miał ochotę się uśmiechnąć.

— Gdybyś pomógł nam z nazwiskami, miejscami... może moglibyśmy znaleźć ci gdzieś posadę, ale naturalnie nie w Stanach — wyrecytował raczej niż powiedział Dan, bo nie były to jego własne słowa.

— To nie był twój pomysł, prawda, Dan? — Domyślił się od razu i pokręcił głową, a kąciki ust zaczęły mu się podnosić do góry. — Chyba ledwie ci się przecisnęły przez gardło.

— Rozumiem płynące z takiego wyjścia korzyści.

— O, na pewno — powiedział Karl wstając i podchodząc do barku. — Chyba mam ochotę na coś mocniejszego. Przyłączysz się?

— Nie — odparł Dan przyglądając się, jak Nielsen nalewa sobie potężną porcję koniaku.

— Wiesz, z czym mi się to kojarzy? Z sytuacją nazistowskich zbrodniarzy wojennych, którzy uniknęli więzienia i dostali od Departamentu Stanu wolną rękę w swojej działalności, tak długo, jak długo będą „współpracować”.

Niektórzy z nich nadal jeszcze żyją, prawda, Dan? Myślę tu głównie o lekarzach, naukowcach, tych naprawdę coś znaczących ludziach, którzy mogli wspomóc dobrą, starą Amerykę swoją wiedzą i informacją właśnie poprzez „współpracę”... — Podniósł oczy i zmarszczył czoło, jak gdyby nad czymś głęboko myślał. — Jeśli się nie mylę, jeden z tych sympatycznych, chętnych do współpracy naukowców, mających na sumieniu setki, jeśli nie tysiące istnień ludzkich, doczekał się jakiegoś orderu, czy też pomnika?... tak, tak, pomnika...

— Dość.

— I naprawdę sądzisz, że będę współpracował, jak to sympatycznie zasugerowałeś? — Ciągnął nie zrażony Karl. — Chyba oszalałeś. Nie jestem zbrodniarzem hitlerowskim nie mającym nic do stracenia, wolę sobie raczej myśleć, że mam całe życie przed sobą, i raczej wolałbym, żeby mi odpadły jaja, niż zgodzić się na — jak to ładnie określiłeś — „współpracę”. — Przełknął spory łyk starego markowego koniaku. — Rozmawiamy o międzynarodowej siatce, w której, jak wszędzie, znajdziesz wielu „jastrzębiów”, „pistoletów” pozbawionych współczucia, skrupułów czy wyrzutów sumienia. — Potrząsnął głową. — Jeśli twierdzisz, że jestem taki nieczuły i podły, to mało jeszcze widziałeś, Dan.

— Więc za co się weźmiesz? Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby te cztery miliony zagrzały miejsce w portfelu u kogoś takiego jak ty — zauważył Dan wskazując jednocześnie na urządzenie jego pokoju.

— Po pierwsze, niewiele jeszcze o tym myślałem, a po drugie, to nie twoja sprawa — sparował, jednakże w duchu przyznał rację Gurneyowi. Połowa tej sumy gdzieś już wsiąkła, a on nie miał najmniejszego pojęcia, jak i gdzie, pieniądze miały tę przykrą właściwość, że przeciekały mu przez palce.

— Można się jeszcze zająć narkotykami, Karl, na pewno by ci to przypadło do gustu.

— Niezmiernie dowcipne, Dan. — Ale w gruncie rzeczy istniała taka możliwość, wspominał o niej Claude, który maczał palce w większości nielegalnych interesów handlowych, a każdy towar szmuglowany był przypuszczalnie w podobny sposób: podróżował w kontenerach i opakowaniach, podwójnymi podłogach samochodów, systemami kanalizacyjnymi, a nawet w teczkach dyplomatów — w zależności od tego, czym był, zaś kuszące piękno przemytu narkotyków polegało na tym, że były takie „poręczne”, można je było pakować i chować na różne sposoby, a profity z ich sprzedaży były wprost bajeczne, pod warunkiem, że się zachowywało ostrożność. A cóż za wspaniałe rynek zbytu — tysiące, tysiące nieudaczników, niepozbitych jak kawałki rozbitego zwierciadła, których jedynym marzeniem było łyknięcie jakiegoś procha czy danie sobie w żyłę. I gdyby nie on, pomógłby im kto inny, to chyba oczywiste. Ale wraz z pojawieniem się tej myśli opadły go jakieś niejasne wątpliwości, których źródła nie mógł odkryć, jak gdyby zapomniał o czymś istotnym.

— Idę już — usłyszał głos Dana i poruszył się, wyrwany nagle z zamyślenia.

— Cóż, Dan, spójrz na to z innej strony, już wkrótce nie będziesz musiał znosić mojego widoku.

— To prawda — odpowiedział Dan, gdy podchodzili do drzwi. — Jeszcze jeden drobiazg... — W rękę została mu ostatnia, naprawdę mocna karta do zagrania.

— O co chodzi?

— Jakoś nie wydaje mi się, żeby Elizabeth Thornton aprobowała twoją mniej znaną publicznie działalność.

Zapadła martwa cisza.

— Chyba nie przypuszczałeś, że nic nie wiem o całej sytuacji, Karl? — Z wdzięcznością pomyślał o Sir Nigelu Howardzie. — Staram się śledzić co smakowitsze kawałki z życia mojego personelu.

— Ona o wszystkim wie.

— Nieprawda. Osoba pokroju Elizabeth Thornton nie pasuje mi do czegoś tak obrzydliwego i podłego, jak twoje interesy. — Posłał mu długie badawcze spojrzenie. — A tak przy okazji, nie sądzę, żeby w ogóle cię dobrze znała, prawda?

— Moje prywatne życie nie powinno cię obchodzić.

— Ale obchodzi, Karl, i to nawet bardzo. Przypadkiem lubię Johna Thorntona.

— Znałem Elizabeth wcześniej. A więc o to chodziło.

— Guzik mnie obchodzi, czy znałeś ją wcześniej czy nie, zresztą w takim razie miałeś szansę i widocznie ją przegapiłeś. Zostaw ją w spokoju albo ja zrobię wszystko, żeby to ona cię zostawiła, wybieraj. —

Opanowywany coraz większą wściekłością wysunął twarz do przodu i wycodził przez zaciśnięte zęby. — I naprawdę myślisz, że umywasz się do takiej kobiety jak ona? Ty? Nie rozśmieszaj mnie. — Parsknął w twarz Karla. — Ludzie tacy jak ty nie zmieniają się, Karl, nie ma w nich nic, co by im w tym pomogło. Bo, rozumiesz, tak naprawdę to ty nic nie czujesz, nie masz żadnych wyższych uczuć... W tej ponurej dziurze, którą nazywasz swoją duszą, nie ma miejsca na poświęcenie, nie ma miejsca na nic i nikogo innego oprócz Karla Nielsena, specjalisty od handlu kością słoniową.

— Odpierdol się, Dan — powiedział cicho.

— Spokojnie, Karl, gdzie się nagle podziała ta twoja wspaniała ogłoda dyplomatyczna? Nie martw się, już idę. — Otworzył drzwi i dodał z sardonycznym uśmiechem: — Jutro rano spodziewam się zobaczyć cię jak zwykle w biurze delegacji, ponieważ ta rozmowa oficjalnie nie miała miejsca. — I wychodząc na korytarz dodał: — O ile wiem, masz jeszcze przed sobą około czterdziestu pięciu dni pracy, nie licząc dni wolnych, ale jest nadzieja, że jakoś mi się uda je wypełnić.

Karl spoglądał za nim przez moment, a następnie

zatrzasnął drzwi i wrócił do pustego pokoju. Nie dopuści do tego, żeby Gurney powiedział Elizabeth, nie zostawi mu jedynej broni, jaką posiadał. Sprytne. Nalał sobie jeszcze jednego drinka, usiadł i oddał się myślom o wydarzeniach ostatnich miesięcy, o pierwszym i następnych spotkaniach z nią; pamiętał jej wahanie i uśmiech, i udrękę, i kochanie się z nią; wspomnienia, wspomnienia... Odchylił głowę i zamknął oczy, przywołując obraz jej twarzy. To, co powiedział Gurney, było jednak prawdą, Elizabeth naprawdę go nie знаła. A gdyby go poznała, co wtedy? Otworzył raptownie powieki i rozejrzał się po pokoju, jego wzrok przykuły maski na białej ścianie — mężczyzny i kobiety. Po twarzy przemknął mu cień i po raz kolejny poczuł niepokój, ten ucisk w dołku, gdy zastanawiał się, gdzie teraz była i co robiła.

Przepadła gdzieś jej ochota na kawiarniano-towarzyskie życie, uzmysłowiła sobie ze smutkiem Laura. Cokolwiek miała jej przynieść przyszłość, wspomnienia z Wiednia niezmiennie przesączone będą żalem i wstydem. Szok, jakiego doznała po usłyszeniu prawdy od Ralfa, nie minął jeszcze, co najwyżej zmienił się, ale w coś koszmarnego, wybujałego z nieustannego myślenia o tym, co się stało. Każdy dzień okaleczony dręczącym oczekiwaniem na telefon na nowo szarpał jej nerwy; zniknęła jej koncentracja, nie dojadła i nie dosypiała, a któregoś szczególnie strasznego wieczora zalała się w pestkę, by ten litościwy stan przyniósł jej zapomnienie... Nie wiedziała, co ma robić.

Zapatrzyła się na parę siedzącą przy jednym z okrągłych marmurowych stolików: trzymali się za ręce, nie widząc poza sobą świata. Zaszczypały ją oczy. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że coś takiego mogło jej się przytrafić, że jej życie nabrało takiego zaskakującego i ohydneho zwrotu, nie mogła zrozumieć, że nie obudziły się w niej żadne podejrzenia, że nie usłyszała żadnego wewnętrznego podszeptu sugerującego, co się może wy-

darzyć, co najwyżej od czasu do czasu czuła instynktownie, że coś jest nie tak, miała jakieś niejasne wrażenie, którego nie potrafiła jednak zdefiniować i któremu w końcu pozwoliła bezpowrotnie umknąć. Ironicznego smaczku całej historii dodawał jeszcze fakt, że nigdy przedtem nie byli z Andrew tak blisko, a co za tym idzie, kiedy wreszcie zaczął być wyczulony na jej nastroje, nie mogła wyjawic prawdziwego powodu swojego napięcia zbywając go wyjaśnieniem, że jest po prostu zmęczona, że zbyt się ostatnio przepracowywała. Gdybyż mógł wiedzieć... — ale gdyby tak było, jak by zareagował? Przypuszczała, że byłby to koniec ich związku. A co z jej karierą zawodową? Jakżeż walczyła z całych sił, aby dostać się tutaj i wytyczyć dla siebie świetlaną drogę do kariery dyplomatycznej, która teraz oddalała się od niej bezpowrotnie: no bo jak ktoś tak niewiarygodnie wprost naiwny czy bezdennie głupi mógł rościć sobie pretensje do szacunku czy awansu? Uniosła głowę spoglądając niechętnie na szklane drzwi Central Café; Ralf się spóźniał, ale teraz mógł sobie na to pozwolić, wiedział, że będzie na niego pokornie czekała do której bądź godziny. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, bała się go, naprawdę niezmiernie bała. Gdy uderzył ją pięścią w twarz, czuła, że zademonstrował jedynie mikroskopijną część swojej siły, co i tak wystarczyło, żeby zmieść ją z krzesła; a więc potrafił się hamować i kontrolować, ale Laura zadawała sobie ze strachem pytanie, co Ralf Müller, czy jak się naprawdę nazywał, mógłby zrobić swoimi pięściami, gdyby rzeczywiście stracił panowanie nad sobą. A video, przeklęte video... Z czarną rozpaczą przypominała sobie jeszcze jedno źródło jej strachu przed Ralfem. Sądziła, że nigdy się z tego nie wyplącze, nigdy nie będzie mogła zakończyć tego rozdziału swojego życia, nie dopuszczając do tego jej wspomnienia, które czarną ohydną plamą pokryją jej myśli i zostaną tam na zawsze. Było to na



pewno głupie, czy też irracjonalne z jej strony, ale od czasu ostatniego spotkania u niego w mieszkaniu szorowała do czerwoności ciało, wręcz zdzierając sobie skórę, jak gdyby w ten sposób próbowała usunąć przeszłość i dotyk jego rąk, i tamtego. Ale nie mogła wyszorować duszy. Zobaczyła go nagle, jak wolno podchodził do jej stolika uśmiechając się. Przełknęła ślinę i zaczęła się nerwowo bawić uszkiem filiżanki.

— Jesteś bardzo blada, Lauro. — Usiadł. — Myślałem, że wykorzystasz tę wspaniałą pogodę, którą ostatnio mieliśmy.

— Miałam dużo zajęć.

— Aha, dużo zajęć.

Rozglądając się i strzelił palcami na najbliższej stojącą kelnerkę. Nigdy wcześniej tego nie robił.

— Jeszcze trochę kawy czy może czegoś mocniejszego?

— Nie, dziękuję.

— Jesteś taka typowo angielska, Lauro, zdajesz sobie z tego sprawę? — Znowu się uśmiechnął. — Angolicy bardzo rzadko piją alkohol w ciągu dnia, chyba że jest nim wino do posiłku. Co za nudziarstwo.

— Co chciałeś mi powiedzieć?

— Napijesz się ze mną — powiedział z naciskiem, puszczając mimo uszu jej pytanie. — Nalegam.

Na ich stole pojawiła się wielka karafka z czerwonym winem i dwa kieliszki, popchnął jeden w jej kierunku i nalał po brzegi.

— To sprawi, że twoja twarz nabierze kolorów.

— Nie chcę, żeby moja twarz nabierała kolorów.

— Nie? Czyżbym znowu pomylił się co do ciebie?

— Pytałam cię przed chwilą, co chciałeś mi powiedzieć.

— Tak, rzeczywiście, no i co z tego? — Ralf złożył ręce i zaczął wyginać palce w stawach. — Po prostu chciałbym się upewnić, że mogę polegać na twojej współpracy w przyszłości.

— A jeśli nie otrzymasz tego zapewnienia?

— Mam nadzieję, że nie muszę ci dokładnie wyjaśniać, co mogę zrobić z tym raczej dość barwnym filmikiem, a są jeszcze fotografie. Tak się zastanawiam, co powiedzieliby na nic twoi koledzy z pracy, twój ambasador, a także rodzice, nie mówiąc już nawet o twoim drogim narzeczonym. — Potrząsnął głową i odpowiedział sobie sam z szyderczym smutkiem: — Mogłyby ci zrujnować życie, Lauro.

Beznamiętnie spojrzała na niego. Teraz już nie — on sam już to zrobił.

— Muszę jedynie wiedzieć, że w razie potrzeby będę mógł na ciebie liczyć. — Podniósł wino do ust. — To wszystko.

— Nie mam dostępu do bardziej tajnych materiałów.

— Och, ale możesz, Lauro, możesz, choćby w przyszłości, gdy twoja kariera wybuchnie fajerwerkiem i przestaniesz być jakimś tam drugim sekretarzyną.

Opuściła wzrok na jego dłonie z kwadratowymi paznokciami.

— Poza tym nie ma wątpliwości, że nawet teraz przez twoje delikatne ręce przechodzi czasem jakiś ważny dokument.

— Nie, naprawdę. Westchnął głośno.

— Lauro, Lauro... — powiedział z powstrzymywaną irytacją. — Ja wiem, że tak jest, po prostu wiem, więc nie traktuj mnie jak skończonego głupca. Odwróciła twarz do okna, do ludzi i sklepów oddzielonych od niej szybą, chcąc być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Podskoczyła na krześle, czując na swoim przegubie mocny uścisk jego dłoni i walenie krwi w żyłach.

— To miasto aż roi się od szpiegów, Lauro, nie wiedziałaś? Nikt ci tego nie powiedział w tym twoim wytwornym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, nim zjawiałaś się tu, w Mieście Marzeń? — Parsknął stłumio-

nym śmiechem. — Bądźiesz robiła fotokopie, Lauro, to wszystko. — Puścił ją. — Zadzwoń do ciebie, powiedzmy, za miesiąc. Będzie mi niezmiernie miło, jeśli coś ci wpadnie w ręce, nawet zupełnie malutkiego, chociażby po to, żeby pokazać, że potraktowałaś naszą dzisiejszą rozmowę serio.

Wstał i bez jednego słowa odszedł.

Wróciła wzrokiem do na wpół pełnej karafki z winem, zastanawiając się z roztargnieniem, dlaczego w ogóle je zamówił, skoro zamierzał spotkać się z nią tylko na chwilę. Może spodziewał się, że wypije resztę sama i upije się; już tak zrobiła, kilka dni temu, po jego telefonie. Nie potrafiła jednak wypić dużo i alkohol tylko przytępił jej ból lub litościwie pozwalał o wszystkim zapomnieć na kilka zbyt szybko mijających godzin. Nie mylił się, jej życie będzie zrujnowane, splugawione, pełne wstydu i hańby, jeśli nie zrobi tego, co jej kazał; z drugiej strony wiedziała jednak, że jeśli to zrobi, nigdy nie będzie należała do siebie — nigdy i nigdzie nie zazna spokoju. Spojrzała znów za okno, na ludzi, na ich twarze i ciepłe błękitne niebo, starając sobie wyobrazić kwadratową, przystojną twarz Ralfa, gdy odkryje, co zamierzała zrobić, ale wtedy będzie już za późno. Na ironię zakrawał fakt, że poświęcił tyle czasu i energii, żeby ją uwieść, zdegradować i nękać szantażem tylko po to, żeby się dowiedzieć, iż ostatecznie to on ją źle ocenił, a nie ona jego, i że to on się pomylił w wyborze ofiary. Gdy przybita odwróciła się od okna, jej spojrzenie napotkało tę samą parę, którą obserwowała wcześniej, nadal tam siedzieli i nadal trzymali się za ręce. Poczowała, jak ściska ją w dołku na myśl o Andrew, jego jasnych włosach i ironicznym uśmiechku, i o tym, jak zareaguje, kiedy mu powie.

Sam szybkim krokiem wspinał się na wysokie, kamienne schody prowadzące do mieszkania Kristiny; dzwonił do niej kilkanaście razy, jak obiecał, ale za każdym razem

słuchawkę podnosiła jej matka i za każdym też razem mówiła mu, że Kristiny nie ma i nie ma sensu zostawiać jej wiadomości. Była nieuprzejma, no ale przecież nie przepadała za nim. Nacisnął dzwonek. Usłyszał otwierające się gdzieś w środku drzwi, a następnie zbliżające się człapanie i stukot laski.

— To pan?

— Tak, ja. Czy mógłbym porozmawiać z Kristiną?

— Mówiłam już panu przez telefon, że jej nie ma.

— W takim razie gdzie jest?

— W Salzburgu.

— W Salzburgu!?

— Odczuwała potrzebę zmiany, chciała gdzieś wyjechać na weekend.

— Ale przecież mówiłem jej, że zadzwonię.

— Może źle zrozumiała.

— Nie sędzę — odparł beznamiętnie, jednocześnie zakłopotany i poirytowany. Nie było mowy o nieporozumieniu, na pewno jej powiedział, że dziś zadzwoni, dokładnie mówiąc :— rano, a teraz było już południe. Natalie była z Joanną w Stadtparku, a on wykręcił się czymś zostawiając je na chwilę same. — Czy zostawiła numer telefonu?

— Nie.

Wciągnął głęboko powietrze.

— Bardzo mi zależy, żeby do niej zadzwonić, Frau Heidl.

— Powiedziałam, że nie.

Spojrzał w tę starą twarz pooraną zmarszczkami, z plamami wątrobowymi, i omal się nie uśmiechnął — twarda sztuka ta starsza pani, nie mógł tego nie docenić.

— Wiem, że mnie pani nie lubi, Frau Heidl, ale wierzę, że inaczej jest z Kristiną, i dlatego tak mi zależy na rozmowie z nią.

— Moja córka nigdy nie była dobrym znawcą charakterów, zawsze dawała się nabierać nieznajomym, cudzo-

ziemcom, i w rezultacie cierpiała z powodu swej impulsy wności. —  
Zaczęła zamykać drzwi.

— Jeszcze nie skończyłem.

— Unieszczęśliwia ją pan, Herr Cohen, dość tego.

— Nie rozumiem.

— Powinna sobie znaleźć jakiegoś porządnego, austriackiego  
mężczyznę, a nie...

— W moich żyłach płynie czerwona krew, Frau Heidl, tak samo jak w  
pani. — Wciągnął gwałtownie powietrze i nagle dodał szybko: — Może  
właśnie *to* robi pani przez cały czas.

Przestała zamykać drzwi i w powstałej szparze widać było jej  
zaintrygowaną, pomarszczoną twarz.

— To znaczy co?

— Upokarza ją pani i utrudnia życie.

— Nie panu wyrokować, Herr Cohen, o mnie i o mojej córce.

— Nie mówię teraz o Kristinie, mówię o pani. — Próbował opanować  
wzburzenie. — Mieszkanie z kimś tak nieznośnym i niewdzięcznym jak  
pani, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku, musi być czymś nie  
do opisania. Nic zatem dziwnego, że jest pani przerażona, iż Kristina  
mogłaby spotkać obcokrajowca, doskonale to rozumiem, bo wtedy  
musiałaby opuścić ten pani pyszny Wiedeń oraz — panią samą. To o to  
chodzi, Frau Heidl, prawda? To o to właśnie chodzi.

— Proszę odejść, Herr Cohen, niech pan wraca, skąd pan przyszedł.

— Myśli pani o Ameryce, czy też raczej o moich prawdziwych  
korzeniach, które przecież wyrastają stąd, z Europy i z Berlina, a nawet  
starego, wspaniałego Wiednia. No więc, gdzie mam wracać, Frau Heidl?  
Drzwi zatrzasnęły się; przed sobą miał ich drewnianą brązową  
powierzchnię i judasza, przez którego bez wątpienia spozierała na niego.  
Westchnął ciężko i zszedł na dół kręconymi schodami. Zeszło mu zbyt  
długo i Natalie

będzie się zastanawiać, co się z nim stało, a tego najmniej mu teraz było trzeba; chciał spokoju, by móc to wszystko przemyśleć. Miniona noc była błędem, widział to teraz jak na dłoni, ale wczoraj dał jej się awieść; a trzeba przyznać, że zabrała się do tego sprytnie. Zresztą nadal nie popuszczała sobie cugli, była opanowana, nie zaproponowała nawet spotkania dziś wieczór, jakby w przewidywaniu, że odrzuci je natychmiast. Była niezwykle przyjemna oraz dobra i, co więcej, jej zachowanie było przekonywające; Kristina miała oczywiście rację, chciała do niego wrócić. No, a poza tym była matką Joanny.

A zatem, jeśli naprawdę się zmieniła? Czy było to możliwe? Natalie? Przypomniał sobie poprzednią noc i to zręczne przedstawienie; przedstawienie, ponieważ mimo hipnotycznej muzyki Feliciano i kilku kieliszków przez cały czas dostrzegał, co się dzieje. Ale trzeba jej było przyznać, że w swojej roli była oszalamiająca, nikt tak nie potrafił operować swym ciałem, dłońmi i językiem. W końcu, gdy leżał na wznak, usiadła na nim, pokazując wszystkie zęby w dyszących namiętnością na w pół otwartych ustach, oblizując łapczywie wargi, podczas nieustającego rytmicznego, gorączkowego ruchu bioder. Była niesamowita: jeszcze teraz na samo wspomnienie wczorajszej nocy jego nerwy i skórę przebiegały dreszcze. Jego żona była marzeniem erotycznym każdego mężczyzny.

Czekając na krawężniku na zmianę świateł wrócił pamięcią do Nowego Jorku i gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych, gdzie ujrzał ją po raz pierwszy. Była najpiękniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widział w życiu, a przynajmniej tak wtedy sądził, jednakże od tego czasu co nieco wydozrosła.

Przeszedł przez Ring i wszedł do Stadtparku. Natalie siedziała na jednej z białych drewnianych ławek. Jej widok mógł naprawdę robić wrażenie: opalona, ze złotymi włosami, w wielkich ciemnych okularach, o lśniących, czerwonych, nęcących ustach. Zmrużył oczy wychodząc

z cienia wprost w promienie słoneczne, i przez chwilę mu się zdawało, że dostrzega Kristinę, ale przecież była w Salzburgu. Zmarszczył nieco brwi, gdy jego wzrok przywykł już do światła i zobaczył, że się pomylił. Dziwny był ten pośpiech, z jakim zdecydowała się na wyjazd, ale być może naprawdę potrzebowała zmiany, może ta cała sytuacja z Natalie w końcu ją jednak zupełnie wykończyła psychicznie, ponieważ, jak słyszał od tej jej choleryjnej matki, „była nieszczęśliwa”, a wyczuwał, że to nie stara była tego powodem. Przynajmniej raz. Zadzwoń do niej później — być może wróci już jutro — gdyż obiecał jej, że zadzwoni, i przynajmniej tyle musiał dla niej zrobić.

Powłócząc nogami Augustina wróciła do salonu, gdzie czekały na nią jej czekoladki, porto i czasopisma. Na kominku rozpalony był ogień, ponieważ mimo świecącego na zewnątrz słońca czuła chłód, a dzisiaj łamanie w kościach dawało jej się jeszcze bardziej we znaki — głupie, wstrętne, kruche kości, nie nadające się już do niczego. Z westchnieniem ulgi usiadła wreszcie i pomyślała o córce. Wcale nie skłamała mówiąc, że była nieszczęśliwa, ale nie wiedziała dlaczego — Kristina nie zwierzyła jej się, po prostu spakowała torbę, i mamrotała coś o Salzburgu tłumiąc łzy. Ale nie zwiodła starej Augustyny — dobrze widziała te łzy, podobnie jak dawniej słyszała szloch dochodzący z sypialni Kristiny, a następnego ranka widziała jej twarz z grubo nałożonym makijażem, nieudolnie skrywającym ślad łez. Tego zaś ranka, gdy zeszła na dół na wspólne śniadanie, składające się z gorących bułeczek, których zresztą w końcu nie tknęła, wyglądała bardzo źle, jej twarz była blada jak kreda.

Szkoda, że tak wyszło z tym jej mężem, Frederikiem, choć w duszy zawsze uważała, że był jakiś taki chorobliwy, nieapetyczny z tą jego pyzată gębą i chudymi, wręcz niewieściami dłońmi. Choć z drugiej strony — próbowała wmówić sobie, ale raczej bez przekonania — było w nim

też coś wyrafinowanego, coś zdecydowanie arystokratycznego, coś, co tak czy siak w końcu wychodzi na wierzch. Wypiła duży łyk porto. Zachowanie Frederica przez wszystkie te lata było nie do przyjęcia, i w końcu nie zostawił jej córce ani grosza.

Od tego czasu nic właściwie nie zmieniło się w życiu Kristiny, prócz mężczyzn, a raczej ich twarzy, niby nowych, ale takich samych — aż wreszcie pojawił się ten cały Sam Cohen. A ona była taka uczuciowa i kochliwa, zakochiwała się w każdym, który okazywał jej choć trochę więcej zainteresowania i życzliwości. Ale pod tą warstewką ogłady i blichtru, które Kristina utożsamiała z lepszym, pełniejszym światem, rzadko kiedy rzeczywiście kryła się nieklamana życzliwość. Augustina spojrzała na prawie pusty kieliszek i naląła sobie następny. Czy można się było spodziewać, że będzie miała z niego jakikolwiek pożytek, kiedy u boku miał tę swoją żonę, zwykłą kurwę, jak wszystko na to wskazywało? Pokręciła głową. Jednakowoż przyszedł, żeby się z nią zobaczyć. W myślach pojawił jej się nieproszony obraz jego twarzy — nie była taka najgorsza, może trochę bez wyrazu, no ale tak czy inaczej — żydowska. Powtórnie westchnęła. I chyba miał rację, pomyślała czując, jak ogarnia ją litość nad samą sobą, gdy twierdził, że nie chciała, aby Kristina opuściła Wiedeń i ją — to byłoby nie do zniesienia. Nawet był dość bystry, skoro odkrył to u niej, nie na tyle jednak, aby się rozwieść z tą swoją skurwioną żoną.

Karl odkrył dla nich chłodną, osłoniętą cieniem karcznię niedaleko od szczytu Kahlenbergu. Siedzieli w milczeniu na drewnianej ławce pijąc młode wino, spoglądając ponad panoramą Wiednia na winnice i bujne, soczyste łąki, na samo miasto położone w kotlinie. Dzień był czysty przejrzystością kryształu i Elizabeth wydawało się, że jest w stanie dostrzec każde drzewo, każdy pojedynczy listek, każde źdźbło trawy, i wiedziała, że to jedna z tych



chwil, których nie zapomina się do końca życia, że na zawsze pozostanie w jej pamięci ten widok, widok Wiednia, jakiego nigdy wcześniej nie znała.

— Przepięknie, prawda? — powiedział miękko. Pokiwała głową.

— Dobrze ci? — spytał podnosząc jej rękę do ust, nie będąc pewny, co kryje się za jej milczeniem.

— Tak — odparła uśmiechając się do niego. — Po prostu rozkoszuję się spokojem i ciszą.

— Więc nie jesteś zła, że cię tu przyprowadziłem?

— Och, nie.

Gdy ponownie pograżyli się w ciszy, zerknął na nią. Nie zauważył nawet, kiedy zaczął o niej myśleć jak

O swojej, tak było prościej.

Nawet gdy John Thornton zaprosił go do swojego biura w Hofburgu, nie zawahał się; ani na jotę nie zmniejszyło to jego determinacji, aby ją mieć dla siebie, i nie miało dla niego znaczenia, że jest żoną innego.

Ostatecznie, kimże był dla niego John Thornton? Okazał się dość sympatyczny, mówił cicho, wyważonym tonem,

1 chyba przygotował uprzednio każde słowo, jakby bojąc się, że ból i emocje nie pozwolą mu myśleć. Ale nie potrafił ukryć strachu widocznego w jego oczach i sposobie, w jaki nieustannie zaciskał ręce.

Starał się być obojętny, starał się zachowywać jak na gentlemana

przystało, ale w końcu wybuchnął jednak gniewem i powiedział mu, że nie nadaje się dla Elizabeth. Karl odpowiedział nikłym, pewnym siebie uśmiechkiem i stwierdził, że widać Elizabeth jest innego zdania. Przez

moment sądził, że się zagalopował, ale Thornton zaskoczył go swoim opanowaniem, wskazując mu po prostu drzwi. Gdy wychodził, dobiegły go jeszcze słowa: „Ale mojego syna pan nie dostanie.” Czym specjalnie by się nie zmartwił, gdyby syn Thorntona i jej, ano właśnie — jej, nie był niestety częścią układu zawartego z Elizabeth.

— Lecę nad Morze Śródziemne we wtorek.

— Po co? — Oderwała wzrok od podziwianego widoku i spoglądnęła na niego.

— Gurney zamierza przeprowadzić dodatkową analizę źródeł ciągłego zanieczyszczenia oceanu i chce, abym zajął się tym osobiście, a oznacza to objechanie kilkunastu miejsc — Barcelony, Marsylii, Genui, Pireusu i Neapolu, nie wspominając Libii, czy Tunezji.

— O Boże... czy nie może tego zrobić ktoś inny?

— Widać nie.

Nie było nawet mowy. Dan zlecił mu to, przygotował to, aby trzymać go jak najdalej od Wiednia, przez przynajmniej dziesięć dni, piekąc w ten sposób dwie pieczenie przy jednym ogniu — Karl zniknie z oczu zarówno Danowi, jak i Elizabeth. Czysta robota.

— Więc nie będziemy się widywać.

— Na to wygląda. — Uśmiechnął się z przymusem. — A ty oczywiście nie wybierzesz się ze mną?

Zamknęła oczy. Wolałaby, żeby o to nie spytał.

— Wiesz, że nie mogę. Zaczerpnął głęboko powietrza.

— Ale po skończeniu konferencji pojedziesz ze mną?

— A Christopher?

— Mógłby na razie zostać z Johnem, póki się jakoś nie urządzimy — odpowiedział pospiesznie. Znacznie później uświadomił sobie, że był to jego pierwszy błąd. — I choć nie jestem przesadnie bogaty, mam na tyle gotówki, żebyśmy się o nic nie musieli martwić. — Przerwał na chwilę, jakby rozważając w myśli, jakich ma dalej użyć słów. — W każdym razie później, jak sądzę, John nie okaże się skąpy dla ciebie i Christophera. — To był jego drugi, znacznie poważniejszy błąd.

— Tak, z pewnością nie będzie skąpy — powiedziała takim tonem, jakby stwierdzała jedynie fakt, prawdą bowiem było, że John nadal ją kochał, a poza tym już taki po prostu był.

Siedzieli przez dłuższą chwilę w nieruchomej ciszy, jakby wiatr wywiał z nich całe życie.

— Chyba palnąłem coś głupiego... — zaczął niezręcznie. — Zawsze mam z tym kłopoty. — Wziął ją za rękę i widząc, że jej nie wyrywa, pomyślał, że chyba już wszystko dobrze. Wrócił myślą do Gurneya i jego wizyty wtedy, zastanawiając się, czy rzeczywiście odważyłby się powiedzieć o wszystkim Elizabeth. Teraz, w jasnym świetle dnia wyglądało mu to na blef.

— Kim była ta dziewczyna w Waszyngtonie? — spytała nagle. Zamrugał zaskoczony, nie wiedząc z początku, o co jej chodzi.

— Która dziewczyna?

Odchrząknęła cicho, jakby bojąc się zakłócić tę martwą ciszę.

— Dzwoniłam kiedyś do ciebie do domu, do Waszyngtonu, dawno temu, jakieś pięć lat, i odebrała dziewczyna.

Spojrzał na nią dziwnie.

— Gabrielle — odpowiedział cicho, przypominając sobie nagle. —

Dlaczego pytasz?

— Kochałeś ją?

— Trochę... Zresztą, nie wiem... no, tak, trochę.

— Tak jak mnie wtedy? Zaglądnął jej w twarz.

— Z tobą było inaczej.

— Ale nie wtedy, Karl. — Ponownie spojrzała na leżącą u jej stóp panoramę miasta.

— Nawet wtedy.

Ale tak naprawdę nie pamiętał. Cały ten okres do spotkania Claude'a, od którego jego życie dopiero zaczęło nabierać innych barw, zatarł mu się w pamięci.

— Czasami ciężko sobie coś przypomnieć, prawda? — spytała, jak gdyby czytając w jego umyśle.

Przełknął nerwowo ślinę.

— Hej, o co ci chodzi? — Uniósł jej twarz, aby móc zajrzeć jej w oczy. — Nie wierzysz mi?

Na jej twarzy zamigotał uśmiech, ale jemu się wydawało, że się rozpłacze.

— Wierzę.

— Chciałaś się po prostu upewnić, tak? Elizabeth podniosła dłoń i palcem obrysowywała kształt jego ładnie skrojonych ust, przez cały czas uważnie mu się przyglądając, jak gdyby widziała go po raz pierwszy.

— Tak, tylko o to mi chodziło — odparła w końcu.

Zadzwoił dzwonek u drzwi i Sam poprosił Clare, żeby otworzyła, następnie poszedł do siebie i nalał sobie drinka. Jego spojrzenie padło na czarno-białą reprodukcję Belwederu wiszącą na ścianie. Usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, zbliżające się kroki Natalie i zadysz-kę, jak gdyby odpoczywała po męczącym biegu.

— Cześć, Sam.

— Cześć.

Objęła go szybkim spojrzeniem, stał na środku pokoju i najzwyczajniej w świecie sączył szkocką.

— Nie jesteś jeszcze gotowy? Spóźnimy się.

— Ja nie idę.

— Ale przecież powiedziałeś, że mamy zarezerwowany stolik... wszystko.

— Och, tak, to prawda, ale jestem zmęczony. Poprosiłem przyjaciela, żeby mnie zastąpił. — Uśmiechnął się. — Spodoba ci się. — I pewnie tak będzie; nie bez powodu na jej towarzysza wybrał członka delegacji włoskiej, niejakiego Carla, prawdziwego Don Juana; szkoda tylko, że nie będzie go tam, aby zobaczyć na własne oczy, kto kogo w końcu uwiedzie.

— Nie całkiem rozumiem.

— Tu nie ma nic do rozumienia. Po prostu jestem zmęczony.

Jej twarz ściągnęła się, a rysy wyostrzyły.

— O co chodzi, Sam?

Już się nie mogła doczekać dziesiątego wieczora,

wszystko szło dotychczas jak z płatka; zgoda, wspominał, że poprzedniego wieczora miał jakąś pracę i dlatego nie mogli się spotkać, i specjalnie nie protestowała, dając mu czas na przemyślenie pewnych rzeczy, ich przyszłości. A teraz to.

— Już ci tłumaczyłem, Natalie.

— To mnie nie przekonuje.

— No cóż, przykro mi, ale to ci musi wystarczyć.

— Spotykasz się z nią, tak?

— Z kim?

— Wiesz, z kim... tą tajemniczą damą... Kristinką — powiedziała drwiąco.

— W niej nie ma nic tajemniczego, jest miłą, bardzo miłą kobietą.

— No pewnie — warknęła, przestając panować nad swoim gniewem. — No więc?

— Co?

— Spotykasz się z nią dziś?

— Nie.

— Kłamiesz.

— Może nawet spotkałbym się z nią dzisiaj, gdybym miał okazję porozmawiać z nią wczoraj rano lub gdybyś nie okazała się na tyle zdzienniała, żeby mi chociaż powiedzieć, że dzwoniła.

— A więc ta filipińska suka zajmuje się również donosami.

— Nie mów o niej w ten sposób, chciała się jedynie upewnić, że przekazano mi wiadomość o telefonie.

— No, oczywiście. I w najbliższym czasie będzie miała do czynienia z jeszcze jedną wiadomością, postaram się o to.

— Wystarczy, Natalie, to ty zrobiłaś błąd, to ty się zbłądziłaś. —

Przywołał ją do porządku. A prawie, prawie zaczynał już wierzyć, że jednak się zmieniła, dał się znów ukołysać i omamić iluzjom, tylko że zabrakło jej cierpliwości, czy też może bystrości, aby te iluzje nie straciły mocy. Dał jej się uwieść odczuwając dziwną mieszankę

ciekawości i oporu, ale jednocześnie bawiło go to. W końcu jednak była to jedynie gra z jej strony, bardzo erotyczna, wspaniała od strony fizycznej, jednakże pozbawiona miłości, czułości — na chłodno wyreżyserowany spektakl, podczas którego nie mógł nie dostrzec tryumfalnego błysku w jej oku. I ze smutkiem sobie uświadomił, że nigdy nie było inaczej. Zawsze brak było miłości, przynajmniej ze strony Natalie, ale dawniej nie potrafił, czy też nie chciał tego dostrzec. Teraz zniknęła nawet fascynacja i zostały jedynie wspomnienia.

— Robiłam to wszystko dla nas, Sam, dla nas—i Joanny. Podziwiał jej upór.

— Robiłaś to dla siebie, kochana Natalie Majors.

— Mylisz się, Sam.

— Jak zwykle, nigdy nie wiesz, kiedy przestać.

— I nigdy nie przestanę cię przekonywać.

— Och, daj spokój, Natalie — powiedział znużonym głosem. — Twoje starania są bez sensu.

— Nie dałeś mi szansy!

— Masz bardzo posłuszną pamięć, pamiętasz tylko to, co jest dla ciebie wygodne; dawałem ci wiele szans.

— Ale przecież tym razem naprawdę się starałam, naprawdę, nawet sam to przyznałeś.

— Tak? To było przedwczoraj, nim na jaw zaczęły wychodzić pewne rzeczy.

— Zgoda, pozbyłam się twojej słodkiej przyjaciółki, to wszystko — ale, na miłość Boską, czy nie widzisz w tym zwykłego ludzkiego odruchu?

— Raczej nie. Pociemniały jej oczy.

— I wróciłaś do kokainy, prawda? Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Och, bądź szczerą choć raz w życiu.

— Jedyną rzeczą, którą zażyłam od czasu przyjazdu ze Stanów, była aspiryna, jedna gówniana pastylka aspiryny, Sam!

— Nieprawda — westchnął. — Wrzuciłaś cynfolię do śmieci, tam ją znalazłem. — Jej usta zaciskały się coraz bardziej. — I widziałem twoje oczy, tego się nie da ukryć, jeszcze się tego nie nauczyłaś. Ale tak bardzo się spieszysz, żeby się naćpać, że zapominasz o tym. Jak zawsze.

— Ty sukinsynu.

— Nie jestem sukinsynem, jestem zwykłym facetem, który chce zwykłej, miłej żony i zwykłego miłego życia. Nie pociąga mnie świecąca błyskotkami królowa dyskotek, która sama nie wie, jak jeszcze bardziej mogłaby pokazać swoje cycki, nie chcę chutliwej, nadętej lali, której nadużywanie koki grozi odpadnięciem nosa.

— Odpieprz się od mojego nosa! Wybuchnął gromkim śmiechem.

— Nie śmieć się ze mnie.

— Już dawno tylko tak powinienem na ciebie reagować.

— Dość marny ten twój żart.

— W tym na pewno jesteś ekspertem. — Potrząsnął głową, nagle zmęczony tym wszystkim i znudzony. — Posłuchaj, Natalie, skończmy ten jazgot, do niczego nie dojdziemy, a w restauracji Steirerecka, która zdaje się uchodzi za najlepszą w Wiedniu, czeka na ciebie pewien sympatyczny Włoch.

— Mam gdzieś jakiegoś oblepionego spaghetti makaroniarza — wycedziła cicho, a jej spojrzenie nabrało nagle lodowatego blasku. Już ją kiedyś taką widział, ale było to dawno temu i zapomniał, jak rysy jej twarzy potrafią się przekształcić w jednej chwili, tylko przez lekkie skrzywienie ust czy zmrużenie zimnych oczu. Jak Natalie z nieśmiałej dziewczeczki potrafiła przeistaczać się w dojrzałą, pewną swoich wdzięków zalotną kobietę i — w trzecim etapie metamorfozy — w postać z maską wściekłości zamiast twarzy. Odwrócił wzrok.

— Wypisałem ci czek — powiedział w końcu. — Jest w gabinecie.

— Nie chcę twojego pieprzonego czeku, Sam.

— Powinnaś go przyjąć — westchnął. — Jakkolwiek by było, poniosłaś dodatkowe koszty związane z podróżą i hotelem... — odparł i nie czekając wyszedł z pokoju.

Szła za nim wolno, ogarnięta nienawiścią, ale jednocześnie zastanawiając się na trzeźwo, jak to się stało, że sprawy przybrały taki fatalny obrót. Powstrzymała ogarniającą ją falę wściekłości. Od tygodni miała zaplanowany najdrobniejszy szczegół — jak się ubrać, co powiedzieć i, najważniejsze, co zrobić, a on to wszystko rzucił jej w twarz, jak obelgę. Gdy weszła do gabinetu, jej uwagę przyciągnęły wiszące u sufitu modele samolotów i nie wiadomo skąd wpadła jej do głowy zupełnie nie pasująca do sytuacji myśl, że gdyby przymrużyć lekko oczy, wyglądałyby jak prawdziwe.

— Poczekaj — zatrzymał ją nagle Sam. — Mam coś jeszcze dla ciebie, zaraz wracam.

Jej twarz ścięła się złością, gdy ją mijał. Stała niezgrabnie na środku pokoju omiatając go bez zainteresowania wzrokiem: biurko, papiery, książki i wreszcie — samoloty. Samoloty — pieszczoszki Sama.

Wyciągnęła rękę i trzepnęła z całej siły wiszący nad nią model Messerschmitta. „No, teraz to sobie naprawdę pofruwasz, koleś...” — powiedziała znacząco. Zaczął się kołysać w przód i w tył i za każdym razem, gdy przelatywał nad jej głową, otrzymywał następne, jeszcze mocniejsze uderzenie, aż wreszcie roztrzaskał się o sufit. Przesunęła się i z tą samą zaciekłością zaczęła atakować model po modelu, aż miała nad sobą istną burzę wirujących, potrzaskanych, żalonych szczątków, których nie poskładałaby już żadna siła ludzka. Jakby z obrzydzeniem wzięła w dwa palce czek i po cichu wymknęła się z gabinetu. Usłyszała Sama gdzieś na dole, w hallu, i jej stopy nabrały rozpędu. Torba znajdowała się zaraz przy drzwiach. Pospiesznie wrzuciła do niej czek, otworzyła drzwi i wychodząc z furią trzasnęła nimi.

Na odgłos tego odbijającego się po całym mieszkaniu



dźwięku Sam zmarszczył brwi ze zdziwieniem. Opuścił bezszelestnie pokój Joanny i wrócił do gabinetu. Natalie nie było. Przez długą, długą chwilę stał na progu i spoglądał na pokaleczone resztki swojej kolekcji huśtające się w niemej ciszy w tył i w przód, w tył i w przód, aż w końcu ich ruch przygasł i znieruchomiałe zwisały z sufitu. Poczuł, jak za gardło ściska go rozpacz. Opuścił wzrok na trzymaną w ręku delikatną ramkę, w którą oprawiona była fotografia Joanny, przeznaczona dla Natalie. Co za beznadziejny z niego głupek, cóż za pieprznięty żydowski frajer.

— A więc Sophia i Oskar przyjadą później. — Felix przesunął palcem po wnętrzu kołnierzyka, jak gdyby go spinał.

— Tak — odpowiedziała Genevieve i odwróciła głowę do szyby samochodu.

— Rozmawiałem z nim wczoraj rano. Powiedział, że chyba jestem ogromnie dumny z sukcesu Sophii... — kontynuował z ledwie hamowaną irytacją. — I oczywiście ani się nie zająknął na interesujący nas temat. — Wciągnął głęboko powietrze. — Nie wiem, czy go źle nie oceniłem.

— Może po prostu zdaje sobie sprawę z dzielących go z Sophią różnic — podsunęła cicho Genevieve.

— Genevieve, proszę... — powiedział znużony.

— Sophia mówi, że traktuje ją jak córkę.

— Co za strata — kontynuował nie słuchając jej. — Przecież jest bardzo ładna, chyba nie jest ślepy...

Genevieve westchnęła.

— Ale ma również uczucia i rozum, Felixie, prócz ładnej buzi.

Rzucił na nią wzrokiem.

— Oczywiście, nie chciałem...

— Może dostrzega w niej również człowieka... — powiedziała niezgrabnie i po krótkiej przerwie dodała: — Ja też jestem człowiekiem, Felixie, człowiekiem, który potrafi czuć...

Z mieszaniną zdumienia i irytacji otworzył szeroko oczy.

— Wielki Boże, Genevieve, co cię napadło, czy aby się dobrze czujesz? W odpowiedzi potrząsnęła tylko z rezygnacją głową i opuściła wzrok na zlepione potem ręce. Jechali dalej w ciężkiej ciszy, aż wreszcie gdy minęli ostatni zakręt i spoza drzew ukazała się szara masa Schloss Bletz, Genevieve przerwała milczenie.

— Znalazłam twoje listy...

— Moje listy? — O czym, do cholery, mówiła?

— A także fotografię, kasetę video i magazyny... Przełknął ślinę nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Były w szufladzie twojego biurka.

— Ach... — wyjąkał wreszcie, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

— Dlaczego, Felixie?

— To z dawnych czasów, Genevieve, powiedzmy, pamiątki, jeśli wolisz

— odpowiedział szybko.

— Listy napisane zostały w tym roku, jeden nie dawniej niż w zeszłym miesiącu.

Zacisnął ręce na kierownicy. Czemu nie schował ich w jakimś bezpieczniejszym miejscu, choćby w piwnicy?

— Jakim prawem myszkowałeś w moim biurku? — spytał ostro próbując bronić się atakiem.

— Potrzebowałam znaczka, na list.

— Zresztą... — mówił dalej, jak gdyby wycofując się z poprzedniego pytania — nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia.

— Żadnego znaczenia? — powtórzyła prawie bezgłośnie.

— Oczywiście, że nie. — Poklepał ją po kolanie. — Przecież to ty jesteś moją żoną. — Jak gdyby to wystarczyło. Głupkowaty, nieprzyjemny uśmiech był na wpół niepewny, na wpół zaś cwaniacki.

— Nie obchodziło cię, że ktoś, ja lub dzieci, mógł je znaleźć?

Zaczerwienił się myśląc o Sophii.

— Rzeczywiście, jakoś mi to nie przyszło do głowy — powiedział zacinając się. — Nie pomyślałem.

Genevieve poczuła, że ogarnia ją gorzki śmiech.

— Źle zrobiłem, zgadzam się — powiedział, i zabrzmiało to jak gładka, pozbawiona treści formułka. Skąd mógł przypuszczać, że wpadnie, a przy tym jego sekret miał swoisty urok czegoś zakazanego, posmak jakiegoś wyzwania rzuconego losowi, podrażniającego jego ambicję. Nigdy nie miał poczucia winy, nigdy. Wychował się w przeświadczeniu, że wszystko mu wolno, że mógł robić, na co miał ochotę, nieważne, czy odbywało się to czyimś kosztem — wszak należał do elity, czyż nie? — Jedna z nich napisała, że kocha cię do szaleństwa... — Głupia i afektowana — odparł. — Przynajmniej ja nigdy jej nie mówiłem takich rzeczy, żadnej z nich. Mogę cię o tym zapewnić.

— Nie musisz tego robić, Felixie — powiedziała cicho.

— No to całe szczęście... — odrzekł swobodnie, z ulgą, nie zdając sobie sprawy, że ją źle zrozumiał.

Zbliżali się do zamku pogrążeni w zupełnym milczeniu.

— Mam ochotę wyjechać gdzieś po urodzinach Gun-thera, gdzieś, gdzie jest spokojnie i cicho.

— Ależ oczywiście, jak najbardziej. W zupełności podzielam twoje zdanie. A kiedy wrócisz, nie będziemy już do tego wracali i zaczniemy wszystko od nowa — zaproponował z ulgą. Spodziewał się scen, przynajmniej łez, ale nigdy, przenigdy, że przyjmie to w taki sposób, nie mógł wprost uwierzyć swojemu szczęściu.

Genevieve zamrugła i odwróciła się do okna, ponieważ nagle miała powyżej uszu jego pustych słów, jego głosu, jego twarzy, aroganckich dłoni zaciśniętych na kierownicy, jego zapachu, całej roztaczającej się wokół niego aury. Zamglonym wzrokiem prześlizgiwała się po drzewach i poboczach porośniętych trawą oraz drodze prowadzącej ich do Schloss Bletz. Pomyślała o czekającym ją weeken-

dzie, który dotychczas nie napawał jej przerażeniem, ale tylko dlatego, że zbyt pochłonięta była obowiązkami, a który teraz jawił jej się jako coś nie do ogarnięcia, coś, czemu trudno by podołać, gdyby nie przyjazd Sophii. Z cichym westchnieniem przypomniała sobie jednak zaraz o jej stypendium. Poczowała lekki skurcz w środku, przechodzący niepowstrzymanym dreszczem po plecach, i jej oszołomionym umysłem zawładnęła dziwna, nieproszona myśl, i zastanawiała się, co się z nią dzieje.

Elizabeth przestąpiła próg dużych podwójnych drzwi

i wyszła na zewnątrz. Na tle gwaru rozmów dochodzących z komnaty ogrodowej słyszała szemranie wody w ledwie widocznej stąd fontannie będącej ogromną, fantazyjną plataniną pulchnych ciał cherubinków i mitologicznych głów, z których wytryskiwała srebrzysta woda. Podeszła do długiego, wąskiego muru oddzielającego jezioro od zamku i usiadła. Zaproszenie na urodziny Gunthera Dhoryany zaskoczyło ich, ale trudno je było odrzucić i teraz w gruncie rzeczy była zadowolona, że John je przyjął — pogoda była boska i nie musieli siedzieć uwięzieni w duchocie wiedeńskich uliczek. Tutaj, na tym skalistym skrawku, powietrze było bardziej rześkie, lżejsze; tutaj mogła odetchnąć pełną piersią.

Przeniosła wzrok na masywną sylwetkę zamku otoczonego murem z blankami — wyglądał jak pasmo granitowych szczytów górskich; miał dwie wieże, okrągłą po stronie wschodniej i barokową, z typową pękatą, przypominającą cebulę wieżyczką na zachodzie. Znajdująca się pomiędzy nimi cała wewnętrzna bryła zamku była nie do zdobycia, chyba że wzięliby się za to Turcy pod wodzą Sulejmana Wspaniałego, tak jak miało to miejsce prawie pięćset lat temu, zresztą z tego powodu w niektórych częściach zamku wyczuwało się pewną orientalną domieszkę stylu, której autorami byli bez wątpienia najeźdźcy. Elizabeth wstała i miała właśnie dołączyć do reszty, gdy

na zewnątrz wyszedł John z nieco niepewnym, ostrożnym uśmiechem na twarzy.

— Felix wynajął prestidigitatora — zajmuje się wyczarowywaniem z kapelusza koktajli zrobionych na szampanie...

— Chciałam pooddychać trochę świeżym powietrzem, w środku zaczynało już być bardzo duszno. — Odwróciła głowę i John podążając za jej wzrokiem ujrzał pokryte bujnym lasem wzgórze, opasające ich ze wszystkich stron. — Tym razem podoba mi się tu bardziej. Ostatnio było tak jakoś ponuro i nieprzytulnie.

Z uwagą spoglądał na jej odwróconą bokiem iwarz, tknięty gorzkim smutkiem. Pamiętał przecież dokładnie, że gdy ostatnio tu przyjechali, byli ze sobą szczęśliwi, pamiętał tę chwilę w pokoju, kiedy z jego wzroku wyczytała, że jej pragnie, i zaczęli się kochać, gwałtownie i bez opamiętania, gdy nie było nawet czasu na to, by zrzuciła z siebie tę jej oszalamiającą czarną suknię z welwetu. Wyczuwając wzrok Johna na sobie Elizabeth spojrzała na niego, jakby zgadując jego myśli, i jej policzki okraślił rumieniec winy i wyrzutów sumienia.

— Chodziło mi o to, że nie było wtedy słońca... — ciągnęła dalej, jakby chcąc zatrzeć wrażenie, jakie wywarły jej słowa.

Jedynym jego życzeniem było uciec stąd jak najszybciej, by nie musiał oglądać litości malującej się w jej wzroku.

— O! Tu pani jest, Elizabeth. — Z komnaty ogrodowej wyszedł Felix Dhoryäny. — Za chwilę siadamy do kolacji. Pomyślałem sobie, że może pani mąż zgodzi się, bym miał honor eskortowania pani. — Objął jej figurę chciwym spojrzeniem.

— A gdzie jest Genevieve? — spytała Elizabeth trochę zaniepokojona.

— Och... jest pewnie czymś zajęta, jak zwykle. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

Spojrzała na jego twarz, wyszczerzone jak w reklamie

idealnie białe zęby, starannie napomadowane i zaczesane włosy, tak żeby żaden, nawet najmniejszy włoszek nie odstawał. Nawet by mu przez myśl nie przeszło, by się zastanowić, czy jego żona ma coś przeciwko temu.

— John? — Zwróciła się do męża, mimo że z góry wiedziała, jaka będzie odpowiedź — wszak Felix był ich gospodarzem.

— Oczywiście — odpowiedział skinąwszy głową. John westchnął w duchu odprowadzając ich wzrokiem

i wypił do końca swojego drinka. Chciałby w jakiś sposób znieubić ją, lub żeby zauroczenie jej osobą przygasło, tym samym pozbyłby się ciężaru miłości do niej. W najbliższym czasie Elizabeth będzie musiała dokonać wyboru, z gorszym czy lepszym dla niego rezultatem — konferencja dobiegała końca i Nielsen wracał do Stanów, przynajmniej tyle mu powiedział podczas ich krótkiego, nieprzyjemnego spotkania w Hofburgu. Prawie natychmiast po zaproszeniu Karla na rozmowę pożałował swojego kroku, ale nie potrafił się temu oprzeć. W końcu jednak nie usłyszał od niego nic, co mogłoby natchnąć go nadzieją, że Elizabeth nie odejdzie od niego. Czasem próbował na siłę myśleć o przyszłości bez niej i Christophera, jak gdyby wyobrazenie sobie tego pozwoliło mu łatwiej znieść jego położenie, ale nie mógł. Nie mógł sobie tego ani wyobrazić, ani też o tym myśleć, gdyż natychmiast ogarniała go czarna chmura rozpacz, a w środku czuł pustkę. Nieproszona, w jego myślach pojawiła się twarz Nielsena: przystojna, opalona, o wyważonych proporcjach, niczym, cholera, jakiegoś gwiazdora filmowego. Gdy wychodził od niego, zagroził mu odebraniem Christophera, ale właściwie dlaczego Nielsen miałby się martwić o jego syna, zależało mu wyłącznie na Elizabeth. Przez kilka bolesnych minut zastanawiał się, czy — gdyby przyszło co do czego — nie walczyć o Christophera, ale odrzucił tę myśl, wiedział, że nie mógłby tego zrobić własnemu synowi, nie mógł go narażać na ogłupiający zamęt i udrękę, nie, tego na pewno nie zrobi Christopherowi.

Zachłysnął się powietrzem przypominając sobie ledwie powstrzymany wtedy gniew, który podsuwał mu myśl, jak zareagowałby Nielsen, gdyby z jego głowy zrobił taran do wyważania szklanych drzwi swojego biura. Zamiast jednak zrealizować tę kuszącą wizję, jedynie mu je wskazał, na co Nielsen ukłonił się i wyszedł. John czuł upokorzenie i bezradność, przytłaczało go uczucie nie wyobrażonej jeszcze do końca straty. Koniec całej jego nadziei i marzeń.

Na chwilę oderwawszy się od swoich myśli spojrzął na znajdującą się przed nim fontannę - piramidę gargulców wymiotujących wodą z otwartych ust, zastanawiając się, jak takie paskudztwo znalazło się tu, w samym środku prześlicznego ogrodu, pod samym dumnym okiem wspinałego zamku. Ale Felixa Dhoryany stać było na wszystko. Z pozoru był niezmiernie ułożony, ale było w nim coś wulgarnego. Przypomniał sobie spostrzeżenie Elizabeth na jego temat z ich ostatniego pobytu tutaj, o zagładaniu jej w biust, i sprośną uwagę o którejś z pomagających przy konferencji dziewczyn, jaką wyszeptał mu na ucho po posiedzeniu plenarnym w Hofburgu. A teraz prowadził Elizabeth do stołu na kolację. Był człowiekiem — przemknęło mu przez głowę — który chyba zawsze dostaje to, czego chce.

Jego usta skrzywił smutny uśmiech, ale nagle ocknął się uświadamiając sobie, że zmitrężył chyba zbyt wiele czasu na tarasie, nie dobiegał go już bowiem, nawet z oddali, gwar głosów. Wzdychając ciężko, położył pusty kieliszek na długim, niskim murku i pospieszył dołączyć do reszty gości. Ze swojego miejsca przy stole Elizabeth widziała Sophie Dhoryany i dostrzegła wyraźnie, że dziewczyna aż promienieje. Przemknęła spojrzeniem po gościach siedzących przy jej stole, jednym z trzech wysokich stołów ustawionych obok siebie w tej ogromnej sali bankietowej,

mieszczącej stu dwudziestu czterech zaproszonych gości. Szukała gospodyni przyjęcia, Genevieve. W końcu dostrzegła ją, jak prawie biegnąc pojawiła się u wylotu któregoś z zewnętrznych halli. Była tak daleko, że Elizabeth nie była w stanie zobaczyć, czy dobrze wygląda, widziała jedynie jej sarnie oczy, które w szczupłej, bladej twarzy zdawały się jeszcze większe niż zwykle. Odwróciła się do Felixa.

— Czy pańska żona dobrze się czuje?

— Moja żona zawsze się dobrze czuje, a przy takich okazjach, wprost kwitnie — roześmiał się zduszonym śmiechem. — O ile wiem, przygotowywała przyjęcie przez ponad tydzień, ażeby wszystko dopracowane było w najdrobniejszym detalu. — Położył rękę na dłoni Elizabeth, nim zdążyła ją cofnąć. — Ja z kolei zająłem się bardziej delikatnymi rzeczami, które decydują o tym, że dzień taki jak ten zapamiętuje się do końca życia jako coś wyjątkowego — powiedział i następnie dodał bardziej intymnym tonem. — Jestem bardzo dobry w takich sprawach, moja droga Elizabeth.

— Czy mógłby mi pan nalać trochę wody? — poprosiła, wzdychając z ulgą w duchu, gdy podając jej karafkę zmuszony był cofnąć rękę. Trzymając przy ustach szklanekę, spoglądała sponad jej brzegu instynktownie szukając Johna, ale nie było go. Pomyślała sobie, że zapewne siedzi przy stole za nią. Dziwnie się czuła, gdy nie miała go w zasięgu wzroku, nie mogła w każdej chwili podnieść głowy i spojrzeć na niego, jak zwykle to czyniła. Jej wzrok przykuła biała orchidea leżąca przy jej talerzu — tak jak u innych zaproszonych pań. Kiedy urodził się Christopher, dostała ich od Johna dwa tuziny, a także długi, bardzo długi sznur cudownych pereł, które zamówił specjalnie w Hongkongu, ponieważ zwróciła na nie uwagę w jednym z tamtejszych sklepów podczas ich podróży poślubnej. Ocknęła się z tego czułego i drogiego wspomnienia. Czy John zdążył już ją znienawidzić za to, co mu zrobiła.



— Specjalnie z okazji urodzin Gunthera zleciliśmy wypolerowanie wszystkich rzeźbień oraz renowację i czyszczenie gobelinów, ale to i tak nie wszystko. — W jej myśli wdarł się głos Felixa. — Jak by na to nie patrzeć, dwudzieste pierwsze urodziny to nie byle co.

— Tak, rzeczywiście — zgodziła się Elizabeth, w gruncie rzeczy zadowolona, że miała pretekst, aby oderwać się od swoich myśli, a przy tym nie można było nie podziwiać kunsztu i mistrzostwa, z jakim wykonane zostały wspomniane przez Felixa rzeźbienia, gobeliny, czy też trzy bajkowo piękne żyrandole z górskiego kryształu błyszczące w górze jak galaktyka gwiazd.

— Mam nadzieję, że zwróciła pani łaskawą uwagę na jedną z najładniejszych naszych ikon. To ta, która stoi w niszy zaraz przy drzwiach. Przedstawia oczywiście Marię Dziewicę, w sposób wyjątkowo wspaniały — jest bogato złożona i wysadzana kamieniami półszlachetnymi, i ma ponad czterysta lat.

Elizabeth była zdziwiona, że Felix nie puchnie z dumy w oczach.

— Trzeba jeszcze dodać, że w roku 1728 pobłogosławił ją papież Pius VI. Elizabeth z ulgą stwierdziła, że za chwilę podadzą im ostrygi, co zmusi Felixa do koncentracji na swoim talerzu, ale natychmiast też zamknęła oczy w lekkim przerażeniu, uświadamiając sobie, że nie jest to zwykła kolacja — Felix zapowiadał prawdziwy bankiet, a to oznaczało ni mniej ni więcej tylko dwanaście dań, wliczając w to kawę. Cały wieczór mając z jednej strony Felixa, a z drugiej, po prawej ręce, jakiegoś człowieka o cierpiętniczym wyglądzie, który wprawdzie miał, jak się zdaje, nieprzewyciężoną awersję do rozmów, ale za to wyglądał, jakby należała do niego połowa Styrii. Później zaś czekały ich tańce i ognie sztuczne na tarasie. Szczegółowym planem objęty został nawet jutrzejszy poranek: wpierw śniadanie, po którym miała nastąpić przechadzka wokół jeziora

lub — do wyboru — strzelanie do rzutków, a który to poranek miał być uwieńczony lunchem. Może jednak, mimo wszystko, wieczór nie będzie aż tak męczący i jeśli pogoda się utrzyma, jutro może być przepysznie. Skosztowała wina, które okazało się wspaniałe, i starała się wyobrazić sobie Karla w absurdalnej dla niego scenerii Neapolu, zbierającego dane na temat zanieczyszczenia, lecz nagle skoczyła myślą naprzód, do końca wieczora, ich pokoju i wspólnego z Johnem łóżka. Był to ten sam pokój, z ciężkimi meblami, atlasami i złoceniami, z oknami wychodzącymi na jezioro i ogrody, ten sam pokój, gdzie lak radośnie i namiętnie się kochali, i ten sam pokój, w którym radość, namiętność i miłość skończyły się. Czy na pewno nie brakowało jej czegoś teraz?

Genevieve dostała się na wyższe piętro na skróty używając starych spiralnych schodów wijących się w środku Schloss Bletz jak trąba powietrzna. Goście nadal siedzieli na tarasie popijając kawę oraz alkohol i przyglądając się pokazowi ogni sztucznych, który, jak się obawiała, mógł się poważnie przeciągnąć. Będzie musiała czekać, aż ostatni goście zdecydują się pójść do łóżka, chyba że uda jej się wymóc na Felixie, że ją wytłumaczy. Chociaż właściwie nie czuła się zmęczona, mimo całego wysiłku, zmartwienia i stresu związanych z przygotowaniem, ponieważ uszczęśliwiała ją myśl o jutrzejszym nowym dniu. Około osiemdziesięciu gości wyjeżdża po śniadaniu i choć reszta zostaje do lunchu, rano Schloss Bletz będzie właściwie jak wymarły. Ludzie z firmy, która wynajęła im bodajże dwadzieścia rozbieranych na części ścian, by można było zwiększyć liczbę pokoi sypialnych, nie zjawiają się wcześniej niż w poniedziałek rano.

Dotarła do pierwszego piętra i pomyślała o córce, jej skarbie, jej dziecku. Pewne rzeczy ciężko było znieść, ale przecież Sophia zajęta teraz była urządzaniem sobie życia i rokującą spore nadzieje karierą; na razie była bezpieczna

i szczęśliwa w Monachium, a później czekała na nią Ameryka. Trochę zbyt daleka. Genevieve prześliznęła się jak duch między głębokimi cieniami rzucanymi przez mosiężne lampy stojące w odstępach wzdłuż kamiennych ścian korytarza; pokój Sophii znajdował się skryty tuż za rogiem, ponieważ Genevieve chciała zapewnić jej spokój i ciszę, aby mogła odpocząć w najładniejszej pościeli, przy otwartym oknie, przez które wpadało czyste powietrze i w którym postawiła świeże kwiaty; sama je ścięła i ułożyła.

Przymknęła na moment oczy czując ból głowy, który przez cały dzień stłumiony siedział jej pod czaszką; męczył ją ostatnio zbyt często sprawiając, że stale czuła się lekko oszołomiona, jak gdyby głowa rozpadała jej się na dwoje. Pomagając sobie w utrzymaniu równowagi chwyciła się mosiężnej klamki u drzwi prowadzących do tak starannie przygotowanego przez nią pokoju córki i weszła do środka; przystanęła na dłuższą chwilę przebiegając wzrokiem łóżko i koronkową narzutę, urocze chińskie pudełka na stole z drzewa różanego; wdychała słodki, natrętny zapach letnich kwiatów wlatujący przez otwarte okno. Podeszła do skraju łóżka i przesunęła palcami po pościeli i koronce. Wychodząc odwróciła się raz i jeszcze raz, obrzuciła pokój uważnym spojrzeniem, sprawdzając, czy nic nie uszło jej uwagi, czy nie znajdzie jakiegoś maleńkiego niedopatrzenia czy błędu, i wreszcie zamknawszy za sobą bezszelestnie drzwi znalazła się z powrotem na korytarzu. Po lewej stronie schodów znajdowała się mała łazienka i łączące się z nią pomieszczenie na bieliznę pościelową. Przechodząc obok zatrzymała się, bo wydawało jej się, że w środku ktoś był.

Genevieve ściągnęła brwi nie wiedząc, co o tym sądzić, i powoli zaczęła otwierać drzwi. Zmuszona była przymrużyć oczy, ponieważ światło nagiej żarówki było zbyt jaskrawe. Z początku nie dostrzegła nic prócz świeżo wyprasowanej pościeli, ręczników i szlafroków poukładanych

nych na półkach, później jednak, gdy jej wzrok przyzwyczał się do światła, po drugiej stronie łazienki, za kilkoma cylindrycznymi wiklinowymi koszami zauważyła mężczyznę odwróconego do niej plecami. Był nim Felix, zaś przed nim, na jednym z koszy, siedziała kobieta z rozchylonymi udami. Miała na sobie czarne siatkowe pończochy, które ledwie skrywały jej mięsiste kolana, i biały rozpięty fartuch, spod którego widać było czarno-czerwony biustonosz wrzynający się w jej pofałdowaną skórę, w którym ledwie mieściły się potężne, guzłowate piersi. Genevieve pomyślała sobie, że to dziwne, iż nie rozpoznała jej od razu, gdy wcześniej dawała zlecenia wynajętemu specjalnie na tę okazję personelowi gospodarczemu. Nic jednak dziwnego, wtedy jej starannie spięte w kok włosy skrywał karykaturalnie mały, biały służbowy czepek, no i oczywiście była ubrana; kobietę tę znała z fotografii Felixa. I Genevieve poczuła dławiący suchy skurcz w gardle

i nudności, nogi ugięły się pod nią, jak gdyby miała zaraz upaść. W momencie gdy łapiąc równowagę zrobiła pół kroku do tyłu, dziewczyna, jakby wyczuła jej obecność, otworzyła szeroko na wpół przymknięte dotąd oczy i spojrzała na nią sponad ramienia Felixa, i Genevieve zdawało się, że w jej lubieżnym uśmiechu było coś tryumfującego, kiedy mocniej przywarła do mężczyzny, który po chwili wydał z siebie krzyk i dysząc, i chwytając łapczywie powietrze zaczął drżeć na całym ciele, długo, bardzo długo nie mogąc się opanować. Genevieve zamknęła drzwi i zwymiotowała do stojącej za nimi ogromnej indonezyjskiej urny, a później na wpół martwym krokiem ruszyła w stronę tarasu, gdzie przyjęcie było w pełni rozkwitu, gdzie bawili się ludzie i trzaskały ognie sztuczne.

Sophia wysliznęła się z tłumu gości i wróciła do komnaty ogrodowej, ale tu też nie było jej matki. Wyszła j łoś hallu, zatrzymując się na chwilę, i właśnie kiedy miała

zaglądnąć do kuchni, by sprawdzić, czy tam jej nie znajdzie, usłyszała znajome kroki. Ale głęboki cień otaczający schody sprawił, iż Genevieve jej nie zauważyła, że obserwuje ją córka i że dostrzega jej bladą jak popiół twarz i białą dłoń ciągle jeszcze przyklejoną do ust. Oparła się na chwilę o drzwi dolnej szatni, a następnie otworzyła je i weszła do środka.

Sophia zaniepokojona właśnie miała pójść za matką, gdy z góry doszedł ją głos ojca, więc instynktownie znieruchomiała, kiedy schodził po schodach. Nie dostrzegł jej w półmroku — zbyt zajęty poprawianiem krawata i obciąganiem mankietów koszuli.

Zmarszczywszy brwi poczekała, aż przejdzie, i następnie ruszyła dalej, ale w tej samej prawie sekundzie stanęła twarzą w twarz z jedną z dziewczyn pomagających w kuchni, która zatrzymała się niezdecydowanie u dołu schodów, ponieważ Sophia zagradzała jej przejście. Jej włosy opadały w nieładzie na grubo ciosaną, nieapetyczną twarz, a w rękę ścisnęła pomięty biały czepek; górny guzik jej fartucha był rozpięty. Sophia zacisnęła szczęki i z obrzydzeniem zamknęła oczy, gdy dziewczyna przemknęła nerwowo obok niej.

Nie mogła się oprzeć wspomnieniu tamtego potwornie przygnębiającego dnia, kiedy spotkała ojca w hotelu SAS, a później rozmawiała z nim w jego pokoju, kiedy usiłował przekonać ją do swojej wersji zdarzeń i, och, jak bardzo wtedy pragnęła, żeby mu się to udało! W swej naiwności myślała nawet, że ojciec może się zmienić, ponieważ ona, jego własna córka, przyłapała go na zdradzie. Z bólem pokręciła głowę. W pamięci stanęły jej te wszystkie chwile rozczarowania i niedowierzania, cierpienia i nienawiści, które w rezultacie doprowadziły do tego, że wyjechała osamotniając matkę. Zdradził nie tylko matkę, zdradził i oszukał ich wszystkich, nawet Gunthera, ponieważ nie mógł mu dać dobrego przykładu. Zapięły ją oczy, poczuła gwałtowną potrzebę bronienia matki — może uda

jej się nakłonić ją do wyjazdu, ucieczki gdzieś — i osaczona tą myślą zbliżyła się do drzwi, za którymi ze skurczonym, obolałym sercem stała jej matka kuląc się i drząc.

Elizabeth przewróciła się na bok i otworzyła oczy. Chyba zdrzemnęła się tylko, ponieważ jarzące się w ciemności cyfry zegara nie wskazywały nawet czwartej. W pokoju było zupełnie ciemno, ale od czasu do czasu przemykał przezeń cień, gdy na zewnątrz wraz z hukiem eksplodujących ogni sztucznych rozjaśniało się niebo. Przewróciła się na drugi bok, wiedząc, że będzie miała mało snu tej nocy. John jeszcze się nie położył i nie miała pojęcia, gdzie mógł się podziewać. Przez moment zastanawiała się, sama zresztą w to nie wierząc, czy nie znalazł sobie przypadkiem jakiejś pocieszycielki, ale to było do niego zupełnie niepodobne. A jednak poczuła ukłucie zazdrości i bezradności, bo nawet gdyby tak było, to czy po tym, co zrobiła, miałyby najmniejsze prawo do robienia mu wyrzutów?

Starła się uciec od tych myśli, koncentrując swoją uwagę na wspomnieniach z minionego długiego wieczora, wszystkich tych urywkach rozmów, nie powiązanych z sobą wrażeń, które wryły jej się samoistnie w pamięć, jak choćby rozmowa z Sophią w mniej głośniejszym kącie komnaty ogrodowej i zdumienie na wiadomość o jej wyjeździe do Stanów. Poczowała wewnętrzną radość, gdy dziewczyna wyznała jej, że w pogłoskach o jej małżeństwie z Oskarem von der Heydenem nie ma cienia prawdy, po czym ledwie słyszalnie dodała: „Wątpię, czy w ogóle kiedykolwiek wyjdę za mąż”, i w jej ślicznej spokojnej twarzy było coś, co poruszyło Elizabeth do głębi. Zaglądnęła jej w oczy — wyzierała z nich teraz jakaś dziwna powaga i ostrożność, które całkowicie wyparły młodzieńczość jej spojrzenia sprzed kilku miesięcy. W końcu dziewczyna powiedziała jej, że może zdąży jednak zrobić szkic Christophera, nim wyjedzie. W chwilę potem przyłączył się do nich na

krótko Felix, w drodze na taras, i zauważyła nie dający się ukryć skurcz na twarzy Sophii, gdy kładł rękę na jej ramieniu. Dziwne. Elizabeth poczuła nagle, jak bardzo zaschło jej w gardle, i sięgnęła po stojącą obok szklankę wody. Mimo otwartego okna powietrze w pokoju było zupełnie nieruchome i gorące, zdawało się oblepiać jej ciało jak druga skóra. Rozdrażniona odrzuciła kopnięciem na bok cienką kołdrę i leżała teraz zupełnie nago w pustym pokoju. Uśmiechnęła się gorzko, ponieważ gdyby był z nią teraz John, na pewno by tego nie zrobiła, z powodu jakiegoś dziwnego, fałszywego wstydu, który powstał między nimi, a przecież dawniej... dawniej uwielbiała sposób, w jaki patrzył na nią w takich wypadkach, uwielbiała łaknący wyraz jego oczu i desperację, z jaką w końcu ją brał. Z żalem uświadomiła sobie, że u niej trudno było mówić o desperacji, gdy się z nim kochała. Zmusiła się w końcu do stawienia czoła myśli, której przez wiele tygodni próbowała bacznie unikać — było więcej niż pewne, że w jakimś momencie John poprosi ją o rozwód. Mimo że była o tym przekonana, nie mogła w to jakoś uwierzyć; czuła, że życie wymyka jej się spod kontroli, pędząc jak szalone w sobie tylko znanym kierunku. Na chwilę zamarła z poczucia bezradności, cierpiąc katusze nienawiści skierowanej przeciwko samej sobie. W skrawku nieba wyciętym framugą okna dostrzegła następny błysk. Ze smutkiem zastanawiała się, gdzie był John, i opadło ją raptowne poczucie wstydu i osamotnienia, bo to przecież ona odsunęła go od siebie. Miała tylko jedną skórzaną walizeczkę, bardzo niewielką, ale nie zamierzała dużo ze sobą brać. Genevieve zamknęła ją starannie i opasała wieko podniszczonymi skórzanymi paskami, które zapięła starannie na klamry, tak że całość prezentowała się bardzo ładnie i zgrabnie. Nie używała jej od bardzo dawna, należała do Heinricha

i była prezentem od ojca; używał jej w czasie wakacji i podczas specjalnych wyjazdów. Palcami przesunęła po złoconych inicjałach wyrytych na wieku, a następnie "I wstała obciągając spódniczkę. Przyjęcie udało się znakomicie, ale już się wreszcie skończyło i zamek oraz otaczający go teren ogarnęła błogosławiona cisza. Ale było w niej coś przytłaczającego, pomyślała sobie: była gęsta, przesycona rozleniwiającym upałem i unoszącym się jeszcze w powietrzu zapachem prochu. Uniosła brązową walizeczkę, zarzuciła na ramię ulubiony zielony filcowy żakiet i wyszła po cichu z pokoju na korytarz. Felix spał, słyszała jego chrapanie, i pewnie nie obudzi się wcześniej niż grubo po dziewiątej rano. Sophia niepotrzebnie martwiła się, że Genevieve jest czymś wytracona z równowagi, nie było ku temu żadnego powodu zachowanie Felixa czy tej szpetnej dziwki nic jej nie obchodziło, teraz w każdym razie czuła się świetnie. A poza tym, czyż Felix nie powiedział jej w samo chodzie, że tamte sprawy nie miały dla niego najmniejszego znaczenia?

Genevieve rozejrzała się w prawo i lewo i rzuciła się szybko do schodów, nie zaprzatając sobie uwagi skrzypieniem i pojękiwaniem starego drewna. Przecież wszyscy spali, prawda? Zatrzymała się nagle, gdyż w korytarzu nie była sama, w jednej z alków siedział ktoś samotnie w fotelu. Przez długą chwilę przyglądała się śpiącemu mężczyźnie, potem odłożyła walizkę i żakiet, podeszła do mahoniowej komody wypełnionej poduszkami oraz kocami używanymi w czasie pikników, a także dłuższych wypadów samochodowych, z zatroskanym uśmiechem owinęła śpiącego kocem i odsuwając się do tyłu przyjrzała mu się uważnie; John Thornton powinien być być teraz ze swoją żoną, a nie tutaj w zimnym hallu, jak gdyby nie miał się gdzie podziać. Westchnęła, ale wróciła po swoje rzeczy i otwierając masywną zasuwę bramy wydoستاła się na zewnątrz.



Świt był blisko; w dali dostrzec można już było lekką szarą poświatę, a w drzewach odzywały się pierwsze nieśmiałe głosy ptaków. Ruszyła przed siebie, zatrzymując się jednak przy trawniku; na brzegach trawa rosła zbyt wybujałe, a spomiędzy jednostajnej zieleni zaczęły wyrastać czerwone lepki dzikich kwiatów na sprężystych włochatych łodyżkach — nie chciane śliczności. Genevieve potrząsnęła głową zdumiona, że ojciec nie kazał ich ścinać, wszak był takim pedantem w sprawach utrzymania ogrodu i terenów przylegających do zamku. Może powinna mu na to zwrócić uwagę, gdy wróci, albo mamie, chociaż nie, przecież leży chora. Zmęczonym gestem odgarnęła włosy, ale uśmiechnęła się czując atakujący jej nozdrza stary, niezmienny przez wieki zapach ogrodu, i ogarnęła ją nagła, przemożna potrzeba położenia się na ziemi, wśród trawy i kwiatów, ponieważ tyle było w nich solidności, tyle ponadczasowości, tyle niezmiennego, nie poddającego się brzydocie piękna. Ruszyła dalej i w miarę jak rozjaśniało się niebo, wydawało jej się, że widzi wszystko z niesamowitą wręcz dokładnością, każdy otaczający ją szczegół. Odniosła zapierające dech w piersi wrażenie, że wszystko dookoła — chmury, drzewa, wilgotny od rosy gęsty mech, poskręcane wystające z ziemi korzenie starych drzew — nabrało własnego życia.

Gdzieś pod czaszką pojawił się ból i otaczające ją kształty rozmyły się nieco, gdy podnosząc do góry twarz śledziła płynące po niebie chmury. Usiłowała sobie coś przypomnieć, ale pamięć płatała jej figła, z jej zakamarków zaczęły wyłaniać się jakieś dziwne twarze, słyszała śmiech i wybuchy gniewu, jakieś miejsca, uśmiechy i intensywny, błogi poryw melancholii, i kiedy odjęła rękę od twarzy, jej palce były wilgotne. Wspomnienia. Zatrzymała się niespodzianie i znowu uniosła głowę do góry, jakby w uważnym nasłuchiowaniu. Ktoś kąpał się w jeziorze, słyszała jakiś odgłos, ale już w następnej chwili cisza ponownie otuliła wszystko szczelnym całunem. W zamyś-

leniu zmarszczyła brwi, niemal natychmiast pomyślawszy o Heinrichu, który miał zwyczaj wymykania się o tej godzinie nad jezioro, aby popływać, zanim obudzą się mama i papa. Genevieve zachichotała i zaczęła cicho nucić, ponieważ była pewna, że to jego słyszała — Heinricha, w wodzie przed sobą. Poranek był jak malowany, chyba jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek w życiu widziała. Idąc na przechadzkę z innymi gośćmi Elizabeth czuła jeszcze w powietrzu unoszący się swąd prochu przypominający jej dzieciństwo i ogniska w dniu Guya Fawkes'a. Ale przypomniało jej to też wczorajszą samotną noc. Popatrzyła w stronę innej dość odległej części ogrodów, gdzie odbywało się strzelanie do rzutków, które Johnowi, Feli-xowi i większości pozostałych mężczyzn umilało poranek. Nie wrócił do ich wspólnego pokoju po przyjęciu i nie miała pojęcia, gdzie mógł spędzić tę noc, ale nie miała również odwagi spytać go o to, a nawet pokazać po sobie, że w ogóle to zauważyła. Westchnęła głęboko i wróciła myślą do rzeczywistości. Wchodzili na ścieżkę prowadzącą wokół jeziora. Woda wyglądała na bardzo głęboką; była czarna i wydawała się oleista jak ropa. Zadrżała z zimna, kiedy weszli w cień rzucany przez drzewa wzdłuż ścieżki. Stracili jezioro z oczu i mieli teraz za towarzystwo samych siebie i śpiew ukrytych w gałęziach ptaków. Niewiele ich zostało od wczorajszego przyjęcia, większość gości zdecydowała się wrócić do Wiednia, co bez wątpienia miało związek z przyjęciem przypominającym raczej maraton, które w gruncie rzeczy wcale się nie skończyło, jeśli wziąć pod uwagę, do której trwał. Gdy wynurzyli się z drzew, jej wzrok ponownie przyciągnęło jezioro, a na włosach poczuła gorące promienie słońca. Przypomniała sobie tamten weekend w styczniu, od którego, jak jej się teraz wydawało, dzieliła ją cała wieczność. Śnieg był głęboki

i nieskazitelnie białe, a oni jechali z Wiednia do Schloss Bletz, mając nadzieję, że nie zatrzymają ich zaspę, gdyż obiecali Christopherowi, że wrócą na kolację. Upłynęła cała wieczność. Już wtedy w jej życiu był Karl, ponieważ mu na to pozwoliła i odsunęła się od Johna, nie próbując nawet dostrzec faktu, że ma wybór — tak bardzo pragnęła mężczyzny, który zostawił ją samą pięć lat temu. Kiedyś snuła plastyczne, wielopoziomowe marzenia

O ich wspólnym życiu, z dzieckiem, owocem ich namiętności, dzieckiem, które potem zmarło. Owszem, namiętności — ale tylko z jej strony. W końcu jednak role się zmieniły.

Przemknęła wzrokiem po jeziorze i wzgórzach pokrytych ciemnozielonymi sosnami, czując w sercu ciężar

1 czarną rozpacz, myśląc o Johnie i o tym, co zrobiła. Podążała w milczeniu za innymi w dół małego wzniesienia; pomiędzy drzewami widać już było bramę ogrodu. Westchnęła z ulgą, ponieważ nie była w nastroju do spacerów, a poza tym w widoku jeziora było dla niej coś niezmiernie przygnębiającego. Gdy ich grupa wyłoniła się z ocienionej drzewami ścieżki, musiała przymknąć powieki pod wpływem nagłego blasku słońca; oczy bolały ją z niewyspania, a pod nimi usadowiły się głębokie cienie, których żadna warstwa makijażu nie mogła ukryć.

Przechodząc przez bramę zauważyła zbliżającą się do nich Sophię. Jej twarz była blada jak kreda i Elizabeth sądziła, że brało się to, podobnie jak u niej, z niewyspania, ale gdy podeszła bliżej, zauważyła ślady łez w jej oczach — ogromnych i lśniących od strachu. Do piersi przyciskała zielony filcowy żakiet, jak gdyby bała się, że jej się wyslizgnie.

— Nie widzieliście jej państwo?... — spytała z nutką błagania w głosie.

— Kogo? — spytała któraś z kobiet.

— Mojej matki.

Kobieta pokręciła głową i wtedy Sophia z niemym

błaganiem przebiegła wzrokiem otaczające ją twarze. Elizabeth poczuła skurcz strachu, na widok drżącej brody dziewczyny ruszyła w jej stronę, ale nim dotarła do niej, Sophia odwróciła się i zaczęła szybko odchodzić, a następnie biec jak oszalała przez trawnik. Goście spojrzeli po sobie, czując, że zdarzyło się coś strasznego, i ruszyli za nią.

Dużo później Elizabeth próbowała sobie ułożyć jakąś sensowną całość z tego, co później nastąpiło, ale nie powiodło jej się to. Kiedy podążając za Sophią dotarli do skraju strzelnicy, zobaczyli, jak zaciekle rzuca się na ojca, szarpiąc go za ubranie, bijąc pięściami w tors, i usłyszeli jej coraz wyższy rozdzierający głos...

To przez ciebie, przez ciebie, ty ją do tego zmusiłeś... nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę... — I nagle padła na ziemię, szlochając spazmatycznie, aż wreszcie podszedł do niej Oskar von der Heyden, podniósł ją i otoczywszy ramieniem poprowadził do zamku. Szloch oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie zupełnie umilkł.

Nie znaleźli ciała Genevieve w miejscu, gdzie kiedyś lubił pływać jej brat, Heinrich, ale na brzegu jeziora odkryli starannie poskładane na kupkę ubranie i walizeczkę z brązowej skóry z lśniącymi sprzączkami oraz złotymi inicjałami, których nie stał upływ czasu.

— Jak znalazłaś Tante Marię?

— Chyba wszystko u niej dobrze — odpowiedziała Kristina.

— Nie wiedziałam, że wyjeżdżasz na tak długo.

— Potrzebowałam zmiany, mówiłam ci.

— To przez tego Sama Cohena?

— Częściowo.

Augustina uważnie przyglądała się swojej córce, zauważyła jej podkrążone oczy i wyciągniętą twarz, zeszcupiała.

— Był tu — powiedziała niechętnie. Kristinie rozjaśniły się oczy.

— Kiedy?

— Po twoim wyjeździe do Salzburga.

— I co powiedział?

— Naley mi wpierv trochę czekolady, stęskniłam się za nią, tylko ty potrafisz robić taką, jaką lubię.

Kristina drżała z niecierpliwości, ale wiedziała, że wpierv musi podać tę nieszczęsną czekoladę, o którą dopominała się matka; nie było najmniejszego sensu sprzeciwiać się jej. Kiedyś próbowała, ale całkowicie musiała się pogodzić z porażką, zdaje się, że jej matka we wszystkim musiała zwyciężać.

— No więc? — spytała Kristina, kiedy usadowiła już matkę w krześle.

— Więc, jak już mówiłam, był tutaj.

— To już wiem, matko. Co mówił? — Czasami podziwiała samą siebie za opanowanie.

— Chciał zadzwonić do ciebie.

— I dałaś mu numer do Tante Marii? — Ale nie zadzwonił, pytała się każdego dnia, czy były do niej jakieś telefony. Nic.

— Nie, oczywiście, że nie.

Kristina z osłupieniem popatrzyła na matkę

— Dlaczego nie? — krzyknęła wreszcie. — Dlaczego?

— Nie widzę powodu, żebyś na mnie krzyczała. Chciałam jak najlepiej dla ciebie.

Kristina z niedowierzaniem kręciła głową.

— Nigdy nie chciałaś dobrze dla mnie, nigdy! — Prawie nic nie widziała spoza łez wściekłości. — Nie dałaś mu mojego numeru, ponieważ go nie lubisz, ponieważ jest Żydem, a przede wszystkim dlatego, że mu na mnie zależy! Wykrzyczała rozeźlona, tyle że nie miała już takiej pewności, czy Sam rzeczywiście nadal jej pragnął; w głębi duszy skrywała smutek i brak wiary w to, co mówi.

- Nie bądź głupia! — Jej matka z furią trzasnęła dłonią w poręcz krzesła.

— Nigdy się niczego nie nauczysz. Nigdy! Jego żona czekała na zewnątrz, w parku, widziałam ją — ją i ich małą.

— Skąd mogłaś wiedzieć, że to była jego żona i córka. Nie widziałas ich w życiu na oczy!

— Obserwowałam go przez okno, kiedy przechodził przez Ring i wchodził do parku. Widziałam, jak podchodził do tej swojej skurwiałej żony — w opiętych na tyłku spodniach i z gębą rozdziawioną w uśmiechu tak, że aż jej było widać migdałki. Widziałam ich na własne oczy z okna, Kristino!

— Dobrze, wystarczy! — A więc to prawda, Natalie nie skłamała jej. Zbierało jej się na płacz. Ale Sam? Trudno jej było uwierzyć, że było go na to stać.

— W końcu nie usłyszałam od ciebie, co powiedział — dodała Kristina ledwie słyszalnie.

- Tylko to, że ci obiecał, że do ciebie zadzwoni. I nic więcej? — Jak rozpaczliwie żałowała teraz, że

zadzwoiła do niego tamtej nieszczęsnej soboty, być może, że gdyby jemu pozwoliła zadzwonić pierwszemu, sprawy przyjęłyby inny bieg. Może, może, zawsze to „może”.

— Nic — ucięła krótko. Skłamała, no pewnie, ale tamte rzeczy, które jej mówił, nie liczyły się.

— Dzwonił jeszcze od tamtego czasu?

— Kristino, Kristino, dlaczego robisz sobie krzywdę? — Augustina potrząsnęła z dezaprobatą głową. — Widać jak na dłoni, że zdecydował się pozostać z własną żoną. Niech sobie idzie, zostaw go.

— Gdyby to było takie proste, matko. — Zdawało jej się, że wszystko w niej umiera.

— Pewnie, że jest. A poza tym wiedziałaś, w co się pakujesz — prychnęła z pogardą. — Co to za mężczyzna, który godzi się zostać z kimś takim, jak jego żona? Bez charakteru i głupi.

— Nie znasz go.

— A tobie się pewnie zdaje, że go znasz, co? — Z niecierpliwością postukała kostkami palców w krzesło. — Skoro znałaś go tak dobrze, dlaczego nie przewidziałaś, że może chcieć wrócić do żony? I na jakiej podstawie sądziłaś, zresztą jak zawsze, że jest typem mężczyzny, który rzuci dla ciebie wszystko?

— Jesteś okrutna, bez serca, i czasami... czasami chyba cię nienawidzę.

— Staram się jedynie ci pomóc, ale tego nie dostrzegasz.

— Pomóc, mnie? Jesteś bezlitosna. — Zaczęła jej się trząść broda, a z oczu poleciały łzy, które tak dzielnie dotąd wstrzymywała.

Augustina popatrzyła na córkę, na jej rozpacz i nieszczęście, i ogarnęły ją nagle wyrzuty sumienia. Ze zdziwieniem zauważyła, że myśli o Samie Cohenie i o tym, co jej powiedział — że też ktoś taki śmiał jej mówić takie rzeczy! Mimo to zarumieniła się i opuściła wzrok na dzierzoną w ręce na wpół opróżnioną filiżankę słodkiej czekolady.

— Staram się nie ranić cię — powiedziała powoli. Kristina przełknęła gwałtownie ślinę, jak gdyby mogła powstrzymać łzy, nadaremnie.

— Ale robisz to, ciągle to robisz i niby nie wiesz o tym... co?

— Chcę dla ciebie jak najlepiej, to wszystko.

— Kocham Sama — powiedziała Kristina. Odpowiedziało jej milczenie. Kristina podniosła się

1 podeszła do okna.

— Myślałam, naprawdę myślałam, że tym razem... — powiedziała nieomal do siebie.

— Znajdziesz sobie innego...

Kristina roześmiała się gorzko. Ale jej śmiech zabrzmiał szorstko i bardziej przypominał szloch.

— Nie rozumiesz, matko, naprawdę nic nie rozumiesz.

Augustina już dawno nie widziała swojej córki takiej jak teraz i nie była tym zachwycona, nie podobała jej się ta rozpaczliwa żalność, uczucie zagubienia przebijające z każdego wypowiedzianego przez nią słowa, z każdego gestu. I jej białej jak kreda twarzy.

— Weź sobie trochę porto i siadaj.

— Nie mogę pić alkoholu.

Augustina zmarszczyła brwi nie rozumiejąc.

— Czemu, jesteś chora?

W głuchej ciszy, która nastąpiła, Kristina słyszała daleki krzyk pawi w Stadtparku, przez okno widziała turystów z aparatami trzaskającymi zdjęcie za zdjęciem pomnikowi Johanna Straussa.

— Nie, nie jestem chora, matko. Jestem w ciąży. Usłyszała, jak z ust jej matki wydobył się cichy świszczący dźwięk.

— Jesteś pewna?

— Niczego jeszcze nie byłam tak pewna. - I byłaś u lekarza?

Oczywiście.



— Nie ma mowy o pomyłce? Kristina odwróciła się na pięcie.

— Nie, matko, nie ma mowy o pomyłce!

— Już dobrze, dziecko, już dobrze.

Kristina zdziwiła się, nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni matka nazwała ją „dzieckiem”.

— To wszystko zmienia — dodała Augustina po chwili zastanowienia.

— W jaki sposób? — spytała gorzko.

— No, musi się z tobą ożenić.

Kristina z niedowierzania aż zamknęła oczy.

— Sam jest już żonaty, czyżbyś zapomniała o tym?

— Musi się z tobą ożenić — powtórzyła z uporem. — Nosisz jego dziecko.

Kristina zwróciła oczy na matkę, zastanawiając się, czy powinna jej wszystko powiedzieć, ale teraz była zbyt zmęczona i zrezygnowana. Laura siedziała w samolocie. Oparła głowę na fotelu i zagłębiła się w rozmyślania o Londynie i o Andrew, tych wszystkich sprawach, do których wracała. Jedynym uczuciem, jakie ją opanowało, gdy zdecydowała się pójść do swojego ambasadora i wyznać mu wszystko, była ulga; nie miała żadnego innego wyboru, ponieważ jakoś nie widziała się w roli szpiega. Westchnęła do siebie na wspomnienie swoich trzęsących się rąk, kiedy dotykała klamki drzwi prowadzących do jego gabinetu, i powolnego bicia serca, kiedy podchodziła do jego biurka i siadała. Ale okazał jej bardzo wiele wyrozumiałości, mimo jej jękania się i łez upokorzenia, których w końcu nie była w stanie opanować. Gdy wyjawiała mu z grubsza, w czym rzecz, Sir Nigel kazał przynieść herbatę, a nawet koniak i przez chwilę siedzieli pogrążeni w milczeniu.

Później włączył magnetofon i nastąpiły pytania, pytania

i jeszcze raz pytania. Określił jej przypadek jako „zastawienie sidła” i oszczędził jej zagłębiania się w bardziej krępujące szczegóły. Była mu za to ogromnie wdzięczna, ale i tak samo mówienie o tym i dokładny, prawie minuta po minucie, opis jej spotkań z Ralfem wyczerpały ją, tak więc kiedy wreszcie dotarła do swojego biurka, była ledwo żywa.

Uśmiechnęła się melancholijnie przypominając sobie ostatni komentarz Sir Nigela, że „takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu”; pocieszając ją wspominał nawet przypadek pewnego ambasadora brytyjskiego, który nie potrafił się oprzeć wdziękowi pewnej pociągającej rosyjskiej pokojówki, czego rezultatem były zdjęcia przedstawiające go w miłosnych zbliżeniach między innymi w pralni jego moskiewskiego apartamentu. Opisując jego perypetie Sir Nigel z trudem powstrzymywał rozbawienie; w końcu dodał, że tamten „zbląkany ambasador poszedł na emeryturę z pełnym uposażeniem”.

Przesłuchiwana była jeszcze przez służbę bezpieczeństwa i wreszcie powiedziano jej, że jest zwolniona ze swojej funkcji, co nie było dla niej żadnym zaskoczeniem. Poradzono jej również, żeby wyprowadziła się ze swojego mieszkania i przeniosła do wskazanego jej hotelu w pobliżu Schottentor, i zamieszkała w skromnym, nie rzucającym się w oczy pokoiku, którego okna wychodziły na zatłoczoną ulicę; to przybiło ją najbardziej. Pocieszeniem była jedynie szybkość i łatwość, z jaką uporano się z tym wszystkim, i świadomość, że odpowiedzialność spoczywała teraz na kimś innym.

Podniosła głowę na pytanie stewardessy, czy chciałaby jeszcze jedną filiżankę kawy. Przytaknęła i uświadomiła sobie, że nareszcie czuła się zupełnie rozluźniona, niemal swobodna, gdy to wszystko miała już za sobą. Odwróciła twarz w stronę okienka spoglądając na doskonale nieruchomą powłokę chmur nad nimi. Kazali jej spotkać się z Ralfem, po raz ostatni, pod pretekstem przekazania mu

pierwszych materiałów. Po dużych oporach zgodziła się, ponieważ czuła się do tego wewnętrznie zobligowana, jak gdyby musiała oddać im „dług” w postaci czegoś lub kogoś, zapłacić za swoją naiwność i głupotę. Ale nie przyszedł na spotkanie. Zgodził się, ale nie przyszedł. Jak gdyby wiedział. Tak więc przez blisko cztery godziny siedziała w Central Café, nim „tamci” dali jej znak, że może wracać, i kiedy wychodziła podwójnymi drzwiami kawiarni na zewnątrz, obiecała sobie, że żadna siła nie zmusi jej, aby kiedykolwiek jeszcze wróciła do Central. Café, Wiednia, a nawet do Austrii, choćby na narty, tak jak robiła często przed laty. Nigdy w życiu. Wstrząsnął nią dreszcz, zastanawiała się, gdzie był Ralf i co robił. Ludzie ze służby bezpieczeństwa włamali się do jego mieszkania, ale było puste. Ralf znikł. Próbowwała sobie wyobrazić to jego całe na biało pomalowane mieszkanie, w którym nie było teraz ani jednej greckiej figurki, którego kątów i zakamarków nie oświetlało pomysłowo zainstalowane światło, gdzie nie było ani śladu wszechobecnych dawniej dzieł sztuki, ani też masywnych mebli wykładanych skórą. W wyobraźni przechodziła z pokoju do pokoju, wolnym krokiem przemierzając korytarz, kierując się do kuchni i ogromnego salonu, a następnie na przepiękny taras, ale w tej podróży wyobraźnią najczęściej ciągnęło ją w jedno miejsce, do niewielkiego pokoiku z dwoma tylko krzesłami i potężnym telewizorem. Zamknęła oczy i pod powiekami zobaczyła jego twarz: wielką, kwadratową i po męsku przystojną, pamiętała też jego dłonie, jak wykute z białego marmuru, i tamtego brodatego mężczyznę. Poczula w gardle dławienie. Zaczerpnęła powietrza i bez przekonania spróbowała zająć się leżącą na jej kolanach książką, ale bez powodzenia. Napisała do Andrew informując go, na ile było to możliwe, o wszystkim, ale nie dostała od niego odpowiedzi, domyśliła się więc, że między nimi wszystko skończone, ale nie mogła mieć o to do niego pretensji; nie

po tym, co napisała, a raczej — zrobiła. Ogarnął ją smutek, którego bezskutecznie starała się pozbyć. Czekano ją jeszcze załatwienie tego jakoś z rodzicami — musiała im powiedzieć, bo zawsze istniała możliwość, że któregoś dnia otrzymają od Ralfa „mały upominek”, a że był do tego zdolny, nie miała najmniejszych wątpliwości.

Zaczerwieniła się i zaczęła zastanawiać, czy kiedykolwiek pozbędzie się tych ohydnych wspomnień, czy też będą ją nawiedzać przez resztę jej życia. Co się mogło stać z kasetą, fotografiami i negatywami? Co się robi z takimi rzeczami w kręgach tych tajemniczych ludzi, gdy są im już niepotrzebne? Skuliła się w sobie, ale z odrętwienia wyrwał ją głos proszący o zapięcie pasów przed lądowaniem.

Spojrzała znów w okno, za którym w oddali majaczyło lotnisko Heathrow, czekające, by ją powitać. W Londynie było dość szaro i pas startowy był wilgotny od lekkiej mżawki, która pokryła okienka maleńkimi kropelkami wody, tak że widok za oknem stał się zamazany. Odwróciła głowę.

Wydawanie bagaży przeciągnęło się, ponieważ nawalił pas transmisyjny, ale powoli naprawiono uszkodzenie, i trzymając w ręku swój bagaż prześliznęła się przez komorę celną. Zerknęła na plastikową torbę z napisem „Duty Free”, zawierającą dwieście papierosów dla jej brata, butelkę malt whisky dla ojca i jedwabny szalik dla matki. Nie była to imponująca ilość prezentów jak na jej kilkumiesięczny pobyt w Wiedniu, na całe szczęście przypominała sobie jeszcze akwafortę pałacu Schönbrunn, którą wygrzebała na targu w Naschmarkt, pogięty hełm niemiecki, który kupiła w jakimś przyпыlywie szaleństwa, ale który jej ojciec powiesi bez wątpienia w swoim gabinecie, oraz schowaną gdzieś głęboko wąską bransoletę z granatów, dość starą, którą znalazła włócząc się po brukowanych uliczkach Wiednia. Oraz ręcznie rzeźbione, przepiękne miniaturowe szachy, które kupiła dla Andrew

Na Karrntner Strasse. Spodobają mu się, pomyślała sobie, i wreczy mu te niezależnie od okoliczności, lub być może lepiej będzie je wysłać, nie miała bowiem pewności, czy będzie w stanie spojrzeć mu w oczy, czując taki gryzący wstyd, taki gorzki, duszący smutek.

Przepchała wózek bagażowy przez automatyczne drzwi starając się nie zwracać uwagi na tłum ludzi czekających na podróżnych po obydwu barierach wyjścia. Koncentrowała się na popychaniu wózka, patrząc wprost przed siebie, czując przygnębienie, ponieważ mimo wszystko miała nadzieję, że ktoś będzie na nią czekał, obojętnie jak irracjonalne było to uczucie. Podniosła głowę i z jeszcze większym zdecydowaniem popchnęła wózek — i właśnie wtedy zobaczyła go. Poczowała bolesny łomot serca patrząc w jego spokojną, opanowaną twarz, która zaraz zresztą zaczęła jej się rozmywać w oczach, nie wiadomo czemu wypełnionych łzami. Ale wtedy Andrew uśmiechnął się tym swoim lekko ironicznym uśmieszkiem, od którego zawsze ścisnęła ją w dołku, i opanowało ją wrażenie, jak gdyby jej życie dokonało pełnego obrotu i wszystko było po staremu. Jednakże oddając mu niepewnie uśmiech uświadomiła sobie, że nic nigdy nie jest po staremu.

— Przyszłam podziękować za pani życzliwą pomoc — powiedziała Sophia, gdy Elizabeth wprowadzała ją do saloniku.

— Ależ nie ma za co, tak naprawdę w niczym nie pomogłam. — Wróciła pamięcią do tamtego smutnego weekendu i gorączkowych, ale daremnych usiłowań odnalezienia Genevieve. W końcu Felix zarządził przeszukanie jeziora, ale było zbyt głębokie i nieprzejrzyste, a dno pokrywał czarny, zatęchły muł. Pomoc Elizabeth polegała jedynie na tym, że czuwała przy Sophii, gdy ta zapadła w ciężki sen po środkach uspokajających, tylko tyle.

— Ale właśnie taka pomoc była mi wtedy potrzebna. Elizabeth spojrzała w jej twarz, zapadnięte policzki

i kontrastujące z bladą cerą oczu, wyostrzone bolem i przedwcześnie dojrzałe.

— Chodź napiiemy się herbaty — zaproponowała Elizabeth. Usiadły.

— Będę jeszcze w Wiedniu przez tydzień i pomyślałam sobie, że mogę zacząć portret pani syna, nim wyjadę.

— Nie wydaje mi się...

— Proszę. Bardzo bym chciała. — Zmusiła się do uśmiechu. — O ile wiem, wraca pani do Anglii za dwa, trzy tygodnie?

Elizabeth przełknęła ślinę.

— Tak, konferencja zbliża się powoli do końca. Tak szybko to minęło.

— Ale wraca pani do Londynu?

— Tak, tak sędzę.

— Nie jest pani pewna? Elizabeth podniosła filiżankę.

— Nic nie ma w tej chwili pewnego. — Pomyślała

O Johnie.

— A następna placówka państwa?

— Już niedługo będziemy wiedzieli na sto procent, gdzie. — To znaczy, John jedzie do Waszyngtonu, tu nie było żadnych wątpliwości, ale o niczym ponadto nie rozmawiali; w ogóle bardzo mało ze sobą ostatnio rozmawiali. Jutro zaś spotyka się z Karlem.

— Mogłabym zadzwonić w środę lub czwartek i umówić się, kiedy wpaść? — rzuciła szybko Sophia wyczuwając zmieszanie Elizabeth.

— I naprawdę masz na to ochotę...? — powtórzyła

i westchnęła do siebie, zadowolona ze zmiany tematu. — Musisz mieć tyle spraw na głowie.

- To prawda. I dlatego takie oderwanie się od tego

wszystkiego dobrze mi robi. Czuję, że jest mi to potrzebne —

przekonywała ją Sophia i opuszczając wzrok na filiżankę dodała: —

Wczoraj odbyło się czytanie testamentu mamy.

— O Boże, jak ci musi być przykro.

Sophia poczuła duszenie w gardle. Przez cały ten czas zmuszała się do myślenia o innych rzeczach, innych twarzach, ponieważ inaczej ciągle miała przed oczami białą jak płótno, kruchą twarz matki. Nie była w stanie tego znieść, tak samo jak myśli, że już jej nie ma, że już nigdy nie podniesie słuchawki i nie zadzwoni do niej. Patrząc w okno pomyślała, że coś musi po niej zachować dla siebie, coś trwałego, nie popadającego w zapomnienie, drogą jej sercu część tej, którą kochała, która opowiadała jej bajki, która była jej prawdziwą przyjaciółką. Poczowała zamykającą się na jej ręce uspokajającą dłoń Elizabeth.

— Ojciec wpadł w istną furję — powiedziała nagle, przełykając czekające w pogotowiu łzy. — Matka zostawiła zamek mnie. — Potrząsnęła głową. — Właśnie mnie.

Rzeczywiście tak było, jak mówiła. Ojciec zupełnie oszalał, przeklinał na czym świat stoi, zachłystywał się wyzwiskami, bo Schloss Bletz został zapisany jego córce, nawet nie jego synowi! Zamek wraz z przyległościami i jeziorem. Opanowany białą gorączką zwrócił się do niej, pytając, po co jej, co z nim robi, jakby próbując ją nakłonić do wyrzeczenia się go. Ale ona chciała go, i to bardzo, bo takie było życzenie jej matki. Ojciec szalał dalej, wrzeszcząc, że będzie jeszcze walczył, że jej matka była niespełna rozumu robiąc to.

Notariusz przywołał go do porządku pokazując mu testament i punkt, który czarno na białym wyjaśniał powód, dla którego Felix nie dostał nic: „Zgodnie z moją ostatnią wolą mój mąż Felix nie otrzymuje prawa do żadnej części mojego majątku, z powodu zdrady małżeńskiej”. To jakby zupełnie ostudziło jej ojca, siedział z otwartymi ustami i Sophii przemknęła myśl, że wygląda jak błazen. Zwrócił się powoli w jej stronę i gdy ich spojrzenia zetknęły się, coś jej powiedziało, że jednak nigdy nie odważy się podać w wątpliwość testamentu. I w tej

długiej, ohydnej chwili, kiedy ich spojrzenia szczepiły się ze sobą, doszło do niej, że go nienawidzi.

— Jakie masz dalsze plany? — Spokojny głos Elizabeth zakłócił jej rozmyślenia.

— Po sprzedaży Schloss Bletz będę kontynuowała studia w Stanach.

— Sprzedajesz zamek?

— Tak. Moja matka nigdy go nie lubiła — stwierdziła zdecydowanie.

Przynajmniej w ten sposób, poprzez sprzedaż zamku, mogła coś dla niej zrobić, myślała, choć w mroczniejszych pokładach swojego mózgu doskonale zdawała sobie sprawę, że oprócz tego aktem tym wbija nóż w serce ojca. Po odczytaniu woli nieomalże błagał ją, by pozwoliła mu zająć się zamkiem — „zarządzać nim”, jak się wyraził. Uśmiechnęła się wtedy, ale ten uśmiech był fałszywy — mizerny, gorzki i ledwie widoczny. Ale jej ojciec był zbyt zaślepiiony, aby to zobaczyć. Był naprawdę głupi.

Sprzedaż Schloss Bletz załamie go; miała nawet nadzieję, że go zabije.

— Ale kiedyś mówiłaś mi, że jest ci bardzo drogi — kontynuowała Elizabeth trochę zakłopotana.

— Ale teraz już tak nie jest. W ciszy spoglądały na siebie.

— Nie rozumie pani? Muszę — wyrzuciła z siebie, jak gdyby za wszelką cenę chciała przekonać swoją rozmówczynię.

Elizabeth pokiwała wolno głową.

— Ostatnio zupełnie nie była sobą — dodała Sophia prawie że do siebie. W najgłębszych zakamarkach mózgu, gdzie powstają i rozwijają się marzenia, wyobrażała sobie inny rozwój wypadków — wyobrażała sobie, że zniknięcie matki było po prostu ucieczką od jej strapień, w której zatarła za sobą wszystkie ślady, ale nie wpadła w ponure odmęty jeziora, lecz znikła w lesie, z inną walizką, w innym ubraniu.



— Czemu tak to umknęło mojej uwadze... — powiedziała niezręcznie Elizabeth. — Gdybym wiedziała, może udałoby mi się z nią porozmawiać, wysłuchać. — Ale nie miała czasu, zbyt pochłonięta swoimi sprawami, pochłonięta marzeniami o Karlu i swojej przyszłości. — Tak czy inaczej, byłaby zadowolona, że zwróciłam się do pani. Wiem, że lubiła panią, wiem też, że byłaby bardzo zadowolona z mojego zamiaru naszkicowania portretu pani syna.

Elizabeth uśmiechnęła się, ale jej oczy z uwagą badały twarz dziewczyny. Być może nie powinna wyrabiać sobie zbyt pochopnych opinii, jednak jej zdaniem tyle się zmieniło w tej twarzy, wyglądała, jak gdyby uciekło z niej życie, jakże była odmienna od twarzy tamtej Sophii, którą spotkała zaledwie kilka miesięcy wcześniej. I gdy tak patrzyła na jej nieutuloną w żalu twarz, Sophia odwróciła się od niej, jak gdyby przestało jej zależeć na czyimkolwiek współczuciu, nawet Elizabeth.

Wzrok Sophii powędrował w stronę okna; poczuła nagłe zmęczenie, przybijające ją do ziemi jak ogromny ciężar, zmęczenie rozmową, wszystkim. Przymknęła oczy i wraz z pojawiającym się znajomym szczypaniem pod powiekami, poczuła jątrzący się w niej, dławiący głuchy smutek, sięgający samego gardła. Opanowała się z desperacją i przywołała do pamięci tamten śliczny dla niej obraz — obraz jej mamy, na którym po cichu przemyka się pomiędzy drzewami. Nareszcie wolna. Kristina szła wolno, przyciągana dźwiękami muzyki, w stronę pawilonu, gdzie niewielka orkiestra grała walca Straussa. Usiadła przy jednym z okrągłych stolików i zamówiła wodę mineralną i ciastko, obserwując błazeństwa grupy młodych włoskich turystów. Powiewał wiatr, a po niebie płynęły chmury, ale nie zapowiadało się na deszcz. Na sekundę położyła rękę na brzuchu próbując sobie wyobrazić rozwijające się tam w środku życie.

W Salzburgu poszła do doktora, starszego pana tuż przed emeryturą, który nie tylko był bardzo miły, ale okazał się również doskonałym specjalistą. Potwierdził to, czego już się wcześniej domyślała. Cięża była dla niej zupełnym zaskoczeniem, ponieważ przekonana była, że jest bezpłodna; przez te wszystkie lata małżeństwa z Frederikiem nie miała powodu, żeby sądzić, iż jest inaczej, jako że ze swojego poprzedniego małżeństwa Frederico miał syna, a więc zakładała, że wina leży po jej stronie. Podzieliła się tymi spostrzeżeniami ze starym doktorem, na co uśmiechnął się sympatycznie, jakby dopatrując się w jej stanie figla splatanego naturze.

— W pani wieku jajniki, można by powiedzieć, „sprężają się”, jak gdyby czując potrzebę zaznaczenia swojej obecności, nawet te najbardziej nieaktywne i leniwe. Jest to jakby ostatni szalony zryw pani ciała, aby być płodną, aby dawać życie. — Zachichotał i cmoknął ją w policzek, jak gdyby była psotnym dzieckiem, a nie samotną kobietą z brzuchem. Swój stan przeczuwała już od pewnego czasu. Z początku sądziła, że jest chora i po dniu odpoczynku czuje się lepiej, ale później te „złe” dni następowały jeden po drugim; straciła na wadze i stale była zmęczona. Gdy znalazła się w Salzburgu, z powodu Sama, nie w głowie jej były myśli o dobrym fizycznym samopoczuciu, ale wreszcie Tante Maria zdecydowała sama i wypchnęła ją na wizytę do doktora Luegera, który potwierdził to, o czym jakaś część jej świadomości wiedziała już od dawna.

Teraz zaś siedziała sobie w Wiedniu, w Stadtparku, w piękny, słoneczny dzień, popijała wodę mineralną i zjadała pasztecik, jak gdyby wszystko toczyło się normalnym torem. Poklepała się znów lekko po brzuchu i nie mogła się powstrzymać od myśli o Samie. Gdyby zadzwonił, kazała swojej matce powiedzieć mu, że jeszcze jest w Salzburgu i że prawdopodobnie nieprędko wróci. Co by jej przyszło teraz z przeprosin czy starannie

dobrych, gładkich słów, w których zakomunikowałaby jej, że wraca do żony, do Natalie. Nie lubiła nawet brzmienia tego imienia..., uświadomiła sobie gorzko. A co do Sama... nie będzie o nim myślała i nie powie mu o swojej ciąży, nie było sensu — nie chciała jego współczucia, jego pieniędzy, ani też czasu. „Zostaw go”, powiedziała kiedyś jej matka, i najzupełniej się z nią teraz zgadzała.

Wzięła do ręki widelczyk i zagłębiła go w słodką puchową górę na talerzyku, uśmiechając się z lekką zadumą. Co jak co, ale nie mogła się teraz uskarżać na brak apetytu; nie tylko że odzyskała poprzednią wagę, ale nawet jeszcze trochę przytyła, a przyglądając się sobie w lustrze miała wrażenie, że wygląda młodziej, że zmarszczki, które zaczęły jej się tworzyć wokół ust i oczu, wygładziły się i stały prawie zupełnie niewidoczne. Wprawdzie Sam odszedł z jej życia, ale przynajmniej zostawił jej coś, co czyniło je prawie znośnym.

Wciągnęła płytki, poszarpany oddech, ogarnięta niespodziewaną falą paniki — chyba nie było wątpliwości, że jej ciąża była wynikiem miłości, prawda? Nie „wpadła” podczas jednego z tych typowo cielesnych zbliżeń, gdy kochała się z zamierającym sercem, po których budząc się rano czuła pustkę, wątpliwości i zażenowanie. Podniosła szklanekę do ust i wzdrygnęła się, gdy kilka kropel wody spadło jej na brzuch.

Zatrzymała wzrok na pawilonie i znajdującej się przed nim małej płycie tanecznej; na środku kręciła się w piruetach jakaś stara kobieta z uniesioną z jednej strony spódnicą, którą przytrzymała wyciągniętą ręką, gdy przechylała się w bok; tańczyła idealnie w rytm muzyki i od czasu do czasu uśmiechała się w przestrzeń i kiwała głową, jak gdyby miała przed sobą mężczyznę, partnera do tańca; co jakiś czas obracała się wokół własnej osi, nie zwracając uwagi na obserwujących ją ludzi, obojętna na uśmieszki i kpiny. Sama dla siebie. Kristina odwróciła się

z zażenowaniem i przenosząc wzrok nad głowami gapiów utkwiała go w sylwetkach pawi na tarasie.

Przez jedną z ozdobnych balustrad przechylał się mężczyzna, niezbyt wysoki, o ciemnych włosach, ubrany w jasny garnitur. Osłoniła oczy przed słońcem i nagle poczuła, że brakuje jej powietrza. Wstała i zaczęła przemykać się między stolikami docierając do ścieżki, ale dojrzał ją i błyskawicznie dogonił przytrzymując za ramię. Chciała mu powiedzieć, żeby odszedł, żeby zostawił ją w spokoju, ponieważ go nie potrzebowała.

— Co robisz? — W twarzy Sama dostrzegła złość. — Oszalałaś, czy co?

— Chcę tylko żyć swoim własnym życiem, w spokoju, nic więcej.

— Nigdy by mi nie wpadło do głowy, że masz ciągotki teatralne.

— No cóż, może po prostu w ogóle niezbyt dużo o mnie wiesz?

— Co to ma do licha znaczyć?

Nie odpowiadała starając się koncentrować swoją uwagę na trawie, drzewach, staruszkach na ławkach.

— Dlaczego mnie unikasz? — spytał wzburzony i podniósł jej brodę do góry, by móc obserwować jej twarz.

— Wkrótce wracasz do Stanów.

— Owszem.

Poruszyła się, chcąc strząsnąć jego rękę i odejść.

— O co, do cholery, chodzi? Nie wystawałem pod twoim mieszkaniem i nie dzwoniłem codziennie do ciebie dla jakiejś własnej perwersyjnej przyjemności.

Odwróciła się nagle.

— Nie mam ochoty pomagać ci w uciszeniu wyrzutów sumienia dając ci możliwość uprzejmego pożegnania się ze mną, Sam — powiedziała z przesadnym wzburzeniem. — Mogłeś po prostu wysłać list. — W jej głosie pojawiła się gorzka nuta, gdyż takie listy i takie telefony otrzymywała już wcześniej — jeśli w ogóle.

Przypatrywał jej się przez chwilę i w końcu powiedział:

— Nie przyszedłem się pożegnać.

— To po co? — Jej głos zaczął się łamać.

— Po to, żeby się z tobą zobaczyć... no, wiesz, jak dawniej — powiedział cicho.

— Ale nic już nie jest tak jak dawniej. Zmarszczył czoło.

— Więc nie chcesz się ze mną widywać?

Nie odpowiadała, rozmyślając, jak ciężko jest wyznać mu, że już dość ma ciągłego ryzykowania i cierpienia.

— Myślałem... — przerwał i przełknął z wysiłkiem ślinę. — A więc omyliłem się? — spytał z niedowierzaniem i rzucił spojrzenie na jej twarz, jak gdyby czekał, że mu zaprzeczy. Opuścił wzrok na swoje ręce, czekając w długiej rozciągającej się ciszy. Wreszcie wzruszył ramionami, nagle bezradny i niepewny, i powoli zaczął się od niej oddalać.

Nie spuszczała z niego oka, z jego ciężkiego kroku, i słysząc nagle swój dziki krzyk zastanawiała się, czy przypadkiem nie oszalała.

— Dlaczego z nią spałeś?! Dlaczego?

Sam stanął jak wryty, jakby ktoś zdzielił go między łopatkami. Odwrócił się wolno i popatrzył w jej śliczną, skrzywioną gniewem i boleścią twarz, czując ucisk w gardle, ponieważ dopiero teraz uświadomił sobie w pełni krzywdę, jaką jej bezmyślnie wyrządził. Wracając do niej dostrzegł szepty i kiwanie głową, a szczególnie przenikliwe spojrzenia siedzących na ławkach staruszek — trafiło im się dziś prawdziwe święto, które będą wspominać przez długie jeszcze tygodnie, ale jakie to miało znaczenie? Westchnął i zatrzymał się o krok od niej, wręcz bojąc się jej dotknąć.

— Ale ona już pojechała, Kristino, wróciła do Stanów. Pokręciła głową raz, dwa razy i znowu, ale w następnej już chwili jego ramiona przyciągały ją do siebie i czuła znowu zapach jego ubrania, jego skóry.

— Tamto się skończyło, naprawdę, raz na zawsze — wyszeptał. — To właśnie to próbowałem ci powiedzieć od tych kilku dni. — Roześmiał się z wysiłkiem i starając się wprawić ją w lepszy nastrój ciągnął dalej. — Och, jest naprawdę mistrzynią w uwodzeniu i czasami jej się udaje osiągnąć swój cel, ale nie tym razem; tym razem wszystko aż cuchnęło grą. — Pocałował ją w czubek głowy. — Myślę, że w końcu musiałem to sobie sam udowodnić. — Gładził ją lekko po włosach. — Przepraszam, bardzo cię przepraszam.

Wydawało się, że stali tak przez wieczność przytuleni do siebie na ścieżce w Stadtparku, przed samym pomnikiem Johanna Straussa. Wpadło jej do głowy, że już chyba nigdy nie będzie się mogła od niego oderwać, że nigdy więcej nie zrezygnuje z tego silnego, pewnego objęcia jego ramion. — Jest coś jeszcze — powiedziała w końcu, ale nie ruszała głowy opartej na jego ramieniu, bojąc się spojrzeć mu w twarz.

— Co takiego? — zachęcił ją łagodnie.

— Jestem w ciąży.

Gdy nie odpowiedział od razu, zamknęła oczy.

— Czy mogłabyś powtórzyć jeszcze raz?

— Jestem w ciąży.

Bardzo ostrożnie, bardzo delikatnie wyplątał ją ze swojego uścisku i chwycił za ręce.

— Spójrz na mnie, Kristino — poprosił i poczekał, aż w pełni zobaczy jej twarz. — Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

Myślała, że umrze na widok jego zmarszczonego czoła, ale pochwycił jej spojrzenie i zaczął szybko tłumaczyć.

— Nie martwię się dlatego, że jesteś w ciąży, broń Boże, ale dlatego, że do czasu narodzenia dziecka prawdopodobnie nie będę jeszcze po rozwodzie; widzisz, jestem nieco staroświecki i nie znoszę określenia „nieślubne dziecko”.

Mimo to uśmiechnął się szeroko, a ona poczuła, jak przez jej ciało przechodzi fala ulgi, fantastycznej, cudownej ulgi.

— Dzieci, Sam.

— Dzieci? — spytał nie rozumiejąc. — Masz na myśli liczbę mnogą?

— To bliźniaki.

— O, mój Boże. — Roześmiał się. — Nie, to nie do wiary!

— Ponoć starsze matki mają większą szansę na urodzenie bliźniaków niż młode. — Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. — Mój lekarz w Salzburgu nazwał to „sprężaniem się jajników”, ostatnią szansą na danie życia.

Sam kręcił głową z niedowierzaniem.

— Bardzo mi odpowiada takie „sprężanie”. — Uśmiechnął się znów, ale natychmiast spoważniał. — I nie masz nic przeciwko czekaniu?

— Czekaniu?

— Aż się pobierzemy?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Nie, nie miało to teraz dla niej żadnego znaczenia: było jej obojętne, czy miał to być rok, dwa, lub nawet trzy lata czekania, całkiem nagle uświadomiła sobie z szokującą jasnością, że to, co rzeczywiście było „czekaniem”, miała już wreszcie za sobą i że tak czy inaczej Sam zawsze z nią był i będzie. Przez całe życie. I gdy opadły z niej resztki napięcia, zachciało jej się śmiać i tańczyć. Lecz zamiast tego zrobiła trzy kroki do miejsca, gdzie na ławce siedziały trzy starsze kobiety przyglądające jej się chciwym, surowym wzrokiem — trzy starsze panie, które podsłuchiwały ich, ale nie rozumiały ni w ząb, bo należały do „prawdziwych Austriaczek”, które nie skazyłyby się znajomością angielskiego.

— *Ich bin so glücklich — weil ich eine unverheiratete Mutter sein werde...!*

Jedna z nich była prawdopodobnie przygłucha, bo pozostałe powtórzyły jej słowa Kristiny z odpowiednim do sytuacji tonem niesmaku, co spowodowało, że stara dama skurczyła się nagle w obronnym odruchu, biorąc Kristinę za lekko obłąkaną.

— Co im powiedziałaś?

Kristina roześmiała się szeroko i wzięła go pod ramię.

— Och nic, tylko tyle, że jestem niezmiernie szczęśliwa, ponieważ zostanę niezamężną matką...

— Dostarczyłaś im chyba najlepszego tematu do plotek od lat.

I pewnie tak było, ale nic jej to nie obchodziło. Mocniej jeszcze chwyciła Sama pod ramię i przeszli koło pawilonu oraz siedzących przy stolikach ludzi. Kristina uśmiechnęła się do siebie z lekkim smutkiem, gdy zza drzew wyszły dwa pawie i stanęły ostrożnie w ciepłych promieniach słońca; może właśnie za nimi będzie tęsknić najbardziej.

Augustina straciła Sama z oczu, gdy wszedł między drzewa, i westchnęła z irytacją. Będzie musiała teraz czekać, ale wszystko będzie dobrze, czuła co do tego pewność. Kristina okazała się jednak trudnym kawałkiem do zgryzienia, musiała zatem wziąć inicjatywę w swoje własne ręce i zadzwoniła do Sama. No pewnie, trochę jej było niezręcznie, ale cóż. Powiedziała mu tylko, że jej córka była chora, ale już wróciła z Salzburga, a potem spytała o najważniejsze — kiedy zamierza się rozwieść. Nigdy nie lubiła owijania w bawełnę — to było dla głupców. Zawahał się, ale w końcu powiedział: najszybciej, jak tylko to będzie możliwe. No, to jej się udało, poczuła prawie tryumf, więc powiedziała mu, gdzie może znaleźć Kristinę, i że będzie stała i czekała przy oknie. Wróciła do swego miejsca przy kominku biorąc do ręki kieliszek porto. Kandydat nie był oczywiście z tych najlepszych, ale przynajmniej jej wnuki nie będą bękar-



tami, tego by nie zniosła, takiego skandalu, obojętnie jak się do tego podchodzi w dzisiejszych czasach. Bo dla niej istniały pewne rzeczy, nawet w tym ciągle zmieniającym się świecie, które powinny zostać święte, a jedną z nich było dziecko, czy też dzieci. Roześmiała się szeroko z radością. Wnuki! Bliźniaki! Wystukiwała na poręczy krzesła bezgłośny rytm; zdaje się, że Sam Cohen ma w Nowej Anglii wspaniały dom, i ponoć jest tam pięknie — oczywiście nie tak pięknie jak w Wiedniu czy w ogóle w Austrii, ale wystarczająco. No i naturalnie Kristina będzie potrzebowała ogromnej pomocy, kiedy urodzą się dzieci, więc logicznie myśląc, będzie musiała jej towarzyszyć, być tam, na miejscu, by Kristina mogła w pełni wykorzystać jej rady i doświadczenie. Chyba dla nich to też będzie oczywiste. Pociągnęła spory łyk wina i zapatrzyła się w gasnące płomienie. Sam był na tyle bystry, żeby to dostrzec od razu, no, a poza tym, nie zostawią jej przecież tu w Wiedniu całkiem samotnej? Ostatecznie to dzięki jej telefonowi zejdą się znów, prawda? Uśmiechnęła się do siebie. Wszystko układało się doskonale dzięki jej aranżacji, prócz może tego jednego, że Sam nie był Austriakiem, nie był nawet Niemcem, tylko niestety Żydem. Potrząsnęła głową z rezygnacją. Przynajmniej jednak był dość bystry i, niechętnie, bo niechętnie, podziwiała w nim to, więc postara się zapomnieć o jego pochodzeniu. Tak więc Nowa Anglia nie będzie taka najgorsza, nie okaże się takim ciężkim krzyżem dla niej, a ponoć jest tam pięknie — przeczytała gdzieś w jednym z czasopism Kristiny, musi je odnaleźć.

Westchnęła pełną piersią z ukontentowaniem, czując przyjemne jak zwykle oddziaływanie wypitego porto; ciepło rozchodziło się leniwie po jej kończynach i ogarniała ją lekkość. Jej oczy spoczęły na ciemnym szkle butelki. Słyszała, że w Ameryce można znaleźć wszystko, jeśli się dobrze poszuka, nawet dobre porto.

— Pomyślałem sobie, że możemy się napić na tarasie — zaproponował Karl przyglądając się, jak Elizabeth, przekroczywszy próg, podeszła do białej balustrady tarasu. Pod nimi rozciągał się malowniczy widok.

— Świetny pomysł — odpowiedziała cicho, czując na plecach jego niepewny wzrok. Niepewny i smutny.

— Gin z tonikiem?

— Tak, proszę.

Przez kilka minut sączyli swoje drinki w milczeniu, potem ostrożnie położył swój kieliszek na stół i podszedł do niej. Promienie słońca migotały lekko w jej włosach, które wyglądały jak przetykane złotem, mieszanka złota i miodu. Włosy Elizabeth. Przypatrywał jej się przez chwilę, a następnie oparł dłonie na jej ramionach i zsunął je w dół, czując, jak lekko drży. Pocałował ją w kark i oplótł dłońmi jej talię, aby móc ją przyciągnąć do siebie, czuć jej zapach i przytulić jeszcze mocniej, jak gdyby przez samą już bliskość stała się tylko jego.

— Nie, Karl.

Jej głos był cichy, bardzo cichy, ale nie wiedzieć czemu napełnił go lękiem.

— Chcę się z tobą kochać.

Odwrócił ją do siebie, by móc spojrzeć jej w twarz.

— Nie — powtórzyła.

— „Nie” teraz, czy „nie” w ogóle? Potrząsnęła głową.

— Wszystko skończyło się jeszcze przed twoim wyjazdem.

W jej ostrożnym spojrzeniu, w jej twarzy było coś, co przejęło go do głębi serca.

— Chodzi ci o ten dzień na wzgórzu Kahlenberg... już wtedy wiedziałaś?

— Nie byłam jeszcze pewna — odparła cicho i trochę niezręcznie. Miała wrażenie, jak gdyby oddalał się wtedy od niej coraz bardziej, stawał się coraz mniej wyraźny.

— A skąd pewność, że teraz wiesz?

— Po prostu wiem. — Spojrzała mu w oczy. — Nie jest to coś, co można zmierzyć lub powiedzieć, kiedy, jak, lub nawet — czy w ogóle istnieje. Po prostu wiem, i tyle.

— Mówiłem nie to, co trzeba, tak? — spytał szybko. Przypomniało mu się, co powiedział o Johnie i jego pieniądzach, o Christopherze.

— Czasami — przyznała, ale nie chodziło tylko o to; w jakiś sposób miało to coś wspólnego z Johnem, Johnem, którego odczuwała w środku coraz mocniej i intensywniej i czego nie zauważyła, póki prawie nie było za późno. Serce ścisnęło jej się nagle, bo nie miała wcale takiej pewności, czy jednak nie było już za późno.

— A więc po wszystkim — stwierdził cicho. — Całe to szalone uczucie ot tak gdzieś się ulotniło, co...? — Podniósł jej brodę do góry, jak gdyby zamierzając ją pocałować, ale zatrzymał jej twarz o kilka centymetrów od swojej. — Po wszystkim? — wyszeptał i pocałował ją, a potem jeszcze raz, czując, jak delikatnie poddaje się mu, ale zaraz też, równie delikatnie, odepchnęła go od siebie. I to ta delikatność przerażała go najbardziej. Z gorzkim wewnętrznym śmiechem uświadomił sobie, jaki los potrafi być ironiczny.

— Nie do końca, Karl — sprostowała. Nie do końca, ale prawie; a poza tym, czy namiętność można porównać do miłości; była jedynie buzowaniem gruczołów, zauroczeniem, krótkim ekstatycznym wzniesieniem się na spotkanie bogów.

— Ale pozwalasz, żeby w tobie wszystko wygasło. — W jego słowach czuło się smutek i złość. — To nie może tak się skończyć — po tylu miesiącach, po takim ryzyku, które brałaś na siebie.

— Nie pragnęłam ani tego uczucia, ani tym bardziej tego ryzyka, Karl. — Dla niej te szalone chwile zapamiętania były dokończeniem czegoś, co już dawno powinno było być zapomniane, odsunięte, zakopane gdzieś głęboko, tylko że nie było okazji.

— Powiedziałaś mi kiedyś, że kiedy zostałam sama, beze

mnie, czułaś się na wpół martwa... — Przełknął ślinę. — Przypominasz sobie?

— Przypominam sobie.

— I to również minęło?

— Tak.

— Jak, w jaki sposób? — wyrzucił z siebie. — Jak to się, do cholery, mogło stać? — Wziął ją za ramiona i potrząsnął. — Jak?

— Przestań, Karl.

Z rozdrażnieniem zamknął oczy i lekko odepchnął ją od siebie.

— Chciałem wyjechać z tobą, żebyśmy wszystko mogli zacząć od nowa.

— Związek z nią był jedyną ważną dla niego rzeczą, jedyną, która rzeczywiście miała znaczenie. Wszystkie poprzednie związki, z innymi kobietami, kończyły się z jego inicjatywy, ponieważ żadna z nich nie wzbudziła jego zainteresowania na dłużej.

— Wiem i jest mi przykro. Potrząsnął głową uśmiechając się krzywo.

— Jakbym słyszał samego siebie w takich sytuacjach. — powiedział z ironią na wpół do siebie.

— Może przekreśliliśmy naszą szansę na długo przed przyjazdem do Wiednia?

Odwrócił się do niej napięty, bez uśmiechu na twarzy.

— Chciałaś powiedzieć, że to ja ją przekreśliłem. — Czy to nie od Gurneya usłyszał, że dostał swoją szansę i ją przegapił...? Spojrzał na niebieskie przejrzyste niebo, którego piękno zdawało się z niego pokpiwać.

— W moim życiu nie było wtedy nikogo, Karl. Byłam wolna — przypomniała mu i przypatrując się jego spokojnemu profilowi zastanowiła się, czy właśnie fakt, że tym razem nie była wolna, że do kogoś „należała”, nie przyciągał go do niej najbardziej.

— Wtedy było inaczej — bronił się.

— Nieprawda — odparła stanowczo, aż skurczył się w sobie.

— Miałem masę zobowiązań, problemów... Między nimi pojawił się jakby cień. Odłożyła szklaneczkę szykując się do wyjścia.

— Nie chcę, żebyś już szła. — Nie chciał się z nią rozstawać w taki sposób.

— Muszę wracać, Karl.

— Do Johna.

— Tak.

— I myślisz, że cię jeszcze zechce? — spytał znacząco. Nie odpowiedziała odwracając wzrok.

— Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. — Chwycił ją za ramię. — Przykro mi.

— Naprawdę, najlepiej będzie, jak już sobie pójdę. Zaczęła iść w stronę wyjścia z tarasu. Poczłwał falę ogarniającej go paniki.

— Kochasz go?

Zatrzymała się i odwróciła głowę w jego stronę, ale nie widziała go, padające wprost na jej twarz słońce oślepiło ją.

— Jakiej się spodziewasz odpowiedzi? — Zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła do mieszkania, wiedząc, że i tak za nią podąży.

— Chcę usłyszeć, że go kochasz.

Zatrzymała się bezradnie, nie chcąc mu odpowiadać, bo nawet jeszcze teraz bronila się przed zranieniem go.

— Tak, kocham Johna. Pokręcił głową.

— Po tym wszystkim, co nas łączyło? — spytał z niedowierzaniem.

— Tak, nawet po tym.

Zacisnął usta, aż zbiełały mu wargi.

— Ale jak to możliwe? Dlaczego? — Strach wyparł z niego resztki opanowania. — Nie możesz, ot tak, zmieniać swoich uczuć, nie tak szybko. Wpierw jeden, potem drugi. Zostajesz z nim tylko ze względu na Christophera.

— Nie, Karl — odparła powoli i wyraźnie, żeby me mogło być wątpliwości co do sensu jej odpowiedzi. — Naprawdę kocham Johna i właściwie nigdy nie przestałam go kochać. Uległam krótkotrwałemu zauroczeniu, zaślepieniu, pozwoliłam sobie na chwilę zapomnieć o nim, pozwoliłam, by przeszłość zawładnęła terażniejszością, zresztą nazywaj to, jak chcesz.

Wlepił w nią wzrok nie wierząc własnym uszom.

— Zaślepieniu? — powtórzył cicho. — Zauroczeniu? — pytał z niedowierzaniem, nie mogąc opanować zdumienia. Pragnienie jej, poczucie, że ją traci, jej obojętność rozrywały go wewnątrz na strzępy, bo nigdy jeszcze tak bardzo nie kochał.

— Może nie użyłam najlepszego określenia, przepraszam. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak bezdusznie.

— Na miłość Boską, nie baw się ze mną w uprzejmości! — Oszołomiony potrząsnął głową. — Kocham cię, Elizabeth, czy to już dla ciebie nic nie znaczy?

— Nic nie poradzę.

— Ze względu na Johna, prawda? Musisz zabić to uczucie dla swojego starego, dobrego męża.

— Chyba w ogóle nie starasz się mnie zrozumieć.

— No proszę, czego to takiego nie rozumiem?

Nie spuszczała z niego badawczego spojrzenia, nie mogąc się oprzeć wspomnieniom ich wspólnych chwil, tego mieszkania, miejsc, w których razem bywali, teraz i wcześniej.

— Tego, że kiedy odchodziłeś ode mnie pięć lat temu, nadal cię kochałam, że nigdy nie dałeś mi szansy zakończenia tego, co sam zacząłeś.

— A teraz, jak rozumiem, udało ci się to. Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

— Mniej więcej chyba tak.

Do twarzy uderzyła mu krew, jak gdyby spoliczko-wała go.

— I to wszystko?

- Nie komplikuj, proszę. Zacisnął z całej siły powieki.
- Wy, Anglicy, jesteście mistrzami niedopowiedzeń. Ale nie lubię, kiedy się je stosuje w stosunku do mnie.
- Wszystko skończone, Karl, zrozum, skończone.
- Wcale tak nie musi być.
- Zostawiłeś mnie — rzuciła mu nagle.
- Już ci wyjaśniłem, jak to było.
- Niezupełnie. — W jej głosie pojawił się upór i gniew.
- Ale to było, do cholery, pięć lat temu. Ludzie się zmieniają!
- Nawet raz nie zadzwoniłeś, ani nie napisałeś!
- Chryste!
- Zostawiłeś mnie — powtórzyła coraz bardziej gorzkim tonem.
- Elizabeth, Elizabeth...
- Urodziłam twoje dziecko — wygarnęła w końcu i zdumiało ją, jak łatwo jej przyszło wreszcie powiedzieć mu to, jaką wielką poczuła ulgę i jak szybko znikł gdzieś gniotący ją dotąd ciężar.
- Moje dziecko? — wykrztusił.
- Tak.
- Ale...
- Zmarła, w pięć tygodni po urodzeniu, była wcześniakiem i to bardzo słabym.
- Na litość Boską! — Zniżył głos. — Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?
- Nie było cię wtedy, tam, ze mną...
- A więc to o to chodzi. Pokręciła głową.
- Tylko częściowo — powiedziała pragnąc już wreszcie stąd pójść, zamknąć za sobą drzwi i... przeszłość. Nacisnęła klamkę.
- Nie idź... proszę.
- Muszę.

Widział, jak przekracza próg i wychodzi na korytarz.

— John by tego nie zrobił, prawda? — spytał gwałtownie, niemal natychmiast tego żałując, wiedział bowiem, co usłyszy.

— Czego?

— Nie zostawiłby cię samej. Poczula, jakby w jej serce wbił się nóż.

— Nie.

Zgodnie z planem ministrowie spraw zagranicznych mieli przylecieć na konferencję dwudziestego piątego. Wygłaszanie ich przemówień miało trwać przez tydzień, po czym miało nastąpić zamknięcie konferencji. Dan westchnął do siebie. Dla każdego przedstawiciela stu dwudziestu czterech krajów przeznaczonych było dwanaście minut — cała wieczność. Ale ostatnie przemówienia będą z pewnością istotne, nie będą się sprowadzać do gładkich ogólnikowych stwierdzeń, miały odzwierciedlać to, co zostało osiągnięte w rozmowach, a co, oczywiście, nie pokrywało się z jego nadziejami i marzeniami. Dużym plusem było również to, że końcówce konferencji będzie się przypatrywał cały świat, ponieważ omawiane problemy nie były sprawą jedynie Wschodu i Zachodu — miały globalny wymiar, w pełnym tego słowa znaczeniu, i dlatego stawały się tak istotne. Ściągnął brwi przypominając sobie dokument końcowy leżący u niego na biurku i nadal czekający na przeczytanie, mimo to i tak się domyślał, co zawiera — zbyt wiele rozwiązań kompromisowych, a za mało zapowiedzi energicznych działań; nadzieje i marzenia będą jeszcze przez chwilę zepchnięte w kąt. Jednakże było jeszcze trochę czasu, aby w ostatniej chwili mógł zdarzyć się cud. Mało tego, Judy, jego Judy, i tak nie byłaby rozczarowana, zważywszy że przy stołach konferencyjnych zasiedli reprezentanci tylu krajów, ich rządów, zainteresowanych organizacji, i rozmawiali o tym, co działo się wokół nich każdego dnia. Uśmiechnął się ze



smutkiem; zaczęli pojmować, że świata nie można już bardziej eksploatować, bezlitośnie plądrować i „udoma-wiać”, tylko ze względu na źle pojmowane dobro ludzkości. Usiłował przypomnieć sobie pewien cytat, który znalazł gdzieś w przysłanej mu przez syna książce, doskonały, ostry i zwięzły, wspaniale nadający się do umieszczenia w przemówieniu, które przygotowywał dla sekretarza stanu:

*Nasz stosunek do problemów ochrony środowiska uległ niewielkiej zmianie na przestrzeni tysięcy lat — kopiemy i karczujemy, palimy i osuszamy, brukujemy i asfaltujemy, zatruwamy, aby dostosować świat do naszych wyobrażeń.*

Dan westchnął, ponieważ w Stanach słowa te byłyby potraktowane jako zbyt emocjonalne. Wywołałyby protekcyjne, zarozumiałe spojrzenia, a później ktoś zaproponowałby mu po cichu przyspieszoną emeryturę lub przeniesienie się na zieloną trawkę. Ale i tak w jego wieku miał szansę na jeszcze jedną tylko placówkę, pytanie: gdzie? Nie w jego ulubionym Londynie czy Paryżu, bo obydwa miejsca zostały już obsadzone; jedna z tych decyzji „kadrowych” była dość kontrowersyjna i podyktowana została względami czysto politycznymi — placówka miała się dostać jakiemuś ładowanemu „królowi ropy”, który, jak było widać, dość skutecznie maczał łapy w ostatniej kampanii prezydenckiej, za co otrzymał godziwą i prestiżową zapłatę; Dan zawsze odczuwał lekki niesmak i pogardę wobec takich metod działania. Pokręcił głową i pomyślał o placówce w Bonn, chyba też dla niego nieosiągalnej — jeszcze przez rok miał nią kierować ktoś inny, a poza tym był już tam osiem lat wcześniej. Od stycznia zwalniało się miejsce na placówce w Brazylii, na które ze względu na swój udział w konferencji i związane z tym doświadczenie miał spore szanse, o ile oczywiście nie okaże się, że rząd brazylijski uzna go za zbyt „zielonego” — na podstawie jego wystąpień; ale ktoś przecież musiał zająć zdecydowane stanowisko w sprawach dewas-

tacji miliona akrów lasów tropikalnych w ciągu jednego tygodnia... nie miał nic do stracenia w jego wieku.

Wzruszył ramionami i podszedł do okna ocierając chusteczką pot z czoła; było gorąco, był zmęczony i martwił się trochę przebiegiem rozmów, ciągłymi unikami i kłótniami, które nasiliły się szczególnie w ostatnich tygodniach. Często dostrzegał, jak wielki był postęp — nierzadko w formie dyskretnych umów — w kularowych rozmowach na terenie Hofburga czy podczas przyjęć w porównaniu z oficjalnymi umowami przy tym pieprzonym stole konferencyjnym. Ale dobre i to. Stało się nagle dla niego bardzo ważne, aby nie przegapić zesłanej mu przez Opatrzność okazji zrobienia czegoś pożytecznego, bo inaczej, uśmiechnął się w duchu, wróci Judy i będzie go straszyć; nie miałby nic przeciwko temu, na pewno nie. Narzucił marynarkę i poprawił krawat przygotowując się do wyjścia na jeszcze jedno przyjęcie, jedno z ostatnich w Wiedniu.

Zaproszenie do Thorntonów już od dwóch tygodni czekało u niego na biurku iomalże o nim nie zapomniął, zagłębiając się w swojej pracy. Zastanawiał się, czy spotka tam Nielsena i czy jego rozmowa z nim przyniosła jakieś korzyści Johnowi.

Wprawdzie zastanawianie się do niczego nie prowadzi, jak raz usłyszał od swojej matki, ale taki już był — zastanawiał się i marzył. Czasami nie mógł zrozumieć, jak udało mu się osiągnąć taką pozycję w życiu, ponieważ, jak daleko patrzył wstecz, większość życia spędził na marzeniu o tym, co się może wydarzyć lub co mogłoby się wydarzyć. Również z Judy prowadził nie kończące się dyskusje o przeszłości, teraźniejszości i o tym, co miało nadejść; nie kończące się dyskusje, nie kończące się rozmowy, w których uciekał od rzeczywistości, co bardzo ją bawiło. Zawsze stała mocno obiema nogami na ziemi; to ona brała udział w marszach protestacyjnych, co przyjmował z rumieńcem wstydu, to ona pisała list za listem

o marnotrawstwie, zanieczyszczeniu, przestępstwach w stosunku do dzieci, wymieraniu gatunków zwierząt, i wysyłała je do każdego, kto chciał o tym słyszeć, ale zwykle nikt nie chciał; zwykle nie otrzymywała nawet odpowiedzi. Ona też, ze swoim nieodpartym czarem, przyskrzy- niła kiedyś prezydenta Stanów Zjednoczonych podczas przyjęcia w Białym Domu i zacytowała mu słowa Normana Myersa: *Nasz cel zostanie osiągnięty, gdy na naszym zatłoczonym globie zmieciemy z powierzchni ziemi wszystkich naszych rywali. Wtedy to, kiedy pozbedziemy się ostatniego już żywego organizmu, staniemy się panami stworzenia. Spojrzymy wkoło i nie zobaczymy nic prócz siebie samych. Będziemy wreszcie sami.*

Dan roześmiał się na wspomnienie wyrazu twarzy prezydenta. Dosłownie drżał jak osika — jak miło to było pamiętać. Przeczesał szybko włosy, był już spóźniony. Mijając w hallu lustro przystanął na chwilę. Kiedyś był przystojny i, na swój sposób, nadal jest — zważywszy jego wiek. Być może tylko policzki stawały się coraz bardziej zapadnięte, skóra wokół oczu i na brodzie była nieco zbyt zwiotczała i blada, no i oczy zagłębiły się za bardzo w twarzy, ale nadal były uważne i żywe. Gorzej było z umysłem zaludnionym ponad miarę wspomnieniami miejsc i ludzi — zjaw przeszłości; westchnął widząc, że jego oczy stają się coraz bardziej błyszczące, z tym że tym razem za sprawą podejrzanej wilgoci; poczuł skurcz w gardle.

— Oj, ty stary głupcze — wymamrotał do siebie ze smutkiem i z całego serca zapragnął, żeby Judy rzeczywiście wstała z grobu i zaczęła go nawiedzać.

— Tak się cieszę — powiedziała z entuzjazmem Elizabeth.

— Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć — odpowiedziała Clare z rozjaśnioną twarzą. — Dowiedzie-

liśmy się dopiero wczoraj, gdy właściwie już się pogodziłam z myślą o powrocie do Londynu.

— Ale teraz już nie musisz. — Uśmiechnęła się Elizabeth. — Chyba ci niesamowicie ulżyło?

— Nawet nie pytaj. Nie masz pojęcia, jak praca w Brukseli jest nam na rękę, to tylko godzina jazdy do Londynu.

— Wyobrażam sobie, jak zadowolony jest Oliver.

— Och, ogromnie — niewiele mówi, ale znasz go, chodzi tylko napuszony jak paw!

— Tylko żebyśmy nie stracili z sobą kontaktu.

— W żadnym wypadku. A co słyhać z Waszyngtonem?

Elizabeth nie odpowiedziała, rozglądnęła się szukając wzrokiem Johna.

— Chyba też się cieszysz, prawda?

— Och, tak. I to bardzo.

Clare przypatrywała się twarzy przyjaciółki i zastanawiała się, czy to rzeczywiście prawda, że Elizabeth miała jakiś romans; zasugerowała jej to Madeleine Lindahl.

— No, na nas już chyba czas, zasiedzieliśmy się.

— Ależ co ty — odpowiedziała automatycznie Elizabeth.

— Naprawdę, musimy już wracać... babysitterka...

— Ach, tak, rzeczywiście. Odprowadzę cię do wyjścia. Mijając nieliczne już grupki gości, Clare dała znak Oliverowi.

— Och, zapomniałabym. Wiesz, że Olaf i Madeleine jadą na placówkę do Pragi? — spytała i dodała z konfidencjonalnym uśmiechem. — Jest absolutnie wściekła.

— Nie wątpię, nie jest to placówka, o której nasza Madeleine marzyła w skrytości ducha.

— No cóż, przynajmniej będzie w centrum interesujących zmian.

— Ale dla niej zbyt wolnych. Jak ją znam, większość czasu będzie spędzała tutaj... — stwierdziła Elizabeth, dodając: — Biedny Olaf.

— Mogło być jeszcze gorzej — Kolumbia, Lagos czy Kambodża! Elizabeth uśmiechnęła się przypominając sobie coś — kilka miesięcy temu słyszała prawie dokładnie to samo, z tym że z ust Madeleine na temat Clare, a teraz role się zmieniły. Wróciła wspomnieniem do tamtego przyjęcia w styczniu, kiedy wszystko było inne, od którego wszystko się zmieniło.

— No, teraz to już naprawdę musimy iść — zdecydowała Clare, gdy przyłączył się do niej Oliver. — Proszę, zrób wszystko, żebyście wpadli do nas na proszony lunch w poniedziałek.

Elizabeth pokiwała głową.

— Na pewno — powiedziała i dotknęła ramienia Olivera, gdy ją mijał. — Moje gratulacje.

— Dziękuję, Elizabeth — odparł i dodał nieco smutno: — Chciałbym wam też móc pogratulować...

Lekko zszokowana pokiwała głową z niemądrą miną, odprowadzając ich wzrokiem do drzwi; Oliver wiedział, a jeśli on, to może wszyscy inni też? Przez długą bolesną chwilę stała jak wmurowana w ziemię, w świetle lampy w hallu, przyglądając się, jak wiatr bawi się zasłonami. A wydawało jej się, że była taka przezorna, taka dyskretna. Zaglądnęła do głównego pokoju, gdzie w głębi stał John w otoczeniu ostatnich już gości. Wciągnęła głęboko powietrze i skierowała swe kroki do kuchni, gdzie wynajęta służba zmywała ostatnie kieliszki i pakowała wszystko do kartonowych pudełek; wkrótce nie będzie nawet śladu po przyjęciu na ponad setkę osób. Elizabeth weszła do saloniku, ich najlepszego, najurokliwszego pokoju, jedyne miejsce, w którym czuła się rzeczywiście jak w domu.

— No, to by było na tyle... Odwróciła się na dźwięk głosu Johna.

— Wszyscy już poszli?

— Tak — odparł. — Napijesz się czegoś?

Skinęła głową i usiadła.

— Tak się cieszę z tego, co spotkało Clare i Olivera, Clare odmłodziła o dziesięć lat.

— Już od dawna im się u należało.

— Tak.

John postawił szklanekę na stoliczku obok niej.

— G i T, zgadza się?

— Wspaniale.

John kręcił się chwilę bez celu, wreszcie znieruchomiał.

\_ Aha... zamierzałem ci to powiedzieć...

Wpiła w niego przestraszony wzrok, bojąc się nawet zgadywać, co usłyszy.

— Pamiętasz Laure Drummond, dziewczynę, którą kiedyś spotkałaś i nie podobał ci się jej wygląd...

Elizabeth odetchnęła i oblała się rumieńcem; wzięła do ręki drinka.

— Tak.

— Odesłano ją do domu.

Oczy Elizabeth rozszerzyły się w niemym pytaniu. \_ Biedna dziewczyna wmieszała się w aferę z jakimś agentem.

— Masz na myśli szpiega, tak?

\_ Chyba tak by go można nazwać. — John pociągnął

łyk swojej whisky. — Mówiąc jak najogólniej, uwiódł ją, a później zrobił jej kilka ciekawych zdjęć i nakręcił film video. .

\_ O Boże... — westchnęła ze zdumieniem. No tak.

Wyglądał na niezłego podrywacza, pomyślała z pewnym skrepowaniem, przypominając sobie jego kwadratową, męską twarz, gładkie obejście i nienaganne maniery — ach, ten sposób, w jaki pocałował ją w dłoń.

— Byłem podobnie wstrząśnięty jak ty. — Pokręcił głową. — A nie wiem, czy pamiętasz, jak ci mówiłem, że skądś go znam, szkoda tylko, że tak późno przypomniałem sobie skąd.

— Kim jest?

— Laurze powiedział, że nazywa się Rałf Muller i że jest niemieckim businessmanem, ale tak naprawdę jego matka była Węgierką, a ojciec Rosjaninem, a przynajmniej takie mam wiadomości. Nazywa się Gie-nadij Levczenko. Spotkałem go w 1980 w Londynie, w ambasadzie radzieckiej, a w następnym roku miał wątpliwy zaszczyt znaleźć się w czołówce dyplomatów radzieckich wydalonych z Wielkiej Brytanii w masowej „czystce” dotyczącej stu pięciu szpiegów, która trwała od 1971.

— Co zrobił?

— Znam tylko oficjalną wersję — starał się nakłonić brytyjskiego urzędnika państwowego, chyba nie przypadkiem kobietę, do szpiegostwa. Wiem natomiast na pewno, że jest, lub też był, oficerem KGB specjalizującym się w szpiegostwie naukowym i przemysłowym.

— Z takim przeciwnikiem Laura nie miała chyba żadnej szansy, prawda?

— Nie.

— Jak ją potraktował Sir Nigel?

— Z całą uprzejmością, oczywiście, co nie zmieniło jednak faktu, że musiała wrócić do Londynu, nie było innego wyjścia.

— A co z jej karierą?

— Nie jest do końca zrujnowana, ponieważ poinformowała o wszystkim zwierzchników, ale na pewno nie będzie się rozwijała tak szybko, jak by chciała. Wiedeń był dla niej wspaniałym początkiem.

— Biedna Laura — powiedziała cicho. — A ten Muller, czy też Gienadij?

— Znikł — odparł potrząsając głową. — Słyszałem od Lawrence'a, że Sir Nigel przygotował na niego pułapkę, ale nie pojawił się. Szpiegowski instynkt.

— Więc ciągle się gdzieś tu kręci?

— Niestety.

— To dziwne... — powiedziała wolno. — Wiedziałam,

że takie rzeczy się zdarzają, ale trudno w nie uwierzyć, gdy się zdarzają tuż pod twoim nosem.

— Myślę, że to samo można powiedzieć o całej masie innych rzeczy. — Popatrzył na nią ostro.

Jej serce zwolniło rytm, wydawało jej się, że jego bicie słyszać było na kilometry stąd. Odchrząknęła.

— To już się skończyło, John.

W milczeniu popatrzył na nią. W miarę przedłużającej się ciszy miała coraz większą ochotę krzyknąć nie mogąc dłużej znieść napięcia, własnego niepokoju i przenikliwego spojrzenia Johna.

— Skończyło się? — spytał z rozdrażnieniem. — Co się skończyło?

Opuściła wzrok na swoje dłonie, na zaciśnięte do bólu palce.

— Chyba wiesz... — wydusiła z siebie ledwie słyszalnie.

— Nie, nie wiem. — Chciał, aby powiedziała to głośno i wyraźnie.

— Już się z nim nie widuję. Przełknął ślinę.

— Z kim?

— Z Karlem Nielsenem.

Ogarnięty falą niewyobrażalnego, rozpaczliwego smutku podszedł do okna, nie odpowiedział, bojąc się, że słowa uwięzną mu w gardle.

— John?

— Co ci mam powiedzieć?

Siedziała zrozpaczona i bezradna nie wiedząc, co dalej robić.

— Znałam go wcześniej... Wciągnął powietrze.

— Wcześniej?

— Przed tobą.

— I to ma mnie pocieszyć?

— Nie próbuję cię pocieszyć — i tak nie byłabym



w stanie, prawda? — Utkwiła nieruchomy wzrok w jego plecach. —  
Próbuję jedynie wytłumaczyć.

— Tylko że tu nie ma nic do tłumaczenia.

— Dlaczego?

— Zdrada jest zdradą, tak czy nie? Co za różnica, czy znałaś go przed, po,  
czy pomiędzy, wychodzi na jedno.

— Nie, John.

— O? — zdziwił się z sarkazmem. — A więc twoja zdrada rządzi się  
innymi prawami niż wszystkie te inne potajemne, nieokielznane pospolite  
narowy, którym ulega grzeszne ciało...?

— To nie było tak.

— Nie mów mi, jak to było!

Jego krzyk sprawił, że żołądek skoczył jej do góry; opanował ją strach i  
udręka; z pokorą schyliła głowę. W chwilę później jego głos zabrzmiał  
już cicho i smutno.

— Nie mów mi, Elizabeth, jak to było, przynajmniej tego mi oszczędź. —  
Nie chciał przypominać sobie ich razem, kochających się, szeptających  
do siebie wszystkie te rzeczy, które szepczą sobie kochankowie. Nie  
zniósłby tego.

— Nie to chciałam powiedzieć.

— Dobrze, dobrze — podniósł znów głos.

— Tak mi przykro, John — powiedziała nagle zupełnie bezradnie. — Tak  
bardzo mi przykro... — Czuła napływające jej do oczu łzy i była na siebie  
wściekła, bo nie chciała, aby je zobaczył, żeby sądził, że błaga o litość.

Nie odpowiedział.

— Spotkałam go na rok przed tobą... — zaczęła gorączkowo i  
nieskładnie. — Przeżyliśmy krótki, gwałtowny romans, a potem on  
wyjechał do Stanów. — Przerwała, czując, jak dalsze słowa przychodzą  
jej z coraz większym trudem. — Wydawało mi się, że go kocham, John  
— ciągnęła cicho. Ale on nawet nie odezwał się. — Od tego czasu nie  
spotkaliśmy się więcej.

— Aż do teraz.

— Tak — wydusiła z siebie.

— I ogarnęło cię nieodparte pragnienie odnowienia waszego „gwałtownego romansu”, nie myślę się? — Za nic na świecie nie użyłby słowa „miłość”.

W milczeniu przyznała mu rację

— A czy ja się w tym wszystkim liczyłem? Czy pomyślałaś choć raz o mnie?

— Och, tak...

— Och tak — powtórzył i odwrócił się do niej. — I teraz, jak skończył się twój flircik, pewnie sądzisz, że wszystko będzie po staremu?

— Przestań, John.

— Nie masz prawa mnie o to prosić, rozumiesz? Przygnębiającą ciszę, która zapadła po jego wybuchu, przerwał wreszcie jej głos.

— Czy chcesz, żebym odeszła?

— „Czy chcesz, żebym odeszła” — powtórzył z przekąsem. — Paradne. To ci się udało. — Ogarnął go zduszony, pozbawiony radości śmiech. Zamknęła oczy. — Wydaje ci się to takie proste, co? — kontynuował. — Nie wiem, jaka jest twoja definicja miłości, i nie wiem, co dla ciebie znaczy, Elizabeth, ale ze mną jest inaczej — nie mogę chcieć, żebyś odeszła, bo ciągle cię kocham i nie mogę sobie z tym uczuciem poradzić. Podniosła głowę, ale nieomal natychmiast opuściła ją z powrotem pod wpływem jego spojrzenia.

— Czy ty mnie w ogóle kiedykolwiek kochałaś? — Spoglądał na jej spuszczoną głowę i zaczęły go ogarniać bolesne wspomnienia.

Wydawało mu się to tak dawno temu, gdy spotkał ją po raz pierwszy, na przyjęciu; zobaczył jej uroczą twarz i burzę włosów o miodowym kolorze opadającą jej w bezładzie na ramiona. Pożądał jej. Zagadnął ją i okazała się inteligentna oraz odczytana, ciepła, a nawet dowcipna, ona jednak zachowywała między nimi pewien dystans, który początkowo dodawał nawet smaczku ich znajomości, ale później stał się ranią-

cy, i to wtedy omal go nie utraciła. Ale opamiętała się, wróciła do niego i wkrótce się pobrali. I była szczęśliwa — wiedział, że tak było, ich małżeństwo było udane. Wszystko im się dobrze układało. Dała mu wspaniałego syna. Zesztywniał na myśl o Christopherze.

— Och, John... — powiedziała miękko. — Tak, po stokroć tak.

— Nie wierzę ci — odpowiedział. — Zawsze było w tobie coś, co nie pozwalało mi się do ciebie do końca zbliżyć.

— To właśnie z tego powodu.

— Karl, skurwiel Nielsen — wyrzucił z siebie z pogardą te słowa, jak gdyby parzyły mu wargi, i bojąc się, że serce wyskoczy mu z piersi z wściekłości. — Byłaś gotowa poświęcić wszystko, co mieliśmy, a także — Christophera, dla niego. Czy kiedykolwiek wpadło ci do głowy, jak twój „gwałtowny romans” mógł się odbić na rozwoju twojego syna. — Przełknął gwałtownie ślinę. — A czy wiedziałaś, że hobby tego twojego lalusiuwatego sukinsyna był handel kością słoniową!? — Powiedział mu o tym Dan Gurney podejrzanym tonem, w zupełnej tajemnicy, gdy siedzieli przy drinku. John poczerwieniał na wspomnienie tej upokarzającej sytuacji; Dan zawsze wszystko wiedział.

Zamknęła oczy i z niedowierzaniem kręciła głową.

— Chciałbym cię znienawidzić, ale nie potrafię — powiedział spoglądając w bok.

— Miałam z nim dziecko, John. — Jedyne to jej zostało i nie mogła zrozumieć, dlaczego nigdy wcześniej mu o tym nie powiedziała, była bowiem pewna, że zrozumiałby od razu, a jednak niemądrze zamknęła to w sobie i pozwoliła, aby sytuacja aż tak się rozwinęła.

Odwrócił się wolno.

— Dziecko? Z Nielsenem?

— Tak.

— Kiedy?

— Mniej więcej na rok przed spotkaniem ciebie.

Poczuł się znów zniechęcony i zły na siebie, że zaczął mieć co do niej wątpliwości, bo jej wyjaśnienie me trzymało się kupy.

\_ Zmarła — odpowiedziała, jakby wyczuwając jego wątpliwości. — W pięć tygodni po urodzeniu. Była wcześniakiem. Badawczo przyglądał się jej twarzy i zauważył, jak ciemnieją jej oczy i czerwieni się nos.

\_ W tamtym związku było coś nie dokończonego... —

Jej głos zadrżał. — W jakiś dziwny sposób nie dokończonego. — Próbowała odchrząknąć i rzuciła mu spojrzenie. — A teraz chciałam coś z tym zrobić, bo za długo już wszystko to we mnie się przewalało — on, dziecko, uczucie porzucenia... Dopiero teraz to zrozumiałam — dokończyła i po raz pierwszy naprawdę poczuła, że opuszczają ją wszystkie jej zmory.

\_ I nie kochasz go? — Serce waliło mu boleśnie. Bo gdyby nie zaprzeczyła, nie mieliby już nigdy szansy. Pokręciła głową.

— Nie.

— A więc po sprawie — powiedział za nich oboje, zamknął oczy i poczuł szaloną ulgę. — Koniec z tym. — Przyglądał jej się długo, bardzo długo, wreszcie podszedł i usiadł przy niej.

— Jak miała na imię?

Przygarnął ją do piersi i zaczął gładzić po włosach.

— Powiedz, jak miała na imię, Elizabeth? — spytał łagodnie.

— Susan.

Poczuł przez skórę szalone, niespokojne bicie jej serca, kiedy przytuliła się do niego całym ciałem, a jej ciepłe łzy zrosiły mu koszulę. Teraz już wszystko będzie dobrze. Wszystko; przecież mieli przed sobą całe życie.